

**ROBERT
LUDLUM**

**ZDRADA
TRISTANA**

PRZEKŁAD: JAN KRAŠKO

Spis treści

Spis treści	2
Część 1	5
Rozdział 1.....	6
Rozdział 2.....	19
Rozdział 3.....	23
Rozdział 4.....	28
Rozdział 5.....	32
Rozdział 6.....	37
Rozdział 7.....	46
Rozdział 8.....	47
Rozdział 9.....	53
Rozdział 10.....	59
Część 2	64
Rozdział 11.....	67
Rozdział 12.....	75
Rozdział 13.....	79
Rozdział 14.....	89
Rozdział 15.....	94
Rozdział 16.....	99
Rozdział 17.....	108
Rozdział 18.....	116
Rozdział 19.....	123
Rozdział 20.....	132
Rozdział 21.....	136
Rozdział 22.....	144
Rozdział 23.....	149
Rozdział 24.....	156
Część 3	160
Rozdział 25.....	162
Rozdział 26.....	165
Rozdział 27.....	174
Rozdział 28.....	182
Rozdział 29.....	188
Rozdział 30.....	194
Rozdział 31.....	203
Część 4	208
Rozdział 32.....	212
Rozdział 33.....	220
Rozdział 34.....	228
Rozdział 35.....	231
Rozdział 36.....	237
Rozdział 37.....	242
Rozdział 38.....	258
Rozdział 39.....	260

Moskwa, sierpień 1991

Elegancka czarna limuzyna zaopatrzona w kuloodporne, laminowane poliwęglanem szyby, w samonapełniające się opony i w ceramiczną karoserię, podwójnie wzmocnioną ceramiczno-stalowymi płytami pancernymi, wjechała do Lasu Bisewskiego na południowo-zachodnim krańcu miasta. Rzucała się tu w oczy, bo las był prastary, dziewiczy, poprzetykany kępami brzoź i osik, gęsto porośnięty sosnami, wiązami i klonami; kojarzył się z epoką kamienia łupanego, kiedy to spłaszczonymi przez lodowiec równinami wędrowali myśliwi, którzy wśród rojących się tu drapieżników z prymitywnym oszczepem w ręku polowali na gigantyczne mamuty. Opancerzony lincoln continental był symbolem zupełnie innej cywilizacji, cywilizacji naznaczonej innego rodzaju przemocą, epoki snajperów i terrorystów uzbrojonych w pistolety maszynowe i granaty odłamkowe.

Moskwa była oblężona. Była stolicą supermocarstwa na krawędzi upadku. Klika twarogłowych komunistów sposobiała się do zawrócenia kraju z drogi reform. Do miasta ściągnięto tysiące żołnierzy gotowych strzelać do niewinnych cywilów. Kutuzowskim Prospektem i szosą Mińską ciągnęły kolumny czołgów i transporterów opancerzonych. Czołgi otoczyły ratusz, stację telewizyjną, gmach parlamentu, stanęły przed redakcjami gazet. Radio nadawało wyłącznie dekrety puczystów, którzy nazwali się Państwowym Komitetem Stanu Wyjątkowego. Po latach kroczenia w stronę demokracji Związkowi Radzieckiemu groził powrót do mrocznej epoki państwa totalitarnego.

W limuzynie siedział starszy siwowłosy mężczyzna o arystokratycznych rysach twarzy. Był to ambasador Stephen Metcalfe, symbol amerykańskiego establishmentu, doradca Franklina D. Roosevelta i pięciu amerykańskich prezydentów, którzy zasiadali w Gabinetie Ovalnym po nim, milioner, który poświęcił życie służbie dla rządu. Ambasador - był to tytuł czysto honorowy, gdyż Metcalfe przeszedł już na emeryturę - został pilnie wezwany do Moskwy przez starego przyjaciela, człowieka z najściślejzego kręgu radzieckiej władzy państwowej. Nic widzieli się od kilkudziesięciu lat: ich znajomość była głęboką tajemnicą, pilnie skrywaną zarówno w Moskwie, jak i w Waszyngtonie. To, że Kurwenal - taki miał pseudonim - nalegał na spotkanie na odludziu, było dość niepokojące, lecz z drugiej strony żyli w niespokojnych czasach.

Głęboko zamyślony i wyraźnie zdenerwowany ambasador wysiadł z samochodu, dostrzegłszy swego przyjaciela, trzy gwiazdkowego generała; generał miał protezę i szedł ku niemu, mocno kulejąc. Ambasador zlustrował okolicę wprawnym okiem i krew ścięła mu się w żyłach.

Między drzewami dostrzegł jakiś ruch. Człowiek. Jeden, drugi i... trzeci! Obserwowano ich! Zostali namierzeni! Otoczeni!

Groziła im katastrofa!

Ambasador chciał krzyknąć, ostrzec przyjaciela, lecz w tej samej chwili dostrzegł refleks światła odbitego od lunetki karabinu snajperskiego. Zasadzka! Wpadli w zasadzkę!

Przerażony zawrócił i nie zważając na ból dotkniętych artretyzmem nóg, pobiegł do limuzyny. Nie miał ochroniarzy; zawsze podróżował bez nich. Miał tylko kierowcę, nieuzbrojonego żołnierza piechoty morskiej z ambasady.

Raptem tamci ruszyli. Wybiegli ze wszystkich stron naraz, uzbrojeni po zęby żołnierze w czarnych mundurach polowych i czarnych beretach na głowie. Gdy otoczyli go i zatrzymali, zaczął się szarpać, lecz nie był już młody, o czym nieustannie musiał sobie przypominać. Chryste, to porwanie? Biorą mnie jako zakładnika? Ochryplym głosem krzyknął do kierowcy.

Żołnierze zaprowadzili go do opancerzonego rosyjskiego ziła. Wystraszony wszedł i stwierdził, że czeka już tam jego przyjaciel, trzy gwiazdkowy generał.

- Co to, do diabła, znaczy? - warknął, powoli dochodząc do siebie.

- Bardzo cię przepraszam - odrzekł Rosjanin. - Żyjemy w niepewnych, niebezpiecznych

czasach i nie chciałem, żeby coś ci się stało, nawet tu, w tych lasach. To moi ludzie, antyterrorysty. Służą pod moim dowództwem. Jesteś zbyt ważny, żeby narażać cię na niebezpieczeństwo.

Metcalf uściskał mu rękę. Generał miał osiemdziesiąt lat i siwe włosy, lecz profil mu się nie zmienił i wciąż był orli, drapieżny jak dawniej. Dał znak kierowcy i ruszyli.

- Dziękuję, że przyjechałeś. Wiem, że moje pilne wezwanie zabrzmiało tajemniczo.

- Domyśliłem się, że chodzi o pucz - odrzekł Metcalfe.

- Sytuacja rozwija się szybciej, niż oczekiwaliśmy - powiedział cicho generał. - Dostali błogosławieństwo Dirizora, Dyrygenta. Przejmują władzę i chyba nie zdołamy ich powstrzymać.

- Moi przyjaciele z Białego Domu obserwują was z wielkim niepokojem. Ale mają związane ręce: Rada Bezpieczeństwa Narodowego uważa, że interwencja doprowadziłaby do konfliktu nuklearnego.

- I słusznie. Ci ludzie chcą obalić Gorbaczowa. Nie cofną się przed niczym. Widziałeś te czołgi? Wystarczy tylko, żeby kazali otworzyć ogień, zaatakować cywilów. To będzie rzeź. Zginą tysiące ludzi. Ale rozkaz nie zostanie wydany, dopóki nie zatwierdzi go Dirizor. Wszystko zależy od niego. Jest ich podporą, filarem. Jest najważniejszy.

- Należy do puczystów?

- Nie. To szara eminencja Kremla, człowiek, który pociąga za sznurki w absolutnej tajemnicy. Nie zobaczysz go na żadnej konferencji prasowej; działa ukradkiem. Ale tak, sympatyzuje z nimi. Bez niego nie mają szans. Lecz jeśli ich poprze, przejmą władzę i w Rosji ponownie zapanuje stalinowska dyktatura. Świat stanie na krawędzi wojny nuklearnej.

- Ale właściwie po co mnie wezwałeś? - spytał Metcalfe. - I dlaczego akurat mnie?

Generał odwrócił głowę i w jego oczach ambasador dostrzegł strach.

- Bo tylko tobie ufam. Bo tylko ty masz szansę przekonać Dirizora. - Niby dlaczego miałby mnie posłuchać?

- Chyba wiesz dlaczego - odrzekł cicho generał. - Potrafisz zmienić bieg historii. Obaj wiemy, że już to kiedyś zrobiłeś.

Część 1

Rozdział 1

Paryż, listopad 1940

Miasto światła tonęło w ciemnościach. Odkąd pół roku wcześniej hitlerowcy najechali i podbili Francję, ta najpiękniejsza metropolia świata wyludniła się i wymarła. Opustoszały sekwahńskie bulwary. Łuk Triumfalny i Place de l'Etoile - te wspaniałe, powszechnie znane, jarzące się światłami miejsca - były teraz ciemne, pępne i opuszczone. Na wierzchołku wieży Eiffla, gdzie jeszcze niedawno łopotała trójkolorowa francuska flaga, powiewała flaga ze swastyką.

Paryż pogrzyżył się w ciszy. Na ulicach nie było ani samochodów, ani taksówek. Większość lepszych hoteli zajęli hitlerowcy. Nie było już hulank, nie było libacji, umilkł śmiech wieczornych spacerowiczów. Zniknęły nawet ptaki, ofiary dymu i oparów płonącej benzyny z pierwszych dni hitlerowskiej agresji.

Większość ludzi nie wychodziła wieczorem z domu. Bali się okupanta, godziny policyjnej, bali się narzuconych przez Niemców rozporządzeń, żołnierzy Wehrmachtu w zielonych mundurach, patrolujących ulice z pistoletami i długimi bagnietami na karabinach. W tym dumnym niegdyś mieście zapanowały rozpacz, głód i strach.

Nawet arystokratyczna aleja Focha, ta najszerza, najwspanialsza ulica Paryża, pełna eleganckich białych domów i pałacyków, wyglądała pępnie i przygnębiająco. W nocy hulał na niej tylko wiatr.

Wyglądała pępnie, lecz nie cała.

W jednym ze stojących przy niej hoteli jarzyły się światła. Z wnętrza dochodziła przytłumiona muzyka orkiestry swingowej. Dobiegało pobrzękiwanie porcelanowych talerzy i kryształowych kieliszków, podekscytowane głosy i beztroski śmiech. Była to wyspa uprzywilejowanego luksusu, tym bardziej rzucająca się w oczy, że leżała na czarnym oceanie biedy i poniżenia.

Hotel de Chatelet był okazałą rezydencją hrabiego Maurice'a Leona Philippe'a du Chatelet i jego żony, legendarnej, niezwykle wytwornej Marie-Helene. Hrabia du Chatelet, bogaty przemysłowiec, był ministrem w marionetkowym rządzie Vichy. Ale przede wszystkim słynął z hucznych przyjęć, które pomagały *tout Paris* przetrwać mroczne dni okupacji.

Zaproszenie na przyjęcie w Hotel de Chatelet było przedmiotem zazdrości całej paryskiej socjety, czymś, czego pragnęło się i na co czekało dniami i tygodniami. Zwłaszcza teraz, gdy brakowało żywności, gdy żywność tę racjonowano, gdy zdobycie prawdziwej kawy, maśła czy sera granoczyło z cudem, gdy tylko zamożni i dobrze ustosunkowani mogli kupić mięso i warzywa. Zaproszenie na koktajl do państwa Chatelet oznaczało po prostu jedzenie, było okazją, żeby się do syta napchać. Tu, w tym pięknym domu, nic nie wskazywało na to, że Paryż jest miastem nędzy i ubóstwa.

Przyjęcie trwało już od dłuższego czasu i właśnie się rozkręcało, gdy kamerdyner wprowadził do sali bardzo spóźnionego gościa.

Gość ów był mężczyzną - niezwykle przystojnym mężczyzną. Dobijał trzydziestki, miał długie czarne włosy, duże brązowe, figlarne oczy i orli nos. Wysoki, barczysty i atletycznie zbudowany, oddał płaszcz *maitre d'hotel*, skinął mu głową, uśmiechnął się i powiedział:

- *Bonsoir, merci beaucoup.*

Znano go jako Daniela Eigena. Od dwóch lat pomieszkiwał w Paryżu, należał do kręgu miejscowej elity towarzyskiej i bywał na największych przyjęciach. Ponieważ wszyscy wiedzieli, że jest bogatym Argentyńczykiem i w dodatku kawalerem, był bardzo dobrą partią.

- Och, Daniel, kochanie moje - wymruczała Marie-Helene du Chatelet, gdy wszedł do zatłoczonej sali balowej. Orkiestra grała najnowszy przebój, *How High the Moon*. Madame du Chatelet dostrzegła go ze środka sali i ruszyła do drzwi z wylewnością, którą zazwyczaj obdarzała jedynie multimilionerów oraz ludzi niezwykle wpływowych, takich jak choćby książę i księżna Windsor czy niemiecki gubernator Paryża. Wytworna i wciąż bardzo atrakcyjna, miała pięćdziesiąt kilka lat i piękne piersi. Tego wieczoru wystąpiła w czarnej, mocno wydekolowanej sukni od Balenciagi i była wyraźnie zachwycona widokiem młodego gościa.

Gdy Daniel ucałował ją w oba policzki, przyciągnęła go bliżej i konspiracyjnym szeptem powiedziała:

- Tak się cieszę, że mogłeś wpaść. Bałam się już, że nie przyjdiesz.

- Miałbym nie przyjść na przyjęcie w Hotel de Chatelet? Myśli pani, że odebrało mi rozum? - Wyjął zza pleców małe pudełko owinięte błyszczącym papierem. - To dla pani, Madame. Ostatni flakonik w Paryżu.

Marie-Helene du Chatelet rozpromieniła się jak słońce. Wzięła pudełeczko, niecierpliwie rozerwała papier i jej oczom ukazała się kwadratowa buteleczka perfum Guerlaina. Głośno wciągnęła powietrze.

- Vol de Nuit! Przecież... przecież tego nie można nigdzie kupić!

- Właśnie - odrzekł z uśmiechem Eigen. - Nie można.

- Danielu! Jesteś taki słodki, taki troskliwy. Skąd wiedziałeś, że to moje ulubione?

Eigen skromnie wzruszył ramionami.

- Mam swój wywiad, Madame.

Pani du Chatelet zmarszczyła brwi i żartobliwie pogroziła mu palcem.

- I zdobyłeś dla nas dom perignona. Doprawdy, jesteś zbyt hojny. Cieszę się, że przyszedłeś, kochanie. Młodzi, przystojni mężczyźni są dzisiaj jak na lekarstwo. Wybacz, jeśli kilka z obecnych tu pań zemdleje na twój widok. Oczywiście mam na myśli te, których jeszcze nie podbiłeś. - Ponownie zniżyła głos. - Jest tu Yvonne Printemps. Przyszła z Pierre'em Fransayem, ale coś mi mówi, że znowu poluje, więc lepiej uważaj. - Yvonne Printemps była słynną gwiazdą francuskich musicali. - Jest i Coco Chanel ze swoim nowym kochankiem, tym Niemcem, z którym mieszka w Ritzu. Znowu gędzi o Żydach. Doprawdy, to zaczyna być nudne.

Eigen wziął kieliszek szampana ze srebrnej tacy, którą usłużnie podsunął mu kelner, i rozejrzał się po olbrzymiej sali: piękny, stary parkiet, biało-złota boazeria, wspaniałe gobeliny, zapierający dech w piersi sufit malowany ręką tego samego artysty, który ozdobił później sufit w Wersalu.

Lecz bardziej niż wystrój wnętrza interesowali go obecni w sali goście. Rozpoznał w tłumie kilka znajomych twarzy. Jak zwykle było wśród nich sporo znakomitości: Edith Piaf, która brała za występ dwadzieścia tysięcy franków, Maurice Chevalier oraz słynne gwiazdy francuskiego ekranu, które pracowały obecnie w niemieckiej wytwórni Continental, grając w filmach zatwierdzonych przez Goebbelsa. Była tam również grupka wszelkiej maści pisarzy, malarzy i muzyków, którzy nigdy nie przepuszczali okazji, żeby napić się i porządnie najeść. Jak zawsze przyszli też francuscy i niemieccy bankierzy oraz przemysłowcy współpracujący z marionetkowym rządem Vichy.

No i oczywiście niemieccy oficerowie, tak widoczni w kręgach towarzyskich okupowanego Paryża. Wszyscy byli w mundurach; wielu nosiło pretensjonalne monokle i mały wąsik a la Fuhrer. Wojskowy gubernator miasta, generał Otto von Stilpnagel. Niemiecki ambasador we Francji, Otto Abetz, i młoda Francuzka, jego żona. Kommandant von Gross-Paris, stary generał Ernst von Schaumburg, którego ze względu na krótko ostrzyżone włosy i pruskie maniery nazywano Brązową Skałą.

Eigen dobrze ich wszystkich znał. Widywał ich regularnie w salonach takich jak ten, ale co ważniejsze, oddawał im liczne przysługi. Niemieccy panowie Francji nie tylko tolerowali

czarny rynek - oni tego rynku potrzebowali jak każdy, jak wszyscy. Bo gdyby nie czarny rynek, skąd wzięliby łagodny krem do demakijażu albo puder dla swoich żon czy kochanek? Skąd wytrzasnęliby butelkę armagnaca? Nawet nowi władcy Francji cierpieli z powodu wojennych niedostatków.

Dlatego handlarze tacy jak Daniel Eigen zawsze byli w cenie.

Ktoś delikatnie szarpnął go za rękaw. Eigen natychmiast rozpoznał lśniącego od brylantów palec swojej byłej kochanki, Agnes Vieillard. Chociaż przejął go nagły lęk, odwrócił się i rozpromienił. Nie widział jej od wielu miesięcy.

Była ładną, drobną kobietą o jaskraworudych włosach i miała męża, Didiera, ważnego przedsiębiorcę, handlarza amunicją i właściciela koni wyścigowych. Daniel poznał tę uroczą, choć rozbuchaną seksualnie istotkę na wyścigach w Longchamps, gdzie miała prywatną lożę. Jej mąż bawił wtedy w Vichy i doradzał francuskim marionetkom. Przedstawiła się bogatemu, przystojnemu Argentyńczykowi jako „wojenna wdowa”. Ich romans, namiętny, choć krótki, trwał do chwili powrotu męża do Paryża.

- Agnes, *ma chérie!* Gdzieś ty się podziewała?

- Ja? Chyba raczej ty. Nie widziałam cię od tamtego wieczoru u Maksima. - Zakołysała lekko biodrami w takt jazzowej wersji *Imagination*.

- Wieczór u Maksima - odrzekł Daniel. - Jakże mógłbym zapomnieć? - dodał, choć ledwo go pamiętał. - Byłem potwornie zajęty. Bardzo cię przepraszam.

- Zajęty? Danielu, przecież ty nigdzie nie pracujesz - odparła z naganą w głosie.

- Mój ojciec zawsze powtarzał, że powinienem znaleźć sobie pożyteczne zajęcie. Ale Francja jest teraz pod okupacją, więc już chyba nie muszę.

Agnes Vieillard pokręciła głową i gniewnie nachmurzyła czoło, żeby ukryć mimowolny uśmiech. Nachyliła się ku niemu i powiedziała:

- Didier znowu wyjechał do Vichy. A tutaj jest za dużo *Boches*. Może stąd uciekniemy? I pojedziemy do Jockey Clubu. U Maksima bywają teraz same szkopy. - Mówiła szeptem: porozwieszane w metrze rozporządzenia głośniły, że każdy, kto nazwie Niemców *Boches*, zostanie rozstrzelany. Hitlerowcy nie lubili być obiektem drwin.

- Szkopy mi nie przeszkadzają. - Daniel szybko zmienił temat. - Są świetnymi klientami.

- Ci żołnierze... Jak ich nazywają? *Haricots verts* Są tacy okropni, tacy źle wychowani. To prawdziwe zwierzęta! Podchodzą do kobiet na ulicy i bezczelnie je obmacują!

- Należy im się odrobina współczucia, moja droga - odrzekł Eigen. - Ci biedacy podbili świat, a żadna Francuzka nie chce zawiesić na nich oka. To takie niesprawiedliwe...

- Ale co zrobić, żeby się od nas odczepili?

- Po prostu powiedz im, że jesteś Żydówką, *mon chou*. Natychmiast dadzą ci spokój. Albo gap się na ich wielkie stopy: to zawsze wprawia w zakłopotanie.

Agnes nie wytrzymała i uśmiechnęła się.

- Ale jak oni maszerują po Champs-Elysees. Ten ich krok!

- Myślisz, że łatwo tak chodzić? Spróbuj kiedyś: od razu wylądujesz na pupie. - Rozejrzał się ukradkiem, szukając sposobu ucieczki.

- Nie dalej jak wczoraj widziałam Geringa. Wsiadał z samochodu przy rue de la Paix, i wiesz co? Miał tę swoją głupią buławę. Daje głowę, że on z nią śpi! Wszedł do Cartiera i dowiedziałam się potem, że kupił żonie naszyjnik za osiem milionów franków. - Pociągnęła go za rękaw białej, wykrochmalonej koszuli. - Ubiera japo francusku, zauważyłeś? Nie kupuje jej ciuchów niemieckich, tylko nasze. Tak narzekają, tak pogardzają tą dekadencją, ale tutaj ją uwielbiają.

- Herr Meier musi mieć wszystko co najlepsze.

- Herr Meier? Jak to? Gering nie jest Żydem.

- Nie słyszałaś, co powiedział? Jeśli choć jedna bomba spadnie na Berlin, możecie

zwracać się do mnie per Herr Meier.

Agnes parsknęła śmiechem.

- Ciiiiszej, Danielu - szepnęła teatralnym szeptem.

Eigen objął ją lekko w talii.

- Jest tu pewien dżentelmen, z którym muszę porozmawiać, więc jeśli mi wybaczysz...

- Akurat. Pewnie wpadła ci w oko kolejna damulka. - Agnes z uśmiechem wyduła wargi.

- Nie, nie. - Eigen zachichotał. - Tym razem naprawdę chodzi o interesy.

- No cóż, przynajmniej mógłbyś załatwić mi trochę prawdziwej kawy. Nie znoszę tego erzacu. Cykoria! Palone żołądziej! Załatwisz, kochanie?

- Ależ oczywiście - odrzekł Daniel - gdy tylko będę mógł. Za dwa dni mam mieć nowy transport.

Ale gdy odwrócił się, żeby odejść, usłyszał surowy, męski głos:

- Herr Eigen!

Tuż za nim stała grupka niemieckich oficerów, nad którą górował wysoki, dostojny Standartenfuhrer, pułkownik SS o zaczesanych do tyłu włosach, z szylkretowym monoklem w oku i z wierną imitacją wąsika a la Fuhrer. Standartenfuhrer Jurgen Wegman załatwił Eigenowi wielce użyteczną licencję *sernice public*, dzięki której Daniel, jako jeden z nielicznych w Paryżu, mógł korzystać z prywatnego samochodu. Transport był tu prawdziwą zmoremą. Ponieważ prawo do prowadzenia wozu mieli jedynie lekarze, strażacy i - nie wiedzieć czemu - znani aktorzy oraz aktorki, metro było straszliwie zatłoczone, a na dodatek połowę stacji zamknięto. Nie było benzyny, nie było taksówek.

- Herr Eigen, te cygara są za suche.

- Bardzo mi przykro, Herr Standartenfuhrer. Czy trzymał je pan w humidorze, jak panu mówiłem?

- Nie mam humidora.

- W takim razie załatwię go panu.

Jeden z jego kolegów, okrągłolicy SS Gruppenfuhrer, generał brygady Johannes Koller, roześmiał się cicho i szydlerczo. Pokazywał kolegom francuskie pocztówki w kolorze sepia. Szybko schował je do wewnętrznej kieszeni, lecz Eigen zdążył zauważyć, co przedstawiały: były to staromodne zdjęcia posągowych kobiet, które mając na sobie jedynie pończochy, tudzież pas do pończoch, przybierały najbardziej wyuzdane pozy.

- Były suche już wtedy, gdy je dostałem. Pewnie nie są nawet z Kuby.

- Są, Herr Kommandant, są. Młode kubańskie dziewice zwijały je na swoich udach. Ale proszę spróbować tych. Gratis, z wyrazami szacunku. - Daniel wyjął z kieszeni aksamitny woreczek z kilkoma owiniętymi w celofan cygarami. - Romeo y Julietas. Podobno to ulubione cygara Churchilla. - Puścił do niego oko.

Podszedł do nich kelner ze srebrną tacą pełną małych kanapek.

- *Pate defoie gras*, panowie?

Koller płynnym ruchem wziął od razu dwie. Eigen jedną.

- Ja dziękuję - powiedział świętoszkowato Wegman. - Już nie jadam mięsa.

- Trudno je teraz zdobyć, he? - rzucił Eigen.

- Nie o to chodzi - odparł Wegman. - W pewnym wieku człowiek musi stać się stworzeniem roślinożernym.

- Tak, wasz Fuhrer jest wegetarianinem, prawda? - spytał Eigen.

- Właśnie - potwierdził z dumą hitlerowiec.

- Chociaż czasami pochłania całe kraje - dodał ze stoickim spokojem Daniel.

Wegman łypnął na niego spode łba.

- Podobno nie ma dla pana rzeczy niemożliwych, Henr Eigen. W Paryżu brakuje papieru. Może pan coś na to poradzi?

- Tak, wiem. Wasi urzędnicy muszą odchodzić od zmysłów, bo co będą teraz przekładali?

- Wszystko jest teraz w podłym gatunku - wtrącił Gruppenfuhrer Koller. - Musiałem dzisiaj przejrzeć cały arkusz znaczków, zanim znalazłem taki, który przykleił się do koperty.

- Wciąż używacie tych z podobizną Hitlera?

- Tak, oczywiście - odparł niecierpliwie Koller.

- To może liżecie nie tę stronę, *herr!* - Daniel puścił do niego oko. Zażenowany Gruppenfuhrer zaczerwienił się i niezręcznie odchrząknął, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, Eigen szybko dodał:

- Ma pan całkowitą rację. Jakość produktów francuskich nie umywa się do jakości produktów niemieckich.

- Teraz mówi pan jak prawdziwy Niemiec - pochwalił go Wegman. - Chociaż pańska matka była Hiszpanką.

- Danielu. - Kobięcy kontrakt. Eigen odwrócił się z ulgą, korzystając z okazji, żeby uciec od napuszonych hitlerowców.

Stała przed nim wielka, tęga kobieta w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Miała na sobie jarmarczną sukienkę w kwiaty i wyglądała jak cyrkowa słonica. Madame Fontenoy. Nienaturalnie czarne, mocno tapirowane, przecięte białym pasemkiem włosy i olbrzymie, rozciągające uszy kolczyki zrobione z *louis d'or*, antycznych monet z dwudziestokaratowego złota - koszmar. Była żoną francuskiego dyplomaty, słynną paryską damą.

- Przepraszam, panowie - powiedziała - ale muszę wam go ukraść. Obejmowała w talii szczupłą dziewczynę w wieku około dwudziestu lat, kruczowłosą piękność o błyszczących szarozielonych oczach.

- Danielu, chcę ci przedstawić Genevieve du Chatelet, córkę naszej uroczej gospodyni. Zdumiało mnie, że jeszcze jej nie znasz. Musi być jedyną paryżanką, która się przed tobą uchowała. Genevieve, to jest Daniel Eigen.

Dziewczyna - miała na sobie czarną wieczorową suknię bez ramiączek - podała mu delikatną dłoń o długich palcach i ostrzegawczo błysnęła oczyma. Poza Danielem nikt tego nie widział.

Eigen ujął jej rękę i pochylił głowę.

- Bardzo mi miło - powiedział, delikatnie drapiąc palcem wewnątrz jej dłoni na znak, że rozumie w czym rzecz.

- Pan Eigen jest z Buenos Aires - wyjaśniła matrona - ale ma mieszkanie na lewym brzegu.

- Pan od dawna w Paryżu? - spytała obojętnie Genevieve du Chatelet, nawet nie mrużąc oka.

- Tak, od dość dawna - odrzekł Daniel.

- Pan Eigen mieszka tu na tyle długo, żeby być rozeznany - dodała z uniesionymi brwiami Madame Fontenoy.

- Rozumiem - wymruczała z powątpiewaniem Genevieve du Chatelet. I naraz jakby dostrzegła kogoś po drugiej stronie sali. - Och, jest tu *magrande-tante*, Benoit. Zechce mi pani wybaczyć, Madame.

Posłała Danielowi znaczące spojrzenie i ruszyła w stronę sąsiedniego pokoju. Daniel niemal niedostrzegalnie skinął głową: wiedział, o co chodzi.

Po dwóch nieskończenie długich minutach puste gadaniny z panią Fontenoy przeprosił ją i odszedł. Dwie minuty: minęło wystarczająco dużo czasu. Przepychał się przez gęsty tłum, z uśmiechem pozdrawiając tych, którzy witali go po imieniu, i bez słowa dając im do zrozumienia, że zajmują go niecierpiące zwłoki sprawy osobiste.

Kilkanaście kroków dalej, w głębi wspaniałego korytarza, była równie wspaniała biblioteka. Jej ściany i osadzone w ścianach półki polakierowano na ciemnoczerwono; wypełniały je rzędy starych, oprawionych w skórę, ani razu nieprzeczytanych ksiąg. W bibliotece nie było nikogo, a z hałaśliwej sali balowej dochodził tu jedynie przytłumiony pomruk. W głębi pomieszczenia, na wyłożonej gobelinowymi poduszkami kanapie siedziała Genevieve, oszalała w czarnej sukni i kusząca bladą nagością krągłych ramion.

- Dzięki Bogu - wyszeptała niecierpliwie. Wstała, podbiegła do drzwi i zarzuciła mu ręce na szyję. Całował ją długo i namiętnie. Wreszcie odsunęła się i dodała: - Tak mi ulżyło, że przyszedłeś. Bałam się już, że coś cię zatrzyma.

- Jak możesz? - zaprotestował. - Miałbym przepuścić taką okazję? Nonsens.

- Nie, tylko jesteś taki... taki dyskretny, taki ostrożny. Nie chcesz, żeby dowiedzieli się o nas moi rodzice, i w ogóle... Ale najważniejsze, że jesteś. Dzięki Bogu. Ci ludzie są tacy nudni, że omal tam nie umarłam. Nic, tylko jedzenie, jedzenie i jedzenie, o niczym innym nie mówią.

Eigen delikatnie głaskał jej kremowe ramiona, sunąc czubkami palców w stronę piersi. Pachniała shalimarem, perfumami, które jej podarował.

- Boże, tak bardzo się za tobą stęskniłem - wyszeptał.

- Minał prawie tydzień. Byłeś grzeczny? Nie, zaczekaj. Lepiej nie odpowiadaj. Już ja cię znam.

- Czytasz we mnie jak w otwartej księdze - odrzekł cicho Eigen.

- Hm, nie jestem tego taka pewna. - Genevieve ściągnęła usta. - Ta księga ma zbyt wiele stron.

- W takim razie może kilka usuniesz?

Genevieve udała zaszokowaną, lecz obydwójce wiedzieli, że to tylko gra.

- Nie tutaj. Ktoś może wejść.

- Tak, masz rację. Chodźmy gdzieś, gdzie nikt nam nie przeszkodzi.

- Do saloniku na pierwszym piętrze. Tam nikt nie zagłąda.

- Nikt z wyjątkiem twojej matki. - Daniel pokręcił głową. I nagle doznał olśnienia. - Gabinet! Gabinet twego ojca. Zamkniemy się na klucz i...

- Ale tatuś zabije nas, jeśli nas tam zobaczy!

Eigen ze smutkiem pokiwał głową.

- Tak, i znowu masz rację, *ma chérie*. Powinniśmy chyba wrócić do gości.

Genevieve wpadła w popłoch.

- Nie, nie, nie! Wiem, gdzie trzyma klucz. Chodźmy. Szybko!

Drzwi, wąskie schody dla służby, pierwsze piętro, długi, ciemny korytarz: przystanęli przed małą niszą, w której stało marmurowe popiersie marszałka Petaina. Danielowi serce waliło jak młotem. Za chwilę miał zrobić coś niebezpiecznego, a niebezpieczeństwo zawsze go podniecało. Lubił życie na krawędzi.

Genevieve sięgnęła za popiersie, zręcznie wyjęła zza niego klucz i otworzyła drzwi do gabinetu ojca.

Oczywiście nie wiedziała, że Eigen już tu bywał. Że był tu kilka razy podczas ich potajemnych schadzek w Hotel de Chatelet, w środku nocy. gdy już spała, gdy jej rodzice podróżowali i gdy służba miała wolne.

Zapach fajkowego tytoniu i skóry: prywatny gabinet hrabiego Leona Philippe'a du Chatelet był pomieszczeniem bardzo męskim. Zdobiła go kolekcja starych lasek, kilka obitych ciemnobrązową skórą foteli w stylu Ludwika XV i masywne, bogato rzeźbione biurko ze sterami równo poukładanych dokumentów. Na kominku stało brązowe popiersie jednego z członków rodziny.

Podczas gdy Genevieve zamykała na klucz podwójne drzwi, Eigen obszedł biurko, lustrując wzrokiem dokumenty i wybierając wśród nich te najbardziej interesujące, osobiste i finansowe. Niemal natychmiast dostrzegł kilka telegramów z Vichy dotyczących ściśle tajnych spraw wojskowych. Lecz zanim zdążył cokolwiek zrobić, podbiegła do niego Genevieve.

- Tam - szepnęła. - Na kanapę.

Ale Daniel nie miał zamiaru odchodzić od biurka. Łagodnie przyparł ją do krawędzi blatu, sunąc dłońmi po jej ciele, po ramionach, plecach, po wąskiej talii, wokół małych, jędrnych pośladków, gdzie jego ręce zagościły nieco dłużej, by delikatnie pogniatać. Jednocześnie całował ją za uchem, w szyję, w piersi...

- O Boże - jęknęła. - Danielu... - Miała zamknięte oczy.

Wsunął czubki palców w przesłonięty jedwabiem rowek między jej pośladkami, delikatnie drażniąc najbardziej intymne rejony ciała, co pochłonęło ją do tego stopnia, że nie zauważyła, iż jego prawa ręka przestała robić to, co dotychczas robiła, by ukradkiem powędrować w stronę blatu i spocząć na pliku tajnych dokumentów.

Nie oczekiwał, że trafi mu się taka okazja. Dlatego musiał improwizować.

Bezszelестnie wsunął papiery w rozcięcie z boku marynarki. Gdy zniknęły pod jedwabną podszewką smokingu, lewą ręką rozpiął zamek błyskawiczny sukni, odsłaniając kształtne piersi i brązowe sutki, które zaczął drażnić szybkimi, wprawnymi ruchami języka.

Musiał się nachylić i sztywny papier pod podszewką cichutko zatrzeszczał.

Daniel zamarł. Przekrzywił głowę.

- Co? - westchnęła z rozszerzonymi oczami Genevieve.

- Słyszałaś?

- Ale co?

- Kroki. Blisko. - Eigen miał bardzo dobry słuch, w dodatku teraz, gdy groziła mu wpadka - wpadka nie tylko romantyczna - był niezwykle spięty i czujny.

- Nie! - Genevieve odsunęła się szybko, podciągając suknię, żeby zasłonić piersi. - Zapnij mnie! Musimy uciekać! Jeśli ktoś odkryje, że tu jesteśmy...

- Ciii... - Kroki. W dodatku dwóch osób. Korytarz wyłożono marmurową posadzką i po ich brzmieniu Daniel domyślił się, że to mężczyźni. Echo było coraz głośniejsze: tamci szli w tę stronę, w stronę gabinetu.

Genevieve podkrađła się do drzwi i w tej samej chwili usłyszał ich głosy. Rozmawiali po francusku, ale jeden z nich mówił z niemieckim akcentem. Generał von Stulpnagel, gubernator Paryża? Tak, to możliwe. Natomiast głos tego drugiego, niski i dudniący, bez wątpienia należał do hrabiego de Chatelet.

Genevieve wyciągnęła rękę. Boże, jaka głupia. Chciała przekręcić klucz i powitać ich w progu? Daniel dotknął jej ramienia, bez słowa pokręcił głową i wyjął klucz z zamka.

- Chodź - szepnął, wskazując drzwi na drugim końcu gabinetu. Ostatnim razem wszedł właśnie tamtędy. Miał nadzieję, że Genevieve pomyśli, iż zauważył je dopiero teraz, chociaż była tak spanikowana, że pewnie nic do niej nie docierało.

Kiwnęła głową i pobiegła w tamtą stronę. Daniel pstryknął wyłącznikiem i gabinet po-grążył się w ciemności. Lecz on znał na pamięć rozkład całego pomieszczenia, wiedział, gdzie może napotkać ewentualne przeszkody i bez trudu je ominął.

Genevieve stanęła przed drzwiami i głośno wciągnęła powietrze. Drzwi były zamknięte. Ale on już trzymał w ręku klucz. Gdyby go nie wyjął, gdyby zmarnował jeszcze kilka sekund, tamci by ich nakryli. Szybko włożył go do zamka i przekręcił. Gdy rzadko używane drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem, wepchnął Genevieve do wąskiego, ciemnego korytarza i szybko je zamknął. Zawahał się z kluczem w ręku. Nie. Zamek był zardzewiały i zgrzytliwy i tamci natychmiast by ten zgrzyt usłyszeli.

Już. Nie przerywając rozmowy, mężczyźni weszli do gabinetu.

Genevieve chwyciła go za rękę i jej ostre paznokcie wbiły mu się w ciało jak szpony. Jeśli nawet usłyszała szelest papierów pod podszewką smokingu, chyba nie zwróciła na to uwagi.

- Co teraz? - szepnęła.

- Zejdiesz do kuchni i wrócisz na przyjęcie.

- Ale służący...

- Nie będą wiedzieć, skąd przyszedłeś i co tu robiłeś, a gdyby nawet, na pewno nie pisną nikomu ani słowa.

- Ale jeśli pójdziesz za mną, nawet kilka minut później...

- Nie, oczywiście, że nie mogę. Wszystkiego się domyśla i wpadniesz.

- To gdzie pójdziesz? - Genevieve wciąż mówiła szeptem, na szczęście niezbyt głośnym.

- Nie martw się, na pewno cię znajdzie. Jeśli matka spyta cię, gdzie jestem, oczywiście nic nie wiesz. - Musiał jej to powiedzieć, gdyż mała Genevieve nie należała do najbystrzej-szych osóbek, jakie znał.

- Ale gdzie...

Przytknął jej palec do ust.

- Idź, *ma chérie*.

Już miała odejść, lecz położył jej rękę na ramieniu i gdy odwróciła głowę, szybko pocałował ją w usta. Potem poprawił dekolt jej sukni i pobiegł schodami na górę. Miał gumowe podeszwy - w tych czasach o gumę było trudniej niż o skórę - więc poruszał się prawie bezszelestnie.

Biegł i gorączkowo myślał. Dokąd teraz? Wiedział, że ją tu spotka, lecz nie przypuszczał, że nadarzy mu się aż taka okazja, okazja, której po prostu nie mógł przepuścić. Ale teraz miał pod podszewką gruby plik dokumentów i uznał, że powrót do zatłoczonej sali, gdzie każdy mógł na niego wpaść, usłyszeć, jak szeleszczą, i odkryć, co ukrywa, nie jest zbyt dobrym pomysłem.

Musiał coś wymyślić. Mógł zejść do szatni. Tak, po płaszcz, a gdyby tam kogoś spotkał, powiedziałby, że szuka zapalniczki. Wziąć płaszcz, przełożyć doń dokumenty i... Nie, za duże ryzyko. Na pewno jest tam jakiś szatniarz.

Jednakże ryzyko to było niczym w porównaniu z niebezpieczeństwem, jakie groziłoby mu, gdyby któryś z gości Madame Chatelet odkrył, że wraz z jej córką potajemnie odwiedził gabinet jej męża. Schody prowadziły bezpośrednio do kuchni i gdyby wszedł tam kilka minut po Genevieve, zobaczyliby go kucharze, kelnerzy i kamerdynerzy, którzy szybko dodaliby dwa do dwóch. Nie, wbrew temu, co powiedział Genevieve, służący nie należeli do ludzi najdyskretniejszych. Mała Genevieve też musiała o tym wiedzieć: służba żyje plotką, to naturalne i oczywiste.

Plotki, pogłoski: on miał je gdzieś. Bo co go obchodziło, że Marie-Helene du Chatelet odkryje, iż jej córka ma romans? Nie, martwił się tym, co będzie dalej, martwił się konsekwencjami tego odkrycia. Zdawał sobie sprawę, że nadejdzie chwila, gdy hrabia stwierdzi, iż z gabinetu zginęły tajne dokumenty, dokumenty ważne dla bezpieczeństwa kraju. Że natychmiast zacznie wypytywać żonę i służących, że posypią się oskarżenia. Żeby bronić kolegów, któryś z kucharzy powie mu, że widział, jak schodami prowadzącymi do jego prywatnego gabinetu schodził młody mężczyzna.

A wówczas - nawet jeśli hrabia nie będzie miał całkowitej pewności, że to właśnie on wykradł te papiery - podejrzenia padną na niego, na Eigena. I jego przykrywkę - tę najcenniejszą, najskuteczniejszą broń - natychmiast trafi szlag. A do czego, jak do czego, ale do tego za nic nie mógł dopuścić.

Tak, istniały inne sposoby ucieczki. Mógłby na przykład wejść na drugie albo trzecie piętro, ciemnymi o tej porze korytarzami dotrzeć do innych schodów i zejść nimi na podwó-

rze za domem, gdzie kiedyś parkowały konne powozy i gdzie teraz był ogród. Ogród otaczał wysoki drewniany płot, na który mógłby się bez trudu wspiąć, ale gdyby to zrobił, na pewno dostrzeżono by go z okien sali balowej. Wyfraczony mężczyzna pędzący przez podwórze i wskazujący na płot: to dość niezwykły widok.

Nie, bezpiecznie mógł wydostać się stąd tylko w jeden, jedyny sposób.

Minutę później był już na ostatnim piętrze domu, gdzie mieszkała służba. Sufit był tu niski i mocno pochylony, a podłoga bynajmniej nie marmurowa czy kamienna, tylko sosnowa, stara i skrzypiąca. Pusto: wszyscy służący harowali na dole, w sali balowej. Jak zwykle odrobił pracę domową i dokładnie sprawdził teren - nie, żeby oczekiwał jakichś kłopotów, wprost przeciwnie, ale uważał, że zawsze trzeba zadbać o wyjście awaryjne. Stosował tę taktykę wielokrotnie i wielokrotnie uratowała mu życie.

Wiedział, że może uciec dachem, a ponieważ dom stał w długim rzędzie innych domów, wiedział też, że możliwości jest wiele.

Dach Hotel de Chatelet był typowym dachem mansardowym, takim z licznymi łukowatymi oknami. Wszystkie wychodziły na ulicę i służący mieli z nich ładny widok. Było mało prawdopodobne, żeby któryś z kamerdynerów czy kelnerów zamknął drzwi na klucz, mimo to odczuł wielką ulgę, gdy nacisnąwszy klamkę pierwszych po prawej stronie, stwierdził, że są otwarte.

Pokój był maleńki i - nie licząc pojedynczego łóżka oraz komody - prawie nieumeblowany. Oświetlało go jedynie blade światło księżyca, wpadające przez zakurzone szyby. Podbiegł do ściany, pochylił się, wcisnął do niszy, chwycił za uchwyt i pociągnął. Okien najwyraźniej długo nie otwierano - długo, jeśli w ogóle. Szarpnął jeszcze raz i z dużym wysiłkiem otworzył najpierw jedną, potem drugą połowę. Do pokoju wpadło zimne, nocne powietrze.

Wyjrząwszy na zewnątrz, potwierdził jedynie to, co zauważył przed kilkoma dniami, oglądając dom z zewnątrz. Okno wychodziło bezpośrednio na stromy, kryty papą dach, który trzy, trzy i pół metra dalej kończył się gzymsem. Wiedział, że gzyms - wysoka, bogato zdobiona kamienna balustrada - ukryje go przed wzrokiem przechodzących ulicą ludzi, oczywiście tylko pod warunkiem, że będzie posuwał się wzdłuż rynny. Dachy sąsiednich domów, budynków w najprzeróżniejszych odmianach stylu Drugiego Cesarstwa, nie miały gzymsu. Cóż, musiał brać to, co było.

Od upałów, od dziesiątków lat nasłonecznienia, papa pomarszczyła się, a teraz była na domiar złego przyprószone śniegiem i pokryta lodem. Zdradziecki teren.

Wiedział, że musi wyjść nogami naprzód i że nie będzie to łatwe, gdyż smoking krępował mu ruchy. Poza tym zaopatrzone w gumowe podeszwy buty, znakomite do cichego chodzenia po domu, zupełnie nie nadawały się do wspinaczki. Czekало go trudne zadanie.

Chwyciwszy się framugi, przerzucił nogi przez parapet. Gdy tylko dotknął dachu, zaczął zsuwać się po lodzie i wciąż przytrzymując się framugi, zawisł, na wpół wychylony z okna. Zawisł i zaczął pocierać podeszwami butów o papę, aż fragment powierzchni dachu stał się na tyle szorstki, że mógł na nim stanąć.

Ale nie, na wszelki wypadek postanowił zachować ostrożność i wciąż przytrzymywał się framugi. Po lewej stronie, kilkadziesiąt centymetrów dalej, był wysoki ceglany komin. Eigen oparł się na lewej stopie, puścił prawą rękę, wziął zamach i nie zwalniając uchwytu ręki lewej, zaczeplił palcami o wystające cegły.

Były zimne i chropowate. Ale to dobrze. Stary tynk zdążył już zwietrzeć, tak że bez trudu zagłębił palce w szczelinę i mocno je zacisnął. Usztywniwszy mięśnie ciała i jeszcze raz sprawdziwszy uchwyt, puścił się okna i błyskawicznie chwycił się komina drugą ręką.

Ostrożnie przestawiając nogi na oblodzonym dachu - przesuwając je na zmianę, raz jedną, raz drugą - pocierał podeszwami butów dopóty, dopóki nie stanął pewnie. Znajdował się teraz na tyle blisko komina, że mógł go objąć. Mięśnie górnej połowy ciała miał dobrze wyrobione

i żeby podejść, a raczej podciągnąć się wyżej, maksymalnie naprężył ramiona i szybko przebijając nogami, już po chwili znalazł kolejne, w miarę pewne oparcie dla stóp.

Z dachu na dach: w minionym stuleciu często przemieszczali się tak złodzieje. On sam też wielokrotnie korzystał z tego sposobu i wiedział, że nie jest bynajmniej łatwy. Jednakże wątpił, żeby wśród złodziei znalazł się choć jeden na tyle ograniczony umysłowo - z wyłączeniem tych obarczonych wyjątkowo silnymi skłonnościami samobójczymi - żeby korzystać z niego w czasie paryskiej zimy, gdy jest ślisko i gdy niemal wszędzie zalega śnieg.

Powtarzał ten manewr jeszcze kilkakrotnie, wreszcie dotarł do niskiego murku oddzielającego dach od dachu sąsiedniego domu. Dotarł tam i z ulgą stwierdził, że ten, na który miał zaraz wejść, nie jest pokryty papą, tylko terakotą. Terakota też była śliska, ale wystarczyło potrząść ją butem i dawała w miarę pewne oparcie dla nóg. Szybko stwierdził, że idzie mu się dość łatwo. Szczyt dachu był płaski, nie spiczasty, i przypominał sześćdziesięciocentymetrowej szerokości krawężnik. Gdy sprawdził go podeszwą buta, okazało się, że jest szorstki i chropowaty. Stanął na nim, zachwiał się lekko niczym linoskoczek i z trudem zachowując równowagę, ostrożnie ruszył przed siebie.

Daleko w dole była aleja Focha, ciemna i opustoszała - miasto oszczędzało elektryczność i wyłączało niemal wszystkie latarnie. Zdawał sobie sprawę, że jeśli on widzi chodnik, każdy, kto tym chodnikiem przejdzie, zobaczy jego, ponieważ dach nie miał gzymsu.

Zresztą co tam chodnik. Zobaczyłby go każdy, kto wyjrzałby przypadkiem przez okno na którymś z wyższych pięter domów naprzeciwko. Wszędzie mówiło się o szpiegach i sabotaży Stach, dlatego ludzie byli przewrażliwieni i czujniejsi niż zwykle. Każdy, kto dostrzegłby kogoś na dachu, zwłaszcza w nocy, bez wahania zadzwoniłby do *La Maison*, do *Prefecture de Police*. Przyszło mu żyć w czasach anonimów i denuncjacji, w czasach, gdy jednym z największych zagrożeń był donos do niemieckiej komendantury miasta. Narażał się na poważne ryzyko.

Przyspieszył kroku. Szedł najszybciej jak mógł, wreszcie dotarł do kolejnego murku. Dach sąsiedniego domu był mansardowy, taki sam jak dach Hotel de Chatelet, lecz mniej stromy. Miał również płaski szczyt, choć o połowę węższy niż ten, który zostawił za sobą.

Szedł nim powoli i ostrożnie, noga za nogą. Spojrzał w dół i ogarnął go strach. Potrząsnął głową, pomyślał, jak ważną ma misję i po chwili strach minął.

Trzydzieści sekund później stał już przed kolejnym murkiem. Murkiem, a raczej grubym murem, z którego sterczały ujścia kominów i szybów wentylacyjnych. Z kilku kominów unosił się dym, co oznaczało, że mieszkańcy któregoś z mieszkań należeli do garstki uprzywilejowanych paryżan mających węgiel. Sprawdził wytrzymałość jednego z blaszanych szybów, przytrzymał się go, podciągnął wyżej i wtedy zauważył coś ciekawego.

Mur wystawał poza krawędź dachu i jakby zwisał nad podwórzem. Mniej więcej trzy metry za okapem ze ściany domu sterczał rząd żelaznych klamer, które zniknęły hen daleko w ciemności na dole. Kominiarze. Tak, zapewne korzystali z nich kominiarze.

Przez chwilę nie wiedział, co robić. Klamry były za daleko, nie mógł ich dosięgnąć. Nie mógł też wejść na mur, gdyż mur był po prostu za wąski. Nie, nie miał wyboru: przekładając ręce, chwytając się kolejnych kominów i dyndając w powietrzu jak małpa na lianie, przesuwając się wzdłuż muru kawałek po kawałku. Szyby wentylacyjne były okrągłe i wąskie na tyle, że mógł bezpiecznie je objąć.

Wędrował tak przez kilka minut i wreszcie dotarł do żelaznych klamer. Przytrzymał się pierwszej, spuścił nogi, znalazł oparcie i zaczął schodzić, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Wreszcie stanął na ziemi.

Opustoszałe podwórze. Wychodzące na nie okna były ciemne. Z kominów unosił się dym, więc na pewno ktoś tu mieszkał, ale o tej porze lokatorzy zapewne już spali. Ruszył powoli przed siebie. Bruk, wysoki drewniany płot, w płocie zamknięta furтка. W porównaniu z

oblodzonym dachem, z tymi przekłętymi kominami i szybami, płot nie stanowił żadnej przeszkody. Wspiął się nań, zeskoczył i znalazł się w zaułku za aleją Focha.

Dobrze znał tę część miasta. Szedł niespiesznie, walcząc z pokusą, żeby popędzić chodnikiem na złamanie karku, wreszcie doszedł do skrzyżowania z boczną uliczką. Poklepał się po piersi: dokumenty wciąż tkwiły pod podszewką.

Uliczka była upiornie pusta i ciemna.

Minał mroczne okno wystawowe księgarni należącej kiedyś do Żyda i przejętej przez Niemców. Jej szyld przesłonięte wielką białą tablicą z gotyckim napisem FRONTBUCHHANDLUNG między swastykami. Kiedyś był to elegancki zagraniczny sklep - teraz też był zagraniczny, lecz sprzedawał wyłącznie niemieckie książki.

Ślady bytności Niemców widziało się wszędzie, ale, co dziwne, hitlerowcy nie zniszczyli żadnej ze słynnych budowli, żadnego z tak ukochanych przez paryżan zabytków. Nie próbowali wymazać miasta z mapy, nie. Zamiast wymazywać, po prostu je zaanektowali, żeby ten klejnot Europy stał się ich klejnotem. Jednakże - co nader osobliwe - zrobili to niedbale, byle jak. Ot, choćby ta wielka biała tablica, którą przesłonięte rzeźbiony szyld żydowskiej księgarni: można ją było szybko zdjąć. Jakby nie chcieli oszczędzić klejnotu najmniejszą skazą. Gdy powiesili na wieży Eiffla swoją flagę, prawie natychmiast zerwał ją wiatr i musieli powiesić nową. Nawet Hitler wpadł tu tylko na kilka godzin, jak speszony turysta. Nawet nie przenocował. Paryż ich nie chciał i dobrze o tym wiedzieli.

Dlatego wszędzie rozwieszali ogłoszenia, rozporządzenia i plakaty propagandowe. Przyklejali je tak wysoko, że nie było ich prawie widać, ale mieli ku temu swoje powody: gdyby wisiały niżej, na wysokości wzroku, zostałyby natychmiast zerwane lub pomazane. *Śmierć szkopom! Boże błogosław Anglię!* - oto jakie widywało się na nich napisy.

Idąc, zobaczył plakat: uśmiechnięty Winston Churchill z nieodłącznym cygarem, obok Churchilla kobieta z wychudzonym, płaczącym dzieckiem w ramionach. I napis: WIDZISZ, CZYM JEST BLOKADA DLA TWEGO DZIECKA? Oczywiście chodziło im o blokadę angielską, ale wszyscy wiedzieli, że to bzdura. Plakat wisiał bardzo wysoko, mimo to ktoś namazał na nim: *-A gdzie są nasze ziemniaki?* Ludzie byli wściekli: wszystkie ziemniaki zebrane przez francuskich rolników trafiały do Niemiec. Ot, i cała prawda.

Kolejny plakat, tym razem tylko napis. *ETES-VOUS EN REGLE?* Czy twoje dokumenty są w porządku? Albo: czy ty jesteś w porządku? Dokumenty - *carte d'identite* - zawsze trzeba było mieć przy sobie na wypadek spotkania z francuskim *gendarme* czy innym *functionnaire*: ci szubrawcy byli gorsi od Niemców.

Eigen nie rozstawał się z dokumentami ani na chwilę. Miał ich zresztą sporo, na różne nazwiska i narodowości. Dzięki temu mógł łatwo zmieniać tożsamość, do czego często bywał zmuszony.

W końcu doszedł tam, gdzie chciał: do starego, rozsypującego się domu w anonimowym kwartale miasta. Z żelaznego wspornika zwisał pęknięty szyld: LE CAVEAU. Piwnica. Bar poniżej poziomu ulicy, do którego schodziło się krótkimi, zmurszałymi ceglanyymi schodami. Małe, samotne okno było zaciemnione, lecz zza zasłon sączyło się światło.

Eigen spojrział na zegarek. Minęła północ i rozpoczęła się wprowadzona przez *Ces Messieurs* godzina policyjna.

Mimo to bar był otwarty. Francuska żandarmeria i hitlerowcy udawali, że tego nie widzą, więc działał niemal do rana. Właściciel dawał łapówki, wiedział, komu trzeba posmarować, komu postawić kielicha.

Daniel zszedł na dół i pociągnął trzy razy za uchwyt staromodnego dzwonka. Dzwonek zadzwonił na tyle głośno, że słycać go było mimo dochodzącej z wnętrza muzyki i kakofonii głosów.

Kilka sekund później w judaszu pośrodku czarnych, masywnych drzwi błysnęło światło. Błysnęło i zgasło. Ktoś sprawdził, kto przyszedł i drzwi się otworzyły.

Bar rzeczywiście wyglądał jak piwnica: nierówna, popękana kamienna podłoga, lepka od rozlanych napitków, niski sufit, krzywe ściany, kłęby papierosowego dymu, ostra woń potu i taniego tytoniu, zapach kiepskiego wina. W kącie skrzeczało radio. Przy porysowanej drewnianej ladzie siedziało sześciu czy siedmiu hardych robotników i kobieta, pewnie prostytutka. Wszyscy popatrzyli na niego z lekkim zaciekawieniem i nieukrywaną wrogością.

- Kopę lat - powitał go Pasquale, barman, który go wpuścił, chudy staruszek o twarzy równie zniszczonej jak lada. - Dawno cię nie widziałem, ale zawsze jesteś tu mile widzianym gościem. - Uśmiechnął się, odsłaniając rząd nierównych, zbrązowiałych od nikotyny zębów i dwie złote koronki. Nachylił się ku niemu i szepnął: - Ciągłe nie ma tych gitane'ów?

- Jutro, najdalej pojutrze będę miał transport.

- Świetnie. Dalej po sto franków? Chyba nie...

-Nie, kosztują więcej - odrzekł Daniel, zniżając głos. - Dla innych. Ty masz u mnie specjalną zniżkę. Pasquale podejrzliwie zmrużył oczy.

- Ile?

- Sto procent.

Barman roześmiał się serdecznie i zakaszłał chrapliwym kaszlem nałogowego palacza. Musiał palić straszne *merde*, ale jakie, Bóg raczy wiedzieć.

- Twoje warunki są całkiem, całkiem - rzucił, wracając za ladę. - Zrobić ci koktajl?

Daniel pokręcił głową.

- *Le scotch whisky?* Koniak? Chcesz zatelefonować? - Ruchem ręki wskazał budkę na drugim końcu baru. Szyba w drzwiach budki była rozbita - rozbił ją sam Pasquale, który chciał w ten sposób przypomnieć gościom, żeby trzymali język za zębami. Nawet tu, w lokalu, gdzie nie bywali obcy, nie miało się całkowitej pewności, czy ktoś nie podsłuchuje.

- Nie, dzięki. Ale chętnie skorzystam z toalety.

Staruszek znacząco uniósł brwi i lekko skinął głową. Był gruboskórny i zrzędlawy, ale umiał zachować dyskrecję. Wiedział, kto tak naprawdę płaci tu czynsz i nienawidził Niemców jak wszyscy Francuzi. Jego dwóch ukochanych siostrzeńców zginęło w bitwie w Ardenach. Ale nigdy, przenigdy nie chciał rozmawiać o polityce. Robił swoje, podawał drinki, i tyle.

Idąc wzdłuż lady, Daniel usłyszał, jak ktoś pogardliwie prychnął: *Espece de sanscarte!* Facet bez wizytówki: standardowa obelga pod adresem czarnorynkowych handlarzy. Najwyraźniej słyszał, o czym rozmawiali z Pasquale'em. Cóż, trudno. Eigen nie mógł nic na to poradzić.

Na końcu kiszkiowego pomieszczenia, gdzie panowały niemal egipskie ciemności, były drzwi prowadzące na zniszczone drewniane schody. Schody skrzypiały, stękały i tonęły w odorze moczu docierającego zza drzwi cuchnącej toalety, choć te - dzięki przytomności umysłu któregoś z gości - były zamknięte.

Jednakże zamiast skorzystać z toalety, Eigen otworzył pakamerę na szczotki. Wszedł tam, przestępując nad wiadrkami, mopami i butelkami ze środkami czyszczącymi. Do ściany była przytwierdzona szczotka o krótkim trzonku. Daniel chwycił zań - trzonek tkwił w ścianie dość głęboko - pchnął go do dołu i obrócił w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara. Następnie pchnął ścianę i ściana - a właściwie drzwi - się otworzyła.

Daniel wszedł do ciemnego pomieszczenia o powierzchni niecałego metra kwadratowego, do zakurzonej, cuchnącej pleśnią kłitki; słyszał tu było kroki gości na górze. Tuż przed nim znajdowały się stalowe drzwi, które niedawno pomalowano na czarno.

Był też dzwonek, o wiele nowocześniejszy niż ten przy drzwiach do baru. Daniel naciśnął go dwa razy, a potem jeszcze raz.

- *Oui!* - spytał burkliwy głos.

- Marcel - odrzekł Eigen.

- Czego chcesz?

- Mam towar, który może cię zainteresować.
- Tak? Na przykład jaki?
- Na przykład masło.
- Masło? Skąd je masz?
- Z Porte des Lilas.
- Po ile?
- Po pięćdziesiąt dwa franki za kilo.
- To dwadzieścia franków więcej niż normalnie.
- Tak, ale różnica polega na tym, że ja to masło mogę załatwić.
- Aha.

Coś kliknęło, rozległo się ciche, pneumatyczne westchnienie i drzwi się otworzyły.

W progu stał młody, rumiany, schludnie ubrany mężczyzna w okrągłych okularach w czarnej oprawce. Włosy też miał czarne, pełne loków i wysoko zaczesane. Wyglądał jak Juliusz Cezar.

- No proszę - rzucił z krzywym uśmiechem. - Stephen Metcalfe we własnej osobie. - Był Brytyjczykiem i mówił z wyraźnych akcentem z Yorkshire. - Odstawiony jak na bal u królowej. Co dla nas masz, staruszk?

Rozdział 2

Stephen Metcalfe - alias Daniel Eigen, alias Nicolas Mendoza, alias Eduardo Moretti, alias Robert Whelan - pchnął drzwi i sprawdził, czy zamknęły się hermetycznie. Opatrzone grubymi, gumowymi uszczelkami, były niemal całkowicie dźwiękoszczelne.

Podobnie jak pomieszczenie, do którego wszedł: do jego budowy i wyposażenia wykorzystano najnowsze zdobycze techniki i technologii. Miało podwójne ściany i tak naprawdę był to pokój w pokoju. Podłogę, sufit i ściany zewnętrzne wyłożono stalowymi płytami, pokrytymi od wewnątrz grubą warstwą gumy. Gumą i włóknem szklanym pokryto nawet przewody wentylacyjne, a gumową izolację, tę od wewnątrz, dodatkowo zabezpieczono ścianą z pomalowanych na stalowoszaro pustaków.

Jednakże nowa, lśniąca farba była prawie niewidoczna, ponieważ wzdłuż wszystkich ścian stały skomplikowane konsole. Nawet Metcalfe, który bywał tu co najmniej raz w tygodniu, nie wiedział, do czego służy połowa z tych urządzeń. Ale część sprzętu znał: krótkofalowe nadajniki radiowe Paraset i Mark XV, teleksy, telefony zaopatrzone w najnowocześniejsze urządzenia szyfrujące, szyfrarka 209, magnetofony na drucik.

Przy konsolach siedziało dwóch młodych mężczyzn ze słuchawkami na uszach. Pisali coś w notatnikach, a ich twarze tonęły w trupiej, zielonkawej poświacie bijącej z lamp katodowych. Obydwaj byli w rękawiczkach i obydwaj powoli kręcili gałkami, dostrajając częstotliwość nadawania i odbioru. Sygnały Morse'a, które skrzętnie odczytywali i zapisywali, były odbierane i wzmacniane przez anteny, które wyprowadzono aż na dach domu należącego do sympatyzującego z nimi i chętnie współpracującego Francuza.

Ilekczo bywał w Jaskini, jak nazywano tę tajną bazę - nikt już nie pamiętał, czy nazwa pochodziła od mieszczącego się na górze baru, czy nazwano ją tak dlatego, że jej wnętrze przypominało elektroniczną grootę - zgromadzony tu sprzęt zawsze robił na nim wielkie wrażenie. Przerzucono go do Francji w częściach, statkami i samolotami, a jego posiadanie było oczywiście surowo zakazane. Przed pluton egzekucyjny można było trafić już za posiadanie radia krótkofalowego.

Stephen Metcalfe należał do garstki paryskich agentów pracujących dla alianckiej sieci szpiegowskiej, o której istnieniu wiedziało ledwie kilku najpotężniejszych polityków w Waszyngtonie i Londynie. Kolegów po fachu spotkał jak dotąd niewielu. Właśnie w taki sposób działali. Sieć była rozczłonkowana i każde jej oczko funkcjonowało niezależnie od pozostałych: jedno nie wiedziało, co robi drugie. Wszystko dla bezpieczeństwa.

Tu, w Jaskini, trzech młodych radiotelegrafistów i szyfrantów inicjowało i monitorowało tajne kontakty radiowe z Londynem, Waszyngtonem oraz z rozległą, głęboko zakamuflowaną siecią tajnych agentów pracujących w Paryżu, w innych miastach okupowanej Francji i w całej Europie. Ludzie ci - dwóch Anglików i Amerykanin - należeli do najlepszych fachowców: wyszkolono ich w Royal Corps of Signals, Królewskim Korpusie Radiotelegraficznym w Thame Park pod Oksfordem i w Special Training School 52. Wykwalifikowani radiotelegraficiści byli prawdziwą rzadkością, a jeśli chodzi o wykształcenie, Wielka Brytania wyprzedzała Stany Zjednoczone o cztery długości.

Cicho grało radio; BBC. Amerykanin i Anglicy słuchali go uważnie, wyławiając sygnały zakodowane w osobliwej „korespondencji osobistej”, w wiadomościach dla bliskich za granicą, które nadawano przed wieczornym dziennikiem. Na małym składanym stoliku pośrodku pokoju stała porzucona szachownica. Wiezorami, gdy w eterze nie było tłoku i gdy mogli łatwiej nadawać i odbierać, mieli najwięcej pracy.

Ściany były pozawieszane mapami Europy, mapami wszystkich regionów Francji i szczegółowymi planami wszystkich dzielnic Paryża. Wisiały tam również mapy nawigacyjne, mapy topograficzne, harmonogramy ruchu towarowego w porcie w Marsylii, szczegółowe plany baz morskich. Ale pomieszczenie nie było też całkowicie pozbawione elementów osobistych: między mapami i planami wisiało wycięte z „Life'u” zdjęcie Rity Hayworth i wycięte z innego czasopisma zdjęcie opalającej się Betty Grabie.

Derek Compton-Jones, rumiany przystojniaczek, który go tu wpuścił, mocno uściśnął mu rękę.

- Cieszę się, że wróciłeś cały i zdrowy.

- Ciągłe to powtarzasz - odparł Metcalfe. - Jakbyś był rozczarowany.

- Kurde! - wyrzucił z siebie Compton-Jones. Robił wrażenie zażenowanego i oburzonego zarazem. - Nikt ci nie powiedział, że jest wojna?

- Wojna? - odrzekł Metcalfe. - Nie. Ale wiesz? Tak, rzeczywiście: na ulicach jest od groma mundurowych.

Jeden z tych, którzy siedzieli po drugiej stronie pokoju w słuchawkach na uszach, spojrzął na Dereka i ze znużeniem rzucił:

- Gdyby potrafił utrzymać go w spodniach, może zauważyłby, co dzieje się poza ścianami sypialni, gdzie spędza tyle czasu. - Ten arystokratyczny akcent i nosowy głos należał do Cyryla Langhorne'a, szyfranta i mistrza kryptografii.

- Właśnie, właśnie - dodał jego kolega, Johnny Betts z Pittsburgha, wspaniały radiotelegrafista.

- Ha! - mówił dalej Langhorne. - Ten facet nie przepuści niczemu, co chodzi w spodnicy. Co chodzi, a raczej leży.

Compton-Jones parsknął śmiechem i się zaczerwienił. Stephen roześmiał się serdecznie i odrzekł:

- Powinniście częściej wychodzić do miasta. Muszę was kiedyś zabrać do Sto Dwadzieścia Dwa. - Wszyscy wiedzieli, że mówi o słynnym burdelu przy Rue de Provence numer 122.

- Ja już się tam zadomowiłem - odparł Compton-Jones. - Mam stałą dziewczynę. - Puścił do nich oko. - Dziś do niej idę. Odbieram transport i idę.

- To tak rozumiesz „głęboką penetrację” Francji? - spytał Langhorne.

Compton-Jones zaczerwienił się jeszcze bardziej, a Metcalfe ryknął śmiechem. Lubił ich, zwłaszcza Dereka. Często nazywał ich bliźniakami, chociaż wcale nie byli do siebie podobni. Gdyby nie oni, gdyby nie to, co robili

szyfrowanie i przekazywanie informacji - siatka nie mogłaby po prostu istnieć. Ich praca była wyczerpująca i koszmarne stresująca i Metcalfe wiedział, że te wszystkie żarty, dowcipy, to nieustanne dogryzanie jest jednym z nielicznych sposobów rozładowania napięcia. Uważali go za swego osobistego Errola Flynna i zawsze patrzyli na niego z zazdrością i podziwem. Stephen spojrzął na radio i przekrzywił głowę.

- *In the Mood* - powiedział. - Stara, dobra amerykańska muzyka. Glen Miller. Na żywo z Cafe Rouge w Nowym Jorku.

- Oj, chyba nie, staruszkule - poprawił go Compton-Jones. - To Joe Loss Orchestra z Londynu. Słyszysz z tej melodyjki.

- To miło, że macie czas na słuchanie radia - powiedział Metcalfe. - Wy słuchacie, ale ktoś musi pracować, nie?

Sięgnął pod podszewkę marynarki i wyjął gruby plik dokumentów. Podniósł je do góry i uśmiechnął się z dumą.

- Kiepsko się w nich chodzi, ale wiecie, co to jest? Kompletne plany niemieckiej bazy okrętów podwodnych w Saint-Nazaire, łącznie z takimi szczegółami jak wymiary basenów portowych i schemat śluz.

- Kurczę - zachwycił się Compton-Jones. - Dobra robota. Langhorne też był pod wrażeniem, wbrew sobie.
 - Dała ci je ta twoja dupcia z gestapo?
 - Nie, sam je wziąłem: z prywatnego gabinetu hrabiego Maurice'a Leona Philippe'a du Chatelet.
 - Tego kutasa z Vichy?
 - Otóż to.
 - Gadasz! Jak się tam dostałeś?
- Metcalf skromnie pochylił głowę.
- Cyrylu - odparł z udawaną naganą w głosie. - Prawdziwy dżentelmen nie opowiada o swoich miłosnych podbojach.
 - O Chryste! Zerząłeś jego żonę! Stephen, czy ty nie masz ani odrobiny szacunku dla samego siebie? Przecież to stara kobyła!
 - Za to jej córeczka to młodziutka klacz. No, panowie, do roboty. Trzeba wysłać to kurierem, i to jak najszybciej, do Corky'ego w Nowym Jorku. Poza tym musicie zrobić z tego wyciąg i puścić go w eter do dalszych analiz.

Corky to oczywiście Alfred „Corky” Corcoran, jego szef. Genialny szpieg, który kierował prywatną siecią agentów. Do sieci tej należał między innymi on, Metcalf.

Prywatność sieci polegała na tym, że agenci odpowiadali wyłącznie przed Corcoranem, nie przed jakąś agencją czy komitetem rządowym. Dlaczego? Dlatego, że sieć tę założono na osobiste polecenie prezydenta Franklina Delana Roosevelta.

Dziwne były to czasy, zwłaszcza w Stanach. W Europie szalała wojna, ale Ameryka nie brała w niej udziału. Ameryka obserwowała i czekała. Nawoływania do utrzymania polityki izolacjonizmu były głośnie i wyraźne. Równie głośnie i wyraźne jak nawoływania tych, którzy z pasją domagali się pełnego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w wojnę, którzy chcieli zaatakować Hitlera i bronić swych europejskich przyjaciół, którzy twierdzili, że jeśli Amerykanie tego nie zrobią, wkrótce będzie za późno i cała Europa znajdzie się pod panowaniem hitlerowskich Niemiec. A wówczas Hitler będzie przerażającym przeciwnikiem.

Nie istniała jeszcze żadna zcentralizowana agencja wywiadowcza, tymczasem Roosevelt rozpaczliwie potrzebował informacji na temat prawdziwych planów Hitlera, na temat siły i liczebności jego wewnętrznych wrogów. Nie ufał wywiadowi wojskowemu, w którym pracowali sami amatorzy, i nie znosił Departamentu Stanu, gdzie dominowali zwolennicy polityki izolacjonizmu i gdzie roiło się od przecieków.

Dlatego pod koniec 1939 roku wezwał do siebie swego starego przyjaciela i kolegę z Harvardu. Podczas I wojny światowej Alfred Corcoran pracował w G-2, w wywiadzie wojskowym, a potem zdobył sławę w ściśle tajnym świątku MI-8, znanym jako Black Chamber, Czarna Komora, w stacjonującej w Nowym Jorku jednostce, która w latach dwudziestych złamała japońskie szyfry dyplomatyczne. Po zlikwidowaniu Czarnej Komory w dwudziestym dziewiątym odegrał kluczową rolę w zakulisowych rozgrywkach, które doprowadziły do rozwiązania serii kryzysów dyplomatycznych w latach trzydziestych, kryzysów szalejących od Mandżurii po Monachium.

Franklin Delano Roosevelt wiedział, że Corky jest najlepszy i co ważniejsze, wiedział też, że można mu zaufać.

Dzięki funduszom umiejętnie - i po kryjomu - wydzielanym z budżetu Białego Domu oraz dzięki pełnemu poparciu prezydenta Corky stworzył nową agencję, a jej bazę z rozmysłem założył z dala od rozplotkowanych korytarzy waszyngtońskiego Kapitolu. Kwatera główna jego prywatnej sieci wywiadowczej, którą nadzorował osobiście prezydent Stanów Zjednoczonych, znajdowała się we Flatiron Building, w słynnym nowojorskim Żelazku, gdzie działała pod przykrywką międzynarodowej firmy handlowej.

Corcoran dostał wolną rękę. Ponieważ mógł angażować najlepszych i najbłyskotliwszych, bez skrupułów ściągał do siebie młodych absolwentów uniwersytetów Ivy League, ludzi, którzy czuliby się dobrze w mocno przereklamowanych kręgach europejskiej socjety. Było wśród nich tak wielu z socjety amerykańskiej, że wtajemniczeni dowcipnicy zaczęli nazywać sieć Corcorana Socjetą i przydomek ów do niej przyłgnął. Jednym z najwcześniej zwerbowanych agentów był młody absolwent Yale - Stephen Metcalfe.

Jako syn niezwykle zamożnego przemysłowca i Rosjanki -jego matka pochodziła ze szlacheckiej rodziny, która wyjechała z Rosji jeszcze przed rewolucją- Stephen dużo podróżował i chodził do szkoły w Szwajcarii. Znał biegle niemiecki, rosyjski i hiszpański i mówił tymi językami bez cienia obcego akcentu; Metcalfe'owie prowadzili w Argentynie liczne interesy i od lat spędzali tam niemal całą zimę. Od lat też prowadzili handel z radzieckim rządem.

Od śmierci ojca, który zmarł przed czterema laty, ich rodzinnym imperium zarządzał Howard, jego brat, ten solidny i niezawodny. Bywało, że Stephen podróżował z nim w interesach, że pomagał mu na tyle, na ile mógł, ale za nic nie chciał wziąć na swoje barki odpowiedzialności związanej z prowadzeniem ogromnej firmy.

Stephen był nieustraszony, buntowniczy i uwielbiał się bawić - aż do przesady - i Corcoran uznał, że cechy te będą doskonale pasowały do jego nowej przykrywki. I tak oto Stephen Metcalfe został argentyńskim playboyem w Paryżu.

Derek Compton-Jones nerwowo odchrząknął.

- Kurier nie będzie potrzebny - mruknął.

Langhorne podniósł wzrok i szybko przeniósł go z powrotem na konsolę.

- Nie? - zdziwił się Metcalfe. - Znacie szybszy sposób dotarcia na Manhattan?

I wtedy otworzyły się tylne drzwi.

Czego jak czego, ale widoku tej twarzy zupełnie nie oczekiwał. Była to posępna, ściągnięta twarz Alfreda Corcorana.

Rozdział 3

Jak zwykle nienagannie ubrany, był w eleganckim, starannie zawiązanym krawacie i w ciemnoszarym garniturze, który podkreślał jego szczupłą sylwetkę. Jak zwykle też pachniał miętą - nałogowo jadał miętowe dropsy - i palił papierosa. Zakaszłał, sucho i gwałtownie.

Compton-Jones natychmiast wrócił do pracy i w pokoju zapadła cisza. Wesoły nastrój momentalnie prysnął.

- Jezu Chryste. Te francuskie papierosy są koszarne! W hydroplanie, gdzieś nad Nową Fundlandią, skończyły mi się chesterfieldy. Stephen, przymil się swoim szefom i załatw mi trochę amerykańskich, dobra? Ostatecznie masz być handlarzem, do cholery.

Metcalfe podszedł bliżej i uściśnął mu rękę. W lewej wciąż trzymał wykradzione dokumenty.

- Tak - wyjąkał. - Oczywiście... Ale... Ale co pan tu robi? - Corcoran nie znosił siedzieć za biurkiem. Bardzo często wyjeżdżał w teren. Ale podróż do okupowanego Paryża była trudna, skomplikowana, a już na pewno ryzykowna. Rzadko tu bywał. Musiał mieć dobry powód, żeby przyjechać akurat teraz.

- Co tu robisz? - powtórzył. - Powinienem raczej spytać, co ty tu robisz. - Odwrócił się, ruszył do pokoju, z którego przed chwilą wyszedł, i zaprosił go gestem do środka.

Stephen zamknął za sobą drzwi. Wyglądało na to, że stary chce porozmawiać na osobności. Był jakiś taki... spięty, zdenerwowany jak nigdy dotąd.

W pokoju stało mnóstwo przeróżnego sprzętu, w tym niemiecka maszyna do pisania, na której fałszowano przepustki i dowody osobiste. Była tam również mała prasa drukarska do fałszowania „łatwych” dokumentów, takich jak choćby pozwolenie na wyjazd z Paryża czy pozwolenie na pracę; dokumenty „trudne”, te bardziej skomplikowane, przygotowywano w Nowym Jorku albo w Londynie. Na stole stała kolekcja gumowych pieczętek, łącznie z pieczętką niemieckiej cenzury. W kącie, koło półki z mundurami, stało zavalone papierami dębowe biurko. Pod zieloną lampką biblioteczną rysował się krąg światła.

Corcoran opadł ciężko na fotel za biurkiem i kazał mu usiąść. Krzesel nie było, ale przy ścianie stała wojskowa prycza. Zdenerwowany Stephen usiadł na niej i położył dokumenty obok siebie.

Przez długą chwilę Corcoran przyglądał mu się w milczeniu. Miał wyblakłe, wodniste oczy i nosił okulary w cielistej rogowej oprawce.

- Bolesnie mnie rozczarowujesz, Stephen - zaczął cicho i łagodnie. - Ustawiłem cię tu olbrzymim nakładem jakże skąpych środków i co otrzymuję w zamian?

- Panie dyrektorze...

Ale Corcorana nie dało się już powstrzymać.

-Nasza cywilizacja ginie w żarłocznej paszczy Hitlera. Naziści podbili Norwegię, Danię, Holandię, Belgię, Luksemburg, a teraz Francję. Pod Dunkierką Anglicy uciekli przed nimi z podwiniętym ogonem. Jeszcze trochę i pod ich bombami legnie w gruzach Londyn. Facet będzie miał całą piaskownicę tylko dla siebie. Mój Boże, młodzieńcze, toż to koniec wolnego świata. A ty? A ty nic, tylko rozpinasz babom staniki! - Wyjął z kieszeni dropsy i wrzucił sobie jednego do ust.

Metcalfe chwycił dokumenty i machnął nimi przed nosem swego szefa i mentora.

- Panie dyrektorze, właśnie zdobyłem ściśle tajne plany strategicznej niemieckiej bazy morskiej na wybrzeżu Atlantyku, w Saint-Nazaire i...

- Tak, tak - przerwał mu niecierpliwie Corcoran, miażdżąc zębami dropsa. - Niemcy usprawnili śluzy zamykające wejście do basenów portowych. Już je widziałem.

- Co takiego?
- Nie tylko ty u mnie pracujesz, młodzieńcze.
- Stephen aż poczerwieniał - nie mógł ukryć oburzenia.
- Kto je dla pana zdobył? Chciałbym wiedzieć. Jeśli kilku agentów działa na tym samym terenie, mogą wejść sobie w drogę i wszystko szlag trafi. To za duże ryzyko.
- Corcoran powoli pokręcił głową.
- Dobrze wiesz, że nie wolno o to pytać. Jeden agent nie wie, co robi drugi: to nienaruszalne prawo.
- Nienaruszalne i absurdalne, panie dyrektorze.
- Absurdalne? Nie. Bardzo rozsądne. Wszechpotężna zasada maksymalnego rozczłonkowania. Każdy z was wie tylko to, co najniezbędniej-sze, i o wykonywanym zadaniu, i o kolegach, z którymi obecnie współpracuje. Gdybyśmy się tego nie trzymali, wystarczyłoby, żeby nieprzyjaciel schwytał jednego z was, jednego z was poddał torturom, i w gruzach ległaby cała sieć.
- Mamy cyjanek - zaprotestował Metcalfe.
- Tak, który skutkuje tylko wtedy, gdy spodziewasz się wpadki. Ale co będzie, jeśli zgarną cię nagle, zniemacka? Opowiem ci coś. Tydzień temu gestapo aresztowało jednego z moich ludzi, człowieka, którego zdołałem umieścić na ważnej placówce w Compagnie Française des Petroles. Tydzień temu: od tamtej pory nie mam od niego żadnej wiadomości. On wie o istnieniu tego ośrodka. - Corky zatoczył ręką łuk. - Co będzie, jeśli zacnie sypać? Co będzie, jeśli go obróca? Oto, jakie pytania nie dają mi spać.
- Zamilkł i w pokoju zapadła cisza.
- Po co pan przyjechał, panie dyrektorze? - spytał w końcu Stephen.
- Corky zagryzł dolną wargę.
- Twój kryptonim, Stephen. Romeo, tak?
- Metcalfe przewrócił oczami i z zażenowaniem pokręcił głową.
- Twój brak pohamowania w stosunku do kobiet często doprowadza mnie do rozpacz.
- Corcoran oschle zachichotał, nie przestając gryźć dropsa. - Ale nie przeczę: od czasu do czasu ten szlak złamanych niewieścich serc może nas gdzieś zaprowadzić.
- Nie bardzo rozumiem...
- Chodzi mi o kobietę, z którą miałeś kiedyś romans.
- Metcalfe szybko zamrugał. Miał romans z wieloma kobietami i nie chciało mu się zgadywać.
- Owa kobieta, twoja dawna flama, prowadzi się teraz z niemieckim oficerem.
- Wciąż nie wiem, o kim pan mówi.
- Cóż, nic dziwnego. To było sześć lat temu. W Moskwie.
- Lana! - wyszeptał Stephen.

Gwałtownie drgnął, jakby poraził go prąd. Wystarczyło, że usłyszał jej imię, imię, którego nie spodziewał się już nigdy usłyszeć, i stanęła mu przed oczami jak żywa.

Lana - Swietłana Baranowa - była niezwykle kobietą, niemożliwie piękną, pociągającą i namiętną. Była też jego pierwszą wielką miłością.

W 1934 roku, gdy przyjechał do Rosji jako młody absolwent Yale, Moskwa była miastem posępnym, zastraszonym i tajemniczym. Jego rodzina prowadziła z Sowietami interesy: w latach dwudziestych Metcalfe'owie założyli tam sześć firm, spółek z kapitałem amerykańsko-radzieckim, takich jak fabryka ołówków w Nowogrodzie czy przedsiębiorstwo poszukiwań złóż ropy naftowej w Gruzji. Ilekroć dochodziło do nieporozumień czy zgrzytów, co w sowieckiej biurokracji było nieuniknione, Metcalfe senior wysyłał na negocjacje swoich synów. Podczas gdy jego solidny starszy brat Howard siedział na bezproduktywnych, ciągną-

cych się w nieskończoność rozmowach, zafascynowany Moskwą Stephen zwiedzał, zwiedzał i zwiedzał. Najbardziej spodobał mu się teatr Bolszoi, jego szeroka kolumnada uwieczniona miedzianą rzeźbą Apolla w rydwanie.

To właśnie tam, w tym wielkim dziewiętnastowiecznym gmachu, urzekła go piękna młoda balerina. Na scenie płynęła, szybowała, żeglowała w powietrzu, tym zwiewniejsza i bardziej eteryczna, że miała porcelanowobiałą cerę, ciemne oczy i aksamitnie czarne włosy. Wieczór w wieczór obserwował jej lekkie, zadziwiająco płynne ruchy, gdy tańczyła w *Czerwonym maku*, *Jeziorko łabędzim* i w *Borysie Godunowie*. Ale najbardziej wryła mu się w pamięć jej główna rola w *Tristanie i Izoldzie* w choreografii Igora Moisiejewa.

Gdy w końcu udało mu się z nią spotkać, młoda Rosjanka zdawała się oczarowana atencją bogatego Amerykanina. Ale nie miała pojęcia - niby jakim cudem miała je mieć, skoro udawał przed nią wyrafinowanego światowca - jak bardzo oczarowany jest nią ów młody Amerykanin. Kilka miesięcy później, załatwiwszy wszystkie interesy, Metcalfe'owie wyjechali z Moskwy. Nigdy nie przypuszczał, że rozstanie ze Świetlaną będzie aż tak bolesne. Całą drogę nocnym pociągami do Leningradu przesiedział z ponurą miną. Jego brat w najlepsze spał, a gdy na godzinę przed końcem podróży obudziła ich babina z herbatą, zaczął żartować i bezlitośnie się z niego nabijać.

- Co ty, daj spokój - mówił. - Na miłość boską, przecież to zwykła baletnica. Świat jest pełen pięknych kobiet, sam zobaczysz.

Stephen gapił się apatycznie w okno, za którym śmigły drzewa.

- Chyba nie traktowałeś jej poważnie. Nie chcę nawet myśleć, co powiedziała by ojciec, gdyby odkrył, że umawiałeś się z baletnicą. Chryste, to niewiele lepsze od aktorki!

Stephen mruknął coś, wciąż gapiąc się w okno.

- Ale owszem - dodał Howard. - Muszę przyznać, że apetyczna była z niej osobka.

- Świetłana Baranowa jest teraz primabaleriną - mówił Alfred Corcoran. - Nadal pracuje w teatrze Bolszoi. Od kilku miesięcy jest kochanką wysokiego urzędnika niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Moskwie.

Metcalfe potrzęsnał głową, jakby nagle go zamroczyło.

- Lana? - powtórzył. - Z hitlerowcem?

- Na to wygląda - odrzekł Corcoran.

- Skąd pan wiedział, że... że miałem z nią romans?

- Na pewno pamiętasz, że zanim zostałeś agentem, kazałem ci wypełniać długie, nudne, pięćdziesięciostronicowe formularze, w których musiałeś wymienić nazwiska wszystkich znanych przebywających za granicą: przyjaciół, członków rodziny, krewnych, wszystkich. Wymieniłeś nazwiska krewnych w Buenos Aires, szkolnych kolegów w Lucernie, przyjaciół w Londynie i w Hiszpanii. Ale nie wspomniałeś o nikim z Moskwy, chociaż wymieniłeś Moskwę wśród miast, które odwiedziłeś. Przy cisnąłem cię, pamiętasz? Spędziłeś tam kilka miesięcy i nikogo nie poznałeś? Niemożliwe. Dopiero wtedy okazało się, że ty i ona...

- Zapomniałem.

- Jak dobrze wiesz, nasz nowojorski personel jest dość skąpy, lecz sumienny i dokładny. Doskonale kojarzy fakty i nazwiska. Gdy na biurko jednego z moich analityków trafił meldunek na temat Rudolfa von Schusslera, attache niemieckiej ambasady w Moskwie, i pogłoski, że człowiek ten może nie należeć do najzagorzalszych zwolenników Hitlera, analityków, a dokładniej mówiąc, analityczka, natychmiast dodała dwa do dwóch. Prześwietliliśmy tego von Schusslera i gdy okazało się, że jego kochanką jest niejaka Świetłana Baranowa, baletnica z teatru Bolszoi, analityczka przypomniała sobie twoje nazwisko.

- Lana kochanką niemieckiego dyplomaty? - powtórzył w zamyśleniu Stephen, mówiąc głównie do siebie.

- Od zeszłego roku, kiedy Hitler i Stalin podpisali pakt o nieagresji, niemieccy dyplomaci utrzymują częste kontakty towarzyskie z kręgiem uprzywilejowanych Rosjan. W ichnim MSZ-ecie pracuje dużo arystokratów, przedstawicielei starej magnaterii - musisz wiedzieć, że nie tylko my mamy tak zwaną socjetę - a ludzie ci są o wiele mniej dyskretni w wyrażaniu niechęci do Hitlera i jego wściekłych nazistów. Założyliśmy, że von Schussler należy do potajemnych przeciwników Fuhrera. Ale czy to prawda? Jeśli nawet prawda, do jakiego stopnia jest mu przeciwny? Czy nienawidzi go tak bardzo, że byłby skłonny nam pomóc? I właśnie tego musisz się dowiedzieć.

Metcalfę kiwnął głową, czując, jak ogarnia go podniecenie. Znowu do Moskwy! Do Lany!

- Zrobisz tak - kontynuował Corcoran. - Dostać się do Rosji jest diabelnie trudno. Nigdy nie było łatwo, ale teraz to prawdziwy koszmar. Pewnie zdołalibyśmy przetrząsnąć tam agenta pod jakąś przykrywką, ale to piekielnie ryzykowne. Ryzykowne i w tym przypadku zupełnie niepotrzebne. Pojedziesz tam bez przykrywki. Zwyczajnie i po prostu, jako Stephen Metcalfe. Masz ku temu doskonały powód. Twoja rodzina prowadzi tam kilka spółek, a ty musisz sfinalizować pewną transakcję.

- Transakcję?

- Och, na pewno coś wymyślisz. Dopracujesz szczegóły z bratem. Wszystko wam ułatwimy. Wierz mi, jeśli Rosjanie zwietrzą kolejny zastrzyk twardej waluty, chętnie się z wami spotkają. Nawet teraz, w czasach, gdy „Prawda” codziennie obrzuca nas błotem.

- Mamy ich przekupić? Dać łapówkę?

- Przekupić, dać łapówkę, wszystko jedno co. Nieważne. Ważne jest to, żebyś miał wiarygodny powód do wyjazdu, żeby dali ci wizę. Gdy już będziesz w Moskwie, na przyjęciu w ambasadzie amerykańskiej „przypadkowo” wpadniesz na swoją dawną kochankę. Po prostu odnowisz starą znajomość, nie będzie w tym nic dziwnego.

- I?

- Szczegóły pozostawiam tobie. Kto wie, może znowu... mały romans?

- To już przeszłość.

- O ile cię znam, na pewno rozstałeś się z nią jak na dżentelmena przystało. Twoje wszystkie byłe flamy spoglądają na ciebie z sympatią, uczuciem i mgiełką rozrzewnienia w oku. Nie mam pojęcia, jak ty to robisz.

- Ale po co?

- Bo to piekielnie rzadka okazja. Będziesz mógł porozmawiać z ważnym niemieckim dyplomatą, który ma bezpośrednie doświadczenie do samego Ribbentropa, a tym samym do Hitlera. Porozmawiać z nim prywatnie, nieoficjalnie, poza ścianami ministerstwa.

- Porozmawiam z nim i co?

- I go ocenisz. Zweryfikujesz meldunki, że potajemnie sympatyzuje z przeciwnikami Hitlera.

- Jeśli otrzymujecie takie meldunki, chyba nie robi z tego aż takiej tajemnicy.

- Nasi dyplomaci potrafią odczytywać niuanse. Donoszą nam o wszelkiego rodzaju subtelnościach, niedomówieniach, podtekstach, które wychwytyją w żartach i dowcipach. Ale to nie to samo co rozmowa na prywatnym gruncie, bezpośrednia ocena dokonana przez wyszkolonego agenta wywiadu. Jeżeli von Schussler naprawdę jest taki, jak myślimy, jeżeli szaleństwo Hitlera naprawdę go mierzi, być może uda się nam zdobyć bezcenny kontakt.

- Mam go zwerbować? O to chodzi?

- Krok po kroku, Stephen, krok po kroku. Najpierw pójdziesz do radzieckiego konsulatu przy Boulevard Lannes i złożysz wniosek wizowy: na swoje nazwisko. Nawet zważywszy wasz uprzywilejowany status, Rosjanie będą załatwiać to co najmniej kilka dni, niewykluczone, że cały tydzień. Tymczasem zwiniesz swój paryski interes, ale broń Boże nie pal za sobą mostów. Jutro spotkasz się z moim współpracownikiem. To bardzo zmyślny typ. Zaopatrzy

cię w sprzęt, który przyda ci się w Moskwie.

Metcalfę kiwnął głową. Myśl o wyjeździe do Rosji bardzo go ekscytowała, ale wyjazd był niczym w porównaniu z perspektywą ponownego spotkania ze Swietłaną Baranową - tym bardziej że chodziło o tak ważną sprawę.

Corcoran wstał.

- Idź już. Nie ma czasu do stracenia. Każdego dnia hitlerowcy odnoszą kolejne zwycięstwo. Podbijają kolejny kraj. Bombardują kolejne miasto. Rosną w siłę, są coraz bardziej pazerni, tymczasem my siedzimy za linią boczną boiska i tylko się im przyglądamy. Brakuje nam wielu rzeczy: cukru, butów, benzyny, gumy i amunicji. Ale najbardziej brakuje nam czasu.

Rozdział 4

Skrzypek grał swój ulubiony utwór, *Sonata Kreutzerowską*, lecz nie sprawiało mu to żadnej przyjemności. Po pierwsze dlatego, że pianistka, żona oficera SS, była po prostu straszna. Brzydka, niechlujna i bez talentu: grała jak podłotek na szkolnym recitalu. Pianistka? Raczej kowal. Waliła w klawisze jak młotem, bez żadnego wyczucia dynamiki, i w wielu ważnych, niezmiernie subtelnych fragmentach utworu całkowicie go zagłuszała. Poza tym ilekroć brała akord, jej lewa ręka o ułamek sekundy wyprzedzała prawą, co koszmarnie go irytowało i burzyło harmonię całości. Jej pierwsze wejście, dynamiczne allegro, było co najwyżej poprawne. Ale już w trzecim, w andante cantabile pełnym rytmicznych, wirtuozowskich ozdobników, ta stara prukwa wykazała całkowity brak wyczucia i wrażliwości.

Z drugiej strony sonata była utworem bardzo złożonym i trudnym nawet dla takiego mistrza jak on. Gdy Beethoven wysłał manuskrypt do wielkiego paryskiego skrzypka Rodolphe'a Kreutzera, któremu ją zadedykował, ten oświadczył, że jest za trudna, że nie da się jej zagrać i ani razu nie wykonał jej publicznie.

Poza tym ta akustyka. Coś potwornego. Występowali w domu jego bezpośredniego zwierzchnika, Standartenfuhrera H.J. Kieffera, szefa kontrwywiadu Sicherheitsdienst, wywiadu politycznego NSDAP. Salon był wyłożony dywanami, poobwieszany gobelinami, ciężkimi draperiami i dźwięk po prostu tu umierał. A pianino, bardzo dobry bechstein, było straszliwie rozstrojone.

Kleist nie wiedział, dlaczego zgodził się tu zagrać.

Ostatecznie miał mnóstwo zajęć, a skrzypce były tylko jego hobby.

W nozdrza uderzył go nagle jakiś zapach. Pomarańcza, mięta, rozmaryn i piżmo w nucie głowy: 4711, niemiecka woda kolońska wytwarzana przez firmę kosmetyczną Muelhensa.

Nie musiał nawet podnosić wzroku - wiedział, że do salonu wszedł Muller. Muller, jego wtyczka w Sicherheitsdienst, należał do niewielu członków SD, którzy używali wody po goleniu. Większość uważała, że to niemiecki zwyczaj.

Nie przyszedł ani na kolację, ani na koncert, więc na pewno zatrzymało go coś pilnego. Kleist postanowił opuścić powtórkę, przyspieszyć w końcówce i wreszcie mieć to z głowy. Czekala go praca.

Brawa były serdeczne, entuzjastyczne i głośnie, zważywszy, że w salonie zasiadało nie więcej jak dwadzieścia pięć osób, samych SD-ków z żonami lub kochankami. Kleist ukłonił się i spieszenie przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie czekał już Muller.

-Mamy przełom.

Kleist - w jednej ręce wciąż trzymał skrzypce, w drugiej smyczek -kiwnął głową.

- Stacja.

- Tak. O północy był zrzut. Oczywiście RAF, w Touraine. Kilka pojemników sprzętu radiowego. Nasz informator podał nam namiary. Ten człowiek nigdy się nie myli - dodał z dumą Muller. - Twierdzi, że zrzut doprowadzi nas do *reseau*. - *Reseau*, czyli gniazdo: tak nazywali sieć szpiegowską.

- Sprzęt przewieziono do Paryża? - spytał Kleist. Ktoś się za nim kręcił, najpewniej kolejna wielbicielka jego talentu, która chciała pogratulować mu występu. Tak, jakaś kobieta. Krótko skinął jej głową i odwrócił się do Mullera. Kobieta odeszła.

- Do mieszkania przy Rue Mazagran koło Porte Saint-Denis. - I tam jest ta stacja? Przy Rue Mazagran?

Muller pokręcił głową.

- Nie, to tylko punkt przerzutowy. Mieszkanie należy do starej prostytutki, zużytej

dziwki.

- No, a sprzęt?

Muller uśmiechnął się lekko.

- Został odebrany przez agenta. Naszym zdaniem jest nim Anglik mieszkający w Paryżu pod przykrywką.

- No i? - ponaglił go niecierpliwie Kleist.

- Zgubiliśmy go.

- Co takiego? - Zdegustowany skrzypek tylko westchnął. Ci z SD słynęli z niekompetencji. - Ta prostytutka. Mam z nią porozmawiać?

- I to jak najszybciej - odrzekł Muller. - Ładnie pan dzisiaj grał. To był Bach?

Prostytutka uprawiała swój zawód pod łukiem na końcu Rue du Faubourg Saint-Denis, który zbudowano w XVII wieku dla upamiętnienia zwycięstw Ludwika XIV we Flandrii i Nadrenii. Było ich tam aż pięć. Rozmawiały i plotkowały, demonstrując swe wdzięki mężczyznom, którzy szli spiesznie chodnikiem, żeby zdążyć do domu przed godziną policyjną. No i która to? - pomyślał Kleist.

Gdy mijał je powoli w nienagannie skrojonym mundurze, stwierdził, że trzy z nich są stanowczo za młode, żeby uchodzić za „starą, zużytą dziwkę”, z której mieszkania odebrano sprzętu zrzucony przez RAF w Touraine.

Według Mullera, prostytutka miała koło czterdziestu lat i syna, dwudziestoczworoletniego bękarta, aktywnego członka podziemnego ruchu oporu. Dlatego jej mieszkanie często służyło jako punkt przerzutowy dla dostarczanego przez Anglików sprzętu. Tylko dwie prostytutki pod łukiem wyglądały na takie, które mogły mieć dwudziestoczworoletnie dziecko.

Zafalowały mu nozdrza. Natychmiast poczuł charakterystyczny odór paryskich dziwek: zapach tanich papierosów i tanich perfum, których używały do maskowania fetoru dawno niemytego ciała. I ten odór kobiecych wydzielin, zmieszany z odorem niedokładnie wypłukanych wydzielin męskich. Co za ohyda.

Celowo włożył mundur i wszystkie go zauważyły. Kilka odwróciło się z lubieżnym uśmiechem na ustach i pozdrowiło go okropną niemczyzną. Zignorowały go tylko dwie, te starsze, co zupełnie go nie zaskoczyło: starsze nienawidziły niemieckich okupantów bardziej niż młode, to oczywiste. Przystanął, uśmiechnął się, skrzywił w ich stronę, podszedł bliżej i...

Wyczuł strach. To, że jedynie zwierzęta potrafią wyczuć w ludziach strach, to tylko mit - dowiedział się tego, gdy po amatorsku studiował biologię. Gwałtowne emocje, zwłaszcza przerażenie, stymulują gruczoły apokrynowe pod pachami i w pachwinach. Ich wydzielina przedostaje się na skórę głowy przez mieszki włosowe. Ma silny zapach, piżmowy i łatwy do rozpoznania.

Tak, wyraźnie czuł, że ta kobieta się boi.

Niemcy wzbudzali w niej nie tylko nienawiść, ale i lęk. Rozpoznała mundur oficera służby bezpieczeństwa i zatrwożona pomyślała, że wpadła, że SD dowiedziało się o jej roli w ruchu oporu.

- Ty. - Kleist wskazał ją palcem.

Odrzuciła się, unikając jego wzroku, czym jedynie potwierdziła to, co już wiedział.

- Pan oficer woli ciebie, Jacqueline - drażniła się z nią jedna z młodszych prostytutek.

Jacqueline niechętnie odwróciła głowę. Była farbowaną blondynką i miała fatalnie zrobione włosy. Utleniła je perhydrolem, i to dość dawno temu.

- Och, takiego przystojnego żołnierza stać na lepszą niż ja - odrzekła z udawaną frywolnością. Miała chrapliwy, przepalony głos. W jego drzeniu Kleist słyszał gwałtowne bicie serca.

- Wolę dojrzałe kobiety - odrzekł. - Kobiety bywałe. Takie, które znają się na rzeczy.

Prostytutki nerwowo zachichotały.
 Wyrażnie się ociągając, blondynka podeszła bliżej.
 - Gdzie pójdziemy? - spytała.
 - Nie mam mieszkania. Stacjonuję poza Paryżem. Jacqueline wzruszyła ramionami i ruszyła przodem.
 - Tu niedaleko jest taki zaułek...
 - Nie. Do tego, na co mam ochotę, zaułek nie wystarczy.
 - Ale jeśli nie ma pan lokalu...
 - Potrzebne nam łóżko i trochę prywatności. - To, że tak bardzo nie chciała zabrać go do siebie, graniczyło z komizmem. Bawił się z nią jak kot z myszką i bardzo go to śmieszyło.
 - Przecież musi pani gdzieś mieszkać. Obiecuję, że dobrze zapłacę.
 Kamienica przy Rue Mazagran była zapuszczona i wymagała natychmiastowego remontu. W milczeniu weszli na drugie piętro. Wyrażnie zdenerwowana Jacqueline długo szukała klucza w torebce. W końcu wpuściła go do mieszkania. Było zaskakująco duże, lecz skąpo umeblowane. Zaprowadziła go do sypialni i wskazała drzwi do łazienki.
 - Jeśli chce pan skorzystać z *la salle de bain*, to tam.
 Łóżko było duże, materac nierówny. Na łóżku leżała czerwona, przetarta kapa. Kleist usiadł, ona usiadła obok niego. Zaczęła rozpinąć mu mundur.
 - Nie - powiedział. - Najpierw pani.
 Jacqueline wstała, weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Kleist wyteżył słuch. Otworzy szufladę? Wyjmie broń? Nie. Słyszał tylko szum lejącej się z kranu wody. Kilka minut później wyszła w turkusowym szlafroku, który na chwilę rozchyliła, pokazując mu kawałek nagiego ciała. Jak na kobietę w jej wieku, miała zaskakująco jędrne piersi.
 - Szlafrok.
 Wahala się tylko kilka sekund, po czym zrzuciła go na podłogę, wyniośle demonstrując swoją nagość. Podeszła bliżej, bardzo blisko, i ponownie zaczęła rozpinąć mu mundur.
 - Niech się pani położy - rozkazał Kleist.
 Posłuchała go i z wystudiowanym wdziękiem legła na łóżku.
 - Co za skromniś - powiedziała. - Woli pan w ubraniu?
 - Tak - odrzekł nieśmiało Kleist. - Wolę najpierw porozmawiać. Co pani na to, hm?
 Jacqueline zmarszczyła czoło.
 - Chce pan, żebym trochę poświntuszyła? O to chodzi?
 - Na pewno mogłaby mnie pani dużo nauczyć. - Poczł zapach grubego, mokrego płótna, zanim zdążył zauważyć róg worka wystający spod łóżka. Używano go do przewozu sprzętu, pomyślał. Tak, na pewno. Dlatego jest jeszcze mokry. Może akurat padało. - Ach, ten czysty, wiejski zapach...
 - Słucham?
 Kleist sięgnął pod łóżko i wyjął starannie złożony worek.
 - Zapach żywej ziemi znad Loary. Glina, krzemień, wapień... Touraine, prawda?
 Przez jej twarz przemknął wyraz przerażenia, ale szybko zamaskowała go obojętnym wzruszeniem ramion. Położyła mu rękę na kroczu.
 - Niemieccy żołnierze są tak hojnie obdarzeni - wymruczała. - Bardzo mnie to podnieca...
 Ale członek Kleista nie zareagował, choć wytrwale ugniatała go i ścisnęła. Niemiec oderwał jej rękę od spodni.
 - A propos darów. Tamtejsze pola znakomicie nadają się do ich odbierania, prawda?
 - Jakie pola? O czym pan mówi? O Touraine? Nigdy w życiu tam nie byłam...
 - Pani może nie, ale Rene, pani syn, był tam na pewno.
 Wyglądała tak, jakby chlasnął ją na odlew w twarz. Zaczerwieniła się.
 - Nie wiem, o czym pan mówi - powtórzyła. - Czego pan ode mnie chce?

- Informacji. Jak już wspomniałem, jest pani kobietą zorientowaną, znającą się na rzeczy. Chcę, żeby zdradziła mi pani pewne nazwisko.

Jacqueline usiadła i założyła ręce na nagich piersiach. -Niech pan już idzie. Proszę. Pan się myli. Ja tylko pracuję, ja nic nie wiem.

- A ja myślę, że próbuje pani osłonić swego jedyne go syna – odrzekł łagodnie Kleist. - Ale tak naprawdę, robi mu pani wielką krzywdę. Jemu, jego żonie, ich dwuletniemu synkowi, swojemu wnukowi. Bo jeśli nie odpowie mi pani na pytanie, przed świtem wszyscy oni zginą, zostaną rozstrzelani. To mogę pani zagwarantować.

- Czego ty ode mnie chcesz? - krzyknęła Jacqueline.

- Nazwiska. Nazwiska Anglika, który odebrał sprzęt. Chcę też wiedzieć, jak się z nim kontaktujecie.

- Ja nic nie wiem! Ja tylko udostępniam im mieszkanie!

Kleist pozwolił sobie na leciutki uśmiech. Pękła, i to jak szybko!

- Stoi pani przed bardzo prostym wyborem, Mademoiselle. Interesy Rene mnie nie obchodzą. Obchodzi mnie jedynie ten Anglik. Poda mi pani jego namiary i uratuje pani swego syna i wnuka. W przeciwnym razie zginą, najdalej za godzinę. Zatem proszę, niech pani wybiera.

Powiedziała mu wszystko. Przerazona wyrzuciła to z siebie w gorączkowym pośpiechu.

- Dziękuję - rzekł Kleist.

- A teraz wynoś się stąd, *Boche!* - syknęła z pogardą. - Wynoś się, ty brudny faszysto!

Ta smutna próba odzyskania choćby odrobiny godności osobistej bynajmniej go nie poruszyła. Ostatecznie wszystko wyśpiewała. Nie, tym się nie przejmował. Niepokoili go natomiast świadomość, że opowie synowi o odwiedzinach oficera SD. Wiadomość ta mogła dotrzeć do Anglika, zanim zdążą go zgarnąć, a wtedy byłoby bardzo niedobrze.

Nachylił się, pogłaskał ją po piersiach i po ramionach.

- Nie powinna pani tak mówić, Mademoiselle - szepnął. - Nie jesteśmy tacy źli.

Zesztywniała pod jego dotykiem, odwróciła głowę. Nie widziała, jak sięga do kieszeni, jak wyjmuje katgutową strunę, jak robi z niej garotę. Jednakże czując na szyi bolesny ucisk, próbowała krzyknąć, lecz z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Kilka sekund później sośnowy zapach smyczkowej kalafonii zmieszał się z kloacznym smrodem. Jego nieprawdopodobnie wrażliwy węch był prawdziwym przekleństwem. Gdy Jacqueline znieruchomiała, schował strunę do kieszeni.

Żeby zabić nieznośny fetor, dokładnie umył ręce, a potem spokojnie wyszedł z mieszkania.

Rozdział 5

Tak jak z uporem powtarzał Corcoran, nie było czasu do stracenia. Musiał załatwić rosyjską wizę. Mógł to zrobić w Paryżu, w radzieckim konsulacie przy Boulevard Lannes. Niemieccy okupanci byli teraz współnikami Rosjan i wiedział, że Moskwa na pewno chętnie mu ją przyzna. Co więcej, jego rodzina wciąż prowadziła interesy z sowieckim rządem, dlatego Kreml potraktuje go jak ważną osobistość. Nie, wizę dostanie bez problemu, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Trzeba się tylko skontaktować z bratem. Ponieważ majątkiem rodziny zarządzał teraz Howard, to właśnie on musiał dogadać się z Rosjanami i przygotować grunt pod wizytę w Moskwie. Howard będzie zaskoczony, to pewne jak amen w pacierzu. Wiedział, że Stephen pracuje w tajnej agencji rządowej, ale ze względów bezpieczeństwa nie powiedziano mu nic więcej.

Zanim wyszedł z Jaskini, w barze zdążyło już ucichnąć. Przy ladzie pozostało ledwie kilku gości, przygaszonych, mocno już otepiałych pijaczków, którzy siedząc samotnie przy ladzie, powoli upijali się w trupa. Zauważył go jedynie Pasquale, barman. Stał pochylony nad liczydłem i stertą rachunków, podsumowując wieczorny utarg. Gdy usłyszał kroki, oderwał wzrok od papierów, puścił do niego oko i przytknął do ust dwa palce, jakby palił papierosa. Metcalfe kiwnął głową. Pasquale nie zapomniał o gitane'ach, a on bez słowa dał mu do zrozumienia, że też o nich pamięta. Poklepał go po ramieniu, otworzył drzwi i wyszedł na ulicę.

Zerknął na zegarek: kilka minut po pierwszej w nocy.

O tej porze ulice Paryża były opustoszałe. Padał z nóg ze zmęczenia i przydałoby mu się trochę snu, ale spotkanie z Corcoranem pobudziło go do działania i dało mu potężny zastrzyk adrenaliny. Tak, powinien odpocząć, lecz w tym stanie nie zmrzyłby oka.

Było późno, ale czy aby na pewno za późno? Znał pewną kobietę, niezwykle cenną informatorkę. Była szyfrantką i nocnym Markiem. Lubiła przesiadywać do drugiej, do trzeciej nad ranem, chociaż o dziewiątej musiała być już w pracy.

Przyjmie go bez względu na porę nocy i dnia - czyż mu tego nie mówiła? Mówiła, i to aż za często. Cóż, wypadałoby sprawdzić, czy to prawda.

Flora Spinasse była kobietą zwyczajną, lecz bardzo kochaną: nieśmiała i powściągliwa, szybko się otwierała, jeszcze szybciej stawała się swawolna, a potem namiętna. Nie dalej jak przed pięcioma miesiącami, a więc przed okupacją, była szyfrantką w Direction Generale de la Surete Nationale, we francuskim biurze bezpieczeństwa narodowego. Po wejściu Niemców gestapo przejęło Surete i siedziba biura przy Rue des Saussaies 11, tuż za rogiem Palais de l'Elysee, stała się siedzibą gestapo. Po gruntownej czystce - hitlerowcy wyrzucili z pracy wszystkich tych, których uznali za niewiarygodnych i niepewnych - *la Gestapo* zatrzymało tylu Francuzów, ile się tylko dało, ponieważ brakowało im urzędników ze znajomością języka. W pracy utrzymała się większość sekretarek i archiwistek. Francuzki nie lubiły swoich nowych szefów, ale te, które pozostały, były na tyle mądre, żeby trzymać język za zębami.

Ale wszystkie miały swoje życie osobiste, miały rodzinę, a Flora Spinasse przeżyła w dodatku małą tragedię. Tuż po wejściu hitlerowców zmarła jej ukochana babcia. Leżała wtedy w szpitalu: pielęgniarki chciały jak najszybciej uciec z Paryża, a niektórzy pacjenci byli zbyt chorzy, żeby ich przenieść. I właśnie tych pacjentów - łącznie z ukochaną *grandmere* Flory - Niemcy zabili zastrzykiem trucizny. Flora przeżywała to w milczeniu, lecz ani na chwilę nie przestał trawić jej gniew, wściekłość za to, co zrobili całemu miastu i jej babci.

Stephen wiedział o tym na długo przed tym, gdy „przypadkowo” poznał ją w Parc Monceau; agenci Corky'ego jak zwykle odrobili lekcje, porównując szpitalne akta z listą pracow-

ników zatrudnionych w najbardziej strategicznych urzędach Paryża. To, że bogaty i przystojny Argentyńczyk darzy ją tak wielką atencją, schlebiało jej i wprawiało ją w zażenowanie, lecz już wkrótce zaczęli żartować i naśmiewać się z głupich, świeżo malowanych tabliczek, które Niemcy porozstawiali po całym parku: *RASEN NICHT TRETEN* - nie deptać trawników. Przed okupacją można było przyjść tu na piknik i rozłożyć się dosłownie wszędzie. A teraz? To takie... niemieckie!

Wprowadzona przez hitlerowców godzina policyjna zaczynała się o północy, dlatego zamiast spacerować, każdy zdrowy na umyśle paryżanin siedział o tej porze w domu, swoim lub znajomych. Pogwałcenie zarządzenia mogło skończyć się aresztem. Tym, których złapano po godzinie policyjnej, Niemcy kazali czyścić oficerskie buty albo obierać kartofle w wojskowej kuchni.

Flora mieszkała daleko, bo aż przy Rue de la Boetie, a on zostawił samochód - jeździł starym, potężnym hispano-suiza - pod swoim domem przy Rue de Rivoli. Ale to wszystko jedno, gdyby pojechał na przyjęcie samochodem, musiałby zostawić go w pobliżu alei Focha. Usłyszał przytłumiony ryk silnika. Ulicą przemknął czarny citroen: gestapo, na sto procent. Ale siedzący w nim hitlerowcy byli zbyt zajęci, żeby zatrzymywać się i nagabywać samotnego przechodnia, który o tej porze powinien już siedzieć w domu.

Ochłodziło się, wiał porywisty wiatr. Stephenowi zaczynały marznąć ręce i uszy. Żałował, że wychodząc z przyjęcia, nie zabrał płaszcza, ale przecież zabrać go nie mógł.

Chwilę później ulicą przejechała czarna maria, policyjna więźniarka; Francuzi nazywali ją *panier a salade*, koszykiem na sałatę. Metcalfe poczuł, że ogarnia go paranoja i musiał powtórzyć sobie w myśli, że większość jeżdżących tak późno pojazdów to pojazdy niemieckie. Zobaczył budkę telefoniczną i przeszedł na drugą stronę ulicy. Na przeszklonych drzwiach budki wisiała tabliczka z napisem: *ACCES INTERDIT AUX JUIFS* - Żydom wstęp wzbroniony. I wtedy usłyszał krzyk i szybkie kroki.

- Hej! Ty! *Arret!*

Nie zwalniając, Metcalfe obojętnie spojrział w lewo. Biegł ku niemu *flic*, francuski policjant.

- Hej! Ty! Dokumenty! - Miał najwyżej dwadzieścia lat i chyba się jeszcze nie golił.

Stephen wzruszył ramionami, uśmiechnął się i podał mu *carte d'iden-tite* na nazwisko Daniela Eigena, wystawioną przez *Prefecture de Police*.

Policjant obejrzał ją podejrzliwie. Stwierdziwszy, że zatrzymał obcokrajowca, nabrał pewności siebie.

- Godzina policyjna zaczyna się o północy - powiedział z naganą w głosie. - O tej porze nie wolno wychodzić na ulicę.

Metcalfe wskazał swój smoking i wykrzywił wargi. Parszywy pijak ze mnie i stary drań - mówiła jego postawa i smutny uśmiech. Cieszył się, że nie zdążył włożyć płaszcza. Smoking był dobrym alibi, dowodem, że pogwałcił zarządzenie z zupełnie niewinnych powodów.

- To żadna wymówka - warknął z fałszywą skromnością *flic*. - Ogłoszenia o godzinie policyjnej wiszą wszędzie. Naruszył pan przepisy. Muszę to zatrzymać i doprowadzić pana na posterunek, na przesłuchanie.

No to bomba, jęknął w duchu Stephen. Jak pech, to pech. Zatrzymywano go w nocy niezliczoną ilość razy, ale jak dotąd nigdy nie aresztowano. Ładny pasztet. Był prawie pewien, że dokumenty są podrobione idealnie i że wstawi się za nim mnóstwo wpływowych osób. Ba! Wystarczyłoby, żeby zadzwonił do kilku paryskich przyjaciół, a ci natychmiast by go uwolnili. Oczywiście tylko pod warunkiem, że mógłby zadzwonić. Bo gdyby ten tu zaczął grzebać w jego aktach... Stephen nie wiedział, jak bardzo są dokładne, pod iloma warstwami ukryto prawdziwą tożsamość Daniela Eigena. Podczas przesłuchania mógł po prostu wpaść.

Wiedział, że najlepszą bronią przeciwko władzy jest władza. „Zasada numer jeden - powtarzał bez końca Corky. - Ilekroć musisz stawić czoło przedstawicielowi władzy, zawsze

udawaj, że jego władza jest niczym w porównaniu z twoją. Jeśli nawet nie nauczysz się ode mnie niczego więcej, wbij sobie do łba chociaż to".

Metcalfe podszedł bliżej i zmarszczył brwi.

- Poproszę o pański numer służbowy - rzucił po francusku. - Szybko. Didier dostanie apopleksji.

- Didier? - powtórzył policjant ze zmarszczonym czołem.

- Widzę, że nie zna pan nawet nazwiska swego przełożonego, Didiera Brassina, szefa paryskiej prefektury - odrzekł Metcalfe, z niedowierzaniem kręcąc głową i wyjmując pudełko cygar z kieszeni. - Kiedy dowie się, że jeden z jego ludzi, zwykły krawężnik, próbował unieвозмоżliwić dostawę cygar do jego domu przy Quai des Orfevres, cygar, których potrzebuje na pilne, nocne spotkanie, natychmiast straci pan pracę. Oczywiście pod warunkiem, że Didier będzie miał dobry humor, bo jeśli nie... Numer poproszę.

Policjant cofnął się o krok. Był cały w uśmiechach, miał przymilną minę.

- Przepraszam, nie chciałem. Proszę się nie gniewać...

Metcalfe jeszcze raz pokręcił głową i niespiesznie odszedł.

- Na przyszłość niech pan lepiej uważa - rzucił przez ramię.

- Oczywiście, proszę pana. To pomyłka, mój błąd...

Stephen minął budkę, doszedłszy do wniosku, że telefonowanie nie jest chyba najlepszym pomysłem. Cóż, będzie musiał wpaść do Flory bez zapowiedzi.

Kamienica przy Rue de la Boetie była zapuszczona i wymagała remontu. Mały hol pomalowano na upiorny musztardowy kolor - farba już obłaziła - podobnie jak wszystkie ściany w korytarzach. Flora dała mu klucz do frontowych drzwi, więc wszedł do środka, samoobsługową windą wjechał na czwarte piętro i zapukał umówionym kodem: trzy razy szybko, dwa razy wolno. Zaszczekał pies. Drzwi długo się nie otwierały i wreszcie... Flora aż sapnęła na jego widok.

- Daniel! Co ty tu robisz? Która godzina? - Była w długim bawełnianym szlafroku i w lokówkach. Fifi, jej pudel, biegał wokół, warcząc i przeraźliwie ujadając.

- Mogę wejść? - spytał Stephen.

- Ale co... co ty tu robisz? Tak, tak, oczywiście, chodź. Boże kochany! Leżeć, Fifi, ty mały *toutou!*

Nie wyglądała najlepiej, ale któż o tej porze wygląda dobrze? Zmieszana i skrępowana, nerwowo dotknęła lokówek, potem szlafroka, nie wiedząc, co ukryć najpierw. Szybko zamknęła drzwi.

- Daniel! - powtórzyła, lecz gdy pocałował ją w usta, odpowiedziała czule i z narastającą namiętnością.

- Boże, wszystko w porządku? - spytała, gdy wreszcie się od siebie oderwali. - Na pewno?

- Musiałem cię zobaczyć.

- Powinieneś być... Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? Nie można tak po prostu przychodzić do kobiety, gdy jest nieprzygotowana!

- Floro, ty nie musisz się przygotowywać. Ani się malować. Już ci mówiłem: najpiękniej wyglądasz, gdy jesteś sobą, gdy jesteś naturalna.

Oblała się rumieńcem.

- Masz kłopoty, i tyle. Dlatego przyszedłeś.

Rozejrzał się po jej maleńkim, skąpo umeblowanym mieszkaniu. Obowiązywało zaciemnienie, więc okna były przesłonięte czarną satyną. Nawet lampa stojąca w kącie miała ciemnoniebieski abażur. Flora należała do kobiet, które przestrzegają wszystkich przepisów i nigdy nie łamią prawa. Jej największym przestępstwem był flirt z obcokrajowcem i to, że do-

starczała mu informacji: pojedynczy, odosobniony akt buntu i krnąbrności w starannie ułożonym, zgodnym z przepisami życiu. Jednakże nie było to bynajmniej przestępstwo drobne.

Z drugiej strony Stephen zdążył się już nauczyć, że najlepszymi agentkami są właśnie kobiety zwyczajne i nierzucające się w oczy. Po prostu nie zwracano na nie uwagi. Po wszechnie zakładano, że są sumienne i obowiązkowe, że ciężko pracują, tymczasem w głębi ich serc tliło się zarzewie buntu. Wiedział też, że właśnie takie kobiety są najlepszymi, najbardziej namiętnymi i niezmordowanymi kochankami. Piękne dziewczyny, choćby takie jak Genevieve, próżne i zapatrzone w siebie, były w łóżku nerwowe i samokrytyczne. Natomiast Flora, która nie należała do skończonych piękności, zawsze miała nienasycony apetyt na seks, apetyt tak wielki, że z trudem go zaspokajał.

Nie, chętnie przyjęłaby go o każdej porze nocy i dnia. Tego był pewien.

- Zimno tu jak w lodowni - powiedział. - Kochanie, jak ty możesz tu spać?

- Nie starcza mi węgla - odrzekła. - Palę w piecu tylko rano, ale już przywykłam.

- Może ja cię rozgrzeję?

- Daniel! - wykrzyknęła oburzona i uradowana.

Pocałował ją w usta, tym razem szybko, lecz z uczuciem. Fifi przestał szczekać, położył się na przetartym chodniku przed kanapą i obserwował ich z psim zainteresowaniem.

- Musisz załatwić mi trochę węgla - powiedziała. - Wiem, że możesz. Spójrz tylko, czym palę. - Wskazała kominek, gdzie leżały na wpół spalone okrągłe bryłki. Robiono je z gazet, tekturowych pudeł, a nawet z książek, które moczono w wodzie, rozmiękczano na papkę, by następnie uformować z niej coś w rodzaju papierowych brykietów. Robiono tak w całym Paryżu, ponieważ tylko niewielu mogło załatwić sobie węgiel. Bywało, że palono nawet meble. - Moja przyjaciółka Marie ma szczęście. Do jej kamienicy wprowadził się gestapowiec i wszyscy lokatorzy dostali przydział węgla.

- Ty też dostaniesz, skarbie.

- Która godzina? Pewnie już druga. A jutro rano pracuję... Nie, nie jutro: już dzisiaj!

- Przepraszam, że ci przeszkodziłem, ale to naprawdę ważne. Jeśli wolisz, żebym sobie poszedł...

-Nie, nie - przerwała mu szybko. -Najwyżej będę nieprzytomna i te wstrętne szare myszy będą się ze mnie naśmiewać. - Szarymi myszami nazywano pracujące w gestapo Niemki, *Blitzmadchen*, które nosiły szare mundury i były dosłownie wszędzie. - Chciałabym poczęstować cię prawdziwą herbatą, ale nie mam. Zaparzyć ci viandox? - Metcalfe miał serdecznie dość viandoksu, tajemniczego wywaru z jakiegoś mięsa, który serwowano w całym Paryżu. Filiżanka viandoksu i kilka sucharów musiały wystarczyć niektórym na cały dzień.

- Nie, nie, dziękuję.

- Wiem, że możesz załatwić prawdziwą herbatę. Załatwisz? Tak cię proszę...

- Zrobię, co w mojej mocy. - Flora wiedziała, że jej argentyński kochanek handluje na czarnym rynku i nieustannie zasypywała go prośbami. Była tak interesowna, tak nieustępliwa w swoich żądaniach, że przestał żałować, iż ją wykorzystuje. Jeśli już, to ona wykorzystywała jego.

- Ależ ty jesteś, naprawdę - wymruczała z wyrzutem. - Przychodzić bez zapowiedzi, w dodatku w środku nocy! Cóż to za pomysł! Nie wiem, co powiedzieć. - Weszła do łazienki i zamknęła drzwi. Dziesięć minut później wróciła w ładnym, choć troszkę przetartym jedwabnym szlafroku, ładnie uczesana i już bez lokówek. Zdążyła się nawet umalować. Chociaż nie należała do piękności, teraz była niemal piękna.

- Jesteś niesamowita - powiedział.

- Proszę, przestań. - Lekceważąco machnęła ręką, lecz się zarumieniła. Wiedział, że lubi komplementy. Nieczęsto je słyszała, więc z lubością się w nich pławiła. - Jutro zrobię sobie trwałą.

- Po co? Nie musisz.

- Ach, ci mężczyźni. Co wy wiecie? Niektóre kobiety robią sobie trwałą co tydzień. Boże, nawet nie mam czym cię poczęstować. Sąsiadka dała mi przepis i zrobiłam ciasto z gniecionego makaronu i odrobiny czekolady. Jest obrzydliwe. Chcesz?

- Nie, dzięki.

- Gdybym tylko miała prawdziwą czekoladę...

- Tak, kochanie, na pewno ci ją załatwię.

- Naprawdę? Byłoby cudownie! Wczoraj po pracy poszłam do spożywczego, ale dostałam tylko kostkę mydła i pół kilo makaronu. Nie mam nawet masła na śniadanie...

- Dobrze, a więc czekolada i masło.

- Załatwisz masło? Naprawdę? Wspaniale! Och, Danielu, nawet nie wiesz, jak nam teraz ciężko. Nie mam czym nakarmić Fifi. Nie ma drobiu, nie ma dziczyzny. - Zniżyła głos. - Słyszałam, że ludzie zjadają własne psy!

Fifi podniósł łeb i zawarczał.

- Robią gulasz z kotów! A kilka dni temu widziałam w parku starszą, bardzo szacownie wyglądającą kobietę, która zabiła gołębia na rosół!

Stephen przypomniał sobie nagle, że ma w kieszeni małą, kwadratową buteleczkę perfum Guerlain'e'a, takich samych jak te, które podarował Madame du Chatelet. Chciał dać je Genevieve, ale zapomniał. Wyjął buteleczkę i podał ją Florze.

- A tymczasem mam tu coś dla ciebie.

Flora wytrzeszczyła oczy, radośnie zapiszczała i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Danielu, jesteś cudotwórcą!

- Posłuchaj, skarbie. Mam przyjaciela, który w tym tygodniu wybiera się do Moskwy. Musi tam coś załatwić.

- Interesy? W Moskwie?

- Przebywający tam Niemcy są tak samo chciwi jak ci tutaj. - Niemcy: *Ils nous prennent tout!* Wszystko kradną! Wczoraj wieczorem jakiś Szwab ustąpił mi miejsca w metrze, ale nie usiadłam.

- Floro, musisz coś dla mnie zrobić. Wiesz gdzie: w biurze.

Zmrużyła oczy.

- Szare myszy nie spuszczają mnie z oczu. To niebezpieczne. Muszę być ostrożna.

- Oczywiście, ale ty zawsze jesteś ostrożna. Posłuchaj, kochanie, potrzebna jest mi lista Niemców z moskiewskiej ambasady. Dasz radę ją zdobyć?

- Hm, chyba mogę spróbować...

- Znakomicie. Bardzo byś mi pomogła.

- Ale musisz zrobić dla mnie dwie rzeczy.

- Naturalnie.

- Możesz załatwić mi przepustkę do wolnej strefy? Chcę odwiedzić matkę.

Metcalfe kiwnął głową.

- Znam kogoś w prefekturze.

- Cudownie. I coś jeszcze.

- Tak?

- Rozbierz mnie. Teraz, natychmiast!

Rozdział 6

Do swego mieszkania na czwartym piętrze domu z belle epoque przy Rue de Rivoli wrócił dopiero wczesnym rankiem. Mieszkanie było duże i luksusowo urządzone, jak na międzynarodowego playboya przystało.

Za sąsiadów miał kilku wysokich oficerów, którzy wypędzili stąd Żydów. Było im tu bardzo dobrze, bo któżby narzekał na młodego, bogatego Argentyńczyka, który potrafił zdobyć niemal każdy luksusowy towar, o jakim bez niego mogliby jedynie pomarzyć? Daniel Eigen cieszył się ich względami, dlatego nie nachodzili go i o nic nie wypytywali.

Włożył klucz do zamka i... zamarł. Poczuł leciutkie mrowienie na karku. Przeczucie? Tak, coś było nie tak.

Powoli wyjął klucz i sięgnął do górnej krawędzi drzwi, która wystawała z futryny na kilka milimetrów. Wychodząc, położył tam szpilkę. Szpilka zniknęła.

Ktoś był w jego mieszkaniu.

A klucz miał tylko on.

Mimo wyczerpania - nie spał całą noc - momentalnie wytrzeźwiał, wyostrzyły mu się wszystkie zmysły. Cofnął się, rozejrzał po ciemnym, pustym korytarzu, przytknął ucho do drzwi i przez kilka sekund nasłuchiwał.

Nie doszedł go żaden dźwięk, co jednak nie wykluczało możliwości, że w środku ktoś był.

Mieszkał w Paryżu od dawna i nigdy dotąd mu się to nie przytrafiło. Żył pod przykrywką, bywał na kolacjach i przyjęciach, jadał lunche w Maksimie albo w Chez Carrere przy Rue Pierre Charron, prowadził interesy i przez cały ten czas zbierał cenne informacje wywiadowcze o Niemcach. Ani razu nie miał przeczucia, że mogą go o coś podejrzewać. Nigdy nie przeszukano jego mieszkania, nigdy nie zabrano go na przesłuchanie. Może popadł w samozadowolenie i stał się zbyt pewny siebie?

Ale teraz sytuacja zmieniła się radykalnie. Miał na to dowód, dowód prawie niewidoczny, jak niewidoczny jest brak szpilki na drzwiach. Prawie niewidoczny, lecz jakże znaczący.

Dotknął kabury na łydce pod spodniami, sprawdzając, czy pistolet jest na miejscu, czy w razie potrzeby można go szybko wyjąć.

Mieszkanie miało tylko jedno wejście... Nie, niezupełnie: miało tylko jedno drzwi.

Zwinnie i cicho pobiegł w głąb korytarza. Okna na jego końcu otwierano rzadko, tylko w najbardziej upalne dni, ale sprawdził je i wiedział, że dadzą się otworzyć. „Pamiętaj - wbił mu do głowy Corky od pierwszego dnia szkolenia na farmie w Wirginii. - Zapasowe wyjście to podstawa”.

Volets, drewniane okiennice, zawsze były otwarte, żeby do korytarza wpadało więcej światła. Stephen spojrział w okno. Było dokładnie tak, jak pamiętał: wzdłuż ściany domu biegły schody ewakuacyjne. Na ulicy nikogo nie dostrzegł, ale wiedział, że musi działać szybko. Wzeszło słońce, był jasny, pogodny ranek. Istniało duże ryzyko, że ktoś może go zobaczyć.

Szybko przekreślił uchwyt w miejscu, gdzie stykały się ze sobą połowy okna. Cicho jęknęła zębátka, zgrzytnął bolec. Stephen pociągnął za uchwyt, wskoczył na parapet i zszedł na żelazne schody.

Idąc ostrożnie po oblodzonych, niebezpiecznie śliskich płytkach, dotarł do okna sypialni. Było oczywiście zamknięte, ale on nigdy nie rozstawał się ze swoim niezawodnym scyzorykiem marki Opinel. Upewniwszy się, że w sypialni nikogo nie ma, wetknął ostrze scyzoryka między ramy, na wysokości zamka, i mocno pociągnął za uchwyt. Cicho - nakazał sobie w duchu. Fakt, niedawno naoliwił wszystkie zamki i zawiasy, tak że otwierały się względnie ci-

cho - cicho, lecz nie bezszelestnie. Miał nadzieję, że skrzypnięcie utonie w odgłosach budzącego się dnia. Z parapetu ostrożnie zeskoczył na podłogę, lądując na ugiętych nogach, żeby maksymalnie ograniczyć hałas. Był już w środku. Przez chwilę stał bez ruchu i nasłuchiwał. Ale nie usłyszał nic.

Nagle coś zauważył. Drobniutki szczegół, szczegół, który mógł dostrzec jedynie ktoś, kto tu mieszkał: wypolerowany, połyskujący w słońcu blat mahoniowej komody.

Dziś rano leżała tam warstewka kurzu, pomyślał. Nie, nie dziś: to już wczoraj. Prowansalka, która sprzątała mieszkanie dwa razy w tygodniu, miała przyjść dopiero nazajutrz, a w starych wnętrzach kurz osiadał bardzo szybko. Stephen oczywiście go nie ścierał. Jednakże ktoś go startł: startł, żeby zatrzeć za sobą ślady. Ktoś był w mieszkaniu: teraz nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Ale dlaczego? Po co? Tu, w Paryżu, Niemcy nie włamywali się z zasady do mieszkań. Nie wchodzili do nich ukradkiem. Jeśli szukali przestępców czy angielskich szpiegów, owszem, niemal zawsze robili to w środku nocy, ale zawsze też jawnie. I zawsze pod płaszczykiem całkowitej legalności. Okazywali dokumenty, machali podpisanymi nakazami.

W takim razie kto go odwiedził?

I czy to możliwe, że intruz wciąż tu był?

Metcalfe nigdy dotąd nikogo nie zabił. Bronią posługiwał się bardzo wprawnie, już od dzieciństwa, które spędził na ranczu na *las pampas*. A podczas szkolenia w Wirginii nauczono go wielu śmiertelnych technik ataku i obrony. Ale nigdy dotąd z rozmysłem nikogo nie zabił i bynajmniej nie chciał.

Mimo to wiedział, że w razie konieczności zabije.

Musiał zachować wyjątkową ostrożność. Nawet jeśli włamywacz lub włamywacze wciąż tu byli, ogień mógł otworzyć dopiero w razie realnego zagrożenia. W przeciwnym razie pojawiłoby się zbyt wiele pytań. Gdyby zaś zastrzelił Niemca, pytaniom nie byłoby końca. A jego przykrywkę trafiłby szlag.

Drzwi do sypialni były zamknięte: kolejny dowód na to, że ktoś go odwiedził. Zawsze zostawiał je otwarte. Mieszkał sam, więc przed wyjściem z domu nie musiał ich zamykać. Niezauważalne drobiazgi, niewinne nawyki: to one tworzyły cieniutką warstewkę normalności, mozaikę codziennego życia. A teraz mozaika ta została naruszona.

Podszedł do drzwi sypialni i znieruchomiał. Nasłuchiwał kroków - kroków intruza, który nie zna podłogi i nie wie, które deski skrzypią. Ale nie, nie usłyszał absolutnie nic.

Stanąwszy z boku w postawie snajperskiej, przekręcił klamkę, powoli otworzył drzwi, lekko je pchnął i z wałącym jak młot sercem spojrzął w głąb pokoju, wypatrując - niemal oczekując! - minimalnych, ledwo dostrzegalnych zmian w natężeniu światła, ruchu w spowijającym sypialnię półcieniu.

Zlustrował ją wzrokiem, zwracając uwagę na miejsca, gdzie ktoś mógłby się ukryć, upewniając się, że nikogo tam jednak nie ma. Sięgnął do kabury, wyjął pistolet i...

Wpadł do środka.

- *Arret!*

Błyskawicznie obrócił się w prawo, potem w lewo, trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika, przeładował broń.

Ale pokój był... pusty.

Nikogo w nim nie było. Nie miał co do tego wątpliwości. Nie wyczuwał obecności żadnego intruza. Mimo to, nie opuszczając pistoletu, krok po kroku szedł tuż przy ścianie, aż stanął przy drzwiach do małej biblioteki.

Były otwarte, tak jak je zostawił. Biblioteka - a raczej kolejny salonik z biurkiem, fotelami i książkami na półkach - też była pusta. Od progu widział każdy jej kąt, każdy zakamarek i wiedział, że nikogo tam nie ma.

Mimo to nie chciał ryzykować. Kuchnia. Podbiegł do podwójnych drzwi, pchnął je i wszedł do środka z gotowym do strzału pistoletem w rękę. W kuchni też nie było nikogo.

Szybko przeszukał pozostałe pomieszczenia - jadalnię, składzik, dużą garderobę, pakamerę na szciotki - i stwierdził, że nikt się tam nie ukrywa.

Dopiero wtedy trochę mu ulżyło. Nikogo. Nigdzie. Czuł się głupio, ale wiedział, że nie wolno mu kusić losu.

Wróciwszy do salonu, zauważył jeszcze coś: butelkę Delamain Reserve de la Famille Grande Champagne Cognac na barku. Zwykle stała naklejką do pokoju - teraz stała odwrotnie. Ktoś ją przesunął.

Otworzył mahoniowe pudełko na papierosy i stwierdził, że ich podwójna warstwa jest naruszona. Przerwa w warstwie górnej była uprzednio po trzecim papierosie od końca - teraz po piątym. Ktoś je wyjął, żeby przeszukać pudełko. Ale czego szukał? Dokumentów? Kluczy? Stephen nigdy niczego tam nie ukrywał, ale włamywacz o tym nie wiedział.

Znalazł też inne ślady. Zamiast po lewej, włącznik antycznej, mosiężnej lampy był teraz po prawej stronie, co wskazywało, że ktoś ją podniósł. Owszem, to dobry schowek, ale on z niego nie korzystał. Słuchawka telefonu - leżała inaczej, inaczej zwisał izolowany płótnem przewód. Ktoś ją podniósł: żeby zadzwonić? Czy też po prostu przesunął aparat, żeby zajrzeć do komody, na której stał? Przesunął również ciężki, ozdobny marmurowy zegar na kominku: zdradził to zarys jego podstawy w warstwie zalegającego tam kurzu. Przeszukał mieszkanie dokładnie, bardzo dokładnie: odgarnął nawet popiół w kominku i zajrzał do popielnika, kolejnego przemyślnego schowka, którego Stephen nigdy nie używał.

Szybko wrócił do sypialni i otworzył szafę w głębokiej niszy. Garnitury i koszule wisiały jak dawniej, ale odstępy między wieszakami były teraz inne. Ktoś ostrożnie wyjął ubranie i przeszukał kieszenie.

Kieszenie i całą szafę, lecz na szczęście nie zauważył sprytnego schowka, który jeden z fachmanów Corcorana wbudował w jej tylną ściankę. Stephen przesunął drewnianą płytkę, odstawiając ciężki stalowy sejf. Strzałka na jego tarczy wciąż wskazywała siódemkę, a delikatna warstewka kurzu mówiła, że nikt tu nie zaglądał. Sejf, w którym przechowywał pieniądze, zaszyfrowane numery telefonów i fałszywe dowody tożsamości, uszedł uwagi włamywacza. Metcalfe przyjął to z wielką ulgą.

Ten, kto tak dokładnie - i tak porządnie - przeszukał całe mieszkanie, nie znalazł sejfu, jedyne dowodu, że Daniel Eigen jest tak naprawdę amerykańskim szpiegiem. I nie poznał jego prawdziwej tożsamości.

Słowem, nie znalazł tego, czego szukał.

Ale... ale czego właściwie szukał?

Przed wyjściem zadzwonił do Nowego Jorku do Howarda.

Brat był zaskoczony, ale i ucieszony. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy Stephen wykazał nagłe zainteresowanie kopalnią manganu w Gruzji, którą Metcalfe'owie eksploatowali wraz z radzieckim Ministerstwem Handlu. Interes był to niewielki i przy tych wszystkich sowieckich obostrzeniach i nieuchronnych łapówkach ledwo przynosił zysk. Rosjanie już od dawna chcieli wykupić ich udziały i Stephen zasugerował, że może to nie taki zły pomysł, że chętnie pojedzie do Moskwy, spotka się z kim trzeba i obgada sprawę. Po długiej chwili milczenia - wypełniał ją tylko syk transatlantyckiego kabla - Howard zrozumiał wreszcie, o co brat go prosi. I natychmiast zgodził się wszystko załatwić.

- Mój młodszy braciszek chce odgrywać aktywniejszą rolę w rodzinnym biznesie - dodał oschle. - Jestem zachwycony.

- Nie możesz dźwigać tego ciężaru sam.

- I pewna tancereczka nie ma z tym nagłym zainteresowaniem nic wspólnego, prawda?

- Jak śmiesz podawać w wątpliwość motywów mojego postępowania? - odparł ze śmiechem Stephen.

Szybko zrzucił smoking, by włożyć garnitur i krawat pasujący do image'u międzynarodowego biznesmena, jakiego udawał - na szczęście od kilku lat panowała moda na luźne, niemal workowate spodnie: dobrze ukrywały pistolet w kaburze na kostce u nogi.

Wyszedł na ulicę i mimo słonecznego, choć zimnego poranka, przez chwilę nie mógł opanować uczucia lęku.

Godzinę później siedział w ciemnej nawie mrocznego, na wpół zrujnowanego kościoła w Pigalle. Brudny witraż w absydzie prawie nie przepuszczał światła. Jedynymi obecnymi tu parafiankami były dwie staruszki, które uklęknęły, pomodliły się krótko i zapaliły świece. Pachniało -nawet całkiem ładnie - woskiem, zapachami i potem.

Kościół był zaniedbany już od lat, ale przynajmniej przetrwał najazd hitlerowców. Nie, żeby Niemcy burzyli jakieś budynki w Paryżu, dewastowali czy zamykali kościoły. Wprost przeciwnie. Kościół katolicki zawarł z nimi własną, prywatną umowę z nadzieją, że akceptując nowych dyktatorów, obroni swoje prawa.

Stephen jeszcze raz pomacał się po nodze, sprawdzając, czy ma broń...

I w tej samej chwili zobaczył wysokiego, szczupłego mnicha w obszernym, czarnym habicie, który przyklęknął przed figurą jakiegoś świętego. Przyklęknął, zapalił świeczkę, wstał i ruszył do starych drzwi prowadzących do podziemnej krypty. Metcalfe poszedł za nim.

Mały, wilgotny, słabo oświetlony pokój. Spod sufitu zwisał żyrandol. Corcoran zdjął kaptur i usiadł przy okrągłym stoliku obok nieznanego mężczyzny. Ten ostatni wyglądał jak hydrant przeciwpożarowy: niski, krępy i rozczochrany, miał rumianą, niemal czerwoną twarz, zbyt obcisły kołnierzyk koszuli, za krótki krawat i był w taniej, źle dopasowanej marynarce. Siedząc obok smukłego, eleganckiego Corcorana, pasował do niego jak pięść do nosa.

- James - powiedział znacząco Corky do Metcalfe'a. - To jest Chip Nolan.

Ciekawe: zwracał się do niego, używając fałszywego imienia. Ale cóż, słynął ze swojej paranoi i zawsze twierdził, że jedna ręka nie może wiedzieć, co robi druga. „Chip Nolan” też nie był pewnie Chipem Nolanem.

Stephen wyciągnął do niego rękę.

- Miło mi - powiedział.

Nolan uściśnął mu dłoń krótko i mocno, sondując go wzrokiem czystych, czujnych oczu.

- Mnie też. Wiem tylko tyle, że pracujesz dla Corky'ego. Ale to wystarczy, żeby zaimponować mi jak wszyscy diabli.

- Nasza sekcja techniczna wypożyczyła Chipa z FBI. Jest ekspertem od spraw technicznych - wyjaśnił Corcoran.

- A więc jedziesz do Moskwy, he? - Nolan podniósł z podłogi dużą, ciężką skórzaną walizkę i położył ją na stole. - Nie wiem, po cholere się tam pchasz, i niech tak pozostanie. Kazali mi cię wyposażyć, więc przywiozłem kilka zabawek, które mogą ci się przydać. Kuferek sztukmistrza, tak to nazywamy. - Powiodł ręką po grzbiecie wysłużonej walizki. - Tak przy okazji: to twoja. Prosto z Krasnogorska, prawdziwa rosyjska skóra. - Trzasnął zamkiem. W walizce leżało owinięte w cienką bibułkę ubranie, starannie poskładane i poukładane. Był tam nawet garnitur. - Rosyjskie - mówił dalej Nolan. - Oryginalne. Uszyte w Zakładach Włókienniczych imienia Rewolucji Październikowej i kupione w GUM-ie na placu Czerwonym. Sztucznie postarzone. Ruskich nie stać na częste zakupy, dlatego noszą ciuchy znacznie dłużej niż Amerykanie. Wszystko dopasowane do twoich wymiarów. - Rozwinął z bibułki parę brzydkich, brązowych butów. - Też oryginalne. Ohyda, co? Na Zachodzie takich nie kupisz. Wiesz, na co najpierw patrzy Rosjanin? Na buty. Patrzy i od razu wie, z kim ma do czynienia, z obcokrajowcem czy ze swojakiem.

Metcalf zerknął na Corcorana. Dyrektor miał nieobecny minę, jakby myślał o wszystkim, tylko nie o jego wyprawie do Moskwy. - Nie jadę tam jako Rosjanin - odrzekł. - Jadę jako ja, jawnie i otwarcie. Corcoran odchrząknął.

- Tak, to prawda - powiedział. - Ale trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność. Zapasowe wyjście to podstawa, zawsze o tym pamiętaj. Niewykluczone, że będziesz musiał stać się kimś innym.

Stephen kiwnął głową. Stary miał rację, jak zwykle.

Nolan wyjął z walizki miniaturowy aparat fotograficzny marki Riga Minox. Metcalfe ponownie kiwnął głową; tu nie trzeba było żadnych wyjaśnień. Chip sięgnął pod warstwę ubrań i tym razem wyjął talię kart. Rozłożył je na stole i rzucił:

- Spójrz na to.

- Karty? - spytał Stephen. - Po co?

- Ścisłe tajny plan Moskwy i okolic. Złapią cię tam z mapą albo planem miasta i od razu wylądujesz na Łubiance. Zamkną cię i wyrzucą klucz. W koszulce każdej karty jest ponumerowany fragment planu, musisz tylko odchylić ją i zerwać. Nadmiar kleju możesz zetrzeć, pocierając kartę kciukiem.

- Sprytne.

Chip pokazał mu następnie broń, którą Metcalfe dobrze znał: mocowany do przegubu pistolet i pas, w którego sprzączkę wmontowano zmodyfikowany webley kaliber 25; strzelało się z niego, pociągając za wystający z pasa sznurek. Potem rozpiął płócienny przybornik i wyjął brzytwę oraz oprawiony w kość słoniową pędzel do golenia. Poturlał nim po stole w stronę Stephena, a ten podniósł go i dokładnie obejrzał, próbując rozkręcić i zdjąć oprawkę. Nic z tego, nie dał rady.

- Można go spokojnie zostawić w hotelowym pokoju - powiedział Nolan.

Wziął pędzel i przekręcił oprawkę w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, odsłaniając schowek, z którego wyjął zwinięty w rolkę arkusz tak zwanej jednorazówki. Jednorazówek używano do szyfrowania najtajniejszych przekazów, a stosowany w nich kod był praktycznie nie do złamania. Metcalfe kiwnął głową. Wiedział, co to jest i umiał się tym posługiwać.

- Wydrukowana na nitrocelulozie, łatwo palna. W razie wpadki, pufff! i nie ma.

Tubka pasty do zębów: Nolan wycisnął z niej trochę białawej masy.

- Rusczy nie będą podejrzewać, że jest prawie pusta. - Pociągnął za koniec tubki, wyjął z niej miękką, pęcherzowatą pojemnik, z pojemnika zaś zwinięty kawałek jedwabiu, gęsto zadrukowany cyframi. Stephen rozpoznał listę kodów, którą zapisano na jedwabiu w celu łatwiejszego ukrycia. Kiwnął głową.

- Tu też masz jednorazówki. - Chip wyjął paczkę lucky strike'ów. - Palisz?

- Rzadko.

- Od teraz będziesz palił częściej. Jeszcze jedna lista kodów. - Nolan pokazał mu wieczne pióro, a potem postawił na stole drugą walizkę. Ta była nowiutka, z dobrej skóry. - Też twoja. Amerykanin musi mieć porządną.

- Dzięki, ale mam własną.

- Staruszku, w zamkach tej walizki ukryliśmy najważniejsze części nadajnika. Bez nich możesz wyrzucić go na śmietnik.

- Jakiego nadajnika?

- Tego. - Nolan postawił na stole trzecią walizkę. Ta robiła wrażenie ciężkiej. W środku było czarne pudło z karbowanej stali. - BP-3 - oznajmił z dumą. - Najpotężniejszy nadajnik, jaki kiedykolwiek zbudowano.

- Jeden z prototypów - wtrącił Corcoran. - Grupa polskich emigrantów, prawdziwych geniuszy, zbudowała go dla MI-6, ale zdobyłem go jako pierwszy; nie pytaj mnie jak. W porównaniu z tym tu, wszystkie inne są przestarzałe, nadają się tylko do muzeum. Ale pilnuj go

jak oka w głowie. Ciebie można zastąpić, tego nie.

- Fakt - dodał Nolan. - Piękna zabaweczka. W Moskwie na pewno ci się przyda. Łączność z centralą nawiązuje czarnym kanałem, tak? - Spojrzał na Corcorana. Ten bez słowa skinął głową. - Dobra. Kanał wykorzystasz tylko w sytuacji kryzysowej. Na co dzień będziesz miał nadajnik, jednorazówki i pośredników.

- Pośredników? - spytał Stephen. - Są tacy? Można im zaufać?

- Jednemu - odezwał się w końcu Corcoran. - Attache naszej ambasady. Podam ci jego namiary, to mój człowiek. Ale ostrzegam cię, James. Będziesz tam zdany wyłącznie na samego siebie. Nie dostaniesz żadnego wsparcia.

- A jeśli coś pójdzie nie tak? - spytał Stephen. - Zawsze powtarza pan: pamiętaj o zapasowym wyjściu.

- Jeśli coś pójdzie nie tak - odrzekł Corcoran, poprawiając habit - będziemy musieli się ciebie wyprzeć. Zostaniesz sam.

Kilka minut później Nolan wyszedł. Corcoran wyjął paczkę gauloise'ów, pudełko zapalek i na jego twarzy zagościł wyraz najwyższej odrazy. Metcalfe sięgnął do kieszeni po paczkę lucky strike'ów i położył ją na stole.

- Chesterfieldy trudno zdobyć - powiedział - ale lepsze to niż nic.

Corky otworzył paczkę bez słowa, lecz z wyraźną przyjemnością. Stephen opowiedział mu o włamaniu.

Corcoran wysłuchał go i po długim milczeniu mruknął:

- To niepokojące.

- Mnie pan to mówi?

- Może to tylko jakiś gorliwiec z gestapo. Ostatecznie jesteś cudzoziemcem, dużo podróżujesz i automatycznie cię podejrzewają. Ale równie dobrze może to być coś innego.

- Przeciek.

Corcoran lekko przekrzywił głowę.

- Albo penetracja. Wbrew moim usilnym naleganiom na rozczłonkowanie, nie mam wątpliwości, że niektóre nici się przecinają, że padają niepotrzebne słowa, że sieć nie jest całkowicie bezpieczna. Na razie możemy tylko wzmocnić czujność. Twoja wyprawa do Moskwy nie będzie łatwa.

- Dlaczego?

Corcoran wyjął papierosa i niespiesznie potarł zapałką o traszkę.

- Ta kobieta, ta baletnica... Kiedyś była dla ciebie kimś ważnym, prawda?

- Kiedyś tak. Teraz już nie.

- Aha, rozumiem - odrzekł z tajemniczą miną Corky i zaciągnął się dymem. - Teraz należy tylko do długiej historii twoich romansów, tak?

- Coś w tym rodzaju.

- A więc gdy ją spotkasz, gdy zobaczysz ją w ramionach innego mężczyzny, przyjmiesz to obojętnie? - Corcoran długo nie wypuszczał dymu.

- Miewałem już trudniejsze zadania.

- Ale nie ważniejsze. - Corky wreszcie wypuścił dym. - Stephen, czy ty na pewno rozumiesz wagę i znaczenie tej misji?

- Jeśli spojrzeć na to z tej strony, to przyznam, że nie bardzo. Bo nawet jeśli okaże się, że von Schussler szczerze nienawidzi Hitlera i chce go zdradzić, czego bardzo byśmy sobie życzyli, zostanie tylko kolejnym informatorem, jednym z wielu.

Corcoran ciężko westchnął; wyglądał jeszcze mizerniej niż w Nowym Jorku, gdzie Stephen widział go ostatni raz.

- Jeżeli trafimy w dziesiątkę i jeżeli uda ci się go obrócić, von Schussler będzie jedną z naszych najważniejszych wtyczek w najwyższym dowództwie. Jest w bliskich stosunkach z hrabią Wernerem von der Schulenbergiem, niemieckim ambasadorem w Moskwie. Pochodzi z arystokratycznej, bardzo wpływowej rodziny. Wiesz, jacy oni są. - Corcy oschle zachichotał. - Hitler jest dla nich wiedeńskim parweniuszem i patrzą na niego z góry. Pogardzają nim. Ale jednocześnie są patriotami. Bardzo to skomplikowane.

- Jeśli, jak pan podejrzewa, von Schussler jest niemieckim patriotą, trudno sobie wyobrazić, żeby zdradził ojczyznę podczas wojny. Wszystko jedno, czy nienawidzi Hitlera, czy nie.

- Może okazać się, że jego sympatie są bardziej złożone, niż na to wygląda. Ale jeżeli nie spróbujemy, nigdy się o tym nie przekonamy. Jeśli jednak wszystko wypali, zdobędziemy dostęp do informacji niewiarygodnej wprost wagi.

- Ale konkretnie do jakich? - zripostował Metcalfe. - Nawet najwyższy urzędnik ichniego MSZ-tu nie ma dostępu do wewnętrznego kręgu Hitlera, do strategii, jakie ci ludzie opracowują. Plany inwazji na Wielką Brytanię? On na pewno do nich nie dotrze.

- Masz rację. Ale na pewno zna obecny stan stosunków między Niemcami i Związkiem Radzieckim. W tym nasza jedyna nadzieja.

Stephen westchnął. Nic z tego nie rozumiał.

- Są sojusznikami. Od zeszłego roku Hitler i Stalin stoją po tej samej stronie barykady. Czego więcej można się dowiedzieć?

Corcoran pokręcił głową ze smutkiem i chyba z rozczarowaniem.

- Podpisali dokument, zwykły papier. Pakt. Ale pakt jest jak lustro, Stephen. Widać w nim tylko to, co chce się zobaczyć.

- Nic nie rozumiem, to mnie przerasta.

- Hitler proponuje, żeby Stalin podpisał kawałek papieru, dokument, który mówi: jesteśmy przyjaciółmi, mamy zbieżne interesy, jesteśmy współnikami. Ale Stalin widzi w tym pakcie jedynie to, co chce zobaczyć: odzwierciedlenie swoich ambicji, nadziei i aspiracji. Nie musi widzieć tego samego co Hitler. Hitler może dopatrzeć się w nim zupełnie innych wizji. A my, postronni obserwatorzy, czyli reszta świata, my możemy tylko stać przed lustrem i wybierać między paktem zawartym przez dwóch łupieżców i zbrodniarzy i oszukańczą grą, której celem jest wymanewrowanie przeciwnika. Dlaczego lustro pokazuje odwrotnie stronę lewą i prawą, nie odwracając góry i dołu?

- Nie mam zielonego pojęcia - odrzekł Metcalfe. - Pańskie zagadki zawsze mnie dobijają.

Poirytowany Corcoran ciężko westchnął.

- Lustro niczego nie odwraca, chłopcze. Lustro pokazuje jedynie to, co widzi. Odzwierciedla to, co jest przed nim.

- Rozumiem - odparł Metcalfe. - Chce pan wiedzieć, co Rosjanie myślą o Niemcach i co Niemcy myślą o Rosjanach. O to chodzi, tak? O prawdę?

Corcoran uśmiechnął się lekko.

- Pozwól, że sparafrazuję sir Richarda Francisa Burtona, jego wersję pewnej strofy z *Kasidah of Haji Abdu...*

- Ależ proszę - wtrącił Stephen; Corcy często cytował ten perski panegiryk.

- Prawda jest roztrzaskanym lustrem. Lustrem roztrzaskanym na miliony maleńkich kawałeczków. A każdy z nich święcie wierzy, że tkwi w nim odrobina całej prawdy... Sojusz między tymi dwoma tyranami jest największą tajemnicą tej wojny. Pamiętasz wojny peloponeskie?

- Boję się, że nie było mnie wtedy na świecie. Pana chyba też. Albo chodził pan wtedy w krótkich spodenkach. Corcy uśmiechnął się blade.

- Ateny przetrwały tylko dzięki temu, że między ich dwoma najgroźniejszymi wrogami doszło do konfliktu.

- Chce pan powiedzieć, że zanosi się na ochłodzenie stosunków między Niemcami i Rosją?

- Chcę powiedzieć tylko tyle, że warto by to sprawdzić. Byłaby to wyjątkowo cenna wiadomość. I nasza jedyna nadzieja.

Metcalf zmarszczył brwi i przyznał, że za nim nie nadąża.

- Podczas gdy Hitler walczył z Anglią i Francją- wyjaśnił Corcoran – Rosjanie wysyłali mu stal, gumę, zboże i mięso. Karmili i dozbrajali niemieckich żołnierzy. Pamiętaj, że przymierali wtedy głodem, tymczasem Stalin sprzedawał Hitlerowi miliony ton zboża! Ci dwaj tyrani podzielili między siebie całą Europę, teraz chcą podzielić Anglię, a potem cały świat.

- Bez przesady, Anglii nie podzielą. Churchill im się nie da.

- Churchill jest stanowczy i zdecydowany, jak na dobrego przywódcę przystało. Ale w obliczu wroga tak potężnego jak Niemcy na nic innego go nie stać. Mówi, że nie ma do zaofiarowania nic oprócz krwi, potu i znoju, i ja mu wierzę. Anglia nie może dać światu nic więcej. Nie wiadomo nawet, czy przetrwa.

- Naprawdę myśli pan, że Stalin ufa Hitlerowi? - odparował Metcalf. - Przecież ci dwaj szaleńcy są jak skorpiony w butelce!

- Tak, ale jeden drugiego potrzebuje. - Corcoran z wyraźną rozkoszą wydmuchał nosem dym. - Mają ze sobą wiele wspólnego. Obydwaj są totalitarystami. Obydwaj gardzą wolnością człowieka. Ich sojusz był genialnym pociągnięciem. I zdarza się to nie pierwszy raz. Przypomnij sobie tamtą wojnę. Gdy Rosja zrozumiała, że przegrywa, zawarła z Niemcami pokój w Brześciu. I przez następne dziesięć lat potajemnie ich dozbrajała, co było ewidentnym pogwałceniem traktatu wersalskiego. To właśnie dzięki Rosji musimy teraz stawić czoło tak potężnemu wrogowi.

- Nie uważa pan, że Hitler gra na zwłokę? Że prędzej czy później zaatakuje Rosję, że czeka tylko na odpowiedni moment? Zawsze nienawidził Słowian. Słowian, komunistów... Wystarczy tylko poczytać jego *Mein Kampf*...

- Wiemy, że Niemcy Rosji nie zaatakują - przerwał mu Corcoran. - Mamy doniesienia z kręgu osób stojących najbliżej Hitlera, doniesienia sporadyczne, acz wiarygodne. Fuhrer nie jest głupcem. Wszczynać wojnę z Rosją i jednocześnie walczyć z resztą świata? To czyste szaleństwo, śmiertelny cios dla ich sprawy. A dla nas marzenia ściętej głowy. Powiem ci, co jeszcze mnie wkurza: naciska na nas Waszyngton, urzędasz z wojska i wywiadu, którzy uważają, że to nie Hitler jest naszym głównym wrogiem.

- Jak to?

- Twierdzą, że wrogiem tym są bolszewicy, że Hitler jest tamą, która powstrzyma ich napór.

- Chryste, jak można myśleć, że to łagodny baranek, a nie żądny krwi tyran?

- Wielu woli wygodne kłamstwa - odrzekł Corcoran z sardonicznym uśmiechem na ustach. - Nauczyłem się tego, gdy umarła moja ciotka. Powiedzieli mi, że „odeszła do lepszego świata”.

- Skąd pan wie, że kłamali?

- Nie znałeś mojej ciotki.

Czasy były niepewne i stresujące, mimo to starego nie opuszczało poczucie humoru - Stephenowi bardzo się to podobało.

- Dobra. Co teraz?

- Jutro wyjeżdżasz - odrzekł oschle Corky. - Zrób mi przysługę i odpuść sobie pożegnanie ze sznureczkiem swoich kochanek. Nikt nie ma prawa wiedzieć, gdzie przepadłeś. Chcesz pisać do nich kartki? Proszę bardzo, pisz: wyślemy je z Wysp Kanaryjskich albo z Ibizy. Niechaj myślą, że nieuchwytny i wytworny pan Eigen wyjechał w pilnych sprawach

służbowych. Nawet nie mrugną okiem.

Corcoran miał rację: lepiej unikać zbędnych wyjaśnień. Chryste, to już jutro! Nie zdąży wpaść do Flory po listę pracowników niemieckiej ambasady w Moskwie. Duża strata. Duża, ale nie aż tak.

- Pojedziesz *Chemin de Fer du Nord* z Gare du Nord do Berlina, a stamtąd do Warszawy. Zarezerwowałem ci przedział sypialny pierwszej klasy na nazwisko Nicolas Mendoza. Wsiądziesz na Warszawie Centralnej, pójdziesz na spacer, wrócisz dwie godziny i piętnaście minut później i wsiądziesz do pociągu do Moskwy, ale już jako Stephen Metcalfe. W Moskwie zatrzymasz się w Metropolu.

- A dokumenty?

- Masz tu swoje kontakty. Moi ludzie nie zdążyliby przysłać ich ze Stanów.

- Nie ma sprawy.

- Musisz sobie dokładnie wszystko zaplanować. Stawka jest niezmiernie wysoka, dlatego daruj sobie te zwariowane popisy. Dużo rzeczy może pójść nie tak.

- Właśnie, spytam jeszcze raz: co wtedy?

Corcoran poprawił habit.

- Wtedy pozostanie ci tylko modlitwa.

Rozdział 7

Skrzypek czekał w mieszkaniu. Sicherheitsdienst ustaliło adres na podstawie numeru telefonu, który dała mu prostytutka. Kleist wciąż nie znalazł namiarów tajnej stacji nadawczo-odbiorczej: prostytutka wiedziała jedynie to, co mu powiedziała. Informator, który zawiadomił ich o zrzuceniu, nie miał o niczym pojęcia: obowiązywało ściśle rozczłonkowanie informacji. Spędził w mieszkaniu wiele godzin, więc miał znakomitą okazję, żeby dokładnie je przeszukać. Znał już prawdziwe nazwisko brytyjskiego agenta, a to dobry początek. Wiedział też, że Anglik pracuje nocą, za dnia zaś sypia.

Musiał tylko jeszcze trochę poczekać.

Kilka minut po siódmej rano usłyszał szcęk klucza w zamku. Anglik wszedł do środka, nucąc coś pod nosem, wstawił wodę na herbatę i ruszył do sypialni, żeby przebrać się w piżamę. Otworzył szafę, rozchylił wieszaki i przeraźliwie krzyknął, gdy Kleist chwycił go obiema rękami za gardło i powalił na podłogę.

Leżąc, zacharczał, poczerwieniała mu twarz.

- Kurwa mać... - wybełkotał, ale Kleist wbił mu kolano w krocze tak mocno, że złamał mu kość ogonową.

Anglik jęknął. Z oczu popłynęły mu łzy. Płakał jak mała dziewczynka.

- Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest wasza stacja - powiedział Kleist. Mówił z silnym niemieckim akcentem; za późno zaczął uczyć się angielskiego. Zwolnił uścisk, zabrał jedną rękę.

- Pieprz się! - wychrypiął Anglik.

Myślał, że Kleist chce ułatwić mu mówienie, lecz on włożył rękę do kieszeni i wyjął strunę. Wyjął i błyskawicznie, w ułamku sekundy, zacisnął mu ją na szyi, między chrząstką krtani i ruchomą kością gnykową, w miejscu najwrażliwszym z wrażliwych. Garota natychmiast odcięła dopływ powietrza do płuc i dopływ krwi do mózgu. Anglik głucho stęknął. Oczy wyszły mu z orbit.

Skrzypek stwierdził, że jego ofiara niezbyt dba o higienę osobistą. Że od kilku dni się nie kąpał. To prawda, ciepłej wody nie było za wiele, ale to żadna wymówka.

- Spytałem jeszcze raz - powiedział powoli i wyraźnie. - Gdzie jest stacja radiowa, w której pracujesz? Nie chcę wiedzieć nic więcej. Jeśli odpowiesz, nic tu po mnie. Natychmiast wyjdę i daruję ci życie. Po co udawać odważnego?

Anglik próbował coś powiedzieć. Kleist poluźnił garotę.

- Dobrze! - sapnął agent. - Dobrze! Powiem!

- Kłamstwo to gwarancja śmierci i twojej, i twoich współpracowników. - Kleist przesłuchiwał ludzi od wielu lat i z doświadczenia wiedział, że groźba śmierci zwykle nie skutkuje. Skutkowało poczucie winy, chęć ocalenia przyjaciół i kolegów. I ból. Tak, ból najszybciej rozwiązywał język. Właśnie dlatego założył garotę w tym miejscu. Żeby jak najbardziej bolało.

- Powiem! - wychrypiął piskliwie Anglik.

I rzeczywiście powiedział.

Gdy skończył, Kleist gwałtownie zacisnął strunę na jego miękkim gardle. Anglik nie zdążył nawet jęknąć. Oczy wyszły mu na wierzch, ale tuż przedtem skrzypek dostrzegł w nich zdumienie i oburzenie. Dotrzymałem słowa - mówiły. Dlaczego ty nie dotrzymałeś swego?

Kleist nigdy nie rozumiał, dlaczego jego ofiary uważały, że mogą się z nim dogadać. Cóż to za układ, skoro władzę ma tylko on?

Gdy Anglik był już martwy, skrzypek wstał i wzdrygając się z obrzydzenia, umył cuchnące ręce.

Rozdział 8

W Paryżu mieszkał fałszerz, którego Metcalfe znał od kilku lat i któremu ufał na tyle, na ile ufać może żyjący pod przykrywką agent. Alain Ducroix był oczywiście kimś więcej niż zwykłym fałszerzem, ale -podobnie jak wielu innych - okupacja zupełnie go odmieniła. Weteran I wojny światowej, ciężko ranny w bitwie nad Sommą, miał wiele talentów: był poetą, właścicielem znanej księgarni i wydawcą. Jego wydawnictwo, Editions Ducroix, specjalizowało się w małych książeczkach, pięknie oprawionych zbiorach poezji autorów zarówno znanych, jak i początkujących. Swoje maszyny - stały w pracowni na zapleczu księgarni - Alain Ducroix wykorzystywał także do zupełnie innych celów: do żmudnego, dokładnego podrabiania *cartes d'identite*, praw jazdy, legitymacji służbowych SD, niemieckich dowodów osobistych, słowem, wszystkich dokumentów, jakich potrzebowała mała armia bojowników podziemnego ruchu oporu. Był dobrym człowiekiem i wykonywał pożyteczną robotę.

Jako Daniel Eigen, Metcalfe często zamawiał u niego papiery dla siebie i dla swoich przyjaciół. Swego prawdziwego nazwiska nie podał mu celowo, lecz bynajmniej nie dlatego, że się o siebie bał. Nie, bał się o niego. Ducroix wiedział, że Eigen handluje na czarnym rynku, że pomaga i jemu, i ludziom z ruchu oporu. Już dawno doszedł do wniosku, że choć Daniel jest typem apolitycznym, to wyraźnie sympatyzuje z podziemiem i można mu zaufać.

A teraz Metcalfe potrzebował jego pomocy. Ponieważ miał podróżować koleją pod nazwiskiem Nicolasa Mendozy, musiał mieć wizę wyjazdową wystawioną przez tych z Vichy. A Ducroix był jedynym specjalistą w Paryżu, który dysponował papierem odpowiedniej wagi i tekstury i potrafił z idealną wprost precyzją podrabiać rządowe pieczęcie.

Librairie Ducroix mieściła się przy Avenue de l'Opera. Jej okna były prawdziwą wystawą oszałamiająco pięknych książek, które Alain własnoręcznie drukował i oprawiał. Przechodnie przystawali na chodniku, żeby podziwiać woluminy w szkarłatnej marokańskiej skórze, ich piękne, wypukłe grzbiety, ręcznie zdobione złotymi liśćmi. Niektóre były oprawione w cielecą skórę albo w welin. Miały ręcznie zdobione marmurkowym wzorem wklejki, ręcznie zszywane grzbiety, głęboko tłoczone, ornamentowane złotem i szkarłatem okładki i kartki z połączanymi krawędziami.

Jedynym zgrzytliwym elementem okna wystawowego był mały, oprawiony w ramkę portret marszałka Petaina i widniejący pod nim napis: *VENDU* - sprzedany. To był oczywiście żart, gorzka gra słów: Petain sprzedał całą Francję. Stary przeszarżował, pomyślał Stephen. Trzeba dać mu ochrzan. Ducroix miał związki z podziemiem i nie powinien ujawniać swoich przekonań politycznych, a przynajmniej nie w tak demonstracyjny sposób.

Stephen pchnął drzwi. Zadzwoił dzwonek. W księgarni, ciasno zastawionej stołami i pełnymi książek półkami, nie było nikogo.

Choć niezupełnie.

- Daniel! - Soczysty baryton. - Gdzieś ty się podziewał?

Ducroix, przystojny, korpulentny sześćdziesięciolatek o długich, gęstych, białych jak mleko włosach, szybko wjechał na wózku w wąskie przejście między półkami. Od tamtej wojny był sparaliżowany od pasa w dół, mimo to wyglądał potężnie, niemal jak atleta. Ręce miał grube i zrogowaciałe, ramiona muskularne.

Metcalfe mocno uściśnął mu dłoń.

- Przyszedłeś kupić najnowsze wydanie *Kwiatów zła*, he? Znakomity wybór. Oprawa z czarnej marokańskiej skóry, ozdoby z czerwonej, marmurkowa wyklejka. Ręczna robota, piękna rzecz, to nie przechwałki. A topografia...

- Na wystawie stoi portret Petaina - przerwał mu Metcalfe.

- Tak. - Ducroix zachichotał. - Bohater spod Verdun, niech go szlag. Pluję na takich jak on.

- To lepiej nie pluj w miejscu publicznym. Na twoim miejscu bym go stamtąd zabrał. Ducroix wzruszył ramionami.

- *D'accord*- powiedział i zniżył głos. - Pogadamy na zapleczu.

Przeszli przez księgarnię i gdy Alain pchnął podwójne drzwi, znaleźli się w wielkim jak grota pomieszczeniu o kamiennej podłodze, zastawionym prasami introligatorskimi, odlewar-kami do czcionek z roztopionego ołowiu i stołami do oprawiania książek.

Gdy Stephen przedstawił mu swoją prośbę, Ducroix kiwnął głową, skupiony zamknął oczy i długo milczał.

- Tak, tak - powiedział wreszcie. - Da się zrobić. Chyba mam kilka czystych blankie-tów; będę musiał sprawdzić. Bardzo trudno je zdobyć. Musiałem pójść do kierownika jednej z największych paryskich drukarni, to mój stary przyjaciel. Pracuje dla rządu, więc ma formula-rze. Pieczęć MSZ-tu odlałem sam. Ale tekst trzeba złożyć na linotypie, bardzo starannie, bo wpadniemy. Ci na granicy to idioci, ale czasem można spotkać tam kogoś bystrego, kto do-kładnie obejrzy papiery. A wtedy... Katastrofa.

- Której wolelibyśmy uniknąć - dodał Metcalfe.

- Ostatnio czytałem za dużo Baudelaire'a, bo cały czas myślę o tym, co napisał: *Il n'y a pas de hasard dans l'art, pas plus qu'en mécanique*. Prawdziwa sztuka wymaga ciężkiej pra-cy. Nie, żebym uważał się za wielkiego artystę, ale to, co robię, naprawdę wymaga mistrzow-skiego opanowania fachu i skupienia. *Alors!* - Odwrócił się, wziął ze stołu cienką książeczkę i podał ją Stephenowi. - Podarunek, *mon cher*, dla ciebie. *Fedra* Racine'a. Idź między półki, usiądź wygodnie i poczytaj. Oprawa jeszcze nie wyszła, więc ostrożnie. Jest piękna, praw-da? Cielecą skórkę piekielnie trudno zdobyć: Niemcy wysyłają nasze krowy do Rzeszy.

- Tak, śliczna - odrzekł Metcalfe. - Z przyjemnością przeczytam.

- Tymczasem ja sprawdzę, co tu mam. Zaraz ci powiem, czy potrwa to godzinę, czy do-bę. Na kiedy tego potrzebujesz?

- Na wczoraj.

- Zrobię, co się da. Idź i popilnuj kasy. Jeśli Racine ci się nie spodoba, poszukaj czegoś na półkach. Znajdziesz tam prawdziwe skarby. Lamartine... Jak on to powiedział? *Meme dans le rebut on trouve des joyaux*. Klejnoty można znaleźć nawet w śmieciach.

Stephen wrócił do księgarni i z próżnej ciekawości zaczął krążyć między półkami. Nie-często bywał w księgarniach, ale teraz nie miał cierpliwości do oglądania książek. Był spięty i martwił się, że wciąga w to wszystko zaufanego przyjaciela.

Podrobienie wizy wyjazdowej to coś innego niż sfalszowanie kartek żywnościowych. W razie wpadki Ducroix miałby poważne kłopoty. Ta myśl ścięła mu krew w żyłach. On, Stephen, został agentem z własnej woli, tymczasem Alain był intelektualistą, księgarzem i uczonym, a nie dobrze wyszkolonym szpiegiem. Był odważny i pomagał bojownikom z ruchu oporu: takich ludzi należało chronić.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk dzwonka u drzwi. Wszedł klient, mężczyzna koło czterdziestki. Nie wiedzieć czemu, Metcalfe poczuł się nagle nieswojo. Coś tu nie grało. Jak na panującą we Francji biedę, facet był za dobrze odżywiony. Za bardzo elegancki w tym kosztownym, szytym na miarę garniturze i w okularach bez oprawki. Krótco ostrzyżone wło-sy, wojskowe ruchy, kosztowne, wypolerowane na błysk skórzane buty na skórzanych pode-szwach... Niemiec? Francuzi ubierali się znacznie gorzej.

Udając, że zaciekawiał go stojący na półce Corneille, Stephen ukradkiem mu się przy-glądał. Zaskrzypiała drewniana podłoga: mężczyzna odwrócił się, jakby czegoś szukał. Cze-goś lub kogoś.

Metcalfe obserwował go w milczeniu i gdy tamten stanął bokiem, dostrzegł lekkie wy-brzuszenie na wysokości jego pasa. Kabura.

Jezu Chryste, pomyślał. Przyszli tu za mną jak po sznurku!

Chwilę później na chodniku przed księgarnią zaparkował jakiś samochód. Stephen znał ten charakterystyczny warkot potężnego silnika: był to citroen traction avant, ulubiony wóz gestapowców. Zerknął w okno. Tak, czarny citroen, umundurowany kierowca. I jeszcze jeden cywil w eleganckim garniturze.

Gdy wszedł do księgarni, Stephen poczuł się jak po zastrzyku adrenaliny. Śledzili mnie, pomyślał przerażony. Musieli mnie śledzić!

Szybko przeanalizował sytuację. Miał broń, pistolet w kaburze na kostce u nogi. Mieli przewagę liczebną, lecz w tym przypadku nie chodziło jedynie o wydobycie broni i pociągnięcie za spust. Zrobiłby to tylko w ostateczności: gdyby zastrzelił gestapowca w przeddzień wyjazdu z Paryża, wszystko by się koszmarnie skomplikowało. Nie, nie mógł aż tak ryzykować.

Oczywiście zakładając, że najpierw zdołałby stąd uciec. Tamtych było dwóch i na pewno przyszli tu kogoś aresztować, nie zabić.

Aresztować, ale kogo?

Najpewniej Alaina. Ostatecznie on tylko oglądał książki. Niech zabiorą go na przesłuchanie, proszę bardzo, nic im to nie da. Ale gdyby wpadli na zaplecze i nakryli Alaina na fałszowaniu dokumentów, zgarnęliby go, zawieźli na gestapo i zakatowali na śmierć.

Musiał go obronić, musiał go jakoś ostrzec.

Spokojnie ruszył przed siebie, sunąc palcami po grzbietach książek, jakby szukał konkretnego tytułu, i niczym zagorzały kolekcjoner polujący na białego kruka, skręcił za sąsiednią półkę.

Gestapowiec, ten, który wszedł do księgarni pierwszy, uważnie go obserwował. Zamiast jednak przyspieszyć kroku, Stephen celowo zwolnił, żeby uspić jego czujność. Przystanął, zdjął z półki książkę, otworzył ją i obejrzał. Pokręcił głową, odstawił książkę na miejsce, ruszył dalej, kierując się w stronę podwójnych drzwi na zaplecze, i zniknąwszy im z oczu za długą, wysoką półką, dopiero teraz przyspieszył kroku. Szedł najciszej, jak umiał, niemal bezszelestnie.

Wreszcie dotarł do drzwi.

Pchnął je łagodnie, modląc się, żeby nie zaskrzypiały. Modlitwa została wysłuchana.

Wózek stał przy stole; Alain rozmawiał przez telefon. Stephen z ulgą stwierdził, że nigdzie w pobliżu nie widać żadnych obciążających dowodów, ani stempli Wehrmachtu, ani czystych formularzy, ani niczego takiego.

Ducroix spojrział na niego z uśmiechem i spytał:

- Ktoś przyszedł? Mamy bogatego klienta?

- Gestapo - szepnął Metcalfe. - Dwóch. Jeśli masz na wierzchu coś obciążającego, natychmiast to schowaj!

Alain patrzył na niego z bezgranicznym zdumieniem w oczach.

- Jest tu drugie wyjście? - rzucił Stephen. Zawsze pamiętaj o zapasowym wyjściu: pierwsze przykazanie Corcorana. Metcalfe je złamał. Przyszedł nieprzygotowany.

- Boże, zapomniałem dać ci futerał! - odrzekł Ducroix. - Do tego Racine'a. - Wyciągnął rękę, spod płóciennej szmatki wyjął futerał i się odwrócił.

- Alain, nie ma na to czasu, do cholery! - syknął Stephen. Rozejrzał się w poszukiwaniu drzwi. - Nie rozumiesz? Tam jest gestapo! Musimy uciekać, musisz...

- Tak - przerwał mu Ducroix dziwnie płaskim głosem. - Muszę spełnić swój obowiązek. - Futerał spadł na podłogę, odslaniając wielkiego lugera wymierzonego prosto w pierś Metcalfe'a.

Alain ścisnął broń obiema rękami, opierając je na podłokietnikach wózka. Stephen spojrział w czarny otwór lufy i sięgnął po pistolet.

- Stój! - warknął Ducroix. - Bo strzele!

Szybkie kroki. Metcalfe zerknął przez ramię. Do pracowni wpadło dwóch gestapowców z wycelowaną bronią.

- Alain! - wybełkotał. - Co ty...?

- Lepiej nie rób żadnych gwałtownych ruchów - przerwał mu Ducroix. - Jeśli mnie nie posłuchasz, bez wahania cię zabijemy. Ci panowie chcą z tobą porozmawiać i proponuję, żebyś nie stawiał oporu. Mierzę w twój krąg piersiowy. Jeżeli pociągnę za spust... *Voilà!* Resztę życia spędzisz na wózku, tak jak ja. Oczywiście pod warunkiem, że wyliżesz się z ran. A wtedy... Od pasa w dół nic nie działa, *mon frere*. Taki stan cudownie wpływa na umysł. Cóż za koncentracja! Koniec z uganianiem się za *les femmes*. A te nagniotki na rękach! Ale nie martw się. Jak powiada poeta? „Bo ludzie zawsze będą dobrzy”. Będziesz modlił się o śmierć, wierz mi.

- Znakomita robota - rzucił z tyłu jeden z gestapowców.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Ducroix obojętnie wzruszył ramionami, lecz luga wciąż trzymał mocno i pewnie, jak za dawnych żołnierskich czasów.

Stephenowi zawirowało w głowie. Wciągnęli go w zasadzkę!

Powoli, powolutku jeszcze raz spojrzął przez ramię. Gestapowcy celowali prosto w niego. Byli niecałe trzy metry dalej i szli w jego stronę. Trzy pistolety: przewyższali go liczebnością i siłą ognia. Gdyby wykonał jakiś ruch, natychmiast by zginął. Tego był pewien.

Ale tego, co się stało, za nic nie mógł zrozumieć. Czysty obłęd: Alain go zdradził! Alain, który zawsze twierdził, że nienawidzi Niemców każdą komórką swego ciała, z jakichś powodów dogadał się z gestapo i go wydał. Nie, to nie obłęd, to zupełne szaleństwo. Jak go do tego zmusili? Jakimi groźbami? Czym go przekupili?

Czy to możliwe, żeby współpracował z nimi od początku? Chryste.

Próbował to wszystko zrozumieć i jednocześnie rozpaczliwie rozważał, jakie miałyby szansę, gdyby nagle się na niego rzucił. Nie, to bez sensu. Nie miałyby żadnych. Utkwił w portrasku.

Ale dlaczego chcieli go zgarnąć? Za co? Co na niego mieli? Czyżby szlag trafił jego przykrywkę? A może wystawił go Ducroix? Ale przecież gdyby tak było, gdyby doniósł na gestapo o fałszowaniu papierów, pograżyłyby sam siebie!

- *Meine Herren* - rzucił z oschłym rozbawieniem w głosie. - Czy wy przypadkiem nie przesadzacie?

- Ręce w dół - warknął ten drugi.

Metcalfe powoli opuścił ręce i pokręcił głową z wyrazem smutnego zaskoczenia na twarzy.

- Czy mogę przynajmniej spytać, o co tu chodzi?

- Porozmawiamy później, Herr Eigen, w sali przesłuchań. Urządziliśmy ją specjalnie w tym celu. Tymczasem pójdzie pan z nami i nie będzie pan wykonywał żadnych gwałtownych ruchów. W przeciwnym razie zastrzelimy pana tutaj, na miejscu. Taki mamy rozkaz.

„Taki mamy rozkaz”: działali na polecenie z góry, na polecenie przełożonych. Byli zwykłymi tajniakami, agentami niskiego szczebla. To dobrze, to bardzo dobrze. Nie przyszli tu z własnej inicjatywy. Wykonywali czyjś rozkaz.

Metcalfe spojrzął z uśmiechem na Alaina. Ale oczy Francuza były twarde jak stal, szare i nieodgadnione, a w rękach wciąż ścisnął pistolet. Nie było w nim ani odrobiny współczucia, ani śladu dawnej przyjaźni. Nagle się zmienił, był teraz bezwzględny, nieustępliwy.

- Panowie - powiedział Stephen. - Czy nie ciąży na was przypadkiem obowiązek poinformowania aresztowanego, dlaczego został aresztowany?

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Ktoś wszedł do księgarni.

- Idziemy - odparł gestapowiec. - Nie podnoś rąk.

- Nie, nie tędy! - wykrzyknął Ducroix. - Nikt nie może zobaczyć, jak stąd wychodzi! - Wskazał pistoletem przeciwległą ścianę i Stephen dopiero teraz zauważył, że są tam drzwi.

Pewnie prowadziły na jakąś uliczkę albo zaułek.

- Chodzi o dokumenty? - spytał Metcalfe. - O papiery? - Podniósł głos. - O papiery, bez których nie zdobędę dla Gerharda Mauntnera koniaku, papierosów i kawioru? Jedwabnych pończoch dla Frau Mauntner? Ani jej ulubionych perfum? Panowie, doprawdy: raczycie sobie żartować. - Powołując się na jednego z najpotężniejszych ludzi w paryskiej kwaterze gestapo, swego sporadycznego klienta, wytoczył najcięższą artylerię. Podrzędni agenci, karni i do szpiku kości posłuszni, nie zrobiliby niczego, co pokrzyżowałoby plany człowieka tak wysoko postawionego jak Mauntner.

- Nie, Herr Eigen, wprost przeciwnie - odparł spokojnie drugi gestapowiec. W jego głosie zabrzmiała nutka złowieszczej satysfakcji. - Podpis Gruppenfuhrera Gerharda Mauntnera figuruje pod nakazem aresztowania. Przyjechaliśmy po pana na jego osobisty rozkaz. Proszę, idziemy.

Zablefował i przegrał. Kłamstwo wyszło na jaw. Nie pozostawało mu nic innego, jak z nimi pójść. Ponownie zerknął na Alaina Ducroix, który ani na chwilę nie spuszczał go z muszki, chociaż czoło pokrywały mu krople potu. Na jego ustach igrał lekki uśmiezek. Był wielbicielem poezji i na pewno bawiła go ta ironia, ten rozkoszny spektakl, w którym mistyfikator wpadał w sieci swojej własnej mistyfikacji.

- Cóż, najwyraźniej zaszła jakaś straszna pomyłka, ale wszystko wyjaśnimy na Rue des Saussaies.

Ruszył do drzwi. Musiał przejść obok wielkiego, stalowego linotypu: jeden z gestapowców został z tyłu i chwycił go za łokieć, w wolnej ręce trzymając walthera. Drugi szedł tuż za nim.

Kątem oka Stephen zauważył, że Ducroix - pewny, że kryzys już minął - opuścił w końcu broń i pojechał w stronę podwójnych drzwi, żeby obsłużyć klienta. Tak więc teraz było tylko dwóch na jednego - tylko i aż, gdyż gestapowcy wciąż górowali nad nim siłą ognia.

Idąc, wstydliwie spuścił głowę. Cały się skurczył, zadrżał mu głos.

- O Boże, to straszne. Bałem się tego od lat...

Ugięły się pod nim nogi i z rozpaczliwym jękiem runął na podłogę. Trząśnięty ze strachu, drżał jak galareta i padając, pociągnął za sobą gestapowca, który trzymał go za łokieć.

Gdy tylko dotknął podłogi, wykonał błyskawiczny obrót, pociągnął jeszcze mocniej i ze wszystkich sił grzmotnął jego głową w kamienną posadzkę. Rozległ się głośny trzask: pękła czaszka. Mężczyzna przewrócił oczami: błysnęły białka.

W ułamku sekundy Metcalfe zerwał się z podłogi z odebranym Niemcowi waltherem w rękę. Skoczył w prawo, za linotyp, i wypalił do drugiego gestapowca.

- Rzuć to, bo zginiesz! - krzyknął tamten. Na jego flegmatycznej dotąd twarzy zagościł strach. Wystrzelił, lecz kula zrykoszetowała z jękiem od stalowego korpusu maszyny. Osłonięty żelazną tarczą wielkiej prasy Metcalfe wymierzył z odebranego Niemcowi pistoletu w lukę między sterczącymi częściami linotypu i dwukrotnie pociągnął za spust. Huknęło, zabrzęczały rykoszety. Gestapowiec rzucił się w jego stronę, nieustannie strzelając.

Stephen poczuł bolesne szarpnięcie w okolicy uda: kula przecięła materiał spodni i drasnęła ciało. Zacisnął zęby, ponownie wystrzelił i tym razem trafił Niemca w szyję. Gestapowiec przeraźliwie krzyknął i upadł, chwytając się za gardło, z którego buchnęła jaskrawoczerwona krew. Palcem prawej ręki pociągnął za spust skierowanego do góry pistoletu i kula uderzyła w cementowy sufit - magazynek był pusty. Gestapowiec leżał na podłodze i wył jak zwierzę. Stephen wyjrzał zza linotypu. Strzał był śmiertelny, nie miał co do tego wątpliwości. Niemiec jeszcze żył, ale szybko tracił przytomność i już mu nie zagrażał. Krzyczał coraz ciszzej. Rzęził, bulgotało mu w gardle.

Nie zważając na spazmatyczny ból prawej nogi, Metcalfe ruszył do drzwi, lecz w tym samym momencie usłyszał szelest i szybko spojrzał w tamtą stronę. Gestapowiec, ten pierw-

szy: leżał na boku i macał wokoło rękami w poszukiwaniu broni, nieświadom, że już jej nie ma.

Stephen wymierzył, wypalił i trafił go w brzuch. Hitlerowiec zwiotczał i znieruchomiał. Jeśli jeszcze żył, był ciężko ranny i unieruchomiony.

No i w końcu kogoś zabiłem, pomyślał Metcalfe i ciężko westchnął, chyba jednak z ulgą. Raptem huknęło, raz i drugi. Przywarł do ściany tuż za długą, drewnianą skrzynią z ołowianymi czcionkami, która stanowiła dobrą osłonę.

Na tle plamy jaskrawego światła z księgarni zobaczył sylwetkę Ducroix na wózku. Francuz strzelał do niego raz po raz, celując ze śmiertelną wprost precyzją. Kule rozłupały półkę nad skrzynią, roztrzaskały szufladę, z której trysnęła fontanna czcionek.

Metcalfe starannie wymierzył. Pierwszy pocisk zrykoszetował z brzękiem od metalowej ramy wózka, drugi od metalowych kół, trzeci trafił w czoło.

Widok był upiorny. Bryzgnęła krew, wielki fragment czaszki poszybował w stronę drzwi i Ducroix zwiotczał jak szmaciana kukła.

Oszołomiony, sparaliżowany lękiem Stephen zamarł i dopiero po dłuższej chwili zdołał zmusić nogi do posłuszeństwa. Podszedł szybko do martwych gestapowców i obszukał ich, wyjmując z kieszeni dokumenty, odznaki i legitymacje. Mogły mu się przydać.

Potem pobiegł do drzwi. Chwycił za klamkę, mocno szarpnął i wypadł na zaśmiecony zaułek.

Rozdział 9

Mógł pójść tylko tam: do kryjówki, do Jaskini. Musiał skontaktować się z Corcoranem i opowiedzieć mu, co się stało, ostrzec go, że Ducroix zdradził, że doszło do katastrofy. Był spalony i wiedział, że Corky wpadnie w furję - nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości - ale musiał go uprzedzić. Może on wyjaśni mu, dlaczego Ducroix go wystawił, dlaczego się sprzedał, dlaczego - co bardziej prawdopodobne - dał się „obrócić”.

Corky musiał dowiedzieć się o tym natychmiast, dlatego pozostawał mu tylko kanał awaryjny, który wykorzystać mógł jedynie w nagłych, niecierpiących zwłoki przypadkach.

Ruszył biegiem, lecz czując pulsujący ból w udzie, zwolnił do statecznego, zdecydowanego kroku. Rana, a raczej draśnięcie go nie martwiło; Derek Compton-Jones, radiooperator z Jaskini, zaliczył kurs pomocy medycznej i potrafił ją opatrywać. Nie, znacznie ważniejsze było to, żeby wyglądać na spokojnego, niewinnego biznesmena, na człowieka, który ma do załatwienia ważny interes. Gdyby z jakiegoś powodu go zatrzymano, zawsze mógł okazać odebrane gestapowcom dokumenty. Tak, to prawda, nie był podobny do żadnego z nich, ale w razie konieczności na pewno by sobie poradził.

Było późne popołudnie i na ulicach roilo się od przechodniów. Cudem uniknął aresztowania i wciąż drżał na myśl o tym, co zaszło w księgarni. Nigdy dotąd nie odebrał nikomu życia, a teraz zabił aż trzech ludzi. Odrętwiały i przejęty zgrozą, powtarzał sobie w duchu, że gdyby tego nie zrobił, leżałby tam zamiast nich.

Zanim dotarł do starej, rozsypującej się kamienicy, gdzie mieścił się bar i tajna stacja nadawczo-odbiorcza, ból w nodze nieco zelżał, tak że szedł teraz, prawie nie kulejąc. Schody, drzwi, dzwonek: zadzwonił trzy razy i czekał, aż Pasquale zerknie przez judasz, żeby sprawdzić, kto idzie.

Czekał całą minutę, wreszcie nie wytrzymał i zadzwonił jeszcze raz, doszedłszy do wniosku, że Pasquale, który zwykle wpuszczał klientów bardzo szybko, jest zajęty. Z drugiej strony, o tej porze odwiedzali go tylko nieliczni, najtwardsi pijacy i do cna zepsuci hulacy.

Minęła kolejna minuta. Pasquale wciąż nie otwierał.

Stephen zadzwonił po raz trzeci. Dziwne. Czy to możliwe, żeby bar był zamknięty? Do bazy mógł dostać się inaczej, ale musiałby zjechać windą do piwnicy sąsiedniego domu i otworzyć stalowe drzwi przeciwpożarowe prowadzące do piwnicy pod barem. Ale tego wejścia używano tylko w nagłych przypadkach, ponieważ było mniej bezpieczne: lokatorzy mogli zauważyć intruza i nabrać podejrzeń.

Przekręcił klamkę i ze zdumieniem stwierdził, że drzwi są otwarte. Dziwne. Pasquale zawsze je zamykał.

I kolejna niespodzianka: w środku było ciemno. I pusto. Otwarte drzwi, ani jednego klienta - przecież to absurd, kompletny absurd! Gdy oczy przywykły do gęstego mroku, gdy zaczął rozpoznawać cienie i kształty - barowe stołki, długa, drewniana lada - zobaczył coś, co go zmroziło.

Kilka stołków leżało na podłodze. Lada była pokryta szkłem, roztrzaskanymi kieliszkami do wina, poprzewracanymi, popękanymi szklankami. Coś tu się stało. Coś niedobrego.

Wszedł za ladę. Stara kasa i stercząca z niej szuflada - pusta, dokładnie wyczyszczona.

Włamanie?

Włamania i rozboje zdarzały się w Paryżu dość często, mimo okupacji. Ale panujący w barze bałagan wskazywał na coś więcej: wskazywał na gwałtowną bójkę.

I ta pustka! Pasquale, klienci - wszyscy zniknęli.

Chryste, co tu się stało?

Stacja!

Puścił się biegiem, omijając przewrócone stołki i porozbijane butelki. Schody, piwnica, pakamera: wymacał klamkę, otworzył drzwi.

Chwycił za trzonek szczołki, pchnął go w dół, obrócił w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, następnie pchnął ścianę. Czarne, stalowe drzwi. Serce waliło mu jak młotem. Nacisnął guzik dzwonka, dwa razy krótko, raz długo.

Boże, myślał, błagam, tylko nie to!

Czekał w przerażającej ciszy. Wiedział już, co się stało. Hitlerowcy - gestapo albo SD - namierzili stację. Ktoś sychnął. Pasquale? Czy to możliwe?

A może agent Corcorana, ten, którego zgarnęło gestapo? Ale nawet gdyby tak było, jakim cudem wpadł? W siatce musiał być przeciek!

Boże, nie. Co teraz? Co będzie, jeśli gestapo zrobiło nalot i wszystkich aresztowało? Zostanie sam, bez możliwości skontaktowania się z Corcoranem.

Nie, musiało być jakieś wyjście. Wydano mu dyrektywy na wypadek sytuacji nadzwyczajnej: ich treść wydrukowano miniaturowym drukiem na metkach jego ubrania. Wyjście awaryjne - Corky nigdy o tym nie zapominał.

Zadzwoił jeszcze raz, tym samym rytmem. Cisza.

Nie, nikogo tam nie było. Zgarnęli ich. Sieć padła.

Ale gdyby ich aresztowano, czy gestapo nie zrobiłoby tu kotła? Nie zastawiłoby pułapki na tych, którzy mogli tu przyjść? Jak dotąd nic na to nie wskazywało, ale musiał zachować maksymalną czujność.

Wyjął z kieszeni pęk kluczy na skórzanym kółku. Nacisnął je z boków palcami i się otworzyło. W środku był mały klucz: klucz do tych drzwi.

Miały trzy zamki. Jeden, drugi, wreszcie trzeci. Gdy otworzył trzeci, rozległo się metaliczne kliknięcie i drzwi rozwarły się z sykliwym młaśnięciem gumowych uszczeltek.

Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale... Nie, ktoś mógł tam na niego czyhać.

Zobaczył zielonkawe światło bijące z rzędu ekranów. Nadajniki: wciąż tu były, to dobry znak. Gdyby Niemcy namierzili bazę i przeprowadzili nalot, na pewno by je zabrali.

Ale gdzie chłopaki? Dlaczego zostawili sprzęt bez nadzoru?

Dopiero wtedy zobaczył, że przy jednej z konsol ktoś siedzi, tyłem do drzwi, tyłem do niego. Johnny Betts, amerykański radiotelegrafista.

- Johnny! - zawołał. - Nie słyszałeś, jak... - Urwał.

Betts miał na uszach słuchawki, dlatego nie słyszał dzwonka. Stephen podszedł bliżej i klepnął go w ramię.

Johnny osunął się na bok. Miał wybałuszone oczy, szkarłatnosiną twarz i upiornie wieszony język.

Stephen zamarł. Krew uderzyła mu do głowy. Przerażony zachwiał się i krzyknął.

- Boże, nie!

Na pierwszy rzut oka gardło Johnny'ego wyglądało tak, jakby ktoś poderżnął je nożem i dopiero po chwili Metcalfe zrozumiał, że to, co wziął za głęboką ranę, jest śladem po garocie.

Chryste, uduszono go cienkim sznurkiem albo drutem.

Ktoś go zabił, ktoś go zamordował!

Stephen odwrócił się na pięcie, szukając pozostałych, Cyrila i Dereka. Ale tu ich nie było, ani jednego, ani drugiego. Sąsiedni pokój. Otworzył drzwi i zajrzał. Pusty. Na miłość boską, gdzie oni przepadli?

Wpadł do przedsionka przed wejściem do piwnicy sąsiedniego domu i tam, pod lekko uchylonymi stalowymi drzwiami, znalazł skurczone ciało Cyrila Langhorne'a. W jego czole ziała dziura od pojedynczej kuli.

Teraz wiedział już na pewno, że napastnicy weszli tędy, od tyłu. Langhorne ruszył do drzwi i zastrzelili go, najpewniej z zaopatrzonego w tłumik pistoletu. Siedzący przy konsole-

cie Betts - miał na uszach słuchawki, bo właśnie odbierał jakiś meldunek - nic nie słyszał. Z jakiegoś powodu - żeby było ciszej? -jego nie zastrzelili, tylko udusili. Ktoś podkradł się z tyłu - nie ulegało wątpliwości, że napastników było co najmniej kilku -i założył mu garotę.

Jezu Chryste, jak to możliwe?

I gdzie jest Derek? Tylko jego tu nie ma. Nie przyszedł? Jest w domu? Śpi? Może miał przyjść później i dzięki temu ocalał? Boże, spraw, żeby tak było.

Jakiś hałas. Głośny pisk opon i hamulców. Stamtąd, z ulicy. W normalnych okolicznościach by tego nie słyszał, lecz dźwiękoszczelne drzwi były teraz otwarte.

Tylko Niemcy zajeżdżali z takim hałasem. Wsparcie? Kolejna ekipa?

Przyszli po niego.

Przeskoczył nad ciałem Langhorne'a, wślizgnął się do piwnicy i wbiegł na schody. Biegając, zerknął w okno i zobaczył trzy, może nawet cztery czarne Citroeny. Gestapo. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Tym razem wiedział, którądy uciec.

Dachami. Dachem sąsiedniego domu, dachami domów stojących za nim. Potem na dół, do zaułka za aleją.

Brakowało mu tchu, lecz w jego żyłach krążyło tyle adrenaliny, że nawet nie przystanął, żeby pomyśleć. Wciąż biegł, aby dalej, aby szybciej. Musiał ostrzec Dereka, musiał z nim pogadać i spytać, co się tam stało. Może coś wiedział, może miał jakieś podejrzenia.

Zakładając, że udało mu się uciec.

Bo w bazie na pewno go nie było, jego, a przynajmniej jego zwłok. Pracował nocą, za dnia spał - tamci mieli straszliwego pecha i wylosowali wcześniejszą zmianę. Tak więc może - proszę cię, Jezu - może jednak żył.

I Corky. Wiedział już o tej jatce?

Zwolnił kroku dopiero przed domem Dereka. Mimo ścisłych zasad -całkowite rozczłonkowanie sieci - wiedział, gdzie mieszka; paryska baza nie należała do największych, a oni byli przyjaciółmi. Stał przed witryną sklepu piśmienniczego naprzeciwko i udając, że coś ogląda, obserwował odbijającą się w szybie kamienicę. Stał tak przez kilka minut, ale nie zauważył niczego podejrzanego, ani samochodów czekających z włączonym silnikiem przy krawężniku, ani kręcących się bez celu przechodniów. Szybko przeszedł na drugą stronę ulicy, pchnął drzwi i wpadł na schody.

Schody, drzwi do mieszkania. Przez chwilę uważnie nasłuchiwał, w końcu zapukał.

Odpowiedziała mu cisza.

Zapukał jeszcze raz.

- Derek? - Gdyby Derek tam był i bał się otworzyć, poznałby go po głosie. Ale minęło kilkanaście sekund, a on wciąż nie otwierał.

Stephen zerknął w prawo, zerknął w lewo i nie widząc nikogo w korytarzu, wyjął z portfela długi, stalowy drut z zakrzywionym końcem, prosty wytrych, którym nauczono go się posługiwać. Włożył wytrych do zamka, przesunął go do przodu, cofnął i przekręcił w prawo. Po kilku próbach zamek ustąpił; z ulgą stwierdził, że te stare, zwłaszcza francuskie, nie są zbyt skomplikowane. Otworzył drzwi i ostrożnie wszedł do środka.

Był tu kilka razy i przy butelce whisky opowiadał zafascynowanemu Derekowi o swoich przygodach w terenie, a nawet - oczywiście bardzo dyskretnie - w paryskich sypialniach. Dla tego młodego angielskiego radiotelegrafisty był ucieleśnieniem wszystkiego, co w szpiegostwie najbardziej ekscytujące; dzięki niemu Derek też mógł zaznać, choć tylko z drugiej ręki.

Rozejrzał się szybko i ponownie zawołał z nadzieją, że Derek śpi. Potem zapukał do zamkniętych drzwi sypialni. Nie słysząc odpowiedzi, przekręcił klamkę.

Najpierw uderzył go kwaśny, metaliczny zapach krwi, która pachniała i smakowała jak miedziak na języku. Wszedł do środka. Serce biło mu tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi. Wszedł, zobaczył go i głośno jęknął.

Derek leżał obok szafy. Miał sinoczerwoną twarz, potwornie wytrzeszczone oczy, tak samo jak Johnny Betts, i rozchylone usta. Jego szyję przecinała cienka, głęboka pręga, pasek zmiądzzonej, nabiegłej krwią tkanki.

Garota. Jego też uduszono.

Metcalfe zadrżał. Do oczu napłynęły mu łzy. Przykucnął, żeby zbadać mu puls, choć wiedział, że to bez sensu. Derek nie żył. Dereka zamordowano.

- Kto to zrobił? - wychrypiął cieniem, zawodzącym, pełnym wściekłości głosem. - Kto ci to zrobił? Kurwa mać, kto ci to zrobił?

Może to głupie myśleć, że jedno morderstwo jest bardziej obrzydliwe od drugiego - ostatecznie każde jest morderstwem - ale on uważał, że duszenie człowieka garotą jest zbrodnią zbyt osobistą, zaprawioną zbyt dużą dawką niepotrzebnej brutalności. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że ten sposób zabijania ma pewne zalety taktyczne. Był cichy, bez wątpienia najcichszy ze wszystkich, jeśli ktoś potrafił się przełamać i go zastosować. Gwałtowny ucisk na szyję i błyskawiczne odcięcie dopływu krwi do mózgu powoduje, że ofiara nie jest w stanie wydać nawet najcichszego dźwięku. Mimo to większość ludzi nie użyłaby garoty. Zabójca był nie tylko znakomicie wyszkolony - był zwyrodniałym psychopata.

A jego inicjałem była garota.

Wstał, choć nie wiedział jak i kiedy. Z silnymi zawrotami głowy, bliski omdlenia ruszył do drzwi w chwili, gdy te się otworzyły.

Do mieszkania wszedł Niemiec. Gestapowiec z insygniami Standartenfuhrera.

W rękę trzymał pistolet.

- Ani kroku! - warknął, celując mu prosto w pierś.

Metcalfe pochylił się, chcąc sięgnąć do kabury na kostce u nogi.

- Niech pan tego nie robi - ostrzegł go Niemiec. - Wystrzeżę, nie da mi pan wyboru.

Stephenowi przemknęło przez myśl, że może by tak spróbować mimo to, ale nie, pułkownik miał nad nim co najmniej kilka sekund przewagi. Każda próba byłaby samobójstwem. Gestapowiec nie żartował - wskazywała na to jego mina i postawa. Nie, nie było wyboru.

Popatrzył na niego wyniośle i powoli splótł ręce na piersi.

- Niech pan je opuści - rzucił Niemiec.

Stephen posłuchał go, lecz wciąż milczał. I wyzywająco patrzył mu w oczy. W końcu się odezwał.

- Skończył pan, pułkowniku? - spytał płynną niemczyzną. - Już? - Miał szkliste oczy i wyniosłą, flegmatyczną minę. Znał niemiecki jak rodowity Niemiec, posługiwał się nim już od dzieciństwa, i jeśli nawet mówił z lekkim akcentem, był to arystokratyczny *Hochdeutsch*, którego nauczył się w szwajcarskiej szkole z internatem. Wiedział, że Niemcy mają kręcka na punkcie pochodzenia klasowego, że *Hochdeutsch* speszy go i onieśmieli.

- Słucham? - spytał pułkownik. Natychmiast zmienił mu się głos. Cała arogancja znikła i teraz był już tylko zdziwiony i wyraźnie zaniepokojony.

- *Dummkopf*. - warknął Stephen. - Kto rozkazał go zabić? Pan?

- Nie rozumiem...

- To niedopuszczalne. Kazałem schwytać go żywego. Żywego! Schwytać i przesłuchać. Jest pan niekompetentnym głupcem, pułkowniku! Legitymację poproszę. Skończony idiota. Kretyn. Zarządę dochodzenie. Wszystko pan zepsuł.

Twarc gestapowca odzwierciedlała sto uczuć naraz, od zaskoczenia i zmieszania poczynając, na niepokoj, a nawet strachu kończąc. Szybko wyjął portfel i okazał mu dokumenty.

- Herr Zimmerman.... - przeczytał Stephen i zmarszczył brwi, jakby starał się to nazwisko zapamiętać. - Standartenfuhrer Zimmerman, spieprzył pan robotę i osobiście pan za to

odpowie! Osobiście, zrozumiano? To pan rozkazał zabić tego brytyjskiego agenta?

- Nie, to nie ja - odrzekł zastraszonego gestapowca. - Doniesiono mi tylko, że pokazał się tu ten Amerykanin i myślałem, że to pan. Proszę zrozumieć, miałem powody...

- Skandal! I co pan tak długo robił? Czekam tu od piętnastu minut. To karygodne! Niedopuszczalne!

Metcalf wyjął z kieszeni papierosy, które odebrał gestapowcowi w *Librairie*, paczkę popularnych wśród nich astrów. Wyjął jednego, demonstracyjnie nie częstując pułkownika, i przypalił go sztormówką *Sturm-streichholzer*. Znak subtelny, acz wymowny: Metcalfe był niemieckim oficerem, jednym z nich.

- A teraz niech pan zabierze stąd tego trupa - rzucił, wypuszczając nosem kłęb gryzącego dymu. Podniósł z podłogi pistolet, z odrazą pokręcił głową i niespiesznie ruszył do drzwi.

- Chwileczkę - powiedział nagle Niemiec. Znowu zmienił mu się głos, ale tym razem zmiana ta bardzo Stephena zaniepokoiła.

Odrzucił się. Gestapowiec był dziwnie skonsternowany. Pistoletem wskazywał jego prawą nogę.

Metcalf odruchowo spojrział w dół. Nogawka spodni była przesiąknięta krwią. Rana, choć powierzchowna, obficie krwawiła.

Jego chwilowe zmieszanie natychmiast Niemca ośmieliło. Coś jest tu nie tak, myślał. Zmarszczył brwi.

- Poproszę o pańskie dokumenty - rzucił. - Mam prawo je obejrzeć. Chcę wiedzieć, czy na pewno...

Stephen nie czekał. Podniósł broń i wypalił. Kula trafiła w pierś i gestapowiec upadł. Metcalfe wystrzelił jeszcze raz, celując dokładnie w to samo miejsce. Tak dla pewności.

Niemiec nie żył, ale wraz z jego śmiercią sytuacja uległa radykalnej zmianie. Poszukiwało go gestapo, obojętne, czy znali jego prawdziwe nazwisko, czy nie. Co oznaczało, że nie może pokazać się na dworcu. Że nie może wsiąść do pociągu i pojechać wyznaczoną przez Corky'ego trasą - za bardzo by ryzykował. Musiał zmienić plany. Musiał zawiadomić Corcorana.

Wiedział, że od tej chwili jest człowiekiem naznaczonym. Że nie może już swobodnie chodzić po ulicy.

Powoli podszedł do martwego hitlerowca i zbadał mu puls. Pulsu nie było. W jego pierśsi widniały dwie dziury, małe i łatwe do ukrycia.

Musiał działać szybko i zdecydowanie. Najpierw rozebrał gestapowca, potem rozebrał się sam i do kieszeni munduru przełożył wszystko to, co miał w swoich: portfel, dokumenty, klucze i paszport. Zgarnął ubranie, wepchnął je do serwantki i włożył mundur. Leżał nieźle, chociaż był dziwnie sztywny - pewnie od krochmalu - i drapiący. Zawiązał krawat i zasłonił nim dziury po kulach, przypinając go do koszuli hitlerowską szpilką, oznaką przynależności partyjnej.

Dokumenty pułkownika też zabrał, dokumenty i broń, gdyż mogło mu się przydać i jedno, i drugie. W apteczce Dereka znalazł gazę, plaster i środek dezynfekujący. Szybko przewiązawszy udo bandażem, wyszedł z mieszkania w poszukiwaniu człowieka, który mógł wywieźć go z Paryża.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął Chip Nolan. - Wszyscy?

- Oprócz jednego - odrzekł wyraźnie przygaszony Corcoran; właśnie wszedł do skromnego mieszkania w ósmej dzielnicy, jednej z kilku paryskich kryjówek FBI.

- Boże święty! - Nolanowi załamał się głos. - Skurwysyny. Kto to zrobił?

Corcoran podszedł do okna i z niepokojem wyjrzał na ulicę.

- Właśnie dlatego cię tu ściągnąłem. Potrzebuję pomocy. Jednego zastrzelono, ale

dwóch uduszono garotą.

- Garotą?

- Dokładnie w taki sam sposób, w jaki w zeszłym tygodniu zabito tego belgijskiego bibliotekarza. Był członkiem mojej organizacji. Moim zdaniem to dzieło pewnego człowieka z Sicherheitsdienst, ale chcę to sprawdzić. Odciski palców, pełna ekspertyza medyczna, i tak dalej. Jesteście w tym dobrzy.

Nolan kiwnął głową.

- To ryzykowne, ale dla ciebie... Zgoda. Co za skurwysyny.

Corcoran odwrócił się od okna.

- To poważnie komplikuje nasze plany.

- Komplikuje? Plany? Jezus Maria, Corky, nie mam pojęcia, jak ty to robisz. Traktujesz świat jak wielką szachownicę. Chryste, przecież mówimy tu o ludziach! Oni mieli matki i ojców, braci i siostry. Mieli nazwisko. Czy śmierć człowieka nic dla ciebie nie znaczy?

- Absolutnie - warknął Corcoran. - Ludzie umierają wszędzie, w całej Europie i w Stanach. Nie mam czasu płakać nad losem garstki anonimowych agentów, którzy wiedzieli, czym ryzykują, wstępując do służby. Martwi mnie los świata, to, że lada dzień może nie być już światem wolnym. Jednostka musi podporządkować się wyższemu dobru.

- Jakbym słyszał Stalina - mruknął Nolan. - Tak mówią dyktatorzy. Jezu, ty naprawdę sikasz na zimno, co? Sukinsyn z ciebie, nie masz serca.

- Tylko wtedy, gdy wymaga tego moja praca.

- To znaczy kiedy?

- Cały czas, przyjacielu. Cały czas.

Rozdział 10

Hiszpan był wściekły. Jose Felix Antonio Maria di Liguori y Ortiz, minister spraw zagranicznych junty generała Franco, przyleciał do Paryża na serię tajnych rozmów z admirałem Jeanem-Francois Darlanem, dowódcą sił zbrojnych rządu Vichy. Jego prywatny samolot miał odlecieć już za kwadrans, tymczasem limuzyna utknęła na *Autoroute du Sud*, w połowie drogi z Porte d'Orleans na lotnisko Orly.

Ha! Nie dość, że uwięźli na autostradzie, to jeszcze w tunelu! Czarny, lśniący citroen traction avant 11N po prostu stał tam ze stygnącym silnikiem i z podniesioną maską, podczas gdy szofer próbował przywrócić go do życia.

Minister spojrzął na zegarek i nerwowo musnął swoje ekstrawagancko podkrecone, mocno nawoskowane wąsy.

- *Madre de Dios!* - wykrzyknął. - *Caray!* Co się tam, do diabła, dzieje?

- Bardzo przepraszam, ekscelencjo! - odkrzyknął szofer. - To chyba skrzynia biegów. Robię, co mogę!

- Samolot odlatuje za piętnaście minut! Pospiesz się!

- Tak jest, ekscelencjo - odrzekł szofer i cicho wymamrotał: - Chryste, przecież to twój samolot, debilu, bez ciebie nie odleci. - Pozostali trzej członkowie hiszpańskiej delegacji czekali w limuzynie stojącej tuż za nimi. No to się spóźnią, pomyślał. Wielkie mi co.

Szofer - nazywał się Henri Corbier - przeklinał w duchu tego wyniosłego faszystę z absurdalnym wąsem. Odkąd przed dwoma dniami Ortiz przyleciał do Paryża, wszystkim rozkazywał, wszystkimi pomiatał. Był nie do zniesienia.

Tego dnia kazał mu siedzieć przez osiem godzin na zimnie przed jakimś rządowym gmaszysłem, gdzie miał spotkanie z tymi dupkami z Vichy i bandą hitlerowskich generałów. Nie pozwolił mu nawet pójść do kafejki. Nie, na zimnie, cholera, musiał cały czas czekać na zimnie. A ponieważ benzyny było jak na lekarstwo, nie mógł nawet odpalić silnika!

Dlatego gdy jeden z jego kumpli, który podobnie jak on pogardzał szkopami i tym, co robili w Paryżu, poprosił go o małą przysługę, Henri nie tylko zgodził się mu ją oddać, ale i zrobił to z wielkim entuzjazmem. Kumpel zapewnił go, że to nic nielegalnego, że musi tylko unieruchomić limuzynę w drodze na lotnisko, żeby ten pieprzony faszysta spóźnił się na samolot. Tym sposobem jego przyjaciele będą mieli czas pobawić się jego junkersem Ju-52, ale to już nie jego sprawa. Ignorancja jest najlepszą ochroną. A silnik limuzyny ma prawo naważyć w każdej chwili - nikt mu nic nie udowodni.

Henri zrobiłby to za darmo, ale kiedy w zamian za spełnienie tego patriotycznego obowiązku tamten obiecał mu piękną, tłustą szynkę na święta, aż podskoczył z radości. Nie ma nic lepszego jak zapłata za coś, co tak czy inaczej chce się zrobić, w dodatku zapłata tak suta jak cenna, niemożliwa do zdobycia szynka.

- Dlaczego to tak długo trwa? - wrzasnął minister.

Henri grzebał w silniku, udając, że dokręca pokrywę cylindra.

- Już niedługo! - odkrzyknął. - Chyba wiem, co jest nie tak! - I cicho mruknął: - *Putain de merde!*

Stary renault juvaquatre zatrzymał się z piskiem opon przy budce wartownika, która blokowała wjazd na lotnisko Orly. Dwaj niemieccy żandarmi natychmiast stanęli na baczność.

Metcalf, wciąż w mundurze pułkownika gestapo, opuścił szybę.

- *Heil Hitler!* - rzucił władczo, migając im przed oczyma skradzioną legitymacją. Żandarmi odkrzyknęli "*Heil Hitler!*" i jeden z nich dał znak, że mogą jechać dalej.

Wszystko poszło zgodnie z oczekiwaniami. Nikt nie sprawdził legitymacji, nikt go o nic nie spytał. Żaden żandarm nie chciał ryzykować - mógł stracić pracę albo i głowę - niepokojąc wysokiego oficera gestapo, który najwyraźniej przyjechał tu służbowo.

- Dobra robota - powiedział Roger „Zgarniacz” Martin, właściciel samochodu. Wysoki, smukły, o mocno kręconych rudych włosach - zaczynał już tysiąc, chociaż miał dopiero dwadzieścia osiem lat i był niewiele starszy od Metcalfe'a - o ziemistej cerze i dziobatych policzkach, był pilotem RAF-u, myśliwskim asem, którego oddelegowano do SOE, Kierownictwa Operacji Specjalnych, organizacji wywiadowczo-dywersyjno-sabotażowej utworzonej przed kilkoma miesiącami przez Winstona Churchilla. Mieszkał w Paryżu i jako *medecin-chef* w Le Foyer du Soldat pomagał karmić i opatrywać jeńców wojennych, odwiedzając ich w szpitalach. Ze względu na swoją pracę, jako jeden z nielicznych paryżan miał prawo prowadzić prywatny samochód.

- To było najłatwiejsze - odrzekł Stephen, omiatając wzrokiem asfaltowy parking. Już na samym początku okupacji hitlerowcy przekształcili Orły w bazę wojskową. Jedynymi samolotami, które mogły tu lądować i startować, były samoloty wojskowe oraz maszyny dygnitarzy. Cały teren patrolowali żołnierze Wehrmachtu, uzbrojeni w lekkie karabiny maszynowe MG-34, w schmeissery i automaty MP-38. Wszędzie roilo się od transporterów, ciężarówek marki Skoda i Steyr i trzytonowych wozów ciężarowych Opel Blitz.

- Tam - powiedział Roger, wskazując bramę w siatce biegnącej wzdłuż pasów startowych i hangarów.

Metcalfe skręcił.

- Wielkie dzięki za pomoc.

- Jakbym miał jakiś wybór, cholera- mruknął Martin. - Corcoran dzwoni do sir Franka, sruti-tuti, i każą mi lecieć na Śląsk!

- Przestań. Wiem, że i tak byś to dla mnie zrobił - odrzekł z chytrym uśmieszkiem Stephen. Roger skontaktował się z Corcoranem kanałami SOE, żeby przekazać mu wiadomość o koszarnej jatce w Jaskini i poinformować go o nagłej zmianie planów. Corky musiał teraz ulokować w Moskwie jeszcze jednego gościa.

- Akurat - odparł ponuro Roger. - Przyjaźń ma swoje granice.

Metcalfe dobrze znał jego wisielcze poczucie humoru. Roger często udawał męczennika i narzekał na los, ale była to tylko poza. Tak naprawdę był wiernym przyjacielem i uwielbiał robić to, co robił. Tak samo grał w pokera: jęczał, marudził i biadolił, że ma złą kartę, a potem wykladał na stół pokera, w dodatku królewskiego.

Urodził się w Cognac -jego matka była Francuzką, ojciec Irlandczykiem - w rodzinie, która od XVIII wieku zajmowała się produkcją koniaku. Miał podwójne obywatelstwo i po francusku mówił jak Francuz, ale uważał się za Brytyjczyka. Odkąd po raz pierwszy zobaczył dwupłatowiec nad Nord-Pas-de-Calais, marzył o lataniu. Mając gdzieś rodzinny interes, został pilotem Air France, potem służył we Francuskich Siłach Powietrznych w Syrii, a gdy do Francji wkroczyli hitlerowcy, wstąpił do Ochotniczej Rezerwy Królewskich Sił Powietrznych i po przeszkoleniu został pilotem w tak zwanych Moon Squadrons, Księżycowych Eskadrach. Stacjonował w Tangmere na południowym wybrzeżu Wielkiej Brytanii i podczas ewakuacji pod Dunkierką latał swoją maleńką, jednosilnikową „Lizzie”, zrzucając amunicję i żywność dla okrążonych żołnierzy broniących Calais. Anglicy stracili wtedy mnóstwo lysanderów, ale jego „Lizzie” jakimś cudem ocalała. Roger wylatał tysiące godzin w tajnych nocnych misjach nad kontynentem, ewakuując dziesiątki brytyjskich agentów. Tuż pod nosem nieprzyjaciela, startował i lądował na wyboistych, tonących w błocie francuskich polach, oświetlonych jedynie kilkoma pochodniami, i nie miał w tym sobie równych. „Zrzucić faceta nad Francją może każdy głupek - powiedział kiedyś Stephenowi. - Ale zgarnąć go stamtąd jest trochę trudniej”.

Słyszał z tego, że wypełniał misje niemożliwe do wypełnienia, że ewakuował agentów, lądując w najtrudniejszym terenie. Jego dowódca ochrzcił go przydomkiem Zgarniacz i tak już pozostało.

- Dalibóg, nie wiem, jak chcesz to zrobić - jęknął, gdy wysiedli z samochodu; na drzewczkach widniały insygnia Le Foyer du Soldat i znak Czerwonego Krzyża.

- Ty musisz tylko trzymać język za zębami - odrzekł Metcalfe. - Tyle chyba potrafisz.

Roger mruknął coś pod nosem.

- Jesteś moim pilotem. Resztę zostaw mnie.

Podeszli do kolejnej budki i wyprężył się przed nimi kolejny wartownik. Zasalutował, zerknął na jego legitymację, kiwnął głową i podniósł szlaban.

- Dokąd teraz? - szepnął Stephen. - Do którego hangaru?

- Diabli wiedzą. Znamy tylko numer maszyny i czas odlotu... - Roger urwał: zbliżali się do trzeciego już z kolei punktu kontrolnego. Tym razem Metcalfe po prostu zasalutował, a żandarm odpowiedział mu tym samym.

- Wejść do pierwszego lepszego i spytam - mówił dalej Roger, gdy weszli na łąkę przy pasie startowym. - Powiem, że miałem zgłosić się na służbę i źle mnie poinformowano.

Ponownie urwał: mijali zbitą grupę hitlerowskich oficerów, którzy palili papierosy i śmiali się do rozpuku, oglądając wachlarz francuskich pocztówek w pulchnych rękach jakiegoś Gruppenfuhrera. Stephen zamarł. Ten Gruppenfuhrer... Chryste, znał go. Przecież to jeden z jego niemieckich klientów, generał brygady Johannes Koller!

Szybko odwrócił głowę, udając, że pochłania go cicha rozmowa z Rogerem. Zdawał sobie sprawę, że może spotkać kogoś znajomego, że to tylko kwestia czasu - ale na miłość boską, nie teraz, nie tutaj!

Roger zerknął na jego twarz i natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak. Był zaskoczony, ale milczał.

Było prawdopodobne, że zajęty pokazywaniem pocztówek Koller go nie rozpoznał, a nawet gdyby rozpoznał, na pewno zmylił go gestapowski mundur - niepewność zamyka usta.

Wreszcie dotarli do ostatniego punktu kontrolnego, do otwartej budki na skraju asfaltowej płyty lotniska i stojących przy niej dwóch żandarmów. Musieli go tylko minąć i *znaleźć* właściwy hangar. Metcalfe był coraz bardziej spięty. Gdyby żandarmi sprawdzili skradzioną legitymację służbową, a zwłaszcza zdjęcie, wpadliby w bagno po same uszy. Gestapowiec, którego zabił w mieszkaniu Johnny'ego, był do niego podobny jak pięść do nosa.

Ale nie: dowódca punktu kontrolnego zasalutował i bez słowa ich przepuścił. Stephen cicho odetchnął, lecz w tym samym momencie kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Koller! Szedł szybko w ich stronę, a tuż za nim pozostali oficerowie.

Metcalfe przyspieszył kroku.

- Biegnij - szepnął do Rogera.

- Co?

- Do hangaru. Jesteś pilotem, spóźniłeś się na lot. Ja nie mogę biec. Podejrzenie by to wyglądało.

- Zwariowałeś.

- Rób, co mówię. Zaraz tam będę.

Roger wzruszył ramionami, oszołomiony pokręcił głową i ni to idąc, ni biegnąc, poturczał przed siebie jak człowiek, któremu bardzo się spieszy. Tymczasem Stephen szedł krokiem statecznym i zdecydowanym.

- Herr Standartenfuhrer! Herr Standartenfuhrer!

Metcalfe obejrzał się i zobaczył żandarma, który przed chwilą go przepuścił. Tuż obok niego stał Koller. Koller wskazywał go ręką.

Stephen wzruszył ramionami. Udając skonsternowanego, przystanął, pochylił głowę i zaczął szukać czegoś w kieszeni. Twarz. Musiał ukryć twarz! Ukradkiem zerknął przez ramię.

Roger wchodził już do hangaru. Biec za nim? Bez sensu, złapaliby ich, i tyle. Zresztą było już za późno. Szli ku niemu Koller i żandarmi.

- Ja go znam! - wykrzyknął Gruppenfuhrer. - To oszust!

- Panie pułkowniku - powiedział żandarm. - Poproszę o pańskie dokumenty.

- To jakiś żart? - odparł Stephen głośno i dobitnie. - Spieszę się, mam ważne sprawy.

Stanęli tuż obok niego.

- Tak, to Eigen! - krzyknął Koller. - Daniel Eigen! Wiedziałem, że to on!

- Pańskie dokumenty, panie pułkowniku - powtórzył żandarm.

- Co pan, do diabła, tu robi, Eigen? - warknął Koller, przesywając go wzrokiem. - To przestępstwo, to...

- Zamknij gębę, idioto! - ryknął Metcalfe. Błyskawicznie wyciągnął rękę, wsunął mu ją pod mundur, wyjął plik pornograficznych pocztówek, cisnął je w powietrze, pogardliwie prychnął i zbliżył twarz do jego twarzy. - Spójrz tylko, czym zabawia się ten degenerat! - warknął do żandarma. - Czujesz, jak zalatuje mu z pyska? Jest pijany!

Koller poczerwieniał. Jego twarz zrobiła się purpurowa. - Jak śmiesz, ty...

- Bez względu na to, czy to jakiś głupi żart, czy sabotaż, jego autorem jest on, ten bydlak! Pijany degenerat, który chce uderzyć w samo serce Rzeszy! - Spojrzał na Kollera i dźgnął go palcem w pierś. - Obojętne kim jesteś, zboczeńcu, i jak bardzo zboczone masz zamiary, kto dał ci prawo przeszkadzać mi w wykonywaniu pilnych rozkazów związanych z bezpieczeństwem kraju? Jak mawia Fuhrer, przyszłość należy do czujnych. - Zdegustowany pokręcił głową. - *Gott im Himmel!* To hańba, pan nas kompromituje.

Odwrócił się na pięcie i ponownie ruszył w stronę hangaru. Idąc, nasłuchiwał krzyków, tupotu nóg, jakichkolwiek oznak tego, że blef nie wypalił. Słyszał, jak Koller wyklóca się z wartownikiem, jak podnosi głos, jak wrzeszczy, ogarnięty apoplektyczną wprost furiją. A jednak! Słowny kontratak poskutkował, choć pewnie nie na długo. Ile zyska czasu? Minutę? Dwie?

Lepsze to niż nic. Różnica między sukcesem i porażką jest często kwestią kilku sekund.

Puścił się biegiem. Hangar, wielka budowla ze sprężonego, wzmocnionego stałą betonu, przypominał kształtem beczkę. Kiedyś parkowały tam zeppelin, teraz junkers Ju-52/3m, którym minister spraw zagranicznych Hiszpanii miał odlecieć do kraju.

Lecz *El Ministro* się spóźniał, a jego pilot, czarnowłosa mężczyzna w skórzanej kurtce, leżał bezwładnie pod betonową ścianą. Co Roger mu zrobił? Zabił go? Był pilotem, nie agentem, ale gdyby musiał odebrać komuś życie, zrobiłby to bez wahania.

Pędząc, Stephen usłyszał ryk trzech silników. Brzydka, długa i płaska maszyna drgnęła i ruszyła do przodu. W pleksiglasowej kabinie siedział Roger, dziko wymachując rękami. Coś krzyczał, ale jego głos tonął w ogłuszającym jazgocie silników.

Samolot miał około osiemnastu metrów długości i prawie sześć wysokości. Na jego burcie z lekkich, marszczonych blach wymalowano słowa: IBERIA-LINEAS AEREAS ESPAÑOLAS. Była to niemiecka maszyna w służbie hiszpańskich linii lotniczych - pewnie została tam po hiszpańskiej wojnie domowej.

Prawdziwy obłęd! Czyste szaleństwo! Roger kazał mu wskakiwać do kołującego samolotu! Ale nie było wyboru: biegło ku nim kilku wartowników z pistoletami w rękę. Pochyliwszy głowę - gigantyczne śmigła wirowały tuż-tuż - przebiegł pod niskim, wspornikowym skrzydłem i chwycił się otwartych drzwiczek. Schodków rzecz jasna nie było, ale po co komu schodki. Podciągnął się, usiadł na podłodze i gdy samolot wy-kołował na asfalt, zatrzasnął drzwiczki.

W duraluminiowe poszycie zabębniły kule. Maszyna była lekko opancerzona i mogła wytrzymać ogień z ręcznej broni palnej, ale nic poza tym. Silniki jęknęły, zwiększyły obroty. Przez małe okienko widział uciekający spod kół asfalt. Wyposażona w dwanaście wygodnych foteli kabina pasażerska była niemal luksusowa, jak kabiny we wszystkich junkersach tego

typu. Ruszył do przodu, lecz gwałtowne szarpnięcie rzuciło go na podłogę. Do kabiny pilota musiał się doczołgać.

- Siadaj! - wrzasnął Roger. - I zapnij pasy!

Kolejna salwa i znowu grad kul. Te trafiły w nos, lecz pleksiglas wysoko umieszczonej kabiny był osłonięty ściętymi, skośnymi burtami, dzięki czemu ocalał. Stephen spojrzął przed siebie: z odległości trzydziestu metrów strzelało do nich trzech żandarmów.

I raptem zdał sobie sprawę, że pędzą prosto na nich, że Roger w nich celuje! Gdy byli tuż-tuż, tamci uskoczyli w bok i runęli na ziemię, nie chcąc ryzykować życia w głupiej próbie zatrzymania prawie siedmiu ton rozpędzonej stali.

Roger mówił coś do mikrofonu, ale Stephen go nie słyszał. Przepustnice były maksymalnie otwarte, silniki wyły na pełnych obrotach. Roger ustawił flapsy. Jeszcze kilka kul - trafiły gdzieś z tyłu, chyba w ogon -i samolot oderwał się od ziemi.

Ryk silników nieco zelżał.

- Jezus Maria - rzucił Roger. - Metcalfe, w coś ty mnie wpakował?

- Udało się.

- Ledwo.

- Ale się udało. A propos, dostaliśmy pozwolenie na start?

Roger wzruszył ramionami.

- Niby tak, ale musieliśmy wystartować wcześniej. Przez chwilę nic nam chyba nie grozi.

- Przez chwilę?

- Nie sądzę, żeby kontroler ruchu powietrznego Luftwaffe rozkazał nas zestrzelić. Zbyt wiele niewiadomych. Hiszpański samolot, oficjalne pozwolenie na start, sprzeczne meldunki...

- Nie sądzisz? Jak to nie sądzisz?

- Stephen, podoba ci się to, czy nie, jest wojna. Na szczęście lecimy cywilną maszyną, więc moi kumple z RAF-u nie będą do nas strzelać. Nie, boję się, co zrobią te przekłete szkopy. Lecimy skradzionym samolotem w kontrolowanej przez nich przestrzeni powietrznej. Wiesz, czym to pachnie?

Metcalfe postanowił zignorować to ostrzeżenie, bo ostatecznie cóż mógł teraz zrobić? Pozostawała mu jedynie nadzieja i wiara w wyjątkowe umiejętności Rogera.

- Latałeś już tym?

- Jasne. *Tante Ju*. Trumna ze zmarszczkami. Nie, w sumie to nie latałem. Ale mało brakowało.

- Chryste - jęknął Metcalfe. - Daleko tym zalecimy?

Roger milczał. Wchodzili na wyższy pułap.

- Tysiąc, tysiąc trzysta kilometrów z dodatkowymi zbiornikami.

- Ledwo ledwo.

- Na Śląsk? Fakt.

- Potem też będzie ciężko, nawet jeśli bezpiecznie wylądujemy i zatankujemy.

- Zatankujemy? Po cholere?

- Kolejne tysiąc trzysta kilometrów, tak myślę. Dolecimy na suchym baku.

- Gdzie dolecimy? Przecież mamy siadać na Śląsku.

- Tak, i znowu wystartować. Mam randkę. Ze starą przyjaciółką.

- Metcalfe, co ty pieprzysz? Odbiło ci czy co?

- Nie. Lecimy do Moskwy.

Część 2

Moskwa, sierpień 1991

Ambasador odłożył słuchawkę telefonu. Był zdruzgotany. Minęła północ. Siedział w tak zwanym bezpiecznym pokoju na pierwszym piętrze dworku Spaso, żółtawego, bogato zdobionego pałacyku, niecałe dwa kilometry od Kremla, gdzie mieściła się rezydencja ambasadora Stanów Zjednoczonych w Moskwie. Mieszkał tu przez cztery lata w latach sześćdziesiątych i dobrze ten dom znał. Obecny ambasador, jego przyjaciel, z przyjemnością udostępnił telefon legendarnemu Stephenowi Metcalfe'owi.

Prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego zapoznał go przed chwilą z doniesieniami wywiadu o narastającym kryzysie. Sytuacja wyglądała źle. Bardzo źle.

Radziecki przywódca Michaił Gorbaczow, który wraz z rodziną spędzał urlop w prezydenckiej rezydencji na Krymie, został zakładnikiem puczystów. Puczyści - łącznie z przewodniczącym KGB, ministrem obrony narodowej, przewodniczącym Biura Politycznego, premierem, a nawet szefem sztabu Gorbaczowa - wprowadzili stan wyjątkowy. Ogłosili - niezgodnie z prawdą oczywiście - że Gorbaczow zachorował i nie jest w stanie kierować państwem. W jednej z pskowskich fabryk zamówili dwieście pięćdziesiąt tysięcy kajdanek i kazali wydrukować trzysta tysięcy nakazów aresztowania. Opróżnili dwa piętra więzienia Lefortowo w Moskwie, żeby umieścić tam swoich przeciwników.

Przed rezydencją czekał rządowy żółty. Metcalfe usiadł obok swego starego przyjaciela, rosyjskiego generała. Generał, który niegdyś używał pseudonimu Kurwenal, był teraz w cywilnym ubraniu. Dał znak kierowcy i samochód popędził zastawioną czołgami ulicą.

- Gorbaczow nie może się z nikim skontaktować - zaczął bez wstępów wyraźnie spięty Rosjanin. - Puczyści przecięli wszystkie linie telefoniczne, nawet specjalną linię dowódcy sztabu generalnego.

- Jest jeszcze gorzej - odrzekł Metcalfe. - Właśnie powiedziano mi, że odebrali mi teczkę z kodami nuklearnymi.

Generał zamknął oczy. Teczka zawierała najtajniejsze, najpilniej strzeżone kody, które otwierały spiskowcom dostęp do radzieckiego arsenału raketowego. Myśl o tak potężnej broni w rękach grupy szaleńców była porażająca.

- Gorbaczow żyje?

- Chyba tak, wszystko na to wskazuje - odrzekł Metcalfe.

- Chcą zmiany. Więc będą mieli zmianę, ale nie taką, jakiej się spodziewali. Pod warunkiem że... - Generał urwał.

Metcalfe czekał.

- Że? - ponaglił go w końcu.

- Że zechce w to wkroczyć Dirizor. Tylko on może ich powstrzymać.

- Posłuchają go?

- O tak, nawet więcej niż posłuchają. Jako szef państwowego kompleksu militarno-przemysłowego, Dirizor ma potężną władzę.

Metcalfe poprawił się w fotelu.

- Wiesz, to dziwne - powiedział. - Rozmawiamy ze sobą tylko podczas wielkich kryzysów politycznych. Kiedy świat jest na krawędzi wojny nuklearnej. Mur Berliński, kryzys kubański...

- A nie mówiłem, że Chruszczow nie odpali tych rakiet?

- Nigdy nie zdradziłeś interesów swego kraju. Ja też nie. Jesteśmy czymś w rodzaju...

- Bezpieczników. Prawda? Ilekroć dochodzi do spięcia, chronimy dom przed pożarem.

- Ale jesteśmy już starzy, i ty, i ja. Szanują nas, bo mamy reputację, bo niby jesteśmy „mądrzy”. A ja zawsze powtarzam, że mądrość rodzi się z błędów...

- I z nauki, która z nich wypływa - wtrącił generał.

- Może. Ale ja jestem już na emeryturze. W Waszyngtonie się ze mną nie liczą. Gdyby nie

moje pieniądze, wątpię, czy zapraszano by mnie do Białego Domu.

- Dla Dyrygenta to nieważne.

- Należę do przeszłości. Do historii.

- W Rosji przeszłość nigdy nie umiera, a historia nie jest tylko historią.

Zanim Metcalfe zdążył odpowiedzieć, zapisać opony i limuzyna gwałtownie zahamowała. Ulica była zablokowana. Pacholki na jezdni, flary, zbity szereg umundurowanych żołnierzy...

- Alfa - szepnął generał.

- Każ im nas przepuścić, jesteś ich dowódcą.

-Nie, to nie wojsko. To KGB, elitarna grupa operacyjna. Bili się w Afganistanie, na Litwie... - Generał ciężko westchnął. - A teraz są tutaj, w Moskwie.

Żołnierze otoczyli samochód z wycelowanymi pistoletami maszynowymi.

- Wysiadać - rzucił dowódca. - Ty, kierowca. I wy tam z tyłu. Szybko!

- Boże - westchnął generał. - Ci ludzie mogą nas zabić.

Rozdział 11

Moskwa, listopad 1940

Od jego ostatniej wizyty zaszło tu wiele radykalnych zmian, mimo to Moskwa wyglądała prawie tak samo: zaniedbana i wspaniała, była miastem dumnym i pełnym rozpacz. Wszędzie, od hotelowego holu poczynając, na Kuźnieckim moście kończąc, zalatywało tanią machorką, zapachem, który zawsze kojarzył mu się z Rosją. Z Rosją kojarzył mu się również charakterystyczny kwaśny odór mokrych owczych skór - czuł go niemal na każdym kroku jak kiedyś.

Niby wszystko było tak samo jak kiedyś, jednak tyle się zmieniło. Stare, jedno- i dwupiętrowe domy zburzono, by w ich miejsce wzniesć olbrzymie drapacze chmur w kształcie weselnego tortu, których wygląd odpowiadał gustom Stalina, i których styl zwano tu stalinowskim gotykiem. Wszędzie trwały gorączkowe prace budowlane, wszędzie widziało się rozkopy. Moskwa zmieniała się w stolicę totalitarnego imperium.

Zniknęły konne dorożki. Brukowane ulice poszerzono i wylano asfaltem, ponieważ miasto wkraczało w erę samochodową. Nie, żeby jeździło tu aż tyle samochodów, wprost przeciwnie. Widywało się jedynie stare, zdezelowane renówki, ale przede wszystkim emki, rosyjskie samochody marki GAZ M-1, wzorowane na amerykańskim fordzie z 1933. Po szynach wciąż sunęły hałaśliwe ciemnobrązowe tramwaje, a moskwianie wciąż jeździli na stopniach, przytrzymując się drzwi, chociaż tłok panował w nich dużo mniejszy niż kiedyś - istniały inne środki komunikacji miejskiej, jak choćby nowo zbudowane metro.

Powietrze było bardzo zanieczyszczone: fabryki, pociągi i samochody zatruwały je dymem i spalinami. Stara, stroma ulica Twerska, piękna, szeroka przelotówka, została przemianowana na ulicę Gorkiego, od nazwiska rosyjskiego pisarza, który popierał i wychwalał rewolucję. Większość małych sklepów zastąpiono olbrzymimi domami towarowymi -domami, w których mimo eleganckich witryn były jedynie puste półki. Brakowało żywności, za to propaganda szalała. Wszędzie wisiały wielkie portrety Stalina albo Stalina i Lenina w duecie. Na wszystkich gmachach powiewały czerwone flagi, wszystkie ściany oblepiono gigantycznymi transparentami.

PRZEKROCZYMY NORMY PLANU PIĘCIOLETNIEGO!

KOMUNIZM = RADZIECKA WŁADZA + ELEKTRYFIKACJA KRAJU!

Ale pod przykrywką tych komunistycznych haseł i symboli żyła wieczna, prastara Moskwa: w słońcu lśniły złote bulwiaste kopuły prawosławnych cerkwi, mieniła się kolorami katedra Świętego Bazylego na placu Czerwonym. I ci ludzie: robotnicy w zniszczonych, podszytych watoliną pikowanych kubrakach, wieśniacy w grubych kabatach i w papachach, spieszący dokądś z siatkami i domowej roboty drewnianymi kuferkami.

Ale na ich twarzach malowało się coś nowego: strach, strach głębszy i większy niż przed sześcioma laty, paraliżujący obłęd, przerażenie, które ogarniało ich niczym gęsta mgła. To była najbardziej widoczna i najstraszniejsza zmiana. Wielki terror, czystki z lat trzydziestych, które rozpoczęły się po jego wyjeździe z Moskwy, odcisnęły trwałe piętno i na twarzy zwykłego wieśniaka, i najwyższego z komisarzy.

Widział je podczas spotkania w Ludowym Komisariacie do spraw Handlu Zagranicznego, spotkania, które choć ciągnęło się bez końca, stanowiło niezbędny element całej maskarady i było głównym pretekstem dla jego pobytu w Moskwie. Niektórych członków delegacji radzieckiej powinien znać z dawnych czasów, ale zmienili się prawie nie do poznania. Wesoły, zawsze roześmiany Litwиков był teraz nachmurzony i załęczniony, a jego doradcy, dawniej

wylewni i serdeczni w obecności wielkiego amerykańskiego kapitalisty, zdawali się beznamiętni i wyniośli. Spoglądali na niego z zazdrością i strachem. Był tu osobistością, tak, lecz był również chory. Chory na zaraźliwą chorobę i gdyby się do niego zanadto zbliżyli, ich przełożeni mogliby uznać, że są skażeni, naznaczeni, i natychmiast oskarżyć ich o szpiegostwo czy o współpracę z agentem obcego wywiadu. Zostaliby aresztowani i straceni. Ludzi rozstrzelano tu za znacznie mniejsze przewinienia.

Boże, cóż to był za koszmar. Metcalfe pokręcił głową. Siedzieli w przegrzanej sali przy zasłanym zielonym sukniem stole, a on musiał dokonywać ekwilibrystycznych sztuczek, lawirując między delikatnymi aluzjami i obietnicami w taki sposób, żeby niczego konkretnego im nie obiecać. Wspominał o rodzinnych koneksjach politycznych, kilka razy wymienił nazwisko Franklina Roosevelta, nazwiska jego zaufanych doradców i wpływowych senatorów. Powiedział im w tajemnicy, że mimo publicznej krytyki pod adresem Rosji, prezydent pragnie zwiększyć wymianę handlową ze Związkiem Radzieckim i wyraźnie widział, że momentalnie nadstawili uszu. Wszystko to razem było jedynie zasłoną dymną - i fragmentami lustra, jak powiedziałyby Corcoran - ale chyba podziałało.

Teraz szedł przez plac Teatralny i miał przed sobą lśniąca fasadę teatru Bolszoi z jej wspartym na ośmiu kolumnach portykiem i czterema brązowymi końmi rydwanu Apolla na szczycie. Serce zabiło mu szybciej.

Minął milicjanta, który zerknął na niego nieufnie, a potem otaksował spojrzeniem jego ubranie, ciężki, kaszmirowy płaszcz i pięknie uszyte skórzane rękawiczki. Cóż, ostatecznie był spadkobiercą imperium przemysłowego Metcalfe'ów i musiał się tak ubierać.

„Najciemniej jest pod latarnią - przypominał mu nieustannie Corky. Nagość to najlepsze przebranie”.

„W nagości to on jest dobry - zażartował kiedyś Derek Compton-Jones, podsłuchawszy ich rozmowę. - Myśli, że jednorazówka to taki szybki, jednorazowy numer na boku”.

Derek. Metcalfe'owi ścisnęło się serce. Jego przyjaciele z paryskiej stacji już nie żyli. Wszyscy. Zamordowano dobrych, dzielnych ludzi, ale jak? I dlaczego?

Przypomniało mu się rosyjskie przysłowie - gdy mieszkał tu przed laty, słyszał ich dzieciątki, może nawet setki - które mówiło: „Wracaj do przeszłości, a stracisz oko; zapomnij o niej, a oślepniesz”.

Wiedział, że on o przeszłości nie zapomni. Że po prostu nie może. Tu, w Moskwie, przeszłość otaczała go i wracała, a on wracał do niej. Tu przeszłość miała imię Świetlana.

Przed teatrem czekał tłum. Tego wieczoru grano *Czerwony mak*, a on nie miał biletu - wszystkie już dawno wyprzedano. Ale nie ma sytuacji bez wyjścia. Za twardą walutę - amerykańskie dolary, brytyjskie funty i francuskie franki - można tu było kupić niemal wszystko. Wśród moskwian zawsze znalazł się ktoś, kto rozpaczliwie potrzebował *waliuty* na jedzenie ze specjalnych sklepów dla obcokrajowców, kto był zdesperowany na tyle, żeby sprzedać cenne, bardzo poszukiwane bilety do teatru Bolszoi. Rozpacz i desperacja: w Moskwie zawsze mógł na to liczyć.

Stojący na chodniku ludzie byli lepiej ubrani niż ci, których widywał na ulicy, ale cóż, bilety do Wielkiego można było zdobyć jedynie przez znajomości. Trzeba było kogoś znać, być kimś ważnym, członkiem partii albo... obcokrajowcem. W tłumie dostrzegł wiele mundurów i czerwonych epoletów na ramionach oficerów. Epolety były tu nowością. Niedawno wprowadził je Stalin, żeby podbudować morale Armii Czerwonej, zastraszonej czystkami w trzydziestym ósmym, kiedy to wielu dowódców stracono pod zarzutem zdrady na rzecz hitlerowskich Niemiec.

Ale najbardziej rzuciły mu się w oczy nie ich galowe mundury i wyszywane srebrną nicią gwiazdy na epoletach, tylko to, że mieli krótko ostrzyżone włosy, jak Prusacy. Nawet wyglądali jak Prusacy, jak ich hitlerowscy koledzy. Jezu, te pobrękujące brązowe i złote medale

na piersi, te pistolety w wypolerowanych na błysk kaburach, te pasy oficerskie z szelką przez ramię.

Dziwne: Moskwa trzymała z Niemcami. Rosja podpisała pakt o nieagresji ze swoim największym wrogiem. Dwa europejskie mocarstwa były teraz sojusznikami. Faszyci uściśnęli rękę komunistom. Komuniści zaopatrywali faszystów w środki niezbędne do prowadzenia wojny. A siły miłujące pokój i wolność miały nadzieję pokonać i jednych, i drugich - jakim cudem? Czystry obłąd.

Poczuł znajomy zapach. Rozsiewały go Rosjanki w wydekoltowanych wieczorowych sukniach: używały radzieckich perfum Czerwony Mak -jakże odpowiednie do dzisiejszego spektaklu! - perfumy tak koszarne, że obcokrajowcy nazywali je Oddechem Stalina.

Jakiś staruszek pochwycił jego spojrzenie, podszedł bliżej i szepnął:

- *Biliety? Wy chotitie biliety?*

Był w przetartym palcie - palcie niegdyś eleganckim. I w przetartych rękawiczkach z zacerowanymi szpagatem palcami. Przed laty musiał być zamożny, teraz był nędzarzem. I mówił... Tak, mówił jak człowiek wykształcony. Ten widok rozdzierał serce.

Metcalfę skinął głową.

- Jeden.

- Mam dwa - odrzekł starzec. - Nie zabierze pan do teatru żony?

- Nie, potrzebny mi jeden. Ale zapłacę za dwa. - Wyjął cienki zwitek banknotów - celowo przepłacił, i to sporo - i starzec wytrzeszczył oczy.

- Dziękuję panu. - Podał mu bilety. - Bardzo panu dziękuję.

Uśmiechnął się, błyskając rzędem złotych koronek. Kiedyś stać go było nawet na taki luksus.

W Rosji brakowało niemal wszystkiego. Żywności, paliwa, ubrań... Ale najbardziej brakowało godności osobistej.

Płaszcz zostawił w szatni, jak wszyscy. Siwowłosa starowinka o pomarszczonej twarzy pogłaskała go z podziwem i powiesiła między sfatygowanymi, workowatymi paltami.

Zabrzmiał dzwonek i Metcalfe dołączył do kłębiącego się w holu tłumu. Gdy wszedł do sali, uderzył go jej przepych. Zapomniał już, jak bogato jest zdobiona: była wyspą carskiej ekstrawagancji na moskiewskim morzu ponurej szarości i zgorzknienia. Z wysokiego, kopulastego sufitu, zdobionego pięknymi, klasycznymi freskami, zwisał gigantyczny kryształowy żyrandol. Carską lożę - czerwone kotary, połączone fotele pod sowieckim sierpem i młotem - otaczało sześć rzędów łóż prywatnych. Na złotej kurtynie wyhaftowano wielkie litery CCCP, *Sojuz Sowietkich Socjalistycznych Rzespublik*, i dziesiątki dat z historii Związku Radzieckiego.

Miał doskonałe miejsce. Rozglądając się po sali, zauważył, że tuż za nim siedzi młody rosyjski oficer. Rosjanin uśmiechnął się do niego i zagadnął:

- Piękny teatr, prawda?

Metcalfę odpowiedział mu uśmiechem.

- Fantastyczny. - I nagle zdrętwiał. Oficer zagadnął do niego po angielsku, nie po rosyjsku.

Dlaczego? Czyżby wiedział, że...

Nie, to ubranie. Na pewno. Czujne i wprawne rosyjskie oko wypatrzy w tłumie każdego obcokrajowca. Ale dlaczego akurat po angielsku?

- Dzisiejszy spektakl jest wyjątkowy - dodał oficer. Miał gęste rude włosy, wydatny nos i pełne, okrutne usta. - *Czerwony mak* Gliere'a. Zna pan treść? To o pewnej tancerce zniewolonej przez bezwzględne, nikczemne kapitalistę. - Na jego ustach błąkał się szyderczy uśmiezek.

Stephen kiwnął głową i uśmiechnął się układowo. I nagle zauważył coś jeszcze: rudzielec nie był zwykłym żołnierzem. Miał na sobie zielony mundur ze złotymi epoletami, mundur majora GRU, Głównego Zarządu Wywiadowczego Sztabu Generalnego. Wywiad wojskowy: rudzielec był szpiegiem.

- Tak, znam tę opowieść - odrzekł. - My, źli, nikczemni kapitaliści, jesteśmy świetną pożywką dla rosyjskiej propagandy.

Oficer kiwnął głową, jakby było to oczywiste.

- Rolę Tao-Hoa tańczy nasza primabalerina, Swietłana Baranowa. – Uniósł brwi, lecz nie zmienił wyrazu twarzy. - Jest fenomenalna.

- Naprawdę? - odrzekł Metcalfe. - Nie omieszkać się jej przyjrzeć.

- O tak, ja też. Przychodzę na jej każdy występ.

Stephen posłał mu jeszcze jeden uśmiech i się odwrócił. Ogarnął go niepokój, nawet lęk. Ten człowiek go znał. Na pewno. Wystarczyło spojrzeć na jego twarz. I celowo dał mu to do zrozumienia. Nie było co do tego żadnych wątpliwości.

Co oznaczało, że GRU przysłało go tu specjalnie. Zawirowało mu w głowie. Jak to zorganizowali? Bo przecież musieli to jakoś zorganizować. W tym „przypadkowym” spotkaniu nie było nic przypadkowego.

Ale jak? Odtworzył w myśli kilkanaście ostatnich minut. Pamiętał, jak siadał: jego fotel był pusty, ze wszystkich stron otoczony głowami widzów, z boków, z przodu i z tyłu. Oficer już tam siedział! Tak, doskonale pamiętał te rude włosy, tę okrutną, arogancką twarz - zarejestrował ją kątem oka, podświadomie. Nie mógł, po prostu nie mógł usiąść po nim.

Ale jeśli tak, jak to zrobili? Włosy stanęły mu dęba - powoli popadał w paranoję. Jakie było prawdopodobieństwo, że bilet, który kupił od konika przed teatrem na kilka minut przed spektaklem, zaprowadzi go na fotel stojący dokładnie przed agentem GRU, który wiedział o jego związku z Laną Baranowa?

Zadrzał. Ten starzec, ten zdesperowany, niegdyś elegancki mężczyzna. Był zdesperowany na tyle, że wypełniłby każdy rozkaz.

Ukartowali to. Prawda?

Wiedzieli, że idzie do teatru - oni, czyli szpicle, obserwatorzy, radzieckie władze, a w tym przypadku elitarny GRU - i chcieli dać mu do zrozumienia, że wiedzą, iż bez ich wiedzy nie jest w stanie wykonać najmniejszego ruchu. A może jednak to naprawdę paranoja?

Nie. To nie przypadek. Szli za nim aż do teatru, ale szli dyskretnie, jak na dobrych fachowców przystało; niczego nie zauważył, niczego nie wyczuł i właśnie to było najbardziej niepokojące. Bo zazwyczaj wyczuwał ogon na kilometr. Ostatecznie taką miał pracę, po to go szkolono. Poza tym Rosjanie rzucali się w oczy, robili to bardzo nieudolnie: subtelność przegrywała tu z siermiężną topornością.

Ale jakim cudem dali radę zmontować to wszystko w ostatniej chwili? W przeciwieństwie do innych obcokrajowców, celowo nie kupił biletu w biurze Inturistu. Celowo chciał kupić go tuż przed spektaklem, wiedząc, że zawsze znajdzie jakiegoś konika.

Pewność, że idzie akurat do teatru, śledzący go agenci mogli zyskać dopiero na placu Teatralnym. Potem mieliby ledwie kilka minut na umieszczenie rudzielca tam, gdzie teraz siedział. Przecież to niemożliwe!

I nagle go olśniło. Przyjechał do Moskwy zupełnie jawnie, pod własnym nazwiskiem - tutejsze władze wiedziały o jego przyjeździe już kilka dni wcześniej i oficjalnie mu nań zezwoliły. Mieli jego dossier, co do tego nie było wątpliwości. Najpewniej nie znali prawdziwego celu jego wizyty. Ale wiedzieli - musieli wiedzieć - o jego romansie z Laną. Mogli więc przewidzieć, że zechce pójść do teatru, żeby obejrzeć występ byłej kochanki. Tak, przewidzieli jego ruchy i wystawili czujkę na wypadek, gdyby zrobił to, co myśleli, że zrobi.

Był pod uważną obserwacją tych, którzy wiedzieli, kim jest. I właśnie to chcieli dać mu do zrozumienia.

Ale dlaczego akurat GRU? Dlaczego wywiad wojskowy? Przecież bardziej powinien interesować się nim NKWD, Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych.

W holu zabrzmiał ostatni dzwonek. Powoli przygasły światła, ucichł szmer podekscytowanych głosów. Zagrała orkiestra, kurtyna poszła w górę.

A potem, kilka minut później, na scenę wyszła Tao-Hoa i Stephen zobaczył Lanę.

Widział ją po raz pierwszy od sześciu lat i tak samo jak kiedyś zafascynowało go jej piękno i gibkość. Jej promienna twarz wyrażała czystą radość i szczęście, najczystsza rozkosz. Była uosobieniem nieba. Widzowie mogliby siedzieć miliony kilometrów stąd: eteryczna Lana była istotą nie z tego świata.

W porównaniu z nią pozostali tancerze i tancerki wyglądali jak marionetki. Jej obecność elektryzowała, jej ruchy były płynne, silne i prężne. Szybowała w powietrzu jak zaczarowana, jakby nie podlegała sile grawitacji. Szybowała jak ucieleśnienie muzyki.

I przez chwilę jego serce szybkoło wraz z nią. Zalała go fala wspomnień - doskonale pamiętał, gdy zobaczył ją na scenie pierwszy raz: w *Tri-stanie i Izoldzie*, widział jej pierwszy i ostatni występ w tym balecie. Igor Moisiejew popełnił głupi błąd, opracowując choreografię do niemieckiej muzyki i Ludowy Komisariat do spraw Kultury wkrótce mu to wytknął. Ich romans... Ich namiętny romans trwał krótko i nieodwracalnie się skończył. Ale wciąż nachodziły go wspomnienia. Jak mógł pozwolić jej odejść? Lecz z drugiej strony, czyż mógł tu zostać? Romans? Nie, to była zwykła miłostka, nic więcej, zwykły flirt - on nie zamierzał wracać do Moskwy, ona nie zamierzała z nim wyjeżdżać.

Ale teraz myślał o niej z prawdziwą rozpaczą. Kim się stała w ciągu tych sześciu lat? Kim i czym? Czy była tą samą kruchą, impulsywną dziewczyną?

I w co ją chciał wciągnąć?

Kurtyna opadła i gromkie brawa wyrwały go z zamyślenia. Przerwa. Przez cały ten czas patrzył na nią oszołomiony, zagubiony w myślach i wspomnieniach. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ma w oczach łzy.

Wtedy usłyszał ten głos:

- Trudno oderwać od niej wzrok, prawda? Ja nie potrafię.

Odwrocił się powoli i zobaczył siedzącego z tyłu oficera GRU, który zapamiętałę klasał. Poruszał rękami i ramionami tak gwałtownie, że spod munduru wystawała mu kabura, że widać było rękojeść tkwiącego w niej pistoletu.

Błyszczącego od niklu tokariewa kaliber 7,62.

„Ja nie potrafię”.

Co to znaczy? Czy to jakaś aluzja?

- Tak, rzeczywiście - odrzekł.

- Mówiłem panu, przychodzę na jej wszystkie występy, i to od lat. - Zwierał mu się, groził, chciał mu dać coś do zrozumienia. Z jego głosu biła jawna wrogość.

Zapłonęły światła, widzowie natychmiast wstali. Przerwa w teatrze Bolszoi, podobnie jak w większości innych rosyjskich teatrów, to przede wszystkim bufet: wódka, szampan, czerwone i białe wino, wędzony łosoś i jesiotr, szynka, salami i pieczony kurczak na zimno. Zważywszy, jak bardzo niedożywieni byli moskwianie - samymi kartkami nikt się nie naje - nie było nic dziwnego w tym, że w drzwiach momentalnie zapanował tłok.

Metcalfę wstał. Rudowłosy oficer też, jakby nie zamierzał spuszczać go z oczu. Lecz tłum sunących do drzwi widzów był tak gęsty, że Stephen zdołał zostawić go daleko w tyle. Co on knuje? - myślał. Na pewno zrobił to, co chciał zrobić: dał mu do zrozumienia, że jest obserwowany. I najwyraźniej nie próbował ukrywać, że to on go obserwuje. Nie próbował wtąpić się w tło.

Metcalfę parł naprzód, nie zważając na protesty tych, których potrącał.

- *Mołodoj czetłowiek! Nie nada tak bez oczeredi!* - zrugwała go jakaś matrona. Klasyczna reakcja: Rosjanki, zwłaszcza te starsze, uwielbiały pouczać obcych, mówiąc im, jak mają się

zachowywać. Potrafiły skrzyknąć człowieka na ulicy za to, że wyszedł na zimno bez czapki. Jego sprawa była ich sprawą.

- *Prostitie* - odrzekł grzecznie Stephen.

W foyer wpadł w jeszcze gęstszy tłum i był już tak daleko, że rudzielec musiał stracić go z oczu, przynajmniej chwilowo.

Wiedział, dokąd idzie. Był tu niezliczoną ilość razy, odwiedzając Lanę. Rozkład pomieszczeń znał na pamięć, lepiej niż najwierniejszy widz.

W eleganckim smokingu i z wyniosłą miną, przez nikogo nie zatrzymywany dotarł wreszcie do pomalowanych na beżowo drzwi z napisem: OBCYM WSTĘP WZBRONIONY. Były jak zawsze otwarte i jak zawsze siedział za nimi *dieżurnyj*, smagły, dziobaty mężczyzna w granatowym mundurze. Był typowym rosyjskim urzędnikiem, nieróżniącym się niczym od drobnych urzędników z czasów, gdy panował tu car: miał gdzieś swoją pracę, lecz okazywał zacieklą wrogość wszystkim tym, którzy śmieli podważyć jego znaczenie i autorytet.

- Dobry człowieku, mam prezent dla panny Baranowej – powiedział Stephen z silnym angielskim akcentem. - Od brytyjskiego ambasadora.

Strażnik podniósł głowę znad biurka, popatrzył na niego podejrzliwie i wyciągnął rękę.

- Tam nie wolno. Przekażę jej.

- Boję się, że sir Stafford Cripps nigdy by się na to nie zgodził - odrzekł ze śmiechem Stephen. - Podarunek jest zbyt cenny. Gdyby gdzieś przepadł... Wolę nie wyobrażać sobie, czym skończyłby się ten między narodowy incydent. To śledztwo, te pytania... - Wyjął z kieszeni zwitek rubli i położył go na biurku.

Strażnik wybałuszył oczy. Było tego więcej, niż zarabiał przez cały miesiąc.

- Przepraszam, że sprawiam panu tyle kłopotu - kontynuował Metcalfe - ale kazano mi wręczyć prezent osobiście.

Rozglądając się na wszystkie strony, strażnik wprawnym gestem schował pieniądze do kieszeni munduru.

- To na co pan czeka? - rzucił z marsowym obliczem. - Niech pan idzie. Tylko szybko.

Za kulisami trwały gorączkowe przygotowania do drugiego aktu. Pomocnicy i dyżurni przesuwali wielką, rozpiętą na ramach płachtę z wymalowanymi na niej zabudowaniami chińskiego portu Kuomintang i z dziobem gigantycznego rosyjskiego okrętu na tle pomarańczowego nieba. Wszędzie stały grupki tancerzy przebranych za rosyjskich marynarzy i za chińskich kulisów. Tuż obok przemknęło kilka tancerek w zwiewnych tutu i w baletkach. Poczul zapach perfum, pudru i szminki.

Wskazano mu drzwi oznaczone czerwono-złotą gwiazdą. Serce waliło mu jak młotem. Zapukał.

- *Dal* - Przytłumiony głos.

- Lana?

Drzwi się otworzyły. Ściągnięte w kucyk kruczoczarne włosy, duże brązowe oczy, skóśne pod „chińskim” makijażem, subtelny, delikatnie zadarty nos, pięknie rzeźbione policzki, wyszminekowane na czerwono usta. Wyglądała cudownie. Zapierała dech w piersi. Z bliska była jeszcze piękniejsza niż na starannie podświetlonej scenie.

- *Czto wy chotitel* - Nawet na niego nie spojrzała.

- Lana - powtórzył cicho Stephen.

Podniosła głowę i widział, że go poznaje. Złagodniała jej twarz, ale tylko na ułamek sekundy i zaraz potem zagościł na niej wyraz aroganckiej wyniosłości. Ulotna chwila wzruszenia i czułości minęła, ustępując miejsca pełnemu rozbawieniu opanowaniu.

- Proszę, proszę - powiedziała aksamitnym głosem. - Czy to naprawdę mój stary przyjaciel Stiwa?

Stiwa: tak go nazywała. Przed sześciu laty wymawiała to imię miękko i delikatnie, mrużąc jak kotka. Teraz w jej śpiewnym głosie zabrzmiała... ironia? Chyba nawet pogarda. Dla-

czego? I posłała mu uśmiech, wyniosły uśmiech primabaleriny łaskawie przyjmującej hołd wielbiciela.

- Cóż za niespodzianka.

Stephen nie mógł się powstrzymać i objął ją, lecz gdy zbliżył usta do jej ust, gwałtownie odwróciła głowę, nadstawiając pokryty warstwą talku policzek. Cofnęła się, odpychając go z zadziwiającą siłą, jakby chciała mu się lepiej przyjrzeć, ale czuł, że zrobiła to specjalnie, żeby zabrał ręce.

- Lana, przepraszam za najście, *Duszk*a. - Czułe słówka: tak ją kiedyś nazywał. - Przyjechałem do Moskwy w interesach i kiedy powiedziano mi, że dziś występujesz.

- Miło cię widzieć, Stiwa. Cieszę się, że wpadłeś. - W jej głosie było coś przesadnie oficjalnego, niemal szyderczego.

Metcalfe wyjął z kieszeni czarne aksamitne pudełko. Nawet nie wyciągnęła ręki.

- Dla mnie? Och. Ale wybacz, muszę się umalować. Brakuje nam charakteryzatorów, brakuje wszystkiego. To skandal. - Zatoczyła ręką łuk, wskazując małą, ciasną garderobę z potrójnym lustrem, stoliczkiem zawalonym szminkami, pudrami, pędzelkami, ligniną do usuwania makijażu i przetartymi ręcznikami, na których wyhaftowano duże, żółte litery B i A. *Bolszoj. Artist. Spięty*, z maksymalnie wyostrzonymi zmysłami, Stephen chłonał te nic nieznaczące szczegóły z wytężoną uwagą. - Nie mam nikogo do pomocy, to straszne.

Metcalfe otworzył pudełko: czarny aksamit, na aksamicie diamentowy naszyjnik. Jak większość kobiet Lana uwielbiała biżuterię, ale zawsze bardziej ceniła jej oryginalność, szlachetność i artyzm wykonania niż samą wielkość klejnotu. Zerknęła na pudełko szybko i bez zainteresowania. I nagle się roześmiała, dźwięcznym, melodyjnym śmiechem.

- Tego mi tylko potrzeba - powiedziała. - Jeszcze jednego łańcucha na szyi.

Zamknęła pudełko i odrzuciła mu je; zaskoczony, ledwo je złapał.

- Lana...

- Stiwa, Stiwa... Wciąż jesteś typowym kapitalistą, prawda? Nie zmieniłeś się, nic a nic. Chcesz zakuć kobiety w łańcuchy i kajdany i tylko dlatego, że są ze złota, myślisz, że każda chętnie ci ulegnie, nie wiedząc, czym tak naprawdę to złoto jest.

- Lana, przecież to tylko mały prezent.

- Prezent? - prychnęła. - Nie chcę od ciebie prezentów. Już mi jeden dałeś. Są prezenty, które uzależniają i zniewalają, są też takie, które rosną.

- Rosną? - powtórzył zdumiony.

- Tak, Stiwa *dorogoj*, rosną. Jak dumne zboże w kołchozie. Jak nasza wspaniała gospodarka.

Metcalfe zmarszczył czoło. W jej głosie nie było ani śladu ironii. Kołchozy, kapitalistyczne zniewolenie - była zupełnie niepodobna do Swietłany Baranowej, którą znał przed sześcioma laty, która wyśmiewała stalinowskie hasła i slogany, cały ten komunistyczny kicz. *Poszłost* - tak to nazywała, zły gust. Co się jej stało? Padła ofiarą systemu? Jak mogła wygadywać takie bzdury? Naprawdę w to wszystko wierzyła?

- A wielki Stalin jest pewnie twoim ideałem mężczyzny, tak? - wymamrotał.

Przez jej twarz przemknął wyraz przerażenia. Przemknął i zniknął. Stephen zdał sobie sprawę, że palnął coś głupiego, że naraża ją na niebezpieczeństwo. Stał w otwartych drzwiach, korytarzem przechodzili ludzie: wystarczyłoby, żeby usłyszeli jedno zakazane słowo i natychmiast by ją oskarżono.

- Tak - odparowała. - Stalin rozumie potrzeby ludu. Kocha nas, a my kochamy jego. Wy, Amerykanie, myślicie, że za te wasze brudne pieniądze można kupić wszystko, ale duszy radzieckiego człowieka nigdy nie kupicie!

Stephen wszedł do garderoby.

- *Duszk*a - powiedział cicho. - Wiem, że nie jestem tak czarujący jak inni. Jak choćby twój niemiecki przyjaciel, Herr von...

-Nie wiem, o czym mówisz! - syknęła.
- Lana, krążą plotki. Nawet w ambasadach. Dużo wiem...
- Przestań! - Drżał jej głos. Słysząc w nim było coś silniejszego niż strach, słysząc w nim było prawdę. - Nic nie wiesz! A teraz wyjdź stąd. Natychmiast!

Rozdział 12

Byłaś cudowna - wymruczał Rudolf von Schussler, głaszcząc ją po głowie. - Mój Czerwony Maczek...

Wzdrygnęła się, gdy czubkami palców musnął porcelanową skórę jej szyi i przez ułamek sekundy nie wiedział, czy zrobiła to z zachwytu, czy z odrazy. Z odrazy? Czy to możliwe? Nie, nie. Na jej ustach zagościł tak słodki uśmiech, że natychmiast wyzbył się wątpliwości.

Była w koszuli nocnej, którą przywiózł jej z Monachium, i sposób, w jaki cienki jak pajęczyna jedwab otulał ją, podkreślając zarazem kształt piersi, wąziutką talię i szczupłe, umięśnione uda, niezwykle go podniecał. Była najbardziej apetycznym kąskiem, jaki kiedykolwiek mu się trafił, a jako człowiek obyty i wyrobiony, zawsze lubił dobrze zjeść. Niektórzy mówili, że jest tęgi, korpulentny, ale on uważał się za dobrze odżywionego, za smakosza, który lubi żyć dobrze i wygodnie.

Ale wygodne życie w Moskwie graniczyło z niemożliwością. Jedzenie, nawet to sprowadzane przez niemiecką ambasadę, było po prostu podłe. Mieszkanie, które mu przydzielono - należało do wysokiego rosyjskiego oficera, rozstrzelanego podczas stalinowskich czystek - było dość przestronne, to prawda, natomiast dom w Kuncewie pod Moskwą, gdzie spędzał weekendy, był całkiem całkiem. Żeby go wynająć, musiał zapłacić sporą łapówkę i znosić szyderstwa kolegów z ambasady, którzy w przeciwieństwie do niego nie mieli tyle szczęścia i rodzinnej fortuny, dzięki której mogliby prowadzić z Rosjanami tak lukratywne interesy. Ale cóż, opłacało się.

Musiał sprowadzić z kraju porządne meble, nie mógł wynająć porządnego kelnera na przyjęcia i już dawno temu znudziła mu się dyplomatyczna socjeta tego ponurego miasta. Nic, tylko wojna i wojna, ciągle gadali o wojnie. A teraz, gdy Rosjanie podpisali z Berlinem pakt o nieagresji, mówili wyłącznie o tym. Gdyby nie jego Czerwony Maczek, zwariowałaby z nudów.

Ale w sumie wszystko mu się układało. I nie była to tylko kwestia szczęścia, o nie. Ojciec miał rację. Najważniejsza jest błękitna krew. Najważniejsze jest pochodzenie - ciągle to powtarzał. Rudolf von Schussler był dumny ze swego pochodzenia, ze swego wielkiego zamku pod Berlinem, który należał do jego rodziny od ponad stu lat, z usług, jakie oddali jego słynni przodkowie kajzerom i premierom. No i oczywiście z wielkiego pruskiego generała Ludwiga von Schusslera, bohatera roku 1848, dowódcy, który konsekwentnie tłumił powstanie za powstaniem, podczas gdy Fryderyk Wilhelm IV, król Prus, ciągle się wahał i kapitulował. Tak, Rudolf von Schussler był świadom swego znamienitego nazwiska.

Niestety, znał i takich, którzy uważali, że zaszedł tak daleko tylko dzięki niemu. Często musiał zaciskać zęby, widząc, że nie dostrzegają jego talentów. Pisał błyskotliwe, pięknie sformułowane memoranda, pełne aluzji do Goethego, ale wiecznie gdzieś przepadały i pozostawały bez echa.

Mimo to nie zostałby pierwszym sekretarzem ambasady na tak ważnej placówce, gdyby nie jego inteligencja, umiejętności i talent. To prawda, zawdzięczał to stanowisko staremu przyjacielowi rodziny, hrabiemu Friedrichowi Wernerowi von der Schulenbergowi, ambasadorowi i dziekanowi moskiewskiego korpusu dyplomatycznego. Ale na miłość boską, w niemieckim MSZ-cie roilo się od arystokratów. Ot, choćby sam minister Joachim von Ribbentrop albo jego zastępca Ernst von Weizacker, albo Hans-Bernd von Haeften albo poprzednik Ribbentropa Freiherr Konstantin von Neurath. Lista nie miała końca. Bo któż inny zrozumiał-

by wrodzoną wielkość niemieckiego narodu, cywilizację, która dała światu Beethovena i Wagnera, Goethego i Schillera? Cywilizację, która podarowała światu cywilizację jako taką!

Adolf Hitler nie miał arystokratycznych przodków, ale przynajmniej miał wizję. Świeża krew też się liczy. Choć męczący i pyszałkowaty, potrafił przynajmniej docenić wielkość Niemców jako narodu. I mimo tej gadaniny o masach ludowych Trzecia Rzesza łaknęła władzy, którą sprawować mogli jedynie tacy arystokraci jak von Schusslerowie.

Właśnie dlatego każdy weekend spędzał w Kuncewie, pisząc pamiętnik. Jego wielki przodek Ludwig von Schussler też pisał i zapewnił sobie trwałe miejsce w historii. Rudolf czytał je pięć czy sześć razy i był pewien, że jego pamiętniki odegrają znacznie większą rolę niż wspomnienia Ludwiga. Ostatecznie żył w ciekawszych i ważniejszych czasach.

Szczerze powiedziawszy, w Moskwie było nudno, lecz wciąż powtarzał sobie, że liczy się sama chwała, zaszczyt, że oddelegowano go na tę newralgiczną placówkę. Wkrótce Niemcy wygrają wojnę, to nieuchronne -jedynym krajem, który mógłby ich pokonać, była Rosja, tymczasem Stalin okazał się człowiekiem potulnym i ugodowym - a wówczas będzie mógł wrócić do zamku w zasłużonej glorii i jeździć swymi ukochanymi końmi po pięknych niemieckich łąkach. Skończy i dopieści swoje pamiętniki, a gdy je opublikują, zdobędzie sławę i uznanie.

No i zabierze do kraju swój klejnot, swój Czerwony Mak, jedyną istotę, która rozświetlała ten posępny moskiewski mrok. Do końca życia nie odwdzięczy się za nią swemu staremu przyjacielowi, doktorowi Herman-nowi Behrendsowi. Behrends - nosił teraz tytuł SS-Untersturmführera der Reserve (Waffen-SS) - i on studiowali razem prawo na uniwersytecie w Marburgu. Obydwaj zrobili doktorat, obydwoj ćwiczyli szermierkę. Behrends, szermierz znacznie lepszy od niego, dumnie obnosił swoje blizny, głębokie szramy na policzkach po zadanych szpadą ranach. Po studiach ich drogi się rozeszły: von Schussler wstąpił do służby zagranicznej, Behrends zaś do SS. Ale pozostali w kontakcie i tuż przed wyjazdem z Berlina von Schussler dowiedział się od niego czegoś bardzo ciekawego. Jak przyjaciel przyjacielowi, Hermann zdradził mu pewną tajemnicę. Tajemnicę, którą - tak uważał -jego stary kumpel mógłby kiedyś wykorzystać.

Powiedział mu mianowicie o Michaile Baranowie, bohaterze rewolucji październikowej.

I gdy wkrótce po przyjeździe do Moskwy von Schussler spotkał Bara-nowa na przyjęciu w niemieckiej ambasadzie... Cóż, stare niemieckie przysłowie mówi: *Den Gerechten hilft Gott*. Prawym pomaga Bóg. Jeszcze raz najważniejsze okazało się pochodzenie, lecz w tym przypadku nie tylko jego - pochodzenie oszałamiająco pięknej Swietłany też. Tajemnica jej ojca. „Ojciec zjadł kwaśne winogrona, dziecku cierpnie w ustach”. Jakie to prawdziwe, jakie prawdziwe...

Nie, ależ skąd, bynajmniej jej nie zaszantażował - trzeba spojrzeć na to zupełnie inaczej. Po prostu nawiązał z nią kontakt, zwrócił na siebie uwagę. Pamiętał, jak zbladła w zacisznym kącie sali bankietowej, gdy wyznał, że wie coś o Michaile Baranowie... Tak, ale to już przeszłość. Ojciec znowu miał rację: *Mars offnet das Tor der Venus. Der erste Kuss kommt mit Gewalt. Der zweite mit Leidenschaft*. Mars otwiera wrota Wenus. Pierwszy pocałunek zdobywasz siłą. Drugi dostajesz z namiętności.

- Jesteś dzisiaj bardzo milcząca, kochanie - powiedział.

- Po prostu zmęczona. To był wyczerpujący występ.

- Ale to do ciebie zupełnie niepodobne. - Poglaskał jej piersi, ścisnął sutki. Drgnęła i skrzywiła się, ale nie, to na pewno z przyjemności. Przesunął rękę niżej i zaczął ją pieścić. Nie reagowała. Cóż, to normalne: należała do tych, które trzeba uwodzić, zdobywać jak fortecę. Nie była najbardziej rozbuchaną seksualnie kobietą, z jaką spał, ale każda jest inna. U Swietłany trwało to po prostu dłużej, i tyle.

Posłała mu to swoje spojrzenie, spojrzenie namiętne, chociaż postronny obserwator mógłby uznać, że jest pełne... nienawiści? Nie, nie, to namiętność, zdecydowanie namiętność. Ognista z niej kłaczką, oj, ognista.

Wziął z pudełka czekoladkę - niemiecką, bo rosyjskie były obrzydliwe - i przytknął ją do jej warg. Pokręciła głową. Wzruszył ramionami i włożył ją sobie do ust.

- Zwariowałbym bez ciebie - wymlaskał. - Z nudów. Nie uważasz, że nie ma nic gorszego niż nuda?

Ale Lana uciekła wzrokiem w bok. Wciąż była jakaś taka... nieobecna. I tak dziwnie się uśmiechała. Nigdy nie wiedział, o czym myśli, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Lubił kobiety tajemnicze i głębokie.

Gdy skończy się ta nieprzyjemna rosyjska przygoda, będzie wspaniałą nagrodą. Tak, zabierze ją do Berlina.

Waszyngton

Prezydent Roosevelt zawsze przygotowywał drinki sam. Tego wieczoru zmieszał sok grejpfrutowy z dzinem i rumem - smakowało koszmarnie, ale Corcoran udawał, że pije to z przyjemnością.

Siedzieli w jego ulubionym pokoju, w prywatnym gabinecie na pierwszym piętrze Białego Domu, wygodnym, przytulnym saloniku pełnym mahoniowych półek z książkami, skórzanych sof, modeli okrętów i marynistycznych obrazów. Tu prezydent czytał, sortował i wkładał znaczki pocztowe do klaserów, tu grał w pokera i przyjmował najważniejszych gości. Teraz siedział w fotelu z czerwonej skóry, tym z wysokim oparciem. Widząc swego starego przyjaciela, Corcoran zawsze podziwiał jego atletyczną wprost budowę. Franklin miał tak szerokie bary i tak muskularne ręce, że gdyby ktoś nie zauważył jego uschniętych nóg, odniósłby wrażenie, że prezydent jest dużo roślejszy, niż w rzeczywistości był.

Roosevelt pociągnął łyk ze szklaneczki i aż się skrzywił.

- Do diabła, czemu nie powiedziałeś, że to takie paskudztwo?

- Nie znam się na rumie - odrzekł taktownie Corcoran.

- Karty zawsze przy orderach, co, staruszku? Dobrze. Co się stało w Paryżu?

- Straciliśmy kilku dobrych agentów.

- Zabito ich? Gestapo?

- Sicherheitsdienst, tak przypuszczamy. Musiało dojść do przecieku.

- Ten, który uciekł: czy on wie, po co wysłałeś go do Moskwy? - Nie. Oczywiście, że nie. Prawdę należy dawkować. I serwować o odpowiedniej porze, jak dobre bordo.

- Myślisz, że nie pojechałby, gdyby wiedział?

- Hm, to nie tak. Myślę, że nie zrobiliby tego, co trzeba, a już na pewno nie tak skutecznie.

- Jesteś pewien, że sobie poradzi?

Corcoran lekko się zawahał.

- Czy jestem pewien? Nie, panie prezydencie, nie jestem.

Roosevelt przeszył go spojrzeniem. Miał niebieskie oczy.

- Chcesz powiedzieć, że nie wysłałeś najlepszego?

- Wysłałem jedyne, panie prezydencie.

- Cięży na nim wielka odpowiedzialność. Powiedziałbym, że zbyt wielka. - Prezydent zagryzł cygarniczkę z masy perłowej i trzasnął zapałką. - Wielka Brytania jest w niebezpieczeństwie. Nie wiem, jak długo wytrzymają te bombardowania. Izba Gmin leży w gruzach, Coventry i Birmingham zostały zrównane z ziemią. Luftwaffe nieustannie atakuje, oni te ataki odpierają, ale ile można? No i stoją na skraju bankructwa. Nie mają pieniędzy, żeby zapłacić

nam za amunicję, bez której Niemcy zjedzą ich żywcem. Kongres nie zgodzi się na pożyczkę. A ci, którzy krzyczą: „Przede wszystkim Ameryka, przede wszystkim Ameryka!”, oskarżają mnie o chęć wciągnięcia nas w wojnę. - Zaciągnął się dymem. Koniec papierosa rozżarzył się jak umierające słońce.

- Nie jesteście przygotowani do wojny - wtrącił Corcoran.

Roosevelt posepnie kiwnął głową.

- To prawda. Nie zaczęliśmy się nawet dozbrajać. Ale fakt pozostaje faktem: bez naszej pomocy Wielka Brytania przepadnie w ciągu kilku miesięcy. A jeśli Hitler pokona Wielką Brytanię, weźmie na celownik nas. Jest coś jeszcze. - Wziął ze stolika kartonową teczkę. - Masz, czytaj.

Corcoran wstał, wziął teczkę i otworzył ją, siadając.

- Dyrektywa numer 16 - mówił dalej prezydent. - Podpisana przez Hitlera. Niemcy nazywają to operacją „Lew Morski”. To ich ściśle tajny plan inwazji na Wielką Brytanię. Ćwierć miliona żołnierzy. Najpierw desant, potem amfibie, piechota, czołgi... Anglicy tego nie przeżyją. Jeśli Niemcom się uda, cała Europa wejdzie w skład Trzeciej Rzeszy. Nie możemy do tego dopuścić. Corky, czy ty rozumiesz, że jeśli ten młody człowiek zawali, wszyscy będziemy skazani na zagładę? Spytałem cię jeszcze raz: czy on się do tego nadaje?

Corcoran zmrużył oczy i głęboko zaciągnął się dymem z chesterfielda.

- To bardzo ryzykowne, przyznaję - odrzekł głosem chrapliwym i niepewnym. - Ale mniej ryzykowne niż siedzenie z założonymi rękami. Ilekroć zwykły śmiertelnik próbuje zmienić bieg historii, sprawy mogą się straszliwie skomplikować.

- Corky, jeżeli dojdzie do przecieku, jeżeli ktoś niepowołany pozna choć maleńki fragment naszego planu, będzie tysiąc razy gorzej, niż gdybyśmy w ogóle tego planu nie obmyśleli.

Corcoran zgasił papierosa i sucho zakaszłał.

- Nadejdzie taki czas, gdy ten młody człowiek przestanie nam być potrzebny. Gdy okręt zaczyna przeciekać, trzeba wyrzucić za burtę zbędny balast.

- Zawsze byłeś złośliwy i uparty.

- Rozumiem, że to komplement.

Roosevelt uśmiechnął się zimno.

Corcoran wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, wątpię, czy on z tego wyjdzie. Jeśli tak i trzeba go będzie poświęcić... Cóż, trudno.

- Chryste, Corky, czy w twoich żyłach płynie lodowata woda, czy krew?

- Panie prezydencie, w moim wieku trudno jest odróżnić jedno od drugiego.

Rozdział 13

Metcalfe spał źle, rzucając się i przewracając z boku na bok. I nie tylko dlatego, że łóżko było niewygodne, prześcieradło sztywne i szorstkie, a pokój obcy i nieprzytulny, chociaż to też miało swój wpływ. Spał źle dlatego, że gnębił go niepokój po spotkaniu z Laną, świadomość, że tak bardzo ją kiedyś kochał, chociaż przez tyle lat udawał, że znaczyła dla niego tyle samo co tuzin innych kobiet, z którymi romansował po powrocie z Moskwy. Sen z powiek spędzała mu jej reakcja, ta dziwna kokieteryjność, ta chłodna rezerwa, ten gniew, sztyderstwo i pogarda. Nienawidziła go? Na to wyglądało, jednak zdawało się również, że wciąż coś do niego czuje, tak samo jak on wciąż czuł coś do niej. Tylko ile z tego było produktem jego wyobraźni? Zawsze szczycił się tym, że jest człowiekiem spostrzegawczym i trzeźwo myślącym, że nigdy nie ulega złudzeniom, ale w przypadku Swietłany Michajłowny Baranowej jego obiektywność trafiał szlag. Patrzył na nią przez zniekształcone soczewki.

Mimo to wyraźnie widział, że się zmieniała, że zmieniała się w sposób, który ekscytował go i niepokoił zarazem. Nie była już młodą, bezbronną, płochliwą dziewczyną - była teraz kobietą, wyniosłą i pewną siebie, była diwą świadomą efektu, jaki wywierała na tych, którzy rozumieją potęgę jej urody i sławy. Była też piękniejsza niż kiedykolwiek i na swój sposób bardziej twarda. Jej miękkość, bezradność i bezbronność - pomyślał o zagłębieniu u nasady jej szyi, o mięciutkiej skórze, którą tak uwielbiał całować - zniknęła. Lana stała się harda, założyła pancierz. Pancierz na pewno ją chronił, lecz była w nim odleglejsza, bardziej nieosiągalna. Skąd wzięła się ta twardość? Z koszmaru życia w stalinowskiej Rosji? Po prostu z dorosłości? Z dojrzałości?

I czy jest do końca prawdziwa, nieudawana? Lana potrafiła udawać: była nie tylko znakomitą baletnicą, ale i wspaniałą aktorką. Czyżby wkładała ten pancierz, żeby zaraz potem go zdjąć?

No i ten niemiecki kochanek, ten von Schussler, wysoki urzędnik w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Rzeszy. Jak mogła się w kimś takim zakochać? Za jego czasów nie rozmawiali o polityce, a gdy wyjeżdżał, naziści dopiero co doszli do władzy. Dlatego nie miał pojęcia, co Lana o nich myśli, ale jej ojciec był bohaterem rewolucji październikowej, a naziści zawsze uchodzili za głównych wrogów komunistów. Czy jej ojciec, wielki rosyjski patriota, wiedział o tym dziwnym związku?

Misja, którą powierzył mu Corcoran - poznać przez Lanę von Schusslera, wy badać go i sprawdzić, czy da się go obrócić - była teraz niemożliwa do wykonania. Lana nie zechce z nim współpracować, zwłaszcza jeśli domyśli się, jaką miałyby spełnić w niej rolę. Nie, nie pozwoli się wykorzystać. Nigdy.

Ale nie mógł zrezygnować. Nie teraz, nie w tej sytuacji. Zbyt dużo od niego zależało.

Z zamyślenia wyrwało go głośnie pukanie do drzwi.

- *Da?* - Ktoś zapukał ponownie, raz-dwa, raz-dwa, raz. Umówiony sygnał. Przyszedł Roger Martin.

- *Dobroje utro.* - Chrapliwy głos, fatalny akcent. Tak, to na pewno Roger.

Wpadł do pokoju, gdy tylko Metcalfę otworzył drzwi. Był dziwnie ubrany, w obszarpaną *tietogrejkę*, pikowaną kufajkę na watolinie, w długie filcowe buty i skórzaną czapkę. Gdyby Stephen nie wiedział, że to on, wziąłby go za robotnika albo rosyjskiego chłopca.

- Chryste, co to za smród? - spytał.

- Myślisz, że łatwo kupić tu nowe ubranie? To kupiłem od jakiegoś faceta na ulicy. Chętnie się go pozbył.

- Ale wyglądasz jak prawdziwy Rosjanin, to przyznaję. Taki prosto z kołchozu.

Roger wskazał swoje buty.

- Walonki. Ciepłe jak cholera. Nic dziwnego, że Rusczy pobili Napoleona. Buty żabodów to przy tym cieniutkie lakierki. I dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że nie ma tu papieru toaletowego? - Przyszedł z ciężką walizką; postawił ją na podłodze. Zawierała nadajnik; przechowywał go u siebie, odkąd wprowadzili się do hotelu. Nie mogli zostawiać go w pokoju, a Stephen nie mógł przecież targać go ze sobą na spotkania w ministerstwie czy do teatru.

- Skoro już ubierasz się jak prawdziwy moskwianin, idź na całość i podcieraj się „Prawdą” albo „Izwiąstwą”.

Roger wykrzywił twarz.

- Nic dziwnego, że Rusczy mają takie sponiewierane miny. Ogoliłem się. Wiesz, jak długo spływała woda w umywalce? Dziesięć minut. Myłeś się już? Spróbuj, twoja umywalka też jest zatkana.

- Roger, tutaj przywilejem jest już własna łazienka.

- Bomba. Jak było wczoraj?

Metcalfę posłał mu ostrzegawcze spojrzenie i wskazał sufit: w pokoju mógł być podsłuch. Roger przewrócił oczami, podszedł do lampy i zaczął do niej mówić:

- Kapitałiści dokonali niesamowitego wynalazku: nazywają to papierem toaletowym. Cholera, mam nadzieję, że Rusczy nam go nie wykradną.

Stephen rozumiał, co się dzieje: te żarty, cała ta gadanina i fanfaronada miała pokryć strach. Roger, jeden z najodważniejszych ludzi, jakich znał, nie pierwszy raz pracował pod przykrywką, ale tutaj, w Moskwie, wszystko było inaczej. Obcokrajowców przyjeżdżało tu niewielu, a tych, którzy przyjeżdżali, nieustannie obserwowano, dlatego wtopić się w tłum było tu znacznie trudniej niż w Paryżu. Ze względu na swoje pochodzenie tam bez problemu uchodził za Francuza. Tu rzucał się w oczy jak Murzyn na śniegu. Szpiegowanie było we Francji ryzykowne. W Rosji śmiertelnie niebezpieczne.

Metcalfę ubrał się szybko i zeszli do holu. Było bardzo wcześnie i na dole siedziało tylko kilku przysadzistych, źle ubranych mężczyzn w workowatych, granatowych garniturach, którzy udawali, że czytają gazetę. Stephen i Roger usiedli obok siebie na drugim końcu holu, żeby agenci NKWD nie mogli ich podsłuchać.

- W zamkniętym pomieszczeniu nadajnik nie zadziała - zaczął cicho Roger. - Musimy znaleźć jakieś miejsce, najlepiej odosobnione. I trzeba go jak najszybciej ukryć. Co dzisiaj robisz? Opracuj jakiś plan.

- W dacy ambasady amerykańskiej w lesie na południowy zachód od Moskwy jest przyjęcie - odrzekł Metcalf. - Wiem od Corky'ego. Jego człowiek ma zdobyć dla mnie zaproszenie.

- Świetnie, tylko jest mały problem. Jak mam poruszać się po tym pieprzonym mieście bez samochodu? Tu nie ma taksówek, a po rusku mówię za słabo, żeby wypytywać ludzi o tramwaje. Chryste, mam być twoim kierowcą, a oni nie załatwili nam nawet samochodu!

- Załatwią.

- Jasne, samochód z kierowcą, który będzie twoim partnerem do towarzystwa, gorylem i klawiszem w jednej osobie.

- Próbowalesz w ambasadzie brytyjskiej?

Roger kiwnął głową.

- Nic z tego. Nie mają samochodów nawet dla siebie.

- Spróbuję w naszej.

- Spróbuj, pociągnij za wszystkie sznurki. Na razie udało mi się kupić harleya. Po rosyjsku mówię koszmarnie, ale to zadziwiające, jak wysoko stoi tu brytyjski flint. Mam już harleya, rakiety śnieżne i kompas. Muszę jeszcze skombinować paliwo do samolotu, tylko nie wiem jak. Trudno je dostać, tu wszystko na kartki...

- Wystarczy łapówka.
- Tylko trzeba wiedzieć, komu ją dać. Muszę pojechać na lotnisko. I zdobyć plan Moskwy. Czeka mnie niezły zapieprz. A ty? Nawiązałeś kontakt?
- O tak, nawiązałem - odrzekł ze smutkiem Stephen i cicho dodał: - Nie przejmuj się, mnie też czeka sporo roboty.

Zaraz po rozmowie z Rogerem poszedł do restauracji, gdzie posadzono go przy stoliku z grubym, łysiejącym facetem o czerwonym od wódki nosie i policzkach.

- Ted Bishop - powiedział po angielsku, ściskając mu rękę. Natychmiast poznał, że ma do czynienia z kimś z Zachodu; sam był w brzydkiej tweedowej marynarce w krzykliwy wzorek. - Moskiewski korespondent „Manchester Guardian”. - Mówił z silnym akcentem londyńskich doków.

Metcalf przedstawił się swoim prawdziwym nazwiskiem. Zauważył, że w słabo oświetlonej restauracji jest mnóstwo wolnych stolików, ale tak to już tu było. Rosjanie zawsze sadzali obcokrajowców razem, zwłaszcza tych, którzy mówili tym samym językiem. Pewnie po to, żeby łatwiej ich było obserwować.

- Też dziennikarz? - spytał Bishop.
- Nie, przyjechałem tu w interesach.

Bishop powoli kiwnął głową, mieszając gorącą herbatę. I nagle jakby go olśniło.

- Metcalfe Industries. Ma pan z nimi coś wspólnego?

Stephen był pod wrażeniem. Jego nazwisko nie należało do powszechnie znanych.

- Tak - odrzekł. - Rodzinna firma.

Bishop uniósł brwi.

- Ale mam do pana prośbę - dodał Metcalfe. - Nie chciałbym tej wizyty nagłaśniać, więc gdyby mógł pan pominąć moje nazwisko w depeszach i korespondencjach...

- Jasne, nie ma sprawy. - Bishop błysnął oczyma, zadowolony, że poznał czyjąś tajemnicę i może jej dotrzymać. Stephen zdał sobie sprawę, że zachodni dziennikarze mogą mu się przydać, że to pożyteczna znajomość, że trzeba z nimi ostrożnie i taktownie. - Mam nadzieję, że pan niegłodny.

- Głodny jak wilk. Dlaczego?

- Widzi pan cukier w mojej szklance? Nie chce się rozpuścić. Czekam tak długo, że herbata zdążyła ostygnąć. I tak co rano. Kelnerzy snują się jak muchy w smole, a kucharka czeka pewnie, aż kura zniesie jajko. A kiedy już je usmaży, jest obrzydliwie tłuste. Do tego dwie kromki czarnego chleba i masło. I niech pan nie próbuje nawet tłumaczyć kelnerowi, jakie to jajko ma być. To kuchta o tym decyduje i usmaży je tak, jak się jej spodoba.

- Jestem tak głodny, że zjadłbym nawet trociny.

- Trociny też pan dostanie. - Bishop zachichotał, zatrzęsł mu się brzuch i podwójny podbródek. - Niech pan nie je żadnych papek, ostrzegam. Ani tłuczonych ziemniaków, ani nic z tych rzeczy. Dosypują do nich trocin. Kielbasek z puree nie zżarłyby nawet termity. - Zniżył głos. - A skoro już mowa o robalach, trzeba zawsze zakładać, że w pokoju są pluskwy. Wszystkie ściany nafaszerowali mikrofonami, cholera. Daję głowę, że jeden wsadzili nawet w tyłek recepcjoniście. Dlatego ma taką minę.

Metcalf parsknął śmiechem.

- Rosyjska dieta jest najlepsza w świecie, wie pan? - mówił dalej Bishop. - Od przyjazdu schudłem chyba ze czterdzieści kilo.

- Pan tu od dawna?

- Od czterech lat, siedmiu miesięcy i trzynastu dni. - Bishop spojrzął na zegarek - I od szesnastu godzin. Ale kto by tam liczył.

- Pewnie dobrze zna pan miasto.

Bishop zerknął na niego nieufnie.

- Lepiej, niżbym chciał. Co chce pan wiedzieć?

- Nie, nic - rzucił obojętnie Stephen. - Nic konkretnego. - Na pytania przyjdzie pora, pomyślał. Trzeba z nim powoli i ostrożnie. To dziennikarz, reporter, który tylko czyha, żeby wejść komuś z butami do łóżka. Mimo to zaczynał go lubić. Znał takich jak on: sól ziemi, odważny i nie wzruszony, bał się tylko nudy. Na pewno wiedział, co w trawie piszczy.

- Wie pan już, gdzie wymieniać pieniądze? Najlepiej w ambasadzie. W hotelu mają niższy kurs.

Metcalf kiwnął głową. Za późno: zdążył już wymienić trochę pieniędzy tu, w Metropolu.

- Jeśli szuka pan dobrej knajpy, chętnie służę radą, chociaż tych naprawdę dobrych jest tyle co kot napłakał. Chce pan zjeść niezłą amerykańską szarlotkę? Tylko w Cafe National, to jedyna nadzieja. W Aragwina Gorkiego, dokładnie naprzeciwko poczty, dają dobry szaszłyk. I gruziński koniak. Praga na Arbacie: jedzenie jest podłe, ale gra tam cygańska kapela i można sobie potańczyć. Kiedyś występował tam czeski zespół jazzowy, ale w trzydziestym siódmym oskarżyli ich o szpiegostwo i wyrzucili z kraju. Tak naprawdę zrobili to pewnie dlatego, że ruscy jazzmani nie dorastają im do pięt. A propos szpiegostwa. Nie wiem, czy już tu pan kiedyś był, ale lepiej niech pan na siebie uważa.

- To znaczy? - Stephen rzucił to obojętnie, chociaż nagle cały zdrewniał.

- Rozejrzyj się pan tylko. Widzisz pan tych harcerzyków? - Ruchem obfitego podbródka Bishop wskazał drzwi do głównego holu.

- Harcerzyków?

- Tych z NKWD. Czerwone byczki, marni aktorzy. Bardzo ich interesuje, gdzie kto chodzi i z kim się spotyka, więc na wszelki wypadek niech pan uważa.

- Wynudzą się za wszystkie czasy. Czeka mnie seria spotkań w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. To powinno ich uspić.

- Wiem, że nie ma pan nic do ukrycia, ale teraz to nie wystarczy. Jeśli rozmowy nie idą po ich myśli, często próbują nas usadzić. Słyszał pan o Metro-Vickers?

Brytyjska spółka Metropolitan-Vickers Electrical Company Ltd dostarczała Związkowi Radzieckiemu ciężkie urządzenia elektryczne. Rok przed pierwszą wizytą Stephena w Moskwie doszło do dyplomatycznego incydentu, gdy dwóch pracowników firmy aresztowano pod zarzutem sabotażu przemysłowego.

- Tak - odrzekł Stephen. - Postawiono przed sądem dwóch inżynierów. Instalowali jakieś turbiny i dwie wysiadły. Dostali dwa lata, ale kiedy zrobił się skandal, chyba ich wypuszczono, prawda?

- Tak, ale wie pan, dlaczego Ruscy ich aresztowali? Dlatego, że ci faceci nie utrzymywali kontaktów z ambasadą i Kreml uznał, że są łatwym celem, że Londyn nic w ich sprawie nie zrobi. Ma pan dobre kontakty w ambasadzie?

- Niezbyt. - W sumie nie miał żadnych, nie licząc Hilliarda, którego polecił mu Corcoran. Sęk w tym, że Hilliard na pewno będzie podejrzliwy, cholernie ostrożny i niechętny. Gdyby Stephen wpadł, gdyby Rosjanie przyłapali go na czymś kompromitującym, ambasada by się od niego odcięła; Corky powiedział mu to jasno i wyraźnie.

- W takim razie niech pan się z nimi zaprzyjaźni, i to jak najszybciej - doradził Bishop. - Widzi pan, jak ci kelnerzy się ślimaczą? - Wypił łyk herbaty. - Dobry przyjaciel może się panu przydać. W Moskwie bez tego ani rusz.

- Tak?

- Tak, bo jeśli nie będzie miał pan sprzymierzeńca, wyczują pańską słabość i zaatakują. Jeżeli ma pan chody, w rządzie, w prasie, w jakiejś ważnej instytucji, jest pan w miarę bezpieczny. Ale bez chodów ustrzelą pana jak kaczkę. Uznają, że kłopotliwy z pana gość, i po herbacie. To dobra rada, niech pan z niej skorzysta.

Był mróz, mróz tak duży, że piekła go twarz. Moskwanie mówili, że takiego mrozu nie było od lat, że czeka ich sroga zima. Wstąpił do Torgsinu przy Gorkiego, do sklepu z rzadkimi, niedostępnymi dla Rosjan artykułami za twardą walutę, i kupił futrzaną czapkę. Ale nie dla przebrania - po prostu straszliwie marzył. Rosjanie nosili je nie bez powodu: znakomicie chroniły głowę i uszy. Dobrze pamiętał moskiewskie mrozy. Bywało tak zimno, że gdy choć na chwilę zostawiło się uchylone okno, w kałamarzu zamarzał atrament. Nawet najbardziej uprzywilejowani zagraniczni goście nie mieli wtedy lodówek, więc wkładali z bratem jedzenie do siatek i wywieszali je za okno. Mleko i jajka zamarzały na kamień.

Natychmiast zauważył, że za nim idą. Co najmniej dwóch przysadzistych agentów NKWD - widział ich wcześniej w Metropolu - śledziło go tak niezdarnie i nieumiejętnie, że albo byli fatalnie wyszkoleni, albo robili to specjalnie, żeby wiedział, że go śledzą. Przypuszczał, że chodzi o to drugie „albo”. Chcieli go ostrzec. Gdyby nie wiedział, jak pracuje rosyjska tajna policja, pewnie by się zaniepokoił, pewnie zastanawiałby się, czy o coś go nie podejrzewają. Ale on trochę ich znał, a przynajmniej tak uważał. Byli jak psy, które warczą na każdego obcego, ostrzegając go, żeby za blisko nie podchodził. Tych bandziorów - tak, tak, byli zwykłymi bandziorami, oprychami od łamania rąk i nóg - przydzielano każdemu obcokrajowcowi, żeby go zastraszyć, żeby poczuł na karku oddech policyjnego państwa.

Mimo to obecność dwóch zbirów podnosiła go na duchu. Było oczywiste - i w sumie dziwne - że NKWD o nic go nie podejrzewa. Że traktuje go jak zwykłego obcokrajowca, nic więcej. Gdyby go o coś podejrzewali - gdyby znali prawdziwy powód jego wizyty - nie wysłaliby za nim naturszczyków. Nie, przydzieliliby mu doświadczonych, dobrze wyszkolonych agentów. Tymczasem ci dwaj odgrywali rolę podwórzowych psów, które miały pilnować, żeby dobrze się prowadził. Bardzo go to cieszyło.

Cieszyło, ale i trochę martwiło. Ilekroć szedł do ministerstwa, nie miał nic przeciwko temu, wprost przeciwnie: chciał, żeby go śledzili. Chciał, żeby NKWD nabrało całkowitej pewności, że przyjechał tu wyłącznie w interesach. Ale tego ranka musiał ich zgubić, w dodatku zgubić w taki sposób, żeby uznali to za zwykły przypadek. Gdyby zrobił to zbyt umiejętnie, na Łubiance, w siedzibie NKWD, natychmiast wszczęto by alarm. Domyśliliby się, że coś knuje, że jest kimś więcej niż tylko zwyczajnym biznesmenem. Że może być amerykańskim szpiegiem.

Dlatego postanowił, że tego ranka będzie udawał zwykłego turystę. Turystę podziwiającego zabytki rosyjskiej stolicy. Musiał więc odpowiednio się zachowywać: żadnych gwałtownych ruchów, żadnych uników, żadnych zmyślnych sztuczek. Tamci nie mogli odnieść wrażenia, że idzie gdzieś w konkretnym celu, że się z kimś umówił, że ma spotkanie. Nie, musiał być spontaniczny, musiał przystawać, przyglądać się temu, czemu przyglądałby się każdy turysta...

I zgubić śledzących go agentów.

Jakaś staruszka sprzedawała tajemniczą miksturę z saturatora. Napis na tabliczce głosił, że to *limonad*; nazwa ta oznaczała tu każdy gazowany napój. Długa kolejka Rosjan w futrzanych czapkach z opuszczonymi, sterczącymi jak ośle uszy nausznikami czekała z benedyktyńską cierpliwością, żeby zapłacić kilka kopiejek za gazowaną wodę z czerwonym syropem ze wspólnej szklanki. Metcalfe przystanął, jakby go to zaciekało i przypatrując się stojącym w kolejce, ustalił pozycję śledzących go agentów. Jeden był kilkadziesiąt metrów za nim i włókł się jak ślimak w upale. Drugi stał w budce po drugiej stronie ulicy, udając, że telefonuje. Wszystko było jak trzeba.

Obserwowali go, trzymali się na dystans, dając mu do zrozumienia, że tam są. Gdyby podeszli bliżej, za bardzo rzucaliby się w oczy; gdyby dali mu więcej luzu, mogliby go nie chcąc zgubić.

Poszedł dalej spokojnym, niespiesznym krokiem turysty zaciekawionego egzotyką miasta. Wiał porywisty wiatr. Czasami aż wył, niosąc zblakane płatki śniegu i drobniutkie kryształki lodu. Pod butami - wypolerowanymi na błysk skórzanymi butami zamożnego Amerykanina, a nie pod filcowymi walonkami - skrzypiał śnieg. Niedługo potem zaczepił go jednoręki sprzedawca gazet, bezzębny starzec z plikiem „Trudu”, „Izwestii” i „Prawdy”. Gazety leżały na wózku, a on wymachiwał mu przed nosem małą czerwoną książeczką.

- Śpiewnik - zachęcał rozpaczliwie. - Tylko pół rubla. Najśłynniejsze radzieckie pieśni! Stalin, nasz wielki ojciec, nasze słońce, nasz radziecki traktor...

Stephen uśmiechnął się, pokręcił głową i nagle przystanął. Zaświtała mu pewna myśl. Nadjeżdżał tramwaj. Tą ulicą przebiegała *Bukaszka*, tak zwana *bolszaja krugoswietka*, coś w rodzaju miejskiej obwodnicy. Tramwaj jechał powoli; Metcalfe dostrzegł go kątem oka. Jeden ze śledzących go agentów oglądał buty na wystawie sklepu po drugiej stronie ulicy, ale tak naprawdę obserwował go w szybie. Ten drugi szedł leniwie po jego stronie. Za chwilę miał minąć saturator z *limonadem* i gdyby Stephen zdołał zgrać wszystko w czasie, na kilka sekund zniknąłby im z oczu. Spojrzał na bezzębnego sprzedawcę gazet i wyjął portfel. Agent oglądający buty widział, co się dzieje i wiedział, że transakcja potrwa co najmniej pół minuty, bo starzec na pewno zechce mu wepchnąć inne towary. Dlatego założył, że nawet jeśli na jakiś czas straci Stephena z oczu, nic się nie stanie, bo co też może się stać?

Metcalfe dał starcowi rubla.

- *Wot, spasiba, baryn* - odrzekł tamten uprzejmym, niemal uniżonym językiem, jakim rosyjscy chłopcy zwracali się dawniej do szlachciców. Żeby wziąć banknot, odłożył książeczki na wózek, ale Stephen nie czekał, aż poda mu śpiewnik. Minął go, stanął na krawężniku i skoczył. Prawą nogę postawił na stalowym stopniu, palcami prawej ręki zahaczył o poręcz, podciągnął się i wszedł do środka. Nie odniósł przy tym żadnej kontuzji, bo tramwaj nie jechał na szczęście zbyt szybko. Ktoś krzyknął, pewnie motorniczy, kobieta, która siedziała z przodu, obracając kółkami i przekładając jakieś dzwignie.

Metcalfe szybko spojrział w lewo, żeby sprawdzić, co robią agenci. Ten przed oknem wystawowym sklepu obuwniczego ani drgnął, niczego nie zauważył. Ten, który szedł wzdłuż kolejki do saturatora, też nie, bo wciąż miał taką samą minę. Cały czas myśleli, że ich Amerykanin gada z jednorękiem sprzedawcą gazet. Jednoręki był jedynym świadkiem jego skoku, ale zanim zdążą go o cokolwiek zapytać, tramwaj będzie już daleko -taką przynajmniej miał nadzieję.

Przepchnął się przez tłum pasażerów do konduktora i wrzucił do metalowego pojemnika garść kopiejek. Wszystkie siedzenia były zajęte, wiele z nich przez mężczyzn, którzy ani myśleli ustępować miejsca kobietom.

Udało mu się, zgubił ich, przynajmniej na jakiś czas. Ale robiąc to, co zrobił, zmienił zasady gry. Gdy tamci zorientują się, że dał nogę, zaczną traktować go ze wzmożoną podejrzliwością. Będą uważniejsi, wrogo nastawieni. Uciekł im tak łatwo pierwszy i prawdopodobnie ostatni raz.

Wysiadł na Pietrowce, jednej z głównych ulic w śródmieściu, gdzie stały okazałe domy, w których mieszkali kiedyś bogaci kupcy, zamienione w hotele, ambasady i kamienice. Natychmiast rozpoznał trzypiętrowy dom o klasycznej wapiennej fasadzie. Mieszkała w nim Lana ze swym starym ojcem Michaiłem Iwanowiczem Baranowem, emerytowanym generałem Armii Czerwonej, obecnie pracownikiem Ludowego Komisariatu Obrony. Przed sześciu laty dość często tu bywał i znał drogę na pamięć.

Ale nie przystanął przed domem. Nie, poszedł dalej, w stronę hotelu Aurora ulicę dalej. Minął kilka sklepów, piekarnię, mięsny, w którym nie było mięsa, i odzieżowy, gdzie na chwilę przystanął, żeby zlustrować okolicę. Z tramwaju wysiadła z nim garstka pasażerów -

kilka kobiet w średnim wieku, kobieta z dwojgiem małych dzieci, jakiś starzec - ale żaden z nich nie wzbudził jego podejrzeń. Stał tam, udając, że ogląda skąpą wystawę i cały czas patrzył w szybę. Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, gwałtownie skreślił, przeszedł na drugą stronę ulicy i ponownie przystanął, tym razem przed plakatem reklamującym uroki Soczi. Ten nagły i niespodziewany manewr wypłoszyłby z ukrycia ewentualnych obserwatorów, którzy musieliby za nim pójść. Ale nie, nie poszli, nie dostrzegł nikogo. Teraz był już zupełnie pewien, że nikt go nie śledzi. Ruszył przed siebie, kilkadziesiąt metrów dalej przeszedł na drugą stronę ulicy i okrążył dom Lany.

W teatrze chroniono ją jak wszystkie baletnice, a jako primabalerinę może nawet bardziej. Ale tutaj już nie, tu powinno być łatwiej - bardzo na to liczył. Zerknął na ostatnie piętro, na rząd okien jej mieszkania i zobaczył cień.

Zabrakło mu tchu. Ten kształt, ta sylwetka za cienką firanką. Lana.

Stała w oknie zjedną ręką na biodrze i rozmawiała z kimś, gestykulując drugą.

Tak, to ona, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Nawet sama jej sylwetka była niezwykła, wprost boleśnie piękna. Boże, Lana. Stała tam, ledwie kilkadziesiąt metrów dalej, i nagle obrzydł mu ten przeklęty mróz, ten lodowaty wiatr, ten ohydny moskiewski chodnik. Poprzedniego wieczoru wyprosiła go z garderoby. Zrobiła to z pogardą, szyderstwem i - był tego pewien - ze strachem. Czuł, że teraz też będzie bała się z nim rozmawiać.

Ale dlaczego? Skąd ten strach? Z powszechnej tu fobii, lęku przed obcokrajowcami, zwłaszcza tymi z Zachodu? A może miał coś wspólnego z jej kochankiem, z von Schusslerem? Ostrzeżono ją? Przed czym? Bez względu na to, dlaczego się bała, musiał z nią o tym pomówić. Musiał ją przekonać, że to rozumie. Musiał ten strach odpędzić.

Stojąc kilkadziesiąt metrów od drzwi do klatki schodowej, wyjął „Izwestię”, rozłożył ją i udał, że czyta. Odczekał jeszcze kilka minut. W końcu, gdy chodnik zupełnie opustoszał, ruszył w stronę drzwi, pchnął je i wszedł do środka. Strażnicy? Ochrona? Nie, nie mieszkał tu żaden dygnitarz. Wbiegł na schody i popędził na trzecie piętro.

Drzwi jej mieszkania były obite pikowaną skórą. Nie tylko jej, pozostałe też; widywał takie w całej Moskwie. Obijano je nie dlatego, żeby lokatorom było cieplej. Nie, grube obicie tłumiło dźwięk, a zawsze istniała obawa, że ktoś może podsłuchiwać.

Z mocno bijącym sercem, zdenerwowany, załęczniony i podniecony, nacisnął guzik dzwonka. Po chwili usłyszał czyjeś ciężkie kroki. To nie Lana. Jej ojciec?

Drzwi powoli się otworzyły i w szparze ujrzał pomarszczoną twarz starej, sędziwej kobiety o małych, kaprawych oczach. Była w szorstkim wełnianym swetrze z delikatnym koronkowym kołnierzykiem i w ciężkim lnianym fartuchu.

- *Dal* - rzuciła podejrzliwie. - *Czto wy chotitie?*

Nie znał jej, jednak natychmiast rozpoznał ten typ: należała do wiekowego i odwiecznego gatunku tak zwanych *babuszek*. *Babuszka* to po rosyjsku „babcia”, lecz określenie to - można je było stosować do wszystkich kobiet w podeszłym wieku - miało mnóstwo innych znaczeń. *Babuszka* to najważniejsza osoba w rodzinie, to jej opoka, to surowa, lecz ukochana i ciężko pracująca matka rodu w społeczeństwie, w którym mężczyźni często umierali przedwcześnie, ginąc na wojnie lub zapijając się na śmierć. To matka, babka, kucharka, gospodyni domu i megiera w jednej osobie.

Ale ta kobieta nie była babką Lany; wiedział, że jej dziadkowie już nie żyją. Była pewnie kucharką i gospożą, choć przywilej posiadania gospośi przyznawano jedynie najbardziej zasłużonym członkom radzieckiej elity.

- *Zdrastwujtie, babuszka* - powiedział. - Ja do Swietłany Michajłownej.

Staruszka zmarszczyła brwi.

- A wy kto?

- Proszę jej powiedzieć, że przyszedł... Stiwa.

Zmarszczki na czole pogłębiły się jeszcze bardziej, zmrużone oczy niemal zniknęły pod fałdami obwisłej skóry. Starowinka gwałtownie zamknęła drzwi. Ponownie usłyszał jej ciężkie kroki, a potem przytłumiony, oddalający się głos. Przed sześciu laty Lana i jej ojciec nie mieli gosposi. Wiedział, że gosposia to w rosyjskim domu coraz większa rzadkość, nawet wśród tych najbardziej zasłużonych. Czyżby władze przyznały jej ten przywilej, gdy została primabaleriną teatru Bolszoi?

Jakiś czas później drzwi otworzyły się ponownie.

-Nie ma jej - rzuciła staruszka głosem niecierpliwym i poirytowanym.

- Przecież wiem, że jest...

- Nie ma.

- A kiedy wróci? - Cóż, musiał grać, jak mu każą.

- Nigdy. Nie dla ciebie. I nie przychodź tu więcej.

Zatrzasnęła drzwi.

Nie, Lana się nie bała: Lana była przerażona. Ponownie go odepchnęła - ale dlaczego? Impulsywna reakcja wzgardzonej i odrzuconej kochanki? Nie, to coś znacznie bardziej skomplikowanego. Lęk przed kontaktem z obcokrajowcami? Nawet gdyby, to dlaczego nie wpuściła go teraz, gdy był sam? Przecież wpuściłaby go z czystej ciekawości, spytałaby, o co chodzi, po co przyjechał do Moskwy, dlaczego tak bardzo chce się z nią zobaczyć. Znał ją. Była kobietą o nienasyconej ciekawości i zawsze wypytywała go o życie w Ameryce, o świat, o jego podróże - pod tym względem była niemal jak dziecko. Tak więc, mając możliwość rozmowy sam na sam, na pewno nie przepuściłaby takiej okazji. Poza tym nie należała do kobiet, które długo noszą urazę i jeśli już wpadała w gniew, gniew ten szybko mijał. To, że nie chciała go widzieć, po prostu nie miało sensu i bardzo go zastanawiało.

Ponownie stanęła mu przed oczami nachmurzona i pomarszczona twarz *babuszki*. Co ta kobieta tam robiła? Przed sześciu laty Baranowowie obywali się bez gosposi. Mieszkali tylko we dwoje, a gotowaniem dla owdowiałego ojca zawsze zajmowała się Lana.

Czy *babuszka* naprawdę była gosposią? A może strażniczką, obserwatką, nadzorczynią? Czy NKWD umieściło ją tam, żeby jej pilnowała, może nawet więziła?

Nie, to bez sensu, Lana nie była aż tak ważną osobistością. Była tancerką, to wszystko. Musiało istnieć prostsze, bardziej racjonalne wytłumaczenie: *babuszka* to zwykła gosposia. Lana została primabaleriną i przyznano jej prawo do gosposi. Tyle. A to, że nie chciała się z nim widzieć? Rok 1940 to nie to samo co początek lat trzydziestych. Rosjanie wyszli właśnie z okresu wielkich czystek, wszędzie panował strach i paranoja. Władze wiedziały o ich dawnym romansie i zabroniły jej odnawiania i podtrzymywania znajomości - czy to nie logiczne? Może przyczyna jej dziwnego zachowania leżała właśnie w tym?

Miał nadzieję, że tak. Bo jeśli nie, nasuwało się inne wytłumaczenie, wytłumaczenie tak złowieszcze, że nie chciał nawet o tym myśleć. Czy to możliwe, żeby radzieckie władze wiedziały, po co tu przyjechał? Żeby znały cel jego tajnej misji? Jeśli tak, było oczywiste i logiczne, że ostrzegły przed nim Lane. A gdyby rzeczywiście tak było...

Nie, nie, to jakiś koszmar. Zresztą gdyby tak było, aresztowano by go zaraz po przyjeździe do Moskwy. Nie, to niemożliwe.

Schodząc na dół, spoglądał w wąskie okna na klatce schodowej i raptem zobaczył coś, co go zmroziło. Na podwórzu przed domem stał jakiś mężczyzna z papierosem w ustach. Nie wiedzieć czemu wyglądał znajomo. Miał typowo rosyjską twarz: wystające kości policzkowe, wydatny nos, lekko skośne oczy, gęste blond włosy i jasne, jakby wyblakłe oczy. Ta twarz, ta harda, okrutna twarz...

Gdzie ją widział, bo widział ją na pewno.

I nagle... Tak, przed Metropolem. Ten sam mężczyzna stał tam i rozmawiał z kimś z tak wielkim ożywieniem, że wychodząc z hotelu, Stephen nie zwrócił na niego uwagi. Owszem,

odruchowo zarejestrował jego wygląd i poszedł dalej, a ponieważ ani blondyn, ani ten drugi nawet na niego nie spojrzeli, szybko o nich zapomniał.

Ale tak, nie miał najmniejszych wątpliwości, że to ten sam człowiek.

Jezu, jakim cudem? Przecież nikt za nim nie szedł. Przecież zbirów z hotelowego holu zgubił, wskakując do tramwaju, a wskoczywszy, natychmiast sprawdził, czy nie śledzi go nikt inny i czy tamci są nadal tam, gdzie ich zostawił. W pobliżu nie było nikogo podejrzanego, dawał za to głowę!

A tu proszę: na podwórzu stał blondyn z okrutną twarzą, mężczyzna, którego przed Metropolem ledwo zauważył.

Co oznaczało, że wcale tu za nim nie przyszedł. A to było już w najwyższym stopniu niepokojące. Corcoran zawsze powtarzał: „Tylko jedno jest gorsze od tego, że cię śledzą: to, że cię nie śledzą. Bo jeśli tak jest, to znaczy, że wiedzą, dokąd idziesz”.

Blondyn sprzed Metropolu przyszedł tu sam, jakby wiedział, że Stephen zamierza odwiedzić Swietlanę. Wiedział? Ale skąd? Metcalfe nie powiedział o tym nawet Rogerowi, bojąc się, że ktoś może ich podsłuchać.

Blondyn - albo jego mocodawcy - musieli wiedzieć o jego dawnych związkach z Laną. W przeciwieństwie do zbirów z hotelu, otrzymał zapewne dokładne instrukcje z góry, od kogoś, kto miał dostęp do akt Stephena. Już samo to odróżniało go od podrzędnych tajniaków: należał do innej, o wiele groźniejszej kategorii.

Metcalfe przystanął na schodach, obserwując go zza framugi okna. Od myśli wirowało mu w głowie. Był pewien, że blondyn nie widział go, jak tu wchodzi. Nie, on po prostu wiedział, jak Stephen jest ubrany, właśnie po to czekał przed Metropolem: żeby go namierzyć, sprawdzić, jak wygląda.

Nie widział, jak tu wchodziłem. Nie wie, że chciałem zobaczyć się z Laną...

I się nie dowie. Trzeba ją chronić, chronić ją za wszelką cenę.

Zszedł do piwnicy. Zapach dymu przybrał na sile; ze względu na brak węgla, budynek ogrzewano drewnem, jak większość budynków w Moskwie. Ciężkie, pokiereszowane drewniane drzwi, za drzwiami mroczna piwnica. Gdy oczy przywykły do ciemności, ruszył przed siebie, omijając prymitywny piec. Gliniasta podłoga była mokra i śliska: lokatorzy zainstalowali tam nielegalny prysznic. Kąpiele w ciepłej wodzie były zakazane, przynajmniej dla większości moskwiaków; gorącą wodę często odłączano, dlatego kąpiel była po prostu niemożliwa, chyba że ktoś podgrzewał wodę nielegalnie. I tak w piwnicach większych domów zaczęto po kryjomu montować prysznice, a mieszkańcy płacili astronomiczne sumy, żeby postać choć chwilę pod ciepłym, mile szmerzącym strumyczkiem.

Palili drewnem, a więc musieli je tu jakoś wnosić. Tylne wejście? Tak, *szuźebnyj wchod*: musiał tu być *szuźebnyj wchod*. Rozejrzał się i zobaczył krótkie, betonowe schody prowadzące do małych, prymitywnych drzwiczek. Były zamknięte na haczyk, więc otworzył je po cichu i ostrożnie pchnął. Brukowana uliczka. W uliczce nikogo. Blondyn sterczał pewnie na posterunku, czekając, aż Amerykanin wejdzie lub wyjdzie z budynku. Nie, za nic się stamtąd nie ruszy, nie zaryzykuje.

Stephen zamknął drzwiczki i puścił się biegiem przed siebie. Wkrótce stwierdził, że to coś więcej niż zwykła uliczka. Był to *piereułok* łączący dwie większe ulice i służący za drogę dla ciężarówek rozwożących towary, między innymi do sklepów na Pietrowce, które minął, idąc do Lany. Sęk w tym, że tylne wejścia zwykle zamykano w obawie przed złodziejami. Piekarnia, sklep mięsny, sklep odzieżowy i wreszcie hotel Aurora. Tu zwolnił do leniwego, swobodnego kroku.

Rozejrzawszy się szybko, żeby sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie, wszedł na drewniane schody za metalowymi pojemnikami na śmieci i załomotał do stalowych drzwi. Cisza. Żadnej reakcji. Załomotał jeszcze raz, nacisnął klamkę i ze zdziwieniem stwierdził, że drzwi są otwarte.

Ciemny korytarz, w którym cuchnęło machorką, prowadził do korytarza dużo szerszego. Znowu drzwi, tym razem podwójne, i olbrzymia kuchnia. Gruba, przysadzista kobieta o rudobrazowych włosach mieszała coś w wielkim, żelaznym garze; mężczyzna w niebieskim uniformie smażył na płycie podejrzenie wyglądające kotlety. Oboje popatrzyli na niego ciekawie, próbując ustalić, co ten elegancko ubrany obcokrajowiec tu robi, nie wiedząc, jak zareagować.

- Przepraszam - powiedział po angielsku Metcalfe. - Chyba zabłądziłem.

- *Nie rozumieją*. - Ruda kucharka wzruszyła ramionami. Stephen uśmiechnął się potulnie, też wzruszył ramionami, przeszedł przez kuchnię i znalazł się w opustoszałej restauracji. Restauracja, za restauracją wysoki, zaniedbany hol: obłazący z farby sufit, przetarte wschodnie dywany, wypchane głowy reniferów na ścianach.

I dwaj młodzi recepcjoniści za ladą. Gdy ich mijał, służbiście skinęli mu głową. Nie znali go, lecz nie powiedzieli ani słowa: był dobrze ubranym obcokrajowcem, wyszedł z restauracji, więc najpewniej mieszkał w ich hotelu. Stephen też skinął głową, krótko, acz uprzejmie, i skierował się do drzwi. Już zaraz. Już zaraz zniknie w tłumie przechodniów, pozostawiając blondyna przed domem Lany.

Pod zadaszeniem przystanku tramwajowego naprzeciwko Aurory stał... ktoś znajomy.

Blondyn o wyblakłych oczach. Stał tam spokojnie i palił papierosa, jakby na kogoś czekał.

Metcalfe odwrócił głowę, udając, że patrzy w drugą stronę. Boże, pomyślał. Dobry jest. Bardzo dobry. Obojętne, kto go tu przysłał, to agent zupełnie innego kalibru niż ci dwaj z Metropolu. To tajniak pierwszej klasy.

Ale dlaczego?

Dlaczego posadzili mu go na ogonie? Co to znaczy? Mogło to znaczyć... Mogło to znaczyć wiele rzeczy, ale jedno było pewne: z jakichś powodów radziecki wywiad uznał, że nie wolno odstępować go na krok. Tak utalentowanego szpicla nie marnowaliby na zwykłego zagranicznego biznesmena.

Poczuł się jak po zastrzyku adrenaliny, na czoło wystąpiły mu krople potu. Zdekonspirowali mnie? - myślał.

Wiedzą, po co tu przyjechałem?

Spalić go. Zdemaskować. Tak, to jedyne wyjście. Był o wiele za dobry, zbyt niebezpieczny. Ale jeżeli cel zidentyfikuje agenta, ten będzie w terenie zupełnie bezużyteczny i przełożeni go zdejmą.

Z przyjaznym, choć nieco zagubionym wyrazem twarzy ruszył w stronę drewnianego przystanku, ćwicząc w myśli swoją kwestię: „Bardzo pana przepraszam, czy mógłby mi pan pomóc? Chyba się zgubiłem...” Jedno spotkanie twarzą w twarz i będzie miał go z głowy.

Serce biło mu coraz szybciej. Obszedł przystanek i ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Chryste, dobry jest. Naprawdę dobry.

Blondyn zniknął.

Rozdział 14

Amerykańska ambasada mieściła się przy Mochowej, tuż obok hotelu National, naprzeciwko placu Maneżowego i Kremla. Budynek był ponury i zaniedbany, za to ochrona znakomita. Cóż za ironia, pomyślał z posepnym uśmiechem Metcalfe, okazując paszport. Pilnują nas i Amerykanie, i Rosjanie. Przed ambasadą stali żołnierze piechoty morskiej i agenci NKWD. Marines mieli nie wpuszczać tu Rosjan. Ci z NKWD też, z obawy, że jakiś desperat wedrze się do gmachu, chcąc zwać na Zachód.

Amos Hilliard, trzeci sekretarz i konsul, zajmował surowy, pozbawiony osobowości pokoik. Niski, łysiejący i blady, nosił okulary i miał tak delikatne dłonie, że zdawało się, iż skaleczyć je może byle papierek.

Jednakże pod maską delikatności krył się człowiek z żelaza. Hilliard był szczery aż do bólu i Stephen szybko zrozumiał, dlaczego Corcoran, który ufał tak niewiele, zaufał właśnie jemu, temu bezpośredniemu, prostolinijnemu chłopakowi z rolniczej Iowy. Amos przepracował w służbie zagranicznej wiele lat i był ekspertem od spraw rosyjskich - ekspertem, który nie wierzył, że takowi w ogóle istnieją.

- Ekspert? - prychnął po kilku minutach rozmowy. - Wie pan, kto to taki? Facet, który mieszka w Rosji od dwudziestu lat albo od dwóch tygodni. Ja nie mieszcę się ani w jednej kategorii, ani w drugiej. Ekspertów nie ma. Są tylko ludzie o różnym stopniu ignorancji.

Hilliard był kimś więcej niż jednym z nielicznych urzędników Departamentu Stanu, którym Corky ufał: był również jego agentem. A to, że Corcoran zezwolił im na spotkanie, łamiąc swoje uświęcone zasady, nie mieściło się po prostu w głowie.

- Nie mam wyboru - powiedział Stephenowi w Paryżu. - W moskiewskiej ambasadzie pracuje sporo ludzi, ale nie można im ufać. A Hilliard? - dodał lodowato. - To jeden z nielicznych, którym możesz zaufać, ale na twoim miejscu nie ufałbym nikomu.

- Nawet panu? - zażartował Metcalfe.

Corcoran potraktował to jednak poważnie.

- Czyż nie jest tak, że największy błąd popełniamy, ufając samemu sobie? - Z jego oczu biło oskarżenie, znajoma nagana: nie zadzieraj nosa, Stephen, bo może się okazać, że wcale nie jesteś taki dobry.

- Witamy w dolinie wiecznej szczęśliwości. - Hilliard zapalił camela. - Nasz... wspólny przyjaciel musi wysoko pana cenić.

Metcalfe tylko wzruszył ramionami.

- Widać bezgranicznie panu ufa.

- Panu też. Takie spotkanie to rzadkość.

Hilliard potrząsnął głową, jakby chciał uporządkować myśli.

- Spytać go, jaka jest pogoda, a będzie się zastanawiał, po co komu ta informacja.

- Moskwa to pewnie wyjątek.

- Fakt. Wchodząc do tego budynku, zdradził pan swoje nazwisko co najmniej kilkudziesięciu pracownikom. Oczywiście jest pan tylko amerykańskim biznesmenem, nikim więcej, ale to, że chciał pan spotkać się akurat ze mną, może wzbudzić zdziwienie.

- Dlaczego?

- Nie, nie, to nie to, co pan myśli. Jestem tylko dyplomata, który robi swoje i z niczym się nie wychyla. Rzecz w tym, że nie należę do żadnych frakcji i koterii, a będąc niezależnym, jestem automatycznie podejrzany. Muszę pana ostrzec. Wiem, że to zbędne, ale proszę, niech mi pan pozwoli: niech pan z nikim tu nie rozmawia. I nikomu nie ufa. To szczerze gniazdo.

- Podwójna lojalność?

- Podwójna? - prychnął Hilliard. - Gdyby zaczął pan liczyć, zabrakłoby panu palców u rąk. Ta ambasada zaczyna przypominać nasze placówki w Ankarze czy Istambule w latach trzydziestych, kiedy to roiło się tam od przeróżnych obozów, odłamów i orientacji. To tak, jak podnieść zmurszałą kłodę drewna: dziesiątki spanikowanych stworzonek, których nigdy dotąd pan nie widział, rozpiezchają się na wszystkie strony w poszukiwaniu schronienia. Ale to wina naszego rządu. Białego Domu i Roosevelta. Ci ludzie nie wiedzą, co robią. Ciągłe zmieniają postawę wobec Rosji, nie mogą się zdecydować, skutkiem czego my, ludzie z terenu, dostajemy sprzeczne polecenia.

- Nie sądzi pan chyba, że Roosevelt jest komuchem.

- Teraz nie. Ale przez wiele lat, odkąd tylko wprowadził się do Białego Domu, patrzył na Moskwę przez różowe okulary. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobił, było coś, na co nie poważył się żaden prezydent, odkąd bolszewicy obalili cara: oficjalnie uznał radziecki rząd. A ten Hopkins, jego główny doradca? Wziął na celownik służbę zagraniczną i ciągle ochrzanią nas za zbyt twarde podejście do dobrego wujaszka Stalina. Komunizm ma wiele dobrych stron. Dlaczego ich nie dostrzegacie? Tak mówi. Chryste, wystarczy tylko spojrzeć na poprzedniego ambasadora!

Metcalfę kiwnął głową. Poprzedni ambasador zasłynął z zagorzałego poparcia, jakiego udzielił Stalinowi i jego krwawym czystkom.

- Chce pan powiedzieć, że niektórzy pańscy koledzy za bardzo lubią Rosjan? Że są, hm... lekko różowi? A może uważa pan, że roi się tu od szpiegów nasłanych przez Kreml?

Hilliard poruszył się niespokojnie i nerwowym ruchem pulchnej ręki przeczesał meszek na łysiejącej głowie.

- Jest różnica między szpiegiem i wpływowym agentem. Mam na myśli ludzi, którzy prowadzą podwójną księgowość. Którzy uważają, że mogą pracować dla nas, jednocześnie oddając przysługi swoim przyjaciółom z placu Czerwonego. Cynki, telefony i tak dalej. Ba! Niektórzy z nich próbują nawet wpływać na naszą politykę zagraniczną, żeby była bardziej przyjazna dla Moskwy.

- Niech pan nazywa ich, jak pan chce - powiedział Stephen. - Dla mnie to zwykli zdrajcy.

Hilliard ciężko wzruszył ramionami.

- Gdyby to było takie proste... Ci ludzie kierują się poczynaniami tych z góry. No bo skoro Harry Hopkins i Roosevelt chcą dobrych stosunków ze Związkiem Radzieckim, żeby powstrzymać nazistów - usilnie nad tym pracowali, dopóki dwa miesiące temu Stalin nie uściskał ręki Hitlerowi - cynk do przyjaciół z NKWD czy z Kremla ma pewien sens, prawda?

Przecież robią to dla dobra sprawy. Ot, tacy wolni strzelcy. Najgroźniejszymi zdrajcami są ci, którzy zdradzają z miłości, którzy uważają się za prawdziwych patriotów. - Hilliard przeszył go spojrzeniem. Co on chce mi powiedzieć? - zastanawiał się Metcalf.

- Twierdzi pan, że jako pracownik ambasady Stanów Zjednoczonych nie ufa pan swoim kolegom, bo któryś z nich może pracować dla Stalina?

- Ci od Stalina to tylko jedna z frakcji, jeden z elementów. Dopiero niedawno Roosevelt publicznie przyznał, że wujaszek Stalin nie jest tak do końca dobrym wujaszkiem. Poznał prawdę o bolszewikach i zaczął się uczyć. - Zniżył głos. - Spójrz pan na tego tępaka, którego tu przysłał, na nowego ambasadora. Facet finansował jego kampanię. To chytry nowojorski prawnik, szczwany lis, który wie o Rosjanach tyle, co ja o Eskimosach, i który chętnie by stąd zwał, jak my wszyscy. Pogardza Ruskimi, chociaż nic o nich nie wie. Nie ma nic gorszego niż fanatyzm oparty na ignorancji. Ma swoich klakierów, ludzi nienawidzących Rosji, facetów, którzy boją się wirusa bolszewizmu tak bardzo, że zrobią wszystko, żeby podkopać nasze stosunki z Kremlem. I z radością pomagają Berlinowi. Tak, tak, bo uważają, że naziści to jedyna nadzieja, że tylko oni są w sta nie ocalić świat przed komunizmem.

- Pan poważnie? Ktoś od nas współpracuje z hitlerowcami?
- Na swój sposób tak, jak najbardziej. Jest jeszcze gorzej, bo cały problem polega na tym, że nie wie się tego na pewno. Cholera, tu jest jak w gnieździe żmij!

- Rozumiem.

- Ale nie po to pan przyszedł. Jeśli dobrze odczytałem tę zaszyfrowaną depeszę, szuka pan konkretnych informacji wywiadowczych. Chce pan sprawdzić, czy ten hitlerowsko-stalinowski sojusz nie jest przypadkiem dęty. Czy to nie taktyczna zagrywka którejś ze stron. Tak?

- Tak, między innymi.

- Powiem panu tylko tyle, że to jedna wielka niewiadoma. Enigma. Tajemnica Sfinksa. Każdy chciałby ją poznać, my też. No i pan. Tylko dlaczego? Bardzo mnie to intryguje...

- I na tym będziemy musieli poprzestać. Hilliard kiwnął głową.

- Te wszystkie komórki i komóreczki, to rozczłonkowanie... Powiem coś panu. Przez półtora roku wysyłałem do Waszyngtonu depesze z ostrzeżeniem, że Stalin zamierza podpisać pakt z Hitlerem. Wie pan, co ci idioci na to? Nie wierzyli mi. Mówili, że to bzdura. „Wykluczone, jaki pakt?

Zadnego paktu nie będzie". Marksistowski rząd nigdy nie wejdzie w układ ze swoim ideologicznym przeciwnikiem. Nie docierał do nich prosty fakt, że Stalin chce tylko zachować system. Że ideologia nie ma z tym nic wspólnego. Że chodzi o zwykłe przetrwanie.

- Wiedział pan, że podpiszą pakt?

- Mam niezłych informatorów.

- Na Kremlu?

Hilliard uśmiechnął się tajemniczo.

- Wszyscy wiedzieli, że Berlin gada z Moskwą, ale nawet Rosjanie nie przypuszczali, że dojdzie do porozumienia. Skąd o tym wiem? Coś panu opowiem. Kiedy Ribbentrop, niemiecki minister spraw zagranicznych, przyjechał do Moskwy podpisać pakt, Rosjanie nie mieli ani jednej hitlerowskiej flagi, żeby wywiesić ją na lotnisku podczas ceremonii powitania. Szukali, przewrócili wszystko do góry nogami i nic. W końcu znaleźli kilka w moskiewskim studiu filmowym, gdzie używano ich jako rekwizytów w antyhitlerowskim filmie propagandowym, który oczywiście trafił na półki.

- Ale pan wiedział - drażył Metcalfe. - Wiedział pan, że ten pakt podpiszą. - Amos Hilliard musiał mieć wtyczkę w niemieckiej ambasadzie, innego wytłumaczenia nie było.

- Tajemnica moich dość umiarkowanych moskiewskich sukcesów polega na tym, że potrafię myśleć jak Stalin. Przyznaję, nie jest to zbyt przyjemne. Stalin to człowiek niezwykle pragmatyczny. Poznałem go. Miałem okazję go ocenić. Jest bezwzględny, ale i bezwzględnie praktyczny. Wiem, co myśli. Widzi, że Francja upadła, że Brytyjczycy zwiiali do siebie z podwiniętym ogonem. Widzi, że Londyn nie ma w Europie żadnych sojuszników. Żadnych, ani jednego! Wie też, że nie ma w ręku innych kart. Wie, że w układy wchodzić trzeba z najsilniejszym, nie z najsłabszym. I zrobi wszystko, żeby niemieckie czołgi nie przekroczyły radzieckiej granicy.

- A jeśli Hitler daje mu jeszcze pół Polski, państwa nadbałtyckie i Besarabię...

- Właśnie. Hitler musi uniknąć wojny na dwa fronty. Taka wojna by go zniszczyła. Walczyć z Anglikami i jednocześnie atakować Rosję? Czyste szaleństwo. Część wojsk i zaplecza musiałyby przerzucić na wschód, armia uległaby rozproszeniu i przegrałaby jak amen w pacierzu. A bez względu na to, jaki jest, na pewno nie jest głupi. I tym sposobem wracamy do zagadki Sfinksa, tej największej, niezgłębionej tajemnicy. Czy zawarli pakt na poważnie? Odpowiem panu. Tak, na poważnie. Traktują go z taką samą powagą jak samą wojnę, jak interes własny.

Stephen potarł czoło. Od natłoku myśli zakręciło mu się w głowie. Jedna z nich, choć nie do końca sformułowana, przybierała coraz wyraźniejszy kształt.

- Ale jeśli tak, jesteśmy ugotowani. Zbrojny sojusz między dwoma europejskimi imperiami, które dysponują potężnymi środkami i milionami żołnierzy? Po prostu podzielią się lupami, najpierw Europą, potem resztą świata. Wykreślą nową mapę, a my nie możemy temu zapobiec!

- Teraz już rozumiem, dlaczego nasz wspólny przyjaciel panu ufa. Umie pan myśleć strategicznie.

- Stalin negocjował z Ribbentropem osobiście, tak?

Hilliard bez słowa skinął głową.

- Nie zrobiłby tego, gdyby mu na tym naprawdę nie zależało.

- A gdy już podpisali pakt, wznosił toast za Hitlera. *Motodiec*, tak go nazwał.

- Zuch. Chwat.

- Zna pan rosyjski.

- Trochę - zełgał Stephen. - Na tyle, żeby dogadać się na ulicy.

- No i teraz Rosjanie kupują od Niemców turbiny, wiertła to luf, tokarki i działka przeciwlotnicze, a wszystko za grube miliony marek. Myśli pan, że Niemcy by im to sprzedawali, gdyby nie uważali ich za sprzymierzeńców? Wątpię. Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Co robi Waszyngton? Co robi Roosevelt? Przystąpi do wojny? Zaatakuje i Niemcy, i Rosję?

- Jedyna nadzieja w tym, że dojdzie do jakiegoś rozłamu.

- Między Stalinem i Hitlerem? Próbuje pan dodać sobie otuchy, Metcalfe. Marzyciel z pana. Oni dobrze wiedzą, że jako sojusznicy są niemal wszechpotężni, że mogą podzielić się całym światem. Mam znajomych w ambasadzie brytyjskiej, a znajomi gadają. Niektórzy ministrowie w rządzie Churchilla, chociaż nie sam Churchill na szczęście, nalegają na zawarcie pokoju z Niemcami i sojusz przeciwko Rosjanom.

Stephen zagryzł dolną wargę.

- Dobrze pan zna tych z niemieckiej ambasady?

Hilliard drgnął.

- Chyba nieźle - odrzekł nieufnie. - Co pan chce wiedzieć?

- Drugim sekretarzem jest niejaki von Schussler...

Hilliard kiwnął głową.

- Miernota. Arystokrata ze starej niemieckiej rodziny. Dlatego załapał się do ministerstwa. Kompletne zero. Dlaczego pan o niego pyta?

- Wie pan coś o jego przekonaniach politycznych?

- Aaaa... Już rozumiem. Tak, rzeczywiście, są tam i tacy, którzy nie przepadają za nazistami. Wierni patrioci kochający Niemcy i nienawidzący Fuhrera, którzy zrobią co w ich mocy, żeby zrzucić go ze stołka. Członkowie podziemnego, antyhitlerowskiego ruchu oporu. Ale von Schussler? Mało prawdopodobne. On dobrze wie, gdzie szukać masła na chlebie. Ideologia? Moim zdaniem on jej nie ma. Żadnej. Rozmawiałem z nim kilka razy; to małe miasto. Von Schussler uważa się za spadkobiercę dziedzictwa wielkiej, pruskiej szlachty. Mały, smutny człowieczek z jeszcze smutniejszymi złudzeniami. Pragnie chwały, to na pewno. Ale to tchórz. Jest słaby i próżny. Robi to, co mu każą. Chce tylko jednego: wrócić do swego zamku z medalami i orderami i pisać pamiętniki. Chryste.

- Rozumiem - powiedział Metcalfe.

Ufał osądowi Hilliarda. „Słaby i próżny”. A więc nie jest bohaterem, kimś, kto potrafiłby zrobić coś odważnego czy zostać członkiem antyhitlerowskiego ruchu oporu. Kimś, kogo można by obrócić. Oczywiście to tylko jedna opinia, opinia Hilliarda, ale jeśli Hilliard miał rację, von Schussler nie nadawał się na wtyczkę. „To tchórz”. Podwójny agent i tchórzostwo? Odpada. Mimo to Corcoran chciał, żeby ocenić go pod kątem ewentualnego werbunku. Co mu odbiło? Przecież wystarczyło tylko pogadać z Hilliardem i wiedziałby, że szkoda zachodu. O co tu chodzi?

- Nie wiem, co tu jest grane, ale jeśli chce pan poznać von Schusslera, będzie dzisiaj na przyjęciu z tą swoją baleriną.

„Z tą swoją baleriną”, pomyślał Metcalfe. Boże, z Laną!

- Na daczy - mówił dalej Hilliard. - To centrum rozrywki naszej dyplomatycznej enklawy. Nie ma to jak życie w tej małej, czerwonej dolinie: same przyjemności!

- Tak, chętnie przyjdę. - Stephen wstał. Hilliard wyszedł zza biurka i Metcalfe wyciągnął do niego rękę, lecz, ku jego zdziwieniu, zamiast ją uścisnąć, dyplomata objął go jak niedźwiedź. Stephen szybko zrozumiał dlaczego.

- Uważaj na siebie, słyszysz? - szepnął mu do ucha Hilliard. - I zrób coś dla mnie, dla siebie też: już nigdy tu nie przychodź.

Rozdział 15

Wziął klucz od *dieżurnoj*, która siedziała za ladą, obserwując wszystkich wchodzących i wychodzących. W Metropolu, jak we wszystkich rosyjskich hotelach, klucze zostawiało się w recepcji, właśnie u *dieżurnoj*, zwykle starszej, wiecznie naburmuszonej kobiety, która sterczała tam przez cały dzień, a nocą drzemała z głową na poduszce. Ten archaiczny system miał zapewnić gościom poczucie bezpieczeństwa, świadomość, że klucz trafi do właściwych rąk, jednak tak naprawdę był elementem nieustannej inwigilacji, której poddawano tu wszystkich obcokrajowców. Owszem, chodziło o bezpieczeństwo, tyle że o bezpieczeństwo radzieckiego państwa.

Gdy otworzył drzwi, pomyślał, że w pokoju nie było jeszcze sprzątaczk. Ciekawe. Zwykle przychodziła dużo wcześniej.

Wszedł do środka i gdy oczy przywykły do półmroku, stwierdził - uderzyło go to tak, jakby oberwał pięścią w brzuch - że pokój przeszukano. Teoretycznie nie powinno go to dziwić, bo Rosjanie często przeprowadzali rewizję w pokojach zagranicznych gości. Ale jego pokój przeszukali w sposób tak oczywisty, ostentacyjny i manifestacyjny, jakby chcieli, żeby natychmiast to zauważył.

Rozwalili wszystko w pył. Walizka, którą przed wyjściem zamknął na klucz, była otwarta: zamek wyważono, a ubrania, które pospiesznie spakował w Paryżu, leżały rozrzucone na podłodze i na łóżku. Chaos. Kompletny chaos. Istny obłęd!

Garnitury, które starannie powiesił w szafie, nie tylko stamtąd wyrzucono, ale i pocięto w poszukiwaniu ukrytych kieszeni. Porożcinano skórzane paski, zdarto obcasy z butów. Rozcięto nawet wykładzinę w walizce. A wszystko jawnie, nachalnie, z szokującą wprost agresywnością.

Przebiegł przez pokój, podniósł walizkę i sprawdził mosiężny zamek; fachmani z FBI ukryli w nim części miniaturowego transmitera. Na pierwszy rzut oka wszystkie były na miejscu, łącznie z kryształem, najważniejszą częścią nadajnika, bez której urządzenie nadawało się tylko na szmelc. Nie, na szczęście ich nie znaleźli, były świetnie zakamuflowane. Samym nadajnikiem zajął się już Roger. Miał ukryć go w lesie pod Moskwą, w pobliżu amerykańskiej dachy.

Po chwili przypomniał sobie o webleyu, którego przymocował drutem do ramy łóżka. Ukłął i zajrzał. Siatka, którą rozplótł, żeby ukryć broń, a następnie zaplótł, była rozcięta.

Webley zniknął.

Stephen usiadł. Serce waliło mu jak młotem. Dlaczego przetrząsnęli pokój tak otwarcie, tak... bezczelnie? Co to znaczy? Chcieli go ostrzec - oni, czyli sowieckie tajne służby, chociaż nie wiedział dokładnie jakie - chcieli dać mu do zrozumienia, że go podejrzewają. Wrysowali na piasku linię, każąc mu trzymać się od niej z daleka, uważać na każdy krok, uświadamiając mu, że jest pod nieustanną obserwacją.

Ale tego rodzaju ostrzeżenie wymagało zgody kogoś z samej góry albo kogoś stojącego blisko szczytu. I właśnie to było najbardziej denerwujące. Z jakiegoś powodu zakwalifikowano go do najgroźniejszej kategorii. Wysoko postawieni urzędnicy tajnych służb podejrzewali, że nie jest tylko zwykłym biznesmenem. Czy oznaczało to, że doszło gdzieś do przecieku?

Musiał zawiadomić o tym Corcorana. Zwykle kontaktował się z nim tylko wtedy, gdy trzeba było podjąć decyzję wymagającą zgody kogoś z jego szczebla - środki bezpieczeństwa nakazywały, żeby agenci jak najdłużej działali na własną rękę, bez łączności z centralą. Ale rodzaj tej napaści - bo była to napaść - wskazywał na możliwość przecieku, dlatego musiał natychmiast powiadomić Corky'ego. Wieczorem miał być na przyjęciu w amerykańskiej da-

czy pod Moskwą. Gdy tylko nadarzy się okazja, niepostrzeżenie wyjdzie, zniknie w lesie, znajdzie zostawione przez Rogera znaki, które doprowadzą go do nadajnika, zainstaluje kryształ i spróbuje nawiązać łączność z Corcoranem.

Ale musiał wyjść z dachy ukradkiem, przez nikogo niezauważony. To trudne. Na pewno pojedą za nim zbiry z hotelu, ale zbiry to betka. Prawdziwym problemem był blondyn, ten o wyblakłych oczach. Oprócz Amosa Hilliarda nikt nie wiedział, że wybiera się na przyjęcie, a Hilliard nikomu o tym nie powie, może tylko ambasadorowi. Z drugiej strony, skoro NKWD wiedziało, że będzie tam Lana - a musiało wiedzieć, że spotkał się z nią za kulisami teatru - najpewniej założą, że on, Stephen, postara się o zaproszenie. Tak czy inaczej, będzie musiał zachować dużą ostrożność, stworzyć przynajmniej cień wątpliwości, zmniejszając tym samym liczbę tych, którzy za nim pójdą.

Gołąc się i myjąc, zaczął układać plan. Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Wylał twarz szorstkim hotelowym ręcznikiem i poszedł otworzyć.

W progu stał Ted Bishop, brytyjski dziennikarz. Wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle. Przekrzywiony krawat, koszula na wierzchu, czerwona twarz - w rękę trzymał butelkę szkockiej.

- Ta pieprzona *dieżurnaja* nie chciała mi powiedzieć, gdzie mieszkasz. Powiedziała dopiero wtedy, gdy zełgałem, że jestem twoim bratem! Czujesz bluesa? Wysoki, przystojny Amerykanin i niski, gruby Angol braćmi! - Bełkotał, był ostro zalany. - Pewnie pomyślała, że twoi starzy mnie adoptowali!

Rozejrzał się po pokoju, a raczej po tym, co z niego zostało.

- To nie ma już nawet porządnych sprzątaczek? Te z Metropolu są ekstra, ale na miłość boską, żeby aż tak...

Metcalfę wciągnął go do środka i zamknął drzwi.

- Teraz to tu normalne? - spytał, - Przeszukują pokoje wszystkich obcokrajowców? Nawet biznesmenów, którzy przyjechali do Moskwy na oficjalne rozmowy? Nic dziwnego, że Stany nie chcą z nimi handlować.

- To oni? - wykrzyknął Bishop, robiąc chwiejnie kilka kroków i opadając ciężko na jedyne w pokoju fotel. - O kuźwa, a to sukinsyny. Paszport też wzięli?

- Nie, jest pod kluczem, w recepcji. Na szczęście.

- A ty co? Myślisz, że tam go sobie nie obejrzą? Obejrzą, obejrzą. Amerykański paszport to tu teraz rzadkość i pewnie dumają, jak go podrobić. Coś ty im zrobił? Związałeś? Związałeś tym karaluchom?

Metcalfę skinął głową.

- Oni tego nie lubią. Wściekają się wtedy jak szerszenie. Lubią wiedzieć, dokąd chodzą zagraniczniki. Masz jakiś kubek albo co? - Zakołysał butelką; trzymał ją za szyjkę.

- Tak. - Stephen podał mu zakurzoną szklankę z komody.

- Tylko jedna?

- Więcej nie dali.

Bishop napelnił ją niemal po brzegi.

- To masz szczęście. - Wypił potężny łyk. - To nie szkocka. To fałszywka, ruska siwucha. Farbują ją karmelem i sprzedają za twardą walutę we flaszkach po johnnym walkerze. Widzisz? Nie zapieczętowana. Nic dziwnego.

- Ja dziękuję. - Metcalfę nie musiał tego mówić, gdyż Bishop bynajmniej nie zamierzał go częstować.

- Farbowana siwucha, niech ją szlag - wybełkotał. - Nazywać toto szkocką. Wiesz, co to jest? Gdybym lubił pedziowate określenia, powiedziałbym, że to metafora, symbol tego zarsranego systemu. Wychodzisz gdzieś wieczorem? Masz jakieś plany?

- Umówiłem się ze znajomymi.

- Rozumiem. - Bishop zerknął na niego znad brzegu szklanki. - Z kumplami od intere-

sów?

- Coś w tym rodzaju.
- Sprzedajesz im sznur?
- Sznur?
- No sznur. Sprzedawać Ruskim sznur. Nigdy tego nie słyszałeś?
- Nie.

Bishop spojrzął na niego małymi, nabiegłymi krwią oczami.

- Lenin tak powiedział. Kapitałiści sprzedadzą nam sznur, a my ich na nim powiesimy.

Ostrożnie, pomyślał Stephen. Ostrożnie z nim. Anglik był pijany, lecz przez opary alkoholu przebijała głęboka, zapiekła nienawiść do sowieckiego reżimu. Przypomniały mu się słowa Hilliarda: „...ludzi nienawidzących Rosji, facetów, którzy boją się wirusa bolszewizmu...” „I z radością pomagają Berlinowi”, „...uważają, że naziści to jedyna nadzieja, że tylko oni są w stanie ocalić świat przed komunizmem”. Czy Ted Bi-shop też do nich należał? Siedział w Moskwie od lat, co oznaczało, że ma dobrych informatorów, ale czy układ ten działał tylko w jedną stronę? Czy Ted nie przekazywał komuś informacji - niekoniecznie komuś z radzieckiego rządu?

Zdawało się, że wszyscy tutaj knują coś na własną rękę. Moskwa przypominała labirynt. Jak to powiedział brytyjski premier? „Nie umiem przewidzieć, jak zareaguje Rosja. To zagadka w tajemnicy okrytej enigmą”. Jeszcze bardziej tajemnicze i zaskakujące było to, co Hilliard nazwał „szczurzym gniazdem”. I jego ostrzeżenie: „Uważaj na siebie, słyszysz?”

Bishop dziko gestykulował. Gadał i gadał, rozpędził się jak lokomotywa.

- Ty i twoi kumple biznesmeni możecie sobie mówić, że przyjechaliście tu zarobić, ale czy nie jest przypadkiem tak, że pomagacie Ruskim budować maszynę wojenną? Cholera, przecież Douglas Aircraft buduje dla nich samoloty i jeśli te ptaszki nie będą kiedyś zrzucały bomb na Londyn, to jestem arcybiskupem Canterbury. Żeby mieli z czego je robić, United Engineering and Foundry buduje zakłady aluminiowe w Stupinie pod Moskwą, najnowocześniejsze zakłady w świecie, nowocześniejsze nawet od tych waszych, amerykańskich. General Electric sprzedaje im turbiny i elektrownie pod klucz. Budujecie dla nich stalownie, piece martenowskie, huty większe od tych w Gary w Indianie, budujecie... Kuźwa, sam już nie wiem, co gadam. Ale nic, słuchaj dalej.

On gadał, a Metcalfe chodził po pokoju, zbierając i układając ocalałe z rzezi rzeczy. Jeśli chciał zdążyć na przyjęcie w dacy, musiał się pospieszyć, ale przede wszystkim musiał wyrzucić stąd nawalonego jak stodoła Anglika.

Bishop pociągnął kolejny łyk wódki i zniżył głos do szeptu.

- Nie powinienem ci tego mówić, ale mam cynk z pewnego źródła, od faceta, który robi dla kogoś z „biura”...

- Skąd? - Stephen znieruchomiał.

- Z „biura”, tak to nazywam. Gość mówi, że Mołotow jedzie jutro do Berlina. Z samego rana, z Białoruskiego, z wielką delegacją.

- Naprawdę? - rzucił obojętnie Stephen. Cenna wiadomość, pod warunkiem że prawdziwa. Skoro Stalin wysyłał do Niemiec ministra spraw zagranicznych, oznaczało to, że chce scementować przyjaźń z nazystami...

- Anglicy od dawna macają się pod stołem z Ruskimi - bełkotał Bishop - I jak się o tym dowiedzą, dostaną kurwicy. Ci z Londynu mówią, że to, co Ruscy podpisali ze szkopami, to zwykły świstek papieru, że potajemnie ich nienawidzą. Gówna prawda! Czy takie coś świadczy o neutralności...

- To pewna wiadomość?

Bishop podniósł palec, pogroził mu i chwytając się jak na linie, zmrużył oczy.

- Mówiłem ci, facet ma dojście do samej góry. - Nagle opuścił rękę, cofnął się i rozdziawił usta. - Ty, tylko nie rąbnij mi temat!

- Spokojna głowa, Ted.
- Spokojna głowa i ja to dwie sprzeczności! - ryknął bełkotliwie Bishop i ciszej dodał: - Chyba nie jesteś szpiegiem, co? Zagraniczny biznesmen to klasyczna przykrywka.
Metcalf zamarł. Uśmiechnął się sztucznie i już otwierał usta, żeby dowcipnie zaprzeczyć, gdy wtem Ted ryknął śmiechem, zakrzuszył się, zagulgotał, zacharczał, wpadł do łazienki, zatrzaskał drzwi, głośno jęknął i zaczął wymiotować.
- Wszystko w porządku? - zawołał Stephen, lecz w odpowiedzi Bishop tylko stęknął, ponownie jęknął, jakby żołądek podszedł mu do gardła. Metcalfe pokręcił głową. Bez względu na to, z kim potajemnie sympatyzował, Ted był po prostu pijany, tym samym niegroźny, choć owszem, nieco irytujący i kłopotliwy. Chwilę później spuścił wodę, odkręcił kran, wreszcie wyszedł z łazienki z zażenowanym uśmiechem na twarzy.
- Słuchaj - powiedział - zostawisz mi pastę do zębów i krem do golenia, kiedy będziesz wracał do Stanów? Tutaj nie można tego dostać, za cholere.

Roger jeszcze nie wrócił. Najgorsze i najtrudniejsze było to, że musiał dotrzeć do daczy niezauważenie, co automatycznie wykluczało wynajęcie samochodu z szoferem w Inturiście czy polowanie na taksówkę. Zszedł na dół, gdzie czuwało dwóch młodych recepcjonistów. Ten miłszy uśmiechnął się do niego na powitanie.

- Szukam transportu - wydukał Metcalfe po rosyjsku z celowo silnym akcentem. Gdyby mówił za dobrze, za płynnie, tamci natychmiast uznaliby, że coś jest nie tak, i zaczęliby coś podejrzewać. Lepiej udawać zagubionego turystę.

-Transportu?

- Samochodu.

- Mogę zadzwonić do Inturistu. - Recepcjonista sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Nie, nie - powstrzymał go z uśmiechem Stephen. - Chcę tak... nie oficjalnie. Dobra, pogadajmy jak mężczyźni: to sprawa osobista. Rozumie pan?

Recepcjonista zmrużył oczy i lekko zadarł podbródek. Kąciki jego ust podniosły się do góry w znaczącym uśmieszku.

- Osobista - powtórzył.

Metcalf jeszcze bardziej zniżył głos.

- Chodzi o... kobietę. O piękną dziewczynę. *Oczy cziornyje*, jak w tej piosence. Jest przewodniczką w Inturiście i wkurzyłaby się, gdyby jej szef odkrył, że... Rozumiemy się?

Rosjanin kiwnął głową.

- Chce pan to załatwić bez wiedzy jej kierownika. Hm, to bardzo trudne. Inturist jest jedyną organizacją uprawnioną do zajmowania się zagranicznymi turystami. - Bezradnie wzruszył ramionami. - Moskwa to nie Londyn czy Nowy Jork. Samochód można załatwić tylko w Inturiście...

- Tak, wiem. - Stephen wyjął z kieszeni plik rubli i dyskretnie wsunął go pod firmową kopertę na ladzie; plik był tak gruby, że mocno spod niej wystawał. - Wiem, że sytuacja jest trudna. Dlatego jeśli załatwi pan coś nieoficjalnie, dla mnie i dla moich *oczy cziornyje*, będę bardzo, ale to bardzo wdzięczny.

- Doskonale pana rozumiem - odrzekł tamten z nagłym entuzjazmem. - Miłości trzeba pomóc. - Zniknął na zapleczu i wrócił niecałą minutę później. Nachylił się, żeby nie podsłuchał go kolega, który obsługiwał grupę Bułgarów po drugiej stronie lady, i powiedział: - Nie wiem, czy to wypali, ale jest pewien sposób. - Uniósł brwi. - Będzie mnie to kosztowało trochę zachodu, więc...

Stephen skinął głową i uściśnął mu rękę, wciskając w dłoń kolejny zwitek banknotów.

- Byłbym wdzięczny.

- Dobrze. Może coś wymyślimy. Proszę za mną.

Recepcjonista wyszedł zza lady i szybkim krokiem ruszył do drzwi. Metcalfe poszedł za nim. Stanęli na chodniku i Rosjanin machnął ręką, zatrzymując wielką, zdezelowaną furgonetkę z napisem *Мо́токо* na drzwiczkach. Podbiegł bliżej, zagadał do kierowcy i wrócił.

- On mówi, że benzyna jest droga, że trudno ją dostać.

Stephen dał mu trzeci już zwitek banknotów. Recepcjonista zrobił szybki kurs do furgonetki i z powrotem.

- Tędy - rzucił, prowadząc go do tylnych drzwiczek. - Już otwieram.

Metcalfe wsiadł. Nie licząc kilku skrzynek mleka i pudła pełnego śmierdzącej cebuli, furgonetka była zupełnie pusta. Trzasnęły drzwiczki, zapadła ciemność i z wąskiego prześwitu między komorą ładunkową i szoferką dobiegł chrapliwy głos kierowcy:

-Dokąd?

Stephen podał mu przybliżone namiary, nie chcąc wspominać o amerykańskiej daczce. Spojrzał w prześwit. Kierowca był w zniszczonym chłopskim waciaku i futrzanej czapie.

- Tylko niech pan nie dotyka cebuli. - Zgrzytnęły biegi i furgonetka gwałtownie ruszyła. - Dziesięć rubli za kilo, miałem fart, że w ogóle dostałem. Żona się ucieszy. - On gadał, głosem śpiewnym i monotonnym, a Stephen patrzył w małe, brudne okienko w tylnych drzwiczkach.

Jechali za nimi? Nie. Chyba nie. Zgodnie z jego wskazówkami, rozgadany kierowca skręcił na obwodnicę. Od czasu do czasu Metcalfe coś poburkiwał, udając, że go słucha i uważnie obserwował okolicę. Niemczinowka, szosa na Możajsk i znowu skręt, tym razem w wąską, wysadzaną drzewami drogę prowadzącą do daczki. Nie, nikt ich nie śledził. Na pewno. Udało mu się wyjechać z miasta niepostrzeżenie. Nareszcie zwycięstwo. Niewielkie, ale zawsze. Przez krótką chwilę czuł się dumny jak paw, zadowolony, że panuje nad sytuacją, że wszystko poszło zgodnie z planem.

- Dobra - powiedział. - Może być tutaj. - Zgrzytnęły biegi, zapiszczały hamulce i furgonetka stanęła. Metcalfe otworzył drzwiczki i zeskoczył na ziemię. Było już ciemno; o tej porze roku zmierzchem zapadał tu bardzo wcześnie. Widać było tylko światła odległej o kilkadziesiąt metrów daczki. Doszły go przytłumione dźwięki gramofonowej muzyki, gwar głosów i śmiech. Lana i von Schussler: byli już tam czy nie?

Wyjął z kieszeni zwitek banknotów i ruszył niespiesznie w stronę szoferki. Nagle ryknął silnik i furgonetka odjechała, pozostawiając za sobą tuman kurzu. Zwariował czy co? Nie zaczekał nawet na obiecane pieniądze? Zaskoczony Stephen patrzył za samochodem i przez ułamek sekundy, tuż przed tym, gdy wóz skręcił, dostrzegł w lusterku twarz kierowcy. I krew ścieła mu się w żyłach. Futrzana papacha, zniszczona kurtka: człowiek, który zabrał go sprzed hotelu i zawiózł do daczki.

Człowiek, którego tak bardzo chciał uniknąć.

Blondyn o wyblakłych oczach.

Rozdział 16

Stało się. Chciał przybyć tu ukradkiem, a zamiast tego pograżył się jeszcze bardziej, niż gdyby przyjechał do daczy zupełnie jawnie, z fanfarami. Gdyby zrobił to oficjalnie, jako przedstawiciel imperium przemysłowego Metcalfe'ów, w tym, że poszedł na przyjęcie zorganizowane przez ambasadę USA, nie byłoby nic dziwnego - dokładnie tego by oczekiwano. Tymczasem jego nieudana ucieczka z hotelu stawiała go w podejrzanym świetle: zachował się tak, jakby miał coś do ukrycia. Niedobrze. Wiedział, że czekają go konsekwencje o wiele groźniejsze niż dewastacja hotelowego pokoju. Konsekwencje, którym będzie musiał stawić czoło później.

Wynajmowana przez ambasadę dacza była skromnym, piętrowym domem z drewnianych bali na skraju lesistej doliny na południowy zachód od Moskwy. Była też głównym ośrodkiem życia towarzyskiego całego korpusu dyplomatycznego, miejscem, gdzie ambasadorowie, attache i ministrowie wymieniali najnowsze plotki, dyskretnie próbując wyciągnąć jak najwięcej informacji od goszczących tu osób. Tu przez cały rok spotykali się najważniejsi wysłannicy rządów Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Włoch, Grecji, Turcji i Serbii, żeby się trochę posocjalizować. Załatwiano tu więcej spraw niż na jakimkolwiek oficjalnym przyjęciu; swobodna, niemal intymna atmosfera sprzyjała luźnym pogawędkom, luźne pogawędki zaś budowały klimat wzajemnego zaufania, a w klimacie zaufania łatwiej było dzielić się ważnymi informacjami. Tu Amerykanie często jeździli konno z Niemcami - końmi należącymi wspólnie do jankesów i Anglików. Dyplomaci chadzali tu na długie wycieczki do lasu. Było coś mile zakazanego w tych towarzyskich spotkaniach przy drinku na tarasie albo przy kolacji, na korcie tenisowym czy na łyżwach podczas długich zimowych miesięcy, gdy kort zalewano wodą i zamieniano w lodowisko. Jednakże pod pozorem przyjacielskiej rozmowy o niczym zawsze załatwiano, a przynajmniej próbowano załatwić sprawy polityczne. Polityka: to ona była tu prawdziwą twardą walutą cokolwiek działo się w daczy, zawsze miało z nią związek.

Metcalfe wszedł do głównego salonu, gdzie przed trzaskającym w kominku ogniem stał tłum gości. Niektórych szybko rozpoznał: brytyjski ambasador sir Stafford Cripps, nieco lewicujący, acz przebiegły ambasador Grecji, hrabia von der Schulenburg, wysoki, siwowłosy, dystyngowany mężczyzna, który, jako dyplomata z najdłuższym stażem, był tu dziekanem korpusu. Znał też kilku innych; zauważył Amosa Hilliarda, który powitał go dyskretnym uniesieniem brwi i szybko odwrócił głowę. Nakręcany korbką gramofon w kącie salonu, stara victrola z wielką, ozdobną tubą, grał *How High the Moon*.

Metcalfe przedstawił się stojącej u wejścia kobiecie, żonie amerykańskiego ambasadora.

- Bez zaproszenia? - powiedziała. - Na gapę? Pan? Niech pan nie będzie niemądry. Jest pan synem Charliego Matcalfe'a, prawda? Pański ojciec i ja... - I zaczęła opowiadać mu o flircie, który przed dziesiątkami lat miała z jego ojcem w nowojorskim Union League Club. Gdy spotykał kogoś ze starej amerykańskiej socjety, często tak bywało. Jego nazwisko było nie tylko dobrze znane, ale i miało prestiż nawet wśród tych o prestiżu najwyższym, gdyż Charlie Metcalfe uwielbiał przyjęcia i był jedną z najwybitniejszych postaci nowojorskiej śmietanki towarzyskiej. Przyjęcia nigdy Stephena nie interesowały i często zastanawiał się, czy to, że wybrał akurat taką profesję - szpiegowanie dla dobra kraju, które wymagało znakomitego aktorstwa i przybierania coraz to innej tożsamości - nie było przypadkiem reakcją na fałszywość i zakłamanie, jakie dostrzegął w zamiłowaniach towarzyskich ojca.

Pani ambasadorowa wzięła jego płaszcz - zerknąwszy ciekawie na rozciętą podszewkę, rezultat poczyniń tych z NKWD - chwyciła go za ręce, zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu i powiedziała:

- Ten karzełek po lewej stronie to ambasador Włoch, Augusto Rosso, i jego żona Frances, Amerykanka. Mamy go nie lubić, ale lubimy, i to bardzo, bo jest przezabawny. Zabiera nas na przejażdżki po Moskwie otwartym kabrioletem, uwielbia grać przez całą noc w pokera i ma prześlizgnętego, czarnego spaniela, Dynię. Kogóż my tu jeszcze mamy... Aha. Tam. Widzi pan tę grupkę? To ministrowie z Turcji, Grecji i Serbii. Co rano zbierają się w saloniku Stafforda Crippsa, piją kawę i plotkują. A ten Rumun... Nie powinnam panu tego mówić, ale on ma trypra, biedaczyna, a ponieważ Moskwa nie jest najlepszym miejscem na leczenie chorób wenerycznych, co dwa tygodnie musi latać aż do Sztokholmu. Mam nadzieję, że jest pan gotowy na polityczne pogawędki, bo oni tu o niczym innym nie rozmawiają. To takie nudne, nie wiem, jak pan to zniesie...

Gdy poczęstowała go szklaneczką whisky — prawdziwej szkockiej -przeprosił ją i czym prędzej uciekł, mówiąc, że i tak zabrał jej za dużo czasu. Wieść o jego przybyciu szybko się rozeszła. Nawet wśród najważniejszych i najstynniejszych był gwiazdą- choć nie pierwszej wielkości - a jeśli nie gwiazdą, to na pewno ciekawostką, młodym biznesmenem, który przyjechał tu w bliżej nieokreślonych sprawach, przystojnym kawalerem z dobrej, znanej rodziny, świeżą krwią, a może raczej świeżym mięsem, które ciśnięto do klatki między lwy - wszyscy chcieli z nim porozmawiać, spytać o najnowsze plotki ze Stanów, przedstawić się i przedstawić mu swoje córki i siostry.

Alkohol płynął strumieniami, jedzenia było w bród: kawior, razowiec z masłem, wędzony jesiotr. Tłum pulsował nerwowym splendorem, pustym luksusem. Tu, pośród rosyjskiej biedy, goście jedli i pili wszystko to co najlepsze. Stephen był tu obcy, ale wiedział, jak się zachować. Jeszcze jako nastolatek zaliczył tyle podobnych imprez, że doszedł do perfekcji w rzucaniu dowcipnych uwag, w znaczącym unoszeniu brwi, tudzież w subtelnych aluzjach do Groton i Exeter, Princeton i Yale, czy do przyjęć w Grosse Pointe, Watch Hill i Bar Harbor.

Tak jak uprzedziła go żona ambasadora, wszędzie rozmawiano o polityce, a szczególnie o wojnie, o tym, czy przystąpią do niej Stany Zjednoczone, no i o Niemcach. Tematem dnia była wiadomość, którą sprzedał mu w hotelu Bishop. Rosyjski minister spraw zagranicznych Mołotow jedzie do Berlina: co to znaczy? Czyżby Związek Radziecki zamierzał przystąpić do wojny przeciwko Brytyjczykom? Jeśli tak, to prawdziwy koszmar.

Dobiegały go strzępy rozmów.

- Przecież Ribbentrop podpisał pakt! - mówił do Brytyjczyka amerykański attache. - Dziesięcioletni pakt o nieagresji!

- I co z tego? Myśli pan, że Niemcy go nie złamią? Gdzie pan żyjesz?

- Nie mogą go złamać. Nie mogą walczyć na dwóch frontach naraz!

- Niech pan nie zapomina, że każdy pakt podpisany przez Hitlera jest tylko świstkiem papieru. Poza tym on nienawidzi komunizmu!

- Hitler nie jest idiotą. Nie zaatakuje Rosji. Nigdy. To byłoby czyste szaleństwo, przegrałby już na starcie! Jego ludzie muszą wiedzieć, jak silna jest Rosja. Armia Czerwona...

- Armia Czerwona? No właśnie! W ciągu ostatnich dwóch lat Stalin kazał rozstrzelać dziewięćdziesiąt procent dowódców i Hitler dobrze o tym wie!

Zamienił kilka słów z amerykańskim ambasadorem, który opowiedział mu anegdotkę - idealnie dopracowaną, wprost wyczulowaną od nieustannego opowiadania - o tym, jak to w Spaso zepsuła się toaleta. Nie mogli znaleźć nikogo, kto by ją naprawił, więc ambasador kazał telefonistce zadzwonić do Andrieja Wyszyńskiego, zastępcy komisarza ludowego spraw zagranicznych i oznajmić mu, że jeśli nie naprawią jej w ciągu godziny, ambasador przyjedzie do ministerstwa i skorzysta z prywatnej toalety Wyszyńskiego.

Ambasador przedstawił go Amosowi Hilliardowi.

- Musi pan koniecznie przyjść do ambasady na lunch - powiedział i zostawił ich samych.
- Jasne - mruknął Hilliard. - Pomidorówka z puszki, puszkowane mleko skondensowane, a na deser ananas, też z puszki. Puszek mamy do wyboru, do koloru. - Zniżył głos. - Popatrzmy... Jest tu prawie cały niemiecki kontyngent. Nie ma to jak przyjęcie na daczy. Attache wojskowy, generał Kóstring. To tamten. Obok niego stoi Hans Heinrich Herwarth von Bittenfeld, ale wszyscy mówią mu Johnny. Bardzo dobre źródło informacji i trzyma się z dala od nazistów, ale to *entre nous*. Kto jeszcze...

Ale Metcalfe go nie słuchał. Po drugiej stronie salonu, pod rękę z wielkim, grubym Niemcem o podwójnym podbródku i najeżonych jak szczotka wąsach, stała Lana.

Była w biało-złotej sukni i od przeciętej Rosjanki dzielił ją cały wszechświat. Szwab coś mówił, a ona się uśmiechała, ale był to uśmiech smutny, niepewny. W ręku miała kieliszek szampana, lecz nie piła. Otaczali ją umundurowani Niemcy i cywile o niemieckim wygładzie: te okulary bez oprawek, te wąsiki a la Fuhrer, ta zapasiona arogancja. Była w centrum uwagi wianuszka wielbicieli i robiła wrażenie rozpaczliwie znudzonej.

- Może załatwić pan to otwarcie, czemu nie - mówił Hilliard. - Ostatecznie nie ma powodu się czaić. Jest pan amerykańskim biznesmenem, a biznesmen zawsze szuka okazji, żeby zarobić, wszystko jedno na kim. Prawda?

- Przepraszam - powiedział Stephen, sunąc ku niej niczym zwabiona ogniem ćma. Gdy wszedł w tłum, gwałtownie odwróciła głowę i spotkali się wzrokiem. Jemu zabrakło tchu, jej rozbłysły oczy. Biła z nich wściekłość, furia, chociaż z drugiej strony można to było wziąć za objaw zainteresowania, zaciekawienia, może nawet namiętności. Tak samo patrzyła na niego kiedyś, przed sześciu laty, ale teraz... Nie, to tylko wyobraźnia. Lana była na niego zła. To nie namiętność biła jej z oczu, to niesłabnący gniew.

Idąc przez tłum - cholera jasna, ile jeszcze przyjęć będę musiał zaliczyć? - przetrząsał podręczny magazynek dowcipnych uwag i zwrotów. Pomyśli, że za nią chodzę, że ją śledzę? Jeśli tak, nie będzie w tym nic złego, bo kobiety to uwielbiają. Z drugiej strony, nie mogła być tego całkowicie pewna, ponieważ w tym, że przyszedł na organizowane przez ambasadora przyjęcie, nie było nic dziwnego. Pewnie zastanawiała się tylko, czy to zwykły przypadek, czy nie.

- Stephen! - Żona ambasadora. Znowu. Zatrzymała go, przytykając mu do piersi otwartą dłoń. - Nie rozmawiasz z naszymi paniami, to nie do wybaczenia! Są wygłodniałe, brakuje im męskiego towarzystwa, dobrze J

otym wiesz. Powinieneś spełnić swój patriotyczny obowiązek.

- Postaram się - odrzekł. - Jak za starych czasów, jak w college'u. -

Poszedł dalej. Lana była tuż-tuż.

- Och, nie musisz posuwać się aż tak daleko! - zachichotała pani ambasadorowa. - Słyszałam te opowieści z Yale. Bardzo, ale to baaardzo niepokojące...

- Mam czyste sumienie - odparł niewinnie Stephen. Stał już tak blisko Lany, że czuł delikatny zapach jej perfum, czuł ciepło jej nagich ramion. Serce waliło mu tak głośno, że chyba wszyscy to słyszeli.

Lana odwróciła się nagle i spojrzała mu prosto w oczy.

- Czyste sumienie - rzuciła krytycznie - jest zwykle oznaką złej pamięci.

Metcalfe uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Widzę, że dzisiaj nie występujesz - rzucił po rosyjsku.

Popatrzyła na niego jeszcze raz i odpowiedziała uśmiechem. Tylko ten, kto dobrze ją znał, poznałby, że uśmiech był sztuczny.

- Świetnie dają sobie radę beze mnie.

- Wątpię. Przedstawisz mnie swemu... przyjacielowi? - Powiedział to z niewinną miną, ale ona wiedziała swoje.

Poirytowana błysnęła oczami, lecz szybko pokryła zdenerwowanie układowym skinieniem głowy.

- Oczywiście. Rudi, chciałabym przedstawić cię znajomemu.

Rudolf von Schussler spojrział na niego bez większego zainteresowania i bezwładnie uściśnął mu rękę miękką, pulchną, spoconą dłonią. Wysoki i gruby, miał maleńkie, nerwowo rozbiegane oczka i kocią bródkę, która zwisała mu jak futro jakiegoś zwierzaka.

- Bardzo mi miło - powiedział po angielsku Stephen. - Tym bardziej że towarzyszy panu tak piękna dama. To zaszczyt spotkać kogoś o tak doskonałym guście.

Swietłana zarumieniła się. Von Schussler patrzył na niego skonsternowany, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Podobno pracuje pan w jednej z najlepszych, o ile nie w najlepszej placówce dyplomatycznej w Moskwie.

- A pan przyjechał tu w jakim celu? - spytał Niemiec. Miał wysoki, miękki, niemal kobiecy głos.

Tu, to znaczy do Moskwy? Czy na przyjęcie? Nie, chyba jednak do Moskwy.

- Dużo podróżuję, taką mam pracę. - Metcalfe lekko się odwrócił i von Schussler odwrócił się wraz z nim, dzięki czemu wyszli poza krąg Niemców, z którymi gawędził. Jego koledzy podjęli przerwana rozmowę i Stephen, Lana i on mieli teraz odrobinę prywatności.

- To znaczy jaką?

- Pracuję w rodzinnej firmie. Metcalfe Industries. Może pan o nas słyszał.

- Chyba nie. Mało wiem o amerykańskich przedsiębiorstwach.

- Doprawdy? Ale na pewno wie pan, że niektóre z nich bardzo wam pomogły. Ot, choćby Ford: zbudował transportery opancerzone dla Wehrmachtu. Ciężarówki, którymi wasi żołnierze przejechali przez Francję i Polskę, zbudowała korporacja General Motors. A wszyscy wiemy, że ciężarówki to trzon waszego wojskowego systemu transportowego. - Stephen zrobił pauzę, uważnie obserwując jego twarz, ale von Schussler był tylko znudzony. - Jak pan zapewne pamięta, Fihrer nagroził Forda waszym najwyższym odznaczeniem cywilnym, Wielkim Krzyżem Niemieckiego Orła. - Wzruszył ramionami. - Podobno w gabinecie Hitlera wisi jego portret.

- To chyba jeden z waszych prezydentów powiedział, że „Interesem Ameryki jest robić interesy”, *ja?* - odrzekł von Schussler, sięgając po kanapkę. Stephen myślał przez chwilę, że puścił do niego oko, ale nie, to był tylko nerwowy tik.

-Niektórzy z naszych biznesmenów uważają- kontynuował ostrożnie

- że międzynarodowy handel wytycza drogę polityce. To miłe, że można robić pieniądze, wzmacniając jednocześnie historyczne siły, których oficjalnie nie możemy popierać...

Zarzucił przynętę, ale czy Niemiec ją połknie? Przecież musiał go zrozumieć: oto on, kolejny amerykański przemysłowiec, potajemnie popiera faszystów. Gdyby von Schiissler połknął haczyk, na pewno powiedziałby coś, co choć po części ujawniłoby jego prywatne przekonania. A gdyby należał do przeciwników Hitlera i jego reżimu, widać by to było po jego minie, po innych subtelnych oznakach, których Stephen czujnie wypatrywał.

- Pieniądze są jak miłość - odrzekł obojętnie von Schussler. - Zawsze trafiają do serca.

- Nie wszyscy tak sądzą - odparł Metcalfe, starannie dobierając słowa.

- Niektórzy z moich kolegów życzą wam wszystkiego najgorszego. Uważają was za barbarzyńców.

Von Schussler wyraźnie się najeżył.

- Niech pan im powie, że nie jesteśmy barbarzyńcami. Niemcy, prawdziwi Niemcy, zawsze kochali piękno i siłę. Chcemy tylko narzucić innym naszą cywilizację i porządek. Europa zjednoczona pod rządami

Fiihrera będzie kontynentem pokoju, prawa i ładu. A ład to dobry interes, *ja?*

Metcalfę sondował wzrokiem jego twarz. Czy między tymi słowami i człowiekiem, który je wypowiedział, istniał jakiś rozdźwięk? Czy słyhać w nich było choćby delikatną nutkę sceptycyzmu, niepewności czy ironii?

Nie. Von Schussler był spokojny, opanowany i obojętny - musiał powtarzać te słowa setki razy. Przypominał nauczyciela, który wyjaśnia różnicę między gadami i płazami wyjątkowo tępemu uczniowi. Niski okularnik o mysiobrazowych włosach odciągnął go na bok i zaczął coś szybko mówić.

Stephen i Lana nareszcie zostali sami.

- Nigdy więcej nie przychodź do mnie do domu - syknęła Lana. - Słyszysz? Nigdy!

- Boże, przepraszam. - Metcalfę zdrętwiał. - Nie wiedziałem, że...

- Nie, nie wiedziałeś. - Wybuch gniewu minął i nieco złagodniała. - Ty w ogóle mało wiesz.

- Właśnie zaczyna to do mnie docierać. - „Ty w ogóle mało wiesz”. Fakt, nie wiedział na przykład, że wciąż bardzo ją kocha. - Nie dokończyliśmy pewnych spraw.

- Sprawy, interesy. - Pokręciła głową. - Dla ciebie wszystko jest interesem. Słyszałam, jak rozmawiałeś z Rudim. Te twoje układy, te układziki, i to z tymi ludźmi. Wszystko dla wszechpotężnego dolara.

- Może ty też czegoś nie wiesz - zripostował delikatnie Metcalfę.

- Jesteś biznesmenem. Człowiekiem interesu. Możesz buntować się przeciwko temu, co dostałeś, co odziedziczyłeś w spadku, ale na próżno. To niezatarta skaza.

- Skaza?

- Skaza, piętno kapitalizmu. Krwi robotników, na których się bogacie.

- Rozumiem. - Zupełnie nie przypominała dawnej, beztroskiej, apolitycznej Swietłany. Mówiła jak prelegentka z Komsomołu, jakby do cna przesiąkła komunistyczną propagandą, z której kiedyś szydziła. - Skoro kapitalizm jest plamą, to Rosja skutecznie ją wyczyściła, zwłaszcza w ciągu kilku ostatnich lat.

- Nasz wielki przywódca mówi: nie można zrobić omletu, nie pałac przy tym stu kur. Komunizm to radziecka władza plus elektryfikacja całego kraju, to krzesło elektryczne w każdym domu.

Co ona mówiła? Co chciała mu powiedzieć? Czyżby specjalnie to przekręcała? W jej głosie i w twarzy nie było ani cienia ironii.

- Stalin ujął to chyba inaczej. Nie można zrobić omletu, nie tłukąc przy tym jaj. Powiedział tak, broniąc swoich czystek.

Na jej policzkach wykwitły rumieńce.

- Stalin na długo przed nami przewidział, że to, co próbujemy stworzyć, będzie miało wrogów.

- Tak? A co „próbujecie stworzyć”?

- Nowe socjalistyczne państwo, w którym wszystko będzie wspólne. Nie tylko ziemia, nie tylko kołchozy. Wszystko. Fabryki. Rodziny. Poezję też skolektywizujemy, i to już niedługo! Wyobrazasz sobie społeczeństwo, któremu się to uda?

Mówiła bzdury, szydziła z pustych haseł, przekręcała je i parodiowała. Czy to możliwe? Czy dobrze słyszał? Ale jeśli tak, jeśli wyśmiewała złowrogi język komunistycznej propagandy, robiła to tak powściągliwie i oschle, że z trudem ją poznawał. Co się z nią stało? Co stało się ze słodką, prostoduszną Laną, baleriną i trzpiotką bez jednej poważnej myśli w głowie?

- Posłuchaj, musimy porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy.

- Sami, w cztery oczy.

Milczała przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Widziałeś już ogród i łąki? Są urocze. Pójdziemy na spacer? - zaproponowała to niby obo-

jętnie i od niechcienia, ale on doskonale ją rozumiał. Po raz pierwszy ustąpiła, po raz pierwszy zgodziła się porozmawiać z nim na osobności.

- Byłoby miło - odrzekł.

Panujący na dworze mróz nie sprzyjał spacerom po falujących wzgórzach wokół daczy. Lana włożyła długie futro, chyba norki, i futrzaną czapkę do kompletu, co w Moskwie było zupełnie niespotykaną ekstrawagancją. Metcalfe zastanawiał się, czy to podarunek od jej niemieckiego kochanka. „Z tymi ludźmi”. Tak, powiedziała to z wyraźną pogardą. Co to znaczy? Nienawidziła von Schusslera i wszystkiego tego, co sobą uosabiał? Jeśli tak, dlaczego z nim była? Nigdy nie należała do bezdusznych materialistek i nie nawiązałaby romansu z chciwością, z chęci posiadania rzeczy, które kochanek mógłby jej kupić.

Była sfinksem i enigmą. Co knuła? Dlaczego trzymała z tym Niemcem? Co tak naprawdę myślała o Stalinie i sowieckiej Rosji? Kim właściwie była?

- Naprawdę przyjechałeś tu w interesach? - Szli bez celu przed siebie, pod butami skrzypiał śnieg. Zauważył, że Lana idzie w stosownej odległości od niego, jakby chciała dać mu do zrozumienia-jemu i tym, którzy mogliby ich obserwować - że są tylko przyjaciółmi, „znajomymi”, jak przedstawiła go von Schusslerowi. W oddali majaczył zarys jakiegoś budynku, pewnie stajni.

- Tak, oczywiście. Taką mam pracę, przecież wiesz.

- Ja już nic nie wiem, Stephen. Od dawna jesteś w Moskwie?

- Od kilku dni. Posłuchaj...

- Przyszedeś na przyjęcie, bo wiedziałeś, że tu będę?

- Tak.

- Co było, minęło. Oboje dorośliśmy i żyjemy dalej. Dawno temu mieliśmy krótki romans, ale to już przeszłość.

- Ten Niemiec... Jesteś w nim zakochana?

- Jest zabawny. Jest... Jak to się mówi? *Charmant*. - Powiedziała to lekko, lecz bez przekonania.

- *Charmant*? Kiedy myśli się o kimś takim jak on, nie jest to pierwsze słowo, które przychodzi do głowy. Smętny. Mnie przychodzi to.

- Stephen - ostrzegła. - Nikt nie ma prawa wnikać w tajemnice serca.

- Fakt, pod warunkiem że mówimy o sercu. A nie o czymś innym.

- To znaczy? - warknęła.

- W Moskwie dość trudno o norki.

- Dobrze zarabiam. Sześć tysięcy rubli miesięcznie.

- Czegoś, czego nie można kupić, nie kupisz nawet za wszystkie ruble z waszego skarbcza.

Uśmiechnęła się leciutko.

- To prezent. Ale jest niczym w porównaniu z prezentem od ciebie.

- Już raz to powiedziałaś. Dałem ci jakiś prezent? Jaki?

- Rudi jest dla mnie dobry - odrzekła, jakby go nie słyszała. - I hojny. Tak, daje mi prezenty. I co z tego?

- To do ciebie niepodobne.

- Co jest do mnie niepodobne?

- To, że zadajesz się z kimś dla norek i brylantów.

Nie dała się sprowokować.

- Rudi wyraża tak swoją miłość.

- Miłość? Ten spasiony Szwab i miłość?

- W takim razie zauroczenie.

- Tak, ale jakoś nie sądzę, żebyś ty była zauroczona nim.

- Stephen - odparła zirytowana - nie masz już do mnie prawa.
- Wiem. I rozumiem. Ale musimy się spotkać, musimy porozmawiać. To ważne.
- Porozmawiać? - prychnęła. - Wiem, jak się z tobą rozmawia.
- Potrzebuję twojej pomocy. Umówmy się. Proszę. Możemy spotkać się jutro? Będziesz już w mieście?
- Tak, ale nie widzę powodu, żeby...
- Sokołniki, tam, gdzie kiedyś. Tam, gdzie...
- Ciii... - Ruchem głowy wskazała mężczyznę, który wyszedł na werandę. Metcalfe spojrzał w tamtą stronę i natychmiast rozpoznał tę twarz. Był to oficer GRU, ten sam, który siedział za nim w teatrze, i który wszczął rozmowę o Lanie.
- Ja go znam - szepnął.
- Porucznik Kundrow z GRU - odszepnęła. - Mój opiekun.
- Opiekun?
- To pewnie doskonała fucha, synekura; jak na tę pracę, ma wysoki stopień. Od półtora roku chodzi za mną jak cień. Początkowo było śmiesznie. Łaził za mną dosłownie wszędzie. Szłam na spotkanie do restauracji, siedział przy sąsiednim stoliku. Szłam na zakupy, stał za mną w kolejce. Przychodził na każdy mój występ i zawsze siedział na tym samym miejscu. W końcu zaprosiłam go na herbatę. Zrobiłam to otwarcie, przy ważnych dygnitarzach na przyjęciu w teatrze, więc nie mógł odmówić.
- Ale po co? Dlaczego go zaprosiłaś?
- Pomyślałam, że trzeba wreszcie poznać swego strażnika. Kto wie, może pewnego dnia poprowadzi mnie na śmierć. Może każą mu mnie rozstrzelać. Chciałam poznać człowieka, który wziął mój los w swoje ręce.
- Ale dlaczego? Dlaczego ci go przydzielili?
- Wzruszyła ramionami.
- Pewnie w związku z moim statusem, z tym, że jestem primabaleriną. - I z rozbawieniem dodała: - Jestem teraz kimś ważnym i trzeba mnie pilnować. Jedna z tancerek zaprzyjaźniła się za bardzo z obcokrajowcem. Miał na imię Johnny i odwiedzał ją w garderobie. Skończyła na Syberii. Jesteśmy ptaszkami w złotej klatce.
- A więc doszliście do porozumienia, ty i ten Kundrow.
- Tak, doszliśmy do porozumienia - powtórzyła. - To ładne określenie, podoba mi się.
- Dojść do porozumienia z własnym katem, pomyślał Metcalfe. Rosyjska specjalność. Kundrow zszedł z werandy i ruszył w ich stronę.
- Swietłano Michajłowna - powiedział silnym, dźwięcznym barytonem. - Dobry wieczór. Jest bardzo zimno. Rozchoruje się pani.
- Dobry wieczór, Iwanie Siergiejewiczu - odrzekła Lana z przesadną uprzejmością. - Przedstawiam panu mojego znajomego, amerykańskie go biznesmena...
- Pan Metcalfe - przerwał jej Kundrow. - Poznaliśmy się w teatrze.
- Uścisnęli sobie ręce.
- Widzę, że jest pan miłośnikiem baletu - powiedział Stephen.
- Przede wszystkim wielbicielem Swietłany Michajłownej.
- Ja również, ale boję się, że nie my jedni.
- Tak, to prawda. Swietłano Michajłowna, czy zostaje pani na noc? Jako gość ambasadora?
- Czyżby przez jej twarz przemknął wyraz lekkiej irytacji?
- Nic się przed panem nie ukryje, Iwanie Siergiejewiczu - odrzekła wesoło. - Tak, chcę się trochę poślizgać na łyżwach i pojeździć konno. A pan?
- Nie, niestety. Nie zostałem zaproszony.

- Jaka szkoda.

Kundrow popatrzył na Stephena.

- Dojechał pan bez przeszkód? W Moskwie trudno o taksówkę. Załatwił pan samochód w Inturiście?

Szlag by to, pomyślał Stephen. Wie, że próbowałem im zwać. Trzeba to jakoś naprawić...

- Szczerze mówiąc, nie - odrzekł. - Chciałem przyjechać tu ukradkiem. Nie wyobraża pan sobie, ile zachodu mnie to kosztowało.

- Ale dlaczego? Przecież to sowiecki raj. Nie uchowa się tu żadna tajemnica, nie przed nami.

- Właśnie w tym cały problem - odparł z zażenowaniem Metcalfe.

- Nie rozumiem.

- Za dużo gadacie. GRU, NKWD: wszyscy plotkujecie jak najęci. Dowiedziałby się, i katastrofa.

- Dowiedziałby się? Kto?

Metcalfe przewrócił oczami.

- Mój brat, a któżby inny? Przysiągłem mu, że jadę w interesach, wyłącznie w interesach. Żadnych przyjęć, żadnych kobiet, żadnego alkoholu. Dość miał przeze mnie kłopotów ostatnim razem, bo... Nieważne. Widzi pan, mój braciszek to bardzo poważny i zasadniczy gość. Myśli, że się zmieniłem, że wróciłem na łono rodziny, że już nie piję ani nie palę. I niech myśli tak dalej. Zagroził, że jeśli znowu zacznę rozrabiać, wyrzuci mnie z firmy i odetnie od źródła.

- Fascynujące - powiedział Kundrow. - Absolutnie fascynujące. - Zdawkowy uśmiezek na jego ustach mówił, że nie wierzy w ani jedno jego słowo. Machnął ręką w stronę daczy. - A ci ludzie? Nikt z nich nie zauważy, że znowu pan rozrabia? Nikt nic nikomu nie powie?

- O nich się nie martwię. Martwię się o tego przekłętego szofera, Anglika, którego brat przydzielił mi jako kierowcę i gońca. To moja kula u nogi. To od niego chciałem uciec.

- Hm, cóż, w takim razie może pan liczyć na moją dyskrecję.

- Świetnie. Wiedziałem, że się na panu nie zawiodę.

Lana odchrząknęła.

- Wybaczcie, panowie, ale muszę wracać. Rudi pomyśli, że go porzuciłam.

Godzinę później wraz z kilkoma innymi gośćmi wsiadł do bentleya drugiego sekretarza brytyjskiej ambasady. Atmosfera była wesoła, śmiech zaraźliwy, rozmowy głośne i podlane alkoholem. Gdy dojechali do miejsca, gdzie długa, ciemna, bita droga skręcała w asfaltówkę, ocknął się i powiedział:

- Cholera jasna! Zapomniałem teczki!

Ktoś głośno jęknął, ktoś inny zażartował:

- Nie ma sensu wracać. Ci z NKWD już dawno ją otworzyli i wszystko ukradli.

- Nie, nie. Mógłby się pan zatrzymać? Wsiadę.

- Chyba nie chce pan wracać tam na piechotę? - wykrzyknęła jakaś kobieta.

- Łyk świeżego powietrza dobrze mi zrobi. Zabiorę się z kimś innym.

Wysiadł i ruszył niespiesznie w kierunku daczy. Gdy limuzyna odjechała, przystanął, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, potem skoczył na pobocze i zniknął w lesie. Nie, nikt go nie widział, ani blondyn o wyblakłych oczach, ani Kundrow.

Gdyby się jednak mylił, gdyby go śledzono, konsekwencje byłyby olbrzymie. Musiał zachować maksymalną ostrożność.

Rozdział 17

Pod nogami trzeszczało igliwie i suche gałązki. Gdy odszedł wystarczająco daleko od drogi i dotarł do miejsca, gdzie nie mogły dosięgnąć go reflektory odjeżdżających spod daczy samochodów, wyjął wojskowy kompas, oświetlił go latarką i sprawdził, gdzie jest północ.

Ponieważ nie miał mapy okolic Moskwy - bo i skąd? - musiał posługiwać się ustalonymi wspólnie koordynatami. Roger ukrył w lesie nadajnik, a miejsce ukrycia miał oznaczyć prostym systemem znaków. Stephen zatoczył łuk wąską smugą światła latarki. Drzewa, pnie drzew, gąszcz starych brzoź i smukłych sosen. A wokoło niemal aksamitna ciemność. Niebo było zachmurzone, gruba warstwa chmur przesłaniała księżyc. Spojrzał na zegarek. Prawie druga nad ranem. I ta cisza... Cisza? Nie, las nie był cichy. Każdy las coś szepcze. W porwach wiatru szeleściły liście i skrzypiały gałęzie. Gdzieś w pobliżu smyrznął mały nocny zwierzak. Metcalfe szedł powoli i ostrożnie, lecz po takim podłożu nie sposób było iść cicho. Szedł i nieustannie nad słuchiwał obcych dźwięków, odgłosów, które by tu nie pasowały. Ze względu na bliskość amerykańskiej daczy, założył - jak najbardziej logicznie - że las regularnie patroluje NKWD. Może nie w środku nocy, ale z nimi nigdy nic nie wiadomo.

Gdzie ten znak, gdzie to cholerne drzewo? Czy to możliwe, żeby Roger zawalił? Żeby go schwytano? Nie, bardziej prawdopodobne było to, że mieli niedokładne kompasy. Źle zestrojone kompasy to złe współrzędne, a złe współrzędne to złe namiary, to błąd rzędu kilkudziesięciu metrów. Kompas, który zdobył Roger, po prostu nie nadawały się do użytku na tak małym terenie.

Wreszcie znalazł brzozę, na której pniu widniała mała, czerwona pręga, coś jakby niechlujne maźnięcie. Dotknął: farba była jeszcze lepka. Znak. Pierwszy z trzech, które miały doprowadzić go do nadajnika. Ponownie sprawdził kompas, przesunął igłę o sześćdziesiąt stopni na zachód i kilkanaście kroków dalej znalazł drugi znak.

Wtem coś trzasnęło. Daleko, w ciemności. Zamarł, zgasił latarkę i wyteżył słuch. Stał tak z minutę, wreszcie uznał, że to nic niezwykłego, że to na pewno nie człowiek. Zapalił latarkę i ruszył powoli w lewo, by siedem, osiem metrów dalej zobaczyć kolejne maźnięcie na pniu.

To było to. Ostatni znak.

Dokładnie ustalili, jak ukryją nadajnik. Sęk w tym, że Roger nie wiedział, czy da radę to zrobić. Nigdy się tego nie wiedziało, dlatego zawsze stawiali na improwizację, na to, co zastaną na miejscu. Może będzie tam jakaś dziupła? A może stara szopa czy szałas?

Odpowiedź na te pytania tkwiła w alfanumerycznym kodzie, który Roger wydrapał scyzorykiem u podstawy pnia. Małe, koślawe literki: C/2,4/N. Oznaczało to, że nadajnik ukryto dokładnie dwa metry i czterdzieści centymetrów na północ od drzewa. Litera C wskazywała na trzecią z sześciu ustalonych wcześniej lokalizacji: na ziemię. Roger zakopał go w ziemi i zakamuflował tym, co miał pod ręką. Dwa i pół metra dalej leżał duży, płaski kamień. Prawie całkowicie przesłonięty liśćmi i mchem, dla postronnego obserwatora był po prostu zwykłym kamieniem. Stephen ukląkł i podważył go, odgarnawszy igliwie, gałązki i liście. Zielone płótno i owinięta zielonym brezentem skórzana walizka w zagłębieniu, które Roger musiał wykopać wcześniej, za dnia. Wyjął ją - z trudem, bo tkwiła tam jak korek - strzepnął ziemię i otworzył. Nadajnik znał jak własną kieszeń, nie musiał nawet zapalać latarki.

Dwunastowoltowy akumulator samochodowy, zasilacz, słuchawki, antena, wreszcie sam transponder: pudło z czarnej, karbowanej stali - całość ważyła około czternastu kilogramów. Był to BP-3, najbardziej wyrafinowany nadajnik, jaki kiedykolwiek zbudowano. Skonstruowała go w ścisłej tajemnicy grupa polskich uchodźców, uczonych, którzy pracowali w

Letchworth, pięćdziesiąt kilometrów na północ od Londynu. Polacy, wyszkoleni przez Niemców wybitni eksperci od telekomunikacji, którzy uciekli z kraju tuż przed hitlerowską napaścią, byli cywilami i pracowali teraz dla brytyjskich służb wywiadowczych. Gdy powierzono im zadanie zmodyfikowania i ulepszenia starego, nieporęcznego nadajnika Mark XV, maszyny tak wielkiej, że z trudem mieściła się w dwóch walizkach, skonstruowali transmitter miniaturowy i nieporównywalnie potężniejszy od tamtego. Miał znakomity odbiór, moc trzydziestu watów i można było za jego pomocą nawiązywać łączność międzykontynentalną. Dbano o szczegóły i jakością wykonania przewyższał absolutnie wszystko. Przekazując mu go w paryskim kościele, Corcoran nie ukrywał satysfakcji, że jest pierwszy, że udało mu się zdobyć kilka prototypów nawet przed tymi z M1-6. „W porównaniu z tym tu, wszystkie inne są przestarzałe, nadają się tylko do muzeum. Ale pilnuj go jak oka w głowie. Ciebie można zastąpić, tego nie”. Tak powiedział.

Instrukcję obsługi przyklejono na spodzie stalowego wieka, ale Metcalfe znał ją na pamięć. Na chwilę zastygł bez ruchu, wsłuchując się w szept lasu. Cichy szum drzew, daleki krzyk nocnego ptaka. Nikogo. Kolana miał mokre od śniegu i zaczynały mu drętwieć nogi. Było niewygodnie - o wiele łatwiej pracowałoby mu się w jakimś pomieszczeniu, ale to nie wchodziło w grę - lecz nie widział powodu, żeby jeszcze bardziej to sobie utrudniać. Zdjął z walizki brezent i rozłożył go na ziemi. Teraz mógł przynajmniej usiąść na czymś suchym. Był w smokingu i w czarnym kaszmirowym płaszczu, a więc w stroju nadającym się do wszystkiego, tylko nie do chodzenia nocą po lesie. Płaszcz, co prawda brudny i porwany, wciąż był eleganckim płaszczem i gdyby przyszło co do czego, bardzo utrudniłby ucieczkę. Obcokrajowiec przedzierający się nocą przez gęsty las pod Moskwą? Bardziej podejrzanie być nie mogło.

Bo co by powiedział w razie wpadki? Że gdzieś tu mieszka? Że jest myśliwym? Sportowcem? Mówił po rosyjsku z lekkim akcentem, lecz z akcentem mówiło wielu obywateli Związku Radzieckiego, zwłaszcza tych z odleglejszych rejonów kraju, dlatego nie, akcent by go nie zdradził. Zdradziłoby go ubranie.

Na wszelki wypadek zaczął układać w myśli bajeczkę, którą mógłby opowiedzieć, gdyby go schwytano. Wyglądał na Amerykanina, więc dobrze, będzie Amerykaninem. Zaproszono go na noc do dachy - skoro nocowała tam Lana, mógł nocować i on, to zupełnie wiarygodne - poszedł na spacer i zabłądził. Albo... wracał z randki. Umówił się nie z byle kim, bo z żoną samego ambasadora. Chcieli mieć trochę prywatności, więc poszli do lasu i zdążyła już wrócić do dachy. Starając się, żeby brzmiało to jak najbardziej logicznie, odrzucał wersję za wersją, aż zakreśliło mu się w głowie.

Jednocześnie pracował. Z kieszeni spodni wyjął mały, czarny, podłużny przedmiot z dwoma zębami na końcu: kryształ, który fachowcy z FBI sprytnie ukryli w zamku jego walizki. Zawierał zakodowane częstotliwości, dzięki którym transmitter mógł odbierać i nadawać przekazy. Przechowywanie go w stalowym pudle nadajnika było zbyt ryzykowne, bo w razie wpadki byłoby po herbacie - klucza nie trzyma się w zamku. Wetknął go do gniazdka w dolnej części urządzenia i podłączył słuchawki.

Latarkę położył na ziemi, żeby oświetlała nadajnik. Musiał pracować szybko: siedział na wysepce światła w środku czarnego lasu i widać go było z odległości stu metrów. Gdyby ktoś go zobaczył, trudno o bardziej obciążające okoliczności. Zostałby natychmiast aresztowany i zaraz potem stracony w podziemiach Łubianki.

Wyjął paczkę lucky strike'ów i wieczne pióro. W paczce papierosów ci z FBI ukryli kilka małych arkusików nitrocelulozy, łatwo palnych jedno-razówek, które można było również rozpuścić w gorącej wodzie, a nawet połknąć. Rozkręcił pióro i wyjął z niego ciasno zwiniętą jedwabną chustkę o wymiarach dwadzieścia dwa i pół na dziesięć centymetrów. Rozłożył ją na brezencie. Była pokryta kolumnami mikroskopijnych liter.

Te dwa przedmioty - papierowa jednorazówka i jedwabna chustka - stanowiły najbardziej wyrafinowany system kodowania, jaki kiedykolwiek wynaleziono. Znany jako tabela Vigenere'a, został opracowany w Londynie przez kierownictwo operacji specjalnych Churchilla dla działających w terenie agentów. Corky często narzekał, że w kryptografii Brytyjczycy wyprzedzają Amerykanów o cztery długości, gdyż poważniej podchodzą do tego rodzaju spraw. Genialność systemu Vigenere'a polegała na tym, że był niezawodny i łatwy do użycia, ale przede wszystkim na tym, że nie mogły go złamać nawet najpotężniejsze maszyny deszyfrujące. Każdą literę angielskiego alfabetu zastąpiono inną, dobraną zupełnie przypadkowo. Litery nie układały się w żaden rozpoznawalny wzór, dlatego zakodowany przekaz był nie do złamania nawet wtedy, gdy przechwycił go wróg. Każdego klucza używano tylko raz - każdy z nich był inny - a potem go niszczone; duplikaty przechowywano w centrali. Ten polialfabetyczny system kryptograficzny nazywano kluczem nieskończonego braku spójności. Corky nazywał go bronią ostateczną.

Stephen pstryknął włącznikiem zasilania i ustawił pokrętkę na strojenie. Wcisnął klucz, przekręcił gałkę ze strzałką i zaczekał, aż rozżarzy się neonowa rurka. Teraz gałka z napisem NADAWANIE: obracał ją dopóty, dopóki rurka nie zaświeciła pełnym blaskiem, co oznaczało, że transmitter jest ustawiony na najsilniejszą częstotliwość. Już. Gotowe.

Wiadomość przygotował i zaszyfrował wcześniej, informował w niej Corcorana o wydarzeniach w Moskwie i o „opiekunie” Lany Kundrowie, prosząc, żeby centrala dokładnie go prześwietliła. Meldował również, że jest pod ścisłą obserwacją, że bardzo go to niepokoi, zwłaszcza że śledzący go agenci, a właściwie agent, jest znakomity, że zaczyna się zastanawiać, czy nie został przypadkiem zdekonspirowany. W końcu przekazał mu swoją opinię na temat von Schusslera, która brzmiała identycznie jak opinia Amosa Hilliarda: Niemiec nie nadaje się do zwerbowania. Wszystko to musiało być skrócone, skondensowane i ujęte w najprostszej formie za pomocą standardowych oraz wcześniej uzgodnionych skrótów. Oprócz znaków alfanumerycznych, na jedwabnej chustce wydrukowano grupy kodów reprezentujące powszechnie stosowane zwroty, na przykład: „dotarłem na miejsce bezpiecznie” czy „kryjówka zlokalizowana”. Corcoran dodał do nich kilkanaście innych, którymi można było przekazywać bardziej skomplikowane myśli i dłuższe wyrażenia.

Metcalf nie mógł nawiązać łączności głosowej. Nie miał wyboru. Chodziło nie tylko o to, że transmisję głosową łatwiej jest przechwycić, chociaż tak, owszem, bezpieczeństwo też się liczyło. Ale o wiele istotniejsze było to, że chociaż nadajnik zbudowano z wykorzystaniem najnowszych technologii, sygnał głosowy mógł pokonać odległość najwyżej kilkuset kilometrów. Fale ciągłe, czyli sygnały przesyłane alfabetem Morse'a, docierały pięć razy dalej.

Przysunął bliżej latarkę i spojrzał na papierek, który wyjął z paczki po papierosach. Postronny obserwator uznałby, że wypisane na nim długie kolumny liter nic nie znaczą, lecz myśli postronnego obserwatora mało go obchodziły. Dobrze wyszkolony agent, jak choćby „opiekun” Lany albo blondyn z NKWD, natychmiast poznałby, że to jakiś kod, nawet jeśli nie potrafiłby go złamać. W razie wpadki ten mały kawałek papieru, jednorazówka i jedwabna chustka były przedmiotami niezwykle niebezpiecznymi i obciążającymi.

Szybciej, myślał. Cholera jasna, jesteś na przedmieściach Moskwy, w ciemnym lesie, siedzisz w kręgu światła. Zegar tyka: każda sekunda zwiększa ryzyko.

Zastukał kluczem sterczącym z prawego dolnego rogu nadajnika. Robił to wolno, za wolno. W Paryżu z nadajnika nie korzystał - bo nie musiał - i wyszedł z wprawy, poza tym pracował w kiepskim oświetleniu. Mimo to skończył w minutę i kilka sekund. Przekaz zaadresował do 23-C, do Corcorana. Wiedział, że w centrali rozszyfrują go i natychmiast dostarczą, gdzie trzeba. Gdy tylko usłyszał sygnał potwierdzający odebranie depechy, zdjął słuchawki i wyłączył nadajnik.

Teraz szybko. Zgasił latarkę, wyjął kryształ z gniazda, zamknął wieko, owinął transmi-
ter brezentem, ukrył go ponownie w wykopanej przez Rogera dziurze, dziurę zakrył kamie-
niem, po czym przysypał to wszystko ziemią, igliwem i śniegiem.

I wtedy usłyszał suchy trzask. Gałąź.

Zamarł. Wyteżył słuch. Lis? Wiewiórka? Możliwe, ale...

Znowu trzask. I cichy chrzęst. Butów?

To nie było zwierzę. To był człowiek. Ktoś przedzierał się z trudem przez gęstwinę,
ktoś tam szedł.

Teraz nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Nie, na pewno się nie mylił.

Ktoś szedł w jego stronę.

Najciszej, jak umiał, zrobił kilka kroków w lewo i skrył się za pniem sosny. Serce wali-
ło mu jak młotem. Stał ledwie dwa metry od nadajnika. Przed chwilą go zakopał, chociaż nie
przypuszczał, żeby tamten - tamci? - to widzieli. Jak długo siedział tam z włączoną latarką?
Czy to właśnie światło przykuło ich uwagę?

Uświadomił sobie, że jeśli go tu znajdują, znajdują również nadajnik; zaczną się zastana-
wiać, co tu robił i przeszukają całą okolicę.

Musiał uciekać, i to natychmiast. Nie mógł ryzykować wpadki. Nie teraz, nie w tym
miejscu, nie kilka kroków od wyrafinowanego szpiegowskiego sprzętu. Rozgrzane lampy by-
łyby jednoznacznym dowodem, że z niego korzystał, poza tym miał przy sobie wiele innych
równie obciążających rzeczy. Miał zadrukowaną kodami jedwabną chustkę, którą zwinął w
kulkę i wepchnął do kieszeni marynarki, miał paczkę papierosów z jednorazówkami, miał
kryształ. Chustka, jednorazówki, kryształ - był szpiegiem, cholera. Był amerykańskim szpie-
giem! Chryste, jeśli mnie złapią, od razu wpakują mi kulę w łeb.

Co robić? Pozbyć się tego? Rzucić to na ziemię? A potem co? Gdy tylko zacznie ucie-
kać, tamci popędzą za nim i wszystko znajdą. Upuścić to po drodze? Nie, bo to tak, jak zo-
stawić za sobą jeszcze wyraźniejszy ślad. Poza tym nie chciał stracić tak cennych i niezbęd-
nych rzeczy. Na przykład kryształu. Bez kryształu już nigdy nie połączyłby się z centralą. Bez
jednorazówek i jedwabnej chustki nie mógłby szyfrować przekazów. Zostałby w Moskwie
sam, bez możliwości nawiązania kontaktu z Corcoranem.

Nie, nie miał wyboru: musiał uciekać. Ale jeśli ruszy biegiem, tamci pobiegą za nim.
Przez chwilę stał niezdecydowany, analizując opcje, zastanawiając się, która z nich jest naj-
sensowniejsza. Zmrużył oczy i jeszcze raz spojrzął w mrok. Kto tam szedł? Ten przeklęty en-
kawudzista? Blondyn o wyblakłych oczach, który potrafił go wszędzie namierzyć? Czy Kun-
drow z GRU, „opiekun” Lany?

Nie, ani blondyn, ani Kundrow. W gęstym mroku z trudem wypatrywał sylwetkę czło-
wieka. Ciężki płaszcz, wojskowa czapka - początkowo myślał, że to zwykły żołnierz i dopiero
po chwili stwierdził, że idzie ku niemu enkawudzista. Poznał to po epoletach, po insygniach
na czapce. A więc NKWD, najprawdopodobniej Pierwszy Zarząd Główny, który odpowiadał
również za ochronę granic państwa oraz innych ważnych rejonów i obiektów.

Niedaleko była amerykańska dacza, to logiczne: patrolowali okolicę. NKWD lubiło ob-
serwować obcokrajowców, zwłaszcza Amerykanów, i dacza była dla nich łakomym kąskiem.
Radzieckie służby bezpieczeństwa zakładały, że każdy dyplomata jest szpiegiem - szpiegami
byli wszyscy dyplomaci z radzieckich ambasad i konsulatów, dlatego więc inne kraje nie
miałyby pójść w ich ślady? Tak, wokół daczy, miejsca ważnego dla bezpieczeństwa Związku
Radzieckiego, rozstawiono kordon. Niewykluczone też, że las graniczył z jakimś obiektem
wojskowym - w lasach wokół Moskwy roilo się od baz i instytucji badawczych współpracu-
jących z wojskiem, GRU i NKWD.

Ale nie, o tej porze patrolu się nie spodziewał. I czy to możliwe, żeby był tam tylko je-
den? Wykluczone. Zawsze chodzili dwójkami albo trójkami. Nocą wypuszczali się w teren
rzadziej, dlatego zobaczył ich i usłyszał dopiero teraz.

Tam gdzie był jeden, było ich więcej.

Żołnierz wciąż szedł. Miał dwadzieścia kilka lat, co bynajmniej nie oznaczało, że jest źle wyszkolony czy niedoświadczony. Szedł po ciemku, bez latarki: musiał znać na pamięć wszystkie ścieżki i polanki i tym samym miał nad nim przewagę. Mijały sekundy. Zostać? Za tym drzewem? Nie. Jeszcze kilka kroków i tamten go zauważy.

Nagle trzasnęła zapałka. Trzasnęła i szybko zgasła.

Enkawudzista zapalił ją nie po to, żeby oświetlić sobie drogę czy przypalić papierosa. Nie, to był sygnał - sygnał dla innych! Z oddali dobiegł go szelest, przytłumiony tupot nóg. I głosy, słowa wypowiedziane szybko i niecierpliwie. Nadciągały posiłki. Zaalarmowani płomieniem zapałki żołnierze pędzili przez las, nie próbując nawet biec cicho. Byli coraz bliżej, byli tuż-tuż!

Metcalf skoczył w wąski przesmyk między drzewami, ocierając się o gałęzie. Gałęzie głośno zatrzeszczały, ale nie mógł nic na to poradzić. Gwałtownie przyspieszył, biegł najszybciej, jak mógł. Biegł zygzakiem między drzewami i polankami, wypatrywał otwartej przestrzeni, chociaż widoczność sięgała najwyżej piętnastu metrów.

Głosy. Krzyki. Wydawane po rosyjsku rozkazy. Chociaż nie śmiał spojrzeć za siebie, nagła zmiana w rytmie i kierunku kroków świadczyła o tym, że tamci się rozdzielili, że każdy biegnie teraz inną trasą z nadzieją, że uda mu się przewidzieć kolejny ruch celu i tym samym go przechwycić.

Ale latarek nie zapalali. Może znali las tak dobrze, że ich nie potrzebowali. A może nie chcieli tracić na to czasu. Bez względu na przyczynę, tak było dla niego dużo lepiej: ciemność to najlepsza osłona.

Nie znał okolicy; widział ją tylko podczas krótkiego spaceru z Laną i podczas równie krótkiej przejażdżki bentleyem. Wiedział, że teren jest falisty, porośnięty lasem, że gdzieś niedaleko jest dolina - widział ją z dąbki - i zmysł orientacji podpowiadał mu, że ku niej zmierza. I rzeczywiście: kilkadziesiąt kroków dalej teren zaczął opadać.

Prześcignąć grupę dobrze wyszkolonych żołnierzy? Jakim cudem? Nie da rady.

Może i nie da, ale musiał spróbować. Alternatywa była zbyt przerażająca. Gdyby go schwytano i uwięziono na Łubiance, ani Corcoran, ani nikt inny z amerykańskiego rządu nie mógłby nic dla niego zrobić. Jankeski szpieg zostałby skazany na wieloletnie więzienie, wysłany do gułagu albo - co najbardziej prawdopodobne - stracony.

Przerażenie dodało mu siłę i nigdy dotąd nie biegł tak szybko. Pędził między drzewami, przecinał polanki, nieustannie kluczył, żeby zmylić tamtych.

Nagle padł strzał.

Huk i przeraźliwy trzask. Kula utknęła w pniu drzewa półtora metra dalej. I kolejny wystrzał! Pocisk musnął korę brzozy ledwie trzydzieści centymetrów od niego. Po chwili cały las rozbrzmiał echem kanonady: wszędzie świstały kule, jedna z nich przeleciała tak blisko, że poczuł podmuch powietrza na uchu. Żeby ich zmylić, rzucił się na ziemię, kilka metrów przeszedł na czworakach, błyskawicznie wstał i skulony popędził przed siebie niczym obłąkany sprinter, który nieustannie zmienia kierunek biegu. „Zamiary człowieka przerażonego łatwo przewidzieć - mawiał Corky. - Najprostsza trasa, najkrótsza odległość między dwoma punktami”. Tak, nie wolno mu zachowywać się naturalnie, zgodnie z oczekiwaniami tamtych.

Kolejna salwa i znowu świst kul. Chybiły, lecz jedna tylko o włos. Rozdzielili się i walili teraz z trzech stron naraz. Jeden z nich musiał być niezły, bo strzelał celnie nawet w biegu. Skalisty występ. Tam, na szczycie łagodnego wzniesienia. Gwałtownie skręcił z nadzieją, że choć na chwilę przycupnie na rumowisku, za jakimiś głazem, że tam go nie trafią. Rozpędził się, skoczył i boleśnie wylądował na skalnej półce. Jęknął, popatrzył w lewo, popatrzył w prawo: na dole w bladym świetle księżyca załśnił lód. Skraj głębokiego wąwozu, w wąwozie zamrożony strumień o pokrytych śniegiem brzegach.

Urwista ściana miała co najmniej sześć metrów wysokości. Skok byłby niebezpieczny. Ale jeszcze niebezpieczniejszy byłby odwrót. Znowu huk wystrzałów: kule orały ziemię, rykoszetowały od głazów i kamieni. Strzelali niecelnie i domyślił się, że ich wyprzedził, że zostali daleko w tyle, że z tej odległości dobrze nie wymierzą. Może go nawet nie widzieli? To też możliwe. Chwycił kamień i rzucił go najdalej, jak mógł, w prawo, za siebie. Kamień upadł na ziemię z głuchym łoskotem i zachrzącił na rumowisku.

Gruchnęła salwa. Strzelali w tamtą stronę, co wskazywało, że skutecznie odwrócić ich uwagę.

Odczekał chwilę i nie myśląc - nie ma to jak instynkt przetrwania - odbił się od półki, skoczył, podkurczył nogi i wylądował ciężko na brzegu strumienia sześć metrów niżej. Mentalnie stracił równowagę, potoczył się bezwładnie w stronę lodu, chwiejnie wstał i sprawdził lód stopą. Był twardy, miał co najmniej kilka centymetrów grubości. Ostrożnie zrobił pierwszy krok. Pierwszy, potem drugi... Raptem zapadł się po kolana w wodę. Głośno sapnął. Woda była potwornie zimna i brodząc w na wpół zamrożonym strumieniu, czuł, że szybko drętwieją mu nogi.

Echo wystrzałów niesło się daleko z tyłu, co świadczyło, że ich zmylił, że poszli w złą stronę. Wystarczyłoby, żeby któryś wszedł na występ i natychmiast by go wypatrzył.

Gruby, twardy lód? Bzdura. Był cienki i łatwo pękał. Gdy już dochodził do przeciwległego brzegu, zahaczył o coś nogą - stracił w niej czucie i przypominała teraz drewnianą protezę - i upadł twarzą na nierówny, wystrzępiony lód. Ubranie momentalnie przesiąkło lodowatą wodą i wstając, zadygotał z zimna. Zdrętwiałe nogi odmawiały posłuszeństwa. Były jak z ołowiu, nie mógł nimi poruszać. Spojrzał w bok i siedem, osiem metrów dalej zobaczył steretę oblodzonych gałęzi i liści na stromym urwisku; pewnie cisnął je tam wiatr albo wzburzona woda. Poczłogał się bliżej i runął na nie ostatkiem sił. Kruche gałęzie łatwo ustąpiły - zapadł się w nie i zagrzebał. Nogi drżały mu i dygotały, nie mógł dalej iść. Musiał odpocząć. Gdyby wstał i spróbował pobiec, tamci szybko by go dopędzi-li. Opadł z sił, stracił całą wytrzymałość, reagował powoli i ospale. Wyciągnął ręce i rozpaczliwym ruchem nagarnął na siebie jeszcze więcej gałęzi, liści, piachu i gliny.

Parę minut później usłyszał tupot nóg i zbliżające się krzyki. Nie wiedział dokładnie, z której dochodzą strony: enkawudziści mogli być na skalnej półce, ale mogli też schodzić w dół urwiska, a wtedy zobaczyliby popękany lód, ślady, które doprowadziłyby ich do jego kryjówki, gdzie leżał, dygocząc i drżąc.

- Tam jest! - Czyjś krzyk. Skąd dochodził? Z daleka? Z bliska? Krzyczał pewnie ten młody, ten, który zauważył go pierwszy, prosty chłopak ze wsi - zdradzał go charakterystyczny akcent. - Widzę go!

- Co ty gadasz?

- Tam! Wania, ty prostaku, tam!

- Z karabinu, idioto, nie z rewolweru!

Zobaczyli go? Zobaczyli wystający spomiędzy gałęzi płaszcz? Wzdrygnął się i sprężył. Co teraz? Gdyby się mylili, gdyby celowali w złą stronę, najgorszą rzeczą, jaką mógł zrobić, było wyjście z kryjówki, bo natychmiast by go zauważyli. Ale jeżeli celowali dobrze - jeżeli któryś z nich naprawdę go widział i właśnie odbezpieczał karabin - było już po nim. Wystarczył jeden celny strzał w głowę.

- Dobra. - To znowu ten młody.

Stephen nie należał do ludzi religijnych, ale zaczął modlić się do Boga, żeby tamci byli za daleko na celny strzał. Zaciśnął powieki i odpedził od siebie wszystkie myśli. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

Huk wystrzału i głośnie echo.

I nic. Nie słyszał uderzenia kuli. A jednak. Mierzyli w inną stronę.

- Pudło - powiedział ktoś starszy.

- Widziałem go! - upierał się młody. - Widziałem kształt, całą sylwetkę. Było jasno!
- Idiota! - ryknął ten starszy. - To był jeleń!
- To nie był jeleń!
- Artjom ma rację - wtrącił trzeci głos. - To był jeleń. Byk. Spudłowałeś.
- Wiem, jak wygląda jeleń! - zaprotestował ten młody. - Poluję od dziecka.
- Widać, jeszcze nie wyrosłeś. Strzelałeś do jelenia i chybiłeś.
- Dobra, może to był i jeleń, ale przedtem widziałem człowieka. Na pewno. Chyba wiem, czym różni się człowiek od jelenia, nie?

Ale tamci go zakrzyczeli. Szydzili, nabijali się z niego i młody żołnierz z każdą sekundą tracił pewność siebie, tak że w końcu nie wiedział już, czy widział umykającego jelenia, czy człowieka.

- No i jak tam, Sasza? Podobało ci się polowanko? Przepędziłeś nas, że hej, zrobiliśmy chyba ze dwadzieścia kilometrów. Przeklęty las. No, dość tej zabawy. Zimno jest, a zaraz kończymy służbę.

- Ano zimno. Order Stalina otrzymuje nasz młody, dzielny towarzysz Szubiencow za próbę wyśledzenia i zlikwidowania kontrewolucyjnego jelenia, którego tropił mimo oporu swoich kułackich współpracowników. Wracajmy.

Zanim odważył się wstać, Stephen długo - co najmniej przez pół godziny, chociaż stracił poczucie czasu - leżał bez ruchu pod gałęziami, liśćmi i śniegiem. Słyszał, jak enkawudziści odchodzą, słyszał ich głośną rozmowę, ich docinki pod adresem młodszego kolegi, który go zauważył. Było całkiem możliwe, że naprawdę widział jelenia i że do niego strzelał - Stephenowi bardzo to odpowiadało. Przez gęsty las uciekał jeleń, nie człowiek. Bystrookiemu młodzianowi, który dostrzegł Metcalfe'a - a właściwie tylko jego sylwetkę, i to z dużej odległości - nikt już nie wierzył. Mimo to Stephen odczekał jeszcze trochę, żeby zyskać całkowitą pewność, że żaden z nich nie został z tyłu. Ale nie, jeśli służbę objął ktoś po nich, on tego ani nie widział, ani nie słyszał.

Nogi wciąż miał sztywne i niezdarne, chociaż powoli zaczynał odzyskiwać czucie w stopach. Krótki odpoczynek dobrze mu zrobił. Z trudem wstał, otrząsnął się z lodu, śniegu i liści. Był przemarznięty i wyczerpany, dlatego koniecznie musiał się stąd wydostać. Na szczęście trochę się przejaśniło. Zza chmur wychynął księżyc. Z kompasem i latarką w ręku ruszył w kierunku daczy, cały czas nasłuchując szelestu kroków żołnierzy.

Moskwa. Jak wrócić do Moskwy? Będzie musiał improwizować, wytrzasnąć jakiś transport, a więc dacza. Było tam sporo samochodów i w razie potrzeby zawsze mógł jakiś ukraść albo poprosić kogoś o podwiezienie. Miał reputację nałogowego hulaki, czym mógł wyjaśnić swój niechlujny wygląd: zażenowany powie, że był z dziewczyną, że za dużo wypił, że upadł, że urwał mu się film... Całkiem prawdopodobne, że w to uwierzą. Żona ambasadora - na pewno jeszcze tam była, bo miała gości - uwierzy mu na pewno, tak samo jak wierzyła w najbardziej zwariowane opowieści na temat jego studenckich wyczynów. Widziała, jak wychodził, to prawda, ale wcale by się nie zdziwiła, gdyby po drodze spotkał jakąś kobietę i...

Już z daleka zobaczył stajnię, którą widział z werandy domu. Tu trzymano konie. Tu mógł się też przespać. Wszedł do środka na palcach, żeby nie zbudzić zwierząt.

Ciche rzenie, niespokojne pochrząkiwanie. Ktoś zostawił zapaloną lampę naftową, pewnie ze względu na konie. Dawała żółte, migotliwe światło. Dziesięć boksów, ale tylko trzy konie: wspaniałe araby, dwa kare i kasztan. Któryś głośno zarżał. Były piękne, lecz bardzo spięte i gdyby ich nie uspokoił, zdenerwowałyby się jeszcze bardziej i mogłyby obudzić śpiących w daczy gości.

Cicho parszając, jeden po drugim zaczęły podnosić głowy i wyginać w łuk szyje. Nad słuchując, czujnie poruszały uszami. Podszedł do najbliższego - nie od tyłu, co by go zanie-

pokoilo, lecz z boku, tak zeby go widzial - i przemowil doń cicho i łagodnie. Gdy poklepal i poglaskal go po szyi, po kłebie i bokach, koń cichutko chrząknął i zaczął się uspokajać. Położył uszy, opadła mu dolna warga. Inne też się uspokoiły. Oddychały cichutko, prawie niesłyszalnie.

Położywszy się na beli siana tuż koło ciepłej lampy naftowej, Metcalfe zasnął. Sen, którego tak bardzo potrzebował, przyszedł szybko i był głęboki, choć sny miał dziwne i pourywane.

Obudziła go smuga jasnego światła. Był wczesny ranek i chociaż mógłby spać o wiele dłużej, wiedział, że musi ruszać. Bolało go całe ciało, posiniaczone i nadwreżone podczas ucieczki przez las, a sen na niewygodnym legowisku jeszcze bardziej go zmęczył. Był cały w źdźbłach słomy i siana. Usiadł, przetarł twarz i oczy.

Nagle skrzypnęły zardzewiałe zawiasy i stajnię zalało światło. Otworzyły się drzwi. Stephen zerwał się na równe nogi, wskoczył do pustego boksu i przywarł do ściany. Konie cichutko zarżały. Jakby kogoś witały, jakby go rozpoznały.

Metcalfe też ją rozpoznał.

W stroju dojazdy i w chustce na głowie w progu stała Lana.

Rozdział 18

Lana - szepnął. Szybko zamrugła. Była zaskoczona jego widokiem, ale jakby nie do końca. Zanim się nachmurzyła, dostrzegł w jej oczach coś, co mówiło, że jego niespodziewana obecność sprawia jej przyjemność.

- Stiwa? - Próbowała powiedzieć to chłodno, z naganą w głosie. - Ale... Przecież umówiliśmy się w parku, wieczorem...

- Chyba nie mogłem się doczekać.

Pokręciła głową i wbrew sobie roześmiała się cicho.

- Jak ty wyglądasz? Co się stało najlepiej ubranemu mężczyźnie w Moskwie?

Wiedział, że wygląda koszmarnie: cuchnął końmi, włosy, płaszcz i szary garnitur miał całe w słomie.

- Widzisz, do czego mnie doprowadziłaś, *Dusia*?

- Jadę się przejechać. Ostatnio to jedna z moich nielicznych przyjemności.

- A twój niemiecki przyjaciel?

Zmarszczyła czoło.

- Rzadko wstaje przed południem. Nawet nie zauważy, że mnie nie ma.

Zresztą wszyscy jeszcze śpią.

- Mogę pojechać z tobą?

Przekrzywiła głowę.

- Możesz.

Wprawnie osiodłała konia, on też szybko sobie poradził. Matka miała kilka arabów i wcześniej nauczył się jeździć, niż chodzić. Zaskoczyła go jednak Lana - wyglądało na to, że w ciągu tych sześciu lat polubiła konie. Boże, tak bardzo się zmieniła...

W lesie była ścieżka, trasa jeździecka, której przedtem nie zauważył. Od dłuższego czasu nikt się nią chyba nie zajmował, bo smagały ich gałęzie drzew. Pozwolił jej narzucić tempo. Gdy ścieżka się trochę poszerzyła, Lana pochyliła się do przodu, zacmokało i mocniej zacisnęła nogi. Jej koń, piękny kasztan, przeszedł w cwał. Jeździła tak, jakby urodziła się w siodle. Ścieżka zrobiła się jeszcze szersza i przez chwilę jechali koło siebie; gdy się ponownie zwężyła, puścił ją przodem i zadarł głowę. Słońce grzało i koło. Jechali w milczeniu. Rytmiczny galop ukołysał go i uspokoił. Znowu było jak kiedyś. Strach, przerażenie, podejrzenia - wszystko zostało daleko za nimi. Popatrzył na nią, na jej szczupłą sylwetkę: tworzyła z koniem jedną całość. Jej okolona kolorową chustką twarz była teraz spokojna i piękna. Cały smutek zniknął. Boże, jak bardzo ją kochał.

Kilka minut później zaczął rozpoznawać okolicę. Zawołał do Lany i wyrwał ją z zamyślenia. Wskazał gęsty las, gdzie w nocy spotkał enkawudzistów. Od tamtej pory minęło cztery, może pięć godzin, ale zdawało się, że upłynął cały dzień. Las? Była trochę skonsternowana, ale pojechała za nim. Zwolnili do stępa, bo zaczęła się gęstwina.

- Tu nie ma ścieżki - powiedziała.

- Wiem.

- Będzie trudno, lepiej wracajmy.

- Muszę coś sprawdzić, zaraz wrócimy.

Wtedy zobaczył drzewo, maźnięty czerwona farbą pień, i już wiedział, gdzie jest.

- Zaczekaj.

Zsiadł i rozejrzał się wokoło. To tu. Tu ukrył nadajnik, pod liśćmi i mchem. I natychmiast zobaczył coś, co ścięło mu krew w żyłach.

Śnieg został stratowany, zmieciony, zeszkrobany do gołej ziemi. A duży, płaski kamień odsunięty na bok, tak że widać było wykopaną przez Rogera dziurę. Dziura była pusta. Nadajnik zniknął.

Od razu domyślił się, co się stało i ogarnęło go przerażenie. Ten enkawudzista, ten najmłodszy. Wrócił tu. Tak, na pewno. Sprowokowany docinkami starszych kolegów, postanowił im udowodnić, że widział człowieka, nie jelenia, i przeszukał okolicę. Nadajnik był dobrze ukryty, ale skupiwszy się na miejscu, gdzie dostrzegł intruza, jakoś go znalazł. Znalazł i triumfalnie pokazał kolegom, żeby przyznali mu rację. Jeżeli tak, wiedzieli już, że to nie zwierzę ścigali po lesie, że nie był to też zbłąkany wędrowiec, tylko szpieg. Prawdziwy szpieg! Mieli zapewnioną karierę, a wiadomość o ich odkryciu wybuchnie jak bomba w siedzibie NKWD na Łubiance. Supernowoczesny brytyjski nadajnik! Dowód, że w Moskwie działają szpiedzy! Na Łubiance do rana paliły się światła, do rana trwały burzliwe narady, dzwoniły telefony i sypały się gorączkowe rozkazy.

Wszystko się nagle zmieniło. Ci z NKWD wrzucą najwyższy bieg i będą szukali szpiega lub siatki szpiegowskiej, bo gdzie jest jeden, tam jest ich więcej, bo mnożą się jak karaluchy!

Przebywanie w tym miejscu było niebezpieczne. Mogli urządzić tu zasadzkę, mogli czekać, aż szpieg wróci, tak jak przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni.

Musiał uciekać, i to natychmiast!

Lana czekała przy koniach. Po jego spiętej twarzy musiała poznać, że coś jest nie tak, bo gdy wsiadł, spytała:

- Wszystko dobrze, kochanie?

- Tak - mruknął. Ściągnął wodze, skręcił w stronę ścieżki i kilka sekund później rzucił:

- Nie. Wszystko źle.

Patrzyła na niego przez chwilę, wreszcie kiwnęła głową, jakby dobrze go rozumiała.

- Witaj w Związku Radzieckim - powiedziała ze smutnym, znaczącym uśmiechem.

Gdy tylko wjechali na ścieżkę, zawrócili w kierunku daczy. Stephen prowadził. Przed stajnią zsiadli i wprowadzili konie do środka. Lana napompowała wody do wiadra i postawiła je przed kasztanem. Potem napompowała drugie i dała pić karemu Stephena. Zwierzęta były bardzo spragnione i całkowicie jej ufały. Zdjęła uprząż, otrzepała siodło i powiesiła je na ścianie. Pod pompą dokładnie umyła wędzidło i powiesiła je obok siodła. Robiła to szybko i wprawnie, czule przemawiając do konia i od czasu do czasu go głaszcząc. Potem zdjęła ręcznik z gwoździa i delikatnie przetarła mu grzbiet, żeby przywrócić krążenie krwi. Metcalfe poszedł w jej ślady. Pracowali w milczeniu, lecz nie było to milczenie niezręczne. Byli jak przyjaciele, którzy nie muszą ze sobą rozmawiać. Sprawdziwszy, czy pod podkowami nie utknęły kamienie, Lana wprowadziła kasztana do boksu.

Gdy Stephen zamykał swój, podeszła bliżej, jakby chciała mu coś powiedzieć.

- Lana... - zaczął, ale przytknęła mu palce do ust. Z odchyłoną do tyłu głową i z wilgotnymi oczami ujęła jego twarz w obie dłonie. Gdy ją objął, lekko rozchylonymi wargami musnęła jego wargi. Drżała. Na policzku czuł jej gorące łyzy. Całowali się żarliwie, namiętnie, z gwałtownością, która go zaskoczyła. Przesunął ręce w dół i głaszcząc ją, czule pieszcząc, mocno ją przytulił. Ona pieściła jego plecy, jego pośladki, a gdy dotknął jej piersi, nagle ode-rwała usta od jego ust.

- Boże, Stiwa - westchnęła boleśnie. - Weź mnie. Proszę. Kochaj mnie.

Ich łóżkiem był koński pled narzucony pośpiesznie na stertę siana. Szorstkie i klujące, nie należało do najwygodniejszych, ale w przypływie namiętności żadne z nich tego nie zauważyło. Rozebrali się tylko częściowo, kochali się szybko i w milczeniu. Równie szybko się ubrali z obawy, że ktoś może ich nakryć. Ubierając się, Lana nuciła jakąś melodię.

- Co to? - spytał.

- Ale co?

- Ta piosenka. Znam ją.
Roześmiała się cichutko.

- *Comme ils etaient forts tes bras qui m'embrassaient.* „Jakże silne były ramiona, którymi mnie obejmowałaś”. Nie wiem, czemu przypomniała mi się akurat teraz.

- Ładna. Co z jutrem? Spotkamy się?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Rudolf nie będzie niczego podejrzewał?

- Musisz? - odrzekła niespokojnie. - Pierwszy raz od długiego, od bardzo długiego czasu czuję się szczęśliwa. Musisz o nim mówić?

- Dlaczego z nim jesteś? Przecież wiem, że go nie kochasz. Nie rozumiem.

- Nie rozumiesz wielu rzeczy, Stiwa.

- To mi wytłumacz. - Położył rękę na jej ręce.
Zagryzła dolną wargę.

- Nie miałam wyboru...

- Nie miałaś wyboru? Zawsze jest jakiś wybór.
Ze smutkiem pokręciła głowę, do jej oczu ponownie napłynęły łzy.

- Nie, *moj dorogoj*. Więzień nie ma żadnego. Ani zakładnik.

- Jak to? Jaki zakładnik? Co ty mówisz?

- Chodzi o mojego ojca. On wie, jak bardzo go kocham. Wie, że zrobię wszystko, żeby go ochronić.

- Von Schussler? Von Schussler grozi twojemu ojcu?

- Nie, nie otwarcie. Rudolf... Rudolf ma pewien dokument. Kawałek papieru, który może zabić tatę. Który może skazać go na śmierć, a mnie na więzienie.

- Co się, do diabła...

- Wystuchaj mnie, Stiwa. Proszę cię, nic nie mów. - Chwyliła go za ręce i mocno ścisnęła. - Słyszałeś o generale Tuchaczewskim? O Michaiile Nikołajewiczu Tuchaczewskim, bohaterze naszej rewolucji?

- Tak, słyszałem.

- Bronił Moskwy w dziewięćset osiemnastym, w 1920 odbił Syberię. Wspaniały, lojalny dowódca, szef sztabu generalnego Armii Czerwonej. I stary przyjaciel mojego ojca. Kilka razy jedliśmy obiad z nim i jego rodziną. Tato go uwielbiał. Na pianinie trzymał jego zdjęcie.

- Urwała i głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić. - Pewnej nocy, w maju, trzy lata temu, w trzydziestym siódmym, usłyszałam dzwonek u drzwi. Już spałam i pomyślałam, że to jakiś zartowniś, chuligan albo pijak, więc przewróciłam się na drugi bok i nakryłam głowę poduszką. Ale dzwonek wciąż dzwonił. Spojrzałam na zegarek. Było po północy. W końcu dzwonienie ustało i zasnęłam. Wieczorem miałam ważny występ, graliśmy *Śpiącą królową*.

Godzinę później obudziłam się znowu, bo usłyszałam czyjeś głosy. I głos mojego ojca. Wstałam. Głosy dochodziły z gabinetu. Tato z kimś się kłócił. Wyszedłam z pokoju, podbiegłam bliżej i stanęłam za drzwiami. Ojciec był w szlafroku i wzburzony rozmawiał z Tuchaczewskim. W pierwszej chwili pomyślałam, że marszałek za coś go skrzyczał i wpadłam w gniew. Stałam tam i podsłuchiwałam. Ale nie, oni na siebie nie krzyczeli, ani ojciec, ani Tuchaczewski. Tato był zły, wściekły jak nigdy przedtem, ale nie na marszałka. Był wściekły na Stalina. A Tuchaczewski nie. Głos miał smutny, pełen rezygnacji, niemal żałosny.

Wyrzłam zza rogu i omal nie zemdlałam: marszałek miał zupełnie siwe włosy. Widziałam go dwa tygodnie wcześniej i były ciemne. Nagle posiwił, musiało stać się coś złego. Odeszłam trochę dalej, bo gdyby mnie zauważyli, od razu by zamilkli. A czułam, że to, o czym rozmawiają, jest tak ważne, tak niebezpieczne, że ojciec nigdy by mi o tym nie powiedział. Jest nadopiekuńczy, zawsze mnie chroni...

- Ale nie dlatego, że cię nie szanuje, *Dusia*. Dlatego, że cię kocha.
- Tak. Teraz już to rozumiem, ale przez wiele lat byłam zła, że ciągle traktuje mnie jak dziecko. No więc podsłuchiwałam. Tuchaczewski mówił, że Stalin i NKWD odkryło wielki spisek w wojsku. Że śledzą go na osobisty rozkaz Stalina. Że Stalin ma ponoć mocne dowody na to, że jego najwyżsi oficerowie uknuli spisek z oficerami najwyższego dowództwa niemieckiego, którego celem jest pozbawienie go władzy. Że wśród spiskowców jest on, Tuchaczewski.
- Obłąd. Czysty obłąd.
- Tak? Nie wiem. Ale wiem, że rozmawiając w cztery oczy, obydwaj uznali, że Stalin jest niebezpieczny. - Zniżyła głos do szeptu. - Tato go nienawidzi. Dobrze o tym wiem. W domu nie pozwala wypowiadać jego nazwiska. Och tak, razem z innymi wznosi toasty na cześć sekretarza generalnego. Publicznie wychwala go pod niebiosa. Nie jest głupi. Ale w głębi serca go nienawidzi. Tak jak nienawidził go Tuchaczewski.
- Co to za „mocne dowody”? Wiadomo?
- Oficjalnie nie. Ale ludzie dużo mówili. Podobno czeski wywiad przekazał NKWD jakieś akta. Zawierały listy radzieckich dowódców do dowódców niemieckich, w których nasi szukali poparcia dla swego spisku. Sprawdzono podpisy, pieczęcie, wszystko. Były prawdziwe. Jeden z listów napisał marszałek Tuchaczewski.
- Naprawdę go napisał?
- Nie, ale powiedział, że to wszystko jedno. Był pewien, że aresztują go razem z innymi.
- I chciał ostrzec ojca?
- Pewnie tak. Tato kazał mu napisać do Stalina i wyjaśnić to nieporozumienie. Tuchaczewski powiedział, że już napisał, ale nie dostał odpowiedzi. Powiedział, że jego dni są policzone, że boi się nie tylko o siebie, ale i o rodzinę. Był zrozpaczony.
- Rano spytałam ojca, kto u nas był. Oczywiście nie chciał powiedzieć. Mruknął tylko, że to nie moja sprawa. Ale zauważyłam, że z pianina znikło zdjęcie marszałka. Potem znalazłam je w szufladzie, owinięte w gazetę. Kilka dni później Tuchaczewski został aresztowany. On i siedmiu innych wysokich oficerów. Postawiono ich przed sądem - proces był tajny i trwał ledwie trzy godziny! - i oskarżono o szpiegostwo i zdradę ojczyzny.
- Ścisnęła jego ręce tak mocno, że aż boleśnie. Ale Stephen tylko kiwnął głową. Słuchał.
- Przyznali się. Wszyscy. Ale zrobili to pod przymusem. Później dowiedzieliśmy się, że ich torturowano. Powiedziano im, że jedynym sposobem ocalenia życia sobie i - co ważniejsze - swoim bliskim jest podpisanie oświadczenia, że knuli spisek z Niemcami. Stracono ich na Łubiance. Nie w piwnicy, ale na dziedzińcu, za dnia. Żeby zagłuszyć od głoś wystrzałów, enkawudziści zapuścili silniki ciężarówek i dodali gazu. - Zamilkła i długo milczała. Metcalfe też. Słyszać było jedynie posapywanie i pochrząkiwanie koni. - Ginąc - dodała łamiącym się głosem - krzyczeli: „Niech żyje Stalin!”
- Stephen pokręcił głową. Objął ją i mocno przytulił.
- Oczywiście to nie był koniec, tylko początek. Początek rzeki krwi. Aresztowano i rozstrzelano ponad trzydzieści tysięcy wyższych oficerów. Generałów, marszałków, setki dowódców dywizji, wszystkich admirałów.
- Lano, co ta potworna historia ma wspólnego z tobą?
- Mój ojciec - wyszeptala - jest jednym z tych, których nie aresztowano.
- Bo nie był w to zamieszany.
- Zamknęła oczy. Miała udręczoną twarz.
- Bo go nie przyłapano. Bo może miał szczęście. To się zdarza.
- Bo go nie przyłapano? Chcesz powiedzieć, że twój ojciec spiskował przeciwko Stalinowi?
- Wiem, trudno w to uwierzyć, ale... Ale tak często szeptał, że go nienawidzi, że wresz-

cie... uwierzyłam. Nie miałam wyboru.

- Ale nie przyznał, że należy do spisku.

- Nigdy by tego nie zrobił! Mówiłam ci, tata traktuje mnie jak dziecko. Jedno słowo i od razu by go rozstrzelali. Wątpliwości? Stalin ich nie uznaje.

- W takim razie dlaczego w to uwierzyłaś?

Gwałtownie uwolniła się z jego objęć. Wstała, podeszła do kasztana i bezwiednie zaczęła go głaskać. Było widać, że coś ją boli, że nie chce o tym mówić. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- Kilka miesięcy temu zaproszono mnie na przyjęcie do niemieckiej ambasady. To była bardzo ekstrawagancka impreza, typowo niemiecka, i oczywiście musieli zaprosić *creme de la creme* moskiewskiej socjety. Słynne aktorki, śpiewaczki, baletnice... Szczerze mówiąc, chodzę na takie przyjęcia tylko po to, żeby się najeść. Naprawdę. Głupio mi to mówić, ale tak jest.

Podszedł do mnie niemiecki dyplomata i spytał, czy jestem córką słynnego generała Michaiła Baranowa.

- Von Schussler.

Kiwnęła głową.

- Czego on chce, pomyślałam. Ojciec pracuje teraz w Komisariacie Obrony i chociaż wiem, że się tam nudzi, że tylko przekłada papierki, zawsze muszę uważać na to, z kim rozmawiam; ciągle nam powtarzają, że wszędzie czyhają szpiedzy. Von Schussler wiedział o nim wszystko, więcej niż ja. Powiedział, że chciałby porozmawiać ze mną na osobności, opowiedzieć mi coś, co mnie na pewno zainteresuje. Byłam zaintrygowana i o to mu chodziło. Z kieliszkiem w ręku usiedliśmy w kącie sali, z dala od tłumu. Von Schussler był bardzo kulturalny, zupełnie nie przypominał gburowatych hitlerowców, których znałam. Ale mało mnie obchodził, bo robił wrażenie aroganckiego i zapatrzonego w siebie, a już na pewno nie był czarujący. Ale mówił spokojnie i na pozór obojętnie, więc go wysłuchałam. Jeden z jego starych, szkolnych przyjaciół, który służył w SS, pokazał mu bardzo ciekawe, ściśle tajne akta naszych wyższych dowódców wojskowych. Niektóre z tych dokumentów były już w posiadaniu Stalina, inne jeszcze nie.

- O Chryste... Musiałaś być przerażona.

- Miałam to wypisane na twarzy. Nie umiem inaczej. Łatwo się czerwienię, trudno mi ukryć emocje. Milczałam. Udawałam, że nie wiem, o czym mówi, ale wyczuł, że się boję. *Boże moj*, Stiwa. Powiedział, że w aktach są też inne listy, nazwiska, o których Stalin jeszcze nie wie. Że SS lubi przetrzymywać obciążające dowody i wykładać je na stół w odpowiednim momencie, jak mocne karty, jak atuty.

- A to sukinsyn. Groził ci...

- Ale robił to delikatnie, bardzo dyskretnie. Aluzje, podteksty... Powiedział, że nie widzi powodu, żeby te dokumenty trafiły do NKWD. Było, minęło. Ale nie uważa pani, że to interesujące?

- Delikatnie, dyskretnie, wszystko jedno: to szantaż.

- A widzisz. Tymczasem on chciał tylko zaprosić mnie na kolację. Powiedział, że jestem interesującą kobietą i chce mnie lepiej poznać.

- Sukinsyn - wysyczał Stephen. No jasne! Teraz już wszystko rozumiał i zrobiło mu się niedobrze.

- Naturalnie poszłam. Wtedy i nazajutrz też. - Nie miałaś wyboru. Nie mogłaś odmówić. Wzruszyła ramionami.

- Zrobiłabym wszystko, żeby tylko chronić ojca. Tak samo jak on zrobiłby wszystko, żeby chronić mnie. I jeśli miało to oznaczać, że muszę sypiać z kimś, kto jest dla mnie nudny i odrażający... Rosjanie robią gorsze rzeczy, żeby ratować bliskich. Kłamią, zdradzają, wydają

przyjaciół. Gina w gułagach z kulą w karku. Sypiać z Rudolfem von Schusslerem? Cóż to dla mnie? Żeby ocalić ojca, posunęłabym się znacz nie dalej.

- Kiedy przyszedłem do ciebie do teatru, byłaś przerażona.

Twarz miała mokrą od łez.

- Wszędzie są donosiciele i plotkarze. Gdyby się rozniosło, że do Moskwy wrócił mój były kochanek... Bałam się, że von Schussler wpadnie w furję z zazdrości. Że spełni swoją groźbę. Że rzuci tatę na pożarcie tym psom z NKWD. Boże, Stiwa, kocham cię jak życie. Zawsze cię kochałam. Ale nic z tego nie będzie. Nie jesteśmy sobie pisani.

Stephen ledwo ją słyszał. Myśli wirowały mu w głowie jak kawałki kolorowego szkła w kalejdoskopie, układając się w coraz to nowe wzory. Ojciec Lany, słynny generał Armii Czerwonej, obecnie pracownik Ministerstwa Obrony, urzędnik poza czynną służbą wojskową. I jej niemiecki amant, bliski współpracownik ambasadora von Schulenberg. Niezwykły łańcuch koneksji, którego ogniwa spajała ambicja, szantaż i żądza władzy. Łańcuch, który pętał jego ukochaną Lane, ale... czy nie można było tego w jakiś sposób wykorzystać?

Czy właśnie o to chodziło Corcoranowi? Czy właśnie na tym polegał jego plan?

Serce zabiło mu szybciej. Wstał, podszedł do niej, objął ją i przytulił. Rozszlochana i rozdygotana zwiotczała mu w ramionach, topiła się jak wosk. Mijały minuty. On ją tulił, ona płakała. Niczego innego nie pragnął bardziej niż tego, żeby podnieść ją na duchu, żeby ją pocieszyć. Szczerze mówiąc, w tej chwili nie mógł zrobić nic więcej, a ona niczego więcej nie pragnęła. Wciąż lgnąc do niego całym ciałem, wyszeptwała:

- Jestem jak nasz naród, *moj liubimyj*. Nikt nie jest w stanie mi pomóc.

- Zobaczymy - odrzekł głęboko zamyślony Stephen. - Zobaczymy.

Symfonia zapachówomal nie zwała go z nóg; czuł się tak często, zwłaszcza w obcych, zamkniętych pomieszczeniach. Dochodził go zapach kremu Nivea, którego urzędniczyzna używał zamiast mydła do golenia, zapach tytoniu fajkowego marki Obel, rozmarynowego toniku, którego używał w rozpaczliwej, tudzież nieskutecznej próbie zapobieżenia łysieniu, gdyż było już na to o wiele za późno. Czuł zapach pasty do butów i zapach ten przeniósł go na chwilę do krainy dzieciństwa. Pasta Erdal. Jego ojciec, surowy, starszy pan, zawsze czyścił buty do idealnego połysku. Kupował tę pastę niemal hurtowo, a do każdego pudełka dołączało karty z zeppelinami, szybowcami i z rysunkami prehistorycznych zwierząt. Najbardziej podobały mu się te ostatnie, piękne, kolorowe diplodoki, archeopteryksy i plezjozaury hasające w pierwotnych bagniskach. Było to jedno z ledwie kilku szczęśliwych wspomnień z tamtych czasów.

Ponieważ większość zapachów, które drażniły wrażliwą śluzówkę jego nosa, była niestety bardzo niemiła, o wiele mniej przyjemne było to, że doszedł go również zapach tego, co urzędniczyzna zjadł na obiad. Skonsumował kiełbasę z marynowaną kapustą i najwyraźniej miał kłopoty z trawieniem, bo tuż przed jego przyjściem miał wzdęcia. Ich rezultat zdążył już trochę wywietrzeć, choć nie do końca.

- Ilu ich może być? - spytał. - Proszę tylko o listę Brytyjczyków i Amerykanów, którzy przyjechali do Moskwy w ciągu ostatniego tygodnia. No więc ilu? Na pewno nie tak wielu. - Skrzypek chciał się po prostu dowiedzieć, czy był wśród nich niejaki Daniel Eigen.

Oczywiście było całkiem możliwe - nawet prawdopodobne - że Eigen przyjechał tu pod innym nazwiskiem. Ale bez względu na to, jak dostał się do Rosji, lista obcokrajowców stanowiła dobry punkt zaczepienia. Nie musiałby tracić czasu na chodzenie od hotelu do hotelu, na wypytywanie w recepcji i na identyfikację celu.

Ale jeszcze większą stratą cennego czasu było spotkanie z tym tu. Niestety, generał Ernst Kostring, z którym chciał się zobaczyć, musiał dokądś wyjść i zlecił tę sprawę temu ignorantowi.

A ignorant miał wytłumaczenie na wszystko. Był absolutnym mistrzem w sztuce, która w Ministerstwie Spraw Zagranicznych liczyła się najbardziej: w sztuce kunktatorstwa. W ciągu ostatnich dziesięciu minut z prawdziwą wirtuozerią zmyślił dziesiątki powodów, dla których nie mógł spełnić jego prośby. Tego rodzaju podejście było u nich bardzo częste, zwłaszcza gdy mieli do czynienia z funkcjonariuszami Sicherheitsdienst, którymi pogardzali i których się bali.

To, że nimi pogardzali, nieszczególnie Kleista obchodziło. Ale to, że się ich bali, bywało użyteczne. Tak samo było z tym tu, z tym drobnym urzędniczym śmierdzącym tonikiem do włosów i kielbasianymi bzdzi-nami: nie lubi mnie, ale się mnie boi. Na widok urzędasów o obwisłych tyłkach i sflaczałych duszach chciało mu się rzygać. Mali, przerażeni i pełni urazy, czuli się kimś lepszym niż on, lecz tak naprawdę byli jedynie pasożytami, wróblami sunącymi w prądzie powietrza za potężnym orłem, myszami, które szukają schronienia w jaskini lwa. Wirtuozi spinacza i zszywacza: jakże zwykle, jakże szare prowadzili życie. Nie znali i nigdy nie zaznają owego transcendentnego błogostanu, jakiego dane było *zaznać* jemu i jego mistrzowi, Reinhardowi Tristanowi Eugenowi Heydrichowi, radości płynącej z grania muzyki wyciskającej słuchaczom łzy z oczu. Lub z równie wielkiej radości odbierania życia, co też było swego rodzaju muzyką, rytmiczną, miarową i zdyscyplinowaną, wymagającą nie tylko umiejętności, ale i instynktu, a więc prawdziwej sztuki.

Nie potrafiąc się oprzeć, patrzył na jego gardło, gdy ten nerwowo przełykał ślinę, tłumacząc, że to niemożliwe, że nie mogą poprosić NKWD o taką listę, że po prostu nie mogą współpracować z radzieckimi służbami wywiadowczymi, które - bez względu na obecną politykę rządu - są ich przeciwnikiem i traktują ich bardzo podejrzliwie. Kleist obserwował jego podskakującą kość gnykową, chrząstkę tarczycową krtani, więzadła, ścięgna i miękką powieź. Biedaczyna. Był taki nagi, taki bezbronny. Wyobraził sobie, co by czuł, zakładając mu na szyję zimną, rozciągliwą strunę i gwałtownie ją zaciskając, żeby przerwać ten potok bzdur. Na biurku leżał ostry, wąski nóż do przecinania papieru i zastanawiał się, jakie uczucie by go ogarnęło, gdyby wbił mu go w oko, a potem w miękką tkankę mózgu. Boże, cóż za rozkosz...

Coś w jego twarzy musiało zdradzić, o czym z taką lubością marzył, bo źrenice urzędnika nagle się zwały, bo nagle zamrugał i stał się uległy.

- Co nie znaczy, że nie mamy tu innych kontaktów - dodał pospiesznie. - Można dać łapówkę odpowiednim urzędnikom z radzieckiego MSZ-tu. Oni mają takie listy, więc...

- Znakomicie - przerwał mu Kleist. - Kiedy?

Biurokrata głośno przełknął ślinę i spróbował pokryć zdenerwowanie brawurą.

- Do końca tygodnia moglibyśmy...

- Dzisiaj. Muszę mieć ją dzisiaj.

Urzędnik zbladł. Z twarzy odpłynęła mu cała krew.

- Tak jest, oczywiście, Herr Hauptsturmfuhrer. Zrobię, co w mojej mocy.

- I jeśli nie żądam zbyt wiele, czekając, chciałbym tu gdzieś poćwiczyć.

-Naturalnie, Herr Hauptsturmfuhrer. Proszę skorzystać z mojego gabinetu.

Rozdział 19

- Jezu Chryste, co ci się stało? - ryknął Ted Bishop, gdy Metcalfe wszedł do hotelu. - Wyglądasz tak, jak ja się czuję. Gorzej niż twój pokój po rewizji harcerzyków!

Stephen puścił do niego oko i nie zwalniając kroku, szedł dalej do windy.

- Miałeś rację. Te Rosjanki są tak rozpasane, że...

- Rosjanki? Rozpasane? - powtórzył skonsternowany Bishop. - Nic takiego nie mówiłem. Nie dane mi było tego sprawdzić. - Podszedł bliżej, zmrużył nabiegłe krwią oczy i szepnął: - Łazi za tobą międzynarodowe towarzystwo.

- Tak?

- Tak. Nie tylko te dupki z NKWD, bo oni to normalka. Teraz masz na karku i Szwabów.

- Niemców?

- Dziś rano przyszedł tu jakiś i zaczął wypytywać w recepcji o nowo przybyłych. O zagraniczników, którzy mieszkali tu w ciągu ostatniego tygodnia.

Metcalfe przystanął, rozejrzał się i z udawaną nonszalancją odrzekł:

- Kurczę, ci Niemcy zaczynają zaglądać Ruskim do garów, co? - To miał być żart. - Za dobrze się tu czują.

Bishop wzruszył ramionami.

- Tak na oko to był z SD. Z Sicherheitsdienst, tajnej policji SS, ichnie go wywiadu politycznego. Ale nie umiał się dogadać z recepcjonistką.

Wiesz, trudności językowe. Poza tym Ruscy nie lubią pytań, chyba że to oni je zadają.

- I co? Dowiedział się czegoś? - Zagranicznicy? Z ostatniego tygodnia? Możliwe, że to zwykły przypadek, ale Stephen nie był tego taki pewny. I dlaczego akurat Niemiec?

- Wziąłem faceta na bok i trochę z nim sobie pogadałem. Wiesz, jak łąkniemy nowych wiadomości, plotek i pogłosek. Myślałem, że coś wie. Coś, cokolwiek, co mógłbym wysłać w depeszy do domu. Na pewno to znasz: „Według jednego z niemieckich gości odwiedzających tę nękaną kłopotami stolicę...” Ludzie uwielbiają takie brednie. Jestem asem wywiadu i wykorzystałem cały arsenał sztuczek i umiejętności. O odbyliśmy długą pogawędkę...

- O czym?

- Facet zna się na muzyce, i to jak, cholera! Zna Waltera Gieseckinga. I Elizabeth Schwarzkopf.

- Pytał o nazwiska gości?

- Jasne. Ciągle do tego wracał.

- No i pomogłeś mu? - rzucił lekko Metcalfe.

- Powiedział, że szuka kogoś na prośbę starego przyjaciela. I że nie pamięta jego nazwiska, to znaczy, nazwiska tego kogoś. Wie tylko, że przyjechał z Paryża.

- To ja odpadam.

- Skoro tak mówisz... W zdobywaniu informacji jestem lepszy niż w ich sprzedawaniu. Ryzyko zawodowe, uważasz. I muszę ci powiedzieć, że jego opowiadka leciutko zalatywała zgniłą rybą. Nie pamiętam nazwiska? Z kim do ludzi, stary? Wymyśl coś lepszego, bo toto cuchnie na kilometr!

Gdy zapukał do drzwi, Roger jeszcze spał.

- Masz ochotę się przejść?

- Nieszczęśliwą - stęknął Roger.

- Świetnie, to chodźmy.

Oczywiście szli za nimi dwaj nowi, też z NKWD; na ulicy natychmiast siedli im na ogonie i Metcalfe nie miał już wątpliwości, że to ich ulubiona taktyka. Jeden w pewnej odległości z tyłu, drugi równolegle, po drugiej stronie ulicy. Nie byli amatorami, ale i nie zawodowcami. A może gdzieś w pobliżu czekał się jeszcze jeden, blondyn o wyblakłych oczach, którego na razie nie widział i który w porównaniu z tymi dwoma był prawdziwym Houdinim? Tak, to całkiem możliwe. Ale Stephen nie miał najmniejszego zamiaru dawać im powodów do niepokoju czy podejrzeń.

Musiał po prostu pogadać z Rogerem na otwartej przestrzeni, z dala od hotelowych mikrofonów. Będą zwyczajnie szli, spacerowali jak zwykli turyści, bez żadnych sztuczek i gwałtownych ruchów.

Dla postronnego obserwatora - miał nadzieję, że i dla enkawudzystów - Metcalfe był biznesmenem, który, korzystając z ładnej pogody, wybrał się na krótki spacer zatłoczoną aleją. Ot, szedł ze znajomym, zwiedzał miasto, swobodnie rozmawiał. Ale w jego głosie nie było nic swobodnego. Szybko streścił Rogerowi przebieg ostatnich wydarzeń, od bezczelnej rewizji w pokoju poczynając, na zniknięciu nadajnika kończąc.

Roger z każdym słowem posepniał, a usłyszawszy o zniknięciu transmitera, aż drgnął.

- Cholera jasna. A tyle zachodu mnie to kosztowało. I nikt nie widział, jak go zakopywałem!

- Dałbyś radę zdobyć części? Mam kryształ. Klucz i całą resztę można by wymontować z jakiejś krótkofalówki...

- To ma być rada? - przerwał mu Roger. - Praktyczna rada?

- Nie. - Stephen ciężko westchnął. - Chyba nie.

- I na pewno tego po mnie nie oczekujesz? -Nie.

- Super. Dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy.

- Tak, to czysty absurd. Nie do zrobienia. Ale musi być jakiś...

- Nie do zrobienia? W takim razie coś wykołuję.

Metcalfe uśmiechnął się lekko.

- Wiedziałem.

- Daj mi parę dni.

- Jasne. Tymczasem muszę skontaktować się z Corkym. - Corcoran musiał dowiedzieć się o nadajniku, w przeciwnym razie, nie otrzymawszy odpowiedzi na swoją odpowiedź, założyłby, że stało się coś niedobrego.

- Ale jak? Jesteśmy odcięci do chwili, kiedy zmontuję nowy nadajnik. Jeśli w ogóle go zmontuję.

Metcalfe długo milczał, wreszcie powiedział:

- W ambasadzie mają tajny kanał. Corky mi mówił. Miałem go użyć tylko w ostateczności.

- Kanał? Ale to chyba nie poczta dyplomatyczna? Jest cholernie wolna, zajmie to co najmniej dwa dni. Jedynym bezpiecznym kanałem komunikacyjnym tych z dyplomacji jest telegraf. Linia niby komercyjna, ale przekaz kodowany.

- I łatwy do przechwycenia.

- Łatwy do przechwycenia? Co ty bredzisz? To najbezpieczniejszy kanał, jaki istnieje. Chryste, ambasador korzysta z niego, pisząc do prezydenta!

- Nie mówię o Rosjanach. Mówię o naszych. O wrogach wewnętrznych równie groźnych jak ci zewnętrzni.

- Jezus Maria - westchnął Roger. - Więc co proponuje Corky?

- Mają tam ponoć czystą linię telefoniczną. Nie wiedzą o niej nawet pracownicy. Coś w rodzaju nadajnika. Cyfrowo zaszyfrowana depesza idzie do odbiornika w Estonii, gdzie sygnał jest wzmacniany i przekazywany dalej podziemnym kablem.

- Czarny kanał - wyszeptał zdumiony Roger. - Kurczę, słyszałem, ale myślałem, że to tylko plotki.

- Pewnie rzadko z niego korzystają, inaczej Ruscy zaczęliby węszyć. Uruchamiają go tylko w nadzwyczajnych wypadkach.

- Ten od Corcorana ma do niego dostęp?

Metcalfę kiwnął głową.

- I to jest nadzwyczajny wypadek?

- Tak, bo coś tu nie gra. Ta cała misja. Von Schusslera nie da się zwerbować i Corky musiał o tym wiedzieć. Ma lepszych informatorów niż ja.

Roger popadł w zadumę.

- Myślisz, że coś tu śmierdzi? Że chodzi o coś innego?

- Na sto procent. Inaczej Corky nie przydzieliby mi tak głupiego zadania. On pracuje na pewniaka. Najpierw ustawia wszystkie kaczki w równiutki szereg i dopiero potem wysyła ludzi na teren wroga. Dla czegoś takiego jak to nigdy w życiu nie wyrwałby mnie z Paryża. To po prostu nie ma sensu!

- Fakt - przyznał Roger. - Chyba masz rację. Nie ma.

Pożegnawszy się z Rogerem, Metcalfe przeszedł jeszcze kilka ulic i zawrócił do ambasady. Po drodze mijali klasycystyczny kamienny gmach z mosiężną tablicą na ogrodzeniu: niemiecką ambasadę. Zerknął za ogrodzenie i pomyślał o von Schusslerze. Na podstawie tego, co o nim wiedział, i na podstawie krótkiej rozmowy w amerykańskiej dacy, mógł stworzyć w miarę wierny portret tego hitlerowskiego karierowicza. Von Schussler nie był ani odważny, ani bystry. Nie był ani zagorzałym nazistą, ani antynazistą.

Więc co ten Corky knuł? Po co, do diabła, go tu przysłał?

Z otwartego bocznego okna płynęła muzyka. Był mróz i ten, kto grał, musiał mieć świra na punkcie świeżego powietrza. Ale grał pięknie, z imponującym kunsztem, jak prawdziwy wirtuoz. Co to jest? - pomyślał Stephen. Po chwili przypomniał sobie nazwę utworu: *Totentanz*. Taniec śmierci. Ta szczególna kombinacja kultury i masakry... Jakie to niemieckie.

Dochodząc do amerykańskiej ambasady, kątem oka zauważył jakiś ruch. Odwrócił się i... Znajoma blond czupryna pod futrzaną czapką, wystające kości policzkowe: enkawudzista, który nakrył go przed domem Lany i odwiózł na przyjęcie do dacy. Teraz z kolei jak spod ziemi wyrósł przed ambasadą, jakby wiedział, że Stephen tu będzie. Iść za nim od samego hotelu? Nie, to zadanie pozostawił swoim kolegom amatorom: za niskie progi. Cholera, jakby potrafił przewidzieć każdy jego krok!

Metcalfę odwrócił się na pięcie i skoczył w tamtą stronę, ale blondyn już zniknął. I bardzo dobrze. Miał nadprzyrodzony dar przewidywania, to prawda, ale czego się właściwie dowiedział? W tym, że amerykański biznesmen idzie do swojej ambasady, nie ma nic dziwnego. Jeżeli chciał podzielać na niego psychologicznie, jeśli chciał go tylko zastraszyć, to proszę bardzo, śmiało, niech próbuje dalej. Z kim do ludzi.

Amos Hilliard zszedł do recepcji wyraźnie zdegrustowany. Widok Metcalfe'a nie sprawił mu żadnej przyjemności.

Stephen powiedział mu, z czym przyszedł. Amos niechętnie się zgodził.

- Stołp - mruknął. - Jak w średniowiecznym zamku. Zazdrośnie strzeżony i dobrze pilnowany. Rzadko kiedy go używam, nawet ja. Będę musiał wymyślić jakiś pretekst. Wie pan, koledzy.

- Dziękuję.

- Niech pan powie Corky'emu, że chcę podwyżkę.

Kwadrans później labiryntem wąskich, zamkniętych korytarzy doprowadził go do stalowych drzwi. Idąc, wyjaśnił, że jest to najtajniejsza część ambasady. Stanąwszy przed drzwiami, powoli i metodycznie zaczął ustawiać tarczę dużego, czarnego zamka. Trwało to kilkadziesiąt sekund; było widać, że rzadko tu zagłada.

Gdy weszli do korytarza za drzwiami, wskazał drzwiczki z napisem URZĄDZENIE ELEKTRYCZNE, gdzie były skrzynki z bezpiecznikami i doprowadzone z zewnątrz kable zasilające czarny kanał, teleks i telefon. Przystanął przed nieoznakowanymi drzwiami z potrójnym skomplikowanym zamkiem. Pomieszczenie za drzwiami przypominało budkę telefoniczną albo trumnę: było wąskie, płytkie i miało wyłożone stałą ścianą. Na podłodze stało metalowe krzesło, na wąskiej, stalowej półce zaś zwyczajny czarny telefon na wielkiej, niezgrabnej podstawie.

Był to bezpieczny - „czysty” - moduł telekomunikacyjny, który Hilliard nazywał stołpem. I był czymś więcej niż tylko dźwiękoszczelną budką, do której budowy wykorzystano najnowocześniejsze, najbardziej wyrafinowane techniki i technologie akustyczne: nie miała prawa opuścić jej ani jedna fala dźwiękowa. Gdy Metcalfe usiadł, Hilliard zamknął ciężkie drzwi.

Przez chwilę Stephen nie mógł zdławić w sobie panicznego wprost lęku, czegoś w rodzaju klaustrofobii. Przez mały, zabezpieczony pleksiglasem otwór widział, jak Amos wchodzi do małego pomieszczenia po drugiej stronie korytarza, skąd miał monitorować rozmowę i pilnować, żeby wszystko poszło, jak trzeba.

Powietrze w budce było nieruchome i stężałe. Z braku wentylacji - nie zainstalowano jej, nie chcąc naruszać dźwiękoszczelnej izolacji - szybko zrobiło się duszno i gorąco. Hilliard nawiązał łączność, wysyłając do centrali pilną, zaszyfrowaną depezę; po jej rozszyfrowaniu i sprawdzeniu wszystkich połączeń, co trwało zwykle kilka minut, centrala miała od-dzwonić.

Twarz Metcalfe'a spływała potem. Nagle rozległ się przeraźliwy dźwięk dzwonka - głośniejszego, bardziej przenikliwego i drapieźnego Stephen nigdy dotąd nie słyszał. Podniósł słuchawkę.

- Jak się masz, chłopcze? - Głos Corky'ego; przypominał krakanie wrony. Nawet korzystając z czystej linii, szef był na tyle ostrożny, że nie wymienił jego nazwiska. Metcalfe odechnął. Trochę mu ulżyło. Ostatni raz rozmawiali ledwie przed kilkoma dniami, a jemu zdawało się, że od tamtej chwili upłynęła cała wieczność. - Rozumiem, że to coś pilnego. Właśnie jadłem lunch. - Jego głos brzmiał głucho i towarzyszyło mu metaliczne echo.

- Bardzo przepraszam - odrzekł oschle Stephen.

- Podobał ci się balet?

- Otrzymał pan mój meldunek, że nawiązałem kontakt?

- Tak, oczywiście. Co z tym Niemcem?

- Rozmawiałem z nim, ale krótko.

- Zdążyłeś wyrobić sobie zdanie?

- Tak. Chyba tak.

- No i? Da się go zwerbować? Pójdzie na to?

- Nie. I myślę, że wiedział pan o tym od samego początku.

Corcoran milczał przez kilka sekund. Słyszeć było jedynie szum eteru, przytłumiony syk i trzaski. Wreszcie się odezwał:

- Najkrótszą drogą między dwoma punktami jest zawsze linia prosta.

- Po co tu przyjechałem? - Zirytowany Stephen podniósł głos. - Chryste, nie wysłał mnie pan tu chyba ot, tak sobie, tylko po to, żebym zrobił z siebie durnia! Zgoda, tak się przypadkiem składa, że moja była dziewczyna ma romans z Niemcem, z dyplomatyczną miernotą. I co z tego? Niech pan mi tylko nie mówi, że nie ma lepszych kandydatów niż von Schussler! O co tu, do diabła, chodzi?

- Uspokój się, chłopcze - odparł lodowato Corky. - Chciałem, żebyś nawiązał z nią kon-

takt i go nawiązałeś. Faza pierwsza dobiegła końca.

- Faza pierwsza czego? Nie jestem marionetką. Nie może pan pociągać za sznurki i myśleć, że ładnie zatańczę. Po cholere mnie pan tu wysłał? - Wyjął chustkę, otarł czoło i szyję.

- Stephen, w odpowiednim momencie dowiesz się wszystkiego, co musisz wiedzieć.

- To za mało. Jestem w Rosji, ryzykuję głową...

- Jesteś ochotnikiem, mój drogi. Przyszedłeś do nas dobrowolnie. Chcesz wrócić do domu? Proszę bardzo, w każdej chwili, z przyjemnością ci pomogę. Ale dopóki jesteś moim pracownikiem, musisz przestrzegać środków ostrożności, to najważniejsze. Gramy w niebezpieczną grę. To, co stało się w Paryżu, powinno przypominać ci...

- Co z tą drugą fazą? - przerwał mu Metcalfe.

Znowu długa cisza i metaliczny syk. Mijały sekundy. Myślał już, że coś się stało, że przerwano połączenie, ale nie.

- Podobnie jak jego koledzy z ambasady — powiedział Corky – Rudolf von Schussler ma zbierać w Moskwie informacje o planach Rosjan. Hitler zakazał szpiegowania jako takiego, bo nie chce budzić podejrzeń Stalina. Dlatego zadanie to jest praktycznie niewykonalne. Naziści rozpaczliwie węszą, ale nie mogą nic wywęszyć. Postanowiliśmy im pomóc.

- Pomóc? Jak to?

- Niedługo dostaniesz zestaw dokumentów. Masz namówić Swietłanę, żeby przekazała je swemu kochankowi. Metcalfe omal nie upuścił słuchawki. -Przekazać...

- Mamy tu zbieżność niezwykle ważnych czynników - przerwał mu Corcoran. - Jej ojciec, generał, były dowódca i bohater rewolucji, pracuje teraz w Komisariacie Obrony.

- Jest tylko pionkiem - zaproponował Stephen. - To biurowa praca, synekura dla zasłużonego żołnierza. Lana mówi, że...

- Zaimprovizuj coś, synu. Wiem, że potrafisz. Daj mu awans.

- Chce pan, żebym ją wykorzystał. To dlatego mnie pan tu przysłał, tak? - Wiedział, że tak, ale chciał, żeby Corcoran osobiście to potwierdził.

- Ująłbym to inaczej. Chcę, żebyś ją zwerbował. Chcę, żebyś wykorzystał von Schusslera. Jako kanał transferowy do Oberwehrmachtu. Kanał dla informacji wywiadowczych, które wpłyną na podejmowane przez nich decyzje.

- Chryste, każe mi pan wpakować ją w koszmarne niebezpieczną sytuację. Na miłość boską, ona jest zwykłą tancerką, baletnicą, a nie agentką! Nie jest szpiegiem, jest artystką!

- Właśnie. Kilku naszych najlepszych agentów przyszło do mnie z teatru.

- Wie pan, co oni z nią zrobią, jeśli powinie się jej noga?

- Stephen - mówił cierpliwie Corcoran. - Czy muszę ci przypominać, w jakiej sytuacji Swietłana jest już teraz? Każda znajomość z obcokrajowcem to dla nich ryzyko. Ale ona nie jest zwyczajną Rosjanką. Jest słynną baletnicą, a jej ojciec słynnym generałem. I najważniejsze: twoja Lana sypia z niemieckim dyplomata. Opuśćmy sobie pakt o nie agresji: radzieckie służby wywiadowcze od dawna nie spuszcza jej z oka.

Kundrow, pomyślał Metcalfe. Tak, nawet nie wiesz, jak uważnie ją obserwują. Ale nie, von Schussler nie zaszantażował jej w celach szpiegowskich, tego był pewien. Jeżeli miało to coś wspólnego z jej ojcem, Lana nie wyczuła tego nawet po kilku miesiącach znajomości. Nie, von Schussler miał po prostu chciwą, i tyle. Swietłana była bardzo piękną kobietą. Co więcej, była primabaleriną, cenną zdobyczą, którą mógł się wszystkim chwalić. Ludzie niepewni, tacy jak on, lubili podbijać sobie bębenek, pokazując się w towarzystwie atrakcyjnych kobiet. Dawszy jej do zrozumienia, że dysponuje obciążającym dokumentem z nazwiskiem Michaiła Baranowa, dokumentem, który mógłby wysłać go na śmierć, natychmiast stracił nim zainteresowanie.

- A co z jej ojcem? - spytał Stephen. - Jego też narażę na ryzyko.

- Jej ojciec... Jakby to ładnie ująć? Jej ojcu niewiele już pozostało. Aresztują go, podobnie jak jego kolegów z Armii Czerwonej. To tylko kwestia czasu.

- Jak dotąd go nie aresztowali.

- Jego nazwisko figuruje na liście. Tak się składa, że o tym wiemy. Wiesz, jak nazywa ją NKWD? *Knigoj smierti*. Księgą śmierci. Aresztowania postępują według ściśle ustalonej kolejności. Na niego przyjdzie pora już za kilka tygodni. Gdy go aresztują, Swietłana na nic się nam nie przyda, dlatego musimy się spieszyć. Zresztą, czy ty naprawdę myślisz, że NKWD już teraz nie uważa jej za potencjalną zdrajczynię? Sama się w to wpakowała.

- Niechcący - odparł Metcalfe, ocierając mokre od potu czoło. – Nie miała wyboru.

- Daruj sobie. Przypomnę ci tylko, że hitlerowcy na naszych oczach stopniowo pożerają Europę. W sumie to nawet nie stopniowo, bo co i raz odgryzają wielkie kęsy. Ten ich *Blitzkrieg*, ta ich machina wojenna zmiążdży cały świat. Świat nigdy dotąd nie był tak bardzo zagrożony. Francja pokonana. Hitler nie ma w Europie żadnych wrogów. Anglia nie wytrzyma i prawdopodobnie padnie. Jeżeli mamy szansę tę maszynę za trzymać, musimy to zrobić, to nasz obowiązek. I właśnie po to tam jesteś. Nie ma rzeczy ważniejszej. Trafiła nam się okazja. Bylibyśmy skończonymi głupcami, gdybyśmy jej nie wykorzystali. Gorzej niż głupcami: bylibyśmy winni zaniedbania, a zaniedbanie jest przestępstwem. - Zamilkł. Stephen też milczał. - Jesteś tam?

- Co to za dokumenty?

- To obraz. Chcemy, żeby obejrzeni go ci z OKW, Oberkommando der Wehrmacht, Hitler i jego dowódcy.

- Jaki obraz?

- Jedni malarze malują olejami, inni akwarelami. My malujemy liczbami, starannie ułożonymi kolumnami cyfr. Szacunkowymi ocenami liczby żołnierzy, dokładnymi danymi na temat sprzętu i wyposażenia, na temat liczby dywizji i rozmieszczenia magazynów broni. Innymi słowy, jest to zbiór danych, które odmalują konkretny obraz, równie wyraźny jak obraz van Gogha. Najpierw obejrzy go dowództwo Wehrmachtu, potem sam Hitler.

- Ale co ten obraz ma przedstawiać? - dążył Metcalfe.

- Niedźwiedzia, chłopcze. Ale takiego miłutkiego. Malutkiego pluszaczka bez pazurów.

- Chce pan, żeby Lana przekazała von Schusslerowi fałszywe dokumenty, które potwierdzą, że Rosjanie są słabi militarnie.

- Zapewniam cię, że są znakomicie podrobione. Sam Stalin by się nie zorientował.

- W to wierzę.

Boże, pomyślał Stephen, co za plan. Błyskotliwy i diaboliczny. Cały Corky.

- Jeśli Hitler uzna, że inwazja na Rosję będzie miłym spacerkiem po parku, natychmiast zaatakuje. Po prostu wyważy drzwi i wejdzie!

- Doprawdy? - Głos Corcorana ociekał tak zjadliwym sarkazmem, że słysząc go było mimo złej akustyki połączenia.

- Boże, chce pan wmanewrować Hitlera w wojnę z Rosjanami!

Zapadła długa cisza. Słysząc było jedynie trzaski i popiskiwanie, jak w źle nastawionym radiu.

- Stephen, wspominałem ci kiedyś o wojnach peloponeskich, prawda?

- Tak - warknął Metcalfe. - Ateny ocalały tylko dlatego, że między ich wrogami doszło do niezgody.

- Ateny tę niezgodę zasiały, chłopcze. Ateny ich na siebie napuściły. W tym cała rzecz.

- Nie ma żadnej pewności, że te dokumenty dotrą do Hitlera. Wie pan, ile mają tam szczebli? Ilu urzędników? Ilu sceptycznych biurokratów? To dla nich okazja. Przefiltrują to wszystko tak, że nic nie zostanie.

- To prawda, ale gdybyśmy robili tylko to, czego jesteśmy stuprocentowo pewni, daleko byśmy nie zaszli.

- Fakt.

- Wiemy tyle: Hitler poświęca osiem godzin dziennie na czytanie raportów, notatek służbowych i raportów wywiadowczych. Na punkcie tych ostatnich ma kręćka. Najważniejsze decyzje zawsze podejmuje sam i robi to na podstawie informacji, które mu dostarczają. A jedynymi informacjami, które traktuje ze śmiertelną powagą, są informacje wywiadowcze. Hitler ufa szpiegom. Zgoda, von Schussler szpiegiem nie jest, ale ma znakomite doświadczenia. I wysoko postawionych przyjaciół.

Metcalfe'owi zakręciło się w głowie. Chusteczka była już mokra i bezużyteczna. Odruchowo poszukał drugiej, ale jej nie miał.

- Zrobię to pod jednym warunkiem.

- Że co proszę? - spytał z niedowierzaniem Corcoran.

- Jeśli coś stanie się Lanie, jeśli z jakichś powodów uzna, że grozi jej niebezpieczeństwo, musi pan mi zagwarantować, że ewakuujecie ją z Moskwy. - Otarł czoło ręką. Było mu coraz nie wygodniej; nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma.

- Stephen, dobrze wiesz, że tego nie robimy...

- Dobrze wiem, że robimy. Zrobiliśmy to we Francji i w Niemczech.

- To były wyjątkowe przypadki...

- Ten też jest wyjątkowy. Bez gwarancji jej w to nie wciągnę.

- Stephen, zrobimy wszystko, żeby ograniczyć ryzyko, ale...

- To mój warunek - przerwał mu Metcalfe. - Nie ustąpię. Albo go przyjmiecie, albo nie kiwnę palcem.

Amos Hilliard siedział przy konsolce w pomieszczeniu po drugiej stronie korytarza, sprawdzając stan łączy. Czarny kanał zainstalowano niedawno, dlatego - jak wszystkie nowinki techniczno-technologiczne - czasami zawodził. Był skomplikowaną płataniną międzynarodowych łączy, łańcuchem złożonym z setek ogniwi, a w czasie wojny każde ogniwo mogło nagle pęknąć. „Pęknąć” mogło zbyt wiele rzeczy. Najlepszym wskaźnikiem stabilności całego systemu był miernik sygnału wbudowany w konsolę. Obie strzałki, mocy sygnału nadawania i odbioru, stały w miejscu, prawie się nie poruszały. Gdyby któraś z nich nagle opadła, musiałby wkroczyć do akcji, usunąć usterkę i odzyskać połączenie.

Tamci rozmawiali dłużej, niż się spodziewał. Nie wiedział, o czym gadają, ale musiała to być sprawa delikatna i złożona. Mógł się tylko domyślać, co Metcalfe robi w Moskwie. Pytać o to nie zamierzał; zabraniały tego ustalone przez Corcorana zasady. Ale nikt nie zabraniał mu myśleć. Sporo słyszał o tym młodym, bogatym playboyu i o jego balerinie z teatru Bolszoi. Widział ich na przyjęciu w dacy. Nie trzeba było umysłu konstruktora rakiet kosmicznych, by stwierdzić, że coś ich łączy. I te jego pytania o von Schusslera. Chciał go po prostu wy badać, ocenić. Może wykorzystywał tę tancerkę, żeby go jakoś podejść. Może właśnie dlatego Corcoran przysłał tu kogoś tak niedojrzałego i nieopierzonego. Może jego doświadczenie łóżkowe było w tym przypadku ważniejsze niż doświadczenie zdobyte w terenie.

Zerknął na wskaźniki i zdębiał. Obie strzałki gwałtownie opadły. Z niewiadomych powodów moc sygnału nagle spadła. Hilliard zerwał się na równe nogi, wypadł na korytarz i zajrzał do budki przez pleksiglasową szybkę: zlany potem Metcalfe wciąż gadał. Skoro tak, oznaczało to, że łączność wciąż działała.

W takim razie co spowodowało tak gwałtowny spadek mocy sygnału?

Przeszedł go zimny dreszcz. Czy to możliwe, żeby...

Załomotał pięścią w szybkę. Gdy zaskoczony Metcalfe odwrócił głowę, Hilliard zrobił rozpaczliwy gest ręką, jakby podcinał sobie gardło. Metcalfe rzucił do słuchawki jeszcze dwa słowa i przerwał połączenie.

Gdy Amos otworzył w końcu drzwi, Stephen już stał.

- Co się, do diabła...

- Ktoś włamał się do systemu! Ostatnie dwadzieścia, trzydzieści sekund: mówiliście o czymś ważnym? Mogli was podsłuchać...

- Podsłuchać? Nie, już kończyliśmy, ale kto? Jakim cudem?

Hilliard nie tracił czasu na wyjaśnienia. Odwrócił się i obcasy jego butów zastukotały na wyłożonej terakotą podłodze. Wiedział, że jedynym narażonym na ingerencję węzłem systemu jest pakamera z bezpiecznikami, płatanina ukrytych tam kabli, której nie zdążono porządnie zabezpieczyć. I raptem zobaczył, że otwierają się drzwi, że ktoś z niej wybiega, że pędzi do wyjścia i znika za drzwiami na końcu korytarza. Sekretarz ambasady, jeden z młodszych urzędników, którego przekonania polityczne zawsze wzbudzały w nim wątpliwości. Ale teraz wiedział już na pewno: ten bydlak podsłuchiwał. Tylko dla kogo pracował?

Hilliard szarpnął za klamkę. No i proszę: na podłodze pakamery leżały porzucone słuchawki. Lepszego dowodu nie potrzebował. Podbiegł do niego Metcalfe. Zobaczył słuchawki i wszystko zrozumiał.

- Koniec z tym - wydyszał Hilliard. - Kanał jest spalony.

- A miał być taki bezpieczny.

- I jest, ale zabezpieczono go przed tymi z zewnątrz, przed Rosjanami. Nie przed Amerykanami.

- Kto to był?

- Gówniarz, młodszy urzędnik. W naszej hierarchii kompletne zero, ale...

- Na czyj rozkaz?

- Nie wiem. I wątpię, czy prędko się dowiem. Ale wiem jedno: w tę grę gra wielu graczy. A tam, gdzie jest wielu graczy, zawsze ktoś obrywa. Zamiast przychodzić tutaj, równie dobrze może pan pójść teraz do Radia Moskwa. Niech pan coś dla mnie zrobi, dla mnie i dla siebie. Niech pan wyjdzie tylnymi drzwiami. I niech pan już nigdy tu nie wraca. Proszę. Nigdy.

Skrzypek siedział na ławce w parku naprzeciwko ambasady amerykańskiej. W uszach wciąż pobrzmiwały mu upojne dźwięki *Der Tod und das Madchen* Schuberta. Uwielbiał te burzliwe triole przechodzące w kojące, czarne jak welwet kadencje d-moll, sposób, w jaki utwór ewoluował z tonacji durowej w molową, uwielbiał grozę, jaką tchnęła ta słodka, urocza melodia. Obserwując wchodzących i wychodzących z ambasady ludzi, próbował - oczywiście na próżno - nie zwracać uwagi na moskiewskie zapachy, od których przewracało mu się w żołądku. Już je rozpoznawał: zjełczały, przyprawiony wódką odór męskiego potu, odór niedomytych kobiet, ich cuchnący cebulą oddech, zapach machorki, wszechobecny smród gotowanej kapusty. Myślał, że nic nie przebije Francuzów, ale się mylił; Rosjanie byli jeszcze gorsi. Zapachy te tworzyły teraz tło, z którego potrafił wyłowić każdego obcokrajowca, wszystko jedno Amerykanina czy Anglika. Muller, jego przełożony z Sicherheitsdienst, miał powody przypuszczać, że Daniel Eigen, agent paryskiej siatki szpiegowskiej, przyjechał do Moskwy. Sam Reinhard Heydrich podejrzewał, że człowiek ten może należeć do spisku, w którym uczestniczyli urzędnicy bardzo wysokiego szczebla, i należało to sprawdzić. Zlikwidować Eigena mógł każdy, ale tylko nieliczni agenci SD potrafili sprawnie przeprowadzić inwigilację i - w razie konieczności - natychmiast zabić.

Francuska granica była dziurawa nawet teraz, gdy pilnowali jej Niemcy. Skutek? Ludzie uciekali, i to na wiele sposobów. W Paryżu mieszkało nielegalnie wielu nie zarejestrowanych Amerykanów i Brytyjczyków i wykrycie, który z nich w ciągu kilku ostatnich dni dokądś wyjechał, graniczyło z cudem. Ale w Moskwie było o wiele łatwiej. To prawda, obcokrajowiec mógł przekroczyć granicę z fałszywym paszportem, tak jak na całym świecie, ale w Związku Radzieckim dokumenty sprawdzano o wiele skrupulatniej niż gdzie indziej. Poza tym liczba odwiedzających Rosję cudzoziemców była znikoma. Dlatego zgodnie z przewidy-

waniami, lista, którą otrzymał, była krótka. To dobrze. Im mniej podejrzanych, tym łatwiejsze śledztwo.

Agent SD czuwał również przed ambasadą brytyjską, istniało więc duże prawdopodobieństwo, że uda im się namierzyć cel. Ostatecznie prędzej czy później każdy obcokrajowiec musi zajrzeć do swojej ambasady. I niemal wszyscy zagłądali.

Z budynku wyszedł mężczyzna w brązowym płaszczu. To on?

Kleist wstał, przeszedł na drugą stronę ulicy i szybko się z nim zrównał.

- Przepraszam - zaczął przyjaźnie. - Czy my się przypadkiem nie znamy?

Ale zanim tamten zdążył otworzyć usta, skrzypek wiedział już, że to pomyłka. Ta charakterystyczna mieszanka zapachów zwierzęcego tłuszczu bijąca z jego ubrania: wieprzowina, gęsiina, a do tego... papryka. Był Węgrem, co potwierdził jego akcent.

- Przykro mi, ale nie, chyba nie.

- Bardzo przepraszam - odrzekł Kleist. - Wziąłem pana za kogoś innego.

Rozdział 20

Początkowo nie rozpoznał grubej, zaniedbanej kobiety w przesłaniającej twarz *babuszcce*, która siedziała na ławce w ogrodach Pałacu Swierdłowskiego - tak dobrze się przebrała. Musiała pożyczyć kostium z teatru, bo skąd by wzięła te wszystkie wkładki i wypełniacze, które -strategicznie rozmieszczone na całym ciele - przekształciły szczupłą Lanę w typową pulchną Rosjankę w średnim wieku.

Ustaliwszy z bezpiecznej odległości, że to na pewno ona, przeszedł tuż koło ławki. Udała, że go nie rozpoznaje, nawet na niego nie spojrzała.

Wiedział, że mogą go obserwować; chociaż nigdzie nie widział ogona, musiał założyć, że gdzieś w pobliżu jak zwykle czyha blondyn z NKWD, ten o wyblakłych oczach. Być może się mylił, ale na wszelki wypadek zachował ostrożność.

Podczas rozmowy w stajni podał jej szczegółowe wskazówki co do miejsca i czasu ich przyszłych spotkań. Od tej pory, powiedział, będą musieli postępować, *po wsiem prawitam iskustwa*, zgodnie z wszelkimi prawidłami sztuki.

Przyjęła to zarówno ze strachem, jak i ulgą. Potajemność spotkań przerażała ją i cieszyła zarazem, gdyż stanowiła względnie dobrą gwarancję bezpieczeństwa dla niej i dla jej ojca. Gdy opowiadał o metodach, jakich będą musieli używać, jakby jej coś nagle zaświtało.

- Skąd ty o tym wszystkim wiesz? - spytała. - Skąd wiesz o tych *prawidłach iskustwa*? Jesteś biznesmenem, a mówisz jak szpieg.

Metcalfie obojętnie wzruszył ramionami z nadzieją, że robi to w miarę przekonująco.

- Oglądam dużo hollywoodzkich filmów, *Dusia*, przecież wiesz...

Kilkadziesiąt metrów za ławką zwolnił, jakby nie wiedział, dokąd iść i w tym samym momencie nadeszła Lana. Zmieniła nie tylko swój wygląd, ale i krok. Szła szybko, choć lekko utykała, jakby miała podagrę albo uraz biodra. Mijając go w wąskiej alejce, szepnęła:

- Aleja Wasiliewska, za ulicą Puszkina. - I pokuśtykała dalej.

Stephen rozejrzał się niepewnie, jakby szukał drogi i równym krokiem, trzymając się dwadzieścia pięć, trzydzieści metrów za nią, ruszył przed siebie. Zdumiewało go, że umiała się tak dobrze przebrać, że zmieniła nie tylko swój wygląd, ale i sposób chodzenia. Wyszedłszy z parku, z pełną rozdrażnienia nieustraszoną starszej pani przecięła ulicę Puszkina.

Corcoran powiedziałby pewnie, że „się oczyszczają”, sprawdzają, czy nie „wyrósł im ogon”. Widząc, że Lana skręca w małą Wasiliewska, skręcił za nią. Przystanęła przed drewnianymi drzwiami jakiejś kamienicy; na futrynie był rząd przycisków, a pod każdym mosiężna ramka z odręcznie wypisanym imieniem i nazwiskiem lokatora. Kamienica, stara i zapuszczona, nie miała holu. W środku zalały zepsutym mięsem i machorką. Schody były skrzypiące i wyłożone przetartą wykładziną.

Gdy weszli do ciasnego, ciemnego, zatęchłego mieszkania na pierwszym piętrze, natychmiast zarzuciła mu ręce na szyję. Jego dłonie nie rozpoznawały dziwnego kształtu jej ramion i pleców, lecz twarz wciąż miała oszałamiająco piękną, wargi ciepłe, zapraszające i podniecające.

Odsunęła się i powiedziała:

- Tu powinniśmy być bezpieczni.

- Kto tu mieszka?

- Pewna tancerka. A raczej była tancerka. Masza. Odrzuciła zaloty choreografa i jest teraz sprzątaczką w TASS, tak jak jej matka. Ma szczęście, że w ogóle coś znalazła.

- Są teraz w pracy?

Lana kiwnęła głową.

- Powiedziała jej, że kogoś poznałam. Ona wie, że gdyby potrzebowała mieszkania...

- Nazywają to chyba gniazdkiem miłosnym...

- Powiedział ekspert - dodała z udawaną zjadliwością w głosie.
Uśmiechnął się zażenowany.

- Bywasz tu z von Schusslerem?

- Ależ skąd. Von Schussler i taka nora? Coś ty. Zabiera mnie tylko do swego moskiewskiego mieszkania, nigdzie indziej.

- Ma tylko jedno mieszkanie?

- Nie, wynajmuje wielki dom w Kuncewie, który Rosjanie odebrali jakiemuś kupcowi. Niemcy mają tu jak u mamusi. Stalinowi musi bardzo zależeć na dobrych stosunkach z Hitlerem.

- Byłaś tam kiedyś?

- Stiwa, mówiłam ci, von Schussler nic dla mnie nie znaczy! Ja nim pogardzam!

- Nie pytam z zazdrości, Lano. Muszę wiedzieć, gdzie się spotykacie.
Zmrużyła oczy.

- Dlaczego? Po co ci to?

- Zaraz ci wyjaśnię.

- Nie, bywam tylko w jego moskiewskim mieszkaniu. Do Kuncewa mnie nie zaprasza.

- Dlaczego?

- To wielki, wspaniały dom ze służącymi, którzy znają jego rodzinę. Woli zachować dyskrecję. Jest żonaty - dodała z niesmakiem. - W Berlinie ma żonę i dzieci. Ja jestem tylko wstydliwym sekretem. Do Kuncewa jeździ w weekendy. Pisze pamiętniki. Jakby miał coś do zapamiętania, jakby był czymś więcej niż małym, wstrętnym karaluchem! Ale dlaczego o to pytasz? Dość, wystarczy. Dziś się z nim widzę i wolę o tym nie myśleć.

- Pytam, bo mam pewien pomysł. Pomysł, który może wam pomóc. - Słyszając swój własny głos, słyszając te słowa, poczuł do siebie obrzydzenie. Okłamywał ją. Wykorzystywał. Dokładniej mówiąc, manipulował nią, ale co to za różnica? Świadomość ta dobijała go i upodlała. - Czy von Schussler wypytuje cię o ojca?

- Bardzo rzadko. Tylko po to, żeby dać mi do zrozumienia, że wciąż pamięta. Że wciąż ma nade mną władzę. Jakby musiał mi o tym przypominać! Co za bydlę - rzuciła jadownicę. - Myśli, że zapomniałam? Że nie pamiętam o tym w każdej spędzonej z nim sekundzie? Że uwiódł mnie swoim czarem?

- A gdybyś tak mimochodem wspomniała, że ojciec został przeniesiony na nowe, ważne stanowisko w ministerstwie, że ma teraz dostęp do najtajniejszych dokumentów wojskowych. Myślisz, że by się zdziwił?

- Boże, po co miałabym coś takiego mówić?

- Żeby zaczął główkować.

- Aha, już rozumiem - rzuciła z ciężkim sarkazmem Lana. - Żeby kazał mi te dokumenty wykraść, tak?

- Właśnie.

- I żebym potem mu je dała, prawda?

- Otóż to. Ściśle tajne dokumenty wojskowe.

Ujęła jego twarz w dłonie, jakby był małym dzieckiem i się roześmiała.

- Cudowny pomysł, Stiwa. Potem wezmę megafon, wyjdę na plac Czerwony i powiem całej Moskwie, co myślę o Stalinie. Pójdiesz ze mną?

- Dokumenty będą oczywiście podrobione - ciągnął niezrażony Metcalfe.

- Aha. A niby kto mi je da?

- Ja.

Odsunęła się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Von Schussler skompromituje się, przekazując je do Berlina. - Sarkazm zniknął. Mó-

wiła teraz powoli i spokojnie.

- Tak. Z czasem tak.
- Zostanie odwołany i wreszcie się od niego uwolnię.
- Tak, ale przedtem wykorzystasz go, żeby ocalić swój kraj.
- Ocalić Rosję? Co ty pleciesz?

Metcalfe zdawał sobie sprawę, że gra z nią w niebezpieczną i nieuczciwą grę i czuł do siebie coraz większą odrazę. Mówiąc jej tylko część prawdy, okłamywał ją, wykorzystywał jej nienawiść do hitlerowców i do von Schusslera, jej miłość do Rosji i do niego.

- Nie ma takiego dokumentu, takiego paktu, którego Hitler nie podpisałby, żeby zrobić to, co uważa za najlepsze dla siebie i dla nazistów. Chce podbić cały świat, powtarza to od samego początku. Píše o tym w *Mein Kampf*, powraca do tego w każdym przemówieniu, we wszystkim, co mówi. Wcale tego nie ukrywa. Zaatakuję każdy kraj, który mu zagrozi, i zaatakuję jako pierwszy. Każdy kraj, Lano, Związek Radziecki też.

- To szaleństwo! Stalin nigdy nie zagroziłby Niemcom!

- Na pewno masz rację, ale istnieje tylko jeden sposób, żeby przekonać o tym Hitlera: trzeba dostarczyć mu odpowiednich informacji wywiadowczych. Nie uwierzy niczemu innemu. Rozumiesz? Za pośrednictwem von Schusslera przekażesz mu dokumenty, które przekonają go, że Związek Radziecki nie zagraża Niemcom. Jeśli uzna, że jest bezpieczny, będzie mniej agresywny.

- Stiwa, zawsze zastanawiałam się, ile z tego, co mi mówisz, jest prawdą. Doskonale znasz rosyjski, twierdzisz, że jesteś biznesmenem, że twoja matka jest Rosjanką...

- Bo jest. To prawda. I naprawdę jestem biznesmenem, może dość specyficznym, bo to rodzinny interes. Dlatego tu wtedy przyjechałem.

- Wtedy, ale nie teraz.

- Masz rację. Przyjechałem pomóc przyjaciołom.

- Z wywiadu.

- Coś w tym rodzaju.

- W takim razie to prawda, co piszą w „Prawdzie”. Wszyscy obcokrajowcy to szpiegzy!

- Nie, to tylko propaganda. Większość z obcokrajowców to po prostu obcokrajowcy. - Lekko się zawahał. - Nie, Lano, nie jestem szpiegiem.

- Aha. Robisz to z miłości.

Czyżby znowu usłyszał sarkazm w jej głosie? Spojrzał jej w oczy. -Z miłości do Rosji. I do ciebie.

- Masz Rosję we krwi, tak samo jak ja. Oboje ją kochamy.

-Tak, ale nie Związek Radziecki. Kocham Rosję i Rosjan. Kocham ich język, kulturę i sztukę. Kocham ciebie.

- Masz wiele miłości.

Czyżby dostrzegł w jej twarzy przebłysk zrozumienia? W pokoju było ciemno, nie miał co do tego pewności.

- Tak. - Przyciągnął ją do siebie, targany namiętnością i poczuciem winy. - Wiele. I tylko jedną. - Bardziej szczerzy być z nią nie mógł.

Leżeli na wąskim łóżku w mrocznym, obcym mieszkaniu. Oddychali coraz wolniej, coraz spokojniej. Jej spocone ramię spoczywało bezwładnie na jego równie spoconej piersi. Ona ukryła twarz w poduszce, on patrzył na spękany tynk na suficie. Seks przyniósł mu spełnienie, choć tylko fizyczne. Wciąż był spięty, może jeszcze bardziej niż przedtem, a poczucie winy przyprawiało go o mdłości i napełniało mu gardło goryczą. Lana jak zwykle kochała się z całkowitym oddaniem, z zamkniętymi oczami i z odrzuconą do tyłu głową. Zastanawiał się, czy dzięki niemu choć na chwilę zdołała zapomnieć o koszmarze codziennego życia. Nie

chciał robić ani mówić niczego, co zepsułoby jej spokój. Wystarczyło już samo to, że ją oszukiwał.

Kilka minut później odwróciła głowę. Ona też była spięta. Zdenerwowanie nie minęło.

- Stiwa, rozumiesz, co łączy mnie z moim... opiekunem?

- Tym z daczki? Z tym, który wszędzie za tobą chodzi?

- Tak.

- Chyba czujesz się przy nim swobodnie, tak myślę. Dlaczego? Coś przeoczyłem?

- Swobodnie... To tylko pozory, Stiwa. Ja się go boję, boję się tego, co może mi zrobić.

Czy ty rozumiesz, co oni mogą mi zrobić, jeśli uznają, że spotykam się z agentem amerykańskiego wywiadu?

- Wiem. - Czubkami palców dotknął jej zarumienionej twarzy, jej aksamitnej skóry.

- Chyba nie. Moskwa sprzed sześciu lat i Moskwa dzisiejsza to dwie różne Moskwy.

Nie wyobrażasz sobie tych straszliwych czystek. Nikt w to nie wierzył! Nikt, kto tu wtedy nie mieszkał, a nawet my, Rosjanie, nie mogliśmy uwierzyć w to, co się tu działo. I nadal nie wierzymy.

- Jeszcze się nie skończyły?

- Czystki? Nikt tego nie wie. Są jakby mniejsze niż dwa lata temu, ale nikt nie wie. To potworne, nie wiedzieć. Nie wiedzieć, czy do drzwi puka sąsiad, czy NKWD. Czy przez telefon znowu nie przekażą ci strasznej nowiny. Ludzie po prostu znikają. Ot tak, bez wytłumaczenia, bez żadnej przyczyny, a ich rodziny boją się o tym mówić. A jeśli kogoś zabrają, jeśli wyślą go do gułagu albo rozstrzelają, unika się jego bliskich. Ze strachu, bo mogą cię *zarazić*, bo tobie też może się to przytrafić. Aresztowanie w rodzinie jest jak tyfus, jak trąd. Lepiej trzymać się od nich z daleka. I ciągle powtarzają nam, żeby wystrzegać się obcokrajowców, bo wszyscy kapitaliści to szpiedzy. Mówiłam ci o tej tancerce, która zaprzyjaźniła się z Amerykaninem. Wiesz, co robi teraz ta piękna, utalentowana dziewczyna? Jest w obozie w Tomsku i codziennie wygrzebuje łomem zamrożone ekskrementy z wychodka.

- Niewinność to żadna obrona.

- Wiesz, co mówią władze, jeśli uda ci się z nimi porozmawiać? Mówią, że tak, oczywiście, będą niewinne ofiary, ale co z tego? Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Metcalf zamknął oczy, objął ją i przytulił.

- Nasz sąsiad miał żonę w ciąży. Aresztowali go, nikt nie wie za co. Zabrali go na Butyrki, oskarżyli o zdradę stanu i dali mu do podpisania dokument, w którym miał przyznać się do winy. Odmówił. Powiedział, że jest niewinny. Przyprawdzili jego żonę. Dwóch go przytrzymało, dwóch innych zaczęło ją bić i kopać. Krzyczała i krzyczała, a on krzyczał, żeby przestali, ale nie chcieli. - Lana z trudem przełknęła ślinę. Miała mokrą twarz, łzy spływały aż na poduszkę. - Urodziła. Tam, podczas tego bicia. Dziecko było martwe.

- Jezus, Lana, proszę...

- Tak więc, mój drogi Stiwa, jeśli zastanawiasz się, co mnie tak odmieniło, dlaczego jestem taka smutna, to teraz już wiesz. Kiedy ty jeździłeś po świecie i spotykałeś się z kobietami, ja żyłam tutaj, w moim świecie. Dlatego muszę być ostrożna.

- Zaopiekuję się tobą- wyszeptał. - Pomogę ci. - I pomyślał: Chryste, co ja jej robię?

Rozdział 21

- Maczku, mój Maczku - zagruchał pieszczotliwie von Schussler. - Chyba mnie nie słuchasz.

Gadał i gadał bez końca, jak to on, o kłopotach w ambasadzie, o kolegach, którzy nie doceniali jego błyskotliwych pomysłów, o sekretarce, która regularnie spóźniała się do pracy, zwalając winę na metro, chociaż mieszkała ledwie dwie ulice dalej. Jak zwykle była to nudna litania skarg i narzekań o wspólnym mianowniku: żaden z tych maluczkich, kolegów i zwierzchników, nie doceniał jego wielkości. Von Schussler nigdy nie zdradzał tajemnic zawodowych. Albo był przebieglejszy, niż Lana myślała, albo - co bardziej prawdopodobne - nigdy nie myślał o rzeczach, które nie miały nic wspólnego z jego wielkością.

- Zamyśliłam się - odrzekła. Leżeli na wielkim łożu z baldachimem; von Schussler kazał przysłać je sobie z Berlina. Teraz sączył koniak, pogryzał marcepana i gadał. Był w jedwabnym szlafroku i (kilka razy miała nieszczęście zerknąć i zobaczyć) nie miał nic pod spodem. Zapach jego ciała- niezbyt dbał o higienę osobistą- był odrażający. Ilekroć się z nim spotykała, zawsze czuła silny ucisk w żołądku, ale tego dnia było gorzej niż zwykle. Bała się chwili, gdy von Schussler zsunie szlafrok - czuła, że zaraz to zrobi - i rozpocznie się akt płciowy. „Akt”, pomyślała. Rzeczywiście. „Akt” jak w „aktorka”. Była tym bardziej zdenerwowana, że miała zadanie do wykonania.

- Pewnie ćwiczysz w myśli układy taneczne. - Von Schussler pogłaskał ją po głowie jak ulubionego pieska. - Ale pracę trzeba zostawiać w pracy, mój Maczku. Łóżko to święta rzecz. Nie powinniśmy kalać go myślą o pracy.

Kusiło ją, żeby spytać, dlaczego sam tego nie przestrzega, ale się powstrzymała.

- Nie, myślę o tacie - odparła. - Bardzo się o niego martwię.

- *Schatzi* - szepnął czule. - Przestań, mój mały Maczku. Ani jedno słowo z tych akt nie trafi do radzieckich władz. Czy ci tego nie obiecałem?

Pokręciła głową.

- Nie o to chodzi. Chodzi o jego nową pracę.

- Aha. - Von Schussler ułożył się wygodniej na stercie poduszek i natychmiast stracił zainteresowanie tematem. - No cóż. - Czekał, aż Lana zmieni temat, żeby znowu mógł ponarzekać na maluczkich z ambasady albo - co gorsza - żeby mógł zsunąć szlafrok.

- Przenieśli go na nowe stanowisko - nie ustępowała. - O wiele wyższe i ważniejsze.

Von Schussler pociągnął łyk koniaku i sięgnął po kolejnego marcepana.

- Chcesz, kochanie?

Pokręciła głową.

- Tato nadzoruje teraz wydatki Armii Czerwonej. Każą mu je sprawdzać. To okropne. Musi znać rozmieszczenie wszystkich oddziałów, koszty broni, absolutnie wszystko!

Znudzony von Schussler tylko mruknął.

- To ponad jego siły. Musi znać na pamięć całą strategię naszej armii!

W wodnistych oczach von Schusslera wreszcie pojawiło się coś na kształt zrozumienia. Czyżby widać w nich było również przebłysk świńskiej zachłanności?

- Naprawdę? W takim razie to rzeczywiście bardzo odpowiedzialna praca. Wielki awans. Musi być zadowolony.

Lana ciężko westchnęła.

- Te wszystkie dokumenty, które znosi do domu, te wszystkie papiery, które czyta do późnej nocy, te nieskończone kolumny liczb. Tyle a tyle czołgów, tyle a tyle samolotów, tyle a tyle okrętów, broni, żołnierzy... Biedaczek zapracuje się na śmierć!

- Widziałaś te dokumenty?
- Czy je widziałam? Walają się po całym domu, co krok się na nie natykam! Biedny tato. Jest żołnierzem, nie księgowym. Dlaczego mu to zrobili?
- Ale czytałaś je? - Von Schussler chciał, żeby zabrzmiało to obojętnie, lecz kiepski był z niego aktor. - Zrozumiałaś, co tam piszą?
- Rudi, te literki są tak małe, tak drobnutkie, że boją mnie oczy! Biedny ojciec. Musi pracować w okularach i ciągle boli go głowa.
- Hm, tyle dokumentów... - dumał na głos von Schussler. - W takiej ilości niełatwo się połapać, prawda? Czy twój ojciec jest człowiekiem... zorganizowanym?
- Zorganizowanym? Tato? - Lana parsknęła śmiechem. - Kiedy jeszcze dowodził, nie było oficera bardziej zorganizowanego niż on. Ale papierki? Dokumenty? To prawdziwa katastrofa! Ciągle narzeka, że nie może znaleźć jakiejś teczki, pyta, czy ją widziałam, gdzie ją położył...
- Myślisz, że zauważyłby, gdyby kilka z nich zginęło? - Trybiki w jego głowie zaczynały się powoli obracać: Lana niemal to widziała. - Ciekawe. Bardzo ciekawe... - Pomysł, co najważniejsze, jego własny pomysł, nareszcie zapuścił korzenie w jałowej glebie umysłu. Minęło kilka sekund, nim podjął decyzję. Nie będzie teraz drążył tematu. Zrobi to potem, gdy skończą się kochać. Założył, że wypieszczona i zaspokojona chętniej przystanie na jego śmiałą propozycję. Sięgnął do jedwabnego paska, którego węzeł spoczywał na jego wielkim brzuchu niczym kokarda na bombonierce, i pociągnął zań, odsłaniając zakamarki czarnego krocza, gdzie wśród płataniny włosów ukrywał się mikroskopijny penis. Lanę ścisnęło w żołądku.
Znowu położył pulchną rękę na jej głowie, jakby chciał ją pogłaskać, ale tym razem łagodnie i sugestywnie pchnął głowę w dół, w odpowiednim kierunku.
- *Schatzi* - wychrypiał. - Mój piękny Maczek...
Przez kilka sekund udawała, że nie rozumie, o co chodzi, wreszcie uległa nieuchronnemu. Musiała pamiętać, że wypełnia teraz misję ważniejszą niż jej samopoczucie, misję, która - jak wszystkie ważne zadania - od czasu do czasu łączy się z nieprzyjemnymi obowiązkami. Przysuwając się bliżej jego krocza, uśmiechnęła się z rozkoszą, podnieceniem i niecierpliwością. Miała tylko nadzieję, że uśmiech ten zamaskuje niewysłowione obrzydzenie, jakie do niego czuła.

Skrzypek wszedł do niemieckiego konsulatu przy ulicy Leontiewskiego numer 10 i podał swoje nazwisko. Gdy czekał na attache, recepcjonistka, tleniona blondynka z ciemnymi odrostami, posłała mu wstydlivy uśmiech. Myślała, że jest jeszcze atrakcyjna i niewykluczone, że była, ale parę dziesięcioleci wstecz. Kleis odpowiedział jej uśmiechem.

Generał broni Ernst Kostring - attache wojskowy Niemieckiej Ambasady w Moskwie - kierował całą działalnością szpiegowską w Związku Radzieckim - przynajmniej oficjalnie. Ale nie miał wolnej ręki, o nie. Odpowiadał przed zwierzchnikami z Abwehry, w tym przed szefem wszystkich szefów, admirałem Wilhelmem Franzem Canarisem.

Ale Kostring szpiegiem? Skrzypek uważał, że to dobry żart. Był ekspertem od spraw rosyjskich, ponieważ urodził się w Rosji i płynnie mówił po rosyjsku. Ale brakowało mu *Zivilkourage*. Słynał z bezmyślnych, nic niewnoszących depeesz. Przez lata narzekał, że nie jest w stanie zdobyć żadnych informacji, bo Rosjanie nie pozwalają mu podróżować po kraju bez eskorty NKWD. Jego raporty nie wносиły nic nowego, nie licząc danych, które można było zdobyć, czytając gazetę albo oglądając pochód pierwszomajowy na placu Czerwonym. Zresztą wszyscy wiedzieli, że Abwehra nie znosi tych z Sicherheitsdienst, prawdziwych szpiegów. Uważała, że jej zagrażają i że w oczach Hitlera ci z SD biją ich na łeb.

Ale Kostring znał życie. Wiedział, że skrzypek przyjechał do Moskwy z osobistym błogosławieństwem SS-Gruppenführera Heydricha i doskonale rozumiał, że Heydrich nie jest

kimś, z kim warto zadzierać. Gruppenfuhrer był inteligentny i okrutny. Hitler nazwał go kiedyś „człowiekiem o żelaznym sercu”, co było rzecz jasną najwyższą pochwałą. Wywiad polityczny z nimi rywalizował, lecz Kostring zdawał sobie sprawę, że trzeba z nim współpracować, że jeśli tego nie zrobi, będzie musiał stawić czoło gigantycznym kłopotom. Żądając rozmowy z attache wojskowym, skrzypek zagrał swoją najmocniejszą kartą. Miał zdobyć informacje i je zdobył. Bublik, do którego go odesłano, mógł iść do diabła. Kleist nie miał czasu dla tchórzliwych, pierdzących, pokrętnych miernot.

Wojskowy attache przyjął go uprzejmie. Szczupły i dystyngowany, miał sześćdziesiąt kilka lat. Był człowiekiem zajęтым i nie tracił czasu na rozmowy o niczym.

- Pański przyjazd bynajmniej mnie nie ucieszył. Jak pan wie, w sierpniu ubiegłego roku Fuhrer zabronił Abwehrze prowadzenia wrogiej działalności przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

- Nie jest to moim zamiarem - warknął skrzypek. Wstęp Kostringa bardzo mu się nie podobał.

- Admirał Canaris wydał jednoznaczny dyrektywę: nie wolno nam robić nic, co mogłoby urazić Rosjan. Ponieważ admirał wypełnia rozkaz Fuhrera, rozkaz ten dotyczy również mnie. Nasi szpiedzy tu nie działają. To proste.

Dopiero teraz Kleist zrozumiał, dlaczego zakłamaną urzędniczyną, z którą rozmawiał wcześniej, tak bardzo się bał. Prowadzenie tajnej działalności stało w sprzeczności z oficjalną polityką ambasady. Co za tchórze!

- Goethe napisał, że niewiedza bywa niebezpieczna - odparł. - Człowiek inteligentny na pewno potrafi ten zakaz obejść. Zwłaszcza człowiek tak inteligentny jak pan.

- Wprost przeciwnie. Przestrzegam litery prawa. Rozumiem, że przysłała tu pana sam Cap. - Kostring pozwolił sobie na krzywy uśmiech. Cap, *der Ziege*, tak nazywano Heydricha. Ten pogardliwy przydomek, który zawdzięczał go swemu piskliwemu głosowi, przylgnął do niego jeszcze na studiach. Heydrich dostawał szału, gdy go słyszał.

Ale Kleist się nie uśmiechnął. Wyrazem oczu dał mu do zrozumienia, że wcale go to nie rozbawiło.

Attache zrozumiał, że strzelił gafę. Że dowie się o tym Heydrich. Spiesznie naprawił błąd.

- Bardziej autorytatywny rozkaz mógłby wydać tylko sam Himmler.

Skrzypek bez słowa skinął głową.

- Nasi szefowie są dobrymi przyjaciółmi. Mieszkają po sąsiedzku, grają razem w krykieta. Heydrich uczy córkę Canarisa gry na skrzypcach. Podobno często muzykują. - Zdenerwowany milczeniem Kleista, Kostring oblizwał wargi. - Wygląda na to, że wy, ludzie z SD, wszyscy na czymś gracie.

- Po amatorsku - odparł skrzypek. - I nie wszyscy, ledwie kilku. Poproszę o listę.

Kostring otworzył szufladę, wyjął listę i podał ją Kleistowi. Zawierała dwadzieścia nazwisk wypisanych odręcznie przez kogoś, kto przywykł do cyrylicy. Skrzypek przebiegł je wzrokiem. Kilku wyższych urzędników Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych, kilku lewicujących artystów, murzyński śpiewak, dyrektor podrzędnego teatru. Paru przedstawicieli Towarzystwa Fabiańskiego z Anglii, paru biznesmenów. Obok każdego nazwiska widniała data przybycia, przewidywana data wyjazdu, numer paszportu oraz nazwa i adres hotelu, w którym gość się zatrzymał. Teoretycznie rzecz biorąc, każdy z tych ludzi mógł być agentem działającym w Moskwie pod przykrywką- mógł też być tym, za kogo się podawał. Wszystko jedno: trzeba obejść wymienione na liście hotele i sprawdzić. Na początek dobre i to.

Skrzypek wstał.

- Dziękuję za pomoc - rzucił krótko.

- Jeszcze jedno. - Attache wycelował w niego palec. - Nie zabijamy Rosjan. To zasada numer jeden.

Kleist uśmiechnął się blado. Oczy miał zimne jak lód.

- Nie mam zamiaru ich zabijać - odrzekł.

Gdy Metcalfe wszedł do holu, jeden z recepcjonistów zawołał:

- Pan Metcalfe? Bardzo przepraszam, ale mam dla pana pilną wiadomość. - Podał mu złożoną kartkę.

Od Rogera? - pomyślał Stephen. Od Hilliarda? Nie, ani jeden, ani drugi nie zostawiliby mu pilnej wiadomości w recepcji.

Poza tym napisano ją nie na firmowym papierze hotelowym, tylko na grubym papierze gazetowym. Na górze widniał nagłówek: Ludowy Komisariat Handlu Zagranicznego ZSRR.

Wiadomość była krótka, składała się tylko z kilku wystukanych na maszynie linijek.

Szanowny Panie!

Prosimy o przybycie do Ludowego Komisariatu Handlu Zagranicznego na pilne konsultacje z komisarzem Litwиковem. Pański kierowca otrzymał już stosowne polecenia.

I czyjś zamaszysty, sporządzony atramentem podpis. Litwиковa Stephen znał, wiele razy się z nim spotykał - to właśnie do niego oficjalnie przyjechał.

Spojrzał na zegarek. Było już późno, ale radzieccy urzędnicy pracowali w bardzo dziwnych godzinach.

Coś się szykowało, i to coś poważnego. Ale bez względu na to, co to było, nie mógł tego uniknąć.

Kierowca czekał w holu. Metcalfe podszedł do niego i powiedział:

- Dobra, Sierioża, w drogę.

Biurko Litwиковa było zastawione telefonami w różnych kolorach. W świecie radzieckiej biurokracji obowiązywała zasada, że im więcej telefonów na biurku, tym ważniejszy urzędnik. Metcalfe zastanawiał się, czy jeden z nich łączy bezpośrednio z sekretarzem generalnym, czy Litwиков ma aż taką władzę. Na ścianie za fotelem wisiały dwa portrety, Lenina i Stalina.

Gdy tylko sekretarz wprowadził go do gabinetu, Litwиков wstał. Wysoki i lekko pochylony, miał czarne, jakby wypastowane włosy, trupioblada cerę i krzaczaste brwi. Przez ostatnie dziesięć lat uporczywie piął się po szczeblach biurokratycznej kariery, by ze służalczego, lecz zawsze uprzejmego urzędnika zmienić się w udręczonego, zagonionego aparatczyka. Ale teraz Stephen odkrył w nim coś nowego: gniew, wzburzenie, gladiatorską wprost pewność siebie i... strach. Bardzo go to zaniepokoiło.

Litwиков podszedł do długiego stołu przykrytego zielonym filcem i zastawionego butelkami wody mineralnej, którą komisarz nigdy nikogo nie częstował. Usiadł u szczytu, z sekretarzem po prawej i Metcalfe'em po lewej stronie.

- Mamy problem - zaczął po angielsku z oksfordzkim akcentem.

- Ta kopalnia miedzi - wpadł mu w słowo Stephen. - Absolutnie się zgadzam. Długo rozmawiałem o tym z bratem i...

- Nie, nie chodzi o kopalnię. Otrzymałem raport na temat pańskiego niestosownego zachowania.

Metcalfe'owi szybciej zabiło serce. Kiwnął głową.

- Aleksandrze Dmitrowiczu - odrzekł jowialnie. - Jeśli wasi tajniacy interesują się moimi miłosnymi podbojami, to znaczy, że nie mają nic do roboty!

- Nie. - Litwиков wskazał plik żółtych papierów po prawej stronie. Ostemplowano je czerwoną pieczęcią z napisem TAJNE. Meldunki inwigilacyjne? Na pewno. - Z tych dokumen-

tów wynika coś innego. Coś, co stawia pod znakiem zapytania szczerść pańskich intencji i prawdziwość celu pańskiej wizyty w Moskwie. Uważnie pana obserwujemy.

- To oczywiste. Ale NKWD marnuje na mnie bardzo dużo siły roboczej. Niewinny człowiek nie ma nic do ukrycia.

- Ale pan zachowuje się jak człowiek, który coś ukrywa.

- Aleksandrze Dmitrowiczu, między ukrywaniem i dyskrecją jest duża różnica.

- Dyskrecją? - Komisarz uniósł brwi. W jego oczach czał się strach.

Metcalf wskazał dokumenty.

- Nie mam wątpliwości, że na podstawie tych pracowicie sporządzonych meldunków można odmalować portret kogoś, kogo czasem nazywamy playboyem. Dyletantem. Hulaką i rozpustnikiem. Wiem, jaką mam reputację. Chodzi za mną jak cień, chociaż próbuję ją naprawić.

Ale Litwиков nie był w ciemni bity.

- Nie, proszę pana - odparł. - To nie ma nic wspólnego z tym, że jest pan kobieciarzem. Proszę mi wierzyć, że...

- Niech pan nazywa to, jak pan chce, ale kiedy obcokrajowiec, w do datku kapitalista, zadaje się w Moskwie z Rosjanką, całe ryzyko ponosi ona, Rosjanka. Wie pan o tym równie dobrze jak ja. Jestem dyskretny i zawsze dbam o reputację swoich kochanek. Ale tutaj, w Związku Radzieckim, ryzyko, jakie podejmuje kobieta spotykająca się z cudzoziemcem, wykracza daleko poza zwykłą skazę na reputacji. Dlatego jeśli to, co robię, żeby nie narazić jej na nieprzyjemności, wydaje się podejrzanym agentom NKWD, niech tak będzie, proszę bardzo, to nie moja sprawa. Szczerze mówiąc, jestem z tego dumny. Niech dalej chodzą za mną krok w krok. - Przypomniały mu się słowa Kundrowa, opiekuna Lany. - Przecież to radziecki raj. Nie uchowa się tu żadna tajemnica, nie przed wami.

- Czy pracuje pan dla Niemców? - spytał nagle Litwиков.

A więc o to chodzi! - pomyślał Stephen. Kundrow widział, jak rozmawiali w daczce, on i von Schussler!

- A pan? - odparował.

Błada twarz Litwikowa poczerwieniała. Komisarz wbił wzrok w stół. Bawił się starym piórem. Zanurzał je w kałamarzu, chociaż nic nie pisał.

- Boicie się, że Niemcy wyprą was z rynku? - spytał po długiej chwili milczenia. - Że zamiast was, wybierzemy ich?

- Po co pan pyta? Sam pan powiedział, że wszystko widzicie i wiecie. Litwиков znowu zamilkł. Potem spojrzął na swego sekretarza i warknął:

- *Izwienitie.*

Sekretarz wyszedł.

- Za to, co teraz powiem - kontynuował Litwиков - mogliby mnie aresztować, a nawet rozstrzelać. Daję panu do ręki broń i mam nadzieję, że jej pan nie użyje. Chcę, żeby zrozumiał pan moją sytuację. Naszą sytuację. Kiedy ją pan zrozumie, być może chętniej będzie pan z nami współpracował. Ufam pańskiemu bratu, i to od dawna. Pana zbyt dobrze nie znam, ale wierzę, że pan też jest człowiekiem godnym zaufania czy dyskretnym, jak pan to ujął. Bo teraz nie chodzi już tylko o handel, ale i o życie mojej rodziny. Tak, mam rodzinę, żonę, syna i córkę. Rozumie pan?

- Ma pan moje słowo - zapewnił go Stephen.

Litwиков ponownie zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął mazać nim po arkuszu taniego papieru kancelaryjnego.

- Jak pan wie, w sierpniu, a więc nieco ponad rok temu, nasz rząd podpisał z Niemcami pakt o nieagresji. Dzień przed ogłoszeniem tego w gazetach „Prawda” opublikowała antyhitlerowski artykuł o prześladowaniach Polaków w Niemczech. Stalin i inni przywódcy od lat atakowali Hitlera i nazistów. W prasie roiło się od potwornych opowieści na ich temat. I na-

gle, pewnego sierpniowego dnia, wszystko ucichło. Koniec z napaściami na nazistów. Koniec z antyhitlerowskimi wystąpieniami. Wykonaliśmy zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Z gazet znikło słowo „fasyzm”. „Izwestia” i „Prawda” zaczęły cytować fragmenty przemówień Hitlera! Cytowały „Volkischer Beobachter”. - Mazał po papierze coraz szybciej i gwałtowniej, aż atramentowe linie zwały się ze sobą w wielki kleks. - Myśli pan, że nam, Rosjanom, jest łatwo? Że zapomnieliśmy już, co wypisywano o nazistowskich zbrodniach?

A co ze zbrodniami Stalina? - pomyślał Metcalfe. Co z milionami deportowanych, torturowanych i zamordowanych podczas czystek?

- Na pewno nie - odparł. - Chodzi o przetrwanie, prawda?

- Czy królik szuka schronienia u boku węża?

- Czy to znaczy, że Związek Radziecki jest królikiem?

- Proszę mnie dobrze zrozumieć. Jeżeli nas zaatakują, będziemy walczyć na śmierć i życie i zapewniam pana, że w czasie walki polegną nie tylko Rosjanie. Jeżeli nas napadną, będziemy bić się z zaciekłością, jakiej nie widział świat. Ale nie mamy żadnego interesu w tym, żeby napaść dać innym.

- Niech pan to powie Polakom - odparował Stephen. - Najechaliście Polskę w dniu podpisania paktu z Niemcami. A może się mylę? Niech pan to powie Finom...

- Nie mieliśmy wyboru! - rzucił gniewnie Litwиков. - To był środek zapobiegawczy, obrona własna.

- Rozumiem.

- Mój kraj nie ma przyjaciół. Rozumie pan? Jesteśmy odizolowani. A gdy podpisaliśmy pakt z Niemcami, okazało się, że Wielka Brytania czuje się zdradzona! Anglicy twierdzili, że się do nas „umizgiwali”, że chcieli sprzymierzyć się z nami przeciwko hitlerowcom. Ale jak się do nas „umizgiwali”? Jak nas kusili? Powiem panu jak. Oni i Francuzi przysłali do Leningu gradu delegację niskiego szczebla, emerytowanego brytyjskiego admirała i dziedzinniałego francuskiego generała. Płynęli okrętem dwa tygodnie! Zamiast ministrów spraw zagranicznych wydelegowali starych, emerytowanych oficerów. To był policzek dla całej Rosji. Nie, proszę pana, to nie była poważna próba wynegocjowania przymierza. Winston Churchill nas nienawidzi i nie robi z tego tajemnicy. Moskwa to po Waszyngtonie ich najważniejsza placówka dyplomatyczna i kogo przysłał tu jako ambasadora? Stafforda Crippsa, radykała, szeregowego deputowanego, socjalistę, który nie ma nic do powiedzenia w brytyjskim rządzie. Co mieliśmy o tym myśleć? Nie, nadawane przez nich sygnały były jasne i wyraźne: Wielka Brytania nie chce sojuszu ze Związkiem Radzieckim. - Pióro przebiło papier. Litwиков rzucił je na stół.

- Tak - zrozumiał Metcalfe. - Kreml rzeczywiście nie miał wyboru. A więc ten pakt z Hitlerem... Chce pan powiedzieć, że nie jest to szczerze partnerstwo? Że to tylko ceremonialny uścisk ręki, który ma utrzymać wroga na dystans? Litwиков wzruszył ramionami.

- Jestem członkiem Biura Politycznego, ale to nie znaczy, że mam dostęp do tego, co dzieje się na samej górze, na szczeblu decyzyjnym.

- Nie wie pan?

- Jak na playboya i biznesmena zadaje pan dziwne pytania.

- Obycie w sprawach politycznych leży w interesie każdego biznesmena. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

- Coś panu powiem i niech pan sam wyciągnie wnioski. Miesiąc temu hitlerowcy po cichu odebrali Rumunom kawał Rumunii i wcielili go do Węgier. Dowiedzieliśmy się o tym po fakcie.

- Rozłam między Hitlerem i Stalinem? - sondował Metcalfe.

- Nie ma żadnego rozłamu - odrzekł pospiesznie Litwиков. - Wróżymy z fusów, panie Metcalfe. Kto wie, co to znaczy? Ja wiem tylko tyle: Stalin liczy na długą przyjaźń z Hitlerem.

- Liczy czy ma nadzieję?
- Pierwszy raz odkąd zaczęli rozmawiać, na twarzy Litwickowa wykwitł lekki uśmiech, przebiegły uśmiezek starego, doświadczonego cynika.
- Mój angielski jest czasami nieprecyzyjny. Chciałem powiedzieć to drugie: ma nadzieję.
- Dziękuję za szczerość. Może pan liczyć na moją dyskrecję. - Wypowiadając się otwarcie i krytycznie na temat Kremla, komisarz narażał się na wielkie niebezpieczeństwo. Litwickow spoważniał.
- W takim razie powiem panu coś jeszcze. Niech pan potraktuje to jako przyjacielskie ostrzeżenie.
- Z naciskiem na „przyjacielskie” czy na „ostrzeżenie”?
- Sam pan zdecyduje. Niektórzy z moich kolegów od dawna mają podejrzenia co do waszej firmy. Podejrzewają, że Metcalfe Industries jest nie tylko kapitalistycznym kombinatem, co już samo w sobie stanowi powód do wzmożonej czujności z naszej strony. Podejrzewają, że pańska firma jest fasadą dla obcych interesów. - Litwickow przeszył go wzrokiem.
- Cóż, wy wiecie lepiej - odparł Stephen, wytrzymując jego przenikliwe spojrzenie.
- Wiem, że pan i pańska rodzina jesteście dobrze ustosunkowani w Waszyngtonie i w amerykańskich kręgach przemysłowych. Poza tym nie wiem prawie nic. Ostrzegłem już pańskiego brata, że w razie konieczności wasz majątek może zostać skonfiskowany.
- Skonfiskowany? - Stephen wiedział, co to znaczy, lecz chciał, żeby Litwickow wyjaśnił to precyzyjniej.
- Proszę nie udawać. Skonfiskowany i przejęty na własność państwa. Metcalfe szybko zamrugał, lecz nie odpowiedział.
- Być może dla pana to nieważne, ale zapewniam, że pański brat, z którym rozmawiałem kilka godzin temu, nie był tym zachwycony. Czy mówi coś panu nazwisko James Mel-lors?
- Nie. A powinno?
- A Harold Delaware? Albo Milton Eisenberg?
- Przykro mi, ale nie.
- Mnie też jest przykro, panie Metcalfe. To obywatele Stanów Zjednoczonych. Oskarżono ich o szpiegostwo i rozstrzelano. Nie zwolniono ich i nie wydalono z kraju. Myśli pan, że wasz rząd podniósł raban? Otóż nie, nie podniósł. Były ważniejsze problemy. Ważniejsze sprawy międzynarodowe. Rząd Stanów Zjednoczonych wiedział, że ludzie ci są winni. Wiedział, że możemy udowodnić to podpisanym przez nich oświadczeniem. Departament Stanu nie chciał, żeby dokumenty te ujrzały światło dzienne i nie zareagował. Towarzysz Stalin wyciągnął z tego oczywisty wniosek. Nie ma już eksterytorialności. Towarzysz Stalin nauczył się, że ręka wyciągnięta po pomoc do Ameryki wabi tylko wściekłe psy. Dlatego już jej nie wyciąga. Ręka zmieniła się w to. - Litwickow pokazał mu zaciśniętą pięść. - Pięć skolektywizowanych palców. Lenin nauczał, że jednostka się nie liczy, że liczy się tylko kolektyw.
- Tak - odrzekł Metcalfe. Serce waliło mu jak młotem. - A Stalin dopilnował, żeby jednostka całkowicie zniknęła: bardzo wiele jednostek.
- Litwickow wstał, trzęsąc się z gniewu.
- Na pańskim miejscu postarałbym się nie być jedną z nich!

Siedząc w małym parku naprzeciwko Metropolu, skrzypek obserwował hotel przez składaną lornetkę Zeissa. Z krótkiej, nic nie wnoszącej rozmowy z recepcjonistami wiedział, o której się zmieniają. I rzeczywiście: niedawno zastąpili ich nowi, a ci go nie znali.

Złożył i schował lornetkę, przeciął ulicę, wszedł do hotelu i nie zatrzymując się przy ladzie, skręcił na wyłożone dywanami schody. Sprawa była oczywista: kolejny zagraniczny

gość idzie do restauracji. Nikt go nie zatrzymał ani przy wejściu, ani w holu. Wyglądał jak obcokrajowiec i najwyraźniej szedł na obiad. Ostatecznie jadali tu niemal sami zagranicznicy.

Przystanął w progu dużej, przepychem urządzonej sali w stylu art nouveau, pełnej połączonych liści i kolumn, ozdobionej witrażowym sufitem i marmurową fontanną, z której tryskała woda. Rozejrzał się, jakby kogoś szukał, z uśmiechem skinął głową szefowi sali, po czym przestał zwracać na niego uwagę. Po chwili, nikogo nie znalazłszy, wszedł na schody. Na liście od attache figurowały nazwiska czterech gości tego hotelu. Nie musiał już pytać recepcjonisty. Znał numery ich pokojów.

Rozdział 22

Restauracja mieściła się przy ulicy Gorkiego, tuż za pocztą główną. Należała do nielicznych moskiewskich restauracji, gdzie można było porządnie zjeść, a on i Roger Martin tęsknili za dobrym jedzeniem. Umówili się o siódmej, na ulicy, przed wejściem.

Ale istniał też inny powód, dla którego Metcalfe wybrał Aragwi, powód o wiele ważniejszy. To właśnie tam, w toalecie restauracji, miał spotkać się z Amosem Hilliardem. Po wpadce z czarnym kanałem Hilliard uznał, że ambasada jest spalona. Poza tym Aragwi była świetnym punktem kontaktowym. Zawsze panował tam tłok, zawsze roiło się od obcokrajowców. Miała kilka wyjść, dzięki czemu w razie potrzeby Amos mógł niepostrzeżenie zniknąć. Co więcej, Hilliard znał jej kierownika. „Nie wiem, ile zostawiłem tam szmalu - powiedział. - Straciłem rachubę. Kto nie smaruje, ten nie je”.

Roger się spóźniał. Zazwyczaj był punktualny, ale już od pierwszego dnia pobytu narzekał, że poruszanie się po Moskwie i załatwianie spraw przysparza mu dużo trudności. Tu jest dużo gorzej niż w okupowanej Francji, jęczał. Tam przynajmniej znał język.

Dlatego Metcalfe nie zaniepokoił się zbyt, że mimo piętnastominutowego spóźnienia Martin wciąż nie nadchodził. Tymczasem kolejka przed restauracją rosła i rosła. Stephen stanął na końcu, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, ale nie, teren był czysty.

Doszedł do wniosku, że nie ma sensu czekać dłużej. O ósmej miał spotkanie z Hilliardem, to było najważniejsze; Roger na pewno domyśli się, że jest już w restauracji. Ponieważ jako obcokrajowiec mógł wejść bez kolejki, ruszył przed siebie, mijając po drodze długi sznur Rosjan, którzy łypali spode łba na jego ubranie. Jakiś człowiek wystawił głowę zza drzwi i o nic nie pytając, wpuścił go do środka. Stephen nie musiał nawet okazywać paszportu, wystarczyło, że wsunął dwadzieścia dolarów do ręki szefa sali, długowłosego cudaka w długim surducie z galonami i w szpiczastych butach; na szyi miał monokl na czarnej aksamitce.

Cudak zaprowadził go do stolika na balkonie z widokiem na salę. Orkiestra grała gruzińskie pieśni miłosne. Podano mu wiejski chleb, smaczne masło i szary kawior. Metcalfe łączywie jadł i wypił kilka szklanek borzomi, silnie gazowanej, siarczanej wody mineralnej rodem z Gruzji. Gdy szef sali podszedł do niego po raz trzeci, chcąc przyjąć zamówienie - Amerykanin dał mu suty napiwek, w dodatku w dolarach, a nie w bezwartościowych rublach - Stephen postanowił zamówić i dla siebie, i dla Rogera. Roger. Musiało zatrzymać go coś ważnego. Gdy wreszcie nadejdzie - bo nadejdzie na pewno - żeby pochwalić się jakimś wyczynem, na stole już będzie czekało jedzenie. Zamówił więcej, niż mogliby zjeść: *sacwi*, szaszłyki i bażanta.

Orkiestra zagrała gruzińską pieśń *Suliko*, którą pamiętał z poprzedniej wizyty w Rosji. Zawsze kojarzyła mu się z Laną, podobnie jak Moskwa, więc zalała go fala wspomnień. Nie mógł się przed nimi obronić, tak samo jak nie mógł myśleć o niej bez straszliwego poczucia winy. Oszukał ją, wmanipulował, zmusił do zrobienia czegoś, co groziło śmiercią. Zuchwałość planu Corcorana zapierała dech w piersi i plan ten mogła zrealizować tylko ona, Lana. Jeśli wszystko wypali, zmienią losy wojny. Co więcej, zmienią bieg historii. Cóż znaczy jednostka w porównaniu z przyszłością całego świata? Ale nie, nie umiał tak myśleć - takie myślenie wiodło prosto do tyranii. Właśnie w to wierzyli Hitler i Stalin: masy są ważniejsze niż prawa jednostki.

Poza tym kochał ją. Po prostu i zwyczajnie. Kochał tę kobietę, współczuł jej, potwornie żałował, że los rozdał jej takie karty. Chciał wierzyć, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ona i jej ojciec będą wolni. Lecz wiedział też, na jak wielkie ryzyko ją naraża. Mogła

wpaść, a gdyby wpadła, zostałaby stracona. Myśl ta była tak straszna, że czym prędzej ją od siebie odpędził.

Spojrzał na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że jest już za dwie ósma. Wstał i poszedł do toalety.

Amos Hilliard już tam był. Mył ręce nad umywalką.

Metcalfe już miał do niego zagadać, gdy Amos przytknął palec do ust i wskazał jedną z zamkniętych kabin. Spod drzwi wystawały rosyjskie buty, na butach spoczywały spuszczone spodnie, też rosyjskie. Przez chwilę Stephen nie wiedział, co zrobić; ani on, ani Hilliard nie byli przygotowani na taką ewentualność. Podszedł do pisuaru i rozpiął rozporek. Hilliard wciąż mył ręce i obserwował kabinę w lustrze.

Metcalfe spuścił wodę. Rosjanin nie wychodził. Przypadek? Zbieg okoliczności? Prawdopodobnie tak. Stanął przy umywalce tuż obok umywalki Amosa, który już po raz piąty namydlał ręce, zerknął w lustro i posłał mu pytające spojrzenie.

Hilliard wzruszył ramionami. Stali tam i pracowicie myli ręce. Czekali. Stephenowi serce waliło jak młotem. Gdyby aresztowano ich w tym momencie, wpadliby w poważne tarapaty.

Wiedział, że Amos ma przy sobie dokumenty podrobione przez specjalistów Corcorana i przywiezione do Moskwy pocztą dyplomatyczną. Gdyby znaleźli je ci z NKWD, obydwaj trafiliby do gułagu, jeśli nie przed pluton egzekucyjny. Nic dziwnego, że Hilliard był taki spięty i posepny. Wiedział, co ryzykuje.

Wreszcie zaszumiała woda i Rosjanin wyszedł z kabiny. Spojrzał na zajęte umywalki, łypnął na nich spode łba i ruszył do wyjścia. Amos podbiegł do drzwi i trzasnął zasuwką.

Szybko sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął szczelnie zapakowaną paczuszkę i dał ją Stephenowi.

- Pierwszy zestaw - szepnął. - Reszta wkrótce.

- Dzięki.

- Dobre wychowanie nakazywałoby odpowiedzieć: „Nie ma za co” czy „Proszę bardzo”, ale nie chcę kłamać. Przyszedłem tu tylko na rozkaz Corcorana. Gdyby prosił mnie o to ktoś inny, kazałbym mu się wypchać. Nie wiem, co to za papiery - koperta jest zapieczętowana - ale nie mogę doczekać się chwili, kiedy wyjedzie pan z Moskwy.

- Ja też.

- Dobra, niech pan posłucha, zanim wpadnie tu kolejny pijak z rozdętym pęcherzem. To nasze ostatnie spotkanie. Od tej pory używamy tylko skrzynek kontaktowych.

- Dobrze. - Tak będzie bezpieczniej, pomyślał Stephen.

- Corky mówi, że ma pan świetną pamięć. To niech pan zapamięta. Żadnych notatek. Jasne?

- Jasne.

Strach i przygnębienie bardzo Amosa odmieniły. Na pierwszy rzut oka wciąż był drobnym, delikatnym, łysiejącym mężczyzną w okularach, ale jego ujmująca szczerłość, bezpośredniość i czar znikły. Hilliard zhardział. Był teraz zły i zaleźniony i owa przemiana bardzo Stephena zaniepokoiła.

- Na rogu Puszkina niedaleko teatru Chudożestwiennyj sąsiadują ze sobą dwa sklepy. Jeden to sklep numer 19: ma szyld z napisem *МЯСО*, mięso.

- Dzięki - rzucił z sarkazmem Metcalfe. Hilliard musiał wiedzieć, że zna rosyjski.

- Drugi to *Женская Обув'*. - Tym razem Amos nie przetłumaczył; Stephen bez słowa kiwnął głową. - Wejście do budynku między sklepami jest niestrzeżone i otwarte przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Po prawej stronie zobaczy pan kaloryfer, przymocowany do ściany metalową kłamrą. Między ścianą i kaloryferem jest wąska szpara. W szparze znajdzie pan drugi zestaw dokumentów.

- Kiepski pomysł - odrzekł Metcalfe. - Mogą zapalić się od grzejnika.

Hilliard aż się skrzywił.

- Na miłość boską, to jest Moskwa! Dwie trzecie kaloryferów w ogóle nie działa, a ten na pewno. A ponieważ jesteśmy w Moskwie, nie naprawią go jeszcze przez pięć lat!

- Sygnał i hasło?

- Jeśli będę w ambasadzie, a nie zawsze tam jestem, zadzwoni pan do mnie w sprawie zgubionego paszportu. Odpowiem, że to pomyłka, że się tym nie zajmuję. Jeśli przesyłka będzie na miejscu, każe panu zadzwonić do wydziału konsularnego. Jeśli nie, po prostu odłożę słuchawkę.

- A jeśli pana nie zastanę?

- Pójdzie pan na Kozicki Piereułek i znajdzie pan tam telefon. Kozicki Piereułek numer dwa, wejście siódme, między Gorkiego i Puszkina. Za pamiętał pan?

Metcalfę skinął głową.

- Kozicki Piereułek numer 2, wejście siódme. To niedaleko restauracji Jelisiewskiego.

- Polecę pana tym z Baedekera, kiedy będą robić Moskwę – rzucił uszczypliwie Hilliard. - Wejście siódme jest między drzwiami do polikliniki numer 18 i warzywniakiem. Nawiasem mówiąc, to tylko cztery ulice od skrzynki kontaktowej za kaloryferem. Kiedy wejdzie pan do budynku, po lewej stronie zobaczy pan ścienny telefon na drewnianej tablicy. Jest oznaczony numerem 746, innego aparatu tam nie ma. Z prawego dolnego rogu tablicy odpadł fornir. Czekając i rozmawiając, ludzie mażą w tym miejscu ołówkiem, wydrapują numery, wypisują różne bzdury, więc nasze znaki nie rzucają się w oczy. Kiedy dokumenty będą w skrzynce, narysuję tam czerwone kółko. Czerwone kółko, jasne?

- Jasne.

- Zabierając przesyłkę, narysuje pan w kółku pionową linię. Pionową, rozumiemy się?

- Całkowicie. Telefon jest dostępny przez całą dobę?

- Przez całą.

- Dodatkowe środki bezpieczeństwa? Jakies zmyłki, fałszywki? - Zostawiając wiadomość w skrzynce kontaktowej, agenci często stosowali różnego rodzaju wybiegi, które miały zmylić obserwującego ich przeciwnika.

- To już moja sprawa.

- Moja też. Chodzi o bezpieczeństwo operacyjne.

Hilliard tylko przeszył go spojrzeniem.

- Sygnał ostrzegawczy?

Amos wciąż milczał.

- Nic? A jeśli pan wpadnie? Jeśli skrzynka będzie spalona?

- Jeśli wpadnę, nie zobaczy pan czerwonego kółka, to proste. I już się do pana nie odezwę. Ani do pana, ani do Corcorana, ani do znajomych w Iowie czy w Waszyngtonie, bo będę wymachiwał kilofem w kamieniołomach na Syberii albo leżał gdzieś z kulawą łbie. Rozumiemy się? Dlatego niech pan coś dla nas zrobi, dla siebie i dla mnie: niech pan dobrze sprawdzi, czy nikt za panem nie idzie. Niech pan nie zawali.

Odwrócił się, bez słowa trzasnął zasuwką i wyszedł.

Stół był już zastawiony, ale Roger jeszcze nie przyszedł. Dziwne. Na półmiskach leżały jagnięce szaszłyki, wołowe *czaszuszuli*, klopsiki *kin-kali*, aromatycznie pachniała potrawka z bażanta zwana *czachochbili*. Do tego dwie butelki tsinandali, przedniego gruzińskiego wina w słomkowym kolorze, i kilka butelek wody mineralnej. Ale Stephen nagle stracił apetyt. Wsunął pod talerz plik banknotów i ruszył do wyjścia, ścigany przez szefa sali, który truchtał za nim, pytając, co się stało. Metcalfe dał mu kolejną dwudziestkę i rzucił:

- Chyba najadłem się chlebem.

Wracał do Metropolu. Ci z NKWD musieli go śledzić, to oczywiste, ale ich nie rozpoznał; tych starych musieli zastąpić nowi, a blondyna o wyblakłych oczach wśród nich nie było. Przynajmniej na pierwszy rzut oka, ale mógł go obserwować z ukrycia. Owinięte w celofan dokumenty miał w kieszeni na piersi i czuł, jak go tam palą. Próbował nie myśleć, co by się stało, gdyby go teraz zatrzymano. Wojskowe dokumenty - fałszywe dokumenty! Nigdy by się z tego nie wytłumaczył.

Recepcjoniści go nie zatrzymali; Roger nie zostawił dla niego żadnej wiadomości. Zaniepokoilo go to, ale tylko trochę. Martin był zawodowcem, potrafił o siebie zadbać i na pewno nie zniknął bez żadnej przyczyny. Martwił się o Lanę, bo Lana zawodowcem nie była i łatwo mogła wpaść.

Dieżurnaja na jego piętrze, megiera, której dotąd nie widział, pozdrowiła go zrzędliwie, ale nie chciała dać mu klucza.

- Przecież już pan brał - mruknęła oskarżycielsko.

- Nie - odrzekł Metcalfe. - To jakaś pomyłka. - Chyba, że z jakiegoś powodu klucz wziął Roger: może chciał zostawić mu coś w pokoju, wiadomość albo...

Nadajnik! Pracował cały dzień nad nowym nadajnikiem. Pewnie skompletował części, poskładał je do kupy i chciał mu zrobić niespodziankę. No jasne. Nie zostawiłby nadajnika bez nadzoru.

Ale pokój był zamknięty, a na pukanie nikt nie odpowiadał. W pokoju Rogera też nie. Stephen wrócił do *dieżurnoj*.

- Mój pokój jest zamknięty - zaczął groźnie. Groźnie i z góry: to był najlepszy sposób. Na wyniosłość odpowiadać wyniosłością. - Poproszę o klucz. Jeśli wydała go pani komuś innemu, zrobię wszystko, żeby straciła pani pracę. No więc? Wydawała pani klucz?

Dieżurnaja zatkała. W Sowieckiej Rosji najważniejszy był *pariadok*, a ona bezwzględnie go przestrzegała, zawsze i wszędzie. Wydając klucz nie temu, komu trzeba, *pariadok* ów naruszyła. Naburmuszona dała mu zapasowy.

- Tylko niech pan zwróci! - zawołała.

Klucz mógł wziąć każdy, to oczywiste: NKWD - chociaż ci mieli na pewno swój własny, uniwersalny - albo nawet ktoś z ambasady amerykańskiej. Stanął przed drzwiami i dopiero teraz przypomniały mu się słowa Teda Bishopa.

„Tak na oko to był z SD. Z Sicherheitsdienst, tajnej policji SS, ichniego wywiadu politycznego... Powiedział, że szuka kogoś na prośbę starego przyjaciela. I że nie pamięta jego nazwiska, to znaczy, nazwiska tego kogoś. Wie tylko, że przyjechał z Paryża... I muszę ci powiedzieć, że jego opowiadka leciutko zalatywała zgniłą rybą...”

„Tak na oko to był z SD”. Niemiec. Z Sicherheitsdienst. Szukał kogoś z Paryża.

Chryste, jatka w Paryżu była dopiero początkiem. Sieć Corcorana została rozpracowana. Jakimś cudem wysledzili go i przyjechali za nim aż tutaj, do Moskwy.

To, co spotkało jego przyjaciół z Jaskini, mogło spotkać i jego.

W pokoju ktoś na niego czekał. Stephen był tego pewien.

Ktoś chciał dokończyć to, co rozpoczął w Paryżu. Ktoś chciał go zabić.

Uświadomił sobie, że to pułapka, pułapka, w którą nie zamierzał wpaść. Nie, nie mógł tam wejść, wykluczone. Na dół, do holu. Tak, zapasowym wyjściem, żeby nie spotkać tej naburmuszonej baby i nie tracić czasu na bezsensowne wyjaśnienia. Zbiegł schodami, pokonując po dwa stopnie naraz. Przeciął hol i z gniewną miną stanął przed ladą.

- Cholera jasna! - wykrzyknął. - Ten klucz nie pasuje!

- Czy na pewno ma pan właściwy? - Recepcjonista obejrzał go dokładnie, ale pomyłka nie wchodziła w grę: na przywieszce widniał numer pokoju Metcalfe'a.

- Trzeba przekreślić w lewo, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara...

- Przecież wiem, za kogo mnie pan ma? Klucz nie pasuje. Może pan tam kogoś wysłać? Spiesz mi się.

Recepcjonista uderzył w dzwonek i z przechowalni bagażu wyszedł boy. Szybka wymiana zdań po rosyjsku i chłopak, nastolatek, podszedł do Stephena. Ukłonił się nieśmiało, wziął klucz i ruszył do windy. Metcalfe za nim. Winda, trzecie piętro, znowu *dieżurnaja*, która bez słowa wytrzeszczyła oczy, korytarz, wreszcie drzwi.

- To tu? - spytał boy.

- Tak. Spróbuj. Ja nie miałem szczęścia. - Stephen cofnął się o krok i stanął za nim. Gdyby w pokoju ktoś czyhał i chciał go zabić z broni palnej, słysząc głos chłopaka, pewnie by nie wystrzelił. Nie zrobiłby tego nie ze względów humanitarnych - odebrania życia niewinnej ofierze - tylko z jak najbardziej praktycznych. Niepotrzebny rozlew krwi był dla profesjonalisty prawdziwym przekleństwem, gdyż nieuchronnie stwarzał więcej problemów, niż ich rozwiązywał. Młody boy był dla Metcalfe'a tarczą.

Chłopak włożył klucz do zamka. Stephen cofnął się jeszcze dalej, schodząc tamtemu z linii wzroku, tym samym z linii strzału. Napiął mięśnie, gotów w każdej chwili skoczyć w bok i uciec.

Boy przekręcił klucz. Skonsternowany spojrzał na Metcalfe'a i otworzył ciężkie drzwi. Stephen czuł, jak wali mu serce.

- W porządku? - spytał chłopak. Zawahał się, zerkając to na niego, to na drzwi. Najwyraźniej czekał na napiwek, wbrew oficjalnym zaleceniom, według których był to wstrętny kapitalistyczny wymysł.

- Dziękuję - odrzekł Metcalfe. - Nie wiem, dlaczego nie mogłem go przekręcić. - Wyjął z kieszeni pięć dolarów, podszedł bliżej, wylewnie poklepał boya po ramieniu, stanął za nim i zajrzał do pokoju.

Nikogo. Pokój był pusty.

Łazienka!

Drzwi do łazienki były prawie zamknięte, a przecież zostawił je szeroko otwarte. Oczywiście to nic nie znaczyło, gdyż podczas jego nieobecności sprzątała tu sprzątaczką, a sprzątaczką na pewno by tam zajrzała.

- Wiesz co? - rzucił. - Skoro już tu jesteś, pomożesz mi przenieść coś ciężkiego, dobra? Kręgosłup mi siada.

Boy wzruszył ramionami. Czemu nie?

- Zostawiłem walizkę w łazience. Wnieś ją do pokoju i dostaniesz jeszcze piątkę. - Podał mu banknot. Dla młodego boya był to olbrzymi napiwek, a perspektywa jeszcze większego była nie do odparcia. Wszedł do środka. Stephen tuż za nim.

Boy przystanął w progu łazienki, zajrzał do środka i...

- Ale... ale tu nie ma żadnej...

- Nie ma? Pewnie sprzątaczką ją przestawiła. Bardzo cię przepraszam. Lecz chłopak nagle znieruchomiał, zamarł, wytrzeszczył oczy. Zrobił krok do przodu i przeraźliwie krzyknął:

- *Boże moj! Boże moj!*

Metcalfe wpadł do łazienki i wszystko zrozumiał.

Z wanny zwisała głowa. Twarz była tak sina, tak napuchnięta, oczy tak wybałuszone, język tak mocno wysunięty, że Stephen początkowo jej nie rozpoznał.

Z głuchym jękiem dopadł wanny, dotknął mokrej, zimnej skóry i wiedział już, że Roger nie żyje, że nie żyje już od kilku godzin. I ta potworna, ta głęboka pręga na szyi, która omal nie przecięła mu gardła. Metcalfe dobrze ją znał.

Identyczną widział przed kilkoma dniami w Paryżu.

Rozdział 23

Boy wyszedł tyłem z łazienki. Ruchy miał gwałtowne, mechaniczne, nieskoordynowane. Przestał już krzyczeć, lecz wciąż był spanikowany.

Metcalfe ledwo to zauważył. Nie mógł otrząsnąć się z szoku.

- Boże - szepnął. Widział prawdziwy horror, groteskę, obraz nie do zniesienia.

Paryż. Znowu Paryż.

Zamordowali Rogera.

Teraz nie miał już wyboru, teraz nie miał się już nad czym zastanawiać. Musiał uciekać, zanim chłopak wezwie pomoc, zanim rosyjskie władze -czytaj: NKWD - aresztują go, zamkną i zaczną przesłuchiwać. Nawet będąc w tym stanie, wyraźnie widział cały łańcuszek następstw. Znajdą podrobione dokumenty, albo przy nim, albo tam, gdzie by je ukrył, i nie wytłumaczy się z nich do końca swych dni.

Wiedział też, że żadne wytłumaczenie nie usatysfakcjonuje jego.

Wyjaśnienia i zrozumienie tej potworności będą musiały poczekać. Metcalfe szybko wrzucił trochę ubrań do tekturowej walizki, którą przyniósł do hotelu poprzedniego dnia. Potem wybiegł z pokoju.

Bez nadajnika nie mógł w żaden sposób skontaktować się z Corcoranem, a przynajmniej nie szybko. Mógł jedynie poprosić Hilliarda, żeby ten wysłał do niego depezę zakodowaną najnowszymi, najbardziej tajnymi szyframi. Hilliard na pewno to zrobi, choć niechętnie.

Tak czy inaczej, musiał, po prostu musiał nawiązać kontakt z Corkym. Wyłom w spenetrowanej siatce sięgał aż do Moskwy, był alarmująco głęboki.

Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl. Próbował wmówić sobie, że ma urojenia, że to wytwór wyobraźni schorowanej po bestialskim morderstwie starego, bliskiego przyjaciela. Ale czuł to w dołku, nie mógł się od tego opędzić!

Amos Hilliard?

Czy to możliwe, żeby jeden z najbardziej zaufanych agentów Corky'ego szpiegował dla Niemców albo dla Rosjan? Przypomniały mu się jego słowa: „Niech pan z nikim tu nie rozmawia. I nikomu nie ufa. To szczyrze gniazdo”.

Czyżby mówił o sobie? Bo kto jeszcze wiedział, co Stephen robi w Moskwie? Gdyby Hilliard grał na dwie strony, oskarżając o to samo kolegów z ambasady, wystarczyłoby tylko, żeby dał cynk...

Metcalfe pokręcił głową. Nie, nie, to absurd, wszędzie widział fałsz i obłudę. Kiedy człowiek zaczyna tak myśleć, ogarnia go paraliż, staje się kaleką.

Mimo to koszarnej rzeczywistości nie dało się zaprzeczyć: każąc Rogerowi wieźć się do Moskwy, po prostu go zamordował - równie dobrze mógłby zabić go własnymi rękami. To, że uduszono go w jego pokoju, oznaczało, że prawdziwym celem ataku był on, Stephen. Chcieli go zabić. Dowiedzieli się, gdzie mieszka i założyli, że przebywający w pokoju mężczyzna jest Metcalfe'em. Dlaczego Roger tam był, to kolejna tajemnica. Jeśli zmontował nadajnik i chciał mu zrobić niespodziankę albo ukryć sprzęt w jego pokoju, w takim razie gdzie się ten sprzęt podział?

A jeśli sieć Corcorana została spenetrowana, jeśli ją właśnie likwidowano - agenta po agencie, najpierw w Paryżu, teraz tu, w Moskwie -niebezpieczeństwo groziło nie tylko jemu, Metcalfe'owi.

Groziło również Lanie.

Im częściej się z nią spotykał, tym wyraźniejszym, tym oczywistszym stawała się celem. A gdy przekaże jej podrobione dokumenty, ona też -zupełnie nieświadomie - stanie się oczkiem sieci Corky'ego. Była teraz potencjalną ofiarą, tak samo jak ofiarami byli Roger i agenci z paryskiej stacji.

Ohydne jest już samo to, że ją wykorzystuję, myślał. Ale narażać ją na śmierć? Nie pisała się na to. Ja robię to dobrowolnie, na ochotnika, ja wiem, czym to grozi. Ona nie.

Ale na odwrót było za późno. Lana zarzuciła już przynętę.

Musiał ją chronić i nie mógł widywać się z nią publicznie. Ich dotychczasowe spotkania można było wytłumaczyć zauroczeniem bogatego playboya, chęcią odnowienia dawnego romansu. Spotykając się w mieszkaniu jej przyjaciółki, zastosowali nadzwyczajne środki ostrożności. I środki te musieli stosować nadal, a nawet jeszcze bardziej je wzmocnić.

Teraz jednak musiał wykorzystać każdy znany mu sposób, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Wyszedł z hotelu tylnymi drzwiami, których nigdy dotąd nie używał, dzięki czemu uciekł „harcerzykom”, enkawudzistom z holu. Ale gdzieś tam byli inni, a wśród nich blondyn o wyblakłych oczach, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiał się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach i chwilach. Dlatego Stephen musiał wzmóc czujność. Tamci nie mogli, po prostu nie mogli siedzieć mu na karku.

Postanowił zrobić wszystko, żeby temu zapobiec.

Na wschodnim krańcu placu Czerwonego stał olbrzymi, długi na sto metrów gmach o marmurowo-granitowej fasadzie. Był to Gosudarstwiennyj Uniwersalnyj Magazin: GUM, Państwowy Dom Towarowy, największy sklep w Moskwie. Miał trzy piętra i w środku wyglądał jak londyńska czy paryska stacja kolejowa z przełomu wieków. Zawsze kłębił się tam tłum kupujących, lecz wbrew jego ekstrawaganckiemu wystrojowi i architekturze, było tam bardzo mało półek i stoisk, w dodatku prawie pustych.

Wieczny tłok, niezliczone zakątki, zakamarki, schody, korytarze i przejścia tworzyły labirynt, w którym mógł łatwo zniknąć i zgubić śledzących go agentów. Z tekturową walizką w ręku chodził od działu do działu, oglądając perfumy, płyty gramofonowe, tandetną biżuterię i wiejskie szale. Ze wszystkich stron otaczał go rozedrgany tłum, który wchłaniał go i ukrywał, uniemożliwiając pracę tym z NKWD. Ale nawet gdyby cały czas mieli go na oku, w tym, że amerykański biznesmen odwiedza najstojniejszy sklep w Moskwie, nie było nic podejrzanego. A że przyszedł tu z walizką? Pewnie miał w niej jakieś dokumenty, i tyle. Wraz z tłumem innych wszedł żelaznymi schodami na pierwsze piętro, skąd miał lepszy widok na stłoczonych na dole ludzi. Tak, teren był chyba czysty.

Zauważywszy narożny sklep z dwoma wejściami, wszedł tam i z wielkim zainteresowaniem zaczął oglądać ślicznie malowane drewniane matrioszki. Lalka w lalce: po zdjęciu górnej połowy tej pierwszej, zewnętrznej, w środku ukazywała się druga, nieco mniejsza, a w niej tkwiła kolejna, tak że w sumie było ich aż sześć. Stanowiły piękny przykład rosyjskiej sztuki ludowej i pomyślał, że matrioszka na pewno spodoba się Lanie. Poza tym musiał coś kupić, gdyż pod takim pretekstem tu przyszedł. Stojąc w kolejce do kasy, potem w kolejce po odbiór towaru - radziecka biurokracja dotarła nawet do moskiewskich sklepów! - obojętnie rozglądał się wokoło. Ale nie, nie rozpoznał żadnej znajomej twarzy, nie dostrzegł niczego, co wskazywałoby, że jest obserwowany.

Wziąwszy zapakowaną matrioszkę, wyszedł drugimi drzwiami i gwałtownie zawrócił, jakby nagle zobaczył coś ciekawego. Przepchnął się przez tłum, dotarł na drugie piętro, szparkim krokiem przeszedł dwadzieścia pięć, trzydzieści metrów, po czym skręcił na schody i wrócił z powrotem na pierwsze. Toaleta. Przy ciągnącym się wzdłuż ściany pisuarze stało kilku mężczyzn, w tym dwóch pijanych. Wszedł do kabiny i szybko przebrał się w rosyjskie

ubranie, to od Corcorana. Chłopską kufajkę - podszewka była przecięta, ale z zewnątrz waciak nie rzucał się w oczy - buty, spodnie, koszulę i marynarkę kupiono w Rosji i celowo podniszczono. Całość wyglądała bardzo autentycznie.

Sądząc po odgłosach, pijani wreszcie wyszli, a ich miejsce zajęli kolejni klienci. To dobrze. Włożył brązową perukę, posmarował gumą podbródek, górną wargę i brwi i kiedy klej podsechł, ostrożnie przytknął do podbródka niechlujnie utrzymaną brodę. Byłoby mu łatwiej, gdyby stał przed lustrem, zamiast siedzieć na klapie muszli klozetowej, ale miał przynajmniej lusterko do golenia. Potem przykleił krzaczaste brwi i rozsmarował pod oczami trochę ciemnego tuszu, żeby zrobić sobie worki. Postarzał się, i to dramatycznie. Wyglądał teraz na czterdzieści lat, mógł uchodzić za palacza i alkoholika, za wieśniaka, który żył ciężkim życiem rosyjskiego chłopca.

Jeszcze raz spojrzął w lusterko. Nie, to za mało, nie chciał ryzykować. Między górne zęby i policzki wetknął grube waciki, które natychmiast zmieniły kształt twarzy. I jeszcze coś: specjalnie zaprojektowane metalowe wkładki do nosa z maleńkimi otworami do oddychania; zrobiono je dla OSS. Początkowo były zimne i niewygodne, ale skutecznie rozplaszczały nos, dzięki czemu jeszcze bardziej upodobnił się do rosyjskiego chłopca.

Ponownie lusterko: z trudem rozpoznał sam siebie. Popatrzył przez szparę w drzwiach i stwierdził, że przy pisuarze nie ma już żadnego z tych, którzy widzieli, jak wchodził do toalety. Szybko schował amerykańskie ubranie do walizki, wyszedł z kabiny, postawił walizkę na podłodze, odkręcił kran, umył ręce i ruszył do wyjścia. Walizkę zostawił. Na pewno zwinie ją jakiś farciarz, by z miłym zaskoczeniem odkryć, że w środku jest elegancki, zachodni garnitur.

Szedł ponuro galerią na pierwszym piętrze. Lekko utykał, jakby jedną nogę miał krótszą. Zanim dotarł na parter, wiedział już na pewno, że nikt go nie śledzi. Był nikim. Był zwyczajnym Rosjaninem podobnym do miliona innych Rosjan. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Rudolf von Schussler był zły, że mu przerwano.

Ten sztywny, wymuskany tajniak z Sicherheitsdienst siedział w jego gabinecie i uparcie wypytywał o mówiących po angielsku obcokrajowców, których on, von Schussler, spotkał w Moskwie w ciągu ostatnich kilku dni. Von Schussler miał zbyt dużo do roboty, żeby tracić czas na rozmowę z jakimś tam policjantem, ale cóż, prosił go o to sam ambasador von Schulenberg, a z von Schulenbergiem lepiej było nie zadzierać.

- Jeden z nich może być szpiegiem - powiedział tajniak.

Szpieg. Von Schussler uznał, że to idiotyzm, ale grał dalej.

- W Moskwie jest wielu Amerykanów i Brytyjczyków - odparł wyniośle. - Szczerze mówiąc, zbyt wielu. Niedawno mizdrzył się do mnie jakiś głupek, przymilny lalusz i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że...

- Nazwisko - przerwał mu niegrzecznie tamten, przesywając go wzrokiem. Miał zimne, szare oczy.

Von Schussler zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Nie pamiętam. Ale jeśli ten człowiek jest niebezpiecznym szpiegiem, zjem swój własny kapelus.

Tajniak uśmiechnął się zjadliwie.

- Niewykluczone, że będzie pan musiał.

Cóż za bezczelność! - pomyślał von Schussler. Cóż za wulgarność!

Obrzydliwiec. Odpychający, godny pogardy obrzydliwiec. Ale było w nim coś, od czego dostał gęsiej skórki, tylko nie wiedział, co to takiego. Nie, chyba nie znał tego uczucia, jednocześnie jakby je skądś znał. Próbował sobie przypomnieć skąd i po chwili wiedział: jako

nastolatek wszedł kiedyś do drewnutni na dziedzińcu ich rodzinnego zamku pod Berlinem. Tak, to jest to. Drewnutnia, stary, ciemny składzik, i gdy sięgnął po zwinięty sznur, nagle zamarł, nagle ogarnął go niejasny, pierwotny wprost strach. Ułamek sekundy później zrozumiał dlaczego: mało brakowało i chwyciłby przyczajonego w mroku węża. Wielkiego, zwiniętego węża.

I właśnie to przypominał mu tajniak z Sicherheitsdienst.
Jadowitego węża.

On przyszedł na spotkanie pół godziny wcześniej, ona spóźniła się dwadzieścia minut, ale nie był to czas stracony. Czekając, rozciął scyzorykiem celofanowe opakowanie, ostrożnie wyjął dokumenty i dokładnie je obejrzał. Były doskonale podrobione. Gruby, chropowaty, żółtawy papier zupełnie nie przypominał papieru produkowanego na Zachodzie. Napisane na maszynie - na pewno rosyjskiej i na pewno identycznej jak te w Ludowym Komisariacie Obrony - były ostemplowane na fioletowo oficjalnymi ministerialnymi pieczęciami, przekonująco rozmazanymi od lat częstego używania. Na każdym widniała data. Najstarsze pochodziły sprzed kilku tygodni, najnowsze z tego dnia.

Na niektórych widniał nawet podpis ludowego komisarza obrony, na kilkunastu innych nadruk ŚCIŚLE TAJNE. Nie miał wątpliwości, że każdy z nich pozytywnie przejdzie najsurowsze badania kryminalistyczne w Berlinie. Nie miał też wątpliwości, że badania takie zostaną przeprowadzone.

Przeszło mu przez myśl, że gdyby te dokumenty znaleziono, Lana musiałaby pożegnać się z życiem. Że nie zabiliby jej Niemcy, tylko enkawudziści.

Dlatego od ich jakości zależała nie tylko pomyślna realizacja planu Corcorana.
Zależało od niej życie Swietłany.

Wierzchnia kartka była czysta; miała pewnie uchronić dokumenty przed wzrokiem kurierów. Stephen był pod coraz większym wrażeniem: tak wiarygodnych, tak szczegółowych, tak niezwykle mylących fałszywek nigdy dotąd nie widział. Przed kilkoma tygodniami Corky zapoznał go ze strukturą radzieckiej armii, chociaż Metcalfe nie wiedział wtedy, po co to robi.

- Rosja to potęga - mówił. - Niemcy tego nie rozumieją.

- Bo są za głupi? - zadrwił Stephen. - Nie wierzę. To po co Hitler zawarł pakt ze Stalinem? Hitler szanuje tylko silnych. Ze słabymi się nie zadaje.

- To prawda - odrzekł z uśmiechem Corcoran. - Ale nie myl tego, co Niemcy myślą, z tym, co wiedzą.

Dopiero teraz zrozumiał, jaką iluzję chciał stworzyć ten wielki ma-gik. Czuł się tak, jakby oglądał obraz Georges'a Seurata, słynnego pointylisty: z bliska widziało się jedynie drobne, precyzyjne muśnięcia pędzlem. Żeby ocenić i docenić całość, trzeba było stanąć kilka kroków dalej.

Każdy, kto by to przeczytał, szybko zrozumiałby, jak słaba jest Armia Czerwona. Jej portret przekonywał wielością i dokładnością szczegółów. Były tam zestawienia, bilanse, memoranda ludowego komisarza obrony marszałka S.K. Timoszenki i szefa sztabu generalnego K.A. Miereskowa, służbowe noty pomniejszych urzędników, a wszystkie zawierały listy zamówień i wykazy, a wszystkie snuły opowieść o kolosie na glinianych nogach.

Według fałszywek Armia Czerwona miała tylko dwadzieścia dywizji kawalerii i dwadzieścia dwie brygady zmechanizowane, a więc o wiele mniej, niż myśleli Niemcy. Słynnemu radzieckiemu drugiemu rzutowi strategicznemu, zwłaszcza 16. i 19. Armii oraz ich korpusom zmechanizowanym, groziła prawdziwa katastrofa: brakowało im nowoczesnych środków transportu i ciężkich czołgów. Lotnictwo właściwie nie istniało. Brakowało broni, brakowało sprzętu, a ten, który był, był przestarzały. Brakowało również części zapasowych: starczyło ich na pokrycie ledwie piętnastu procent zapotrzebowania jednostek pancernych i opancerzo-

nych. Nie istniał centralny system łączności i w razie wojny dowódcy Armii Czerwonej byliby zmuszeni porozumiewać się za pośrednictwem gońców i telegrafu, jak w XIX wieku. Tak więc w sumie z dokumentów wyływał jeden oczywisty wniosek: militarna słabość Związku Radzieckiego jest tak duża, tak kusząca, że po prostu trzeba ją wykorzystać, i to wszelkim kosztem.

Co nie było prawdą.

Metcalfie wiedział, że obraz kryjący się pod warstewką tego jakże wiarygodnego fałszu nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Armia Czerwona przechodziła bardzo trudny okres, tak, ale była o wiele silniejsza, o wiele nowocześniejsza - o wiele potężniejsza! - niż mówiły dokumenty.

„Słabość to prowokacja”, powtarzał zawsze Corcoran. Na brzożowym stole w mieszkaniu przyjaciółki Lany spoczywały fragmenty przekonującego, pointylistycznego obrazu słabości wielkiego narodu. Generałowie Hitlera na pewno to dostrzegą, dostrzegą okazję i na pewno ją wykorzystają. Postanowią najechać Związek Radziecki: faszystowskie Niemcy nie zawahają się.

Genialny plan, błyskotliwa zagrywka.

Zbierając i starannie układając dokumenty, ponownie spojrzał na wierzchnią kartkę. Dziwne. Nie był to arkusz zwyczajnego papieru kancelaryjnego, tylko wysokiej jakości kremowy papier z angielskiego bloku, ulubiony papier Corky'ego. Przyjrzał mu się uważnie. Miał znak wodny firmy Smythson z Bond Street: a jednak! Poza tym leciutko pachniał miętą, jego miętowymi dropsami i jakimiś chemikaliami. Tak, Corcoran poświęcił tej kartce znacznie więcej czasu niż pozostałym.

Zapach chemikaliów wskazywał na coś jeszcze. Stephen wyjął z kieszeni fiolkę z kryształkami żelazocyjanku potasowego, którą zawsze zabierał ze sobą w teren. Znalazł w kuchni fajansową miskę, wysypał do niej kilka kryształków, rozpuścił je w niewielkiej ilości wody i zanurzył w niej kartkę. Po kilku sekundach na papierze pojawiły się pełne zawijasów litery, charakterystyczne pismo Corcorana.

Wyjął kartkę z miski, położył ją na kuchennym blacie i przeczytał.

S-

Dlaczego lustro pokazuje odwrotnie stronę lewą i prawą, nie odwracając góry i dołu? Co się stanie, gdy niepowstrzymana siła napotyka coś, czego nie da się poruszyć? Takie pytania to dziecinna zabawa, mój chłopcze, a nadeszła już pora, żeby skończyć z dziecinadą. Prędzej niż przypuszczasz pytania staną się trudniejsze, a jeszcze trudniejsze będą odpowiedzi. Ratowanie cywilizacji może być zadaniem wielce niecywilizowanym. Ale ktoś musi uprawiać tajemną sztukę czarnej magii, żeby nasi rumiani rodacy mogli cieszyć się światłem. Zawsze tak było. Pamiętaj: Rzymu nie zbudowano w jeden dzień. Rzym budowano nocą.

Operacja „Wolfsfalle”. Załączam materiały.

Pamiętaj: prawda to roztrzaskane lustro. Nie skalecz się odłamkami.

A

Stephen zrozumiał natychmiast; przywykł do zagadek Corcorana. „Dlaczego lustro pokazuje odwrotnie stronę lewą i prawą, nie odwracając góry i dołu?” Lustro niczego nie odwraca, lustro pokazuje jedynie to, co widzi. Patrzącemu tylko się tak wydaje.

„Co się stanie, gdy niepowstrzymana siła napotyka coś, czego nie da się poruszyć?” Niepowstrzymana siła to faszystowskie Niemcy, a owo „coś” to rosyjski niedźwiedź. Co się stanie, gdy dojdzie do takiego spotkania?

Zderzą się ze sobą i ulegną zniszczeniu.

I jeszcze to: operacja „Wolfsfalle”.

Die Wolfsfalle.

Wilczy dół.

Wilczy dół, a więc wilk. Wybrany przez Corcorana kryptonim oznaczał Adolfa Hitlera.

Hitler używał tego pseudonimu na początku swojej kariery. Był to jego przydomek, jego *nom de guerre* pewnie dlatego, że „Adolf to po teutońsku „wilk”. W dwudziestym czwartym, zaraz po wyjściu z więzienia -siedział za nieudaną próbę puczu -jako „Herr Wolf” wynajął pokój w Pension Moritz w Obersalzbergu w Bawarii.

Pies Ewy Braun, domniemanej kochanki Hitlera, też miał na imię Wolf. Zastępca Hitlera, Rudolf Hess, nazwał tym imieniem swego syna, na pewno na cześć wielkiego wodza narodu. A w czerwcu Hitler przeniósł swoją główną kwaterę do idyllicznej belgijskiej wioski Bruy-de-Pesche, którą natychmiast nazwał Wolfsschlucht, czyli Wilczym Wąwozem. To właśnie stamtąd dowodził najazdem na Francję. To właśnie tam przytupywał z radości, dowiedziawszy się o jej upadku. A według najświeższych raportów wywiadowczych w Kętrzynie w Prusach Wschodnich rozpoczęto budowę sieci bunkrów, gdzie mieścić się miała nowa *Fuhrerhauptquartier*.

Nadano jej nazwę *Wolfsschanze*: Wilczy Szaniec.

Dlatego znaczenie kryptonimu „Wolfsfalle” - „Wilczy Dół” - było całkowicie jasne.

Lana weszła, zobaczyła go i przerażona krzyknęła. Rozpoznała go dopiero po chwili.

- *Boże moj, Stiwa!* - Roześmiała się smutno. -Nie poznałam cię. Dlaczego się tak przebrałeś? - Ugryzła się w język i pokręciła głową. - No tak, ta ostrożność. Dzięki. Cieszę się.

Objął ją i pocałował. Lana zadrżała.

- Twoja broda. Czuję się tak, jakby całował mnie Rudolf. Coś okropnego. Natychmiast to zdejmij! Proszę.

Stephen tylko się uśmiechnął. Chciałby z nią zostać na zawsze, ale wiedział, że spotkanie musi być krótkie. Im więcej czasu tu spędzał, tym większe było prawdopodobieństwo wpadki. Za chwilę miał odejść, a gdy odejdzie, przebranie bardzo mu się przyda. Dał jej matryszkę. Ucieszyła się, lecz radość szybko minęła.

- Boję się, Stiwa.

Poznał to po jej twarzy.

- Czego?

- Tego, co robimy.

- W takim razie nie rób tego - odparł, walcząc z gorzkim, gwałtownie wzbierającym poczuciem winy. - Jeśli się boisz, nie dawaj mu tych dokumentów.

- Nie, źle mnie zrozumiałeś. To, o co mnie prosisz, wymaga odwagi. Jeśli się odważę, zrobię coś dla ojca i Rosji. Będę walczyła za ojczyznę jak kiedyś on. Dajeś mi szansę, mogę udowodnić, że jestem dzielna. Dzięki tobie moje życie ma cel.

- W takim razie czego się boisz?

- Tego, że mogę się w tobie ponownie zakochać. Dajeś mi dar życia, ale nie ma dla nas nadziei. Nie ma dla nas przyszłości. Jest tak jak w *Giselle*.

- To znaczy?

- Giselle, dziewczyna ze wsi, zakochuje się w szlachcicu. Szlachcic jest w przebraniu, udaje kogoś, kim nie jest. Gdy Giselle odkrywa prawdę, odchodzi od zmysłów i umiera, bo wie, że nie może za niego wyjść.

- Boże, czyja kogoś udaje?

- Spójrz tylko na siebie!

- No, tak - odrzekł ze śmiechem. - Ale ty chyba nie zwariujesz?

- Nie, nie mogę. Mam twój dar, mam dla kogo żyć.

- To nie dar, Lano.

Rozkojarzona patrzyła na plik dokumentów, myśląc o czymś innym.

- Tak, masz rację - odrzekła w końcu. - Jest inaczej niż w *Giselle*. Jest jak w *Tristanie i Izoldzie*.

- Legendarni kochankowie.

- Kochankowie skazani na samotność. Nie zapominaj o tym. Połączy ich dopiero śmierć.

- Dobrze. Ty jesteś piękną, ognistą Izoldą, czarodziejką i uzdrowicielką. A ja Tristanem, kochającym ją rycerzem.

Uśmiechnęła się dziwnie.

- Tak naprawdę Tristan jest na służbie u swego wuja, króla. On go zdradza, Stiwa. Podróżuje pod przybranym imieniem, jako Tantris, to anagram, ale ona i tak go kocha.

- Ale Tristan jej nie zdradza, prawda? Tristan ją kocha i po prostu spełnia swój obowiązek.

- Tak. Miłość zawsze wiąże się ze zdradą i śmiercią, prawda?

- Tylko w teatrze, nie w życiu.

Zwilgotniały jej oczy.

- Napój miłosny w *Tristanie* jest o wiele bardziej niebezpieczny niż trucizna. - Wzięła ze stołu dokumenty i podniosła je, jakby chciała mu je pokazać. - Więc powiedz mi, Stiwa: czy jesteś wierny swojej miłości, czy królowi?

Zmieszany Stephen nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Przecież wiesz, że cię kocham - odparł w końcu pod wpływem impulsu.

Popatrzyła na niego ze smutkiem. - I właśnie to najbardziej mnie martwi.

Rozdział 24

Sklep był zagracony i zakurzony, gabloty pełne srebra, biżuterii i kryształów. Na półkach wzdłuż ścian stały zabytkowe talerze, półmiski i stare popiersia Lenina. Nie był to ani sklep z antykami, ani lombard, tylko coś pomiędzy: *komisjonnyj*, komis przy Arbacie, jednej z najstarszych ulic w Moskwie. W wąskich przejściach między ladami i gablotami tłoczyli się klienci, którzy chcieli albo coś tanio kupić, albo - rozpaczliwie potrzebując pieniędzy - jak najdrożej sprzedać bezcenny srebrny samowar mamusi.

Nie rzucając się w oczy, w gwarnym tłumie klientów tuż obok siebie, stało dwóch mężczyzn. Oglądali tę samą ikonę. Jeden wyglądał na rosyjskiego robotnika w średnim wieku, drugi, nieco starszy, na obcokrajowca, gdyż był w zagranicznym palcie i w futrzanej czapce.

- Ledwo pana poznałem - szepnął Hilliard. - Dobra. Niech pan idzie za mną. Tylko ani słowa.

Zaraz potem wyszedł ze sklepu. Metcalfe ruszył za nim. Zrównali się na Arbacie, idąc w kierunku placu Smoleńskiego.

- O co, do diabła chodzi? - syknął Hilliard. - Jeśli o drugi zestaw dokumentów, to mówiłem panu, że będą w skrytce, ale dopiero po południu, kiedy przyjedzie kurier. Ustaliliśmy, że dalsze spotkania nie wchodzą w grę!

- Zamordowano mojego przyjaciela.

Hilliard zerknął na niego z ukosa i szybko uciekł wzrokiem w bok.

- Gdzie?

- W Metropolu.

- W Metropolu? Chryste. Gdzie? W pokoju?

- Tak, ale w moim. To mnie mieli zabić.

Amos wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Metcalfe opowiedział mu o Rogerze, o tym, co ich łączyło i po co przyjechał do Moskwy.

- Dobrze. - Hilliard jakby złagodniał. - Czego pan ode mnie chce?

- Dwóch rzeczy. Po pierwsze, muszę natychmiast skontaktować się z Corcoranem.

- Sam pan widział, że czarny kanał jest spalony. Nie zamierzam...

- Wiem, że ma pan swoje sposoby. Nie obchodzi mnie jakie. Puści pan sygnały dymne, nada list w butelce, wszystko jedno. Wiem, że da się to zrobić. Zna pan zasady równie dobrze jak ja: jeśli któryś z nas zginie, trzeba natychmiast zawiadomić Corky'ego.

- Nie wpuszczę pana do centrali. Ambasada nie wchodzi w grę, to wykluczone...

- Kicham na waszą centralę. Niech pan to zrobi za mnie. Niech pan mu powie, że Rogera Martina zamordowano w taki sam sposób jak chłopaków w Paryżu, że uduszono go garotą. Tylko szybko, nie ma czasu.

- Dobrze.

Przypomniawszy sobie swoje wątpliwości co do Hilliarda, Stephen dodał:

- I niech Corky potwierdzi odbiór depezy. - Jak? Metcalfe myślał przez chwilę.

- Słowem. Następnym słowem z listy. Będzie wiedział, o co chodzi. - Wszyscy agenci terenowi Corcorana mieli listę kodów, które znali jedynie oni i on. Kody układał Corky, ponoć na chybił trafił, chociaż Metcalfe miał co do tego wątpliwości. Znając jego zamiłowanie do zagadek i łamigłówek, czuł, że ich układ nie jest bez znaczenia.

- Dobra, załatwione - odrzekł Hilliard. - Co jeszcze? Mówił pan o dwóch rzeczach.

- Tak. Muszę mieć broń.

Z budki telefonicznej zadzwonił do Metropolu i powiedział, że ma wiadomość dla Rogera Martina.

Chciał sprawdzić, jak zareaguje recepcjonista, dużo od tego zależało. Do tej pory musieli już znaleźć ciało Rogera i na pewno wiedzieli o tym wszyscy pracownicy hotelu. Na pewno też powiadomili milicję i NKWD. Ale reakcja recepcjonisty powiedziała mu, jak bardzo ich to zaalarmowało, jak daleko sięgają ich podejrzenia. Czy kazano im czekać na jego telefon? Zwabić go do hotelu? Wciągnąć w pułapkę?

Recepcjoniście załamał się głos. Wyraźnie spięty, natychmiast przybrał lodowato-oficjalną pozę.

- Nie, proszę pana. Przykro mi, ale gość, o którego pan pyta, już u nas nie mieszka. Nic więcej nie wiem.

- Rozumiem - odrzekł Metcalfe. - A wie pan może, dokąd się wyprowadził?

- Nie, nie mam pojęcia. Nie mogę panu pomóc. - I odłożył słuchawkę.

Zdumiony Stephen wbił wzrok w ścianę budki. Była to typowa - i szczerza - odpowiedź przerażonego człowieka, który nie wie, jak zareagować. Dużo mu to powiedziało: recepcjonisty nie wprowadzono w szczegóły tego, co się tam stało. Gdyby w Metropolu zastawiono pułapkę - albo gdyby milicja chciała przesłuchać Stephena w związku z morderstwem Rogera - kazano by mu wyciągnąć z niego jak najwięcej informacji.

Bardzo zagadkowa sprawa. Nie tego oczekiwał.

Hotel stał przy placu Teatralnym, niedaleko teatru Bolszoi, a przed hotelem był mały park z ławkami. Metcalfe chciał - a raczej musiał - przeprowadzić najpierw krótką obserwację, ale nie miał skąd. W parku rzucaliby się w oczy. Wyjąć lornetkę i skierować ją na wejście do Metropolu? Odpada. Za bardzo podejrzane. Alejkami przechodziło za dużo ludzi i natychmiast zwróciliby na niego uwagę. W końcu wybrał kolumnadę teatru Bolszoi. Było wcześniej, nikt tam nie wchodził ani stamtąd nie wychodził. Stephen stanął w cieniu, wyjął lornetkę i wyregulował ostrość.

Nie wypatrywał niczego tak oczywistego jak szczelny kordon enkawudzistów na chodniku. Nie, wypatrywał czegoś, co by tam nie pasowało, maleńkich, ledwo dostrzegalnych oznak, które powiedziałyby mu, że w hotelu lub przed hotelem dzieje się coś niezwykłego. Podobnie jak rozchodzące się fale na powierzchni stawu, do którego wrzucono kamień, obecność milicji czy NKWD zakłóciłaby panujący tam spokój i naturalność. Widać by to było w ukradkowych spojrzeniach wychodzących na ulicę ludzi, w ich zbyt wystudiowanych lub zbyt gwałtownych ruchach, w tym, że zbyt długo stoją czy krążą po chodniku.

Ale nie, niczego takiego nie zauważył. Wszystko wyglądało tak jak zawsze.

Dziwne. Jakby nic się nie stało. I właśnie to najbardziej go niepokoiło.

Zatoczył szeroki łuk, przeciął ulicę, podszedł do bocznych drzwi, zawahał się i nacisnął klamkę. Kuchnia. Skrzydła podwójnych drzwi otwierające się i zamykające za kelnerami roznoszącymi półmiski i kartony z jedzeniem - niedługo była kolacja.

Jak dotąd nie zauważył niczego podejrzanego. Ani milicjantów, ani enkawudzistów.

Schody. Również niestrzeżone. Wszedł na trzecie piętro. Korytarz, ciemny i pusty. Na jego końcu *dieżurnaja* przy biurku.

Nikt tamtędy nie przechodził, nikt nigdzie nie wychodził i nie wchodził. Tu też nie było milicji.

Pusto. Zupełnie pusto.

Zaskakujące. To, że nikt tu na niego nie czekał, to jedno. Ale żeby nie było milicji? Żeby tak zupełnie nic nie wskazywało na to, że popełniono tu morderstwo?

Wyjął z kieszeni klucz z pękatą przywieszką. Uciekając z pokoju, nieświadomie zabrał go ze sobą i teraz bardzo się z tego cieszył: nie musiał iść do hetery przy biurku i wzbudzać podejrzeń obsługi.

Z drugiej strony niewykluczone, że klucz na nic mu się nie przyda. Bo jeśli w pokoju czekali ci z NKWD...

Po cichu, ukradkiem skręcił w prawo. Od pokoju dzieliło go trzydzieści metrów.

Drzwi były zamknięte.

Tego też nie oczekiwał. Przecież hotelowy boy widział ciało Rogera i normalną procedurą - w Rosji, w Ameryce czy gdziekolwiek indziej - byłoby natychmiastowe zabezpieczenie miejsca zbrodni, zbadanie śladów.

Podszedł jeszcze bliżej, cichutko, na palcach. Przystanął i wyężył słuch.

Cisza.

W środku panowała głucha cisza.

Rzykował, tak, oczywiście, ale kto nie ryzykuje, ten... Włożył klucz do zamka, przekręcił go i otworzył drzwi, gotów w każdej chwili uciec.

Nikogo. Pokój był ciemny i pusty.

Stephen rozejrzał się ostrożnie, wziął się w garść i wszedł do łazienki, przekonany, że zobaczy tam ten sam koszmarny widok.

Ale nie zobaczył nic.

Nie było ani ciała, ani nawet śladów, które musiało zostawić. Łazienka lśniła czystością. Nikt by się nie domyślił, że jeszcze niedawno leżał tu trup.

Roger jakby zapadł się pod ziemię. Zabrali go. Zabrali, kazali wysprzątać łazienkę i zatrzeć ślady zbrodni. Ale dlaczego?

Co się tu, u diabła, działo?

Wszedł do budki, zadzwonił do ambasady i poprosił Hilliarda. Amos podniósł słuchawkę i posępnie warknął:

- Hilliard.

- Roberts z tej strony. - Tak się umówili na wypadek, gdyby telefon w ambasadzie był na podsłuchu.

Hilliard długo milczał. Odpowiedział dopiero po piętnastu sekundach, tylko jednym słowem. - Cynfolia.

- Powtórz.

- Cynfolia. Nie „folia”, tylko cynfolia. - I trzasnął słuchawką. Cynfolia. Kod z listy Corcorana. Potwierdzenie, że Amos naprawdę z nim rozmawiał.

Cynfolia. Dziwne, rzadko spotykane słowo oznaczające metalizowaną powłokę wewnętrznej warstwy lustra.

Cały Corcoran. Uwielbiał słowa i przeładowane znaczeniem zwroty. Powłoka wewnętrznej warstwy lustra. Stara zagadka, którą tak bardzo lubił: dlaczego lustro pokazuje odwrotnie stronę lewą i prawą, nie odwracając góry i dołu?

I jeszcze jedno: prawda to roztrzaskane lustro. Nie skalecz się odłamkami.

Jakby chciał go przed czymś ostrzec samym doborem kodu potwierdzającego otrzymanie wiadomości. Metcalfe wkroczył w świat luster, świat rojący się od niebezpieczeństw.

Ale nawet Corcoran nie wiedział, ile tych niebezpieczeństw jest.

Rudolph von Schussler ponownie przejrzał wszystkie dokumenty. Niesamowite! Po prostu niesamowite! Owoc jego geniuszu - wiedział, że przemawia przez niego pycha, lecz dostrzeżenie okazji jest samo w sobie oznaką wyższości intelektualnej: powiedział to sam Fuhrer! A on tę okazję dostrzegł, dostrzegł to, że jego ukochany Maczek ma dostęp do poufnych, do ściśle tajnych dokumentów wojskowych. A to, że je mu dała, to kolejny dowód jej miłości. Była bezbronna, bezsilna, była w nim bez pamięci zakochana i gotowa na wszelkie

poświęcenia. Chociaż miała prężne ciało baletnicy, była istotą kruchą, gdyż pod każdym względem ucieleśniała *sobą Ewig Weiblich*, Wieczną Kobiętę. Dawanie leżało w jej naturze, tak samo jak w naturze mężczyzny leżało branie. Tak samo jak Adolf Hitler zawładnie wkrótce imperium, do którego miał pełne prawo!

A on nareszcie wyrobi sobie reputację. Nie, nareszcie się na nim poznają! Poznają, kim naprawdę jest. Już widział Rycerski Krzyż na swej piersi. To, co Ludwig von Schussler osiągnął siłą fizyczną, śmiałością i zuchwałością, jego potomek osiągnie podstępem i chytrym fortem, a więc czystym intelektem, który wydawać się może czymś delikatniejszym i mniej imponującym, co wcale nie znaczy, że budzi mniejszy respekt.

Gdy szedł korytarzem do gabinetu ambasadora von Schulenberg, serce waliło mu jak młotem. Pozdrawiając kolegów krótkim skinieniem głowy, idąc przed siebie ze zblazowaną miną i ledwo racząc na nich spojrzeć, wspominał protekcyjnalne uwagi, które podслуchał w ministerstwie na długo przed przyjazdem na placówkę do Moskwy. Teraz będą patrzeć na niego inaczej. Wojny wygrywała informacja! Zawsze tak było i będzie: poznaj siebie i swego wroga. A im więcej szczegółów, tym cenniejsza wiedza. Powiódł wzrokiem po wierzchniej kartce pliku dokumentów, zapisanej równiutkimi kolumnami liczb. Ci z OKW nie będą już musieli spekulować na temat potencjału militarnego Rosjan. Teraz poznają go na wylot.

- Boję się, że graf von Schulenberg jest zajęty - powiedziała tłustoszyja Frau, osobisty cerber ambasadora. Werner zawsze okazywał mu wiele serdeczności, choć była to serdeczność przyprawiona odrobiną protekcyjnalności, jednak w stosunku do tych, których dobrze znał, potrafił być oschły, a nawet nieuprzejmy. Ale cóż, robił to bardzo umiejętnie, w taki sposób, że nie można było złożyć na niego oficjalnej skargi. Bo czyż można oskarżyć kogoś o to, że mówi nieodpowiednim tonem głosu, że przewraca oczami, że ma pogardliwą minę? Ten, kto by to zrobił, wyszedłby na głupka. Ale von Schussler takie rzeczy zauważał. Zauważał wiele rzeczy. To właśnie dzięki darowi wnikliwej obserwacji i wnioskowania zdobył te bezcenne, te najcenniejsze dokumenty, jakie Rzesza kiedykolwiek zdobyła.

- Och, doprawdy? - wymruczał pewny siebie. „Zajęty”: zawsze tak mówiła. Czy znały to, że von Schulenberg jest na jakimś zebraniu? Że rozkoszuje się w samotności kieliszkiem sznapsa? „Zajęty”: po co wygadywać takie bzdury? Nie wiedzieć czemu ta tłusta baba uważała, że ma prawo traktować go szorstko, a nawet niegrzecznie. Ale już niedługo to się zmieni.

Pstryk-pstryk: cerber włączył uśmiech i od razu go wyłączył.

- Tak, jest zajęty. Bardzo mi przykro. Powiem mu, że pan był.

- Zajęty, nie zajęty, na pewno mnie przyjmie - odparował von Schussler. Zapukał do drzwi gabinetu i nie czekając na odpowiedź, nacisnął mosiężną klamkę. Gabinet ambasadora był wielki i okazały, wyłożony dębową boazerią i wyciszony wschodnimi dywanami na podłodze. Wkrótce i von Schussler będzie w takim zasiadał. Do tej pory uważał, że to arogancja, a nawet bezczelność, ale teraz dostojny, dystyngowany wystrój będzie jak najbardziej na miejscu.

Hrabia Werner von Schulenberg siedział przy biurku, pochylony nad stertą formularzy. Miał zapuchnięte oczy i wyraźnie się nudził. Na rogu biurka stał kieliszek brandy. Ambasador spojrzał na niego i zmrużył oczy.

- Rudi, co ty tu robisz? - spytał, więcej niż niezadowolony.

- Mam coś dla pana - odrzekł von Schussler, wykrzywiając twarz w uśmiechu. - Coś, co na pewno pana zainteresuje. Mało tego: coś, co na pewno zainteresuje samego Fuhrera.

Część 3

Moskwa, sierpień 1991

Ambasador Stephen Metcalfe podszedł do dowódcy grupy Alfa, która zatrzymała ich limuzynę. Ulica była ciemna. Złowieszczo górowały nad nimi stare budynki starej części miasta.

- Pan tu dowodzi? - spytał po angielsku.

Oficer wyrzucił z siebie potok słów, oficjalnych formułek, zakazów i nakazów. Metcalfe przeszedł na rosyjski. Nawet teraz, pół wieku później, wciąż pamiętał słowa Alfreda Corcorana: „Ilekcioć musisz stawić czoło przedstawicielowi władzy, zawsze udawaj, że jego władza jest niczym w porównaniu z twoją”.

- Co wy, do diabła, robicie? - warknął. - Powinniście znać nasz numer rejestracyjny, nasze nazwiska. Niech was szlag! Wzywa nas sam przewodniczący KGB Władimir Kriuczokow! Mieli powiadomić wszystkie blokady!

Srogi oficer wyraźnie się zmieszał. Wyniosłość i pewność siebie Amerykanina zastraszyła nawet jego, świetnie wyszkolonego zabójcę.

- I gdzie są motocykliści? - kontynuował Metcalfe. - Dlaczego nie przysłaliście nam eskorty?

- Jakiej eskorty? - odparował tamten. - Nikt mnie o niczym nie uprzedził!

Metcalfe wiedział, że po wprowadzeniu stanu wyjątkowego w Moskwie padła niemal cała łączność, że Alfa w żaden sposób nie może skontaktować się z KGB, przynajmniej nie natychmiast. Poza tym jego słowa były zbyt zuchwałe, żeby nie dać im wiary.

Chwilę później wrócił do limuzyny i żołnierze przepuścili ich przez blokadę.

- Widzę, że nie wyszedłeś z wprawy - powiedział generał. - Minęło ponad pięćdziesiąt lat. Pół wieku. - Poklepał go po kieszeni. Ambasador miał w niej duży, masywny pistolet. - Jesteś gotowy?

- Nie wiem - odrzekł szczerze Metcalfe.

- Mamy takie powiedzenie - rzekł generał głosem chrzęszczącym jak stara, spękana skóra. - Los żąda ofiar. Jakich? Najczęściej z ludzi.

Rozdział 25

Berchtesgaden, Alpy Bawarskie, listopad 1940

Niski, siwowłosy mężczyzna, który wysiadł z czarnego mercedesa, odprawił kierowcę krótkim machnięciem ręki. Miał różową cerę, niebieskie oczy, przenikliwe spojrzenie i ciepły uśmiech na twarzy. Był w dwurzędowym mundurze z mosiężnymi guzikami i w ozdobionej la-mówką czapce.

Nazywał się Wilhelm Canaris i jako szef niemieckiego wywiadu wojskowego kierował całą działalnością szpiegowską Rzeszy. Przyjechał do alpejskiej rezydencji Hitlera w Berchtesgaden, żeby przedstawić Fuhrerowi szokujące informacje, które właśnie otrzymał.

Wprowadzono go do jego prywatnego gabinetu, dużego pokoju z pięknym widokiem na góry, pomieszczenia skąpo umeblowanego wielkimi, masywnymi meblami. Był tam długi, niski kredens, w którym Hitler trzymał swoje płyty, głównie Wagnera; Wagner należał do jego ulubionych kompozytorów i na kredensie stało jego brązowe popiersie. Był tam również wielki brzydki zegar ścienny, ozdobiony drapieżnym, brązowym orłem. Za dwoma dużymi gobelinami ukryto projektor filmowy, na przeciwległej ścianie zaś zamontowano ekran.

W obitych czerwona skórą fotelach przed olbrzymim kamiennym kominkiem siedziało trzech mężczyzn, dwóch po lewej, jeden po prawej ręce Hitlera. Rozmawiali cicho, lecz z ożywieniem.

Jednym z tych siedzących po lewej stronie Fuhrera był głównodowodzący niemieckiej armii, marszałek polny Walter von Brauchitsch, drugim zaś jego szef sztabu, generał Franz Halder. Canaris wiedział, że obydwaj są ludźmi rozsądnymi, że nie należą do fanatyków. Wiedział też, że choć nie stoją na szczycie wojskowej piramidy, cieszą się zaufaniem Hitlera, zaufaniem tak dużym, że Fuhrer już od roku omawia z nimi swój najtajniejszy plan, któremu sprzeciwiała się większość niemieckich generałów: plan inwazji na Związek Radziecki. Zaraz po upadku Francji kazał go sporządzić właśnie im, Walterowi von Brauchitschowi i Franzowi Halderowi, i bardzo się z ich zdaniem liczył.

Oficer siedzący po jego prawej ręce miał niższą rangę, lecz prawdopodobnie większą władzę. Był to pułkownik Rudolf Schmundt, adiutant Fuhrera i jego główny łącznik z Wehrmachtem.

Gdy Canaris usiadł na długiej, niskiej i niewygodnej sofie - nigdzie indziej usiąść już nie mógł - skinęli mu głową. Szef wywiadu milczał: słuchał, jak się kłóć, gdyż była to zwykła kłótnia. Z Hitlerem kłócić się nie mogli, lecz zawsze mogli kłócić się dla lub przed Hitlerem.

- Churchill odrzucił nasze wszystkie oferty pokojowe - mówił z wściekłością Schmundt, którego Canaris uważał za jego najbliższego powiernika i zausznika. - A Stalin bezczelnie wkracza na Bałkany. Wniosek? Churchill liczy na to, że Ameryka i Rosja przystąpią do wojny, pokłada w tym wszystkie nadzieje.

- To prawda - wtrącił von Brauchitsch.

- Dlatego musimy ich zmiażdżyć, zmiażdżyć Związek Radziecki - kontynuował Schmundt. - Zmiażdżyć ich i zdusić nadzieję, że Rosja przystąpi do wojny po stronie Anglii. Niemcy muszą być panami Europy. Im szybciej rozprawimy się ze Stalinem, tym lepiej.

- Pan chyba żartuje - zaprotestował von Brauchitsch. - Zapomniał pan już, jak to kiedyś było? Chce pan, żebyśmy powtórzyli błędy Napoleona i przegrali wojnę na mroźnych stepach Rosji? Napoleon też nie zdołał podbić Anglii. Jeśli zaatakujemy Związek Radziecki, będzie po nas!

- A pan? - odparował Schmudt. - Zapomniał pan już, że podczas tamtej wojny pokona-
liśmy cara?

I wtedy po raz pierwszy odezwał się Hitler. Mówił tak cicho, że aby go usłyszeć, musia-
li się ku niemu nachylić.

- A potem wystaliśmy do nich Lenina. W zamkniętym wagonie, jak zarazę.

Oficerowie grzecznie zachichotali.

- Bo i był zarazą - powiedział Schmudt. - Ale zaraza ta nie może się rozprzestrzenić.
Bałkany nie mogą zostać zbolszewizowane. Sowietci nie mogą przejąć rumuńskich pól nafto-
wych...

- To, co pan proponuje, jest czystym szaleństwem - przerwał mu von Brauchitsch. -
Oznaczałoby to wojnę na dwóch frontach, a tego musimy uniknąć, uniknąć za wszelką cenę.
Nikt z nas tego nie chce. Powinniśmy odizolować Wielką Brytanię, a to wymaga współpracy
z Sowietami...

- Nie na dwóch frontach, tylko na jednym! Wielka Brytania nam nie zagraża, jest co
najwyżej irytującą zadrą. Anglicy są już pokonani i muszą to otwarcie przyznać. I zrobią to,
wystarczy tylko zmiażdżyć Rosję. Możecie na to liczyć.

- Mówi pan tak, jakby była to dziecinna gra - odparł Halder, szef sztabu von Brauchit-
scha. - Tymczasem Armia Czerwona to kolos...

- Na glinianych nogach - przerwał mu z pogardą Schmudt. - Wystarczy je podciąć i
kolos runie.

- Inwazja na Rosję byłaby czystym szaleństwem - powtórzył za von Brauchitschem
Halder. - Zawarliśmy z nimi pakt i musimy go respektować, nie mamy innego wyjścia.

Canaris odchrząknął.

- Czy mógłbym wtrącić coś a propos?

Nikt mu nie odpowiedział, więc kontynuował:

- Abwehra otrzymała cenne informacje z Moskwy. - Dramatycznym gestem wyjął z
teczki gruby plik dokumentów i rozdał je, zaczynając od Hitlera.

Fuhrer sięgnął po okulary. Wszyscy byli niezwykle skupieni. Po chwili Hitler podniósł
wzrok.

- To prawdziwe? - spytał.

- Moi eksperci twierdzą, że tak. Zbadali papier, atrament, stemple, podpisy i tak dalej...

- *Mein Gott in Himmel!* - wykrzyknął Schmudt. - Armia Czerwona to domek z kart!

- Skąd je macie? - spytał podejrzliwie von Brauchitsch. - Od swoich moskiewskich
agentów?

Canaris pokręcił głową.

- Zdobycie informacji wywiadowczych w Rosji jest piekielnie trudne. Arab w powie-
wającym burnusie łatwiej przeszedłby przez Berlin niż agent obcego wywiadu przez Moskwę.
Nie, źródłem tych informacji jest wysoko postawiony generał z Ludowego Komisariatu
Obrony.

- Renegat? - spytał Hitler. - Zdrajca?

- Wprost przeciwnie - odrzekł Canaris. - Lojalny generał, który lojalnym wciąż pozo-
staje. Nasz informator... Nasz informator utrzymuje z nim bardzo bliskie stosunki.

- Jest wiarygodny?

- Najbardziej wiarygodny z wiarygodnych. Nie jest zawodowcem, jest zwykłym cywi-
lem. Prostym człowiekiem, który nie zna się na szpiegowskich gierkach.

- Sekretarka - zgadywał Halder.

- Nie, jego córka.

Schmudt podniósł wzrok znad dokumentów.

- Od czasów tych czystek ich armia jest w rozsypce - powiedział. - Ale zbroi się, i to
szybko.

- Za dwa lata znowu będzie potężna - dodał Canaris.

- Kiedy moglibyśmy zaatakować? - rzucił Hitler.

Schmundt pozwolił sobie na zwycięski uśmiech.

- Wiosną. Wczesną wiosną przyszłego roku. W czerwcu będziemy gotowi na sto procent.

Hitler wstał. Pozostali natychmiast poszli w jego ślady.

- Sposobność sama ciśnie się nam do rąk - oznajmił. - Ale musimy działać szybko. Nie stworzyłem tej wspaniałej armii tylko po to, żeby teraz beczynn timer gniła. Wojna nie skończy się sama. Chcę, żebyście panowie natychmiast opracowali wstępny plan błyskawicznej inwazji na Związek Radziecki.

Rozdział 26

Moskwa, listopad 1940

Lokalizacja skrzynki kontaktowej niepokoiła go. Skrzynka była zbyt wyeksponowana, zbyt na widelcu: mógł dostać się tam tylko w jeden sposób i w jeden sposób stamtąd uciec. Sam wybrałby inne miejsce, lecz nie miał wyboru: w Moskwie rządził Amos Hilliard i to on o wszystkim decydował.

Niemniej skrzynka miała pewną zaletę, gdyż łatwo było ją obserwować. Obserwować ruch uliczny, ludzi wchodzących i wychodzących ze sklepu obuwniczego i mięsnego przy ulicy Puszkina, stojący między sklepami dom, przechodniów, którzy kręcili się zbyt długo na chodniku. W chłopskim ubraniu, w wielkiej czapie i z workiem na plecach - miał w nim różne narzędzia- nie zwracał na siebie uwagi, gdyż mógł z powodzeniem uchodzić za zwykłego robotnika.

Przez długi czas bacznie lustrował okolicę, myśląc o Lanie. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem i zdawało się, że jej początkowy strach powoli mija. Przekazała von Schusslerowi pierwszą partię dokumentów, które wykradła -jakoby na chybił trafił - z teczki w domowym gabinecie ojca. Mówiła, że nic z nich nie rozumie: zawierały same liczby, kolumny cyfr, i były straszliwie nudne. Ale on, von Schussler, bynajmniej się ich lekturą nie nudził. Był bardzo podekscytowany, podekscytowany bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Pouczył ją, jak będą to robić, bo przecież wierzył, że to właśnie on kieruje całą operacją. Zabierze dokumenty do niemieckiej ambasady, gdzie każdy z nich zostanie sfotografowany, i natychmiast zwróci jej oryginały. Wielokrotnie powtarzał, że jej ojciec nie może zauważyć ich braku, że to niezmiernie ważne, że trzeba ściśle przestrzegać określonych reguł postępowania. Otóż dokumenty miała wykradać jedynie nocą, gdy ojciec będzie spał: wykradnie je, zadzwoni do von Schusslera z wiadomością, że już je ma, po czym przyjedzie do jego mieszkania. Von Schussler natychmiast zawiezie papiery do ambasady, sfotografuje je i odda Lanie, która wróci do domu i odłoży je na miejsce, zanim ojciec się obudzi. Oczywiście zależnie od okoliczności plan mógł podlegać różnym modyfikacjom. Swietłana prawie co wieczór występowała w teatrze, a wtedy nie mogła niczego wykradać. Ale w dni wolne miała zostawać z ojcem i sprawdzać, czy nie przyniósł do domu nowych dokumentów.

Von Schussler starał się też utwierdzić ją w przekonaniu, że robi dobrze, co Lana wspominała z wisielczym humorem. „Im więcej nasze kraje wiedzą o sobie - mówił, tym trwalszy między nami pokój. Robisz cudowną rzecz nie tylko dla mojej, ale i dla swojej ojczyzny”.

Po godzinie obserwowania i rozmyślania zyskał całkowitą pewność, że teren jest czysty. Szybkim krokiem ruszył w stronę niestrzeżonego wejścia do skromnego domu między dwoma sklepami. Mały korytarz był ciemny i pusty, na ścianie po prawej stronie - tak jak mówił Hilliard -zamontowano pomalowany na zielono kaloryfer. Stephen wsunął zań rękę - zgodnie z zapewnieniami Amosa grzejnik był zimny - i... dotknął czegoś palcami. Koperta. Gruba, zielona koperta, doskonale zamaskowana za zielonymi żeberkami kaloryfera.

Wiedział, że zawiera drugi zestaw dokumentów przygotowanych przez ekspertów Corcorana i przysyłanych do Moskwy pocztą dyplomatyczną. Wepchnął je do papachy i szybko - lecz nie za szybko, żeby nie rzucać się w oczy - wyszedł na ulicę. Kilka przecznic dalej był telefon: miał tam zostawić znak, że odebrał przesyłkę.

Lecz gdy tylko stanął na chodniku, jego uwagę przykuł gwałtowny ruch po drugiej stronie ulicy. Odwrócił się i ujrzał znajomą twarz. Zesztywniał.

Był to ten przeklęty enkawudzista, blondyn o wyblakłych oczach: szedł ku niemu szybkim krokiem, nie dbając nawet o to, żeby zachować dyskretną odległość. Jakby wiedział, co Metcalfe tu robi, jakby wiedział, że ma przy sobie obciążające dokumenty!

Nie, nie mogli go złapać. Nie teraz, nie tutaj, nie z tymi papierami. Zostałby natychmiast aresztowany, uwięziony i stracony, szybko i bez procesu. Wszystko by się wydało, a śledztwo doprowadziłoby ich do Swietlany, którą też by stracono.

Serce waliło mu jak szalone, na czoło wystąpił pot. Konsekwencje wpadki byłyby niewyobrażalne! Skręcił w lewo, puścił się biegiem i w szybie okna wystawowego jakiegoś sklepu zobaczył, że blondyn pędzi za nim. Gwałtownie wyhamował, ponownie skręcił w lewo i szalonym zygzakiem przebiegł przez plac. Naśladując jego z pozoru chaotyczne ruchy i nie zwracając uwagi na przechodniów, blondyn wciąż deptał mu po piętach.

Ścigał go. Nie chodziło już o zwykłą obserwację: enkawudzista chciał go schwytać i aresztować.

Boże święty, nie! Stephen nie mógł do tego dopuścić.

Kolejny skręt i wąski przesmyk między dwoma walącymi się ze starości kamienicami. Szybciej. Szybciej!

Ale blondyn nie dał się zwieść. Skręcił w przesmyk i nagle... zwolnił. Dziwne. Zmęczył się? Już? Niemożliwe. Metcalfe zerknął przez ramię i zobaczył, że enkawudzista zwalnia jeszcze bardziej, odsłaniając w uśmiechu poszarzałe zęby. Chryste, dlaczego?

Przesmyk, a właściwie alejka skręcała w prawo. Stephen przyspieszył, dopadł rogu i wtedy wszystko zrozumiał.

To był zaułek, ślepy zaułek.

Alejka miała kształt litery L i donikąd nie prowadziła. Kończyła się tu, kilka metrów dalej.

Utknął w pułapce.

Zamarł, odwrócił się i zobaczył, że blondyn idzie ku niemu z pistoletem w rękę.

- *Stoj!* - W zaułku zadudniło echo. - *Stoj!* - Ręce do góry! - Enkawudzista przeszedł na angielski.

Dzieliło ich kilkadziesiąt kroków, to zbyt daleko na celny strzał. Zresztą czy blondyn w ogóle zamierzał strzelać? Chodziłby za nim tak długo tylko po to, żeby go teraz zabić? Mało prawdopodobne. Nie, chciał go wypytać, przesłuchać, chciał go prześwietlić.

Jednym płynnym ruchem Stephen wyjął zza pasa pistolet, ten od Hilliarda. Wyjął i błyskawicznie wycelował w blondyna.

Ale ten uśmiechnął się tylko i rzekł:

- To zły pomysł, towarzyszu Metcalfe. Nie ma sensu uciekać.

- Doprawdy?

- To nie wasze miasto. Znam te ulice lepiej niż wy. Wiedzieć coś, czego nie wie przeciwnik: to najważniejsze.

- Będę o tym pamiętał.

- Byłoby łatwiej, gdybyście zechcieli z nami współpracować. Chodźcie, porozmawiamy.

- Za co chcesz mnie aresztować? Za to, że jestem obcokrajowcem i przebywam w Moskwie? To przestępstwo?

- Wiemy o was znacznie więcej, niż myślicie.

Stephen popatrzył rozpaczliwie na zmurszałe ściany kamienic otaczających podwórko, w którym kończył się zaułek. Ani schodów przeciwpożarowych, ani oparcia dla stóp, ani występów, których mógłby się przytrzymać. To nie był Paryż. To była Moskwa.

Czyżby mieli go schwytać z podrobionymi dokumentami? Nie, to nie do pomyślenia.

Będzie musiał je wyrzucić, tylko gdzie? Cholera jasna, nie było tu żadnego schowka, żadnego miejsca, z którego blondyn nie mógłby ich wydobyć.

Była za to stara miedziana rynna na ścianie jeszcze starszej kamienicy. Nie robiła wrażenia zbyt trwałej i solidnej, lecz nie miał innego wyjścia.

- Dobrze - powiedział, nie opuszczając broni. - Stój, ani kroku dalej. Pogadamy.

Blondyn stanął. Trzymając pistolet w obu rękach i wciąż do niego mierząc, kiwnął głową.

Metcalfe wycelował tuż nad jego ramieniem i wypalił, nagle i bez ostrzeżenia. Enkawudzista pochylił się, natychmiast odpowiedział ogniem, lecz chybił o dobrych kilka metrów. Chybił celowo, z rozmysłem.

Ułamek sekundy później, wykorzystując chwilowe zamieszanie, Stephen wetknął pistolet za pasek spodni, skoczył do rynny, objął ją obiema rękami i zaczął się wspinać.

- Jeśli w ogóle coś o mnie wiesz — krzyknął - na pewno wiesz i to, że nie dam się złapać!

Stara rynna puściła, lecz wciąż trzymała na szczycie i w kilku miejscach na ceglanej ścianie, tak że mocno odpychając się nogami, szybko pokonał trzy czwarte wysokości piętrowej kamienicy.

Blondyn ponownie otworzył ogień, ale musiały to być strzały ostrzegawcze, bo znowu chybił.

- Nie uciekniesz! - krzyknął. - Tym razem nie spudłuję. Jeśli nie zejdziesz, następna kula trafi w ciebie!

Metcalfe wspinał się dalej. Strzały umilkły i na ziemi zaklekotał pusty magazynek: Rosjanin przeładował broń. Gzyms. Stephen wyciągnął rękę, żeby się go przytrzymać, lecz w dłoni pozostał mu jedynie stary, zmurszały tynk, który odszedł od cegieł jak cukrowa polewa od ciasta. Rynna, ta biegnąca tuż pod dachem, zdawała się bezpieczniejsza, więc chwycił się jej i wciągnął na płaski dach w chwili, gdy w gzyms pacnęły kule. Blondyn znowu strzelał i tym razem celował w niego. Nie były to już strzały ostrzegawcze.

Pokryty dziurawą papą i najeżony wywietrznikami dach miał około sześciu metrów szerokości. Ślizgając się na śniegu i lodzie, Metcalfe przebiegł na drugą stronę i dwa kroki przed gzymsem omal nie upadł. Spojrzał w dół. Poniżej była wąska ulica poprzecinana szynami tramwajowymi. Ulica, a na ścianie domu żelazna drabina: miły widok. W zaułku rozbrzmiały kroki enkawudzisty: blondyn zawrócił. Musiał dojść do wniosku, że Metcalfe ucieknie właśnie tędy, że nie ma innego wyjścia i pędził teraz na Puszkina, żeby odciąć mu drogę na najbliższym skrzyżowaniu. Tylko dlaczego był sam? Agenci NKWD zawsze pracowali grupami, zespołowo, a dobry zespół załatwiłby szybko sprawę. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że blondyn o wyblakłych oczach, najlepszy z tych, jakich na niego nasłano, działa sam, w pojedynkę, jak samotny wilk. W pojedynkę? Nie, chyba jednak nie. Po prostu dopadł go wcześniej, przed kolegami, i czeka teraz na pozostałych.

Stephen stanął na pierwszym szczeblu zardzewiałej drabiny, szybko zsunął się na dół i wbiegł na poprzecinaną szynami jezdnię, która kilkadziesiąt metrów dalej łączyła się z jezdnią szerokiej alei. Rozejrzał się na wszystkie strony, szukając najlepszej drogi ucieczki i w tym samym momencie doszedł go tupot nóg tamtego.

Kilka kroków dalej było podziemne przejście; tego rodzaju przejścia pojawiły się w Moskwie niedawno, wraz z nastaniem ery samochodowej. Skoczył w tamtą stronę i pokonując po dwa stopnie naraz, przepychając się przez tłum przechodniów, zbiegł na dół. Korytarz i wejście do metra.

Metro. Nigdy dotąd nie jechał moskiewskim metrem. Gdy był tu przed sześciu laty, dopiero je budowano, lecz wiedział, że jest podobne do paryskiego, że w plątaniu krzyżujących się ze sobą tuneli łatwo zgubi swego prześladowcę. Bardzo ryzykował, ale teraz ryzykowny był każdy krok, a nic nie dorównywało niebezpieczeństwu wpadki z podrobionymi dokumentami w czapce. Biegnąc w kierunku bramek obrotowych, rozpaczliwie wypatrywał kosza na śmieci, do którego mógłby je wrzucić. Nie wypatrzył żadnego.

Budka, przed budką długa kolejka i jeszcze dłuższa kolejka do bramek. Co ci ludzie robili? Kupowali żetony? Nie wiedział, czy do otworu wrzuca się żeton, czy monetę i nie miał czasu o to pytać. Spojrzał w prawo, zerknął w lewo. Zobaczył dwie umundurowane milicjantki i postanowił zaryzykować. Przebiegł wzdłuż kolejki, przeskoczył bramkę i popędził dalej. Rozległ się krzyk, przeraźliwie zagwizdał gwizdek. Ścigali go, blondyn o wyblakłych oczach na pewno też, ale nie miał zamiaru tego sprawdzać.

Przemknął między marmurowymi kolumnami. Wyłożone mozaikami ściany, kryształowe żyrandole: widok był oszałamiająco piękny i zupełnie nieoczekiwany. Stalin nazwał metro „ludowym pałacem” i dopiero teraz Stephen zrozumiał dlaczego. Łukowate przejście, w przejściu tłum ludzi i ruchome schody. Sunęły do góry, w przeciwną stronę: nie zwracając uwagi na gniewne protesty pasażerów, przepchnął się przez nich i popędził w dół. Schody - bardzo strome i poruszające się z zadziwiającą wprost prędkością - były niemiłosiernie zatłoczone. Z trudem torował sobie drogę, lecz nie mógł przecież zawrócić, gdyż natychmiast wpadłby w łapy enkawudzystów. Dlatego pędził przed siebie, zderzając się co chwila z napierającymi ludźmi. Pędził? Nie, biegł za wolno, stanowczo za wolno!

Krzyki, tupot nóg, gwizd policyjnego gwizdka: tamci siedzieli mu na karku. I było ich teraz więcej, gdyż do enkawudzisty dołączyli koledzy. Grzęznąć w tłoku, zauważył sześćdziesięciocentymetrowej szerokości poręcz po obu stronach schodów. Wskoczyć na nie? Zbiec nimi na dół? Dałby radę? Między poręczami zamontowano lampy, ozdobne kandelabry rozświetlające mroczny tunel.

Nie miał wyboru. Wskoczył na stalową poręcz, tłukąc przy okazji szklany klosz lampy. Rozległ się krzyk. Poręcz była stroma i śliska. Zaczął się zsuwać, roztrzaskując lampę po lampie, by w końcu przytrzymać się niskiego, łukowatego sufitu, przykucnąc i na czworakach zejść na dół.

Zeskoczył na posadzkę - omal nie wpadając na siedzącą przy schodach milicjantkę, starą jędzę, która z przeraźliwym wrzaskiem zerwała się na równe nogi - i nieświadom rozpętanego przez siebie chaosu, pognął dalej.

Pociąg, z którego wysiadł tłum jadących schodami ludzi, wciąż stał na peronie. Zabuczał sygnał, sekwencja czterech tonów, znak, że zaraz odjedzie. Stephen wskoczył do najbliższego wagonu w chwili, gdy zamykały się drzwi.

Wskoczył i upadł na podłogę, nie zwracając uwagi na przerażonych pasażerów. Starzec i małe dziecko, najpewniej wnuczek, zrobili dwa kroki do tyłu. Dziadek objął chłopca i mocno go przytulił.

Udało mu się, a jednak! Pociąg ruszył. Enkawudzista został na peronie, na stacji. Mimo to trzeba było założyć, że tamci są na takie przypadki przygotowani. Mogli zadzwonić na następną stację, mogli połączyć się z nią drogą radiową: blondyn, człowiek wyjątkowo zaradny i przedsiębiorczy, na pewno już to zrobił, na pewno uprzedził już kolegów.

Lecz gdy Stephen wstał, natychmiast stwierdził, że bynajmniej go nie zgubił.

Blondyn wciąż tam był, tam, w sąsiednim wagonie, i właśnie szarpał się z drzwiami, które otwierano tylko w razie awarii lub niebezpieczeństwa. Chryste! Jakby przywiązali go do niego sznurem! Po chwili odwrócił się i ruszył na koniec przedziału, żeby wezwać na pomoc konduktora, a może *milicjoniera*, milicjanta. Czy jakiś tam był? Tam albo w następnym?

Przeraźliwy pisk hamulców, silny podmuch powietrza i pociąg stanął w połowie tunelu. Po lewej i prawej stronie widniały tylko czarne ściany.

Enkawudzista zmusił maszynistę do zatrzymania składu. A może tylko pociągnął za hamulec bezpieczeństwa?

Metcalf nie zamierzał ułatwiać mu zadania. Podbiegł do drzwi, wsunął palce między gumowe uszczelki i spróbował je rozewrzeć. Ale drzwi ani drgnęły. Gdy pociąg był w ruchu, otwierający je mechanizm skutecznie blokował oba skrzydła i chociaż Stephen rozpaczliwie się z nimi szarpał, nie ustąpiły ani na centymetr. Mały chłopiec, który obserwował go z kolan

dziadka, wybuchnął płaczem. Siedzący obok mężczyzna zaczął krzyczeć i gwałtownie wymachiwać rękami.

Okna. Może okna? Tu miał więcej szczęścia, bo się otwierały, przynajmniej jedno. Wszedł na skórzane siedzenie i wyciągnął rękę: od ściany tunelu dzieliła go odległość kilkudziesięciu centymetrów. Przytrzymał się zwisających z sufitu uchwytów, podciągnął nogi, wysunął je na zewnątrz, skoczył i boleśnie wylądował na szutrze. Wagon był wysoki, wyższy, niż myślał.

Ale nic to: najważniejsze, że wydostał się z pociągu. Tylko co teraz?

Ruszył bokiem wzdłuż ściany. Dobiegające z wagonu krzyki były coraz głośniejsze. Tunel rozświetlały jedynie okna pociągu, ale nawet w sączącym się z nich mdławym blasku na ścianie widać było rząd ciągnących się w regularnych odstępach nisz, płytkich zagłębień, w których pracujący w metrze robotnicy chronili się przed przejeżdżającymi pociągami.

Przypomniał sobie, że ma w worku latarkę. Wyjął ją, zapalił i w tym samym momencie huknął strzał, jeden, drugi i trzeci. Rozpętała się kanonada, w tunelu zadudniło echo, zagrzecotał grad kul. Stephen odwrócił się i zobaczył blondyna, który strzelał do niego z sąsiedniego wagonu, wysunąwszy przez okno uzbrojoną w tokariewa rękę. Najwyraźniej miał dość i już nie chciał go aresztować: chciał go po prostu zabić, zrobić wszystko, żeby uniemożliwić mu ucieczkę.

Metcalf nie mógł się nawet uchylić - pociąg dzieliła od ściany odległość ledwie sześćdziesięciu centymetrów - mógł jedynie przykucnąć, przypaść do ziemi, lecz wszystko na nic, bo kanonada nie milkła. Wyszarpnął zza pasa pistolet, chwycił go obiema rękami, wycelował i odpowiedział ogniem, ale zdołał wystrzelić tylko dwa razy, gdyż blondyn odskoczył od okna.

Rozległ się nowy hałas: silnik elektrowozu zwiększył obroty. Pociąg ruszył. Stephen błyskawicznie wstał, uciekł spod kół i przywarł do ściany tunelu. Poczul silny podmuch powietrza i drgnął, gdy kilkanaście centymetrów od jego twarzy śmignęła stalowa burta wagonu. Nie mógł się poruszyć. Rozpłaszczony na ścianie był zupełnie bezbronny, stanowił doskonały, bo nieruchomy cel. Podniósł pistolet i mając do dyspozycji ledwie kilka centymetrów wolnej przestrzeni, spróbował wycelować w okno. Nie zdążył. W kalejdoskopie migotliwych światła za szybą dostrzegł wyblakłe oczy ścigającego go blondyna i wymierzoną broń: enkawudzista celował prosto w jego twarz. To już koniec, pomyślał Stephen. Nie mogę się poruszyć, nie mogę się bronić. Ale nie, po moim trupie! Objął się wpół, żeby utrzymać równowagę i nie wpaść pod koła, i szybko osunął się w dół. Trwało to sekundę, może dwie. Blondyn wykrzywił usta w uśmiechu, zmrużył oko i pociągnął za spust: trąc plecami o ścianę tunelu, Stephen zobaczył pomarańczowo-biały rozbłysk wystrzału i poczul w ramieniu rozdzierający ból.

Po chwili było już po wszystkim. Pociąg przejechał, a on runął na ziemię, na szyny. Dotknął rany i poczul lepką krew pod grubym, robotniczym waciakiem. Wyglądało na to, że kula tylko go drasnęła: krwotok był silny, rana bolesna, lecz lekka. Najważniejsze, że żył. Pomacał pod pazuchą. Zaszeleścił sztywny celofan. Dokumenty wciąż były na miejscu.

Musiał uciekać, tylko jak? Odległość między stacjami moskiewskiego metra dochodziła do dwóch kilometrów, lecz gdyby musiał, na pewno by do którejś doszedł, chociaż piekielnie bolało go ramię. Blondyn wiedział, że jego kula dosięgła celu, lecz było mało prawdopodobne, by założył, że go zabiła. Mało prawdopodobne i nierozsądne - zbyt nierozsądne jak na agenta tak dokładnego i przebiegłego. Najpewniej wysiadł na następnej stacji i czekał, aż Metcalfe na niego wyjdzie albo zbierał już ludzi do przeszukania tunelu. Wymagałoby to wstrzymania ruchu pociągów, lecz ci z NKWD na pewno by z tym sobie poradzili. A więc co? Zawrócić? Iść dalej, do następnej stacji, gdzie mogli już na niego czyhać? Nie, to zbyt niebezpieczne, i jedno, i drugie.

Ponownie utkwiał w potrzasku.

Ale tu też nie mógł zostać. Musiał znaleźć inne wyjście - przecież musiało gdzieś być. Szedł wąskim gzymsem, czujnie nad słuchując dalekich odgłosów nadjeżdżającego pociągu, omiatając światłem latarki ściany i sufit tunelu, wypatrując szybów wentylacyjnych, włazów, przejazdów, czegokolwiek, czym mógłby się stąd wydostać. Tunel skręcał w prawo i kilkadziesiąt metrów za zakrętem tory się rozchodziły. Ale podszedłszy bliżej, stwierdził, że jednak nie, że to nie koniec, tylko początek nowej nitki metra, że jest nowa, jeszcze nieużywana bocznica. Nieco dalej tory wpadały do kolejnego tunelu, a ten był dopiero w budowie. Miał częściowo wzmocnione cegłami ściany, a w niektórych miejscach między stalowymi dźwigarami i belkami stropowymi widać było ziemię.

Obiecujące, bardzo obiecujące. Tunel w budowie musiał mieć jakieś wejście, szyb, którym schodzili tu robotnicy. Stephen skręcił i niemal natychmiast uderzył go silny odór siarkowodoru. Gdzieś w pobliżu przebiegał kanał ściekowy. Na ziemi walało się kilka butelek po wódce. Robotnicy ich raczej nie zostawili: czyżby znaleźli dowód, że szukali tu schronienia bezdomni włóczędzy? Jeśli tak, musieli się tu jakoś dostać i jakoś się stąd wydostać.

Szedł powoli - pół godziny, może godzinę - walcząc z pulsującym bólem ramienia. Wciąż krwawił i bardzo osłabł. Wiedział, że powinien opatrzyć sobie ranę, tylko gdzie? Tylko jak? Do szpitala iść nie mógł, gdyż natychmiast zasypano by go pytaniami i zawiadomiono milicję. Na pewno pomógłby mu Roger, lecz z bólem serca przypomniał sobie, że Roger już nie żyje. Pozostawała jedynie Lana. Tak, dostarczy jej dokumenty, a ona zaprowadzi go do lekarza.

Im dalej, tym tunel był bardziej wykończony. Najwyraźniej budowano go od zewnątrz do wewnątrz. Wyłożone cegłą ściany, nowe szyny - kolejność prac trochę go zdziwiła, lecz z drugiej strony w Związku Radzieckim wszystko było dziwne.

I nagle tunel się skończył, nagle wyrosły przed nim ciężkie, stalowe wrota, płaskie, gładkie, bez żadnej klamki czy uchwytu. Najpewniej miały strzec tunelu przed intruzami i otwierał je tylko odpowiedni klucz. Oglądał je i badał przed dobre pięć minut, ale sprawa była beznadziejna. Tędy wyjść nie mógł.

Sfrustrowany, znużony i obolały ruszył z powrotem. Koszmar. Pograżył się jeszcze bardziej, gdyż musiał teraz wrócić do głównego tunelu i dojść do jakiejś stacji, gdzie już na niego czekali. Gdyby nie rana, spróbowałby przeczekać: ukryłby się w jakimś zakamarku i mógłby przesiedzieć tam kilka godzin, może nawet dni. Ale rana ciągle krwawiła i wiedział, że długo tak nie wytrzyma.

Musiał coś wymyślić, musiał coś zrobić, tylko co?

Zdawało mu się, że słyszy jakieś głosy, więc przystanął i znieruchomiał. Tak, to na pewno głosy. Ale skąd dochodziły?

Od głównego tunelu wciąż dzieliło go kilkaset metrów. Czyżby to tamci, ci z NKWD? Chcieli go tu dopaść, odciąć mu jedyną drogę ucieczki?

Ale nie. Głosy dochodziły nie z przodu, tylko z boku, z prawej strony. Niemożliwe. Po prawej stronie była goła ściana i...

Kolejne stalowe drzwi, drzwi, a raczej właz. Poprzednio ich nie zauważył, ponieważ wbudowano je bardzo nisko, tuż nad ziemią, za stalowymi wspornikami, i pomalowano na ciemnoczerwono, na kolor zlewający się z barwą cegieł. Ukłękł i przytknął do nich ucho.

Tak, głosy. Ludzie głosy.

Lecz nie były to szczekliwe rozkazy, odgłosy pościgu: był to cichy szmer rozmów. Kto tam jest? Kto i co? Może jakieś wyjście? Musiał to sprawdzić, nie miał wyboru.

Dopiero teraz zobaczył, że pokrywa włazu nie jest pomalowana, tylko zardzewiała. Z lewej strony miała uchwyt i okrągły rygiel i była bardzo stara, dużo starsza niż warstwa otaczających ją cegieł. Ostrożnie przekręcił rygiel i powoli pociągnął za uchwyt. Właz zaskrzypiał, rdzawo zazgrzytał. Metcalfe znieruchomiał, lecz po krótkiej chwili wahania pociągnął za

uchwyt ponownie, wolniej, ostrożniej niż przedtem, i uchylił go na tyle, żeby zajrzeć do środka. W twarz uderzył go podmuch ciepłego powietrza.

To, co zobaczył, zaskoczyło go i zdumiało.

W migotliwym świetle ogniska ujrzał olbrzymią halę o wyłożonych zielonym marmurem ścianach i marmurowej posadzce. Właz znajdował się około trzech metrów nad posadzką i prowadziła doń żelazna drabina. Hala miała kilkaset metrów kwadratowych powierzchni i sześć metrów wysokości. Na jej przeciwległym końcu było coś w rodzaju podestu, za podestem zaś stało wielkie marmurowe popiersie Józefa Stalina. Pośrodku płonęło małe ognisko. Wokół ogniska siedziało trzech brudnych, obdartych mężczyzn. Obok nich leżały koce.

Włóczędzy? Co tu robili? I co ważniejsze: czym była ta imponująca, monumentalna hala?

Jeden z kloszardów podniósł wzrok, wskazał go ręką i krzyknął:

- Sierioża!

I nagle coś się na Stephena zważyło, coś huknęło go w kark. Odwrócił się i zobaczył atakującego go mężczyznę, brodacza z obłędem w oku, wywijającego stalowym łomem. Runął na niego całym ciałem, wyrwał mu łom, przygniótł go do ziemi, chwycił za włosy i grzmotnął jego głową o beton. Brodacz wydał ścinający krew w żyłach krzyk. Stephen wbił mu kolano w brzuch i warknął:

- Ty kto? NKWD? W przebraniu?

Brodacz jęknął; prawie nie mógł oddychać.

- NKWD? - wychrypiał. - Ja pieprzonym czekistą? To ty jesteś z NKWD! A może z milicji?

Zadzwoniły szczeble drabiny i w otworze włazu ukazała się głowa jednego z włóczędzów. W rękę ścisnął stary, zabytkowy rewolwer, dziewiętnastowiecznego galanda.

- Puść go, pierdolony czekisto, albo rozwalę ci łeb! - ryknął. Metcalfe wyjął zza pasa pistolet i wciąż przytrzymując brodacza, nonszalancko wymierzył.

- Rzuć ten muszkiet, bo wydlubiesz sobie oko - powiedział.

Stojącemu na drabinie włóczędze zadrżała ręka.

- Puść go - powtórzył.

- Puszczę go, ale najpierw odłóż tę głupią pukawkę. Nie jestem enkawudzistą. Gdybym był z NKWD, miałbym tokariewa, a nie smitha&wesson. Cholera jasna, nie widzisz, że jestem ranny? Nie widzisz, że krwawię?

Tamten tracił pewnośc siebie, coraz bardziej się wahał.

- Ja przed nimi uciekam - mówił dalej Stephen - przed milicją i NKWD, i widzę, że macie tu od cholery miejsca. Starczyłoby i dla mnie.

- Ale... Ale kto ty jesteś?

Kilka minut później siedzieli już w piątkę przy ognisku. Sierioża, ten z łomem, miał na czole paskudnego siniaka.

Stephen zdjął waciak i przewiązał ranę kawałkiem brudnego prześcieradła od włóczędzi z antycznym rewolwerem. Powiedział im, że przyjechał tu z Ukrainy, że brał udział w nieudanym napadzie, że uciekł do metra przed milicją.

- A wy? - spytał. - Długo tu mieszkacie? I ta hala: co to właściwie jest?

- Schron - odrzekł mężczyzna imieniem Arkady.

Metcalfe posłał mu sceptyczne spojrzenie.

- Schron? Marmurowy?

- A co? Chciałbyś, żeby nasi przywódcy cierpieli niewygody? - Arkady zapalił papierosa. Poczęstował Stephena, lecz ten podziękował. - To część kompleksu numer 2: tunel specjalny.

Metcalfe kiwnął głową.

- Dla specjalnego pociągu partyjnej elity. - Słyszał plotki na ten temat, czytał raporty

wywiadowcze z Moskwy: władcy Kremla kazali ponoć zbudować sobie tajną linię, którą w razie niebezpieczeństwa mieli dojechać do podziemnego miasta leżącego prawie osiemdziesiąt kilometrów od stolicy.

- W naszym bezklasowym społeczeństwie niektórzy są równiejsi od innych - mruknął zgryźliwie Arkady.

- Mają tu tylko jeden czy więcej?

Mężczyźni parsknęli śmiechem.

- To cud, że te wszystkie wysokie domy nie runą i nie zapadną się pod ziemię! - odparł siwobrody kloszard o wyglądzie starego profesora w długim, czarnym, obszarpanym palcie. - Wiesz, ile tu dziur, ile tuneli i korytarzy? Dwanaście poziomów, a w niektórych miejscach szyby mają kilkaset metrów głębokości. To gigantyczna sieć bunkrów i tajnych schronów dla Stalina i jego bandy. A wszystko zbudowane rękami więźniów i skazańców.

- Myślałem, że komsomolców - wtrącił oschle siedzący obok niego mężczyzna.

Jego koledzy ponownie wybuchli śmiechem.

- Ochotników z Komsomołu ściągnięto tylko pod publiczkę, dla fotografów - wyjaśnił profesor. - Tak naprawdę wszystkie tunele wybudowali więźniowie kilofami i łopatami, w skale i w zmarzlinie.

- Przecież carowie grzebali w ziemi już od wieków - dodał Arkady. - Iwan Groźny kazał zbudować pod Kremllem salę tortur, a potem zabił kopaczy, żeby niczego nie wygadali. Jego dziadek ukrył tam bezcenną kolekcję hebrajskich i bizantyjskich zwojów. Włożył je do egipskiego sarkofagu i schował tak dobrze, że nigdy ich nie odnaleziono.

- Tak, słynna zagubiona biblioteka Iwana Groźnego - mruknął profesor. - Iwan ponoć ją znalazł. Znalazł i kazał ponownie ukryć. A nasz Iwan Groźny, nasz Stalin? Podobno kazał kopać tu groby. Wszędzie, pod całą Moskwą. Zabił miliony ludzi i musiał ich gdzieś pochować.

- A te schrony? - spytał Metcalfe. - Kiedy je zbudowano?

- Zaczęto w dwudziestym dziewiątym - odrzekł Arkady - ale budowa wciąż trwa.

- Stalin spodziewa się ataku na Moskwę.

- Oczywiście.

- Przecież podpisał z Niemcami pakt.

- Stalin zawsze spodziewa się wojny! Wojny, ataku, napaści. Ciągłe gada o kapitalistach, o wrogach, którzy czekają na odpowiedni moment, żeby udusić bolszewickie dzieciątko w kołysce.

- A więc jeśli Niemcy zaatakują...

- Będzie przygotowany - odrzekł Arkady. - O Stalinie trzeba wiedzieć jedno: on zawsze jest przygotowany. I nigdy nie ufa sojusznikom. Ufa tylko samemu sobie. Ale czemu o to pytasz? Złodziej, którego interesuje polityka i wojna?

- A wy? - odbił piłeczkę Stephen. - Kim jesteście? Przepraszam, że to mówię, ale jesteście zbyt wygadani jak na zwykłych...

- Włóczęgów? Kloszardów? Widzisz, sęk w tym, że my naprawdę jesteśmy bezdomnymi włóczęgami i kloszardami. W tym społeczeństwie nie ma dla nas ani pracy, ani mieszkań. Jesteśmy uciekinierami.

- Uciekinierami? Przed kim uciekacie?

- Przed NKWD. Cała nasza czwórka zbiegła przed prokuratorem i tajną policją. Ale tu, w podziemiach, na pewno ukrywa się więcej takich jak my. Dziesiątki, jeśli nie setki.

- Udało wam się uciec?

- Uciekliśmy, zanim nas dopadli. Jednych wezwano na Łubiankę, innych ostrzeżono przed aresztowaniem.

- Aresztowaniem za co?

- Za co? - prychnął Sierioża; odezwał się dopiero teraz, pierwszy raz od starcia z

Metcalfe'em. - Aresztują ludzi na chybił trafił. Bez powodu, bez najmniejszego powodu. Mieszkasz na Ukrainie? I co? U was jest inaczej?

- Nie, nie - odrzekł pośpiesznie Stephen. - Tak samo. Potrzebuję pomocy. Muszę się stąd wydostać. Ja też uciekam przed NKWD.

- Ty polityczny? - spytał profesor. - Tak jak my?

- Tak, chyba tak - odrzekł z wahaniem Metcalfe. - Na swój sposób na pewno - dodał po namyśle.

Rozdział 27

Cementowe podwórze było małe i opustoszałe, podobnie jak otaczające je kamienice w tym odludnym i zaniedbanym rejonie Moskwy. Wszędzie fruwały niesione wiatrem gazety, wszędzie leżały sterty śmieci. Nikt tu nigdy nie sprzątał, nikt tu nigdy nie zaglądał. „Podwórze” było określeniem zbyt dumnym dla tego smutnego, zapomnianego przez wszystkich spłachetka betonu, w który wbudowano okrągłą, żelazną pokrywę.

Nikt nie widział, że pokrywa nagle się obróciła. Nikt nie widział, że się uniosła. Nikt nie widział samotnego mężczyzny, który wyszedł ze studzienki po żelaznej drabinie ginącej w labiryncie korytarzy i odprowadzających ścieki kanałów. Mężczyzna zamknął pokrywę i szybko odszedł.

Nikt go nie zauważył. Nikt nie widział, jak znika w płataninie uliczek robotniczej części miasta.

Mniej więcej półtorej godziny później na inne podwórze w innej, znacznie ładniejszej dzielnicy Moskwy wjechała wyładowana drewnem ciężarówka, stary, rozklekotany GAZ-42. Wjechała i w kłębach spalin z rury wydechowej zatrzymała się przed zsysem na tyłach eleganckiej kamienicy przy Pietrowce.

Kierowca i jego pomocnik wysiedli i zaczęli zrzucać opał, drewno, które lądowało z hukiem na drewnie w piwnicy. Dostawa nie była planowana, ale w środku mroźnej moskiewskiej zimy żaden transport opału nie wzbudzał najmniejszych podejrzeń. Gdy z ciężarówki zrzucono pokaźną część ładunku, pomocnik kierowcy zszedł do piwnicy i zaczął układać drewno w równą stertę. Niedługo potem na dół zszedł i kierowca. Zszedłszy, przystanął w drzwiach i znacząco odkaslnął, a wówczas pomocnik wsunął mu do ręki gruby zwitek rubli. Ich wartość była dużo większa od wartości drewna i miała mu wynagrodzić nieplanowany postój.

Ten, kto by ich obserwował - choć nie obserwował ich nikt - byłby zaskoczony, że schowawszy pieniądze, kierowca wskoczył do szoferki i szybko odjechał, zostawiając pomocnika w piwnicy.

Dwie minuty później Stephen wyszedł na podwórze, wbiegł schodami na górę, stanął przed znajomymi, obitymi skórą drzwiami i wcisnął guzik dzwonka. Czekał. Ilekroć tu bywał, serce biło mu szybko i mocno, ale tym razem biło tak nie z podniecenia, tylko ze strachu. Dotarł tu niezauważenie dzięki Sierioży, bezdomnemu z metra, którego obezwładnił przed wejściem do tajnego schronu, i jego znajomemu kierowcy. Mimo to przychodząc do Lany, bardzo ryzykował. Poza tym obiecał jej, że nigdy tego nie zrobi i właśnie tę obietnicę złamał.

Usłyszał ciężkie kroki i gdy otworzyły się drzwi, bez zaskoczenia ujrzał pomarszczoną twarz gospośi, a może kucharki.

- *Da? Czewo wy chotitie?*

- *Ja Stiwa. Lana doma?*

Babuszka zmrużyła oczy: na pewno go rozpoznała, ale nie dała tego po sobie poznać. Zamknęła drzwi i zniknęła w głębi mieszkania.

Minutę później drzwi otworzyły się ponownie i tym razem w progu ujrzał Lanę. Z jej oczu bił gniew, lęk i coś jeszcze - czułość?

- *Wchodź!* - szepnęła. - *Szybko!*

Wszedł, a ona zamknęła drzwi.

- *Dlaczego, Stiwa? Dlaczego przyszedłeś? Przecież obiecałeś, że...*

- *Postrzelili mnie - przerwał jej cicho i spokojnie. - Rana jest lekka, ale trzeba ją opatrzyć. Wdało się już zakażenie, a będzie jeszcze gorzej.*

Nie kłamał. Pulsujący ból w ramieniu szybko przybierał na sile i do pewnego stopnia ograniczał jego ruchy. Poszukiwanie profesjonalnej pomocy medycznej nie tylko nie wchodziło w grę, ale i było niepotrzebne. Lana miała dobrze wyposażoną apteczkę i mogła zająć się nim sama.

- Postrzelili? Kiedy? Gdzie?

- Wszystko ci opowiem, ale nie denerwuj się, nie ma czym.

Z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Postrzelili! - powtórzyła. - Cóż, będziemy musieli działać szybko. Za niecałą godzinę wraca ojciec. - Dała gosposi wolne na resztę dnia i wprowadziła go do wygodnie urządzonego pokoju pełnego książek i ozdobionego wspaniałym turkmeńskim dywanem, jedną z niewielu rzeczy, które pozostały jej z rodzinnego majątku.

- Chodźmy do kuchni - powiedziała. - Opatrzę cię. W maleńkiej kuchni pachniało naftą. Lana nastawiła wodę i czekając, aż się zagotuje, pomogła mu zdjąć brudny wacik i rozpięła koszulę, która zdążyła już przywrzeć do zakrwawionego ramienia. Odsłoniwszy ranę, głośno zacmokała, a on skrzywił się z bólu.

- Źle to wygląda. - Nalała do szklanki mocnej czarnej herbaty i osłodziła ją kilkoma lepkiemi cukierkami. - Masz, pij. Przygotuję narzędzia. Jesteś głodny?

- Jak wilk.

- Mam pierożki z mięsem, kapuśniak i trochę wędzonej ryby. Może być?

- Wspaniale.

Obserwował ją, gdy krzątała się po kuchni, nalewając mu zupy z garnka na płycie i wyjmując pierożki z wywieszanej za okno siatki. Miał przed sobą inną Lanę, Lanę, jakiej do tej pory nie widział. Pokazała mu swoje domowe oblicze, oblicze kobiety czułej i troskliwej, jakże inne od oblicza ognistej diwy, pięknej primabaleriny. Jakie to dziwne, pomyślał, jednocześnie jakie cudowne, że tak różne aspekty ludzkiej natury potrafią ze sobą współistnieć.

- Nasze mieszkanie musi wydawać ci się bardzo małe i ciasne - powiedziała.

- Nie, jest piękne.

- Opowiadałeś mi kiedyś, jak dorastałeś. O waszym bogactwie, o domach, o służących. W porównaniu z tym to mała, smutna klitka.

- Może i klitka, za to ciepła i wygodna.

- Mamy szczęście, że w ogóle ją mamy. Mieszkamy tu tylko we dwoje, tato i ja. Po śmierci mamy mogli przenieść nas do komunalnego. Komunalne są potworne, brudne i cuchnące. Bardzo się tego baliśmy. Ale tato ma zasługi, jest bohaterem i dali nam spokój. U nas to przywilej. Mamy kuchenkę gazową, grzejnik na wodę w łazience i nie musimy chodzić do łaźni, jak większość naszych przyjaciół.

- Ojciec jest bohaterem Związku Radzieckiego, tak?

- Tak, dwukrotnym. Ma też Order Zwycięstwa.

- Był jednym z najśłynniejszych generałów. - Stephen zjadł łyżkę kapuśniaku, gorącego i pysznego.

- Tak. Nie tak słynnym jak marszałek Żukow czy Tuchaczewski, ale służył pod Tuchaczewskim podczas kampanii syberyjskiej. Pobił Kołczaka, a w 1920 Denikina na Krymie.

Metcalfę spojrział na jego fotografię i pogrążył się w zadumie.

- Wiesz - powiedział - mam tu znajomych, starych, wysoko postawionych przyjaciół, urzędników różnych ministerstw, którzy dużo wiedzą. Podobno ci z NKWD założyli coś, co nazywają księgą śmierci, listę ludzi przeznaczonych...

- Na stracenie. Tak, jest na niej mój ojciec.

- Lano, nie wiedziałem, czy ci o tym powiedzieć, jak ci powiedzieć...

- Myślałeś, że nie wiem? - Gniewnie błysnęła oczami. - Myślałeś, że się tego nie spodziewamy? Ani ja, ani ojciec? Wszyscy jego koledzy, wszyscy generałowie czekają, aż NKWD zapuka do ich drzwi. Jeśli nie dziś, to jutro. Jeśli nie jutro, to w przyszłym tygodniu,

w przyszłym miesiącu.

- Ale szantaż von Schusslera...

- Jego czas na pewno nadejdzie. Kiedy? Nie wiem, ale nie zamierzam tego przyspieszać. Powiem ci jedno: ojciec już się z tym pogodził. Czekaj, aż zapukają. Myślę, że gdy w końcu przyjdą, powita ich z ulgą. Co rano żegnam się z nim, jakbym widziała go ostatni raz. - Przemysła ranę i zaczęła odkażać ją wacikiem nasączonym jodyną. - Nie trzeba szyc. I dzięki Bogu, bo nie umiem nawet zacerować pończoch, nie wspominając już o ludzkiej skórze... Cóż za straszliwa ironia, prawda?

- Ironia? Jak to?

- A może i nie, może to do nas pasuje. Ciągłe myślę o Tristanie. Pamiętasz, to właśnie rana pchnęła go w ramiona Izoldy. Musiała go pielęgnować, przywrócić go do zdrowia.

Gdy przyłożyła do rany plaster, Metcalfe zacisnęła zęby.

- Była cudowną uzdrowicielką, tak samo jak ty. - Wypił łyk mocnej herbaty. -Niestety, o ile dobrze pamiętam, rana okazała się śmiertelna, prawda?

- Raniono go dwa razy. Za pierwszym razem w boju z jej narzeczonym, którego zabił. Rana nie chciała się zagoić. Mogła go wyleczyć tylko Izolda, cudowna uzdrowicielka, dlatego pojechał jej szukać. Gdy zdała sobie sprawę, że zamordował jej narzeczonego, próbowała się zemścić, ale spotkali się wzrokiem i broń wypadła jej z ręki.

- Samo życie, co? - mruknął z sarkazmem Stephen. - Potem raniono go drugi raz, a ponieważ Izolda nie mogła go uratować, umarli razem w wiecznej ekstazie. W świecie baletu i opery nazywają to happy endem. Bomba.

- Oczywiście, bo już nic nie mogło ich rozdzielić. Ich miłość była nieśmiertelna.

. - Jeśli to jest szczęśliwe zakończenie, wolę nie wiedzieć, jak wygląda tragiczne. - Zjadł pierożka. - Pychota.

- Dziękuję. Tragedią jest to, co tu przeżywamy, Stiwa. Tragedią jest nasza codzienność w Rosji.

Metcalfe pokręcił głową.

- Lano, co ty chcesz przez to powiedzieć? - spytał z uśmiechem.

Teatralnie zatrzepotała rękami: *faux naive*.

- Nic, Tristanie. To znaczy, Stiwa. Może tylko to, że rana Tristana jest dużo głębsza. Ta rana to poczucie winy, a takie nigdy się nie goją.

- Teraz wiem już na pewno, że do czegoś zmierzasz. - Stephen powiedział to żartobliwie, lecz bolesne ukłucie, które nagle poczuł, nie miało nic wspólnego z opatrzonym już ramieniem.

- Wina i niewinność są w Rosji nierozzerwalnie związane, tak jak wierność i zdrada. Są ludzie winni i ludzie zdolni do odczuwania winy. To nie to samo.

Stephen zerknął na nią ciekawie i głośno przełknął ślinę. Uświadomił sobie, że Lana jest kobietą dużo mądrzejszą, niż myślał, że dopiero zaczyna ją poznawać.

Posłała mu smutny uśmiech.

- Powiadają, że ludzka dusza jest jak ciemny las. Niektóre lasy są ciemniejsze od innych.

- Typowo rosyjskie - odrzekł Metcalfe. - Tragiczne do szpiku kości.

- A wy, Amerykanie, uwielbiacie się oszukiwać. Jesteście przekonani, że bez względu na to, co robicie, zawsze wyjdzie z tego coś dobrego.

- A wy, tragiczni Rosjanie, uważacie, że to niemożliwe.

- Nie - odparła surowo. - Bo tutaj pewne jest tylko to, że nic nie idzie nigdy zgodnie z planem.

- Miejmy nadzieję, że się mylisz.

- To dla mnie? - spytała, patrząc na dokumenty sterczące z kieszeni wywróconego na drugą stronę waciaka na kuchennym stole.

- Tak, ostatni zestaw.
- Ostatni? Nie zdziwi się, że to już koniec?
- Może powinnaś dawać mu je partiami, po dwa, po trzy.
- Tak, chyba tak. To bardziej wiarygodne. Ale co mu powiem, kiedy się skończą?
- Udasz zaskoczoną, skonsternowaną. Powiesz, że nie masz pojęcia, dlaczego przestał przynosić je do domu, ale oczywiście nie możesz go o to spytać. Zaczyniesz spekulować, że może zastrzeżono środki bezpieczeństwa i nie wolno mu już wyciągać tajnych dokumentów z biura.
- Muszę podszkolić się w kłamaniu.
- Czasami to konieczne. Straszne, ale konieczne. Taka jest prawda.
- Stare rosyjskie przysłowie mówi, że jeśli za długo walczysz ze smokiem, smokiem się stajesz.
- A amerykańskie, że każdy głupiec potrafi powiedzieć prawdę: kłamstwo wymaga talentu.

Wyszła z kuchni, kręcąc głową.

- Muszę przygotować się do występu.

Metcalfe wyjął szczyrek i rozciął celofanową folię, w którą owinięto przesyłkę. Tym razem nie znalazł w niej listu od Corcorana. Szybko przejrzał dokumenty, zastanawiając się, czy przegląda je czasem Lana. Była o wiele bystrzejsza, o wiele bardziej spostrzegawcza, niż myślał.

A jeśli tak? Jeśli przed pójściem do von Schusslera dokładnie je studiowała? Co mogła z nich wyczytać? Wielokrotnie zapewniał ją, że są to kawałki układanki, które mają pokazać Niemcom, jak słaba – tym samym jak uległa – jest Rosja. I najpewniej wyczytałaby z nich tylko to. Prawda?

Czy była na tyle zorientowana i wyrobiona politycznie, żeby wśród rzędów liczb i zestawień dostrzec coś innego? To, że Rosja jest zupełnie bezbronna, że stanowi tym samym łakomy kęs dla hitlerowców? Bardzo się o to martwił. Z drugiej zaś strony nigdy nie powiedziała nic, co wskazywałoby, że czuje się oszukana. Corcoran kazał mu grać w ryzykowną grę, ryzykowną pod wieloma względami.

Przejrzał papiery jeszcze raz i nagle coś wpadło mu w oko: kartka z pozornie bezsensownymi rzędami liter i liczb. Natychmiast domyślił się, że to jakiś szyfr. Popatrzył na nagłówek, na grupę pięciu liczb i rozpoczynający przekaz identyfikator, i szybko go rozpoznał.

Był to suworow, rosyjski system szyfrowania, który nazwano tak od nazwiska wielkiego osiemnastowiecznego generała. System, który Niemcy niedawno rozgryźli. Fińscy żołnierze przeszukujący ruiny rosyjskiego konsulatu w Petsamo znaleźli nadpaloną księgę kodów i przekazali ją hitlerowcom. Brytyjczycy, którzy nieustannie analizowali i monitorowali ich tajne przekazy, potwierdzili, że naziści rzeczywiście ten kod złamali, ale Rosjanie nie mieli o tym pojęcia.

Metcalfe natychmiast zrozumiał, dlaczego tak wiele dokumentów operacji „Wolsfalle” zaszyfrowano suworowem. Było to mistrzowskie posunięcie Corcorana. Dokumenty zaszyfrowane są automatycznie bardziej intrygujące, bardziej wiarygodne: tajny kod wzmacnia iluzję, że dotyczą czegoś superważnego.

Dlatego wielu z nich nie mógł odczytać. Przeczytał za to te, które spisano otwartym tekstem, i szybko stwierdził, że są trochę inne od poprzednich. Z poprzednich wynikało, że Armia Czerwona jest zaskakująco słaba, podatna na ciosy, ale że mimo to próbuje się dozbudować.

Te natomiast wyjawiały powody, dla których się dozbudowała. Zawierały szczegóły, a szczegóły te były wielce alarmujące, jeśli nieszukające.

Były tam faktury zamówień na dziesiątki tysięcy zaawansowanych technicznie czołgów, o wiele cięższych i potężniejszych od czołgów niemieckich, cięższych nawet od Panzer IV. Miały osiągać zawrotną jak na czołgi prędkość i być przystosowane do działania na do-

brych drogach w Niemczech i Europie Zachodniej. Do czerwca miano wyprodukować ich dwadzieścia pięć tysięcy.

Były faktury zamówień - faktury podrobione przez zespół Corcorana - na najbardziej zaawansowane systemy uzbrojenia, łącznie z samolotami, rakietami i bombami, rozkazy rozpoczęcia masowej produkcji szybowców desantowych. Nie był to sprzęt, którym Rosja chciała bronić się przed ewentualnym atakiem. Była to broń typowo ofensywna. I miała być gotowa do czerwca czterdziestego drugiego. Wszystkie rozkazy bardzo ten termin podkreślały.

Co więcej, ściśle tajne notatki służbowe krążące między dwoma wysoko postawionymi generałami, A.M. Wasilewskim i Żukowem, nawiązywały do czegoś, co nazywali operacją „Groza”, „Burza”. Jej plan został przedstawiony w tajemnicy Stalinowi i członkom biura politycznego już we wrześniu, a więc przed kilkoma miesiącami.

Notatka po notatce, dokument po dokumencie, szczegół po szczególe i z pozornego chaosu przed oczyma Metcalfe'a wyłonił się fikcyjny obraz czegoś, co miało wyłonić się przed oczyma pracowników niemieckiego wywiadu. Według założeń operacji „Groza” do czerwca Armia Czerwona miała zgromadzić na zachodniej granicy dwadzieścia pięć tysięcy czołgów.

Zachodnia granica była granicą z Niemcami.

Przez kilka kolejnych miesięcy miała trwać tajna, lecz zmasowana koncentracja radzieckich wojsk - też na granicy z Niemcami. Wydano rozkazy przeszkolenia żołnierzy wojsk powietrznodesantowych, niemal miliona - miliona! - komandosów gotowych zaatakować Niemców na ich zapleczu.

Operacja „Groza” nie była operacją obronną. Była szczegółowym planem ofensywy przeciwko hitlerowskim Niemcom.

Zawierała nawet datę wyprzedzającego uderzenia: czerwiec 1942.

Jej założenia przedstawił Stalin na tajnej naradzie najwyższych radzieckich generałów ledwie przed tygodniem. Według dokumentów, kopie jego przemówienia rozprowadzono wśród dowódców Armii Czerwonej.

Według dokumentów fałszywych - Stephen musiał sobie nieustannie o tym przypominać.

Znalazł wśród nich jedną z takich kopii. Przemówienie brzmiało tak autentycznie, że przez chwilę zastanawiał się, czy nie jest aby prawdziwe.

Towarzysze!

Operacja „Groza” została zatwierdzona. Plan jest gotowy. Za półtora roku, latem czterdziestego drugiego, przeprowadzimy błyskawiczne uderzenie na faszystów. Ale będzie to jedynie cios pierwszy, cios inicjujący, będzie to klin, który rozszczepi kapitalizm w Europie i doprowadzi do zwycięstwa komunizmu pod przywództwem Związku Radzieckiego!

W rezultacie niszczycielskiej wojny, jaką prowadzą państwa zachodnie, kapitalistyczne kręgi rządzące ulegną osłabieniu i nie dadzą rady stawić czoła zwycięskiemu pochodowi socjalizmu przez Europę i cały świat. Oswobodzenie ludów świata jest naszym szczytnym obowiązkiem!

Stephen czytał to ze zdumieniem i narastającą wściekłością. Czyste szaleństwo. Szaleństwo i geniusz. Wszystko to było zmyślane, nieprawdziwe, jednocześnie całkowicie prawdopodobne i wiarygodne.

I zawierało kolejne dowody wyrafinowanego oszustwa Corky'ego. Oszustwa wymierzonego nie tylko w Hitlera, ale i w niego, w Stephena. „Innymi słowy, jest to zbiór danych, który odmaluje konkretny obraz, równie wyraźny jak obraz van Gogha” - to jego słowa, słowa Corcorana.

„Ale co ten obraz ma przedstawiać?”

„Niedźwiedzia, chłopcze. Ale takiego milutkiego. Malutkiego pluszaczka bez pazurów”.

Opowiadając mu o podrobionych dokumentach, Corky zełgał, skłamał, tak samo jak skłamał, wyjaśniając mu powody, dla których chciał wysłać go do Moskwy. Mówił, że celem misji jest wybadanie von Schusslera jako potencjalnego informatora, podczas gdy tak naprawdę cel był zupełnie inny: była nim Lana, która miała przekazać von Schusslerowi fałszywe dokumenty. Corcoran oszukał go bezczelnie i podwójnie, gdyż ukrył przed nim to, co zamierzał osiągnąć. Spreparowane przez jego zespół dokumenty nie przedstawiały „milutkiego pluszaczka”. Przedstawiały gwałtownie dozbierające się mocarstwo, które potajemnie planowało potężny atak na hitlerowskie Niemcy.

Dwa zestawy perfekcyjnie podrobionych papierów, córka rosyjskiego generała i ambitny niemiecki dyplomata: to wystarczy, żeby zmusić hitlerowców do inwazji na Związek Radziecki - do inwazji, która miała zniszczyć Trzecią Rzeszę.

Jego oburzenie szybko ustąpiło miejsca niepokoju: gdyby Lana te dokumenty przeczytała, czy zrozumiałaby, że ją oszukał? Myślała, że przekazuje von Schusslerowi coś, co przekona Niemców, iż Rosja pragnie jedynie pokoju. Tymczasem było zupełnie odwrotnie. Dokumenty były dowodem, że Moskwa zamierza uderzyć na nich pierwsza.

Co by zrobiła, gdyby je przeczytała? Odmówiłaby? Nie przekazałaby ich von Schusslerowi?

Cóż, takie ryzyko na pewno istniało. Ale teraz nie miał już wyboru. Jego wpakował w to Corcoran, on będzie musiał wpakować w to Swietlanę. Miał tylko nadzieję, że Lana nie zdąży niczego przeczytać, że nie przyjdzie jej to do głowy.

Miał nadzieję, że po prostu przekaze je von Schusslerowi.

- Stiwa.

Miała na sobie czarny trykot i biały, luźny żakiet. Była umalowana, a jej usta błyszcząły od świeżo nałożonej szminki.

- Cudownie wyglądasz - powiedział.

Odrzuciła do tyłu głowę.

- Głuptas.

- Nie tylko wyglądasz: jesteś cudowna. Jesteś niezwykłą kobietą.

- Przestań, komplementarzu - skarciła go żartobliwie. - Nie zasługuję na takie słowa. - Wyciągnęła rękę po dokumenty.

- Tylko ostrożnie - powiedział. - Postaraj się ich nie... nie dotykać. To znaczy, dotykaj, ale jak najrzadziej.

- Dlaczego?

Dlaczego? - pomyślał. Dlatego, że jeśli nie będziesz ich dotykała, to może do nich nie zajrzysz, a jeśli nie zajrzysz, może nie zorientujesz się, że cię okłamuję. Nie: że tobą manipuluję, że cię zdradzam.

- Spece, którzy je podrobili, nanieśli na papier odciski palców rosyjskich generałów. Dzięki temu będą robiły wrażenie całkowicie autentycznych i przejdą pomyślnie każde badanie. - Improvizował, zmyślał na potęgę, ale brzmiało to dość wiarygodnie. Kłamstwa były przekonujące, lecz to, że musiał jej skłamać, przyprawiało go o ból serca.

- Aha - odrzekła. - Sprytne.

- Posłuchaj, Lano. Jesteś niesamowicie odważna. To, co zrobiłaś... Wiem, jakie to trudne. Ale wszystko ma swoje powody. Tyle od ciebie zależy. Od ciebie i od...

- Dokumentów gęsto zapisanych liczbami i tajemniczymi słowami, których nie sposób zrozumieć.

- Właśnie.

- Mimo to każdy z nich zawiera coś... potężnego. Jak napój miłosny, który przygotowuje służąca Izoldy, prawda? - dodała ze śmiechem.

- Niezupełnie - odrzekł nieswoim głosem.
- Chcesz powiedzieć, że te dokumenty, to, że przekazują je von Schusslerowi, ma na celu coś innego niż wykształcenie głębokiej i trwałej miłości między naszymi nieustraszonymi przywódcami i przywódca mi Trzeciej Rzeszy? Że nie wywołają odurzającego afektu w sercach Ribbentropa, Heydricha, Himmlera i Hitlera?

Metcalfę spojrział na nią ciekawie i głośno przełknął ślinę. Boże, pomyślał, ja jej zupełnie nie znam.

- Mówiłaś, że nic o tym nie wiesz. Ale wygląda na to, że jednak wiesz, i to całkiem sporo.

- Dziękuję, kochanie. Oboje sporo wiemy. Ale czy to nie pewien angielski poeta ostrzegł nas przed niebezpieczeństwami niedouczenia? - Uśmiechnęła się tajemniczo. - Chodź. Teraz ja ci coś pokażę.

- Intrygujesz mnie, to miłe. - Weszli do saloniku i zaskoczony zobaczył w kącie choinkę przystrojoną bombkami i owocami. - Choinka? Czy w tym bezbożnym rajku to nie przestępstwo?

Wzruszyła ramionami.

- To nie choinka, to *jolka*. Wystarczy zatknąć na czubku czerwoną gwiazdę, i już. Zresztą ubieranie choinki to pogański zwyczaj. Chrześcijanie go tylko przejęli. I nie mamy Świętego Mikołaja. Mamy *Dieda Moroza*.

- A to? Co to jest? - spytał, wskazując mahoniową szkatułę na stoliku. Była wyłożona grubym zielonym sukniem i zawierała dwa identyczne, pięknie wykonane pistolety. Miały żłobkowaną rękojeść, rzeźbione liście akantu na korpusie i ośmiokątną lufę, na której wygrawerowano buchające płomienie. - Muszą mieć ze sto lat.

- Więcej. To najcenniejszy skarb ojca. Pistolety pojedynkowe, których podobno używał Puszkina.

- Niesamowite.

- Widzisz, nasi przywódcy wmawiają nam, że stworzyli nowego sowieckiego człowieka, że jesteśmy teraz jak nowi, wolni od przeszłości, od historii, od złych tradycji narzuconych przez skorumpowanych przodków. Ale ta przeszłość, ta historia wciąż tu jest, wciąż żyje. To nasze korzenie. Drobną rzeczki przekazywane z pokolenia na pokolenie: to właśnie one uświadamiają nam, kim naprawdę jesteśmy. Jest takie angielskie słowo, bardzo poetyckie. Brzmi tak, jakby utkano je z czystego oddechu, z samego powietrza...

- *Heirloom*? - spytał ze śmiechem Stephen. - Pamiątka rodzinna?

- Tak, właśnie!

- Jeśli słyhać w nim jakąś poezję, to tylko dzięki tobie.

- *Heirloom*... - powtórzyła powoli i ostrożnie, jakby słowo to było kruchym antykiem. - Mój ojciec ma wiele takich pamiątek. Jest z nich bardzo dumny. To jego małe skarby, które kocha nie dlatego, że są cenne, tylko dlatego, że pochodzą od jego przodków, że przekazali mu je ludzie żyjący wiele pokoleń przed nim. Jak choćby ta pozytywka. - Wskazała szkatułę z czarnej laki, której wieczko zdobił kolorowy ognisty ptak. - Albo ta piętnastowieczna ikona Przemienienia Pańskiego. - Namalowana na deseczce o wymiarach dziesięć na trzynaście centymetrów, przedstawiała Jezusa w lśniących szatach, który w obecności dwóch uczniów przemieniał się w promienną, duchową zjawę.

- Pewnego dnia będzie należała do ciebie.

- Rzeczy naprawdę wartościowe nigdy do nas nie należą - odrzekła w zadumie. - My je jedynie przechowujemy.

- Ale nie widzę tu twoich pamiątek. Wielbiciele muszą obsypywać cię podarkami. Gdzie je trzymasz?

- Od przechowywania podarków są babcie. Babcie, które mieszkają na krańcu świata, bo aż w Jaszkinie.

- Jaskino? Gdzie to jest?
- W Zagłębiu Kuźnickim, wiele godzin jazdy pociągiem stąd. Uważają się za prowincjuszki, ale to dla nich powód do dumy, a nie wymówka.
- W Rosji trudno to czasem rozróżnić. Ale masz przynajmniej miejsce, gdzie twoje przyszłe pamiątki rodzinne są bezpieczne.
- Pewnie wyobrażasz sobie, że jest tam jakiś sezam. Nie, Stiwa. Mój skarb to tylko jeden dar, dar od pewnego wielbiciela. Dar bezcenny.
- No i proszę, znowu to samo. To przechwałka czy wymówka?
- Czy to ważne?
- Ważne, bo zaczynam być zazdrosny.
- Niepotrzebnie. Najcenniejszy jest dla mnie dar twojej miłości, Stiwa. - Przyciągnęła go bliżej. - Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy. Dużo więcej, niż myślisz.
- Lano...
- Głośno zadzwonił telefon. Swietłana drgnęła. Odczekała chwilę i podniosła słuchawkę.
- *Ato!* Tak, to ja. - Nagle zbladła. Przez kilkanaście sekund uważnie słuchała, milcząco lub odpowiadając monosylabami. Podziękowała i odłożyła słuchawkę na widełki.
- To Ilja, inspicjent, mój przyjaciel. - Była zdenerwowana, chyba nawet wystraszona. - Rozmawialiśmy szyfrem, jak zwykle przez telefon. Mówi, że w teatrze był dzisiaj Kundrow. Wypytywał o mnie. I o mojego amerykańskiego przyjaciela.
- No i?
- Byli też inni. Z NKWD. Szukali ciebie. Mówili, że jesteś szpiegiem.
- Tak, tak - odparł nerwowo Metcalfe. - Wszyscy Amerykanie to szpiegdy.
- Nie, tym razem jest inaczej. Mają cię znaleźć i aresztować, taki dostali rozkaz.
- Pogróżki. Puste pogróżki.
- Ale dlaczego, Stiwa? Wiedzą o tych... Wiedzą o tym? - Machnięciem ręki wskazała dokumenty, które miała zabrać na spotkanie z von Schusslerem.
- Nie.
- Nie oszukujesz mnie, prawda?
- Objął ją i przytulił, nie potrafiąc dalej kłamać.
- Muszę iść - powiedział. - Twój ojciec zaraz wróci.

Rozdział 28

- Ted?
- Tak?
- Poznajesz mnie?

Długa pauza.

- Tak, chyba tak. Cholera jasna, gdzieś ty się podziewał? - Bishop miał zmieniony głos, głos zduszony, spięty. Głos człowieka przerażonego. Metcalfe dzwonił do niego z budki kilka ulic od mieszkania Lany. Ted pracował głównie w hotelu, dlatego niemal zawsze można było go tam złapać.

- Potem. Musisz mi pomóc.
- Mnie to mówisz? Roi się tu od czerwonych harcerzyków.
- Musisz wynieść trochę rzeczy z mojego pokoju. Dasz radę tam wejść? Dasz. Znają cię od lat, ktoś cię wpuści.
- Tak, znają, ale to wcale nie znaczy, że mnie lubią. Znajomość wzbudza pogardę, i tak dalej, i tak dalej. Ale zobaczę, co się da zrobić.
- Dzięki. Zadzwoń za kilka godzin i powiem ci, gdzie się spotka-
- A propos telefonów. Wydzwania do ciebie jakiś facet. Ci z recepcji przyłożą do restauracji i mówią o tym mnie, bo myślą, że się widzimy. Gość nazwiskiem... Jenkins? Jakiś desperat z niego.

- Tak, Jenkins. - Jenkins, czyli Hilliard. - Dobra, wielkie dzięki.
- Nie ma sprawy. Posłuchaj, lepiej tu nie przychodź. Rozumiesz?
Metcalfe odwiesił słuchawkę i natychmiast zadzwonił do amerykańskiej ambasady. Przedstawił się jako Roberts, ale zanim zdążył powiedzieć, że zgubił paszport, Hilliard wypalił:

- Jezu Chryste, człowieku, gdzieś ty był? - Miał drżący głos, w którym słychać było strach i gniew. - Co ty, do diabła, knujesz? Jesteś spalony! Wiesz, że jesteś spalony?
 - Tak, wiem.
 - Tamci chcą krwi. Musisz stąd zjeżdżać, i to szybko. Rozumiesz? Wykreślili cię, wypadłeś z gry.
- Metcalfe'a zmroziło. Musiał uciekać z Moskwy, ze Związku Radzieckiego, musiał uciekać natychmiast. Był spalony: NKWD chciało go albo aresztować, albo bez ostrzeżenia zabić. Corcoran wydał rozkaz natychmiastowej ewakuacji.
- Będę potrzebował wsparcia. - Musiał mieć fałszywy paszport, wizy, bilet na samolot. Dokumenty, których mógł dostarczyć mu tylko Corky.
 - Jasne. Dobry Bóg ci je da, ale chce, żebyś działał szybko. Błyskawicznie. Rozumiesz?
 - Rozumiem. - Corcoran Bogiem: w innych okolicznościach pomyślałby, że to zabawne. Teraz zabawne nie było.
 - Mam ochotę na *satziwi*. Za mniej więcej pół godziny. - Hilliard odłożył słuchawkę. Stephen szybko wyszedł z budki.

Skrzypek obserwował drobnego, łysiejącego okularnika, który wyszedł z ambasady. Wiedział, że mężczyzna jest niższym urzędnikiem, trzecim sekretarzem. Według najświeższych danych z SD, był również agentem amerykańskiego wywiadu.

Zmienił się wiatr i idąc kilka kroków za nim, skrzypek poczuł zapach barbasolu. Mężczyzna niedawno się golił i używał amerykańskiego kremu do golenia.

Tak. Ten człowiek zaprowadzi go do celu. Był tego pewien.

Pistolet ciążył mu w kieszeni palta. Amos Hilliard nie przywykł do noszenia broni i nie lubił jej ciężaru; to, co miał zaraz zrobić, mierziło go i odpychało. Ale zrobić to musiał. Corcoran był niewzruszony. A zaszyfrowany rozkaz jasny i jednoznaczny.

„Metcalfę zagraża naszej misji i jest tym samym zagrożeniem dla całego wolnego świata. To smutne, ale musi zostać wyeliminowany”.

Młody agent wypełnił swoje zadanie. Wypełnił je, lecz wpadł i w Moskwie zaroilo się od tych przeklętych enkawudzistów i agentów GRU, którzy lada moment mogli go dopaść. I na pewno dopadną, to tylko kwestia czasu; Corcoran nie zdążyłby go w porę ewakuować. A gdyby go dopadli, przesłuchaliby go tak, jak przesłuchiwać potrafią tylko Rosjanie i Metcalfe by pękł: nie było co do tego wątpliwości. Operacja wzięłaby w łeb, a Corky nie mógł do tego dopuścić. I nie dopuści. Szło o zbyt wysoką stawkę. Jeden człowiek nie mógł narazić na szwank ważnej misji.

W chwilach takich jak ta Amosa zawsze ogarniały wątpliwości, czy nadaje się do tej roboty. Bo tego rodzaju zadania były najgorsze. W sumie lubił Metcalfe'a, ale nie to było najważniejsze. Wiedział, że Metcalfe jest jednym z nich. Że nie jest zdrajcą. Ale Corcoran wydał rozkaz i nie miał wyboru. Musiał go wypełnić.

Stephen przyszedł do Aragwi siedem minut przed czasem. „Mniej więcej za pół godziny” oznaczało dokładnie za trzydzieści minut; Hilliard był bardzo precyzyjny i punktualny. Kolejki przed restauracją nie było -może nie nadeszła jeszcze pora obiadu - dzięki czemu mógł spokojnie zlustrować okolicę. Stojąc na progu poczty przy Gorkiego i obserwując główne i boczne wejście, przypomniał sobie, że obiecał zadzwonić do Bishopa. Trudno, musiał z tym zaczekać. Ból w ramieniu nieco zelżał, chociaż wciąż czuł, jak pulsuje tam jakaś żyłka.

Wiedząc, że nikt go tu nie zauważy, Hilliard wszedł do Aragwi tylnymi drzwiami i ciemnym korytarzem dotarł do męskiej toalety.

W toalecie był jakiś mężczyzna. Amos zdziwił się tym i trochę zdenerwował. Mężczyzna stał przy umywalce i energicznie mył mydłem ręce. Nieważne. Hilliard postanowił zaczekać. Po wyjściu intruza zamierzał wyjąć pistolet i wkręcić tłumik do specjalnie zmodyfikowanej i nagwintowanej lufy. Wkręcić tłumik i dwa razy sprawdzić, czy w komorze tkwi nabój.

Metcalfę przyjdzie, spodziewając się, że dostanie od niego fałszywe papiery i wskazówki, jak potajemnie wyjechać z Rosji. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, będzie to, że Amos wyjmie pistolet i wpakuje mu kilka kul w głowę.

Hilliard nie znośił tego robić, ale naprawdę nie miał wyjścia.

Zawahał się, zerknąwszy na mężczyznę, który z zadziwiającą dokładnością mył ręce, bijąc przy tym pianę tak obfitą, że nie mogła chyba powstać z rosyjskiego mydła.

W jego długich, delikatnych palcach i arystokratycznych rysach twarzy było coś dziwnie znajomego. Amos zastanawiał się, czy gdzieś go przypadkiem nie widział. Niedawno, ostatnio - czy to możliwe? Ale nie. To tylko nerwy.

I wtedy mężczyzna podniósł głowę, a gdy spotkali się wzrokiem, Hilliarda przeszedł zimny, niczym niewytłumaczalny dreszcz.

Dokładnie minutę przed umówioną godziną Metcalfe przeszedł na drugą stronę ulicy Gorkiego i stanął przed bocznym wejściem do restauracji. Drzwi były oczywiście otwarte, gdyż prawie nieustannie wnoszono nimi żywność do kuchni. Wszedł do środka i po chwili, przez nikogo niezauważony, znalazł się w męskiej toalecie, gdzie przed kilkoma dniami rozmawiał z Hilliardem.

Wyglądało na to, że nikogo tam nie ma, więc zawahał się, nie wiedząc, czy zamknąć drzwi, tak jak ostatnim razem zamknął je Amos. Uznał, że jednak nie, lepiej nie: Amos się spóźniał. Szybko przeszedł przez całe pomieszczenie, zaglądając do kabin i zobaczył go w ostatniej.

Dokładniej mówiąc, zobaczył jego buty i spodnie. Spodnie były tweedowe, buty z nazywanymi, ozdobnie dziurkowanymi noskami, dlatego na pewno ich nie pomylił: mogły należeć tylko do Hilliarda.

Dziwne, pomyślał. Dlaczego siedzi w kiblu, zamiast czekać przy umywalce, jak ostatnim razem?

- Amos - zawołał, lecz odpowiedziała mu tylko cisza. - Amos - powtórzył coraz bardziej zaniepokojony.

Pociągnął za klamkę. Drzwi powoli się otworzyły.

Jezu Chryste! To, co zobaczył, zemdliło go i oszołomiło. Osunął się na podłogę. Nie, tylko nie to! Amos Hilliard siedział na muszli klozetowej z odrzuconą do tyłu głową. Jego pociemniałe, nabiegłe krwią oczy patrzyły w sufit, z nosa i ust wypływał gęsty, krwawy śluz. Miał przecięte gardło. Tuż pod krtanią widniała cieniutka, jasnoczerwona bruźda, co wskazywało, że zamordowano go cienkim, mocnym drutem. Zamordowano, uduszono garotą dokładnie tak samo jak Rogera Martina i chłopaków z paryskiej centrali.

Nie! Musieli to zrobić niedawno, przed kilkoma minutami, bo jak długo mógł tu na niego czekać? Pięć minut? Może nawet mniej?

Dotknął jego zaczerwienionej twarzy. Miała normalną temperaturę.

Zabójca musiał być w pobliżu!

Stephen podbiegł do drzwi, zawahał się i przystanął. Morderca mógł czekać tuż za nimi, gdyż opustoszała restauracja była dobrym, choć jedynie tymczasowym schronieniem: mógł tam stać, gotów w każdej chwili zaatakować.

Kopnął drzwi nogą i gdy otworzyły się z trzaskiem, skoczył w bok, za futrynę, wypatrując, czy w korytarzu nie czai się ktoś z garotą w ręku. Ale nie, korytarz był pusty. Stephen wypadł z toalety, rozglądając się na wszystkie strony. Nikogo. Mimo to jeszcze przed paroma minutami ktoś tu na pewno był, ktoś musiał tu być!

Pokonując po dwa, po trzy stopnie naraz, najbliższymi schodami zbiegł na dół i omal nie wpadł na kelnera z tacą. Szybko otaksował go spojrzeniem. Nie, to nie on, jest za szczupły.

Zimny podmuch powietrza w holu powiedział mu, że przed chwilą ktoś wyszedł stąd na ulicę. Wyszedł albo wszedł. On. Zabójca. Tak, to możliwe. Uciekł tymi drzwiami?

Ostrożnie, powoli, pchnął je lekko i bezgłośnie uchylił. Jeśli morderca uciekł tędy, jeśli spokojnie szedł - żeby nie wzbudzić podejrzeń przechodniów - nie mógł zajść daleko i musiał być w zasięgu wzroku. Jeżeli istniał chociaż cień szansy, że da się zaskoczyć, Metcalfe chciał to wykorzystać. Wyślizgnął się na zewnątrz i po cichu zamknął za sobą drzwi, ciesząc się, że nie zaskrzypiały.

Był na tyłach restauracji. Z wielkich, przepelnionych pojemników wysypywały się śmieci i odpadki. Rozejrzał się, ale nie, nikogo w pobliżu nie było.

Morderca Amosa Hilliarda zniknął.

Stephen wiedział, że musi natychmiast odejść, tylko dokąd miał pójść? Do Metropolu wrócić nie mógł. Był spalony. Obserwowano go, gdy odbierał przesyłkę ze skrzynki kontak-

towej, NKWD wiedziało o jego szpiegowskiej działalności. Musiał uciekać z Moskwy, uciekać ze Związku Radzieckiego, i to jak najszybciej. Łatwo powiedzieć. Wyjechać z tego totalitarnego państwa, gdzie wszystkie granice były silnie strzeżone, było równie trudno, jak wjechać. Wśród dokumentów w Metropolu miał kilka fałszywych paszportów oraz innych dowodów tożsamości, ale na pewno znaleźli je ci z NKWD. Najrozsądniejszym i najlogicznym wyjściem byłoby nawiązanie kontaktu z Corcoranem i natychmiastowa ewakuacja, o której wspominał Hilliard, ewakuacja zaś wymagała pełnego skoordynowania działań, przetargów politycznych na najwyższym szczeblu, słowem tego, w czym Corky - który zawsze robił to tajemniczymi i sobie tylko znanymi sposobami - był ekspertem. Agent ewakuował się sam jedynie w sytuacji największego zagrożenia.

Chciał zabrać ze sobą Lane. Była w to wszystko zamieszana i groziło jej tu poważne niebezpieczeństwo. Obiecał sobie, że ją ochroni i musiał dotrzymać słowa.

Żeby puścić machinę w ruch, musiał skontaktować się z Corcoranem i uznał, że najlepiej będzie zrobić to za pośrednictwem Teda Bishopa. Za granicę mógł zadzwonić jedynie z hotelu, a powrót do Metropolu nie wchodził w grę. Moskiewskie telefony publiczne nie łączyły rozmów międzynarodowych. Amos nie żył. Nadajnik przepadł.

Pozostawał tylko Ted Bishop. Jako zagraniczny korespondent, Bishop dzwonił za granicę regularnie, może nawet codziennie, z hotelowego pokoju albo z poczty głównej. Mógł więc zadzwonić w jego imieniu, pod jeden z numerów awaryjnych w Londynie czy w Nowym Jorku, i wypowiedziawszy kilka pozornie bezsensownych słów, zaalarmować Corky'ego, nie wiedząc nawet, co robi ani z kim rozmawia.

Gdyby zaś z jakiegoś powodu nie mógł zatelefonować, mógł pomóc mu inaczej. Stephen wpadł na ten sposób, przypomniawszy sobie audycje BBC, których słuchał w Paryżu. Rozgłośnia ta przekazywała co wieczór zaszyfrowane wiadomości w formie pozdrowień od rodziny dla rodaków przebywających za granicą- pozdrowień, których prawdziwą treść znali jedynie działający w terenie agenci. Dlaczego nie miałby pograć jak ci z centrali? Wystarczyłaby niewinnie brzmiąca wiadomość, którą Bi-shop mógł bez trudu przesłać do swojej gazety, do „Manchester Guardian”. Wiadomość, recenzja koncertu czy przedstawienia - może nawet baletu. Zwarte w niej określenia- opracowany przez Corcorana kod, który na pewno przejdzie przez sito sowieckiej cenzury - dotrą gdzie trzeba i zaalarmują odpowiednich ludzi, a ci zrobią swoje. Metoda ta była dużo wolniejsza niż bezpośredni telefon do Londynu czy Waszyngtonu i wolałby zastosować tę ostatnią, lecz nie miał wyboru.

Oczywiście nie mógł być z Bishopem do końca szczery, nie mógł powiedzieć mu, kim jest i co tak naprawdę robi w Moskwie. Musiał coś wymyślić, jakieś wiarygodne kłamstwo... Tak. W ramach kampanii mającej na celu zdyskredytowanie zachodnich kapitalistów jako szpiegów radzieckie władze chciały go aresztować, ponieważ cóż, ostatecznie był zamożnym biznesmenem, a więc i kapitalistą. Ted nie musiał wiedzieć nic więcej. Nienawidził Rosjan do tego stopnia, że to na pewno wystarczy.

Znowu musiał zełgać, ale zełgał też komuś ważniejszemu niż Ted, komuś, na kim mu zależało, kogo bardzo kochał. Kłamstwa przychodziły mu coraz łatwiej, o wiele za łatwo.

Mimo to nad nazwiskiem Bishopa postawił w myśli znak zapytania: nie był pewien - przynajmniej nie do końca - z kim Ted trzyma. Od tej pory musiał założyć, że nie ma ludzi godnych zaufania. Tak, z Bishopem musiał pogrywać bardzo, ale to bardzo ostrożnie.

Luźnym, swobodnym krokiem przez nikogo niezauważony obszedł restaurację. Kilka ulica dalej, przed zapuszczonym gmachem Moskiewskiej Kliniki Numer 22, znalazł budkę telefoniczną. Okna kliniki były ciemne, nikt go nie obserwował. Zadzwonił do Metropolu i poprosił do telefonu Teda Bishopa.

Przy ulicy Gorkiego numer 7 stał wielki, imponujący gmach poczty głównej, który zbudowano w 1929 roku w charakterystycznie rozbuchanym radzieckim stylu. Wnętrze gmachu było równie imponujące: zaprojektowano je jak wnętrze wielkiego, solidnego banku albo ważnej instytucji rządowej, którą poczta w sumie była. Tu moskwianie czekali w długich kolejkach, żeby wysłać telegram do przyjaciół i krewnych w odległych rejonach Związku Radzieckiego, nadać paczkę, kupić znaczki czy porozmawiać z kimś za granicą w ciasnej, dusznej budce telefonicznej. Mimo niesamowicie wysokiego sufitu, mimo kolumn, granitu i olbrzymiego sierpa z młotem na ścianie, jak na dłoni widać tu było najposępniejsze aspekty sowieckiej biurokracji. Metcalfe stał w mrocznej niszy. Czekał na Teda Bishopa.

Obserwując mężczyznę w średnim wieku, który dzwonił z pobliskiej budki, zauważył, jak dokładnie kontroluje się tu wszystkie rozmowy. Trzeba było okazać albo paszport, albo dowód osobisty, wypełnić odpowiedni formularz, z góry zapłacić i dopiero wówczas wchodziło się do budki i rozpoczynało rozmowę, którą na pewno ktoś podsłuchiwał. Może jednak zadzwonić samemu? Rozważył tę możliwość i szybko odrzucił. Miał fałszywe rosyjskie dokumenty, a z rosyjskimi dokumentami za granicę dzwonić nie mógł. Żeby to zrobić, musiałby okazać albo swój prawdziwy paszport, albo paszport Daniela Eigena, a obydwa były już na pewno spalone. Nie, musiał za niego zadzwonić Ted. Teda o nic nie będą podejrzewali.

W końcu, dokładnie o czasie, w masywnych drzwiach stanął krępy tłuścioch ze skórzaną walizką w ręku. Wszedł do środka i rozejrzał się niespokojnie. Stephen cofnął się w głąb niszy. Czekał. Chciał - musiał! - sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Bishop przystanął pośrodku sali, a on wciąż stał w półmroku, wyglądając zza rogu niszy, obserwując frontowe drzwi, wypatrując kogoś, kto mógłby tu za nim przyjść. Kogoś, kto mógłby z nim... współpracować?

Odczekał kolejną minutę. Nachmurzony, wyraźnie zirytowany Ted zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem. W końcu, gdy już miał odejść, Metcalfe powoli wyszedł z ciemnej niszy.

I właśnie w tym momencie Bishop, który jeszcze go nie zauważył, dał komuś znak, rytmicznie kiwając palcem prawej ręki. Stephen zamarł. Wytężył wzrok.

Znak? Tak, na pewno. Tylko komu go dawał?

I wtedy go zobaczył.

Na drugim końcu sali, za długim rzędem okienek, otworzyły się drzwi i wyszedł z nich jakiś blondyn.

Blondyn o wyblakłych oczach. Podszedł do Bishopa i wszczął z nim po rosyjsku ożywioną rozmowę.

Metcalfe zmartwiał. Serce zmieniło mu się w bryłę lodu. O Chryste. Ted Bishop współpracował z NKWD!

Obrazy, rozmowy, gesty - nagle wszystko ułożyło się w logiczną całość. Ta jowialność, ta nienasycona dziennikarska ciekawość, te dociekliwe pytania, te antyradzieckie tyrady, które miały zamaskować jego prawdziwe przekonania. Pijacka scena w jego pokoju, gdy Bishop wpadł do łazienki, żeby zwymiotować: musiał wtedy grzebać w jego rzeczach w poszukiwaniu fałszywych dokumentów i szpiegowskich akcesoriów ukrytych w wydrążonym uchwycie pędzla do golenia i w tubce z kremem. Udawał, że rzyga i odkrył prawdę. Może po tym, jak agenci NKWD wyrócili do góry nogami jego pokój, dostał od nich cynk? Może kazali mu przeszukać go ponownie?

Wszystko było możliwe. Tolerowany przez sowieckie władze, siedział w Moskwie od lat. Musiał się z nimi dogadać, pójść na jakiś kompromis. Albo jeszcze gorzej. Ci z NKWD werbowali czasem obcokrajowców. Niewykluczone, że zwerbowali i jego.

Corky mawiał, że „zapasowe wyjście to podstawa”. Ale Stephen nie miał czasu o tym pomyśleć. Działając pod silną presją, zapomniał o podstawowych środkach bezpieczeństwa.

Tuż przy mrocznej ścianie ruszył szybko w stronę drzwi. Zaczekał, aż podejdzie do nich sprzeczące się głośno małżeństwo i tuż za nimi wyszedł na ulicę.

Na Gorkiego przyspieszył kroku i po chwili już biegł. Musiał dotrzeć do teatru, musiał ostrzec Lanę.
Chyba że było już za późno.

Rozdział 29

Fasada teatru była jaskrawo oświetlona, lecz przed teatrem nie było prawie nikogo, co oznaczało, że przedstawienie już trwa. Metcalfe obszedł gmach i na jego tyłach znalazł coś, co wyglądało na wejście dla artystów. Było zamknięte. Załomotał do drzwi i po chwili otworzył je wysoki, chudy jak patyk łysielec w okularach w złotej oprawce. Miał na sobie granatową marynarkę, na marynarce naszywkę, a na naszywce widniał napis: WEWNĘTRZNA SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO AKADEMICKIEGO TEATRU BOLSZOJ. Identyczny napis zdobił daszek jego granatowej czapki.

CzuJNI i gotowy do działania, uspokoił się, zobaczywszy, kto przed nim stoi.

Biały fartuch, stetoskop na szyi, czarna, skórzana torba - Metcalfe wyglądał jak typowy radziecki lekarz. Przebranie uzupełniało wyniosłe, a nawet władcze spojrzenie.

Wystarczyło włamać się do zapuszczonej kliniki. Brak strażników, zamek, który ustąpił po kilku obrotach wytrycha - prosta sprawa. Szybko znalazł szafę, w szafie biały fartuch, a w sąsiedniej stetoskop i skórzaną lekarską torbę. Wszystko razem zajęło mu najwyżej pięć minut.

- Tak? Co się stało?

- Doktor Szawadze - zaczął Metcalfe, doszedłszy do wniosku, że gruzińskie nazwisko będzie dobrym wytłumaczeniem jego obcego akcentu. - Wezwano mnie do jednej z waszych tancerek. Ma dziś występ.

Strażnika lekko się zawahał.

- Do której?

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? Pewnie do jakiejś primabaleriny, bo inaczej nie wyciągnęliby mnie z przyjęcia. Wiem tylko, że to coś pilnego, podobno złamanie. Zaprowadźcie mnie do garderoby. Natychmiast.

Strażnik kiwnął głową i otworzył szerzej drzwi.

- Tędy, panie doktorze. Zaraz zawołam kogoś, kto wskaże wam drogę.

Młody, flejtuchowaty inspicjent z miękkim, rzadkim puszkim zamiast wąsów prowadził go labiryntem brudnych, mrocznych korytarzy za kulisami teatru.

- Trzy piętra w górę, potem w lewo - szepnął i zamilkł; trwało przedstawienie. Orkiestra grała Czajkowskiego, temat z drugiego aktu *Jezióra łabędziego*.

W porównaniu ze wspnianym wystrojem foyer i sali koncertowej, kulisy były zaskakująco zapuszczone. Mijali cuchnące toalety, zardzewiałe drabiny i kładki, szli niskimi korytarzami z dziurawą, skrzypiącą podłogą. Tu i ówdzie stary grupki mocno umalowanych tancerzy i tancerek z papierosem w ręku. Gdy przechodzili w pobliżu sceny, Stephen usłyszał zapadające w pamięć dźwięki oboju i harfy, nabrzmiewające tremolo skrzypiec i rozpoznał piękną melodię z drugiego aktu *pas de deux*. Ciemność przecinała smuga trupiego światła. Metcalfe przystanął. Zobaczył scenę i część widowni.

- Zaczekaj. - Chwycił inspicjenta za rękę. Nastolatek spojrział na niego skonsternowany: lekarz chce oglądać przedstawienie? Zza kulis?

Scena tonęła w magicznym blasku: zalane księżycową poświatą jezioro, malowany brzeg, las, kilka wielkich drzew. A pośrodku tego wszystkiego Lana. Stephen patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

Grała Odettę, królową łabędzi. Biały, obcisły kostium obsyty piórami i tiulem, wążutka talia, upięte w wysoki kok włosy, pierzasty stroik na głowie: delikatna i bezbronna, była

zdumiewająco podobna do ptaka. Tańczyła z księciem Siegfriedem i w pewnej chwili towarzyszące im łabędzie „spłynęły” ze sceny. Książę uniósł ją wdzięcznie i łagodnie postawił, zaciskając ręce na jej talii, a gdy objęła go, gdy wygięła szyję i przytuliła ją intymnie do jego szyi, Stephen poczuł ukłucie zazdrości. Ale to był tylko taniec, nic więcej. To była jej praca, a książę kolegą po fachu.

- No, dobrze - szepnął. - Chodźmy do garderoby. Zaczekam na przerwę.

- Nie powinieneś tu chyba przebywać. - Cichy, spokojny głos, silny rosyjski akcent.

Metcalfe odwrócił się zaskoczony - czyżby to ten małomówny inspicjent? - i wtedy go zobaczył. Jasne włosy, niebieskie, wyblakłe oczy. Enkawudzista. Stał kilka kroków dalej z pistoletem w ręku.

- Tak, to ty - szepnął blondyn. Inspicjent obserwował ich przerażony. - W pierwszej chwili cię nie rozpoznałem. Jeśli przyszedłeś obejrzyć występ Swietłany Baranowej, powinieneś być kupić bilet, jak wszyscy. Za kulisy obcym wstęp wzbroniony. Proszę ze mną.

- Pistolet? - odparł z uśmiechem Stephen. - Tutaj na nic ci się nie przyda. Wątpię, czy wystrzeliłbyś w środku *pas de deux*. Panna Baranowa zdekoncentrowałaby się i odebrała widzom całą przyjemność, prawda?

Agent kiwnął głową. Miał niewzruszoną twarz.

- Wolałbym tego uniknąć, ale jeśli będę musiał wybierać między twoją ucieczką i przerwaniem przedstawienia... Cóż, to chyba oczywiste. Nie będę miał wyboru.

- Wybór jest zawsze - odrzekł Metcalfe, cofając się powoli. W kieszeni na piersi ciążył mu pistolet, lecz wiedział, że na nic mu się nie przyda, bo zanim zdążyłby go wyjąć, tamten pociągnąłby za spust. Jego spokój i opanowanie mówiło, że nie zawaha się wystrzelić.

- Trzymaj ręce przy sobie - rzucił blondyn.

Metcalfe zerknął w lewo, na sznury, bloczki i wyciągi. Były tuż-tuż. Wysoko nad nimi, na grubych linach przywiązanych do żelaznych haków, wisały dwa wielkie ołowiane ciężary. Ukrywszy ręce za plecami, zrobił dwa kroki do tyłu, jakby nagle się przestraszył.

- Nie strzelaj - powiedział drżącym głosem. - Powiedz tylko, czego chcesz.

Lina! Była niedaleko, mógł jej dosięgnąć! Z tylnej kieszeni powoli wyjął nóż, przytknął do niej ostrze i starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, mocno ciął, raz, drugi i trzeci.

Enkawudzista wykrzywił usta w leciutkim, szyderczym uśmiechu.

- Nie oszukasz mnie. I nie uciekniesz. Stąd nie ma wyjścia. Proponuję, żebyś poszedł ze mną po cichu i spokojnie.

- A potem? - spytał Stephen.

Przecięta lina wyrwała mu się z rąk. Ołowiane ciężary zakołysały się i runęły w dół, prosto na blondyna. Ten usłyszał świst powietrza, spojrzał do góry i w ostatniej chwili odskoczył, tak że minęły go dosłownie o kilka centymetrów, lecz odskakując, zachwiał się, stracił równowagę i jego pistolet celował teraz w podłogę. Młody inspicjent przeraźliwie wrzasnął i uciekł.

Stephen zaatakował. Natarł na blondyna całym ciałem, powalił go, przygniótł i wbił mu w brzuch kolano.

Na widowni wybuchł krzyk. Orkiestra przestała grać, rozpętało się piekło. Ale Metcalfe nie mógł sprawdzić, co się dzieje. Nie teraz, nie w tej chwili. Choć brakowało mu tchu, blondyn wciąż walczył, wyginał się jak wąż, odpychał go potężnymi ramionami. Stephen poczuł nagle uderzenie w tył głowy, uderzenie tak silne, że do ust napłynęła mu krew. Pistolet: Rosjanin zdołał uwolnić prawą rękę i grzmotnął go nim w potylicę.

Metcalfe głucho stęknął i jeszcze mocniej dźgnął go kolaniem w brzuch, wrywając mu jednocześnie broń. Wyrwał ją i uderzył go ręką w skroń tak mocno, że przez chwilę myślał, iż go zabił.

Enkawudzista zwiotczał. Bezwładnie opadły mu ręce, błysnęły białka oczu. Stracił przytomność - tylko na jak długo?

Krzyki dochodziły teraz ze wszystkich stron naraz. Nadbiegali ludzie, technicy, inspijenci, cała ekipa: chcieli obezwładnić go i schwytać. Stephen zerwał się z podłogi i stwierdził, że nie ma dokąd uciec. Przyparli go do muru!

Skoczył w prawo, w stronę metalowej drabinki. Prowadziła na coś w rodzaju kładki z metalowych rur i desek nad sceną. Wbiegł na nią, szybko wciągnął drabinę, popędził przed siebie i dopiero wtedy zobaczył, co się stało, gdy przeciął linę podtrzymującą ołowiany balast. Nic dziwnego, że muzyka ucichła, że na sali wybuchła panika: spuścił ciężką, czarną kurtynę przeciwogniową, bez ostrzeżenia przerywając przedstawienie. Publiczność myślała, że w teatrze wybuchł pożar i wielu widzów popędziło na oślep do wyjścia!

Kładka łączyła się z kolejną kładką, z wąskim pomostem roboczym, pomost zaś doprowadził do jakiegoś luku, a raczej małych, drewnianych drzwiczek. Dobiegające z dołu krzyki przybrały na sile, były coraz głośniejsze i dziksze: członkowie ekipy technicznej zapamiętali ścigali intruza w lekarskim kitlu, który spuścił kurtynę przeciwpożarową w połowie *Jeziora łabędziego*. Drzwiczki były otwarte. Metcalfe przekroczył próg i pogрузił się w całkowitej ciemności. Głosy i krzyki przycichły, były teraz bardzo przytłumione. Szedł po omacku, na oślep, czując, że idzie niskim, wąskim tunelem albo korytarzem, najprawdopodobniej kolejnym pomostem. Mimo to szedł dalej, potykając się i wyciągając przed siebie ręce, żeby na coś nie wpaść.

Smuzka światła na podłodze: kolejne drzwi, też małe, chropowate i rozklekotane. Stephen przystanął, wymacał futrynę, a potem klamkę. Nacisnął ją i znalazł się w słabo oświetlonym korytarzu, w korytarzu jakby znajomym. Tak! Szedł tędy, gdy szukał garderoby Lany. Już tu kiedyś był, na pewno. Zawrócił, skręcił i już po chwili trafił do długiego korytarza z kilkunastoma drzwiami. Na trzech od końca zobaczył tabliczkę z napisem BARANOWA S.M. Drzwi były lekko uchylone.

Popędził ku nim i biegnąc, usłyszał jej głos. Była tam! Wciąż ubrana w łabędzi strój, wciąż w pierzastym stroiku na głowie, rozmawiała z młodym, rumianym technikiem.

- To nic takiego - mówił chłopak - fałszywy alarm. Pewnie coś wysiadło, dlatego...

- Czysty obłąd! - przerwała mu Lana. - Nigdy dotąd nic takiego się nie zdarzyło! Gdzie jest dyrektor? Gdzie kierownik? Ktoś musi tym ludziom to wyjaśnić!

Poderwała wzrok i głośno sapnęła.

- Stiwa! - krzyknęła. - Co ty tu...

- Nie ma czasu, Lano. Posłuchaj. - Spojrzał znacząco na chłopaka.

- Wszystko w porządku - odrzekła. - To Ilja, mój przyjaciel. To on mnie ostrzegł...

- Nie, musimy porozmawiać w cztery oczy. - Wskazał ręką drzwi. Skonsternowany Ilja kiwnął głową i wyszedł.

Lana podbiegła do Stephena i zarzuciła mu ręce na szyję. Miała gruby makijaż i mocno podkreślone ołówkiem oczy, jednak wciąż była piękna.

- Co ty tu robisz? Ten fartuch... Wszedłeś tu jako lekarz? Boże, po co? Co się stało?

- Posłuchaj, zrobiło się niebezpiecznie, zbyt niebezpiecznie. Wyjeżdżam z Rosji i chcę, żebyś pojechała ze mną.

- Co takiego? Co ty mówisz?

Szybko opowiedział jej o Tedzie Bishopie, o agencji NKWD, który nakrył go przy skrzynce kontaktowej.

- Poskładali wszystko do kupy, rozumiesz? Wiedzą o mnie, widzieli, jak odbierałem te dokumenty. Wiedzą, że cię znam, a resztę sobie dośpiewają. Nie mogą do tego dopuścić i nie dopuszczę!

- Stiwa! Tutaj niebezpieczne jest wszystko, wszystko, co robię ja i inni. Przekazywałam te dokumenty nie dlatego, że mi kazałeś, tylko dlatego, że jest ku temu dobry powód, że zyska

na tym mój ojciec i mój kraj. I nie, nie wyjadę z tobą, rozumiesz? A teraz szybko, musisz uciekać...

- A ja nie wyjadę bez ciebie.

Tym ją wystraszył.

- Nie, Stiwa, ja nie mogę stąd wyjechać.

- Grozi ci niebezpieczeństwo!

- Nie o to chodzi, nie rozumiesz. Tu jest mój dom, moja krew...

- Lano...

- Nie, Stiwa!

Ta bezsensowna sprzeczka doprowadziła go do wściekłości. Zdjął fartuch, ściągnął z szyi słuchawki i wepchnął to wszystko do pustej skórzanej torby.

- Jeśli nie chcesz jechać, powiedz mi, jak stąd wyjść. Widziało mnie za dużo ludzi, rozpoznają mnie, szukają, zaraz tu będą...

- Zaczekaj. - Wyszła na korytarz, zamieniła z kimś kilka słów i szybko wróciła. - Ilja ci pomoże.

- Ufasz mu?

- Powierzyłabym mu swoje życie. Twoje też. Zna wszystkie tajne wyjścia. Prowadzi ciężarówkę z rekwizytorni, wywiezie cię z Moskwy.

- Ale dokąd?

- Na przedmieściach jest magazyn, gdzie przechowujemy duże, niepotrzebne rekwizyty i budujemy dekoracje. Na pewno ktoś go pilnuje, ale łatwo go przekupisz. Łatwo i tanio.

- Można się tam ukryć?

- Na kilka dni na pewno, pełno tam różnych zakamarków.

- Wystarczy mi pół dnia. Potrzebuję kryjówki, muszę spokojnie przemyśleć następny krok.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Ilja. Rzucił Stephenowi wielką maskę, kaptur i płaszcz.

- Kostium barona von Rothbarta - powiedział. - Zapasowy. Nikt go nigdy nie używa.

Metcalf był pod wrażeniem.

- Geniusz zła. Czarnoksiężnik, który więzi zamienioną w łabędzia Odettę. Dobry pomysł. Mogę chodzić tu z zasłoniętą twarzą i nikt mnie nie zatrzyma. To jedyny sposób.

- Czego nie robi się dla przyjaciół Lany - odrzekł z ciepłym uśmiechem Ilja. - Lano, Grigoriew chce natychmiast wznowić przedstawienie.

- Stiwa. - Lana podeszła bliżej i objęła Stephena za szyję. - Nie muszę ci chyba mówić, że wolałbym być teraz z tobą niż na scenie.

- Scena to twoje życie - odrzekł.

- Przestań.

- Ale tak jest. I nie mówię tego z pogardą czy lekceważeniem. Na scenie żyjesz pełnią życia.

- Nie, pełnią życia żyję z tobą. Ale to - wskazała swój kostium i garderobę - to też jest częścią mnie. Niedługo się zobaczymy, Stiwa. Ilja się tobą zaopiekuje. - Pocałowała go w usta i wybiegła z pokoju.

Na korytarzu zaroilo się od przebranych w kostiumy artystów, którzy spieszyli na scenę. Ktoś - najpewniej kierownik zespołu - klaskał w dłonie i łajał ich za opieszałość. Na Ilję i Metcalfe'a w wielkiej masce, płaszczu i kapturze nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Stephen był po prostu jedną z postaci baletu Czajkowskiego, baronem von Rothbartem. Jedyne ryzyko polegało na tym, że w każdej chwili mogli natknąć się na prawdziwego barona, lecz na szczęście się nie natknęli.

W tłumie Metcalfe zobaczył dwóch strażników. Zaglądali artystom w twarze, krzyczeli, o coś ich wypytywali. Stephen zeszywniał: mogli go zaraz zatrzymać, mogli go schwytać, ale nie -jakby był niewidzialny. Nawet na niego nie spojrzeli. Maską nie tylko zakrywała jego twarz, ale i stanowiła swoistą przepustkę, pozwolenie na przebywanie za kulisami. Był baletmistrzem, szedł na scenę.

Ryzyko wpadki zmalało jeszcze bardziej, gdy skręciwszy za róg, weszli do nieużywanej części korytarza, której Metcalfe dotąd nie widział, i która prowadziła do klatki schodowej. Krótkim ruchem ręki Ilja wskazał drzwi. Drzwi, ciemne schody - szybko zeszli na dół.

Ale w progu drzwi piętro niżej stanął nagle strażnik. Stanął i podniósł rękę.

Stephenowi ścisnęło się w żołądku.

- Się masz, Wołodia - rzucił jowialnie Ilja. - Co się tu, do diabła, dzieje? Strażnik go znał! Znał garderobianego Lany!

- Szukamy faceta w lekarskim fartuchu.

- Lekarza? Tutaj? Nie widziałem - powiedział Ilja. - Ale jeśli za trzydzieści sekund pan baron nie trafi na scenę, wyrzucą mnie z pracy. - Nie zwalniając kroku, szedł dalej. Metcalfe tuż za nim.

- Chwileczkę! - krzyknął za nimi strażnik. Ilja odwrócił się. Stephen zamarł.

- Obiecałeś załatwić mi dwa bilety na sobotę albo niedzielę. Załatwiłeś?

- Załatwię, daj mi trochę więcej czasu - odparł Ilja. - Chodźmy, baronie, bo się spóźnimy.

Koniec schodów, znowu labirynt korytarzy, wreszcie stalowe drzwi. Ilja pomajstrował chwilę przy zamku i szarpnął klamkę.

- Wejście dla zwierząt - rzucił.

- Dla zwierząt?

- Dla koni, niedźwiedzi, czasem nawet dla słoń; występują w *Aidzie*. Te brudasy miałyby wchodzić głównym wejściem? Wszystko by obesrały.

Metcalfe zdjął maskę. Wbiegli do długiego, ceglanego tunelu o betonowej, pokrytej słomą podłodze, w którym cuchnęło zwierzęcymi odchodami, i który kończył się długą, krytą rampą rozładunkową. Parkowało tam kilka półciężarówek - wszystkie miały na burcie napis: PAŃSTWOWY AKADEMICKI TEATR BOLSZOJ. Ilja podbiegł do szerokich, podwójnych drzwi, otworzył je i pchnął. Ulicą z warkotem śmigwały samochody. Ilja wskoczył do szoferki najbliższej półciężarówki, Metcalfe na skrzynię. W środku stały olbrzymie, malowane dekoracje, ale zdołał wcisnąć się między nie i zamknąć drzwi.

Jęknął rozrusznik, zaskoczył silnik. Ilja dodał gazu i ruszyli.

Stephen osunął się na wibrującą stalową podłogę. Odurzał go smród spalin.

Czekała ich długa jazda na przedmieścia Moskwy. Chociaż pod brezentem było zupełnie ciemno, obraz Lany, który wciąż miał przed oczami, jaśniał i promieniał jak słońce. Myślał o tym, jak zlekceważyła jego ostrzeżenia, jak pocałowała go i uciekła. Ojej odwadze, jej porywczoci. O jej namiętności.

I o tym, że nie chciała z nim wyjechać. Był głęboko rozczarowany, jednocześnie chyba ją rozumiał. Nie mogła zostawić ojca, nie mogła porzucić ojczyzny. Nawet dla niego, dla Stiwu. Zwyciężyło przywiązanie do kraju. Taka była smutna prawda.

Nagle ciężarówka stanęła, nagle zgasł silnik. Odkąd odjechali sprzed teatru, minęło najwyżej pięć minut. Co się stało? Zatrzymano ich? Silnik nie zgasł sam: został wyłączony. Ilja wyłączył go, bo stanęli na światłach?

Nie, zdecydowanie nie. Nadśluchiwał jakichś odgłosów, czegoś, co podpowiedziałoby mu, co się dzieje. Ale nie usłyszał nic.

Wstał i ukrył się za wysoką dekoracją na wypadek, gdyby przeszukano ciężarówkę. Stał między dwiema płóciennymi płachtami i czekał.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wewnątrz zalało dziwne, pomarańczowe światło. Przeszukanie? Stephen znieruchomiał z nadzieją, że jeśli tak, będzie szybkie i pobieżne. Każdy milicjant czy enkawudzista, który otworzyłby drzwi, natychmiast zobaczyłby, że w ciężarówce są dekoracje z teatru Bolszoi i dałby im święty spokój.

Ale dlaczego? Dlaczego ich zatrzymano?

- Jest z tyłu - zawołał czyjś głos. Głos Ilji.

Dołączyły do niego inne głosy i głucho dudnienie butów na stalowej podłodze. Metcalfe zamarł.

- Jest tam. - Znowu głos Ilji. - Na sto procent. Ilja? Niemożliwe! Z kim rozmawiał?

Ktoś szarpnął dekoracją, ktoś ją odsunął. Prosto w oczy zaświeciły mu dwie latarki. Mężczyźni w mundurach. W mundurach strażników z teatru? Ci ze straży wewnętrznej?

Nie. Znał te mundury, znał ten emblemat na epoletach: sztylet i owinięty wokół sztyletu wąż. Ale przecież to jakaś bzdura!

Enkawudziści chwycili go i pociągnęli za sobą. Od razu stwierdził, że stawianie oporu nie ma żadnego sensu: samochód był otoczony przez mundurowych. Z kilkoma z nich rozmawiał Ilja. Rozmawiał zupełnie swobodnie, bez lęku, paląc papierosa. Nie, nie zatrzymano ich. On tych ludzi znał, a przynajmniej dobrze się wśród nich czuł. On z tymi ludźmi... współpracował.

Ciężarówka stała na dziedzińcu, który rozpoznał ze zdjęć. Miał nadzieję, że nigdy w życiu nie zobaczy tego miejsca na własne oczy.

Otoczono go, założono mu kajdanki i pchnięto do przodu. Ruszyli.

- Ilja! - krzyknął. - Wyjaśnij to nieporozumienie!

Ale Ilja wsiadał już do szoferki. Wsiadł, rzucił niedopałek na betonowe płyty, wesoło pomachał enkawudzistom na pożegnanie i odjechał.

Popychając i ciągnąc go za kołnierz, strażnicy prowadzili Metcalfe'a w stronę hakowatego wejścia z żółtej cegły, wejścia, na widok którego zrobiło mu się niedobrze. Znał je ze zdjęć.

Byli w kwaterze głównej NKWD.

Byli na Łubiance.

Rozdział 30

Koszmar to złe określenie. W koszmarach zawsze tkwi maleńkie ziarenko świadomości, że to tylko sen, że można się w każdej chwili obudzić i uwolnić od horroru. Tymczasem on wiedział, że to nie koszmar, nie sen. Wiedział, że jest to rzeczywistość, jego rzeczywistość, że od rzeczywistości tej nie ma ucieczki. W ciągu ostatniego roku pracy w organizacji Alfreda Corcorana znalazł się w kilku przerażających sytuacjach. Omal go nie zdekonspirowano, omal nie aresztowano. Strzelano do niego, niewiele brakowało i by zginął. Był świadkiem morderstwa, śmierci bliskich mu ludzi.

Ale teraz wszystko to zbladło i straciło znaczenie.

Wtrącono go do celi słynnego więzienia na Łubiance. Przeniesiono do innego świata, do miejsca, skąd nie było ucieczki, gdzie umiejętności, dzięki którym wielokrotnie wychodził z opresji, były nieprzydatne. Nie miał pojęcia, jak długo tam siedział. Dziesięć godzin? Dwa-dzieścia? Nie widział wschodów i zachodów słońca, nie obowiązywał tu żaden harmonogram czy plan zajęć: czas stał w miejscu.

Był w wąskiej, samotnej, podziemnej celi, nieogrzewanej i lodowato zimnej. Leżał na twardej pryczy, na dwuipółcentymetrowej grubości materacu, cuchnącym potem niezliczonych więźniów, którzy leżeli tu przed nim. Miał szorstki, wełniany koc, tak krótki, że przykrywał mu nogi ledwie do kolan.

Był wyczerpany, lecz nie mógł spać: w celi nieustannie paliło się jaskrawe światło, a zza skośnych, żelaznych krat w drzwiach sączyły się smużki elektrycznego światła z zewnątrz. Nie chcieli pozwolić, żeby zasnął. Wyczerpanie, fizyczne i psychiczne, było ich celem. Mniej więcej co pół minuty zgrzytał metalowy judasz i w otworze pojawiało się oko. Ilekroć naciągał na głowę koc, strażnik kazał mu odsłonić twarz. Ilekroć odwracał się do ściany, mundurowy warczał, żeby odwrócić się do drzwi.

W celi było tak zimno, że widział swój oddech. Cały czas dygotał jak galareta, nie mógł przestać. Kazali mu się rozebrać. Ubranie pocięli brzytwami, odcięli wszystkie guziki, zabrali pas i dokładnie go obszukali. Wepchnęli go pod prysznic, ale nie dali ręcznika. Gdy włożył zniszczone ubranie na mokre ciało, przez mroźny dziedziniec przeprowadzili go do innego budynku, gdzie zdjęto mu odciski palców i gdzie go sfotografowano, en face i z profilu.

O Łubiance wiedział sporo, lecz wiedzę tę czerpał z suchych, beznamiętnych doniesień, z raportów wywiadowczych, czasem z plotek i pogłosek. Wiedział, że najstarszy w kompleksie budynek był przed rewolucją siedzibą Wszechrosyjskiego Towarzystwa Ubezpieczeniowego. Wiedział, że Czeka, pierwsza forma sowieckiej tajnej policji, przekształciło jej biura w sale przesłuchań i cele.

Wiedział, że jest to fabryka śmierci, że w podziemiach gmachu przy ulicy Dzierżyńskiego numer 1, najtajniejszym i najpilniej strzeżonym budynku Łubianki, przeprowadza się egzekucje najważniejszych więźniów. Prowadzono ich podobno do sali, w której na podłodze leżał brezent, i strzelano im w tył głowy z ośmiostrzałowego tokariewa, zaraz po wejściu lub ustawivszy ich uprzednio pod ścianą. Chociaż katom płacono bardzo dobrze - byli nimi tylko mężczyźni, zwykle analfabeci - ich praca zbierała okrutne żniwo: szerzył się wśród nich alkoholizm i samobójstwa.

Zaraz po egzekucji ciało zabierano i grzebano we wspólnym grobie. Do sali wchodziła kobieta ze szmatą i kubłem. Zatrudniony przez NKWD lekarz wystawiał świadectwo zgonu, ostatni dokument w aktach ofiary. Jeśli rozstrzelany był kimś znanym, krewnych zawiadamiano, że został skazany na dziesięć lat więzienia bez prawa do korespondencji. Wtedy to rodzina słyszała o nim po raz ostatni.

O tym wszystkim wiedział, lecz o wiele istotniejsze było to, o czym nie wiedział. Ktoś go zdradził? Czy NKWD doszło po prostu do wniosku, że najwyższa pora z nim skończyć? Widziano go przy skrzynce kontaktowej, przeszukano jego hotelowy pokój, znaleziono nadajnik. Istniało kilkanaście powodów, dla których mogli go aresztować.

Ale dlaczego wystawił go przyjaciel Lany, jej garderobiany, człowiek, któremu bezgranicznie ufała który ostrzegł ją, że szukają go enkawudziści?

Tak, oczywiście, myślał. Całkiem możliwe, że Ilja jest informatorem, że kolaboruje z nimi jak wielu innych Rosjan. Czymś go zaszantażowali - zagrozili członkom jego rodziny, nakryli go na drobnym przestępstwie - albo po prostu zaproponowali mu regularną pensję. Werbunek? Nic prostszego. Podejrzewali Metcalfe'a już od dawna, wiedzieli, że odwiedza Lane. Żeby go zgarnąć, przekabacili na swoją stronę jej zaufanego pomocnika, to logiczne.

Ale czy możliwe było, czy było w ogóle prawdopodobne, żeby zdradziła go... Lana?

Zrobiłaby wszystko, żeby ochronić ojca. Gdyby ją przycisnęli - mocno, tak nie do wytrzymania - czy trudno było sobie wyobrazić, że mogłaby pęknąć i pójść na współpracę z NKWD?

Trudno? - pomyślał. Dlaczego? Dlaczego miałyby mnie nie oszukać, skoro ja oszukiwałem ją?

Nie wiedział, co o tym sądzić. Był tak wyczerpany, że mąciło mu się w głowie.

Trzasnęła zasuwą, głośno i metalicznie. Stephen usiadł i przygotował się na nieznaną. Weszło trzech mundurowych, w tym dwóch z wycelowaną w niego bronią.

- Wstać! - warknął ten nieuzbrojony.

Metcalfe wstał, czujnie ich obserwując. Przeważali nad nim liczebnie, ale nawet gdyby zdołał odebrać któremuś broń, nawet gdyby przytknął mu lufę do głowy i wziął zakładnika, nigdy by się stąd nie wydostał. Musiał z nimi współpracować i czekać na lepszą okazję.

- Która godzina? - spytał.

- Ręce do tyłu! - krzyknął tamten.

Ciemnym korytarzem zaprowadzili go do żelaznych drzwi z małą kratą pośrodku, które okazały się drzwiami do ciasnej, prymitywnej windy. Pchnęli go na ścianę, zatrzasnęli drzwi i winda ruszyła.

Wysiedli na długim korytarzu. Dębowy parkiet, na parkiecie orientalny bieżnik, białe światło z kulistych lamp pod sufitem: luksus.

- Patrz prosto przed siebie - warknął strażnik. - Ręce z tyłu. Głowa prosto.

Dwóch szło z boku, jeden tuż za nim. Kątem oka widział, że mijają rząd biur, widział pracujących w nich mężczyzn i kobiety, gdyż niektóre drzwi były otwarte. Co dwadzieścia kroków stał umundurowany enkawudzista.

Jeden z nich zastukał kluczami w klamrę paska. Stephen zmrużył oczy. Jakiś znak?

W tym samym momencie wepchnięto go do niszy w ścianie, zagłębienia wielkości budki telefonicznej. Przechodził ktoś ważny, ktoś, kogo nie powinien ich zdaniem widzieć.

W końcu doszli do dużych dębowych drzwi. Strażnik zapukał i kilka sekund później otworzył mu jasnowłosa mężczyzna o trupiej cerze. Pewnie sekretarz albo recepcjonista, pomocnik kogoś, kto urzędował w sąsiednim pokoju. Na biurku miał maszynę do pisania i kilka telefonów. Podpisał jakiś dokument i dał kopię strażnikowi. Metcalfe patrzył na to w milczeniu, nie chcąc zdradzać żadnych emocji, pełnej niepokoju ciekawości, dokąd go teraz zaprowadzą. Sekretarz zapukał do drzwi i otworzył wbudowane w nie okienko.

- Więzień numer 8.

- Wprowadzić - odpowiedział czyjś głos.

Sekretarz nacisnął klamkę, stanął z boku i strażnik wepchnął Stephena do gabinetu; pozostali dwaj stanęli na baczność i ani drgnęli.

Gabinet należał do kogoś ważnego. Na podłodze leżał orientalny dywan, meble były ciemne i masywne. Przy ścianie stał sejf. Obok baterii telefonów na wielkim, przykrytym zie-

lonym suknem biurku piętrzyły się sterty kartonowych teczek. Za biurkiem stał szczupły, delikatny, lekko łysiejący mężczyzna o wysokim, wypukłym czole. Był w nienagannie wyprasowanym szarym garniturze i w okrągłych okularach bez oprawki, które groteskowo powiększały jego oczy. Nie wychodząc zza biurka, wyciągnął kościstą rękę. Strażnik odwrócił się na pięcie i wyszedł, zostawiając Metcalfe'a w progu.

Okularnik usiadł i przez kilka minut przekładał jakieś dokumenty, jakby go tam nie było. Wyciągnął ze sterty grubą teczkę i spojrzał na niego bez słowa.

Uświęcona tradycją technika śledcza: uporczywe milczenie powodowało, że przesłuchiwany zaczynał się niepokoić, czuł się coraz bardziej nieswojo. Ale Stephen też milczał. Nie zamierzał odzywać się jako pierwszy.

Gdy minęło dobre pięć minut, okularnik uśmiechnął się i doskonałą angielszczyzną spytał:

- Woli pan rozmawiać po angielsku? - I przeszedł na rosyjski. - Czy po rosyjsku? Wiem, że zna pan nasz język, i to płynnie.

Metcalfe zamrugał. Angielski dałby mu przewagę. Pozbawiłby tamtego możliwości stosowania niuansów i subtelności językowych, których wprawnie używali jedynie rodowici Anglicy i Amerykanie.

- Wszystko jedno - odrzekł po angielsku. - Pod warunkiem że będziemy rozmawiali szczerze i otwarcie. Czy jest pan do takiej rozmowy upoważniony, towarzyszu... Boję się, że nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

- Bo się panu nie przedstawiłem. Rubaszow. Może się pan tak do mnie zwracać. I bez „towarzyszu”, proszę. Nie należy pan do naszej partii. Zechce pan usiąść.

Stephen usiadł na jednej z dwóch dużych skórzanych, zielonych sof tuż przed biurkiem. Rubaszow nie usiadł. Wciąż stał. Na ścianie za nim wisały trzy oprawione w ramy portrety, Lenina, Stalina i Żelaznego Feliksa, Dzierżyńskiego, niesławnego założyciela Czeka. Zdawało się, że głowa Rubaszowa tkwi dokładnie między nimi, niczym czwarty portret w galerii.

- Napije się pan herbaty?

Metcalfe odmówił.

- Jest wyśmienita. Nasz przewodniczący przywiózł ją z Gruzji. Powinien się pan napić. To pana pokrzepi.

- Dziękuję, ale nie.

- Doniesiono mi, że nic pan nie je. Przykro mi to słyszeć.

- Aha, to było jedzenie? - odparł Stephen. Dostał blaszany talerz flaków i kawał czarnego, stęchłego chleba. Kiedy to było? Ile czasu minęło, odkąd wrzucono go do celi?

- Cóż, nie jest to na pewno kurort nad Morzem Czarnym, ale tutaj można przynajmniej przebywać dosłownie bez końca, prawda? - Rubaszow wyszedł zza biurka i stanął nad nim ze skrzyżowanymi rękami. Miał wypolerowane na błysk buty. Czarne, skórzane. - Jest pan bardzo dobrze wyszkolonym agentem, panie Metcalfe. Uciekł pan naszym ludziom, nie wielu tego dokonało. Jestem pod wrażeniem.

Oczekiwał, że Stephen natychmiast zaprzeczy, bardzo tego chciał. Ale on wciąż milczał.

- Mam nadzieję, że rozumie pan swoją sytuację.

- Absolutnie.

- Cieszę się.

- Rozumiem, że zostałem porwany i bezprawnie uwięziony przez radziecką tajną policję. Rozumiem, że popełniono poważny błąd o trudnych do wyobrażenia następstwach.

Rubaszow pokręcił głową, powoli i ze smutkiem.

- Nie, szanowny panie. Nie popełniono żadnego błędu. Wszystkie ewentualne „następstwa”, jak pan to ujął, zostały dokładnie przeanalizowane i uwzględnione. Jesteśmy narodem tolerancyjnym, ale szpiegostwa nie tolerujemy.

- Tak - odparł spokojnie Stephen. - Oskarżacie o szpiegostwo każdego obcokrajowca, który jest dla was niewygodny. Prawda? Założmy, że ministrowi handlu nie podobają się warunki umowy, którą podpisał z moim przedsiębiorstwem. Wystarczy, że...

- Nie, panie Metcalfe. To są kręactwa i spekulacje. Proszę nie marnować mojego czasu. - Długim, kościstym palcem wskazał stertę teczek na biurku. - To sprawy, które teraz prowadzę. Jak sam pan widzi, mam bardzo dużo pracy, nie starcza mi dnia. Dlatego proponuję, żebyśmy od razu przeszli do rzeczy. - Podeszedł do biurka, wziął kartkę i podał ją Stephenowi. Zalaatywało od niego machorką i kwaśnym potem. - Pańskie przyznanie się do winy. Niech pan podpisze i sprawa będzie załatwiona.

Kartka była czysta. Metcalfe podniósł wzrok i uśmiechnął się psotnie.

- Proszę to podpisać - powtórzył Rubaszow. - Tam, na samym dole. Resztę dopiszemy później.

- Wygląda pan na człowieka inteligentnego. Nie jest pan prymitywnym głupcem, który kazałby aresztować znanego amerykańskiego przemysłowca, człowieka ustosunkowanego, mającego przyjaciół w Białym Domu. Nie doprowadziłby pan do dyplomatycznego incydentu, do sytuacji, która mogłaby wymknąć się spod kontroli. Nie zaryzykowałby pan.

- Pańskie słowa działają na mnie jak balsam - odrzekł Rubaszow, opierając się o biurko. - Ale ja nie zajmuję się dyplomacją, to nie moja działka. Jestem tylko śledczym: ścigam przestępców, domagam się dla nich kary i pilnuję, żeby ją wymierzono. Wiemy o panu więcej, niż pan myśli. Nasi ludzie obserwowali pana, odkąd przyjechał pan do Moskwy. - Wziął z biurka grubą teczkę. - Tu są szczegóły, mnóstwo szczegółów. Wynika z nich jedno: nie prowadził pan u nas działalności typowej dla uczciwego biznesmena.

Metcalfe przekrzywił głowę i uniósł brew.

- Jestem tylko mężczyzną - odrzekł. - Mężczyzną wrażliwym na wdzięki rosyjskich dziewcząt. Niestety, nie jestem na nie odporny.

- Panie Metcalfe, tracę przez pana czas. Wracajmy do rzeczy. Intrygują mnie pańskie poczynania, i to bardzo. Czuje się pan w Moskwie jak w do mu.

- Dobrze znam miasto.

- Widziano, jak odbiera pan dokumenty ze skrytki przy ulicy Puszkina. Czy zaprzecza pan, że pan tam był?

- Dokumenty?

- Mamy zdjęcia, panie Metcalfe.

Jakie? - myślał Stephen. - Sfotografowali go, gdy sięgał za kaloryfer? Czy jak wkładał dokumenty za pazuchę? Nie wiedząc, co widzieli, nie wiedział też, do czego może się przyznać.

- Chętnie bym je obejrzał.

- Nie wątpię.

- Dokumentami zajmuję się przez cały dzień. To zhora mojego życia.

- Rozumiem. I jest czymś zupełnie normalnym, że gdy podchodzi do pana agent NKWD, zaczyna pan nagle uciekać. Tak?

- Jak najbardziej. Moim zdaniem, to bardzo dobry pomysł. Każdy przed wami ucieka. I powinien. Nie jesteście z tego dumni? Dumni, że zasialiście ziarno strachu nawet w sercach niewinnych ludzi?

- Owszem. - Rubaszow cicho zachichotał. - Ale przede wszystkim zasialiśmy je w sercach ludzi winnych. - Spoważniał. - Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że cywilom nie wolno nosić tu broni, że to niezgodne z prawem. Metcalfe wzruszył ramionami.

- Noszę pistolet do obrony własnej. Macie tu sporo tak zwanego elementu. Zamożny biznesmen jest dla nich łatwym celem.

- To nie jest błażostka, panie Metcalfe. Już tylko za to może pan trafić do więzienia na wiele lat. A proszę mi wierzyć, że nie chciałby pan odsiadywać wyroku w radzieckim zakła-

dzie penitencjarnym. - Rubaszow odwrócił się twarzą do portretów na ścianie, jakby szukał natchnienia w podobiznach Stalina, Lenina i Dzierżyńskiego. - W tej instytucji – kontynuował - pracują ludzie, ludzie postawieni znacznie wyżej niż ja, którzy pragną pańskiej śmierci. Mamy dowody, o wiele więcej dowodów, niż pan myśli, że jest pan szpiegiem. To w zupełności wystarczy, żeby resztę życia spędził pan w gułagu.

- Chcecie wysłać mnie na Syberię? Nie wiedziałem, że potrzebujecie do tego dowodów.

Rubaszow odwrócił się i spojrzał na niego powiększonymi przez okulary oczami.

- Boi się pan śmierci, panie Metcalfe?

- Tak - odrzekł Stephen. - Ale gdybym mieszkał w Moskwie na stałe, na pewno bym się nie bał. Nieważne. Skoro spreparowaliście aż tyle dowodów, dlaczego pan ze mną rozmawia?

- Ponieważ chcę dać panu szansę. Szansę zawarcia swego rodzaju... ugody.

- Aha, ugody.

- Tak, ugody. Jeżeli dostarczy mi pan niezbędnych informacji, jeżeli opowie mi pan o organizacji, dla której pan pracuje, wyjawi jej cele, nazwiska, i tak dalej, niewykluczone, że wsadzimy pana do najbliższego pociągu i odeślemy do domu.

- Chciałbym wam pomóc, ale nie mam nic do powiedzenia. Przykro mi.

Rubaszow splótł dłonie.

- Nie, to mnie jest przykro. - Podeszedł do biurka i wcisnął guzik. - Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu. Może następnym razem będzie pan rozmowniejszy.

Drzwi otworzyły się i -jakby tylko na to czekali - do gabinetu wpadli strażnicy.

Natychmiast zaprowadzono go do innej części budynku, gdzie korytarze były białe i jaszkrawo oświetlone. Strażnik wcisnął guzik na futrynie drzwi z napisem SALA PRZESŁUCHAŃ NR 3 i kilku uzbrojonych enkawudzistów wciągnęło go do białego pomieszczenia, do sali o wyłożonych kafelkami ścianach, podłodze, a nawet suficie. Czekają na niego aż pięciu, pięciu z gumowymi pałkami w ręku. Zamknęto drzwi.

Stephen milczał. Wiedział, co zaraz będzie. Wymachując pałkami, cała piątka podeszła bliżej.

Czuł się tak, jakby ktoś go kopał w brzuch i w nerki, tylko dziesięć razy silniej, mocniej, tak mocno, że przed oczyma rozbłysły mu świetliste punkciki. Nie stawiał oporu, próbował jedynie osłonić najwrażliwsze części ciała. Na próżno. Upadł. Widział niewyraźnie, podwójnie, jak przez mgłę.

Tamci nie przestawali go bić. Ból był nie do wytrzymania, lecz na szczęście stracił przytomność.

Ból. Oblano go zimną wodą, ocucono i znowu wrócił, przesywający, niewysłowiony. Ból i bicie. Zaczął pluć krwią. Krew zalewała mu oczy, spływała po policzkach. Wszystko, co widział, było teraz dziwnie po-fragmentowane, jak obraz z projektora z zsuwającą się z bębna taśmą filmową. Widział to rozbłyśki światła, to upstrzoną brązowymi plamami podłogę. Przeszło mu przez myśl, że tu umrze, że umrze w tej wyłożonej białymi kafelkami sali, że anonimowy sowiecki lekarz wystawi świadectwo zgonu, że wrzucą jego ciało do wspólnego grobu. Ale nawet w delirium - w tej oszalałej histerii, która uśmierzała nieznośny ból -myślał o Lanie. Martwił się o nią, zastanawiał, czy nic jej nie grozi, czy nie zabrali jej na przesłuchanie. Czy będzie bezpieczna, czy wkrótce nie nadejdzie jej kolej, czy, tak samo jak on, nie znajdzie się w tej białej sali z zakrwawioną głową, nosem i oczami.

I to był przełom: widok Lany, która musi przechodzić przez to co on. Nie mógł do tego dopuścić. Jeśli jest coś, co mogę zrobić, żeby ją ochronić, myślał, muszę zrobić to teraz, bo inaczej ona też trafi do tego koszmarnego miejsca. Jeżeli umrę, Lana zginie.

Muszę żyć. Muszę jakoś przeżyć.

Muszę zacząć mówić.

Podniósł wykrzywioną rękę, wyprostował palec.

- Zaczekajcie -jęknął. - Chcę...

Jeden z enkawudzistów dał znak. Pozostali znieruchomieli, patrząc na niego wyczekująco.

- Zaprowadźcie mnie do Rubaszowa - wychrypiał. - Wszystko powiem.

Ale zanim tam trafił, zadali sobie wiele trudu, żeby doprowadzić go do porządku - przecież nie mógł zachłapać krwią orientalnego dywanu w gabinecie towarzysza śledczego. Rozegrali go, wepchnęli pod prysznic, rzucili mu czyste, szare dreluchy. Całe ciało bolało go tak bardzo, że z trudem podnosił ręce.

Ale Rubaszow nie spieszył się go przyjąć. Stephen wiedział, że to tylko taktyka, kolejna zagrywka. Przez całą wieczność kazali mu stać przed sekretariatem. Leciał z nóg, ale nie, musiał to jakoś wytrzymać. Wiedział też, że przesłuchanie w białej sali było jedynie wstępem do bardziej wyrafinowanych technik. Więźniom kazano często stać pod ścianą przez wiele dni, bez jedzenia i snu. Po kilkunastu godzinach takiej udręki marzyli jedynie o śmierci. Tym razem pilnowało go tylko dwóch strażników, dając mu dyskretnie do zrozumienia, że jest zbyt osłabiony, zbyt wycieńczony, żeby komukolwiek zagrażać.

Wreszcie wprowadzono go do środka. Błedego jak ściana sekretarza już nie było - pewnie skończył pracę - ale zastępował go młody, jeszcze bardziej zalękniony mężczyzna. Podpisano dokumenty, otworzyły się drzwi i Metcalfe wszedł do gabinetu.

Rozmawiając z SS-Gruppenfuhrerem Reinhardem Heydrichem, Kleist w pełni zdawał sobie sprawę, jak wielkim przywilejem jest służba u tak wspaniałego nauczyciela i mentora. Heydrich był nie tylko doskonałym skrzypkiem, ale i błyskotliwym strategiem. To, że osobiście wybrał go do tej misji, było uznaniem dla jego talentu.

Dlatego nie chciał go rozczarować. Gdy tylko uzyskał połączenie i Heydrich podniósł słuchawkę, od razu przeszedł do rzeczy.

- Jak dotąd nie zdołałem ustalić, co ten Amerykanin knuje - zaczął mówić i ponieważ Heydrich nie należał do ludzi cierpliwych, szybko zapoznał go z przebiegiem wydarzeń: mimo bolesnej, fizycznej perswazji, Anglik, współpracownik Amerykanina, nie chciał nic powiedzieć i musiał zginąć. Amos Hilliard, ten, który był umówiony z Amerykaninem w restauracji, rozpoznał go - być może ze zdjęć z kartoteki Corcorana - i również musiał zostać wyeliminowany. Nie mogąc pozbyć się ciała, Kleist natychmiast przerwał akcję i się wycofał. Nie miał innego wyboru.

- Postąpiłeś słusznie - uspokoił go Heydrich. - Ten Hilliard by cię zdekonspirował. Co więcej, każde zlikwidowane oczko amerykańskiej czy brytyjskiej siatki szpiegowskiej to zysk dla Niemiec.

Skrzypek uśmiechnął się i rozejrzał po sali w centrum łączności.

- Powstaje pytanie, czy nie nadeszła już pora usunąć i Amerykanina. - Nie śmiał sugerować, że obowiązujący dotychczas zakaz likwidacji celu bardzo go frustruje.

- Tak - odrzekł szybko Heydrich. - Myślę, że trzeba zniszczyć tę siatkę, najwyższy czas. Ale właśnie doniesiono mi, że zabrano go na przesłuchanie, na Łubiankę. Pewnie już nigdy stamtąd nie wyjdzie, to mało prawdopodobne. Rosjanie nas wyręcżą.

- Zatem rybę złowił ktoś inny - odrzekł rozczarowany Kleist. - A jeśli nasi przyjaciele go wypuszczą?

- Wtedy zajmiesz się nim ty. Nie mam wątpliwości, że sobie poradzisz.

Tym razem Rubaszow siedział za biurkiem z głową za wielką stertą teczek. Chyba coś pisał. Po kilku minutach odłożył pióro i podniósł wzrok.

- Chciał mi pan coś powiedzieć, panie Metcalfe?

- Tak.

- Świetnie. Wiedziałem, że jest pan rozsądny.

- Zmusiliście mnie do tego.

Rubaszow zamrugnął wielkimi, rybimi oczami.

- To zwykła perswazja, panie Metcalfe, a dokładniej mówiąc, jedna z wielu form perswazji, które tu stosujemy.

Stephenowi zebrała się krew w ustach. Splunął na dywan. Rubaszow gniewnie błysnął oczami.

- Szkoda. Widzi pan, byłoby lepiej, o wiele lepiej, gdyby nie usłyszał pan tego, co zaraz powiem. - „Zasada numer jeden. Ilekroć musisz stawić czoło przedstawicielowi władzy, zawsze udawaj, że jego władza jest niczym w porównaniu z twoją. Jeśli nawet nie nauczysz się ode mnie niczego więcej, wbij sobie do łba chociaż to”. Alfred Corcoran.

Rubaszow uniósł brwi, które wygięły się w łuk nad okularami.

- Nie mam co do tego wątpliwości, panie Metcalfe - odparł łagodnie. - Wolałby pan skłamać, zataić prawdę. Ale proszę mi wierzyć, że postępu je pan słusznie. To trudne, wiem, ale wiem też, że jest pan odważny.

- Źle mnie pan zrozumiał. Chciałem powiedzieć, że pan tego pożałuje. Widzi pan, biznesmenowi takiemu jak ja niełatwo jest pracować w Związku Radzieckim. Trzeba iść na kompromis, trzeba oddawać przysługi, wręczać łapówki ludziom z najwyższego szczebla. Kompromis, przysługi, łapówki, a wszystko to dyskretnie, w ścisłej tajemnicy. - Metcalfe z trudem podniósł rękę i zatoczył nią łuk. - Siedząc w tym wspaniałym gabinecie, jest pan błogo nieświadomy, jak to wszystko funkcjonuje na samej górze, na poziomie Biura Politycznego. I tak powinno być. Sprawy państwowe zawsze załatwiają mężowie stanu. Mężowie, mężczyźni, a mężczyźni są przecież tylko mężczyznami. Ludźmi chciwymi i skąpymi, ludźmi, którzy mają ludzkie pragnienia i zachcianki. Ponieważ żyją w robotniczym raju, nie mogą ich publicznie ujawniać, to oczywiste. Dlatego muszą zaspokajać je dyskretnie, za pośrednictwem dobrze ustosunkowanych ludzi. I właśnie tu na scenę wydarzeń wkracza moja firma, Metcalfe Industries.

Rubaszow patrzył na niego nieruchomymi oczami, nie zdradzając żadnych emocji.

- Na pewno rozumie pan - kontynuował Stephen - że nie mogę mówić otwarcie o wszelkiego rodzaju... przysługach, które oddaliśmy najwyższym przedstawicielom władzy radzieckiej: to nasza tajemnica. Dlatego, z oczywistych względów, nie powiem panu o zachodnich meblach, o wyposażeniu kuchni i łazienki, o sprzęcie elektrycznym, który dostarczyliśmy potajemnie do domów w Tbilisi i w Abchazji, do domów należących do matki pańskiego szefa, Ławrientija Pawłowicza. - Mówił o Berii po imieniu, jakby dobrze go znał. Niewielu wiedziało, że komisarz spraw wewnętrznych podarował swojej matce dwa domy i umeblował je kosztownymi meblami. Ale śledczy wiedział o tym na pewno, Metcalfe nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Rubaszow powoli pokręcił głową. Wciąż miał kamienną twarz.

- Sam Ławrientij Pawłowicz ma oczywiście znacznie bardziej ekstrawaganckie gusta - mówił dalej Stephen. - Ale nie usłyszy pan ode mnie o wspaniałym, szesnastowiecznym obrazie Tintoretta, który wisi w jadalni jego domu przy ulicy Kachałowa. - Mało kto wiedział, gdzie Beria mieszka, ale on przeszedł szkołę Corcorana, on takie szczegóły znał. - Bardzo wątpię, czy kiedykolwiek zaprosił pana na obiad, ale nawet gdy by tak było, podejrzewam, że nie doceniłby pan wspaniałości tego małego klejnotu. Pański szef jest wytwornym człowiekiem o doskonałym smaku, pan zaś zwykłym muzykiem. Ale nigdy nie usłyszy pan z tych ust, że aby kupić ten obraz, Ławrientij Pawłowicz sprzedał na Zachodzie wiele bezcennych ikon i rzeźb, że Metcalfe Industries dyskretnie w tych trans akcjach pośredniczyła.

Rubaszow już nie kręcił głową. Rubaszow wyraźnie pobrał.

- Panie Metcalfe... - zaczął.

- Proszę, niech pan go o to spyta - przerwał mu Stephen. - Niech pan podniesie słuchawkę i zadzwoni. A przy okazji niech pan spyta go również o ikony, które kazał zabrać z kościoła Chrystusa Zbawiciela w Moskwie. Proszę bardzo, niech pan dzwoni, niech go pan spyta.

Patrzył na niego z kamienną twarzą. Rubaszow wyciągnął rękę w stronę telefonów i podniósł słuchawkę białego. Stephen uśmiechnął się i usiadł wygodniej.

- Proszę mi coś powiedzieć - rzucił. - Czy to pan kazał mnie aresztować? Czy może wykonywał pan rozkaz z góry?

Rubaszow przytknął słuchawkę do ucha. Na jego ustach błędził leciutki uśmiech. Nie odpowiedział, lecz nie wybrał też numeru.

- Teraz jest dla mnie jasne, że albo spiskuje pan przeciwko Berii, albo ktoś, wrogowie działający w waszej organizacji, wykorzystują pana jako narzędzie. Więc jak to w końcu jest?

- Nie będę tolerował pańskiej bezczelności! - wybuchnął Rubaszow. Bezradność i gniew: Metcalfe uznał, że to dobry znak.

- Tak, wiem - mówił dalej, jakby nigdy nic. - Myśli pan, że jeśli zniknę, wraz ze mną znikną pańskie problemy. Ale boję się, że mnie pan nie docenia. W Nowym Jorku mamy prawników, którzy przechowują w sejfie wielce obciążające dokumenty i którzy opublikują je, jeśli nie skontaktuję się z nimi o ustalonej porze. Wybuchnie skandal. Nazwiska ludzi, z którymi Metcalfe Industries robiła interesy przez wiele lat, ludzi postawionych jeszcze wyżej niż towarzysz Beria... Oczernić ich? Tych wszystkich prominentów? Nie przypuszczam, żeby chciał pan mieć z tym coś wspólnego. Zwłaszcza że jest wśród nich ktoś, kogo na pewno nie warto denerwować. - Stephen spojrzał na ścianę, na portret Stalina nad biurkiem.

Rubaszow poszedł za jego wzrokiem i na jego szarej jak popiół twarzy zagościł nieomylny wyraz przerażenia. U wysokiego urzędnika NKWD Stephen nigdy takiej miny nie widział.

- Podpisałby pan na siebie wyrok śmierci - dodał i wzruszył ramionami. - Ale cóż mogę na to poradzić? Przecież mnie pan do tego zmusił, prawda?

Rubaszow wcisnął guzik i wezwał strażników.

Berlin

Gdy admirał Canaris skończył mówić, siedzący przy stole mężczyźni długo milczeli jak rażeni gromem. Spotkali się w sali konferencyjnej nowego gmachu Kancelarii Rzeszy, którą według dokładnych wskazówek Hitlera zbudował jego ulubiony architekt Albert Speer. Na dworze szalała zamieć.

W wysokiej niszy w ścianie stało marmurowe popiersie Bismarcka. Żaden z nich, nawet sam Fuhrer, nie wiedział, że jest to dokładna kopia rzeźby, która przez wiele zdobiła wnętrze jednej z sal starej kancelarii. Podczas przenosin do nowej siedziby ktoś ją upuścił i Bismarckowi odpadła głowa. Speer potajemnie zamówił u rzeźbiarza kopię, którą następnie zanurzone w naparze z herbaty, żeby pokryła się patyną. Główny architekt uważał, że przypadkowe zniszczenie oryginału jest bardzo złym znakiem.

Siedzący przy stole mężczyźni byli najwyższymi przywódcami Rzeszy. Przybyli tu, żeby omówić korzyści płynące z ewentualnej inwazji na Związek Radziecki, inwazji, co do której mieli podzielone zdania. Wielu się temu pomysłowi sprzeciwiało. Feldmarszałek Friedrich von Paulus, feldmarszałek Wilhelm Keitel i generał Alfred Jodl uważali, że gdyby doszło do inwazji, siły niemieckie uległyby zbyt wielkiemu rozczłonkowaniu, że musiałyby działać na zbyt wielu frontach.

Wyciągano stare argumenty. To bagno. Nie powinni tam wchodzić, bo ugrzęzną. Powinni Rosję zneutralizować, trzymać ją na dystans, pilnować, żeby im nie przeszkadzała.

Jednakże ostatnie doniesienia wywiadowcze z Moskwy wszystko to zmieniły.

W sali panowała elektryzująca atmosfera.

Operacja „Groza”. Stalin chciał ich zaatakować. Muszą uderzyć pierwsi.

Głos zabrał szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, generał SS Reinhard Heydrich.

- Skąd pewność, że te dokumenty nie są podrobione? - spytał.

Admirał Canaris uważnie go obserwował. Złowieszcza twarz, długi, kościsty nos, gądzie oczy - dobrze Heydricha znał. Prywatnie byli przyjaciółmi, choć może nie do końca. Heydrich, utalentowany skrzypek, często grywał u nich w domu z jego żoną, też skrzypaczką. Canaris wiedział, że generał jest barbarzyńcą i fanatykiem, że nie można mu ufać. Tego rodzaju pytanie bardzo do niego pasowało. Chciał zademonstrować Fuhrerowi, że wywiad nie ma przed nim tajemnic.

- Moi ludzie dokładnie je zbadali - odparł spokojnie. - Niechaj pańscy zrobią to samo, bardzo zapraszam. Przekonacie się, że są autentyczne.

- Po prostu zastanawiam się, dlaczego NKWD nie wykryło jeszcze przecieku - nie ustępował Heydrich.

- Nie mamy żadnych innych dowodów, że Stalin planuje atak - wtrącił feldmarszałek Paulus. - Rosjanie nie ogłosili mobilizacji, nie odnotowaliśmy wzmożonego ruchu sowieckich wojsk. Zresztą dlaczego mieliby nam robić taką uprzejmość?

- Bo Stalin chce podbić całą Europę - odrzekł Jodl. - Zawsze tego chciał. Ale my go powstrzymamy. Moim zdaniem nie ma już żadnych wątpliwości, że musimy przypuścić atak wyprzedzający. Z osiemdziesięcioma czy ze stoma dywizjami pokonamy Rosjan w cztery, góra sześć tygodni.

Rozdział 31

Ulice były ciemne, przykryte pledem świeżego śniegu, ruch mały, dźwięki przytłumione. Uliczny zegar wskazywał pierwszą w nocy. Tuż przed nim ciągnęło się Nabrzeże Krymskie, a nieco dalej zbudowany przed dwoma laty most Krymski łączący brzegi rzeki Moskwy, najdłuższy i najokazalszy most wiszący w Europie.

Na chodniku, w połowie mostu, stała samotna postać. Postać kobiety w palcie i chustce na głowie. Wiedział, że to ona, Lana. Serce zabiło mu szybciej. Nic nie mógł na to poradzić, jak zwykle. Przyspieszył też kroku, chociaż biec nie mógł, bo koszmarnie bolały go nogi i żebra; ból dopiero zaczynał ustępować. Było bardzo zimno. Jego pociętym, porwanym na strzępy ubraniem szarpał wiatr.

Główny śledczy Rubaszow zapomniał o papierkach i wydał rozkaz jego natychmiastowego zwolnienia. Zwrócono mu wszystkie rzeczy z wyjątkiem pistoletu. Ale nie miał poczucia, że wygrał. Nie odczuwał nic oprócz pustki i odrętwienia.

Księżyc był w pełni, lecz w gładkiej, nieruchomej wodzie rozpadał się na milion złocistych kawałków, oświetlając też srebrzyste łańcuchy i żelazne wsporniki mostu. Z rzadka przejeżdżające samochody i ciężarówki wprawiały most w drżenie.

Stephen szedł i szedł, zdawało się, że bez końca. Lana była tak daleko, a on ledwo poruszał nogami. Stała tyłem do niego i zamyślona patrzyła w wodę. Przed godziną zadzwonił do teatru z budki telefonicznej. Usłyszawszy jego głos, głośno wciągnęła powietrze. „Boże - wykrzyknęła - najdroższy, gdzieś ty był?” Kilka lakonicznych zdań, kilka umówionych słów i umówili się na spotkanie, nie zdradzając nikomu, ani gdzie się umawiają, ani kiedy - telefon mógł być na podsłuchu.

Było mu wstyd, że w chwili słabości podejrzewał ją o współpracę z NKWD. To po prostu niemożliwe. Gdyby go wydała, czyż mógłby dalej wierzyć w niezmienną naturę fizyki tego świata? Czyż mógłby wierzyć, że istnieje grawitacja, słońce i księżyc?

Odwróciła się, zobaczyła, jak kuśtyka przez most i pobiegła w jego Stronę. Ujrawszy z bliska jego twarz, krzyknęła, a potem zarzuciła mu ręce na szyję.

- Ostrożnie - jęknął.

- Co oni ci zrobili? - Zabrała ręce, pocałowała go, delikatnie przytuliła i stali tak przez chwilę. Czuł zapach jej perfum, czuł ciepło jej ust. Czuł się dziwnie bezpieczny, chociaż wiedział, że tu, w Moskwie, bezpieczny nie jest ani on, ani ona. - Twoja twarz... - Jej ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch. - Pobili cię!

- Nazywają to perswazją - odrzekł. - Uprzedzili mnie, że Łubianka to nie kurort i mieli rację. Ale mogło być jeszcze gorzej. Miałem szczęście: przeżyłem.

- Łubianka? Nie wiedziałam, gdzie przepadłeś, Ilja powiedział, że was zatrzymano, że milicja przeszukała ciężarówkę, znalazła cię i aresztowała. Że nie mógł ich powstrzymać, że nie wiedział, co robić. Był przerażony, miałam wyrzuty sumienia. Moi przyjaciele poszli na komisariat, pytali, gdzie jesteś, ale ci z komisariatu nie wiedzieli, o co chodzi. Czwartego dnia moja przyjaciółka pojechała do Lefortowa, ale powiedziano jej, że nie ma tam takiego więzienia. Wszyscy kłamali, tu wszyscy kłamią, i nie wiedziałam, gdzie jesteś. Nie było cię pięć dni! Myślałam, że wydalono cię z kraju, może nawet rozstrzelano! - Twój garderobiany to kapuś.

Lana wytrzeszczyła oczy i długo milczała.

- Nigdy go o to nie podejrzewałam, wierz mi. Inaczej nigdy bym cię z nim nie wysłała. Stiwa, musisz mi uwierzyć! - Wierzę.

- Tak, teraz nabiera to sensu. Te jego pytania, te dziwne drobiazgi, rzeczy, na które nigdy nie zwracałam uwagi... Ilja jest konikiem, sprzedaje bilety przed teatrem. To u nas nielegalne, ale on ma to gdzieś. Boże, przeoczyłam tyle drobnych rzeczy, tyle szczegółów. Gdzie ja miałam oczy?

- Nie mogłaś tego wiedzieć. Od kiedy u ciebie pracuje? - Przez kilka miesięcy był moim garderobianym i pomocnikiem, ale znamy się od lat. Zawsze okazywał mi wiele życzliwości. Cztery czy pięć miesięcy temu zaczął kręcić się przy mnie jeszcze częściej. Pomagał mi, oddawał różne przysługi. Któregoś dnia powiedział, że chce być moim asystentem, jeśli oczywiście się zgodzę, więc...

- Kiedy to było? Zaraz po tym, jak zaczęłaś spotykać się z von Schusslerem?

- Tak, chyba tak, ale... Tak, to chyba nie przypadek. Chcieli mieć mnie na oku i go zwerbowali.

- Von Schussler jest niemieckim dyplomata, ważnym, choć tylko potencjalnym informatorem, ty słynną baletnicą. Za duże ryzyko. NKWD musiało ci kogoś przydzielić.

- Ale Kundrow...

- Kundrow jest z GRU, z wywiadu wojskowego, konkurencyjnej agencji. Każda chce mieć swoją własną wtyczkę, każda pracuje inaczej, NKWD bardziej się czai. Ale posłuchaj, muszę cię spytać jeszcze raz. Chcę, żebyś to poważnie przemyślała, bo to trudna decyzja. Jedziesz ze mną, Lano?

- Nie, Stiwa. Nie mogę, już o tym rozmawialiśmy. Nie wyjadę, nigdy. Nie zostawię ojca, nie zostawię Rosji. Nie mogę! Musisz to zrozumieć!

- Lano, tu nigdy nie będziesz bezpieczna.

- Ten straszny kraj, który tak bardzo kocham, jest moim domem.

- Jeśli teraz nie wyjedziesz, nigdy cię stąd nie wypuszczą.

- Nie, nieprawda. Za kilka dni nasz zespół wyjeżdża z wizytą przyjaźni do Berlina. Mamy dać występ dla najwyższych przywódców Rzeszy. Nam zawsze pozwolą wyjechać za granicę.

- Ale wciąż będziesz ich więźniem. Berlin to druga Łubianka.

Rozległ się charakterystyczny metaliczny trzask zwalnianego bezpiecznika. Metcalfe błyskawicznie odwrócił głowę. Nawet w ciemności rozpoznał te jasne włosy i wyblakłe oczy, nawet w ciemności dostrzegł wycelowaną broń i wyraz triumfu na jego twarzy. Nic nie słyszeli, niczego nie zauważyli. Byli pochłonięci sobą, a most dygotał pod kołami przejeżdżających samochodów, zagłuszając jego kroki.

Stephen odruchowo sięgnął po pistolet i przypomniał sobie, że już go nie ma. Został na Łubiance.

- Ręce do góry - rzucił blondyn. - Oboje.

Metcalfe wykrzywił usta w uśmiechu.

- Bardzo chcesz komuś zaszkodzić - odparł. - Albo nikt cię nie poinformował. Zanim zrobisz z siebie idiotę, pogadaj z przełożonymi, na przykład z Rubaszowem...

- Milczeć! - ryknął tajniak. - Twoje kłamstwa o Berii mogły zastraszyć wymoczką, tchórza i karierowicza takiego jak on, ale na szczęście ja odpowiadam bezpośrednio przed komisarzem. Ręce do góry!

Podnieśli ręce.

- A więc jednak chcesz zrobić z siebie idiotę - powiedział Metcalfe. - Łazisz za mną i łazisz, traktujesz to jak sprawę osobistą, nie potrafisz przyznać się do błędów. Zapomniałeś, że jesteś tylko zwykłym kapusiem, tępym krawężnikiem. Nie masz zielonego pojęcia, co dzieje się wyżej. Przez swoją głupotę niszczysz sobie nie tylko karierę: teraz niszczysz sobie życie. Rosjanin szyderczo prychnął.

- Łziesz jak z nut - syknął. - Bezcelnie, ale nieudolnie. To ja znalazłem twój nadajnik. Zakopany w lesie na południowy zachód od Moskwy, niedaleko waszej daczki.

Stephen uśmiechnął się sceptycznie i z rozbawieniem, lecz w głowie wirowało mu od gorączkowych myśli. Rubaszow nie wspomniał o nadajniku ani słowem! Gdyby o nim wiedział, na pewno wykorzystałby to podczas rozmowy. Dlaczego tego nie zrobił?

- Tak - mówił dalej enkawudzista - zatrzymałem ten szczegółik dla siebie, do późniejszego użytku. Nigdy nie ufałem temu lizusowi, tej starej, zasranej świni. Ale nadajnik zbadali nasi technicy i wiem, co stwierdzili. To nadajnik skonstruowany przez brytyjskie służby wywiadowcze dla agentów terenowych, żaden biznesmen takich nie używa. - Podniósł wyżej pistolet. Celował teraz w pierś Lany. - Ale jest to urządzenie nie zwykle przydatne do przekazywania tajnych informacji wojskowych uzyskanych od córki generała Armii Czerwonej.

- To nieprawda! - wyszlochała Lana. - To kłamstwo! Nie spiskuję przeciwko rządowi!

- Odsuńcie się od siebie, ale już! Tym razem wyniosą was z Łubianki w sosnowej skrzyni.

- Ona jest moja.

Stephen odwrócił się. Z przeciwnej strony nadchodził Kundrow, rudowłosy agent GRU.

- Kundrow! - krzyknęła Lana. Wyraźnie jej ulżyło. - Obserwuje mnie pan, wszędzie pan za mną chodzi, zna mnie pan. Ten potwór oskarża mnie o niestworzone rzeczy!

- Tak - powiedział Kundrow, spoglądając na enkawudzistę - znam tę kobietę. Przydzielono ją mi. Znasz zasady, Iwanow. Jej aresztowanie to nasza działka, bo to my rozpoczęliśmy inwigilację.

Enkawudzista przesunął pistolet i ponownie wymierzył w Metcalfe'a. Miał okrutną twarz i zimne oczy.

- Ty aresztujesz ją - odrzekł - a ja tego szpiega.

Kundrow wy dobył i wycelował broń.

- Nie, zgarnij ich oboje - powiedział - tak będzie wygodniej. Pod warunkiem że wszystko opiszesz w raporcie.

- Zgoda. Aresztowanie wspólnie uzgodnione, zasługi uczciwie podzielone. Tak, ostatecznie spisek ten rozpracowywali wasi i nasi. Amerykański szpieg to działka NKWD, ale przekazywanie tajnych materiałów wojskowych za granicę to sprawa GRU.

- Zaczekaj - powiedział nagle Kundrow. - Ten jankes to przebiegły kłamca. Proces? Szkoda na to czasu.

Enkawudzista zerknął na niego i uśmiechnął się znacząco.

- Fakt, szkoda - odrzekł.

- W czasie próby ucieczki zatrzymanego obowiązują określone zasady postępowania...

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie Lana, domyślając się, o co chodzi.

- Zgadza się - powiedział enkawudzista. - Amerykanin próbował uniknąć aresztowania, i to wielokrotnie.

Kundrow odbezpieczył broń. Na jego twarzy malował się wyraz całkowitego zdecydowania: wyglądał jak człowiek, który zrobi to, co musi, pójdzie dalej i ani razu nie spojrzy za siebie. W blasku księżyca lśniła czerwona gwiazda na bakelitowej rękojeści tokariewa.

- Wykończmy sukinsyna, i już - mruknął i pociągnął za spust.

Lana krzyknęła. Metcalfe pochylił się w bok, runął na nią i powalił ją na chodnik, schodząc z linii strzału.

Huk, jeden i drugi. Dwie kule i dwa... pudła! Leżąc na Lanie, Stephen zerknął w bok i nic z tego nie rozumiejąc, zobaczył, że enkawudzista opiera się bezwładnie o stalową balustradę, że się za nią wychyla, że jak kamień spada z mostu. Usłyszał głośny plusk i blondyna pochłonęła rzeka. Kundrow go zabił, zabił swego kolegę! Chybił i obie kule trafiły enkawudzistę prosto w pierś! Ale jak? Jakim cudem?

Popatrzył na niego i wszystko zrozumiał. To nie był przypadek. Kundrow nie spudłował. Kundrow celował w... Iwanowa!

- Nie miałem wyjścia. - Rosjanin schował pistolet do kabury i spojrzał na Lanę. - Gdyby złożył raport, aresztowaliby panią. Panią i pani ojca.

Lana już nie krzyczała. Patrząc na Kundrowa, szlochała teraz i skamlała.

- Nie rozumiem - szepnęła.

- Morderstwo może być aktem miłosierdzia - odrzekł. - A teraz niech pani idzie, Swiętłano Michajłowna. Szybko, zanim ktoś nadejdzie i sytuacja się skomplikuje. Niech pani wraca do domu. Wystrzały ściągną tu innych. Do domu. Szybko! - Mówił to z czułością w głosie, z czułością, lecz i z determinacją.

Metcalf i Lana powoli wstali.

- Ale Stiwa... - wykrztusiła Lana. - Co pan zrobi ze...

- Pan Metcalfe musi uciekać z Rosji - przerwał jej Kundrow. - Teraz nie ma już odwrotu, szuka go zbyt wielu ludzi. Niech pani idzie. Szybko! Biegiem! Nie może pani tu zostać!

Skonsternowana Lana spojrzała na Stephena.

- Tak - powiedział Metcalfe - musisz iść, *Dusia*. Proszę. - Objął ją, przytulił, mocno pocałował w usta i cofnął się o krok. - Zobaczymy się znowu. Tyle, że nie tutaj, nie w Moskwie. Uciekaj, kochanie. Uciekaj.

Wciąż oszołomiony siedział w jego samochodzie. Jechali przez śpiące miasto. Z okrutnymi ustami i orlim nosem Kundrow był uosobieniem buty i arogancji, jednak głos miał zupełnie inny, kulturalny, nawet łagodny.

- Możliwe, że nikt tego nie widział - mówił. - Ale wątpię. Możemy mieć tylko nadzieję, że ewentualny świadek postąpi jak prawdziwy komunista i będzie trzymał gębę na kłódkę. Strach przed milicją, przed nie przewidzianymi konsekwencjami. To zwykle wystarczy, żeby pilnowali własnego nosa.

- Dlaczego? - spytał Metcalfe.

Kundrow zrozumiał.

- Dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem? Może dlatego, że zależy mi na niej bardziej, niż powinno.

- Mógł się pan z nim dogadać.

- Z nimi się nie dogadasz. Dlatego nazywamy ich dziadkami do orzechów. Jak cię złapią, już nie wypuszczą i coraz bardziej zaciskają szczęki.

- Wy tak samo. GRU. Nie dlatego pan to zrobił.

- Jak to się mówi? Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, tak? Właśnie podarowałem panu konia.

- Jest też inne powiedzenie: strzeż się Greków niosących dary.

- Ale nie jest pan w Troi, a ja nie jestem Grekiem. Uważa mnie pan za wroga, bo pracuję w GRU.

- Takie są realia.

- Realia widziane pańskimi oczami. Jako amerykański agent w Moskwie postrzega pan wszystko tylko w dwóch kolorach, w czarnym i białym, to naturalne.

- Niech pan nazywa mnie, jak pan chce. Pan wie lepiej.

Dojeżdżali do Dworca Leningradzkiego.

- Tak, wiem lepiej, poza tym nie ma czasu na sprzeczki. Myśli pan, że agenci radzieckiego wywiadu nie widzą, co się tu dzieje? Albo że widzą mniej niż ci, którzy przyjeżdżają tu z zagranicy? Pańska arogancja mnie śmieszy. To wy jesteście ślepi, nie my. My tu pracujemy, tu, w samym sercu tego systemu, i znamy prawdę lepiej niż ktokolwiek inny. Widzimy, jak to wszystko działa. I nie mamy złudzeń. Wiem, że jestem tylko małą śrubką w wielkiej gilotynie. Moja matka mawiała: „Los żąda ofiar. Jakich? Najczęściej z ludzi”. To stare rosyjskie powiedzenie, warto je zapamiętać. Może pewnego dnia opowiem panu moją historię. Ale teraz nie ma na to czasu.

Wyłączył silnik. Oczy płonęły mu czerwonym blaskiem, podobnie jak włosy.

- Kiedy wrócę, złożę raport. Napiszę, że postrzeliłem pana podczas próby ucieczki. Że nie mogłem pana ścigać, bo było za dużo świadków; jawne zabójstwo, zwłaszcza obcokrajowca, jest u nas ostatecznością. Dlatego wciąż jest pan na wolności. Mogę kilka godzin odczekać, ale potem pańskie nazwisko pojawi się na wszystkich przejściach granicznych. Nie mogę zrobić nic więcej, za duże ryzyko.

- Zrobił pan aż za dużo - odrzekł cicho Metcalfe.

Kundrow spojrzął na zegarek.

- Kupi pan bilet do Leningradu. Na dworcu w Leningradzie będzie czekało na pana dwoje ludzi. Wyglądają jak zwyczajni chłopci. Podejdą do pana i spytają, czy jest pan kuzynem Rusłanem. Powita ich pan oficjalnie, uściśnie im rękę i zaprowadzą pana do ciężarówki. Nie będą chcieli z panem rozmawiać i powinien pan to uszanować.

- Kim oni są?

- Dobrymi ludźmi, członkami podziemnego ruchu oporu. Pracują w sowchozie i mają swoje powody, żeby robić to, co robią.

- To znaczy?

- Od czasu do czasu, bardzo rzadko, pomagają przemytnikom. Przemytnikom, którzy zamiast towarów, przemycają ludzi. Tych, którzy muszą uciec ze Związku Radzieckiego szybko i bezpiecznie. Zawiozą pana do nadgranicznej wioski, gdzie przejmą pana inni. Proszę mnie dobrze zrozumieć: ci ludzie ryzykują życie, żeby pana ocalić. Niech pan odnosi się do nich z szacunkiem, niech pan będzie dyskretny i posłuszny. Niech pan nie przysparza im kłopotów.

- Pan ich zna?

- Tylko o nich słyszałem. Natknąłem się na ich nazwiska dawno temu. Dowiedziałem się, co robią i stanąłem przed wyborem: dodać dwa ciała do stosu miliona ciał ludzi już straconych czy przymknąć oko i pozwolić tym odważnym Rosjanom dalej robić odważne rzeczy.

- Walczyć z systemem, którego pan broni - dociął mu Metcalfe.

- Nie bronię tego systemu - odparował Kundrow. - Bohaterów u nas mało, z dnia na dzień coraz mniej. A powinno być odwrotnie. No, musi pan już iść. Szybko, bo spóźni się pan na pociąg. A wtedy nie będzie dla pana ratunku.

Część 4

Moskwa, sierpień 1991

Ambasador Stephen Metcalfe nigdy w życiu nie bał się żadnego spotkania bardziej niż tego. Włożył rękę do kieszeni marynarki, dotknął zimnej stali pistoletu i przypomniały mu się słowa rosyjskiego generała, jego przyjaciela: „Nikt nie może się do niego dostać. Pilnują go lepiej niż mnie. Przyjmie tylko ciebie”.

Szli ramię w ramię cichym, ciemnym korytarzem, pod eskortą umundurowanych żołnierzy. Byli na Kremlu, w epicentrum radzieckiej władzy, w miejscu, które Metcalfe odwiedzał wiele razy. Ale za murami kremłowskiej fortecy było mnóstwo budynków, których ambasador nie znał. Tu, w północno-wschodniej części Kremla, mieściła się siedziba Prezydium Rady Najwyższej. Tu, w tym neoklasycyźnym, ozdobionym kolumnami gmachu, aresztowano Ławrentija Berię, gdy po śmierci Stalina w 1953 roku próbował przejąć władzę.

Pasuje, pomyślał ponuro Metcalfe. Pasuje...

Tu też mieścił się gabinet człowieka, którego większość wtajemniczonych uważała za najpotężniejszego, najbardziej wpływowego polityka w Związku Radzieckim, polityka potężniejszego nawet od samego Gorbaczowa - od Gorbaczowa sprzed kilku lat.

Gabinet cichego, nierzucającego się w oczy Rosjanina nazwiskiem Stiepan Meniłow. Człowieka, o którym Metcalfe jedynie słyszał. Szarej eminencji Kremla, aparatczyka dysponującego środkami nacisku, o których większość nawet nie słyszała. Nie tylko nimi dysponował - potrafił ponoć stosować je z maestrią godną szachowego arcymistrza. W swoim mrocznym królestwie dzierżył niewidzialną batutę władzy i z wprawą wirtuoza wymachiwał nią, dyrygując orkiestrą złożoną z setek instrumentów, które musiały ze sobą współbrzmieć. Był Dyrygentem. Dirizorem.

Pełnił funkcję sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i zastępcy przewodniczącego wszechpotężnej Rady Obrony, ciała nadzorującego działalność KGB, MSZ, Ministerstwa Obrony i MSW. Przewodniczący rady, Michaił Gorbaczow, był niedysponowany - uwięziono go w luksusowej willi na Krymie.

Związkiem Radzieckim rządził teraz Stiepan Meniłow.

Stary przyjaciel Metcalfe'a zapoznał go pokrótce z jego życiorysem. Pięćdziesięciosiedmioletni Meniłow był twardogłowym karierowiczem, którego wychowywała najpierw prababka, a potem wuj w maleńkiej wiosce pod Kuźniekiem. Szybko piął się po szczeblach sowieckiej drabiny przemysłowej. Został sekretarzem Komitetu Centralnego odpowiedzialnym za kompleks przemysłowo-zbrojeniowy i otrzymał Nagrodę Leninowską za wierną służbę krajowi.

Lecz Metcalfe był przygotowany na wszystko, tylko nie na to, że gdy otworzą się drzwi do gabinetu, zobaczy smukłego, wysokiego, niezwykle przystojnego mężczyznę, który zupełnie nie przystawał do jego wyobrażenia o kimś, kto prowadzi zakulisowe rozgrywki na najwyższych szczeblach radzieckiej władzy. Poruszał się z zaskakującym wdziękiem i swobodą, mocno uściśnął mu rękę. Generała poprosił o pozostanie w sekretariacie. Chciał rozmawiać tylko z nim, w cztery oczy.

Gdy usiadł za wielkim, bogato rzeźbionym mahoniowym biurkiem, ambasador stwierdził, że brakuje mu słów, że nie wie, jak zacząć rozmowę. Dziwne. Dawno mu się to nie przydarzyło. Zauważył, że dokładnie pośrodku biurka leży czarna walizeczka z kodami startowymi radzieckich rakiet nuklearnych.

- Proszę, proszę - zagaił Meniłow. - Legendarny Stephen Metcalfe. Emisariusz Białego Domu, bezstronny polityk, człowiek bez skazy. Najpewniej z posłaniem od samego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Z posłaniem, które można później zdezakwować. Rozmowa? Żadnej rozmowy nie było. Prawda? Bardzo sprytnie. Sprytnie i wyrafinowane. Nie przypuszczałem, że Amerykanie potrafią być aż tak subtelni. - Rozłożył ręce i odchylił się w wysokim fotelu. - Niemniej chętnie pana wysłucham. Ale najpierw ostrzeżenie: tylko wysłucham, nie

zrobię nic więcej.

- O nic więcej nie proszę. Ale nie, nie przyjechałem tu z posłaniem od prezydenta. Moja misja jest nieoficjalna. Chcę po prostu porozmawiać szczerze i otwarcie z jedynym człowiekiem, który jest w stanie powstrzymać to szaleństwo. Porozmawiać szczerze, otwarcie i w ścisłej tajemnicy.

- Szaleństwo? - powtórzył Meniłow. - To, co widzi pan dzisiaj w Moskwie, jest kresem szaleństwa. Powrotem do stabilizacji.

- I końcem reform. Końcem niezwykłych zmian zapoczątkowanych przez Gorbaczowa.

- Zbyt duże zmiany są niebezpieczne. Rozpętują chaos.

- Tak, zmiany mogą być niebezpieczne - odparł Metcalfe. - Ale w przypadku pańskiego wielkiego narodu o wiele niebezpieczniejszy byłby ich brak. Grozi wam powrót do strasznych czasów dyktatury. Byłem tu za Stalina, wiem, co to terror. Nie możecie do tego dopuścić. Nigdy.

- Panie ambasadorze, w Ameryce jest pan wielkim człowiekiem. Jest pan najznakomitszym przedstawicielem amerykańskiego establishmentu i tylko dlatego zgodziłem się pana przyjąć. Ale chyba nie przypuszcza pan, że ma pan prawo mieszać się w nasze sprawy.

- Nie, ale mogę powiedzieć wam, na jakie narazicie się konsekwencje, przeprowadzając zamach stanu.

Meniłow uniósł brwi i na jego twarzy zagościł specyficzny wyraz sceptycyzmu i przekory, który Metcalfe tak dobrze znał.

- Panie ambasadorze, czy pan mi grozi?

- Bynajmniej. Tylko ostrzegam, stwierdzam fakt. Mówimy tu o powrocie do wyścigu zbrojeń, który kiedyś zniszczył pański kraj. O śmierci setek tysięcy pańskich rodaków w wojnach domowych na całym świecie. Może nawet o katastrofie nuklearnej. Mogę panu zagwarantować, że Waszyngton zrobi wszystko, żeby was odizolować.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Zostaniecie odcięci. Wymiana handlowa, której tak rozpaczliwie potrzebujecie, skończy się. Nie będzie sprzedaży zboża. Rosjanie zaczną głodować i niepokoje społeczne pogrążą pański kraj w niewyobrażalnym chaosie. Rozmawiałem niedawno z prezydenckim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego i chociaż jestem tu nieoficjalnie, zapewniam, że mówię to z całą odpowiedzialnością.

Meniłow pochylił się do przodu i położył ręce na biurku.

- Jeśli Stany Zjednoczone wykorzystają chwilowy zamęt w kręgach radzieckiej władzy, żeby nam zagrozić, popełnią wielki błąd. Gdy tylko wykonacie przeciwko nam jakiś ruch, gdziekolwiek na świecie, nie za wahamy się użyć wszystkiego, czym dysponujemy, każdej broni w naszym arsenale.

- Źle mnie pan zrozumiał...

- Nie, to pan mnie źle rozumie - przerwał mu Dirizor. - Panujące w Moskwie zamieszanie bierze pan za oznakę naszej słabości. - Wskazał czarną walizeczkę na biurku. - Nie jesteśmy słabi, panie ambasadorze. I zrobimy wszystko, żeby bronić naszych interesów!

- Nie wątpię i bynajmniej nie zamierzamy sprawdzać, czy naprawdę tak jest. Sugeruję tylko, że nie jest jeszcze za późno, że możecie cofnąć się znad skraju przepaści. Proponuję, żeby zwołał pan posiedzenie komitetu stanu wyjątkowego i oświadczył, że wycofuje pan swoje poparcie dla junty. Bez pana ich plany wezmą w łeb.

- I co potem, panie ambasadorze? Powrót do chaosu?

- Powrotu już nie będzie. Wszystko się zmieniło. Ale może pan przeprowadzić wiele prawdziwych, pokojowych reform. Cholera jasna, przecież nie może pan siedzieć na tronie z bagnetów!

Meniłow tylko się roześmiał.

- Mówi pan, że zna pan mój kraj. Ale chyba nie wie pan, że najniebezpieczniejszy dla Rosji

jest chaos. Zamęt to największy wróg rozwoju.

- Pański krok będzie wymagał wielkiej odwagi - nie ustępował Metcalfe. - Ale jeżeli pan go zrobi, może pan liczyć na nasze poparcie. Ochronimy pana. Ma pan na to moje słowo.

- Pańskie słowo! - prychnął szyderczo Meniłow. - Niby dlaczego mam panu wierzyć? Jesteśmy sobie obcy. Jesteśmy jak dwa okręty podwodne mijające się w głębinach oceanu.

- To tylko pozory. Nie ufamy im, ani pan, ani ja. Ale pozwoli pan, że opowiem panu pewną historię.

- Odkąd pan tu wszedł, nie robi pan nic innego. Już je słyszałem, panie ambasadorze, słyszałem je wszystkie.

- Z całym szacunkiem - odparł Metcalfe - ale tej pan nie słyszał.

Rozdział 32

Berno, listopad 1940

Stolicę Szwajcarii, miasto o wiele spokojniejsze i mniej kosmopolityczne niż Zurych i Genewa, zbudowano na stromym skalnym cyplu, w naturalnej fortecy otoczonej z trzech stron przez fosę rzeki Aare. Altstadt, najstarsza część Berna, jest labiryntem brukowanych uliczek i wąziutkich zaułków. Niedaleko Casinoplatz biegnie ulica Herrengasse. Stojący przy niej dom, oznaczony numerem 23, był ostatnim w rzędzie czternastowiecznych, mieszczkańskich domów, za którymi, na stopniowo opadających ku rzece tarasach, rosły zielone winnice. Wysoko nad miastem widać było góry Bernese Oberland.

To właśnie tu zamieszkał Alfred Corcoran. Teraz, gdy wywiad wojenny wkroczył w nowy etap, założył tu swoją nową bazę.

Przeprawa do Finlandii była koszmarem. Kundrow dotrzymał obietnicy. Na dworcu w Leningradzie czekało na Metcalfe'a starsze małżeństwo, które podrzuciło go do podmiejskiego lasu. Dwadzieścia minut później nadjechała ciężarówka i jej kierowca zażądał dużych, bardzo dużych pieniędzy, zanim jeszcze wyłączył silnik. Ciężarówka była wyładowana zbiornikami na gorącą wodę; handel z Finlandią trwał nawet podczas wojny. Jeden ze zbiorników przerobiono. Na dole i na górze wywiercono otwory wentylacyjne i odcięto wierzch, tak że przypominał stalową trumnę. Powierzając swój los człowiekowi, którego widział pierwszy i najpewniej ostatni raz w życiu, Stephen wszedł do środka, a wówczas kierowca przyspawał wierzch.

Kontrola na radziecko-fińskiej granicy była krótka i pobieżna. Zaraz potem ciężarówka stanęła i kierowca zażądał dodatkowo stu rubli za wypuszczenie go ze zbiornika. „Za fatygę”, powiedział.

Metcalfe zapłacił.

Lotnisko Malmi w Helsinkach. Niewiele samolotów odlatywało stąd do Berna w Szwajcarii, ale bogaty, dobrze ustosunkowany i hojny biznesmen zawsze mógł się z kimś dogadać.

Teraz był już na starym mieście i przestrzegając wskazówek Corcorana, stanął przed tylnymi drzwiami porośniętego dzikim winem domu. Goście mogli tu wchodzić i wychodzić przez nikogo niezauważeni.

Wcisnął guzik dzwonka. Czekał pełen obaw. Od ich ostatniego spotkania w Paryżu minęło ledwie kilka tygodni, ale on postarzał się przez ten czas o kilka lat. Wyjeżdżał do Moskwy jako Daniel Eigen, nonszalancki lekkoduch i playboy, człowiek beztroski i niefrasobliwy. Ale Daniela Eigena już nie było. Nie dlatego, że go zdekonspirowano. Dlatego, że już do tej osobowości nie pasował. Zdrada, zabójstwo bliskiego przyjaciela -takie rzeczy człowieka zmieniają.

Zmienił się również jego stosunek do samego Corcorana. Wykonał polecenie, wciągnął Lanę w jego plan, oszukał ją i zdradził. Zrobił to, co mu kazano. Ale teraz, po tym wszystkim, nie mógł już wykonywać jego rozkazów bezmyślnie, ze ślepym posłuszeństwem.

Otworzyły się drzwi i w progu stanęła służąca, matrona z wysokim kokiem na głowie, sądząc po wyglądzie, Szwajcarka. Spytała go o nazwisko i wprowadziła do przewiewnego, przestronnego salonu o wysokich oknach. W salonie były dwa duże kominki. Przed tym, w którym palił się ogień, w wygodnym fotelu siedział Corcoran. Gdy Stephen wszedł, Corky odwrócił głowę.

Był jeszcze bledszy, jeszcze bardziej zasuszony i pomarszczony niż przed kilkoma tygodniami. Czyżby to stres? Wojna? Operacja „Wolfsfalle”? Czyżby przeżył tak stratę swoich agentów, „klejnotów koronnych”, jak ich nazywał? Wyglądało na to, że w pogłoskach o złym stanie jego zdrowia jest trochę prawdy: Corky naprawdę robił wrażenie chorego i przez te kilka tygodni wyraźnie się posunął.

- Stephen Abernathy Metcalfe - powiedział głosem wysokim, łamiącym się, mimo to twardym i stanowczym. - Nie przestajesz mnie zadziwiać. - Wstał. Na jego twarzy igrał cień uśmiechu. Z leżącego w popielniczce papierosa unosiła się kręta smużka dymu.

- To pochwała? - odparł Metcalfe, ściskając mu rękę. - Czy wyrzut? - Z tweedowego garnitur Corcorana bił zapach mięty, równie silny jak zapach papierosowego dymu.

Corky rozważał to przez chwilę i odrzekł:

- Chyba i jedno, i drugie. Nie byłem pewien, czy sobie poradzisz.

- Tak, ten lot z Helsinek. Muszę przyznać, że trudno to było załatwić. - Stephen usiadł w brokatowym fotelu po drugiej stronie kominka.

- Och, o to się nie martwiłem. Mówię o Moskwie. Zbyt wiele rzeczy poszło nie tak. - Corcoran odwrócił się, wziął pogrzebacz i zaczął dźgać nim płonące polana. Ogień miał w sobie coś prymitywnego, pierwotnego, coś, co Metcalfe'a uspokoiło. Corky, ten starzejący się as wywiadu, lubił teatralność i przemawiającą do wyobraźni scenografię. Nie ulegało wątpliwości, że wybrał ten dom ze względu na jego kominki, średniowieczną, niemal katedralną architekturę, wygodne meble i lokalizację - gość miał się czuć tu wygodnie i chętnie wyznać grzechy ojcu spowiednikowi.

- Ale reszta poszła aż za dobrze - odparł Metcalfe, czując, że wzbiera w nim gniew. - Nie, żeby raczył pan wyjaśnić mi, o co w tym planie tak naprawdę chodzi.

- Stephen...

- Musiał pan kłamać? Wciskać mi te głodne kawałki o Moskwie, a potem o dokumentach, które Lana miała przekazać von Schusslerowi? A może kłamstwo jest pańską drugą naturą? Może nie potrafi pan inaczej?

- Wiem, że było ci bardzo ciężko - odrzekł cicho Corcoran, patrząc w ogień. - Uczucie, miłość... Wszystko odżyło, prawda? To, co sprawiło, że było ci tak ciężko, jest dokładnie tym, co skłoniło ją do zrobienia tego, o co ją poprosiłeś. Chcesz wiedzieć, dlaczego skłamałem? Właśnie dlatego, Stephen. Właśnie dlatego.

- To nie ma sensu.

Corcoran westchnął.

- Gdybyś wiedział, że będziesz musiał ją wykorzystać, nigdy nie zdołałbyś jej odzyskać. Tylko szczerowość może podsycać płomień miłości. Okłamałem cię, żebyś ty nie musiał okłamywać jej. Przynajmniej początkowo.

Metcalfe milczał. Kręciło mu się w głowie. Nie wiedział, co powiedzieć. Musiał stłumić w sobie gniew, gniew mącił mu myśli.

- Stephen, nie wiesz, co się tu dzieje. Sytuacja jest o wiele groźniejsza, niż myślisz.

- Trudno w to uwierzyć. Byłem tam. Wylądowałem na tej przeklętej Łubiance, do cholery!

- Wiem.

- Jak to? Skąd, u diabła... Niech mi pan tylko nie mówi, że macie wtyczkę w NKWD!

Corcoran podał mu kartkę zapisaną czymś, co wyglądało na zwięzły meldunek. Skonsternowany Metcalfe przeczytał go szybko. Był to szczegółowy raport na temat jego zatrzymania, łącznie z fragmentami rozmowy z Rubaszowem.

- Co to, do diabła, jest? Macie tam kogoś? Na Łubiance?

- Chciałbym. Nie, niestety. Mamy tylko pośrednika.

- Jakiego pośrednika?

- To taki mały żart. Udało nam się przechwycić kilka przekazów agenta Abwehry.

Trzymasz w ręku jeden z nich.

- Abwehra ma szpiega na Łubiance?

Corcoran kiwnął głową.

- I to bardzo dobrego.

- Jezu! - Metcalfe gwałtownie odwrócił się od ognia. - To znaczy, że oni wiedzą o moim układzie z Laną?

- Najwyraźniej nie. Wiedzą tylko, że łączy was przygodna znajomość, nic więcej. A już na pewno nie to, że ze sobą współpracowaliście. Gwarantuję, że o tym by nie zapomnieli. Tak, powstały poważne wątpliwości co do autentyczności dokumentów operacji „Wolfsfalle”, ale z zupełnie innych powodów.

- „Poważne wątpliwości”? Co to znaczy?

- Operacja wisi na włosku, Stephen. - Corcoran zaciągnął się mocno dymem z papierosa i spojrzął w ogień. - Generałowie Hitlera są głęboko podzieleni co do sensu inwazji na Rosję. Są wśród nich fanatycy, którzy zawsze tego chcieli, chociaż stanowią mniejszość. Ich grono powiększyło się ostatnio dzięki naszym dokumentom. Ludzie ci nalegają, napierają, chcą zaatakować już w maju przyszłego roku, zanim Armia Czerwona zaatakuje ich. Ale w najwyższym dowództwie są i tacy, którzy uważają, że wojna ze Związkiem Radzieckim jest czystym szaleństwem. Myślą tak ci najtrzeźwiejsi, oficerowie, którzy pragną okiełznać szaleńcze zapędy Hitlera. Przypominają kolegom o Napoleonie, o jego zgubnej próbie najazdu na Rosję w 1812.

- I co? I będą beczynnie czekać? Przecież z dokumentów wynika, że Stalin zamierza zaatakować pierwszy.

- Beczynność usprawiedliwiają podejrzeniami, to naturalne.

- Podejrzeniami? Jakimi? Odkryli, że dokumenty są fałszywe?

Corcoran powoli pokręcił głową.

- Nic na to nie wskazuje. Nie, dokumenty są podrobione po mistrzowsku. Żaden z ich przywódców nie ma najmniejszych powodów, żeby podejrzewać, iż wykonano je w Stanach, a przynajmniej nic o tym nie wiemy. Twierdzą jednak, że mogły zostać podrobione w Moskwie, przez samych Rosjan.

- Przecież to bzdura! Niby po co? Żeby hitlerowcy ich zaatakowali?

- Nie zapominaj, że wśród radzieckich przywódców są ludzie, którzy nienawidzą Stalina do tego stopnia, że modlą się o niemiecką inwazję. Hitler jest dla nich zbawieniem. Najwięcej jest ich w Armii Czerwonej.

- Zniszczyliby swój kraj, żeby obalić Stalina? To szaleństwo!

- Chodzi o to, że istnieją poważne powody co do autentyczności dokumentów operacji „Wolfsfalle”. Zwłaszcza jeśli ktoś bardzo chce tę autentyczność podważyć, jeśli inwazja na Rosję jest dla niego wejściem na trzęsawisko, czym na pewno będzie. Dlatego ludzie ci stawiają pytania. Niektórzy niemieccy generałowie zastanawiają się między innymi nad tym: skoro agenci NKWD są tacy dobrzy, to dlaczego nie złapali tej kobiety, córki radzieckiego generała, która przekazała von Schusslerowi ściśle tajne dokumenty wojskowe?

- Ale dopóki myślą, że dokumenty są prawdziwe...

- Mimo to wątpliwości narastają- przerwał mu stanowczo Corcoran. - I, w połączeniu z całkiem rozsądnymi i logicznymi argumentami przeciwko wojnie z Rosją, powoli zaczynają przeważać. Czas pracuje przeciwko nam, Stephen. Jeżeli czegoś nie zrobimy, czegoś, co ostatecznie potwierdzi autentyczność dokumentów, nasz plan weźmie w łeb.

- Ale co jeszcze można zrobić? Nic!

- Ich źródło musi być absolutnie wiarygodne - odrzekł po namyśle Corcoran.

- Źródło? Źródłem jest córka generała Armii Czerwonej, człowieka, który spiskował przeciwko Stalinowi. Niemcy o tym wiedzą!

- Który spiskował przeciwko Stalinowi? - rzucił z sarkazmem Corky. - I który jeszcze

żyje? Którego nie schwytano, nie osądzono i nie stracono?

- Przecież właśnie tym von Schussler szantażuje Lanę! Ma dowody!

- Szpiegostwo, mój synu, to gąszcz luster. Naucz się tego, zanim będzie za późno. Luster odzwierciedlających lustra.

- O czym pan, do diabła, mówi?

- W kwietniu trzydziestego siódmego Józef Stalin otrzymał z Pragi dossier z dowodami, że szef jego sztabu, marszałek Tuchaczewski, oraz inni generałowie knują z Niemcami spisek, że chcą odsunąć go od władzy.

- Wiem. Zaraz potem rozpoczęła się fala masowych czystek, procesów o zdradę stanu i egzekucji.

- Tak. W przededniu wojny rozstrzelano trzydzieści pięć tysięcy oficerów, niemal całe dowództwo Armii Czerwonej. To bardzo wygodne dla hitlerowców, nie sądzisz?

- Wygodne?

- Stephen, chyba nie myślisz, że tylko my umiemy podrabiać dokumenty. Reinhard Heydrich, szef niemieckiego wywiadu, jest bardzo groźnym przeciwnikiem. Jako człowiek niezwykle błyskotliwy, dobrze wiedział, że Stalin jest paranoikiem, że bez namysłu w ten spisek uwierzy.

- Chce pan powiedzieć, że dowody przeciwko Tuchaczewskiemu były podrobione?

- Do tej genialnej operacji Heydrich zaangażował swoich zastępców, Alfreda Naujocka i doktora Hermanna Behrendsa. Eksperci z SD sfałszowali trzydzieści dwa dokumenty, korespondencję między Tuchaczewskim oraz innymi radzieckimi generałami i najwyższymi dowódcami Wehrmachtu. Rosjanie prosili ich w listach o pomoc w obaleniu Stalina.

- Jezu Chryste! - sapnął Metcalfe.

- Heydrich zagrał po mistrzowsku. Kazał Behrendсовi zawieźć te papiery do Pragi i sprzedać je sowieckim agentom. Sprzedać, rozumiesz? Za miliony dolarów.

- Tuchaczewskiego wrobiono? To chce pan powiedzieć?

- Rewolucja, podobnie jak Saturn, pożera swoje własne dzieci. Nie, chcę powiedzieć, że Heydrich zna prawdę, ponieważ to on wymyślił kłamstwo, które pchnęło Stalina do zgładzenia tysięcy rosyjskich oficerów. Heydrich wie, że Tuchaczewski był niewinny. Dlatego wie też, że generał Michaił Baranow nie jest spiskowcem.

A więc von Schussler szantażował Lanę fałszywkami! Metcalfe nie mógł się doczekać, żeby powiedzieć jej prawdę. Jednakże radość szybko minęła, gdy uświadomił sobie, jakie są tego konsekwencje.

- Ma wątpliwości...

- Wątpliwości się mnożą, Stephen. - Corcoran wypuścił dwie smużki białego dymu. - Wątpliwy jest też los operacji „Wolfsfalle”. Chyba, że spalimy naszą własną agentkę. Poświęcimy ją dla dobra misji. I - tak, śmiem to powiedzieć - ocalimy świat.

Metcalfe'owi krew odpłynęła z twarzy. -Nie rozumiem.

- Chyba rozumiesz - odrzekł Corky tak cicho, że prawie niesłyszalnie. Unikając jego wzroku, wciąż dźgał pogrzebaczem drwa pod kominkiem.

- Niech pan mówi jaśniej, wolno myślę.

- Nie udawaj, chłopcze, nie udawaj. Chcesz, żebym powiedział to na głos. Jeśli tak, dobrze, powiem. NKWD musi schwycić Swietlanę Baranową. Musi ją aresztować. Tylko to przekona Niemców, że dokumenty, które im przekazywała, są autentyczne.

Metcalfe zerwał się z fotela, stanął tuż przed nim, wycelował palcem w jego twarz i wychrypiął:

- Cel uświęca środek, co? O to chodzi? Jeśli ktoś staje panu na drodze i zaczyna przeszkadzać, bez wahania rzuca go pan wilkom na pożarcie. Tak? Nawet odważną kobietę, którą oddała nam wielką przysługę, która narażała życie, żeby...

- Oszczędź mi tej świętoszkowatej retoryki. Tu chodzi o ocalenie Europy i Stanów

Zjednoczonych, o ocalenie demokracji na świecie. Nie potrzebuję wykładu z etyki operacyjnej. - Na wpół przesłonięte ciężkimi powiekami oczy Corcorana były śmiertelnie spokojne.

- Z etyki operacyjnej? Tak to pan nazywa? - Stephen zaniemówił. Odwrócił się ze wstrętem, usiadł i wbił wzrok w ogień. - Obłąd. Czysty obłąd.

- Lord Lyttleton powiedział: „Tam gdzie rozsądek rozpacza, miłość żyje nadzieją”. - Zdawało się, że bijący z kominka żar wypisuje te słowa na jego twarzy.

- Co pan wie o miłości?

- O miłości? Jestem szpiegiem, chłopcze. Znam się tylko na rozpaczy.

- A na rozsądku?

- Na tym też, bo miewam rozsądne powody, żeby rozpaczać. Wierz mi, dobrze wiem, że to nadzwyczajna kobieta. Ale pomyśl tylko: pokój na całym świecie. Czyż to nie jest nadzwyczajne? Ocalić świat przed żarłocznymi faszystowskimi militarystami. Prawdziwe чудо. Ocalić cywilizację, zanim pochłonie ją Trzecia Rzesza. Coś pięknego, prawda? Smakuje jak kubek źródlanej wody.

- Dość tego - rzucił zimno Stephen.

- Właśnie, wyjąłeś mi to z ust. - Corcoran patrzył na niego nieruchomymi oczami.

- Pan się nie zmienia, prawda?

Corky lekko pochylał głowę.

- Ale czuję, że ty się zmieniłeś.

Metcalfę wzruszył ramionami.

- Doprawdy? Może to świat się zmienił, nie ja?

- Stephen, Stephen... Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć? Świat się nie zmienił. Świat nie zmienił się ani odrobinę. I się nie zmieni. Chyba że zmienimy go my.

Metcalfę ukrył twarz w dłoniach. Gorączkowo myślał. Musiało istnieć jakieś wyjście! Opuścił ręce i zrezygnowany oderwał wzrok od ognia.

- Co pan zamierza? - spytał głucho.

- Jutro po południu do Berlina przyjeżdża Bolszoj. Będą występować w Staatsopera; nazywają to wizytą przyjaźni. Pewnie sięgną na dno szaty i wygrzebią jakieś nadgryzione przez mole starocie. Stawiam na *Jeziro łabędzie*. Niemcy nie są zbyt wybredni.

- Lana...

- Tak, przyjedzie Lana i jej hitlerowski kochanek, von Schussler. Na pewno weźmie krótki urlop, żeby odwiedzić rodzinne strony. Wystarczy cynk do NKWD. Aresztują ją na oczach Niemców. Świat będzie ocalony. Bardzo mi przykro, Stephen.

- Lana wszystko im powie.

- Myślisz? - spytał obojętnie Corcoran. - W tym momencie to bez znaczenia. Może zaprzeczać ile chce, ale kiedy najwyższe dowództwo dowie się, że Rosjanie ją aresztowali, operacja „Wolfsfalle” wypali na sto procent.

- To nie takie proste - odparł Metcalfę, z trudem panując nad głosem. - Wydać ją, wystawić... Nie mam pojęcia, co donoszą panu inni, ale ja ją znam. Spędziłem z nią ostatnio dużo czasu i wiem, że ma do niego słabość.

Corcoran zeszywniał.

- Do von Schusslera? Nic mi o tym nie mówiłeś!

- Uważa pan, że rozumie pan kobiety lepiej ode mnie. Możliwe. Ale ja potrafię je wy-czuć i myślę, że Lana trochę mu współczuje. Może nawet więcej niż współczuje.

- To znaczy?

- To znaczy, że prawdziwe niebezpieczeństwo polega na czymś innym. Swietłana może go ostrzec, powiedzieć mu, że to podstęp. To wystarczy, żeby nasze wysiłki wzięły w łeb.

- Nie można do tego dopuścić - warknął Corcoran.

- Właśnie. Zrobię wszystko, co będę mógł. Wiem, jak do niej dotrzeć. - Stephen patrzył na niego z zacieklą determinacją w oczach. Corcoran musiał, po prostu musiał mu uwierzyć.

Zbyt wiele od tego zależało.

- Co proponujesz?
- Przerzućcie mnie do Berlina, a ja...
- Rozplączesz sznurki i marionetka znowu zatańczy.
- Coś w tym rodzaju.

Corcoran zamilkł. Przez kilka sekund przyglądał mu się bez słowa.

- Chcesz się z nią pożegnać, prawda?
- Tak - przyznał Metcalfe. - A potem zrobić, co trzeba. Dam z siebie wszystko.
- Wszystko to za mało, Stephen. Tu chodzi o ostateczny wynik.
- Rozumiem. Proszę zostawić to mnie.

Corcoran długo przeszywał go spojrzeniem, jakby chciał przeświecić mu duszę. W końcu powiedział:

- W Bellevue Pałace mieszka Chip Nolan. Da ci wszystkie niezbędne dokumenty.

Siedział, patrząc w ogień i paląc papierosa. Zdziwił się, a nawet trochę zdenerwował na wiadomość, że Stephen Metcalfe wciąż żyje. Amos Hilliard zginął i nie zdążył go wyeliminować.

Ale on, Alfred Corcoran, zawsze szczyił się swoim pragmatyzmem i zawsze uważał, że udana operacja wymaga nieustannej improwizacji. A więc cóż, niech tak będzie. Metcalfe tę Rosjankę znał i zapewne miał rację. Niech jedzie do Berlina i wszystkiego dopilnuje. Może tak będzie lepiej.

Do salonu weszła służąca ze srebrną tacą i naląła mu gorącej herbaty.

- Dziękuję, Frau Schibli - powiedział. Był tak ostrożny, że kazał Nolanowi sprawdzić nawet tę biedną kobiecinę. Cóż, przezorny zawsze ubezpieczony.

Podniósł słuchawkę, zadzwonił do Bellevue Pałace i poprosił o połączenie z pokojem Chipa Nolana.

Hotel mieścił się przy Kochergasse. Stał na wysokiej skarpie i roztaczał się stamtąd piękny, szeroki widok na rzekę. Apartament Nolana był nie mniej imponujący i Stephen nie omieszkał mu tego wytknąć.

- Hoover musi dawać wam niezłe diety.

Chip -jak zwykle był w wymiętym ubraniu i miał zmierzwiłone włosy - przyjrzał mu się uważnie i jego piwne oczy lekko zmatowiały.

- Edgar Hoover chce rozszerzyć naszą działalność na cały świat. Rozumie znaczenie wywiadu. No i jak tam... James? Masz na imię James, tak?

Skonsternowany Metcalfe przypomniał sobie, że Nolan nie jest do końca wprowadzony, że święte zasady Corcorana zabraniają ujawniania prawdziwej tożsamości agenta.

- Może być James - odparł.
- Napijesz się czegoś? - Chip podszedł do barku. - Whisky? Dżinu? A może po wizycie u Matki Rosji wolisz czyściochę?

Stephen zerknął przez ramię. Nolan uśmiechał się ironicznie.

- Nie, dzięki.

Chip nalął sobie szkockiej z lodem.

- Byłeś tam chyba nie pierwszy raz, co?
- W Rosji? - Metcalfe wzruszył ramionami. - Drugi.
- A tak, pamiętam. Mówisz nawet po rosyjsku.
- Trochę.
- Podobało ci się?

- Rosja?

- Ta socjalistyczna utopia. Jak to ktoś kiedyś powiedział? Byłem w przyszłości i wiecie co? To naprawdę działa!

- Jeśli taka ma być przyszłość, biada nam wszystkim, oj, biada.

Nolan zachichotał. Wyraźnie mu ulżyło.

- Właśnie. Ale czasem Corky mówi o Ruskich tak, jakby zaczynał wymiękać, jakby miał do nich słabość.

-Nie, chyba nie. Bardziej boi się Szwabów.

- Przez ten niby-strach wielu Amerykanów pokochało czerwień.

- Nikt, kto widział stalinowską Rosję na własne oczy, kto naprawdę widział, co ten system robi z ludzi, nigdy nie będzie komunistą.

- Brawo - rzucił cicho Nolan, podnosząc szklanę jak do toastu. - Powiedz to swoim kumplom.

- Na przykład komu?

- Chłopakom Corky'ego. Gadałem z nimi. Hitler to, Hitler tamto, nic tylko Hitler, faszyzm i hitleryzm. Jakby nie mieli wyobraźni i nie wiedzieli, co będzie, jeśli nasz czerwony wujaszek postawi na swoim. Bo jeżeli wygra, żadnej Socjety nie będzie, a te paniczki będą sadziły rzodkiewkę w Nowosybirsku. -Nolan odstawił szklanę. - Dobra, rozumiem, że jedziesz do Berlina i że twoją paryską przykrywkę szlag trafił.

- Tak przypuszczam. W każdym razie nie zamierzam ryzykować.

- Berlin? Zagrasz z pierwszoliczowcami.

- To znaczy?

- Jeśli myślisz, że ci z NKWD to chojracy, zaczekaj tylko, aż zobaczysz tych z gestapo. Oni się nie opierdalają.

- Poznałem ich w Paryżu.

- Paryż to przedszkole, James. Paryż to betka. W Berlinie rządzi gestapo. Przez cały czas będziesz musiał uważać na swój tyłek. I zapomnij o kobitkach.

Metcalfę wzruszył ramionami.

- Zadanie jest proste.

- To znaczy?

- Pytasz mnie o cel misji?

- Nie mogę ci pomóc, nie znając szczegółów.

- Zapominasz o świętych zasadach Corcorana.

- Te tajemnice, to rozczłonkowanie cię zabije, James. Spójrz tylko, ilu chłopaków poszło do piachu w zeszłym miesiącu, tylko w zeszłym miesiącu. Wszystko przez to, że Corky ich odizolował, że nie mieli dokąd pójść. Często bywam w Berlinie, mogę ci pomóc.

Metcalfę pokręcił głową.

- Dzięki, ale potrzebuję tylko papierów.

- Jak chcesz, twoja wola. - Nolan wyjął z szafy skórzaną teczkę. – Pod latarnią najciemniej. Jesteś amerykańskim bankierem z Bazylei. Nazywałeś się William Quilligan. - Podał mu paszport z pozaginanymi rogami. Stephen otworzył go i obejrzał. Jego zdjęcie, kilka wypełnionych pieczęciami stron: dwa lata transatlantyckich podróży, głównie między Nowym Jorkiem i Szwajcarią. - Pracujesz w Banku Rozrachunków Międzynarodowych. To coś w rodzaju konsorcjum, które robi dużo interesów z Niemcami. Reichsbank jest waszym największym klientem. Załatwiacie po cichu sporo spraw. Transporty złota, i tak dalej.

- BRM pierze pieniądze dla hitlerowskich Niemiec?

Nolan przeszył go spojrzeniem.

- Wszystkie operacje są legalne, zgodne z prawem neutralnej Szwajcarii. Hej, prezesem banku jest harwardczyk, jak ty!

- Skończyłem Yale.

- Harvard, Yale, wszystko jedno. Dobra. Facet często jeździ do Berlina na spotkania z prezesem Reichsbanku Waltherem Funkiem, ale tym razem nie może i wysyła kuriera z dokumentami, które tamci muszą podpisać i zwrócić. Jasne?

- Jasne. Każdy sposób jest dobry.

- Zrób, co musisz i od razu zjeżdżaj. To nie film z Errolem Flynnem. Półtorej godziny później Metcalfe siedział w pociągu do Berlina. Jechał do faszystowskich Niemiec.

Rozdział 33

Ulicami Berlina niosło się głośnie echo kroków żołnierzy maszerujących w podbitych ćwiekami butach. Wszędzie kręcili się ubrani na czarno esesmani, żołnierze oddziałów szturmowych w brązowych mundurach, grupki chłopców z Hitlerjugend w granatowych mundurach i wysokich butach. Gdy Metcalfe przejeżdżał przez Berlin przed dziesięciu laty, było to wesołe, rozbrzmiewające śmiechem miasto. Teraz berlińczycy byli powściągliwi i pozbawieni wyrazu, dobrze ubrani - większość nosiła wełniane palta - mimo to bezbarwni. Kobiety, kiedyś tak piękne, poszarzały w nijakich płaszczach, bawełnianych pończochach i butach na płaskim obcasie. Nie robiły makijażu - naziści je do tego zniechęcali.

Miało się wrażenie, że wszędzie jest ciemno. Nie dlatego, że pogoda była ponura i nie dlatego, że zimą dni są krótsze. Nie, wrażenie to wywoływała posępna atmosfera i *Verdunklung*, zaciemnienie. Wysiadł na ciemnym dworcu dwie godziny spóźniony i starą, rozklekotaną taksówką z równie starym kierowcą pojechał do hotelu Aldon przy Unter den Linden. Nie było latarni i mrok rozpraszały jedynie świetliste krzyżyki świateł na skrzyżowaniu Unter den Linden i Wilhelmstrasse oraz blask skierowanych w dół latarek, które przechodnie włączali i szybko wyłączali - wyglądały jak świetliki. Wnętrze tramwajów i autobusów zalewała trupioblada poświata i podróżujący nimi pasażerowie przypominali zjawy. Nieliczne samochody miały przesłonięte reflektory. Nawet w drzwiach Aldonu, niegdyś jaskrawo oświetlonego i przyjaznego, wisiały ciężkie zasłony, za którymi był jasny hol.

Odkąd władzę przejęli hitlerowcy, miasto przeszło gruntowną modernizację, co bynajmniej nie wyszło mu na dobre. Gmach Ministerstwa Lotnictwa Hermanna Goringa przy Wilhelmstrasse, gmach Ministerstwa Propagandy Goebbelsa - nazistowska architektura była ponura, monumentalna, przytłaczająca i onieśmielająca. Wokół miasta powstał łańcuch wielkich, betonowych *Flakturmen*, wież obrony przeciwlotniczej. Berlin był miastem obleżonym, prowadził wojnę z resztą świata, lecz jego mieszkańcy zdawali się nie podzielać militarnego entuzjazmu swoich przywódców.

Stephen nie posiadał się ze zdumienia, gdy recepcjonista wręczył mu bloczek kartek żywnościowych, na które mógł kupić tyle i tyle gramów masła, mięsa i chleba. Okazało się, że bez nich nie można jadać w restauracjach, nawet jeśli jest się zaproszonym na obiad czy kolację. Bez kartek nie można było jadać dosłownie nigdzie.

Konsjerż obiecał załatwić mu bilet na specjalny występ teatru Bolszoi w Staatsopera przy Unter den Linden. Gdy się rozpakowywał, zaterkotał telefon. Zgodnie z przewidywaniami Chipa Nolana dzwonił urzędnik z Reichsbanku.

Spotkali się w holu. Okazało się, że jest otyłym mężczyzną w średnim wieku, ma wyškubane brwi, świecąca łysiną i nazywa się Ernst Gerlach. Przyszedł w dobrze skrojonym szarym garniturze z dużym, białym znaczkiem w kłapie. Na znaczku widniała czerwona swastyka. Chociaż był urzędnikiem średniego szczebla, zachowywał się dość arogancko, co sugerowało, że uważa Metcalfe'a - Williama Quilligana - za marnego pachołka, którego musi - niestety - przyjąć i zabawić.

- Był już pan kiedyś w Berlinie? - spytał, gdy usiedli w wielkich, tapicerowanych fotelach w barze.

Metcalfe zmarszczył czoło. Musiał się zastanowić.

- Nie, jestem tu pierwszy raz.

- Cóż, to nie najlepsza pora. Na pewno zauważył pan, że jest to dla nas czas wielkich wyrzeczeń. Ale pod przywództwem Fuhrera, i dzięki pomocy ważnych instytucji finansowych takich jak pański bank, przetrwamy i zwyciężymy. Napijemy się czegoś?

- Ja tylko kawy.

- Odradzam. To erzac. Z ziaren narodowego socjalizmu, jak powiadają. To reklamowy slogan. „Jest zdrowa, wzmacnia i nie odróżnicie jej od prawdziwej!” Nie mówią tylko, że to nienadające się do picia pomyje. Może lampkę dobrego niemieckiego koniaku?

- Chętnie. - Metcalfe przesunął ku niemu dużą, żółtą kopertę. Chciał jak najszybciej załatwić sprawę i pójść do opery. Miał na głowie ważniejsze rzeczy niż wysłuchiwanie korpu-lentnego hitlerowskiego urzędniczyny. - Dokumenty - rzucił. - Wraz z instrukcjami. Kiedy wszystko załatwicie, proszę mi je zwrócić.

Cóż za impertynencja! Gerlach był lekko zaskoczony. O interesach rozmawiało się dopiero po wymianie towarzyskich uprzejmości. Naruszyć tę niepisaną zasadę? To cokolwiek niegrzeczne. Ale szybko doszedł do siebie i wygłosił kwiecistą, nieco protekcyjną orację na temat trudności, jakie stanęły przed niemiecką bankowością w obliczu wojny.

- Tylko pański bank - zakończył - i Swiss National pozostały naszymi wiernymi przyjaciółmi. Zapewniam pana, że nigdy o tym nie zapomnimy.

Metcalfe wiedział, do czego Szwab pije, napadając na kolejne kraje -od Polski i Czechosłowacji poczynając, na Norwegii, Danii i Niderlandach kończąc - hitlerowcy łupili ich skarbcze, zagarniali zasoby złota. Jedynymi bankami, jedynymi współnikami tej kradzieży, były Bank Rozrachunków Międzynarodowych i Swiss National. Rezultat? W podziemnych sejfach w Bernie i Bazylei spoczywało tysiące ton kradzionego złota. BRM wypłacał nawet Niemcom dywidendy od jego wartości i sprzedawał je, żeby zasilić hitlerowską machinę wojenną. Najcenniejsze dla Fuhrera było jednak to, że instytucjom finansowym z siedzibą w Bazylei nigdy nie groziło zamknięcie. Jego łupy były w Szwajcarii bezpieczne. Nikt nie miał prawa ich skonfiskować.

To było oburzające i Metcalfe'a ogarniał coraz większy gniew. Jego ogarniał gniew, a ten wygadany, apodyktyczny urzędniczyna rozprawiał o konieczności przełożenia terminu spłaty odsetek na warunkach korzystniejszych dla Reichsbanku, o listach uwierzytelniających, pokwitowaniach, o specjalnie oznakowanych sztabach złota, które miano przetransportować z Londynu do Bazylei, o transakcjach w złotych markach. Mimo to odegrał swoją rolę: wysłuchał go potulnie, wszystko zanotował i obiecał natychmiast przekazać jego żądania do Bazylei.

- A wieczorem zapraszam na kolację - mówił Gerlach. - Niestety, muszę pana ostrzec, że dzisiaj jest *Eintopftag* i że nawet najlepsze restauracje w Berlinie serwują tylko jedno danie, coś w rodzaju ohydneho gulaszu. Ale jeśli ta kulinarna obraza pana nie zniechęca...

- Wprost przeciwnie, bardzo dziękuję - przerwał mu Stephen. - Ale dziś jestem zajęty. Idę na balet.

- Aaa, Bolszój. Tak, rzeczywiście. Rosjanie chcą się nam przymilić i podsyłają tu piękne dziewczęta. - Gerlach uśmiechnął się drapieżnie. - Niech dla nas poskaczą, nich poskaczą. Ich czas nadejdzie. Tym lepiej. Jutro normalny dzień i jeśli jest pan wolny, zapraszam do Horchera albo do Savarina, na homara i inne nieracjonowane delicje. Co pan na to?

- Cudownie - odrzekł Metcalfe. - Nie mogę się doczekać.

Pół godziny później, uwolniwszy się wreszcie od wstrętnego hitlerowskiego bankiera, wszedł do Staatsopera. Ten jeden z najwspanialszych gmachów operowych w świecie zbudowano w XVIII wieku, za panowania Fryderyka Wielkiego w klasycznym pruskim stylu, chociaż z założenia miał przypominać koryncką świątynię. Należał do największych arcydzieł architektonicznych, jakie kiedykolwiek powstały, do współczesnych cudów świata i można go było porównać z Muzeum Pergameńskim, Altes Museum, Staatsbibliothek czy z Bramą Brandenburską.

Wnętrze było rokokowe, wejście lśniące i okazałe, wykończone czarno-białym marmurem. Widzowie, jakże inni od szarych przechodniów na ulicach, też błyszczeli od klejnotów. Chociaż strojów wieczorowych oficjalnie nie tolerowano, miłośnicy opery przyszli na przedstawienie w swoich najlepszych kreacjach: umalowane, obwieszane brylantami panie w balowych sukniach i jedwabnych pończochach, panowie w garniturach lub mundurach. Pachniało francuskimi perfumami, Je Reviens i L'Air du Temps. Tego, czego tak bardzo brakowało w Paryżu, tutaj było pod dostatkiem: nie ma to jak wojenne łupy.

Stephen musiał skontaktować się z Laną. Sęk w tym, że nie miał pojęcia, jakie przedsięwzięto środki ostrożności, kto i jak dobrze strzeże radzieckich artystów. Ale musiał, po prostu musiał przekazać jej wiadomość. Niewykluczone, że przyjechał z nią Kundrow, jej opiekun, myślał. Byłby najlepszym pośrednikiem. Może siedział na widowni? Tak, to całkiem prawdopodobne. Trzeba to sprawdzić. Trzeba znaleźć Kundrowa, chyba że on znajdzie przedtem mnie.

- Herr Quilligan! - Władczy głos. Natychmiast go rozpoznał. Odwrócił się, zobaczył Gerlacha z Reichsbanku i wszystko zrozumiał: jemu też przydzielono opiekuna. Hitlerowcy byli równie podejrzliwi jak Rosjanie, zwłaszcza w stosunku do obcokrajowców. Gdy „Quilligan” odrzucił zaproszenie na kolację, ten napuszony urzędniczyna postanowił - sam lub w porozumieniu z gestapo - pójść do opery, żeby mieć go na oku. Wszystko to razem było nieudolne i bez polotu, i Metcalfe nie zamierzał ułatwiać mu życia.

Gerlach podszedł tak blisko, że w jego oddechu Stephen wyczuł zapach ziołowych środków na trawienie.

- Herr Gerlach? Pan tutaj? W operze? Nie wiedziałem, że pan będzie, nic pan nie mówił!

Gerlach się zmieszał. Cała wyniosłość momentalnie wyparowała: musiał wymyślić jakieś wytłumaczenie.

- Cóż, przyjemność podziwiania rosyjskich artystów jest niczym w porównaniu z pańskim towarzystwem - odrzekł nieswoim głosem.

- Jest pan bardzo miły, ale doprawdy, nie miałem pojęcia, że...

- Daniel! Daniel Eigen? - Kobięcy głos. Stephen drgnął. „Daniel Eigen”, jego paryskie nazwisko! Boże. Zważywszy, że Niemcy dużo podróżowali, zwłaszcza między Paryżem i Berlinem, było całkiem możliwe, że pojawi się tu ktoś, kto znał go jako argentyńskiego playboya.

Nie odwrócił się, chociaż kobieta wołała głośno i natarczywie. I wyraźnie zwracała się do niego!

- Jak mawia nasz Fuhrer, nawet najbardziej skomplikowane plany trzeba dostosować do realiów - rzekł sztywno Gerlach, próbując odzyskać choć odrobinę godności.

Metcalfe musiał się od niego uwolnić, i to natychmiast. Kobieta, która znała go jako Daniela Eigena, szła w ich stronę, była ledwie kilka kroków dalej, przebijała się przez tłum ze zdumiewającą lekkością. Nie mógł jej dłużej ignorować, zresztą na pewno by mu na to nie pozwoliła. Zerknął na nią kątem oka. Lekko już wypłowiła piękność w gronostajach, siostra żony wysokiego hitlerowskiego urzędnika: Ewa Hauptman. Sypiał z nią w Paryżu, gdzie była z siostrą i ze swoim ważnym szwagrem. Szwagra wezwano do Berlina, Ewa wyjechała wraz z nim. Myślał, że już nigdy jej nie zobaczy.

Jezu Chryste! Mocno uperfumowana klepnęła go w ramię ciężką od pierścionków ręką. Odwrócił się i spojrzął na nią zaskoczony. Była z przyjaciółką, Niemką, która towarzyszyła jej w Paryżu. Przyjaciółka uśmiechała się wstydliwie, patrząc na niego wygłodniałym wzrokiem. Ewa musiała opowiadać jej o swoim argentyńskim kochanku, no i proszę, oto on, we własnej osobie!

Skonsternowany Stephen spojrzął na Gerlacha.

- Miło, że się spotkaliśmy - rzucił. - Musimy już chyba iść na widownię...

- Herr Eigen, jak pan śmie? - warknęła Frau Hauptman, zastępując mu drogę. Gerlach patrzył na nich ni to zmieszany, ni rozbawiony.

- Ta pani mówi chyba do pana, Herr... Quilligan.

Cholera jasna, co teraz? Nie mógł przecież udać, że jej nie ma. Była zbyt natarczywa, za bardzo się narzucała. Spojrzał na nią flegmatycznie i zmrużył oczy.

- Pani mnie z kimś pomyliła.

- Co takiego? - prychnęła. - Pomyliłam? Jeśli już, to z prawdziwym dżentelmenem. Nazywam się Ewa Hauptman i nikt nie będzie traktował mnie jak pospolitą dziwkę!

- Madame - powtórzył stanowczo Metcalfe. - Zapewniam panią, że to pomyłka. A teraz proszę mi wybaczyć.

Pokręcił głową i przewrócił oczami.

- To chyba ta moja twarz - szepnęła do osłupiałego Gerlacha. - Bardzo często biorą mnie za kogoś innego. Przepraszam, muszę skorzystać z toalety. Pierwszy akt jest dość długi.

Odwrócił się szybko i wszedł w tłum.

Z tyłu dobiegł go jeszcze krzyk rozwścieczonej Frau Hauptman:

- I ty masz czelność zwać się mężczyzną?

Zauważył drzwi i zamiast do toalety, ruszył w ich stronę. Musiał natychmiast stąd zniknąć. Nie uwierzył mu ani Gerlach, ani tym bardziej Ewa Hauptman. Największym problemem był oczywiście Gerlach, gdyż nie ulegało wątpliwości, że doniesie komu trzeba o swoich podejrzaniach. Jedno przypadkowe spotkanie i przykrywkę diabli wzięli.

Szybko. Szybciej! Potem, gdy zacznie się przedstawienie, mógł tu wrócić i poszukać Kundrowa. Drzwi otwierały się na zewnątrz. Nacisnął klamkę, pchnął je i z ulgą wyszedł na zimną noc. Mało brakowało.

Cichy szmer i zimny dotyk twardej stali. Ktoś przytknął mu lufę do skroni.

- *Stoj!*

Rosjanin. Trzask bezpiecznika. Broń była gotowa do strzału.

- Ani kroku - wycedził Rosjanin. - Patrz prosto przed siebie.

- O co chodzi?

- Milcz, Metcalfe! - syknął tamten. - Albo Eigen. Masz wiele nazwisk, szpiegu! Wiesz ten samochód? Powoli zejdziesz po schodach i wsiądziesz. *Poniał?*

Metcalfe milczał. Patrzył przed siebie. Rosjanin znał jego prawdziwe nazwisko. Był z NKWD. Na pewno.

- Odpowiadaj! - wychrypiął enkawudzista. - I nie kiwaj głową.

- *Da, poniał.*

- Dobrze. Idź powoli. To, co czujesz na skroni, to lufa pistoletu. Wystarczy, że lekko nacisnę spust i pistolet wypali. Jeden nieopatrzny ruch i twój mózg wyląduje na chodniku. *Poniał?*

- *Da.* - W żyłach krążyła mu adrenalina. Nie odrywał wzroku od czarnego sedana, który stał siedem, siedem i pół metra dalej. Szybko przeanalizował sytuację. Nie miał żadnego wyboru, żadnego wyjścia. Rosjanin nie żartował. Muśnię palcem spust i będzie po wszystkim.

- Ręce przed siebie. Na brzuchu. Spleć palce! Ale już!

Stephen zrobił, co mu kazano. Patrząc przed siebie, powoli schodził na dół. Kątem oka widział tylko ciemny kształt ręki ściskającej pistolet.

Może gdy dojdą do samochodu, zdoła mu go wyrwać. Może zrobi to, gdy Rosjanin usiądzie za kierownicą, chyba że każe prowadzić jemu.

Może. Na razie musiał go słuchać z nadzieją, że nadarzy się okazja do ucieczki albo do rozmowy, do negocjacji. Czego od niego chcieli? Przesłuchać go? Wypytać?

A może uprowadzić z powrotem do Moskwy?

Na Łubiankę, tym razem na dobre?

Szedł, czując bolesny ucisk twardej lufy. Słyszał jego kroki.

Nie było ucieczki. I nagle...

Cichy szelest. Blisko, tuż obok.

I znowu, teraz nieco głośniejszy. Metaliczny klekot pistoletu na chodniku. Lufa już go nie uciskała! Odwrócił lekliwie głowę i zobaczył, że jego prześladowca leży na ziemi z nienaturalnie wygiętą szyją, że toczy pianę z ust i nosa, że nieprzytomnie przewraca oczami. Usłyszał jego charkot, głośnie rżenie.

Rosjanin umierał na jego oczach! Ale jak? Kto? Jakim cudem?

Odwrócił się na pięcie, próbując zrozumieć, co się stało.

I zrozumiał.

Z boku stał Chip Nolan. W rękę trzymał strzykawkę.

- Stary, dobry Mickey Finn, wodzian chlorałowy, środek nasenny do drinka - powiedział. - Wstrzyknięty w szyję działa szybko i skutecznie. Nasz towarzysz już się nie obudzi.

- Chryste - wykrztusił Metcalfe. - Dzięki Bogu, że tu byłeś... Ale co ty robisz w Berlinie?

Nolan uśmiechnął się lekko.

- Tajemnica. Alfred Corcoran się kłania. Zapomniałeś o jego zasadach? No i co? Nie mówiłem, żebyś pilnował swego tyłka?

- Ostrzegając mnie przed gestapo, nie przed NKWD.

- Do głowy mi nie przyszło, że muszę. Przecież widziałeś, do czego są zdolni. Banda wrednych sukinsynów. Nie ma to jak ruska krew na szwabskiej ziemi. - Kopnął enkawudzistę. Rosjanin miał siną twarz. Już nie żył.

- Wiszę ci kielicha - powiedział Stephen. - Było już po mnie.

Chip skromnie pochylił głowę.

- Pilnuj się, James. - Schował strzykawkę do kieszeni i odszedł. Jego głos zginął w głośnym warkocie wojskowych ciężarówek z zaopatrzeniem i sprzętem, które jechały Unter den Linden w kierunku Bramy Brandenburskiej.

Wciąż oszołomiony Stephen rozejrzał się z ulgą i popędził za róg gmachu opery, pozostawiając trupa na chodniku. Aby dalej, aby szybciej. Musiał stąd zniknąć.

Na schodach, dokładnie tam, gdzie zaskoczył go enkawudzista, stał samotny mężczyzna. Metcalfe sięgnął po broń i wtedy go rozpoznał.

Kundrow. Stał i uśmiechał się tajemniczo.

- Kto to? - spytał.

- Ten z pistoletem? Myślałem, że pan mi to powie. To pański rodak.

- Nie, ten drugi.

- To mój rodak.

- Skądś go znam. Widziałem gdzieś tę twarz. Może u nas, w albumie ze zdjęciami. Gdyby nie on, musiałbym zabić już drugiego dziadka w tym tygodniu. Kiepsko. Co z moją reputacją? Ci z NKWD wolą oszczędzać, skracać listę płac.

- Rozstrzeliwują ludzi sami.

- Właśnie. Przyjechał pan do Lany. Nie mógł pan sobie odpuścić. To dla niej niebezpieczne.

- Nie o to chodzi. Potrzebuję pańskiej pomocy.

Kundrow zapalił papierosa; niemieckiego, jak zauważył Metcalfe.

- Zaufałby mi pan? - spytał, wydmuchując nosem dwie smużki dymu.

- Uratował mi pan życie. Mnie i Lanie.

- Panna Baranowa to zupełnie co innego.

- Wiem. Zastanawiam się, czy zdaje pan sobie sprawę, że pan ją kocha.

- Na pewno zna pan to przysłowie: miłość jest zła. Można zakochać się nawet w capie.

- Lana nie jest capem. - Rosjanin unikał odpowiedzi. Niech sobie unika, pomyślał Stephen. Szczerłość nie zawsze popłaca.

- To niezwykła kobieta.

- Moje słowa.

- Panie Metcalfe, jestem jej opiekunem, nikim więcej. To zadanie łączy się z pewną intymnością, co wcale nie ułatwia mi pracy, ale nie mam co do niej złudzeń. Swietłana uważa mnie za dozorcę więziennego. Może za dozorcę bardziej cywilizowanego, kulturalnego niż inni, ale za dozorcę.

- Jej nie można zamknąć w klatce.

- Ani posiąść na własność - odparował Kundrow. - Szuka pan pomocy... dla niej?

- Tak.

- Dla Swietłany zrobię wszystko, przecież pan wie.

- Dlatego tu jestem.

Kundrow kiwnął głową i zaciągnął się dymem.

- Paskudny nałóg - mruknął. - Ale to niemiecki papieros. Dobry, pachnący. Nawet fałszyści robią lepsze papierosy niż my.

- Kraj ocenia się według ważniejszych kryteriów niż papierosy.

- To prawda. Między Rosją i Niemcami jest dzisiaj więcej podobieństw niż różnic. Metcalfe uniósł brew.

- Nie wierzę własnym uszom.

- Mówiłem panu już w Moskwie. Znam ten system na wylot. Znam jego wady dużo lepiej niż pan. Dlatego nie dziwni mnie, że chce pan pomóc jej uciec.

Stephen nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Ale myślę, że ona odmówi - dodał Kundrow. - Zbyt dużo wiąże ją z Rosją. Na swój sposób można zamknąć ją w klatce.

- Rozmawialiście o tym?

- Nie, nigdy. Swietłana nie musi mi nic mówić.

- Rozumie ją pan.

- Tak. Wiem, że jest rozdarta.

- A jej pragnienia? To, że w ogóle takie ma? To też pan rozumie?

- Czy rozumiem? Sam je mam. Postawiłbym nawet taki warunek...

- Warunek?

- Tak, to byłaby moja cena. Za pomoc Swietłanie.

- Chyba pana nie zrozumiałem. Chce pan uciec na Zachód?

- Mam informacje, dużo informacji o GRU, o radzieckim wywiadzie. Dla amerykańskiego rządu, dla tych, dla których pan pracuje, to cenna zdobycz. Dla pana też.

Metcalfe był zaszokowany. Jednakże nic w wyrazie twarzy Rosjanina nie sugerowało, że to jakaś zagrywka czy podpucha, że Kundrow chce go sprawdzić. Mówił zupełnie serio.

- Ale dlaczego? Po co?

- Pyta pan poważnie? - Kundrow rzucił niedopałek na ziemię, wyjął kolejnego papierosa i przypalił go mosiężną zapalniczką. Drżała mu ręka, był zdenerwowany. - Widział pan, co ten tyran zrobił z jednym z najwspanialszych krajów świata i pyta mnie pan dlaczego? Pan, naoczny świadek terroru, paranoi, zdrady i okrucieństwa? Odbiję piłeczkę: dlaczego pan tego nie rozumie?

- Przecież pan u tego tyrana pracuje! Pan pilnuje tego więzienia!

- Nie wszyscy robią to dobrowolnie. - Kundrow mówił cicho, prawie szeptem. - Kiedy miałem dwadzieścia parę lat, aresztowali mojego ojca. Wsadzili go do więzienia. Niech pan nie pyta dlaczego. Powinien pan już wiedzieć, że często robią to bez powodu. Szukałem go, pytałem w całej Moskwie, wreszcie trafiłem do kwatery głównej GRU na placu Arbackim. Tam zatrzymali mnie, pobili, torturowali. - Dotknął palcem bladej szramy nad ustami. Jego szyderczy wyraz twarzy, ten dziwny, ironiczny uśmieszek nie był wcale uśmieszkiem: Kundrow miał zdeformowaną wargę. - Wypuścili mnie pod warun-

kiem, że będę u nich pracował. -Widząc zdumioną minę Stephena, dodał: - Tak, wielu z nas tak zwerbowano.

- A pana ojciec?

- Zmarł - odparł prosto z mostu Kundrow. - W więzieniu. Powiedzieli, że na atak serca. Jak było naprawdę, nie wiem.

- Boże - szepnął Stephen. Zawsze myślał, że Kraj Rad oszczędza swoich sługusów. Najwyraźniej nie oszczędzał nikogo.

- Nie muszę panu opowiadać o przyjaciółach i kolegach z GRU - mówił Kundrow. - O tym, co się z nimi stało. Mianują nowego przewodniczącego. Przewodniczący ściąga swoich przydupasów, awansuje ich, a oni z kolei rzucają oskarżenia na jego wrogów, których potem usuwają. To choroba, to niekończący się cykl bezsensownego, nieuzasadnionego okrucieństwa. Smok pożerający własny ogon: jest dla siebie źródłem życia i śmierci. Gnostyczny symbol *ouroboros*. I symbol panującej u nas tyranii. Rewolucja pożera własne dzieci. Nasza rewolucja zrodziła Lenina, potwora, którego świat uważa za zbawcę, a który stworzył gułag i zrodził kolejnego potwora, Stalina. Stalin zrodzi z czasem następnego i będzie to trwało w nieskończoność. Machina terroru, który stosuje, żeby utrzymać się przy władzy, pożera samą siebie, pożera Rosjan, dając początek nie kończącemu się cyklowi. Karmi się ludźmi, których terroryzuje, to kanibal. Mówi pan, że ja tego więzienia pilnuję. Powtórzę to, co powiedziałem w Moskwie: jestem tylko małą śrubką w gilotynie.

- Ale pomógł mi pan uciec. Zna pan ludzi z podziemia, którzy mogą pomóc uciec panu, i to w każdej chwili!

- Tak pan myśli? Niestety. Kiedy ucieka zwykły Rosjanin, ci na górze wzruszają ramionami; mają to gdzieś. Ale kiedy ucieka jeden z nas, ze strażników systemu, ścigają go do upadłego. NKWD wysyła zabójców, którzy likwidują każdego, kto śmiał przejść na stronę wroga. Bez protektora, bez ochrony któregoś z zachodnich rządów dopadliby mnie w ciągu kilku dni. A jak już mówiłem, pańscy chlebobdawcy mieliby ze mnie duży pożytek...

Metcalfe długo milczał. To nie był podstęp. Kundrow mówił zupełnie serio. Szczerze nienawidził stalinowskiej Rosji i musiał długo o tym myśleć, pewnie od lat.

- W Moskwie przyda się pan bardziej - powiedział w końcu. - Jest pan potrzebny swoim rodakom.

- Jeśli przeżyję - odrzekł z sardonicznym uśmiechem Kundrow. - Kiedyś i mnie strzelą w łeb, to tylko kwestia czasu.

- Niech pan tylko spojrzy, jak długo pan wytrwał, jak wysoko pan zaszedł.

- Jestem jak kameleon, umiem udawać wiernego sługę. To mechanizm obronny.

- Mechanizm, który dobrze panu służy.

- Ten mechanizm niszczy duszę, panie Metcalfe.

- Możliwe, jeśli pomaga tylko w przetrwaniu. Bo jeśli służy wyższym celom, niekoniecznie.

- Teraz z kolei ja nie rozumiem.

- Nie? Co się stanie z Rosją, jeśli porzucą ją wszyscy ludzie tacy jak pan? Co się stanie ze światem? To właśnie tacy jak pan, ludzie, którzy mogą zmienić ten system od środka, mogą również powstrzymać Stalina!

- Już mówiłem, jestem tylko małą śrubką...

- Tak, teraz jest pan tylko pionkiem, narzędziem, podrzędnym wykonawcą, ale za pięć, za dziesięć lat może pan zasiąść na samej wierchuszce, zostać jednym z tych, którzy pchną Rosję na nowe tory.

- Pod warunkiem, że przeżyję. Że mnie nie zastrzelą.

- Kto ma przeżyć, jeśli nie pan? Pan ten system zna. A Stalin nie będzie żył wiecznie, chociaż czasami tak się wydaje. Kiedyś umrze...

- I jego miejsce zajmie kolejny Stalin.

- Kolejny przywódca. Ale czy będzie to kolejny Stalin? Któż to wie? Może przyjdzie ktoś taki jak pan. Może nawet pan! Powiem krótko: jeśli pan ucieknie, do Ameryki, do Anglii, do jakiegokolwiek kraju, który po tej parazywej wojnie pozostanie wolny, będzie pan zwykłym rosyjskim emigrantem, jednym z setek tysięcy. Ale jeśli zostanie pan w Moskwie, jeśli zatrzymując swoje poglądy dla siebie, spróbuje pan naprawić ten system od środka, jest szansa! Szansa, że będzie inaczej, że zmieni pan bieg historii. Że machina terroru nie zniszczy tego świata. Takich ludzi jak pan świat potrzebuje tam, w Moskwie. Ludzi dobrych, szlachetnych, ludzi zdrowych psychicznie, do ciężkiej cholery! Pamięta pan, co mi pan powiedział? Że w Rosji jest za mało bohaterów, że przydałoby się ich więcej.

On mówił, a Kundrow patrzył na gmach opery. Cały czas milczał i Metcalfe myślał, że przestał go słuchać, lecz gdy Rosjanin odwrócił głowę, jego twarz była jakby inna. Cała duma i wyniosłość zniknęły, ustępując miejsca zaskakującej bezbronności i udręczeniu.

- Mam jakiś wybór? - spytał.

- Tak - odrzekł Stephen. - Dobrze pan wie, że panu nie odmówię.

- Nie o to chodzi. Chodzi o sam wybór. Chyba nie mam żadnego. Ucieczka byłaby tylko głupią fantazją.

Metcalfe zrozumiał. Kundrow go słuchał, słuchał go cały czas. I już się zdecydował.

- Dobrze. - Rosjanin ciężko westchnął. - Swietłana. Co mam dla niej zrobić?

Rozdział 34

Ernst Gerlach był lojalnym i oddanym pracownikiem Reichsbanku, lecz nigdy nie ufał policji, ani tym z Schutzpolizei, ani tym z Kripo, ani z gestapo, którzy tępilili mężczyzn o jego upodobaniach seksualnych, wysyłając ich do obozów koncentracyjnych. Jak dotąd go oszczędzali, może dlatego, że był cennym, nawet niezastąpionym urzędnikiem, może dlatego, że miał wysoko postawionych protektorów, może z obu tych powodów naraz, a może po prostu uśmiechało się do niego szczęście. Tak czy inaczej, nie zamierzał ryzykować. Żeby nie zwracać na siebie uwagi tych w długich, wojskowych buciorach, przestał zadawać się z mężczyznami.

Ale teraz miał kłopot i wiedział, że jeśli nie będzie ostrożny, kłopot ten może odgryźć mu tyłek. Ta kobieta, ta na pierwszy rzut oka przyzwoita Niemka - przyzwoita, choć za bardzo wysztafirowana i umalowana -zwróciła się do Herr Quilligana per „Daniel Eigen”. Quilligan był oczywiście zdziwiony i zaskoczony, twierdził, że to pomyłka, ale szybko odszedł i zniknął. Zachował się bardzo podejrzanie.

Gerlach uświadomił sobie, że nie zajrzał jeszcze do tych szwajcarskich dokumentów. A jeśli to jakieś oszustwo? A jeśli, co gorsza, podający się za Quilligana Amerykanin jest szpiegiem, który bierze udział w operacji wymierzonej w Reichsbank? Amerykanie i Anglicy od dawna próbowali przejąć zagraniczne zasoby finansowe Rzeszy, więc jeśli „Quilligan” próbuje zdobyć próbki podpisów, numery kont, słowem, niezbędne do tego informacje...

Tego wieczoru w operze było sporo gestapowców i oficerów Schutzpolitzei, ale doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zadzwonić do swego szefa. W *Zuschauergarderobe* znalazł budkę telefoniczną. Do ministerstwa dzwonić oczywiście nie mógł, bo było już za późno, a w domu go nie zastał. Trudno. Natychmiast zadzwonił do jego przełożonego, do samego Klausenera, zastępcy naczelnego, który często prowadził interesy z Bankiem Rozrachunków Międzynarodowych. Klausener był na przyjęciu i wpadł w furię.

- Nigdy w życiu nie słyszałem o żadnym Quilliganie! - wrzasnął. - Po cholere zawraca mi pan głowę? Dzwon pan do Bazylei, dzwon pan na policję, *Hosenscheisser!*

- *Ach! Verdammter Schweinhund!* - wymamrotał Gerlach, gdy tamten trzasnął słuchawką. Co za kretyn. Nie mógł zadzwonić do Bazylei, nie o tej porze, poza tym łączność międzynarodowa bardzo szwankowała -trwała wojna.

W końcu podszedł do jednego z esesmanów kręcących się po holu. Podszedł ze ściśniętym żołądkiem, choć w ostatniej chwili przypomniał sobie, że w szarym garniturze i krawacie wygląda bardzo dystyngowanie.

Esesman był ubrany na czarno od stóp do głów: miał czarny mundur z czarnymi, skórzanymi guzikami, czarne spodnie i czarne oficerki z długimi cholewami. Na prawym ramieniu nosił srebrzystą naszywkę z literami SD, a trzy srebrzyste belki na czarnych patkach i na kołnierzu mówiły, że jest Sturmbannfuhrerem SS.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, Herr Sturmbannfuhrer - zaczął Gerlach - ale musi mi pan pomóc.

Ewa Hauptman zauważyła, że jej najlepsza przyjaciółka Mitzi-Molli Kruger traktuje ją z wyższością. Łoża należała do Hauptmanów i ponieważ były same, zdawała się zupełnie pusta i cztery razy większa niż zwykle. Może to właśnie dlatego Frau Hauptman zerknęła na przyjaciółkę częściej niż zwykle. Mina Mitzi-Molli denerwowała ją i dręczyła, ale najgorsze w tym wszystkim było to, że Frau Hauptman nie mogła nic na to poradzić. Dobrze wiedziała,

o czym Molli myśli; znały się od wielu lat, razem kończyły szkołę w Hanowerze. Poniżono ją i Mitzi-Molly się z tego cieszyła. Zawsze jej zazdrościła - urody, a nawet męża - dlatego to, że Eigen tak ją upodlił, sprawiło jej wielką przyjemność. Coś takiego! Ten cham udał, że jej nie zna! Niemożliwe, żeby zdażył zapomnieć. W Paryżu mieli krótki, acz namiętny romans, a w łóżku była prawdziwą lwicą. Mężczyźni jej nie zapominali, o nie.

On też nie zapomniał, to oczywiste, ale dlaczego udawał, że jej nie zna?

Może był tu z inną - to by wszystko wyjaśniało - ale nie widziała, żeby rozmawiał z kobietą. Rozmawiał z jakimś nudziarzem, żadnej kobiety przy nim nie było.

Zaczęła się zastanawiać, jak powiedzieć Mitzi-Molli o jego hulaszczkiej reputacji. Tak, powie, że po tym namiętym paryskim romansie jej widok wprowadził go w zakłopotanie, że na pewno wciąż ją kocha. Przyszedł do opery z inną, stąd to dziwne zachowanie.

Już otwierała usta, żeby rzucić kilka słów o Danielu - ot, tak, niby od niechcienia - gdy wtem otworzyły się drzwi. Odwróciły się i zobaczyły ubranego na czarno esesmana.

Frau Hauptman zawsze czuła się przy nich nieswojo, chociaż jej mąż był wysokim urzędnikiem państwowym. Byli aroganccy, pijani władzą i nie wiedzieli, gdzie jest ich miejsce. Słyszała wiele opowieści o ludziach z dobrych rodzin, ludziach ustosunkowanych, których zabrano do kwatery głównej SS przy Prinz-Albrechtstrasse, i którzy już nigdy stamtąd nie wrócili.

Esesman wskazał ją palcem i nawet nie racząc się przedstawić, warknął:

- Proszę ze mną.
- Słucham? - odparła Ewa swoim najbardziej wyniosłym głosem.
- Musimy coś wyjaśnić.
- Zaraz zaczyna się przedstawienie, proszę zaczekać.
- To bardzo pilne. Rozmawiała pani z kimś w holu, z pewnym Amerykaninem...
- On nie jest Amerykaninem, tylko Argentyńczykiem. Ale o co właściwie chodzi?

Służba bezpieczeństwa Rzeszy, Reichssicherheitshauptamt, dzieliła się na siedem wydziałów. Jeden z nich, wydział VI, zajmujący się wywiadem i kontrwywiadem, był tak duży, że mieścił się w osobnym budynku, nowoczesnym, trzypiętrowym gmachu przy Berkaerstrasse 32 na rogu Hohenzollerndamm.

Niecałą godzinę po tym, gdy SS-Sturmbannführer Rudolf Dietrich wszedł do specjalnej budki telefonicznej przy Unter den Linden - budki przeznaczonej wyłącznie dla esesmanów - do drzwi gabinetu szefa wydziału VI zapukał jeden z jego starszych oficerów. Obydwaj pracowali do późnej nocy, ale szef wydziału, SS-Oberführer Walter Rapp - trzydzieści dwa lata, najmłodszy szef wydziału w SS - chyba nigdy nie sypiał w domu. Rapp zawsze szczyił się tym, że zwraca uwagę nawet na najdrobniejsze szczegóły. Czytał wszystkie raporty wywiadowcze, dbał o budżet, obcinając większe wydatki, prowadził nawet własnych agentów. Powiadano, że ma ucho w każdej ścianie.

SS-Standartenführer Hermann Ehlers mówił szybko i treściwie, wiedząc, że szef nie lubi, gdy ktoś przeszkadza mu w pracy. Ale o dziwo, już po chwili Rapp mu przerwał.

- Ten Amerykanin... Skoro wpadliśmy na jego trop w Paryżu, jakim cudem znalazł się w Moskwie?

- Osobiście przejrzałem akta, Herr Oberführer, ale niewiele z nich wynika. Wiem tylko, że zabił w Paryżu kilku naszych.

- Jego prawdziwe nazwisko?

- Stephen Metcalfe. Jest agentem siatki szpiegowskiej niejakiego Corcorana - odrzekł Ehlers.

- Tak, o siatce Corcorana słyszałem. - Skupiony Rapp usiadł prosto. - Mam w niej swoich ludzi. Czy wie pan, co ten Metcalfe robił w Moskwie?

- Wiem bardzo mało, Herr Oberfuhrer. Mam tu streszczenie raportu naszego człowieka na Łubiance. NKWD zatrzymało Metcalfe'a i kilkakrotnie go przesłuchało.

-No i?

- Bez rezultatu. Został zwolniony.

- Dlaczego?

- Można się tylko domyślać. Wygląda na to, że oszukał śledczego, wmawiając mu, że pracuje dla Berii.

- A pracuje? Albo pracował?

- Nie, to chyba kłamstwo, chociaż nikt z Berią na ten temat nie rozmawiał. Nikt nie śmiał. Rzecz w tym, że Metcalfe'em interesuje się generał Heydrich, i to osobiście. To priorytetowa sprawa.

- Heydrich? Skąd pan o tym wie?

- Metcalfe'a miał zlikwidować jego ulubiony agent, też skrzypek, bez względu na typ...

- Kleist. Na pewno Kleist, nikt inny. I ten Metcalfe jeszcze żyje?

- Heydrich chciał go wypłoszyć i sprawdzić, co robił w Moskwie. Ale teraz chce go wyeliminować.

Oberfuhrer Rapp zmarszczył czoło.

- Niech pan zadzwoni do Kleista. Jeśli to, co o nim słyszałem, nie mija się z prawdą, mam przecucie, że z chęcią dokończy sprawę. Czy Metcalfe ma tu jakieś kontakty? Jakichś znajomych?

- Zna pewnego bankiera, homoseksualistę nazwiskiem Gerlach.

- To jego kochanek?

- Nie. To właśnie on doniósł nam na Metcalfe'a. Metcalfe przyjechał do Berlina jako urzędnik szwajcarskiego Banku Rozrachunków Międzynarodowych. Poznali się kilka godzin temu.

- Gdzie się zatrzymał?

- W Aldonie. Przeszukaliśmy już jego pokój. Są tam agenci gestapo. Czekają na jego powrót.

Rapp kiwnął głową. Dobra robota. Szybka i dobra.

- Spotka się jeszcze z tym Gerlachem?

- Prawdopodobnie tak. Gerlach będzie oczywiście współpracował.

- Wiemy coś na temat jego innych kontaktów?

Ehlers lekko się zawahał.

- Dokładnie to sprawdziłem - odrzekł z nieukrywaną dumą. – Jego nazwisko pojawia się w doniesieniach z naszej moskiewskiej ambasady. Jeden z tamtejszych dyplomatów, niejaki von Schussler, złożył rutynowy meldunek o nawiązaniu kontaktu z obcokrajowcem. Poznał Metcalfe'a i krótko z nim rozmawiał. Został również przesłuchany przez Kleista.

- No proszę. Słyszałem o von Schusslerze, a przynajmniej o jego zamku.

- Tak, to zamożny człowiek.

- Niezwykle zamożny. I mówi pan, że jest teraz w Moskwie?

- Nie. Wziął urlop i przyjechał na kilka dni do Berlina.

- Ciekawy zbieg okoliczności... Może to tylko zwykły przypadek, ale trzeba to sprawdzić. Proszę skontaktować się z Kleistem i natychmiast wysłać go do zamku von Schusslera.

- Rozkaz.

- Musimy wziąć pod uwagę wszystkie możliwości. Sprawa priorytetowa dla generała Heydricha jest priorytetową dla nas. Metcalfe nie wyjedzie z Berlina. To proste.

Rozdział 35

Zamek von Schusslerów stał w ciemnym, gęstym sosnowym lesie mniej więcej trzydzieści kilometrów na północny zachód od Berlina. Zbudowano go na samym szczycie góry i z blankami, stożkowatymi, kamiennymi wieżycami, ze stromym czerwonym dachem i prastarymi białymi murami wyglądał dokładnie tak jak czternastowieczna forteca, którą niegdyś był. Przed wiekami von Schusslerowie byli wolnymi rycerzami cesarstwa i cieszyli się statusem znacznie wyższym niż status jakiegokolwiek innego szlachcica, chociaż na początku XIX wieku jeden ze znamienitych przodków Rudolfa von Schusslera otrzymał tytuł grafa, czyli księcia. Zamek należał do ich rodziny od setek lat i chociaż wraz z końcem średniowiecza przestał być twierdzą, jego fortyfikacje pozostały nienaruszone.

Drogę wskazał mu Kundrow i gdy się tylko rozstali, kilka ulic za Unter den Linden Metcalfe kupił samochód od jakiegoś sponiewieranego Niemca. Niemiec parkował akurat swego zdezelowanego opla, gdy Stephen podszedł do niego i swoją najlepszą, najbardziej kolokwialną niemieczyzną zaproponował zań prawie tysiąc marek, o wiele więcej, niż samochód był wart. Berlińczykom żyło się nie najlepiej, dlatego zdumiony tą hojnością właściciel opla szybko wręczył mu kluczyki. Dopiero podczas jazdy górską drogą Stephen zrozumiał, dlaczego tak bardzo mu się spieszyło. Wóz miał nie tylko słaby silnik, ale i kompletnie dobite przełożenie. Jadąc pod górę, cały się trząsał i dygotał tak bardzo, że omal nie rozleciał się na kawałki.

Po drodze Stephen kupił zeissowską lornetkę do obserwowania ptaków oraz tyrolskie ubranie z szarej i rudozielonej wełny, tak że gdy dojechał na miejsce - zaparkował w lesie - wyglądał jak miłośnik ptaków na wycieczce. Sęk w tym, że był wczesny wieczór, pora dość podejrzana, jak na przyrodniczą wyprawę. Ale lepsza taka przykrywka niż żadna. Po namyśle uznał, że jeśli nie będzie zwlekał, zdąży przeprowadzić krótki rekonesans. Idealnie by było, gdyby mógł wejść niezauważenie do zamku, ukryć się tam, a potem nawiązać kontakt z Laną.

Jednakże obszedłszy zamek dookoła, stwierdził, że jest to forteca nie do zdobycia. Mury były gładkie i wysokie, a za murami biegały tresowane owczarki niemieckie. Ta niedostępność nie wynikała bynajmniej z poczucia zagrożenia, tylko ze stylu życia. Twierdza to symboliczna i praktyczna w czasie wojny demonstracja - bogaci Niemcy lubili tak mieszkać. Próbował wdrapać się na mur, ale tylko zdenerwował psy, które od razu go zwęszyły. Nie chcąc, żeby wypatrzyła go służba - von Schussler był w operze, ale służba na pewno została w domu - zeskoczył na ziemię i wrócił do samochodu. Widział wystarczająco dużo i ustalił przynajmniej jedno: wejście do zamku graniczyło z niemożliwością. Główną bramę zamykała masywna, żelazna krata, za którą biegało jeszcze więcej owczarków i groźnie warczących dobermanów pinczerów, a na dziedzińcu wpuszczano zapewne tylko samochody uprawnione do wjazdu. Pod kamiennym zadaszeniem w kącie dziedzińca stał zabójczo piękny daimler. Koloru kości słoniowej, z czarnymi zdobieniami, wysoką chłodnicą, z fotelami obitymi kremową skórą i wyłożoną orzechowym drewnem deską rozdzielczą, musiał należeć do pana na zamku, do von Schusslera. Stojąc za drzewem, Metcalfe zobaczył, że bocznymi drzwiami wychodzi na dwór mężczyzna w liberii szofera. Wyszedł i przystanął, obserwując warczące psy.

Stephen zeszytniał. Musiało zaniepokoić go ich zachowanie. Gdyby podszedł bliżej bramy, Metcalfe musiałby uciekać do lasu. Lecz na razie czekał. Chciał zobaczyć, co tamten robi.

Szofer wyjął mały, srebrzysty gwizdek i zagwizdał. Psy momentalnie ucichły. Stephen odetchnął. Szofer musiał pomyśleć, że zwietrzyły jakieś zwierzę.

Kilka minut później Metcalfe odjechał. Wrócił do Berlina, Unter den Linden dojechał do Staatsopera i zaparkował na tyłach gmachu. Niebawem przed głównym wejściem stanął daimler von Schusslera. Po chwili wysiadł z niego szofer, ten sam, który gwizdał na psy na dziedzińcu. Zapalił papierosa, oparł się o ścianę i spokojnie paląc, czekał na swego chlebowdawcę i jego przyjaciółkę.

Kundrow, który o Lanie wiedział chyba wszystko, powiedział Stephenowi, że szofer zawiózł do zamku ich bagaże, jej i von Schusslera. Powiedział mu również, że von Schussler jest w operze, że czeka przed garderobą z naręczem czerwonych maków. Metcalfe poczuł ukłucie zazdrości i bardzo go to zażenowało. Idiotyczne. Przecież Lana go nie cierpiała. Mimo to...

Zerknął na zegarek. Przedstawienie dobiegało końca. Zaraz wyjdzie Swietłana, pewnie z von Schusslerem, i wsiądzie do daimlera. Cała sztuka polegała na tym, żeby przykuć jej uwagę, nie zwracając na siebie uwagi von Schusslera. Musiał przekazać jej list, umówić się z nią na spotkanie. Ale jak? Dać list szoferowi? Nie, szofer pracował u von Schusslera i, jak na wiernego służącego przystało, mógłby oddać go swemu panu. Nie, musiał zrobić to sam, gdy Lana wyjdzie z opery.

Chyba, że... Tak, był inny sposób. Mógłby podbiec do niej chłopak na posyłki wraz z listem ukrytym w bukietcie kwiatów. To mogło wypalić. Szofer ruszył nagle do wejścia dla artystów. Po co? Żeby powitać von Schusslera? Przecież nikt jeszcze nie wychodził. Czyżby zauważył coś, czego on nie dostrzegł? I wtedy zobaczył, że tamten rozmawia w drzwiach ze strażnikiem. Byli dość daleko, ale jedno słowo usłyszał wyraźnie: *die Toilette*.

Spojrzał na daimlera i błyskawicznie podjął decyzję.

To była myśl, myśl być może zwariowana, ale gdyby wszystko poszło dobrze...

Podbiegł do samochodu, wcisnął przycisk i otworzył bagażnik. Bagażnik był duży i pusty, wyłożony czyściutką wykładziną. Żadnych walizek czy toreb, bo bagaż Lany i von Schusslera był już na zamku. Leżał tam jedynie koc.

Metcalfe rozejrzał się. Nikogo.

Jeśli w ogóle miał to zrobić, musiał zrobić to szybko. Teraz. Natychmiast!

Wszedł do środka i zamknął klapę. Trzasnęła zamek i zapanowała ciemność. Stephen przetoczył się w bok i nakrył kocem.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze... Jeśli. Jeśli nikt nie otworzy bagażnika. Ale po co ktoś miałby go otwierać? Gdy dojadą na miejsce, gdy Lana, von Schussler i kierowca wysiądą, on odczeka kilka minut i gdy wejdą do zamku, otworzy bagażnik od środka. Śmiało to i ryzykowne, ale chyba tylko tak mógł się z nią skontaktować.

Pod warunkiem że wszystko pójdzie dobrze. Że nikt tu nie zajrzy.

A jeśli zajrzy? Chip Nolan dał mu broń i wtedy będzie musiał jej użyć.

Przysunął się bliżej klapy i pomacał na oślep w poszukiwaniu dźwigni.

Ale dźwigni nie było. Nie było tam niczego.

Niczego oprócz gładkiej, polakierowanej stali.

Chryste! Ogarnęła go panika. Jak się, do diabła, stąd wydostanie? Był zamknięty, zamknięty od zewnątrz!

Czuł coraz intensywniejszy smród spalin wypełniających bagażnik; silnik wciąż pracował. Od spalin można stracić przytomność, można nawet umrzeć.

Rozpaczliwie przesunął ręką po ściankach bagażnika. Szukał dźwigni, klamki, przycisku, czegoś, czegokolwiek. Ale znalazł tylko gładką stal, nic więcej.

Jezu Chryste!

Był uwięziony!

Skrzypek zaparkował na okrągłym podjeździe i powoli ruszył do wejścia, obejmując spojrzeniem średniowieczny zamek. Był imponujący, lecz widywał już ładniejsze.

Wiadomość, że zwierzyzna jest w Berlinie - zastała go w jego rodzinnym mieście! - była zaproszeniem, prowokacją, której nie mógł się oprzeć. Nie lubił niedokończonych spraw.

Pociągnął za uchwyt dzwonka, otworzyły się wielkie drzwi i w progu stanął siwowłosy kamerdyner.

- *Herr Kleist? Darf ich Sie bitten, ndhrer zu treten?* - Uprzedzono go o przyjeździe kogoś z SD i zaprosił go do środka tak, jak zaprasza się domokrażcę. Zrobił to celowo, lecz Kleist go zignorował.

- Zastałem Herr Schusslera? - spytał.

- Grafa von Schusslera. Nie, proszę pana. Mówiłem pańskiemu przełożonemu...

- On nie jest moim przełożonym. Kiedy wróci?

- Najwcześniej za dwie godziny. Jest w Berlinie, w operze.

- Mieliście dzisiaj jakichś gości?

- Nie.

- Są tu jego żona i dzieci?

- Nie - odparł wyniośle kamerdyner. - Wyjechali na ferie w góry.

Skrzypek chłonał stęchły, wilgotny zapach zamku, cuchnącą woń starego kamienia wymieszaną z przykrą wonią rozkładającej się materii organicznej. Doszedł go również zapach środków czystości, mleczka do polerowania srebra, olejku do mebli i słaby aromat perfum. Jedynym męskim zapachem był zapach *der Hausdiener* i amoniakowy odór potu jakiegoś robotnika. Nie, von Schusslera tu nie było. Kobiet też nie, i to od kilku dni.

Zniechęcony wrócił do samochodu. Nie, to ślepy zaułek. Może Amerykanin spróbuje skontaktować się z von Schusslerem jutro? Tak, teoretycznie to możliwe.

I nagle, gdy otwierał drzwiczki samochodu, podmuch wiatru przyniósł zapach, który przykuł jego uwagę.

Zapach bardzo słaby, ale...

Zafalowały mu nozdrza. Tak, ktoś tu był. Niedawno, przed kilkoma godzinami. Ktoś w nowym, wełnianym ubraniu i nowych skórzanych butach. Niewielu berlińczyków nosiło nowe ubranie. Chodzili do oporu w tym, co mieli. Wystawił twarz pod wiatr. Mężczyzna. Na pewno mężczyzna. I na pewno nie Niemiec. Od Niemców zalaływało piwem, gotowaną kaszą i kartoflami. Mydło. Wyczuwał zapach mydła, takiego nie-perfumowanego, czystego, zagranicznego...

Białego. Tak, na sto procent. Zagraniczne mydło. Amerykanin. W nowym, wełnianym ubraniu - tyrolskim? alpejskim? - i nowych, skórzanych butach.

Ostrożnie zamknął drzwiczki i wrócił do zamku.

Kamerdyner nie ucieszył się na jego widok.

- Mieliście gościa - rzucił Kleist.

- Nie, już pan o to pytał.

Kleist kiwnął głową.

- Są tu psy. Cały czas były spokojne?

- Tak. Nie, niezupełnie. Ale to nie znaczy, że...

- Mieliście gościa - powtórzył Kleist. - Ktoś tu był. Jeśli nie w zamku, to przed bramą. Był i wróci.

SS-Oberfuhrer Walter Rapp, szef wywiadu i kontrwywiadu Reichssicherheitshauptamt spojrział na Hermanna Ehlersa.

- Jest pewny, że Metcalfe tam był?

- Tak mówi.

- A kamerdyner?
- Mówi, że nie.
- W takim razie skąd Kleist wie, że był?
- Powiedział tylko, że znalazł „pewne ślady”. I że jest tego absolutnie pewny.
- Ślady... - wymamrotał Rapp, podnosząc słuchawkę telefonu. - Cóż, czego jak czego, ale ludzi nam nie brakuje. Trzeba ich tam natychmiast wysłać.

Dailmer już jechał.

Dwie minuty wcześniej Stephen usłyszał głosy, w tym głos Lany. Ucieszył się, trochę go to pokrzepiło. Panika zaczęła powoli mijać.

Potem usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych drzwiczek. Zamarł, przygotowując się na to, co mogło go teraz spotkać. Bagażnik. Otworzą go czy nie? Zabawne, pomyślał. Co jest gorsze: leżeć bez końca w tej 'blaszanej trumnie czy dać się nakryć szoferowi? Gdyby szofer tu zajrzał, nie byłoby wyboru. Musiałby się na niego rzucić i zaczęłyby się prawdziwe kłopoty.

Silnik głucho zamruczał i samochód przyspieszył. Lana i von Schussler siedzieli ledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej. Rozmawiali, lecz słyszał tylko niewyraźny szmer głosów. Myślał o tym, co miał jej powiedzieć, o co miał ją poprosić i zastanawiał się, jak Lana zareaguje. Była dzielną kobietą, dzielną i praktyczną, ale i nieprzewidywalną. To, co chciał jej zaproponować, było tak odważne, tak bezczelne, że niemal absurdalne.

I niebezpieczne.

Ale tylko w ten sposób mógł uratować zarówno ją, jak i operację „Wolfs-falle”.

Niższy bieg, wyższe obroty silnika: jechali pod górę. Zbliżali się do zamku, byli pewnie na stromym odcinku drogi tuż przed bramą. Po chwili zwolnili. Brama? Już? Tak, czekali, aż ktoś im otworzy. Usłyszał głosy. Głosy i czyjś krzyk. Tak jakby było tam co najmniej kilku ludzi. Co się dzieje? Ale nie, dailmer ruszył, chociaż teraz jechał znacznie wolniej niż przedtem. Stanęli. Dobiegł go piskliwy głos von Schusslera i zmysłowy głos Lany. Trzasnęły drzwiczki, zachrzęścił żwir.

Ale silnik wciąż pracował i wóz ponownie ruszył. Wolno, powoli, wreszcie stanął i tym razem silnik zgasł. Byli w garażu?

Czekał w ciszy i kompletnej ciemności. Niski, bezdźwięczny gwizd, trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek. Szofer. Sprzątał? Pięć, sześć minut później odszedł. Zabrzęczały wieszane na ścianie kluczyki i znowu zapadła cisza.

Metcalf czekał.

Pięć minut, dziesięć - stracił rachubę czasu. Przed podjęciem próby uwolnienia się z tej stalowej, klaustrofobicznej pułapki chciał mieć absolutną pewność, że jest w garażu sam.

W końcu uznał, że już pora. Cierpliwie zbadał wewnątrz bagażnika, lecz nie znalazł ani żadnej dźwigni, ani przycisku. W kącie wymacał jakieś kable, ale były to kable elektryczne.

Panika powróciła ze wzmożoną siłą. Serce waliło mu w piersi jak młotem. Brakowało mu tchu, zaschło mu w ustach.

Cholera jasna, przecież musiało być stąd jakieś wyjście!

Znowu pomyślał o Lanie, która przed kilkunastoma minutami siedziała tak blisko, że mógłby jej dotknąć. I wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Tak blisko, że mógłby jej dotknąć. Tak!

Wymacał w podłodze płytkie zagłębienie na pojemnik z narzędziami do zmiany kół. Otworzył go i znalazł w środku ciśnieniomierz, śrubokręty, szczypce i klucz francuski. Płaskim śrubokrętem podważył wykładzinę i zrolował ją, odstawiając stalową blachę, przytwier-

dzone śrubami przepierzenie oddzielające kabinę wozu od bagażnika. Szybko wziął się do pracy, poluzował nakrętki, odsunął prostokątną płytę i zobaczył tylne siedzenie. Konstruktorzy samochodu nie przewidzieli, że ktoś będzie wsiadał doń przez bagażnik, ale przebiwszy się przez płataninę rozperek i kabli, zdołał wreszcie pchnąć oparcie do przodu.

Dwadzieścia minut od rozpoczęcia pracy siedział na tylnym siedzeniu daimlera. Był wolny.

Samochód stał pod kamiennym zadaszeniem, czymś w rodzaju wiaty. Wiata nie miała drzwi i jej wnętrze zalewał blask księżyca. Gdy Stephen cicho wysiadał, na sekundę, najwyższej dwie, zapaliło się światło nad lusterkiem. Widział je ktoś? Ludzie, których głosy słyszał przy bramie? Spojrzał w tamtą stronę i kilkadziesiąt metrów dalej zobaczył żelazne ogrodzenie, wysokie i opadające w dół zbocza. Za ogrodzeniem majaczyły sylwetki ludzi. Strażnicy? Usłyszał chrzęst żwiru, skowyt szarpiących się na smyczy psów. I gardłowy warkot owczarków niemieckich, które biegały niespokojnie za ogrodzeniem, sapiąc i powarkując ostrzegawczo na uwięzionych na smyczy pobratymców.

Trzasnęła zapalniczka; ktoś zapalił papierosa. Gdy rozbłysła, Metcalfe zobaczył, że nie są to bynajmniej zwykli strażnicy.

Dobrze te mundury znał: to byli gestapowcy. Teren przed bramą patrolował oddział gestapo.

Dlaczego?

Przedtem ich tam nie było. Von Schussler, podrzędny urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nie zasłużył sobie na ochronę przysługującą wysokim dostojnikom Rzeszy. Co tam robili? Stephen gorączkowo myślał. Von Schussler przyjechał do Berlina z Laną. Czy ci z Sicherheitsdienst wiedzieli, że przyjechał tu również on, Metcalfe? Czyżby wiedzieli, co go z nią łączy? I podejrzewali, że może ją tu odwiedzić?

Możliwe - wszystko było możliwe - ale mało prawdopodobne. Gestapowcy chcieli zgarnąć kogoś, kto albo miał tu wejść, albo stąd wyjść. Na dwoje babka wróżyła.

Nie, zaraz. Przecież czekali przed bramą. Przed, nie za. Nie zamierzali przeszukiwać zamku. Czekali na kogoś, kto miał tu przyjść.

Na mnie, pomyślał. Na mnie?

Musiał dostać się do zamku tak, żeby go nie zauważyli. Od najbliższej ściany dzieliło go około trzydziestu metrów słabo osłoniętej ścieżki. W kilku pokojach na piętrze paliło się światło. Jedno z nich jaśniało różowawym blaskiem i wiedział, że to na pewno okno Lany, która lubiła zarzucać czerwoną chustkę na abażur lampy w sypialni.

Gestapowcy czekali na kogoś, kto miał tu przyjechać, nie na kogoś, kto już tu był. Gdyby więc udało mu się dojść po cichu do...

Ale co z psami? Owczarki i doberman stały przy bramie, skamłając i powarkując na psy gestapowców. Może były słabo wytresowane albo, co bardziej prawdopodobne, wytresowano je - tak jak ich właściciele - do polowania na intruzów z zewnątrz, nie z wewnątrz.

Po cichu wyszedł z wiaty. Dostrzegłszy niski cisowy żywopłot przy podjeździe, przypadł do ziemi i poczołgał się wzdłuż trawnika. Gdy żywopłot się skończył, wpełzł na trawnik i wkrótce był już przy ścianie. Wstał i pobiegł na tył zamku, szukając jakiegoś wejścia.

Znalazł je bez trudu: wąskie, drewniane drzwi. Zamek był otoczony tak wysokimi murami i tak dobrze strzeżony przez psy, że nie musiano zamykać ich na klucz. Otwierał je powoli, ostrożnie, bojąc się, że zaskrzypią...

I w tym momencie usłyszał głuchy tupot łap. Ale było już za późno.

Rozległ się przerażający warkot, głęboki, gardłowy, i runął na niego wielki doberman, wbijając kły w kurtkę i dziko szarpiąc łbem, żeby rozedrzeć mu ramię. Kły przebiły skórę i przeszył go upiorny ból.

Stephen wierzgnął, kopnął, obrócił się w prawo, pociągając za sobą psa, skoczył w stronę uchylonych drzwi i trzasnął nimi ze wszystkich sił, raz, drugi, trzeci i czwarty. Pies wściekle zaskowyczał i wreszcie rozwarł kły.

Stephen wpadł do ciemnej sieni. Czuł się jak po zastrzyku adrenaliny. Sień, jeszcze ciemniejszy korytarz, smużka światła spod drzwi na końcu korytarza. Musiał stąd zwać, zanim nakryje go zaalarmowana hałasem służba. Jedne drzwi, drugie - było ich kilkoro i nie miał pojęcia, dokąd prowadzą. Trzecie ustąpiły i znalazł się na wąskich schodach. Ostrożnie, stopień po stopniu, zszedł do wilgotnej piwnicy.

Mimo ciemności zobaczył, że otaczają go setki butelek wina, reńskiego i mozelskiego. Przyciął się w niszy. Czekał.

Minęło kilka minut, a do piwnicy wciąż nikt nie schodził. Zerknął na zegarek: dwadzieścia minut po północy. Postanowił odczekać jeszcze godzinę. Do tego czasu Lana i von Schussler powinni już pójść spać, służba dopiero po nich. Przeszukiwanie obcego domu było zbyt ryzykowne.

Ale zegar tykał. Jeśli Kundrow załatwi to, co obiecał, pozostanie im nie więcej jak sześć godzin.

To za mało. Stanowczo za mało.

Rozdział 36

Godzinę później szedł mrocznymi korytarzami najwyższego piętra. Szybko stwierdził, że zamek zbudowano według typowo średniowiecznego planu. Na parterze były pomieszczenia dla służby. Na pierwszym piętrze kaplica i główna sala z gigantycznym stołem. Na drugim kwatery mieszkalne. Ale każde piętro było podzielone na kilka skrzydeł. Jedno z nich, z korytarzem wyłożonym tygrysimi skórami i ścianami obwieszonymi myśliwskimi trofeami, należało do von Schusslera. Metcalfe przeszedł nim cicho, mijając po drodze wielkie drzwi, pewnie do sypialni pana domu. Na końcu korytarza był zastawiony ciężkimi meblami gabinet z pełnymi książek półkami na ścianach.

Sąsiednie skrzydło należało do dzieci, ale to za nim, rzadziej używane, przeznaczono dla gości.

Tam musiała być Lana.

Wszystko, co wiedział o von Schusslerze i to, co dotąd zaobserwował, mówiło mu, że tu, w jego rodzinnej posiadłości, będą spali osobno, gdyż wymagała tego obłudna, baronowska przyzwoitość. Zresztą Lana najpewniej by na to nalegała.

Spod wypolerowanych na błysk drzwi sączyła się cieniutka smuga czerwonego światła - tak, to jej pokój. Lampa z abażurem, na abażurze chustka. Może czytała?

I czy na pewno była sama?

Pod drzwiami stała wyłożona tkaniną taca, a na niej kryształowa szklanka, srebrna karka i pusta szampanka. Obok szampanki leżała zmięta lniana serwetka.

Jedna szklanka, jedna szampanka jedna serwetka - Lana tam była i była sama.

Przekręcił mosiężną klamkę i powoli otworzył drzwi.

- Rudi? To ty?

Nie odpowiedział. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Pokój. Bogato rzeźbiona boazeria na ścianach, kasetonowy sufit, haftowane draperie. Lana siedziała wśród poduszek na wielkim łóżu z baldachimem i wyglądała tak promiennie jak wtedy, gdy pierwszy raz widział ją na scenie. W lekkim szlafroku z morelowego jedwabiu, z kruczoczarnymi włosami opadającymi kaskadą na łabędzią szyję, była po prostu cudowna, wspaniała. Zobaczyła go, głośno wciągnęła powietrze i pojaśniała jej twarz. Podbiegł do niej, a ona wyciągnęła ku niemu rękę.

- Stiwa, *zototoj!* - wykrzyknęła. - Myślałam, że już cię nie zobaczę!

- Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz. - Pocałował ją w usta, długo i namiętnie.

Gdy się odsunął, zobaczył, że Lana płacze.

- Jak tu wszedłeś? Jak przyjechałeś do Berlina? - Zniżyła głos do szeptu. - I po co?

- Słyszałem, że dzisiaj występujesz. Miałbym to przegapić?

- Nie. - Pokręciła głową, nie dając się zwieść jego udawanej beztrosce.

- Chodzi o te dokumenty. To coś poważnego, poznaję to po twoich oczach.

- Co się stało? - dodała z nagłym lękiem. - Jakies kłopoty?

Stephen nie mógł już kłamać. Okłamywał ją zbyt długo.

- *Daj ruczeńku.* - Ujął jej miękkie, pachnące ręce w obie dłonie i usiadł na brzegu łóżka.

- Nie możesz zostać w Moskwie - powiedział. - To zbyt niebezpieczne. Chcę, żebyś wyjechała za Zachód.

- Żebym uciekła. - Miała wielkie, błyszczące oczy.

- To ostatnia szansa. Nie wypuszczacie już z kraju.

- Stiwa, *moj ty gotubczik.* Już ci mówiłam: Rosja to moja *rodina*, moja ojczyzna. To po prostu ja.

- Rosja zawsze będzie twoją ojczyzną. Zawsze będzie częścią ciebie. I zawsze będziesz nosiła ją w sercu. To się nie zmieni. Ale tam będziesz przynajmniej wolna!

- Wolność... - zaczęła z goryczą.

- Nie, Lano, posłuchaj - przerwał jej Stephen. - Ty nie wiesz, co to wolność. Nie wie tego nikt, kto urodził się i wychował w więzieniu.

- „Jeśli ma się prawo do miłości - zacytowała - kamienne mury nie są więzieniem, a żelazne kraty klatką”.

- Ale ty nie masz prawa nawet do miłości!

- Mój ojciec...

- To też kłamstwo.

- Co ty mówisz?

- Nie ma żadnego spisku. Hitlerowcy podsunęli Rosjanom spreparowane „dowody”. Wiedzieli, że Stalin to paranoik, że wszędzie widzi zdrajców, więc sfałszowali listy, które pograżyły waszych najwyższych przywódców wojskowych.

- To niemożliwe!

- Nic nie jest niemożliwe, Lano, zwłaszcza dla kogoś o paranoidalnej wyobraźni. Twój ojciec może nienawidzić Stalina jak każdy zdrowy na umyśle człowiek, ale to nie znaczy, że przeciwko niemu spiskował.

- Wiesz o tym na pewno?

- Na pewno.

Uśmiechnęła się smutno.

- Byłoby miło pomyśleć, że jest teraz bezpieczny.

- Nie, wciąż żyje na kredyt.

- Pamiętasz, pokazywałam ci jego pistolety.

- Tak, te Puszkina.

- Tak. Powiedział kiedyś, że w tamtych czasach takie pistolety miało sto tysięcy ludzi. Ale wiesz, ile pojedynków wtedy stoczono? Najwyżej tysiąc. Posiadanie i przechowywanie pistoletów w widocznym miejscu miało na celu odstraszenie potencjalnych przeciwników, pokazanie im, że jest się gotowym do walki.

- Twój ojciec jest gotowy do walki?

- Nie, Stiwa - szepnęła. - On jest gotowy na śmierć.

Metcalfe kiwnął głową.

- To, że ktoś jest niewinny, nic nie znaczy - powiedział z wściekłością w głosie. - Nie w tym robotniczym raj. Machina terroru napuszcza jednego niewinnego na drugiego, w każdym domu umieszcza informatorów, którzy węszą, donoszą na innych, zarzucając im „zdradę”. Sąsiad nie ufa sąsiadowi, przyjacielowi, nawet kochance.

- Ale ja tobie ufam - szepnęła Lana. Policzki miała mokre od łez.

Metcalfe nie wiedział, co odpowiedzieć. Okłamywał ją, manipulował nią i na myśl o tym robiło mu się niedobrze. Niedobrze robiło mu się na myśl, że darzyła go zaufaniem, na które nie zasługiwał, że była taka dobra. Do oczu napłynęły mu łzy, gorące, palące łzy frustracji, gniewu i współczucia.

- Nie powinnaś - odrzekł z zamkniętymi oczami.

- Naprawdę tak uważasz? Co ten świat z tobą zrobił, Stiwa? Zabił w tobie całe zaufanie i wiarę? Ten piękny świat wolności? W takim razie czym różni się od mojego, od mojej złotej klatki?

- Lana, *milaja*, posłuchaj. Posłuchaj uważnie. Chcę ci powiedzieć... Chcę, żebyś poznała prawdę. Nieważne, co o mnie pomyślisz... Nie, to nieprawda, ważne. Ale nie chcę cię dłużej okłamywać i jeśli nawet prawda wszystko zburzy, niechaj tak będzie. Jeśli nawet padnie przez to nasza operacja, jeśli nawet nie zechcesz mnie potem widzieć, niechaj tak będzie. Nie mogę dłużej kłamać, mimo wszystko mam sumienie. Zasługujesz na dużo, dużo więcej.

Nie patrzyła na niego. Siedziała tuż obok i jakby się w sobie skurczyła. Jej ręka zrobiła się zimna i wilgotna. W nim też coś zlodowaciało, lecz nie był to chłód człowieka zubożonego. Była to beznamiętna oschłość człowieka samotnego i przestraszonego, człowieka, który czuł się jak zagubione dziecko.

- Chcę ci opowiedzieć o czymś, w co cię celowo wplątałem - zaczął. Dlaczego ja to mówię? - pomyślał. Dlaczego to robię? Przyszedł tu tylko po to, żeby namówić ją do ucieczki, do czegoś, co mogło uratować i ją, i operację „Wolfsfalle”. Ale coś w nim pękło i odczuł nagłą potrzebę wyjawienia prawdy kobiecie, bez której nie chciał żyć. - Te dokumenty... Powiedziałem ci, że przekonają Hitlera i jego ludzi, że Rosja ma pokojowe zamiary...

- Wiem. - Miała otwarte oczy, ale patrzyła na podłogę. Była bardzo znużona. - Stiwa, ja znam prawdę. Wiem, co w nich było.

- Czytałaś je.

- Oczywiście, że tak. Nie doceniasz mnie, *milenkij*. Rosja, która nie zagraża Niemcom, byłaby otwartym zaproszeniem do ataku. Ludzie tacy jak Hitler, i jak Stalin, gardzą słabością. Słabość nie jest dla nich żadną gwarancją. Słabość ich prowokuje. Gdyby Hitler myślał, że Rosja jest słaba, wysłałby swoje wojska na Moskwę i Leningrad, już dawno by nas zaatakował. Nie. Od wypowiedzenia nam wojny powstrzymuje go jedynie strach, że jesteśmy dla niego zbyt silni. Dobrze o tym wiem.

Stephen osłupiał. Chciał spojrzeć jej w oczy, ale wciąż patrzyła na podłogę.

- Chcicie doprowadzić do wojny między Hitlerem i Stalinem - mówiła. - Taki jest wasz prawdziwy cel. Te dokumenty mają udowodnić, że Stalin zamierza zaatakować pierwszy. Jeśli Hitler w to uwierzy, nie będzie miał wyboru.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Boże - szepnął. - Wiedziałas o tym od samego początku.

- I od początku byłam za, Stiwuszka. To odważne i niebezpieczne, ale i błyskotliwe. To jedyna nadzieja. Jeżeli Hitler zaatakuje nas, myśląc, że jesteśmy słabi, wykopie sobie grób. Tak, Stiwa, wiedziałam od samego początku.

- Jesteś piękną kobietą, najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek poznałem. Ale i najbardziej niezwykłą.

- W takim razie powiedz mi - odparła poważnie. - Musisz powiedzieć mi prawdę. Czy NKWD wie, że przekazywałam Niemcom tajne dokumenty wojskowe? Po to tu przyszedłeś? Żeby mnie ostrzec?

- Nie, NKWD nic jeszcze nie wie, ale na pewno się dowie, to tylko kwestia czasu. Abwehra, niemiecki wywiad wojskowy, ma kreta na Łubiance. Wpadną na to prędzej czy później, i...

- Kreta?

- Szpiega, wtyczkę. Kogoś, kto dla nich pracuje, kto przekazuje im informacje.

- Boże, szpiegdy szpiegują szpiegów!

- Tak. Te dokumenty... Niemcy zaczynają podejrzewać, że za łatwo im poszło. Że posłali im ludzie Stalina.

- I ten z Łubianki, ten kret, może nabrać wątpliwości co do mnie.

- Tak, to możliwe. W każdej operacji, w której bierze udział więcej niż dwie osoby, zawsze istnieje niebezpieczeństwo przecieku. Zawsze istnieje ryzyko.

- Ale nie to najbardziej cię niepokoi. Najbardziej boisz się o powodzenie operacji.

- Boże, masz mnie za potwora.

- Nie jestem dzieckiem. - Gwałtownie podniosła wzrok. Miała szeroko otwarte oczy i zaciekły wyraz twarzy. - Do tej pory powinieneś już o tym wiedzieć. Obydwoje rozumiemy, co jest ważne. Obydwoje wiemy, że los świata jest ważniejszy niż życie zwykłej baletnicy.

Metcalf'e'a zmroziło.

- Może to zbyt wiele - odrzekł łagodnie - ale chcę uratować i ciebie, i naszą operację.

- To niemożliwe.

- Możliwe. Kundrow.

- Kundrow? Co Kundrow?

- Jeśli tylko się zgodzisz, złożę na ciebie donos.

- Jak to? Nie rozumiem.

- Zamelduje o swoich podejrzeniach. Córka słynnego rosyjskiego generała przekazuje tajne materiały wojskowe swojemu kochankowi, niemieckiemu dyplomacie. W Moskwie rozpęta się burza, sprawa trafi na samą górę. GRU dogada się z NKWD i natychmiast zostaną wydane rozkazy.

Zrozumiała. Przerażona uświadomiła sobie całą potworność tej intrygi. Kiwnęła głową.

- Aresztuj mnie i Niemcy dowiedzą się o tym od kreta z Łubianki. Jego meldunek przekona ich, że to nie podstęp, że dokumenty są autentyczne. - Wzruszyła ramionami. - Jeśli miałyby to oznaczać koniec Hitlera, śmierć zwykłej tancerki jest tego warta. - Chciała powiedzieć to obojętnie, lecz nie potrafiła ukryć napięcia i strachu.

Metcalf chwycił ją obiema rękami i zwrócił ku sobie jej twarz. -Nie! Nie zamierzam cię poświęcać!

- Sama się poświęcę - odparła chłodno Lana.

- Nie, posłuchaj! Nikt cię nie aresztuje, rozumiesz? Wiesz, jak to wszystko działa. NKWD nie aresztuje cię w Niemczech. Zwabią cię do domu, każą ci natychmiast wracać. Powiedzą, że chodzi o coś pilnego. Może o coś w związku z twoim ojcem. Użyją jakiegoś pretekstu, podstępu. Wsadzacie do pierwszego pociągu do Moskwy i aresztują dopiero wtedy, gdy tam przyjedziesz.

- Tak, to prawda - przyznała. - Tak to robią.

- Ale ty do tego pociągu nie wsiądziesz, ty uciekniesz! Pomyślą, że dostałaś cynk, że cię uprzedzono, że domyśliłaś się prawdy i postanowiłaś uciec. Że wybrałaś życie, rozumiesz? To bardzo logiczne.

- Ale niby jak miałabym uciec?

- Powiedz tylko słowo i zadzwonię do Szwajcarii. Brytyjskie siły specjalne i RAF mają małe, lekkie samoloty, jednopłaty, lysandery, z których zrzucają agentów na zajęte przez Niemców tereny. Czasami ich stamtąd ewakuują.

- Latają w niemieckiej przestrzeni powietrznej?

- Znają rozmieszczenie dział obrony przeciwlotniczej, znają jej możliwości. Latają bardzo nisko i szybko, tak że Niemcy nie mają czasu zareagować. Wykonali mnóstwo takich lotów. Najważniejszy jest czas. Tego rodzaju operacja wymaga idealnego zgrania. Jeśli zażądaj samolotu, musimy być gotowi i skierować go na lądowisko pod Berlinem. Jeżeli zawalimy, samolot nawet nie wylądowuje. Zrobi kółko i wróci na lotnisko Tensford w Bedfordshire. Okno się zamknie.

- Okno?

- Kiedy Kundrow wyśle meldunek do Moskwy, będziemy mieli tylko jedną, jedyną szansę. Jeżeli ją przegapimy, dopadnie cię NKWD. Nie mogę do tego dopuścić.

- A Kundrow?

- Już to obgadaliśmy. Załatwia swoje. Muszę tylko zadzwonić do Berna i kiedy wyślą samolot, Kundrow powiadomi Moskwę. Moskwa nawiąże kontakt z enkawudzistami, którzy są tutaj, w Berlinie. Machina pójdzie w ruch i nikt jej już nie zatrzyma. Nie będzie odwrotu.

- Ufasz mu?

- Zadał mi to samo pytanie. Uratował nam życie, tobie i mnie. - Stephenowi przypomniała się ich rozmowa, to, że Kundrow chciał uciec na Zachód. - Mam też inne powody, żeby mu ufać. Ale posłuchaj, wszystko zależy od ciebie.

- Tak.

- Dlatego dokładnie to przemyśl. To ryzykowne, ale bardziej ryzykowny jest twój po-

wrót do Moskwy, bo tam od razu cię aresztują.

- Powiedziałam tak, Stiwa.

- I zdajesz sobie sprawę, że to może nie wypalić?

- Mówiłam, nie jestem dzieckiem. W życiu nie ma gwarancji. W moim świecie też nie. Już nie. Zostawiam tam ojca i pęka mi serce. Ale pożegnałam się z nim ostatni raz, tak jak robię to co rano. Dlatego mówię „tak”.

Zamilkli.

- Muszę wykonać dwa telefony - powiedział po chwili Metcalfe. - Jeden do Kundrowa. - Wyjął z kieszeni skrawek papieru z numerem budki telefonicznej w Berlinie. - Drugi do Szwajcarii. Von Schussler jest dyplomata i MSZ założyło mu na pewno międzynarodową linię telefoniczną.

- Telefon jest w gabinecie. Zaraz po przyjeździe dzwonił do Moskwy, do ambasady.

Stephen zerknął na zegarek; stwierdził, że ostatnio robi to coraz częściej.

- Dobrze. Mamy pięć godzin, nawet mniej. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, kiedy zadzwonię do Kundrowa, on natychmiast zadzwoni do Moskwy. Od tej pory wszystko potoczy się bardzo szybko, Kundrow tego dopilnuje. Ktoś do ciebie zatelefonuje, najprawdopodobniej w ciągu godziny, ktoś z NKWD. Poda się za kogoś z twojego teatru, za kogoś, o kim nigdy nie słyszałaś. Powie, że twój ojciec nagle zachorował, że jako jego prawna opiekunka musisz natychmiast wracać do kraju. Każe ci pojechać na Ostbahnhof i wsiąść do pociągu Bruksela-Moskwa, który odjeżdża z Brukseli o 19.30 i zatrzymuje się w Berlinie dwie minuty po czwartej rano.

- A potem?

- Potem Kundrow przyjedzie tu i zabierze cię na lądowisko. To opuszczony plan zdjęciowy pod Berlinem, z którego Niemcy zrobili atrapę miasta, żeby zmylić alianckie bombowce i odciągnąć je od Berlina. Jest tam duży plac, lysander bez trudu na nim wylądować. Nikogo tam nie ma, to najbezpieczniejsze miejsce w promieniu sześćdziesięciu kilometrów od miasta. Teraz uważaj: żeby plan wypalił, samolot może wystartować dopiero po tym, gdy zadzwonią do ciebie z NKWD, ale na długo przed twoim wyjazdem na Ostbahnhof. Niemcy i Rosjanie wszystko sprawdzają, wszystko musi być wiarygodne. Musi to wyglądać tak, że kiedy do ciebie zadzwonili, zaczęłaś coś podejrzewać i skontaktowałaś się ze swoim prowadzącym...

- Z kim?

- Z człowiekiem, dla którego pracujesz. Przepraszam. To określenie z mojego świata.

- Ale skąd wiesz, że uda ci się tak szybko załatwić samolot?

- Ci ludzie mają wielkie wpływy. Jeżeli okaże się, że nie, że teraz to niemożliwe, trochę odczekamy. Kundrow zadzwoni do Moskwy dopiero wtedy, gdy Berno załatwi dla nas samolot.

Lana zmarszczyła czoło.

- A jeśli Niemcy przechwycą go albo zestrzelą, a NKWD wyda już rozkaz aresztowania? Co wtedy?

Stephen westchnął.

- Nie lubię tak myśleć.

- Trzeba być przygotowanym na najgorsze.

- Czasami nie ma wyboru. Czasami pozostaje tylko nadzieja.

- To bardzo beztroskie. Tu chodzi o czyjeś życie, może nawet o los świata.

- Nie ma w tym nic beztroskiego, Lano. Jestem Amerykaninem, a więc optymistą. - A ja Rosjanką, a więc pesymistką. Tylko jedno z nas może mieć rację.

- Kochanie, niedługo ty też będziesz Amerykanką. Posłuchaj, czas ucieka, a my siedzimy tu i gadamy. Musimy działać, i to szybko. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, jutro o tej porze oboje będziemy tam, gdzie nareszcie będziesz naprawdę wolna.

Rozdział 37

Metcalf stał przy drzwiach, przy tych samych, którymi wszedł do zamku, i wypatrywał psów. W pobliżu ich nie było; pewnie wróciły na swoje miejsce, pod bramę i pod otaczający posiadłość mur. Gestapowskie patrole też zniknęły. Umknął im i pewnie dostali inne zadanie. Wystarczyło kilka skoków - wpadł do wiaty i nie zapalając światła wymacał wiszące na ścianie kluczyki.

Silnik odpał cichutko, prawie niesłyszalnie. Stephen wyjechał na podjazd i skręcił w stronę zamkniętej bramy. Przed bramą stanął. Świecąc żółtymi ślepiami, z ciemności wychyły psy, owczarki i pinczery. Stały, patrząc na daimlera i ostrzegawczo powarkowały. Nie wiedziały, co zrobić, bo chociaż rozpoznały samochód, nie rozpoznały kierowcy. Ale gdyby Metcalfe wysiadł, żeby otworzyć bramę - nawet zakładając, że otworzyłby ją szybko - momentalnie by go zwęszyły, uznały za intruza i zaatakowały. Gdyby zaś dobył broni, strzały zaalarmowałyby służbę, może nawet samego von Schusslera.

Otoczyły wóz, węsząc, skamląc i warcząc. Były zaciekawione, zaskoczone widokiem i zapachem obcego kierowcy w znajomym samochodzie. Początkowo było ich pięć, zaraz potem sześć, a wszystkie stały czujnie i przeszywały go wzrokiem.

Impas. Pat. W każdej chwili mogły zacząć czekać i obudzić służących. Żeby otworzyć bramę, musiał wysiąść z samochodu. Nie miał wyjścia, a zegar tykał. Operacja już trwała i nie można było jej przerwać. Czas. Czas uciekał coraz szybciej!

Kątem oka dostrzegł coś błyszczącego.

Cienki, metaliczny cylinder na desce rozdzielczej. Gwizdek.

Gwizdek na psy.

Należał do szofera. Przed kilkoma godzinami Stephen widział, jak przywołuje je nim do porządku. Wziął go i mocno dmuchnął. Gwizdek wydał tylko cichy syk, lecz syk ten był dźwiękiem o wysokiej częstotliwości, słyszalnej jedynie przez psy.

Nagle przestały warczeć. Odeszły od samochodu i posłusznie usiadły.

Ściskając gwizdek w rękę, na wypadek, gdyby go jeszcze potrzebował, Metcalfe ostrożnie otworzył drzwiczki. Wysiadł, podszedł do bramy i z ulgą zobaczył, że w zamku tkwi wielki, żelazny klucz. Sforsowanie zamka byłoby proste, ale straciłby co najmniej pięć minut.

A potrzebował dosłownie każdej.

Zerkając na plan Berlina, który dostał od Chipa Nolana, jechał szybko, lecz czujnie i ostrożnie, żeby nie zatrzymała go przypadkiem Orpo, Ordnungspolizei.

Jechał i przepowiadał sobie w myśli to, co ustalił z Corcoranem i Kundrowem. Zwykle niespeszony Corky zdziwił się, słysząc jego głos.

- Jezu Chryste - wykrzyknął. - Dzwonisz z prywatnego gabinetu Fuhrera, czy co?

Na jego prośbę zareagował długim milczeniem. Stephen myślał, że będzie miał sto zastrzeżeń, lecz ku jego zaskoczeniu nie miał żadnych. Nie zwymyślał go nawet za to, że obudził go w środku nocy. Powiedział tylko jedno:

- To nie to samo co wezwać taksówkę, Stephen. Nie wiadomo, jakie są warunki pogodowe, jaka widzialność... - Odłożył słuchawkę i wrócił dopiero po kilku minutach. - Lysander wystartuje natychmiast z bazy w Tangmere nad kanałem i będzie na miejscu o trzeciej nad ranem. Nie masz pojęcia, za ile sznurków musiałem pociągnąć, żeby to załatwić. - Podał mu niezbędne wskazówki i dokładne namiary punktu ewakuacyjnego.

Zaraz po rozmowie z Corcoranem Metcalfe zatelefonował do Kundrowa. Rozmawiali tylko chwilę; obydwaj wiedzieli, co robić.

- Dzwonię do Moskwy - powiedział Rosjanin. - Ale kiedy zadzwonię, nie będzie można tego odkręcić. Nie będzie powrotu.

Dojechawszy na miejsce, Stephen przeżył lekki szok. Corky go uprzedził, lecz rzeczywistość przerosła wszelkie oczekiwania.

Był to olbrzymi kompleks budynków ustawionych w podkowę wokół wielkiej, trawiastej łąki. Pośrodku wznosiło się coś w rodzaju gigantycznego, betonowego hangaru z dachem z falistej blachy, a po jego obu stronach stały mniejsze ceglane budynki. Z kominów unosił się dym. Między budynkami dostrzegł cysterny i beczki na odpady. Przypominało to zakład przemysłowy, olbrzymią fabrykę amunicji.

Tymczasem był to plan zdjęciowy. Nie licząc betonowego hangaru, wszystkie budynki były atrapami, beczki, cysterny i ciężarówki najpewniej też.

Mieściło się tu kiedyś wielkie studio filmowe, które hitlerowcy skonfiskowali i przekształcili w miasto-cel. W ciągu kilku ostatnich miesięcy architekci Hitlera wzniesli w Niemczech kilkadziesiąt takich „miast”, w tym piętnaście wokół samego Berlina. Podobno zaczerpnęli ten pomysł od Brytyjczyków, którzy podczas bitwy o Anglię zbudowali z dykty i falistej blachy pięćset obiektów imitujących cele dla nieprzyjacielskich bomb. Ten strategiczny wybieg okazał się wielkim sukcesem i faszyci stracili dużo cennego czasu i amunicji, siejąc tym samym mniej zniszczeń w prawdziwych miastach.

Starożytny taktyk, Chińczyk Sun Tzu, powiedział: „Każdą wojnę wygrywa podstęp” i faszyci potraktowali tę zasadę z całą powagą. Lietzensee, jezioro między Kurfurstendamm i Kaiserdamm w Berlinie było świetnym punktem orientacyjnym dla bombowców, które obrały sobie za cel centrum miasta, dlatego Luftwaffe próbowało zmylić nieprzyjacielskie radary, spuszczając na wodę zabudowane drewnianymi obiektami gigantyczne tratwy, które z góry wyglądały jak budynki mieszkalne. Uliczne latarnie przebrano za świerki, wzdłuż Charlottenberger Chaussee, od Tiergarten do Bramy Brandenburskiej, rozciągnięto siatki maskujące, które imitowały las. W pobliżu dworca Ostkreuz S-Bahn wzniesiono z dykty budynki rządowe, żeby piloci alianckich samolotów zwiadowczych myśleli, że to Wilhelmstrasse.

Ale żadna atrapa nie dorównywała przemyślnością tej.

Studio Brandenburskie założono w 1912 roku, gdy niemiecki przemysł filmowy przeżywał swój rozkwit i był poważnym rywalem Hollywoodu. Pracowały tu tak legendarne gwiazdy, jak Marlena Dietrich i Pola Negri, tak utalentowani reżyserzy, jak Fritz Lang i Ernst Lubitsch. Gdy do władzy doszli faszyci, przejmując kontrolę nad produkcją filmów i wyrzucając na bruk wszystkich nie-Aryjczyków, Studio Brandenburskie, w którym kręcono kiedyś westerny i biblijne eposy, wypadło z interesu. Olbrzymią halę dźwiękową, mieszczącą się w betonowym hangarze, zamieniono na magazyn i wypełniono rekwizytami oraz dekoracjami, których przez prawie dwadzieścia lat działalności studia zebrały się tony. Poustawiano je i dano im spokój. Zagrały w tylu klasycznych niemieckich filmach, a teraz gromadził się na nich kurz.

Ale po obu stronach hali specjaliści od kamuflażu z Luftwaffe zbudowali szereg ceglanych budynków, przekształcając to miejsce w zdumiewająco wierną kopię zakładu zbrojeniowego. Przekonujący był nawet sztucznie wytwarzany dym idący z kominów, który miał przykuwać uwagę nieprzyjacielskich lotników. Złudzenie było doprawdy niesamowite.

Okolicę tę wybrano nieprzypadkowo, gdyż w pobliżu znajdowało się mnóstwo niemieckich zakładów przemysłowych, takich jak Kraftwerk West Siemens, kompleks fabryk AEG, fabryki sprzętu radiotelekomunikacyjnego Telefunkena, zakłady zbrojeniowe Alkett czy wytwórnia silników Maybacha. Berlin był otoczony fabrykami, które przez dwadzieścia cztery godziny na dobę wytwarzały pokarm dla hitlerowskiej maszyny wojennej.

Podobnie jak w innych tego typu kompleksach, nikogo tu oczywiście nie było, dlatego w całym Berlinie nie znaleźliby bezpieczniejszego miejsca na ewakuację. Co ważniejsze, była tam również pokryta śniegiem łąka o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych, niegdyś

składowisko albo parking. Mały lysander mógł tam swobodnie wylądować i wystartować - potrzebował nie więcej jak dwieście metrów rozbiegu.

Świecił księżyc w trzeciej kwadrze. Na szczęście, pomyślał Metcalfe. Dla nas i dla pilota. Maszyny zwiadowcze RAF-u wykonały setki dokładnych zdjęć Berlina i wywiad brytyjski dobrze to miejsce znał. Ostatecznie od sierpnia angielscy lotnicy wykonali ponad czterdzieści misji bojowych, a każdy następny nalot był precyzyjniejszy i skuteczniejszy.

Mimo to, żeby ewakuacja przebiegła bez zakłóceń, musieli postępować według ustalonych zasad. Corcoran wysłał mu Chipa Nolana do pomocy. Nolan miał przywieźć niezbędny sprzęt, łącznie z latarkami, którymi musieli nadać Morse'em sygnał, że można lądować, że teren jest czysty. Gdyby go nie nadali, pilot lysandera przeleciałby nad nimi i wrócił do Anglii. Nolan miał również przywieźć flary, pewnie z tajnych magazynów antyfaszystowskiego ruchu oporu w Berlinie. Według poleceń Corcorana musieli rozstawić je na lądowisku w kształt wielkiej litery L, żeby pilot mógł posadzić maszynę przy pierwszej z nich i następnie, sto pięćdziesiąt metrów dalej, a więc przy ostatniej, zawrócić przed startem. Miał nie wyłączać zapłonu - istniało zbyt duże ryzyko, że silnik nie odpali. Założyli, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, maszyna spędzi na ziemi nie więcej jak trzy minuty.

Jednakże wraz z upływem czasu założenie to robiło się coraz mniej prawdopodobne. Zbyt dużo mogło pójść nie tak, zbyt dużo zależało od ludzi i zgrania w czasie.

Kompleks otaczało niskie ogrodzenie, które postawiono nie ze względów bezpieczeństwa, tylko dla pozorów. Metcalfe wjechał na teren jedną z otwartych bram i zaparkował przed betonową halą dźwiękową.

Upewniwszy się, że nie ma tam żadnych nieoczekiwanych gości, wysiadł i ruszył w stronę wejścia, gdzie miał czekać na Nolana. Po drodze minął jeden z mniejszych budynków. Nawet z odległości kilkunastu metrów malowana dykta była ładząco podobna do cegły, a namalowane na niej rzędy okien jeszcze bardziej to złudzenie potęgowały. Ściany, dach, wycięte w dykcie drzwi, kilka wyciętych w niej okien - wrażenie było niezwykle realistyczne.

Stephen spojrzął na zegarek. Chip powinien już tu być.

Obszedł halę i stanął przed wychodzącymi na lądowisko drzwiami. Z wnętrza hangaru dobiegł go czyjś głos. Nolan.

Z drewnianą skrzynką w rękach, stał przed zdumiewająco wierną repliką berlińskiej ulicy. Brukowana jezdnia, długi rząd dziewiętnastowiecznych domów, skrzynka pocztowa, latarnie, uliczna kawiarenka - Stephen natychmiast rozpoznał dekoracje do jednego z klasycznych filmów z Marleną Dietrich.

- Jesteś - zawołał. - W samą porę. Cieszę się. To nie będzie łatwe.

Rozejrzał się wokoło z nieukrywanym podziwem. Hangar był wielki jak hala dworcowa, lecz ciasno zastawiony rekwizytami i fragmentami dekoracji. Niektóre z nich leżały w stertach, niektóre stały w długich rzędach, jeszcze inne poniewierały się na podłodze, jakby w jednej chwili przerwano produkcję kilkunastu filmów naraz. Zobaczył rząd pomalowanych ekspresjonistycznie niemieckich domów z powykrzywianymi na wszystkie strony oknami - mogły pochodzić z klasycznego niemego filmu *Gabinet doktora Caligari*. Tuż obok ujrzał wewnątrz wytwornego manhattańskiego apartamentu. Miniaturowy szwajcarski domek na tle malowanych Alp. Fronton piekarni z gotyckim napisem *KONDITIONE* na szybie i sztucznym pieczywem na wystawie. Dachy Londynu były prawie naturalnej wielkości. Chip uśmiechnął się skromnie.

- Wiesz, co powiadają w Biurze. Czy to śnieg, czy deszcz, czy błyskawice... Nie, chwila, to poczta. - Postawił skrzynkę. Miał ciepło, lecz czujne oczy.

- Wszystko jedno, dobrze, że jesteś.

- Coś ty. Ten Corky i jego zasady. Jasne, trzeba ich przestrzegać, ale czasami to cholernie niebezpieczne.

Metcalfe wzruszył ramionami.

- Bywa.

- Wiesz, centrala poinformowała mnie o tej akcji dopiero godzinę temu. Rzecz w tym, że martwi mnie operacyjna szczelność. Ktoś tu sypie, tak myślę. I to ktoś z najwyższego szczebla.

- Wpadłeś na to dopiero teraz? Po tym, jak Corky stracił... – Stephen urwał. Corcoran zabraniał rozpowszechniania tajnych informacji nawet wśród najbliższych współpracowników. - Słuchaj, chcesz mi coś powiedzieć? To wal, byle szybko. - Zerknął na zegarek, próbując wyliczyć, gdzie może być teraz lysander. Nerwy miał napięte jak postronki.

- Nie, nie, zaszło małe nieporozumienie - odrzekł Nolan. - Myślę, że to ty masz coś do powiedzenia mnie.

- Nie rozumiem.

- Gdybyśmy wymienili się informacjami, moglibyśmy ustalić wiele ciekawych rzeczy, ty i ja. Na początek powiedz mi, co robisz w Berlinie?

- Chyba wiesz. - Stephen zatoczył ręką łuk. - Ewakuacja.

- Tak, ale dlaczego?

- To skomplikowana sprawa, poza tym nie ma czasu na gadanie. Powiedzmy, że chodzi o rosyjskiego informatora.

- Aha, o rosyjskiego informatora. - Nolan podszedł krok bliżej. Miał ponurą i skupioną twarz. - Ty go prowadzisz?

Metcalfę wzruszył ramionami. Czuł się coraz bardziej nieswojo.

- W pewnym sensie.

- A może to Rosjanie prowadzą ciebie?

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Muszę wiedzieć, co ci powiedzieli, przyjacielu - odparł spokojnie Nolan.

- Nie rozumiem. - Stephen nie próbował nawet ukryć konsternacji.

Chip obserwował go z kamiennym spokojem. Metcalfe dobrze znał ten wyraz twarzy. Był to wyraz twarzy doświadczonego śledczego, zawodowca, który wie, jaką moc ma wyczekujące milczenie.

- Posłuchaj, stary. Widziałem cię z twoim przyjacielem z GRU. Z Kundrowem, tak? Przed operą. Myślisz, że nie wiem, że z nim współpracujesz?

- Ja z nim? Co ty bredzisz? To on współpracuje z nami! Pomaga nam, cholernie ryzykuje!

Nolan roześmiał się szyderczo.

- Znasz tę opowieść o facecie, który na szczycie ośnieżonej góry znalazł grzechotnika? Grzechotnik mówi: „Marznę tu i umieram z głodu. Znieś mnie na dół, a obiecuję, że nigdy cię nie ukąszę. Nie jestem taki jak inne grzechotniki”. Facet go zniósł. Gdy tylko zszedł do doliny, grzechotnik ugryzł go w tyłek. „Przecież obiecałeś!”, krzyczy facet. A grzechotnik na to: „Jak to? Nie wiedziałeś, kim jestem?”

- Lubię przyrodnicze przypowieści, ale jeśli nie rozstawimy tych flar, i to natychmiast...

- Chcę tylko powiedzieć - przerwał mu Nolan - że nikomu nie można ufać. Wszystko ma swoją przyczynę, a przyczyną tą jest zawsze manipulacja. Chęć zasiania niepokoju. Obracania ludzi przeciwko sobie. - Zamilkł. - No więc? Co ci o mnie powiedział?

- Kto? - Konsternacja ustąpiła miejsca złości. Metcalfe po raz setny spojrzął na zegarek.

- Kundrow? Nic. Nie rozmawialiśmy o tobie, bo niby po co? - I w tym momencie przypomniał sobie jego słowa: „Skądś go znam. Widziałem gdzieś tę twarz. Może u nas, w albumie ze zdjęciami”.

- Po nic, ot tak sobie - odparł spokojnie Nolan. - Hej, jestem tylko szpiegiem. „Patrz, a zobaczysz”, nie?

- Jeśli myślisz, że to ja jestem wtyka, to oszalałeś. Jasne?

- Spokojnie, staruszkule, spokojnie. - Przez kilka sekund Nolan sondował go wzrokiem, a potem z uśmiechem puścił do niego oko, jakby nagle wyzbył się wszystkich podejrzeń. - Po prostu musiałem spytać.

- Pomożesz mi czy nie? - wycedził z wściekłością Metcalfe.

- Ale z drugiej strony sztuka szpiegowania polega na tym, że każe się komuś odwalić brudną robotę w taki sposób, że ten ktoś nie zdaje sobie z tego sprawy. Rosjanie są w tym mistrzami. Dobra, powiem ci. Kilka tygodni temu wpadliśmy na trop pewnej siatki szpiegowskiej. Ogromnej, piekielnie szczelnej. Działa w całej Europie, a nawet w Stanach, co podważa integralność naszej polityki zagranicznej. To tak, jakby nad Waszyngtonem pojawił się nagle niemiecki sztukas, a nawet gorzej.

- Chryste, Chip, jesteś tego pewny?

- Bankowo. Ale powoli ją rozgryzamy. Powoli zwijamy. Odcinamy im łby jednemu po drugim. Poznajemy nazwisko kolejnej wtyczki i od razu ją kasujemy. Nie ma co się opierać, za wysoka stawka. To sieć wysoko postawionych Amerykanów i Europejczyków. Wielu z nich pochodzi ze starych, szacownych rodzin, wielu z wewnętrznych kręgów władzy. Ci faceci dokonali nie lada wyczynu.

- Ale jeśli to robota Sowietów...

- Tego nie powiedziałem. Sowietom nie musieli nic robić. Pamiętaj, co mawiał Lenin: „Kto na tym skorzysta?” Jeśli to dobry interes, nie ma znaczenia, kto rządzi.

- Jak to możliwe, że Corky nic o tym nie wie?

- Może sam do niej należy. - Nolan ponownie puścił do niego oko i podszedł krok bliżej. - Może należysz do niej i ty.

Stephenowi krew zadudniła w uszach.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, że bredzisz jak w malignie? Nie ma czasu na paranoidalne fantazjowanie. A jeśli znowu najdzie cię ochota narzucanie niedorzecznych oskarżeń, lepiej...

- Ale musisz przyznać, że mam oczy i uszy otwarte. Znam się na tym. Wierz mi, mam dojścia, o jakich ci się nie śniło. Rosjanie łamią kod, który według moich kumpli z Sicherheitsdienst jest nie do złamania, i GRU natychmiast przysłała tu faceta, żeby mnie wybałał. Zaraz potem dzwonił do Corky'ego, który z kolei dzwoni do mnie i pod jakimś niedorzecznym pretekstem każe mi przyjechać tu z latarkami i flarami. - Powoli pokręcił głową i uśmiechnął się z niesmakiem. - Przykro mi, stary, ale ja tego nie kupuję. Corky może wciskać kit każdemu, ale nie mnie. Postawmy sprawę jasno, James. A może raczej... Stephen?

„Według moich kumpli z Sicherheitsdienst”, powtórzył w myśli jak rażony gromem Metcalfe. I raptem go olśniło. Nolan był zdrajcą. To on sypał, od samego początku.

- Jezu Chryste! To ty! To ty ich sypnąłeś! - Zakręciło mu się w głowie.

W rękę Nolana zmateriałizował się nagle pistolet, colt czterdziestkapiątka. Celował dokładnie w jego czoło.

Zadzwonił telefon, głośno i natarczywie.

Leżąc w łóżku, Lana Baranowa popatrzyła na aparat, bojąc się podnieść słuchawkę. Wiedziała, kto dzwoni i to przerażało ją jeszcze bardziej.

Po trzech dzwonekach telefon umilkł; pewnie odebrał go służący. Lana zadrżała. Była spakowana i gotowa do drogi.

Po chwili ktoś zapukał do drzwi.

- Tak?

Drzwi otworzyły się powoli i w progu stanął Eckbert, jeden z lokajów Rudiego. Był w szlafroku i miał nieuczesane włosy.

- *Entschuldigen Sie, Madame* - powiedział. - Przepraszam, że przeszkadzam, ale to pil-

ny telefon.

- Paryż... Niemcy nie mogli namierzyć ich sami. Roger Martin... Amos Hilliard... To ty!
- Serce waliło mu jak młotem.

Rumiana twarz Nolana błyszczała od potu. Jego szare, zażawione oczy były zupełnie puste.

- Przeceniasz mnie, James. Ja tylko naprowadzam tych z SD. Wskazuję im drogę, podaję nazwiska i namiary. A samo sprzątanie? Mają swoich czyścicieli.

- Sprzątanie... - powtórzył Metcalfe. Stał przed oczami potworny widok uduszonego garotą Martina. Widok Amosa Hilliarda. Dereka Comptona-Jonesa, Johnny'ego Bettsa. Zalała go fala gniewu. Spojrzał w lufę pistoletu. Jakby patrzył w dzikie, czarne oko. Przeniósł wzrok na Nolana. Jego oczy wyglądały jak otwory dwóch dodatkowych luf. - Odlóż to, Chip - powiedział.

- Patrioci muszą czasem dokonywać paskudnych wyborów – odparł Nolan. Colt ani drgnął. - Świat jest podły. Trzeba wybierać, po czyjej jest się stronie.

- Po czyjej jest się... stronie? - wybuchnął Metcalfe. - A ty jesteś po czyjej? Po stronie faszystów? Hitlera?

- Realistów, panie kolego. Po stronie silniejszej Ameryki. Miałbym popierać miękki socjalizm państwa dobrobytu, w jakie próbuje przekształcić Amerykę Roosevelt i jego proso-wieccy politykierzy od Nowego Ładu?

O nie. Widzisz, Metcalfe, ty jesteś ślepy. Nie widzisz, co się wokoło ciebie dzieje i może dlatego nie potrafisz stawić czoła brutalnym faktom. Na liście płac Waszyngtonu są tysiące komuchów i Roosevelt o tym wie. I co mówi? „Niektórzy z moich najlepszych przyjaciół są komunistami”. Kto jest jego najbliższym doradcą?

- Harry Hopkins. Odlóż broń, Chip.

- Właśnie, Harry Hopkins. Słynny sowiecki agent, bardzo wpływowy gość. Praktycznie mieszka w Białym Domu. Większość członków trustu mózgow Roosevelta nosi w kieszeni legitymacje Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. Potulne przydupasy Stalina. „Wujaszka warto znać”, mówią. Co zrobił Roosevelt zaraz po objęciu urzędu? Uznał Związek Radziecki, zalegitymizował bandziorów, którzy ukradli Rosję, bolszewików, którzy nie ukrywają, że chcą rozprzestrzenić komunizm na cały ten pieprzony świat! A. Roosevelt i jego czerwoni towarzysze chcą ten świat podać im jak na tacy, zrobić z nas niewolników, ustanowić w Moskwie ogólnoswiatowy rząd. Ale ty tego nie rozumiesz, nie widzisz, co?

- Rozumiem i widzę jedno: jesteś zwykłym faszystą- odparł spokojnie Metcalfe.

- To tylko słowo - warknął Nolan. - Narodowi socjaliści, naziści, faszyści, nazywaj ich jak chcesz, ale módl się, żeby przyszłość należała do nich. Zgadzasz się z Hitlerem czy nie, musiałbyś być ostatnim głupcem

I ślepcem, żeby nie widzieć, jak przejął rządy w tym zepsutym, cuchnącym zgnilizną kraju opanowanym przez Żydów i komunistów i jak przekształcił ten kraj w mocarstwo, w największą potęgę w Europie.

- Tyrania jest tym, czym jest.

- Nie, przyjacielu. Tyranią jest to, co sowieckie hordy robią w Rosji, ludobójstwo, którego się dopuszczają. Powiedz mi coś: czy to twoi bogaci rodzice wychowali cię na komuszkę, czy przekabacili cię kumple z Yale?

- A więc o to chodzi - odparł z uśmiechem Stephen. - Masz mnie za komunistę.

- Nie, ty nie jesteś komunistą, Metcalfe. Wiesz, kim jesteś? Takich jak ty Lenin nazywał pożytecznymi idiotami. Tych wszystkich głupich prosowieckich apologetów i lizusów, którzy mieszkając na Zachodzie, bronili Międzynarodówki bez względu na to, jak bardzo była brutalna. A teraz wszyscy ci pożyteczni idioci próbują wciągnąć nas w wojnę z narodem,

który nam nie zagraża. Żeby miliony amerykańskich chłopców zginęły za oceanem w imię Europy wolnej od wujaszka Stalina.

- „Z narodem, który nam nie zagraża”? Mówisz o faszystowskich Niemcach? O Trzeciej Rzeszy, której czołgi przetoczyły się już przez Francję, Polskę, Norwegię, Danię, Holandię...

- *Lebensraum*. Przestrzeń życiowa. Chyba tego nie zauważyłeś, ale wujaszek Stalin przejmuje działkę po działce, grabi na lewo i prawo, tym czasem my urządzamy pojedynki na spójrzienia z Hitlerem. Stalin zajął już Finlandię i Litwę, Łotwę, Estonię i dużą część Polski. A wojna dopiero się zaczęła. Rooseveltowi i jego bolszewickim mistrzom nie podoba się sposób, w jaki Hitler wypleniał komunizm w Niemczech. Faszizm to nasz jedyny bastion. Jedyny. Nic dziwnego, że Roosevelt chce wciągnąć nas w wojnę. To jest gigantyczny konflikt, staruszkę, konflikt na skalę światową, a Stany Zjednoczone zamierzają stanąć w nim po złej stronie. Biały Dom i chłopaczki w pasiastych gatkach z Departamentu Stanu kurwią się dla wujaszka Stalina, a Roosevelt i ten dupiek Corcoran rozsyłają po całym świecie agentów, żeby zniszczyć Hitlera, naszego jedynego prawdziwego przyjaciela. Agenci tacy jak ty, Metcalfe, naprawdę coś robią. Działają w terenie, organizują i prowadzą różne operacje, dlatego są po ważnym zagrożeniem. Bo jeśli was się nie powstrzyma, moskiewscy towarzysze przelecą przez całą Europę jak gówno przez gęś.

Stephen kiwnął głową.

- Już rozumiem - odparł. - Dlatego pytałeś mnie o Kundrowa. Nie byłeś pewien, czy nie namierzył cię rosyjski wywiad. Bałeś się, że Kundrow cię rozgryzł.

Nolan wzruszył ramionami.

- Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Musiałem spotkać się z tobą na osobności i spojrzeć w te twoje niewinne, szczenięce oczy.

- Co znaczyliby, że jesteśmy tu sami - myślał na głos Metcalfe. - Nie pokazałbyś swojej gęby jakiemuś szaraczkowi. Nie, nie ty. Jesteś pewnie najcenniejszym agentem Rzeszy w służbach wywiadowczych Stanów Zjednoczonych. Nie zaryzykowałbyś wpadki.

- Słusznie, słusznie, przyjacielu. Nie, jeśli już miałbym wsparcie, byłby to ktoś, komu całkowicie ufam. Ktoś, z kim osobiście pracowałem. Dyskrecja przede wszystkim. Ale znasz nas, zwykłych urzędników. Lubimy mieć kumpli. Nie to, co ten stary pierdoła Corcoran i jego gówniane zasady. Chryste, co to był za kutas, co za zgaga...

- Był? - wtrącił cicho Metcalfe.

- Tak, czas przeszły od „być”. Kilka godzin temu moi przyjaciele złożyli mu wizytę. Boję się, że nie ma już go wśród nas. Szkoda trochę Frau Schibli, ale cóż, widocznie im przeszkadzała...

- Ty skurwysynu! - ryknął Stephen.

Nolan dał ręką znak.

Metcalfe usłyszał za sobą jakiś ruch, cichutki szelest atakującego węża i nagle coś zaciśnięto mu się na szyi. Nie mógł oddychać! Gardło przecinał jakiś drut!

- Wielkie dzięki, Herr Kleist - powiedział Nolan. Kolejny znak i ucisk zelżał.

Metcalfe gwałtownie zakaszał. Straszliwie bolała go szyja, paliła go, jakby ścisnęła ją ognista obręcz.

- Moi niemieccy przyjaciele mają do ciebie kilka pytań - rzucił Nolan. - Musimy przez to przejść, staruszkę, niestety. A więc mów: co robisz w Berlinie?

- Obyś zdechł, ty parszywy sukinsynu! - wycharczał Stephen; garota prawie zmiażdżyła mu krtań.

- Kiedyś pewnie zdechnę, ale ktoś mnie chyba uprzedzi. - Nolan puścił do niego oko. - Dam ci radę: odpuść sobie te wygłupy. Szlachetny bunt? Już odnotowałem. Ale grasz pod publiczność, której tu nie ma. Widziałeś kiedyś cielaka, który uwiązał w drucianym płocie i powoli się dusi? Chyba nie. Tam, skąd pochodzisz, nie ma cieląt. Ale wierz mi, to potworny widok.

Ma w sobie coś pierwotnego. To tak, jakbyś się powolutku topił i wpadł w panikę, a dobrze wiesz, że panika to najgorsza rzecz. Koszmar na śmierć.

Kolejny znak i garota momentalnie się zacisnęła. Metcalfe'owi poczerwieniała twarz, jakby cała krew znalazła się nagle w głowie i nie mogła stamtąd odpłynąć, jakby pod czaszką eksplodowało nagle sto maleńkich bomb rozpryskowych.

„Ja tylko naprowadzam tych z SD. Wskazuję im drogę, podaję nazwiska i namiary... Mają swoich czyścicieli”.

To był zabójca z Paryża i z Moskwy! Ten, który zabił Rogera Martina, Amosa Hilliarda i chłopaków z paryskiej centrali...

Nieubłagany i spokojny głos Nolana dobiegał go jakby z oddali.

- Oduść to sobie, Stephen - mówił niemal czule. - Zapomnij o wszystkim tym, co kiedykolwiek zrobiłeś i tym, czego już nigdy nie zrobisz. O wszystkich kobietach, które przeleciałeś, o kobietach, których już nigdy nie przelecisz. Zapomnij, Stephen, musisz o tym zapomnieć.

I kolejny znak. Garota puściła, ból zelżał.

- Rozumiesz już, o czym mówiłem? Wierz mi, nie znoszę tych okropieństw. Naprawdę. Ale w życiu trzeba wybierać, a ty wybrałaś źle. Więc jak będzie? Powiesz? Nie? - Nolan zrobił smutną minę. - Bardzo proszę, Herr Kleist.

- Zaczekaj! - wybełkotał Metcalfe.

- Przykro mi, Stephen. To dla mnie żadna przyjemność, robię to w imię wyższego dobra.

- Masz rację, wykorzystywano mnie. Byłem narzędziem.

Nolan spojrział na niego podejrzliwie.

- To rozmowa na łożu śmierci, ale wybacz, potraktuję te słowa z lekką rezerwą.

- Myślę o tym już od jakiegoś czasu - dodał Metcalfe. Mówienie sprawiało mu ból, lecz mówił mimo to. - Chyba nie można okłamywać się w nieskończoność. Nie wiedziałem, w co Corky mnie wpakował. Wysłał mnie do Rosji, żebym zwerbował pewnego dyplomata, ale o tym już chyba wiesz.

Nolan zmrużył oczy i leciutko kiwnął głową. - Dalej. Mów dalej.

- I nad tym tu właśnie pracuję. Ja... Chryste, Chip, co ja, do diabła, wiedziałem? Dopiero co skończyłem college, w oczach miałem gwiazdy, chciałem zbawić świat. A on, ten sędziwy mistrz, bierze mnie pod swoje skrzydła i... Jezu, byłem ślepy!

Nolan jakby się zawahał. Nie opuścił broni, lecz Stephen wyczuł, że zwolnił nieco nacisk palca na spust. Pokusa była nie do odparcia, Chip nie mógł przepuścić takiej okazji.

- Opowiedz mi o tym planie - rzucił.

- Boże, jest genialny, niesamowity - odrzekł konspiracyjnym szeptem Metcalfe. Zerknął w lewo, potem w prawo, jakby chciał sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. Akcja jest zawsze dwa razy szybsza niż reakcja, pomyślał. Nagły, niespodziewany ruch. To jedyny sposób. Tylko gdzie jest ten drugi? Kąt, pod jakim trzymał garotę, wskazywał, że jest mniej więcej jego wzrostu, a uwzględniając mechanizm działania garoty i to, że nie czuł na karku jego oddechu, iż stoi prawdopodobnie nie więcej jak trzydzieści centymetrów za nim. - Ten Kundrow. Wiesz, że on jest z GRU, tak?

Nolan kiwnął głową.

Teraz nie celuje, myślał Stephen, teraz uważnie słucha. Nie można skupić się dobrze na dwóch rzeczach naraz.

- I to jest w tym wszystkim najgenialniejsze. - Nachylił się ku niemu, jakby chciał zdradzić mu jakąś tajemnicę i natychmiast poczuł ostrzegawcze szarpnięcie na szyi. Wtedy błyskawicznie wyrzucił prawą rękę przed siebie, chwycił pistolet tuż przy osłonie spustu i gwałtownie wykręcił go lufą do góry, jednocześnie zadając łokciem potężny cios do tyłu, tam, gdzie według jego założeń powinien znajdować się splot słoneczny tego z garotą. Głośne sap-

nięcie - trafił. Szybki obrót i jeszcze szybsze zejście z linii ognia: runął skosem na Nolana i w tym samym momencie rozległ się ogłuszający huk: pistolet wypalił i kula zrykoszetowała z jękiem od falistej blachy sufitu. Ale on leżał już na betonowej posadzce, już przygniatał do niej Nolana.

Metr dalej zwijał się z bólu przystojny mężczyzna o arystokratycznych rysach twarzy.

- Ty skurwysynu! - ryknął Chip, próbując odzyskać broń.

Metcalfe mocno szarpnął, wyrwał mu ją z ręki, lecz nie zdążył jej dobrze chwycić i colt pofrunął w górę, by zaklekotać na betonie piętnaście metrów dalej. Nolan odwrócił głowę, żeby sprawdzić, gdzie spadł, lecz nie zdążył, gdyż Metcalfe grzmotnął go kolanem w krocze.

- Ty pieprzony faszysto! - krzyknął i dla zaakcentowania tych słów, przyłożył mu jeszcze raz, w to samo miejsce.

Wyjąc z bólu, Nolan zgiął się wpół.

Stephen spojrział w lewo, na „Herr Kleista”, lecz ten zdążył już wstać i pędził teraz na złamanie karku w stronę pistoletu. Nie mógł dobiec tam pierwszy. Metcalfe sięgnął za plecy, wyjął swój własny pistolet i pognął za nim, szukając wzrokiem colta. Gdzie on jest? Jakby zapadł się pod ziemię. I gdzie jest ten przeklęty Szwab? Szwab też zniknął.

Stephen spojrział w lewo, zerknął w prawo. Za dużo kryjówek, za dużo wielkich, ciężkich maszyn, za którymi tamci mogli przycupnąć. Broń nie dawała mu praktycznie żadnej przewagi.

Musiał stąd zwiewać. I to już!

Skręcił w najbliższe przejście. Biegł i biegł, pokonał co najmniej pół długości boiska futbolowego, zanim znalazł się w drugiej części hali. Musiał obmyślić jakiś plan - z ofiary musiał zmienić się w myśliwego.

Tak, bo konsekwencje niepowodzenia byłyby zbyt wielkie. Punkt ewakuacyjny stałby się pułapką, w której zginąłby nie tylko on, ale i Lana.

Ciężko dysząc, legł na podłodze tuż przy alpejskim szczycie z *papier mache*. Tamci najprawdopodobniej się rozdzielili i czuł, że spróbują zająć go z boku, jeden z lewej, drugi z prawej. Tylko czy widzieli, jak tu wchodził?

Odpowiedzią był cichy szelest, jeden, a zaraz potem drugi, nieco głośniejszy. Usłyszał ciężki tupot nóg i wiedział już, że to Nolan.

Musiał się stąd wydostać, szybko i ukradkiem. Dostrzegł w mroku drewniane drzwi, piętnaście metrów dalej. Po cichu, po cichutku podszedł do nich, chwycił za klamkę i...

Klamka odpadła.

Atrapa! To tylko atrapa! Trochę farby i kilka cienkich desek przyklejonych do grubej futryny.

Pchnął je, lecz były pewnie wzmocnione czymś od zewnątrz i nie ustąpiły.

Kroki. Coraz bliżej. Zobaczył Nolana. Biegł przejściem z pistoletem w ręku. Dzieliła ich odległość piętnastu metrów. Dziesięciu, dziewięciu...

Utknął w potrzasku.

Tuż przy lewej nodze miał metalowy kosz na śmieci, na metr dwadzieścia wysoki i na niecałe dwa metry długi. Był powyginany i zardzewiał, ale kilka warstw stalowej blachy zapewniało mu w miarę dobrą ochronę przed kulami. Gdy tylko Nolan wypadł zza rogu, przystanął i przyjął postawę strzelecką, Stephen skoczył za kosz. Cisza. Nolan czekał. Próbował wymierzyć między kosz i ścianę.

Metcalfe wykorzystał to i przeładował pistolet.

Nagle gruchnął wystrzał, jeden, drugi, trzeci, i poczuł lodowate ukłucie na wysokości prawego ramienia. Kula utkwiała tuż poniżej obojczyka. Zabrakło mu tchu, ból był koszmarny. Jak to się mogło stać? Ubranie zalewała mu gorąca krew i z przerażeniem stwierdził, że meta-

lowy kosz nie jest wcale metalowy, że to tylko drewniana rama obciążona muślinem! Pocisk przeszył kilka warstw materiału i ugodził go w ramię.

Przetoczył się po betonowej podłodze z nadzieją, że szybka zmiana pozycji uchroni go przed kulami. Kolejny wystrzał, i jeszcze jeden: pociski przebiły kosz, lecz chybiły. Stephen ukląkł i na czworakach przebiegł na drugi koniec rzędu płóciennych dekoracji.

Znowu cisza. Czyżby Nolan zmienił pozycję? Czyżby podszedł bliżej? Dlaczego nie strzelał? Przecież stał ledwie cztery i pół, pięć metrów dalej.

Metaliczny klekot. Coś upadło na podłogę. Magazynek. Chip zmieniał magazynek! Stephen zerwał się na równe nogi i nie patrząc za siebie, skoczył za róg najbliższego przejścia. Po chwili był już dziewięć, dziesięć, dwanaście metrów dalej, cały czas licząc na to, że z tej odległości Nolan spudłuje. Zaczął gwałtownie zmieniać kierunek, zataczać się jak pijany, lecz robił to celowo: ruchomy cel, cel poruszający się w nieprzewidywalny sposób, jest niezwykle trudny do trafienia, zwłaszcza gdy nieustannie się oddala. Zerknął przez ramię. Nolan ponownie przyjął pozycję strzelecką i wodził za nim lufą.

Po kilku sekundach zorientował się, co Metcalfe robi i puścił się w pościg. Chwilę później Stephen zobaczył trzymetrowej wysokości makietę zamku Szalonego Ludwika, słynnego Schloss Neuschwanstein. Był za blisko, nie zdążył wyhamować. Zadygotała sklejka, odpadło kilka kawałów tynku, z hukiem spadła narożna wieżyca. Rozległ się długi, przenikliwy zgrzyt, zamek pochylił się do przodu i runął na posadzkę tuż przed Nolanem.

Nolan stracił równowagę, dzięki czemu Metcalfe zyskał kilka cennych sekund. Podniósł broń, starannie wymierzył i pociągnął za spust. Metaliczne kasznięcie i gardłowy krzyk. Trafił!

Pociągnął za spust jeszcze raz, lecz pistolet nie wypalił.

Magazynek był pusty!

Stephen włożył rękę do kieszeni, gdzie miał garść naboje, lecz naboje zniknęły. Zgubił je, musiały gdzieś wypaść. Nie miał amunicji!

Ani amunicji, ani wyboru: mógł tylko uciekać. Powiódł wokoło wzrokiem i kilka przejść dalej zobaczył stalowe drzwi. Dawał głowę, że są prawdziwe, choć wiedział, że w tym miejscu może ją łatwo stracić.

Od sąsiedniego przejścia dzielił go długi rząd drewnianych skrzyń. Były za wysokie, żeby je przeskoczyć, ale tuż przed nimi stał drewniany stół, z którego mógł się odbić. Wskoczył na blat i blat się zapadł. Cholera jasna! Kolejna atrapa, pewnie z jakiejś komedii slapstickowej.

Grzmotnął kolanami w beton i zalała go fala bólu od ud aż po obojczyk. Sapał jak kowalski miech, z trudem łapał oddech. Czuł, że koszula jest przesiąknięta krwią, że krwotok nie ustaje.

Krzyk. Zdyszany głos Nolana:

- Słyszałem to! Nie masz amunicji. Pech, co? Bądź zawsze przygotowany. Trochę spóźniona nauczka, he?

Metcalfe nie odpowiedział.

- Dzisiaj umrzesz, Stephen. Spójrz prawdzie w oczy. Ale wiesz, powinieneś się z tego cieszyć. To najpożyteczniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś. Świat będzie bez ciebie o wiele bezpieczniejszy.

Wstając, Metcalfe zwrócił uwagę na jedną ze skrzyń kilkanaście centymetrów nad głową.

Była wypełniona bronią, zabytkowymi pistoletami, absurdalnie przestarzałymi automatami, karabinami MG-34, karabinami szturmowymi MP-43, pistoletami maszynowymi MP-38, starymi granatami przeciwpancernymi i jajowatymi granatami przeciwpiechotnymi. Były to atrapy imitujące broń z tamtej wojny, które Studio Brandenburskie wykorzystywało do produkcji wielu filmów.

Po cichu wyciągnął rękę i wyjął ze skrzyni parabellum, półautomatycznego lugera kaliber 9. Też pochodził z tamtej wojny i chociaż nie dało się z niego strzelać, wyglądał bardzo autentycznie. Zerknął w lewo. Nolan wierzgał i machał rękami, próbując uwolnić się spod drewnianego rumowiska zamku. Stephen włożył lugera za pas, puścił się biegiem przed siebie i zwolnił dopiero przed repliką manhattańskiego apartamentu z kremowym fortepianem i wielkim żyrandolem. Żyrandol zwisał nisko, najpewniej po to, żeby uchwyciła go kamera, lecz podtrzymywał go gruby, brzydki sznur, którego koniec przywiązano do czegoś, co wyglądało jak wysoki, stalowy maszt z poprzecznym wysięgnikiem, a co było najpewniej zmodernizowanym żurawiem mikrofonu. Stephen pociągnął zań i mocno pchnął za siebie, w stronę wstającego właśnie Nolana. Chybił o włos, lecz żuraw zablokował Chipowi drogę.

Metcalfe naparł na drewniane skrzynie i kilka z nich ustąpiło. Przebił się do sąsiedniego przejścia i popędził w kierunku stalowych drzwi.

Z ulgą stwierdził, że są prawdziwe.

Ale nie, nie prowadziły na dwór. Prowadziły na ciemne, kręte schody, których jeden koniec nikał w dół, drugi w górę. Na górę, na dach? Czy na dół, do piwnicy?

Dach był chyba bezpieczniejszy, bo w piwnicy mógłby wpaść w pułapkę. Pobiegł na górę, próbując nie zwracać uwagi na coraz intensywniejszy ból ramienia i tępy ból kolan. Schody i znowu stalowe drzwi. Otworzył je i znalazł się na dachu. Na płaskim dachu krytym papą i posypanym żwirem. Świecił księżyc, więc mógł swobodnie biec. Dobiegł do skraju i spojrzał w dół. Ziemia była trzydzieści metrów niżej. Gdyby skoczył z tej wysokości, zginąłby na miejscu, a nawet jeśli nie, odniósłby tak poważne rany, że nie mógłby się poruszyć. Za to od dachu sąsiedniego budynku, tego z czterema dymiącymi kominami, dzieliło go nie więcej jak metr osiemdziesiąt. Gdyby wziął rozbieg, powinien doskoczyć. W Paryżu przeskakiwał szersze przepaście.

Głośny tupot nóg na schodach. Nolan. Kilka sekund później wybiegł na dach.

- Śmiało, skacz, dupku! - wrzasnął. - I tak już nie żyjesz! Wszystko mi jedno, jak zdechniesz! - Szedł powoli, z rozważą. W rękę ścisnął pistolet.

Metcalfe cofnął się, rozpędził, odbił się i podciągnął nogi, żeby zamortyzować upadek.

Wszystko zdarzyło się jednocześnie. Wylądował w chwili, gdy Nolan wrzasnął: „Zdychaj, sukinsynu!” i wypalił. Oczywiście wyobraźni Stephen widział, jak Chip spokojnie mierzy, jak pociąga za spust i wiedział, że tym razem nie chybi.

Lecz słysząc jego krzyk, poczuł, że przebija nogami dach, że stopy, uda i cała reszta wchodzi weń jak w kruchy marcepan. Runął w dół. Kula świsnęła tak blisko, że musnął go podmuch gorącego powietrza.

Sekundę później spadł na coś twardego. Na podłogę? Nie, na ziemię, na miękką, niedawno zaoraną ziemię. Jęknął. Złamał nogę? Poruszał jedną i drugą. Nie, były całe. Bolało go jak wszyscy diabli - Chryste, znowu ten ból, jeszcze więcej bólu! - ale kończyny miał nieuszkodzone.

Wiedział, że budynek jest atrapą, lecz nie przypuszczał, że aż tak wątłą i rachityczną. Dach musiał być zrobiony z materiału, który pomalowano tak, że do złudzenia przypominał piaskowiec. Łądując, przebił go, trochę wyhamował i dlatego nie połamał sobie nóg.

Rozejrzał się zadziwiony. „Budynek” był wielkim pudłem z drewnianych belek i legarów, szkieletem, który obciągnięto pomalowanym w ceglany wzór płótnem. Przeniósł wzrok w lewo i drgnął. Przy wyciętych w płótnie oknach stało kilku mężczyzn i dopiero po chwili stwierdził, że to ubrane w kombinezony manekiny, które miały udawać robotników. Na ziemi stały cztery prostokątne metalowe pudła, każde połączone krótką rurką z wysokim, dwustulitrowym zbiornikiem oleju napędowego. Z pudeł wychodziły długie, szerokie rury. Biegły w górę, do sztucznych kominów.

Wiedział, co to jest. Były to mechaniczne generatory dymu.

Na polu walki używano ich do wytwarzania zasłony dymnej wokół czołgów, lecz również do osłony atakującej czy wycofującej się piechoty, żołnierzy zwiadu i rozpoznania. Brytyjczycy stosowali prymitywną wersję generatorów zwaną kadzidłami do osłony zakładów Vauxhałł Motors w Luton. Niemcy dysponowali urządzeniami bardziej wyrafinowanymi i wykorzystywali je tysiącami w zdobytych rafineriach w Ploesti.

Urządzenia te spalały olej napędowy z podłączonych do nich zbiorników i tu, w Studiu Brandenburskim, miały stwarzać złudzenie, że jest to czynna fabryka.

Usłyszał kroki. Kroki dwóch mężczyzn! „Herr Kleist”, zabójca z SD, musiał usłyszeć hałas i ruszył na pomoc współnikowi.

Metcalfe rozejrzał się i zobaczył, że w „budynku” są tylko jedne drzwi. Drzwiami? Nie, to zbyt niebezpieczne, bo jego prześladowca - a raczej prześladowcy - na pewno tamtędy wejdą. Ukrył się za wielką szafą, czymś w rodzaju podręcznego składziku, i w tym samym momencie doszedł go dudniący głos Nolana.

- Stąd nie uciekniesz, Stephen! Tu nie ma drugiego wyjścia. Rzuć broń, łapki do góry i pogadamy.

Jasne, jasne, pomyślał Metcalfe. O moim pogrzebie. Jeden z generatorów był w zasięgu ręki. Stephen chwycił za rurę łączącą go z kominem i mocno szarpnął. Buchnął dym. Kładł się nisko, przy samej ziemi, jak gęsta, biała mgła.

Ale Chip był już po drugiej stronie składziku; Metcalfe obserwował go przez szparę. Kulał, oberwał w nogę, co nie pozbawiło go jednak czujności. Rozglądał się uważnie, myślał, jak go stamtąd wypłoszyć.

Stephen nie zamierzał dawać mu wyboru.

Wyjął zza pasa atrapę niemieckiego lugera, wyskoczył z ukrycia i wymierzył w jego głowę. Zaskoczony Nolan drgnął i podniósł broń. Biała mgła sięgała im już kolan. -Mówiłem ci, Stephen: dzisiaj umrzesz.

- Może, ale po tobie, dupku - odparł Metcalfe. - Wygląda mi to na impas.

Chip patrzył mu prosto w oczy, lecz w jego twarzy widać było cień niepewności. Luger zrobił swoje. Nie ma to jak skuteczna atrapa: nie musiała nawet strzelać.

- No i co teraz zrobisz, Chip? - rzucił Stephen, jakby miał w magazynku osiem nabojów kaliber 9. - Kto wygra?

- Zależy, który z nas ma większe jaja - warknął ze sztucznym uśmiechem Nolan.

Kątem oka Metcalfe dostrzegł Kleista, który wślizgiwał się właśnie do budynku.

- Albo który z nas mniej boi się śmierci - odparł. - Ja jestem tylko zwykłą płotką, jednym z wielu szaraczków, którzy próbują wygrać tę wojnę. Ale ty, Chip, ty jesteś kimś, grubą rybą, nie? Ulubionym zdrajcą Szwabów, ich faworytem. Jeśli zginiesz, faszyzm poniesie wielką stratę. Dobrze mówię?

Skrzypek szedł bezszelestnie przez białą mgłę. Nic nie widział. Co gorsza, nic nie czuł. Gryzący dym podrażnił jego delikatne membrany nosowe, stępnął zmysł węchu, jego najgroźniejszą broń.

Bez niej czuł się zagubiony. Był dziwnie zdezorientowany, niemal spanikowany. Szedł przez mgłę ostrożnie, z wyciągniętymi rękami. W lewej ścisnął strunę do skrzypiec.

Nagle coś usłyszał.

I momentalnie zaatakował, jak szarżujący grzechotnik. Zrobił ze struny pętlę, zarzucił ją na szyję ofiary, mocno zacisnął i...

Zdał sobie sprawę, że szyja jest za twarda, że stawia za duży opór, że jest... drewniana! Manekin.

Zniesmaczony zdjął garotę i poszedł dalej.

Bez wężu czuł się jak kaleka. Ale nie. Poprzysiągł sobie, że to nie powstrzyma go przed wypełnieniem zadania.

Dym sięgał im ramion. Czuli się dziwnie, jakby pochłonęła ich wielka, biała chmura, z której sterczały im tylko głowy. Chmura z każdą chwilą gęstniała, rosła, była gęstsza, bardziej zbita niż naturalna mgła. I szczypała w oczy.

Gdzie ten drugi? - myślał Metcalfe. Gdzie ten Kleist? Muszę być czujny, nie może mnie zaskoczyć.

- Nie zamierzam umierać. Ale ty... - Nolan urwał. Patrzył na lugera. - Nie dawałem ci lugera.

- Nie jesteś moim jedynym zbrojmistrem.

- Niemiecki, hę?

- Dziwne, co? - odparł Stephen. - Szwaby używają szwabskich pistoletów. Dasz temu wiarę?

- To starocie!

- Biorę, co dają, nie jestem wybredny. Trwa wojna, są braki w zaopatrzeniu.

- Przecież to... Jezu Chryste, przecież to straszak! Ma zaślepioną lufę!

Metcalfe nie czekał. Rzucił się na niego, powalił na ziemię i pochłonął ich oleisty dym.

Straszliwie bolało go ramię, paliły oczy, bardzo osłabł, mimo to próbował wyrwać mu pistolet. Ale Chip był ranny i też opadł z sił. Szarpał się jednak, wyginał i wierzgał, nie chcąc wypuścić broni nawet wtedy, gdy Stephen zdołał wykręcić mu rękę i skierować lufę prosto w niego.

- No i co, paniczyku? - wysapał Nolan z szyderczym uśmiechem. - Nareszcie porachuję ci kości. - Drżał z wysiłku, jakby siłowali się na ręce. - Wszyściutkie, co do jednej.

Lufa pistoletu to opadała, celując w niego, to podnosiła się, celując w Stephena. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, jak dziecięca zabawka. W nagłym przypiływie wściekłości Nolan pchnął ją do góry i zaczął naciskać spust. Dygotała mu dłoń, wraz z dłonią dygotał pistolet. Ale nie, przecenił swoje siły, nie doceniając sił Metcalfe'a: nadgarstek nie wytrzymał, puścił, zwiotczał i lufa wycelowała dokładnie w jego czoło. Zrozumiał, co zaraz będzie i przerażony wytrzeszczył oczy.

Huknął wystrzał i kula odstrzeliła mu pół głowy. Do cna wyczerpany, ze zbryzganą krwią twarzą, Stephen osunął się bezwładnie na ziemię. Otaczała go gryząca mgła. Nic nie widział, nie miał czym oddychać, bolał go obojczyk.

I wtedy usłyszał czyjeś niepewne kroki. Cichy szmer, niczym szelest sunącego po piasku węża.

Stępiony bólem instynkt kazał mu sięgnąć za siebie. Poczuł, że coś zimnego i metalicznego dotyka mu karku i nadgarstka, że z potężną siłą zaciska mu się na szyi. Garota. Dusila go z zaciekłością dziesięć razy większą niż poprzednio! Nie wiedząc, że ma jeszcze tyle sił, rzucił się do przodu, szarpał w lewo i w prawo, głośno krzyknął. Lecz z jego gardła dobył się jedynie charkot.

Palce jego prawej ręki uwięzły między szyją i garotą, dlatego mógł bronić się tylko lewą. Zacisnął pięść, wziął zamach i uderzył, raz, drugi i trzeci. Bił na oślep, za siebie, mimo to trafił.

„Mają swoich czyścicieli”.

To był jeden z nich.

Zabójca z Sicherheitsdienst chciał dokończyć dzieła. Bezwzględny morderca, który zadusił garotą tych z Paryża, Amosa Hilliarda i jego przyjaciela Rogera Martina...

Który zamierzał udusić i jego.

Stanął mu przed oczami obraz martwych kolegów. Metalowa struna wbijała mu się w szyję i gdyby nie palce, już dawno przecięłaby delikatną skórę i tkanę, już dawno przecięłaby arterię. Łzawiły mu oczy, widział potrójnie, a właściwie nie widział nic, gdyż otaczał ich gęsty, biały dym. Wygiął się w łuk, z wściekłością przetoczył na bok, nieustannie wierzgając i zadając ciosy lewą ręką. Kilka z nich trafiło, ale tym razem dusiciel stał za blisko, żeby odniosły jakikolwiek skutek. Drut wrzynał się coraz bardziej, coraz bardziej odcinał dopływ krwi. Zawirowało mu w głowie, ujrzał świetliste punkciki we mgle. Nie mógł oddychać!

Nie, ten sukinsyn go nie zabije. Ten skurwiel z SD go nie pokona. Lana - musiał pamiętać o Lanie. Lana zaraz przyjedzie, zaraz przywiezie ją Kundrow, a za kilka minut, gdy wyłąduje lysander, wskoczą do kabiny i odlecą do domu, tam, gdzie bezpiecznie. Ocali ją, uwolnią, i hitlerowcy uwierzą we wszystko, co zrobiła, uwierzą, że dokumenty są prawdziwe.

Ona będzie bezpieczna, a niemiecka machina wojenna, uwikłana w konflikt bez wyjścia, legnie w gruzach. Tak musiało być i tak będzie! Wszystko zależało od niej, od tego, czy wsiądą do samolotu i uciekną. Zależał od tego los dwojga ludzi, jej i jego. Zależał od tego los milionów.

Kleist nie mógł go teraz zabić!

Chwycił go za rękę, za jedną z rąk, które z niewiarygodną wprost siłą zaciskały mu garotę na szyi, ponownie wygiął się do tyłu, złapał go za palce i zaczął je rozchyłać, mocno, coraz mocniej, zaczął je odginać do tyłu. Ucisk garoty zwiększył się jeszcze bardziej i Stephen czuł, że zaraz straci przytomność. Prawa ręka, wciąż uwięziona między drutem i szyją, była zupełnie bezużyteczna, jednocześnie ratowała mu życie, bo gdyby nie ona, już dawno by zginął.

Cały drżał, dygotał z wysiłku, mimo to nie puszczał palców i wreszcie zdołał chwycić je całe, chwycić i odgiąć jeszcze mocniej, tak że w końcu usłyszał głuchy trzask, chrupnięcie kości. Złamał je! Złamał sukinsynowi palce! Kleist przeraźliwie wrzasnął, z bólu i wściekłości, i pętla się rozluźniła. Metcalfe wziął głęboki oddech. Zahaczył o coś stopami, uderzył nimi w coś twardego, w coś, czego nie widział, pewnie w jeden z dwustulitrowych zbiorników z olejem.

Tak! Olej! Śliski olej!

Gdyby tylko mógł przewrócić zbiornik i wylać na ziemię jego zdradliwą zawartość...

Puścił złamane palce, skrzyżował nogi, przetoczył się na bok i nie zważając na napinającą się garotę, ze wszystkich sił pchnął zbiornik. Zbiornik drgnął, przechylił się. Pękła rura łącząca go z generatorem, chlusnął olej.

Nie, to nie olej. To benzyna! Chryste, benzyna nie jest śliska, nic z tego nie będzie!

I nagle garota... zniknęła.

Kleist przeraźliwie krzyknął. Benzyna zalała mu oczy, chwilowo go oślepiła i przemocony nią Niemiec odskoczył do tyłu. Metcalfe runął na niego jak burza, lecz potknął się o coś w nieprzeniknionej mgle. Generator z resztką paliwa: widać było niebieski płomień u jego podstawy. Bez zastanowienia pchnął go w stronę Niemca. Ciężkie pudło grzmotnęło Kleista w nogi i roztrzaskało się z hukiem o ziemię.

I wtedy rozbłysło jaskrawe światło.

Buchnął pomarańczowy płomień, który ułamek sekundy później zmienił się w potężną kulę ognia. Metcalfe usłyszał coś, co zabrzmiało jak ryk rannego zwierzęcia i zobaczył, że zmierza ku niemu żywa pochodnia.

Ból był nie do wytrzymania. Był niezwykły, wprost wyszukany. Skrzypek wiedział, że płonie żywcem. Krzyczał. Krzyczał każdą komórką ciała, jakby krzyk mógł złagodzić tę niewysłowioną agonię.

Ale jeszcze gorsza była świadomość, że nie zdoła ukończyć misji, że nie zabije Amerykanina.

Krzyczał, dopóki wytrzymały struny głosowe, dopóki płomień nie ogarnęły całego ciała. Wiedział, że umiera, że nie dałby rady ugasić ognia, tarzając się po ziemi. Płomień był zbyt duży, za bardzo szalały, zresztą nie mógł się już poruszyć.

Cieszyło go jednak, że odzyskał węch. Jego nozdrza wypełniał intensywny, obezwładniający odór, który natychmiast rozpoznał. Był to odór palącego się ciała.

Jego ciała.

W najjaśniejszej strefie ognia Stephen widział jego wijące się ręce i wierzgające nogi. Krzyk był przeraźliwy, dziwacznie wysoki, jak potworne zawroźnienie jakiegoś zwierzęcia. Ognista kula znieruchomiła. Płomień ryknął i strzelił jeszcze wyżej, liżąc drewniane wsporniki, które momentalnie stanęły w ogniu. Kilka sekund później w ogniu stanął cały budynek, lecz Metcalfe już pędził do drzwi, już wybiegał na dwór, już padał na ziemię. Płótno i sklejkę pochłoniął huczący ogień. Stephen czuł jego gorąco, leżąc trzydzieści metrów dalej.

Kleist nie żył.

Kleist i Nolan. Ale gdzie była Lana? Gdzie był Kundrow? Spojrzał na zegarek. Za chwilę miał wylądować samolot, a on nie ustawił jeszcze flar. Jeśli pilot ich nie zobaczy, uzna, że ewakuację odwołano i nie wylądaje.

Idąc w stronę oświetlonej pomarańczowymi płomieniami łąki, usłyszał pisk hamulców. Odwrócił się i zobaczył Kundrowa za kierownicą czarnego samochodu. Otworzyły się drzwiczki i Rosjanin szybko wysiadł.

- *Boże moją!* - krzyknął. - Pożar! - Podbiegł bliżej. - Postrzelili cię! Co się stało?

- Gdzie Lana?

Kundrow pokręcił głową. Miał smutną twarz i zaczerwienione oczy. Metcalfe chwycił go za ramiona.

- Gdzie ona jest? Miałeś zabrać ją z zamku. Co się stało? Co z nią zrobiłeś?

Kundrow ponownie pokręcił głową. - Nie było jej tam.

- Co znaczy „nie było”?

- Był tylko von Schussler.

- Jak to? Zniknęła? NKWD przyszło wcześniej? Tak? Mów, do cholery! Przyszli po nią? Jakim cudem?

- Nie! - krzyknął Kundrow. - Powiedziała von Schusslerowi, że wzywają ją pilnie do Moskwy, że musi natychmiast wracać. Prosiła, żeby odwieźć ją na dworzec.

- Przecież to była zmyłka! O wszystkim wiedziała, wszystko rozumiała!

Kundrow pokręcił głową. Mówił cicho i monotonicznie, jak zahipnotyzowany.

- Von Schussler protestował, ale bardzo nalegała. Wreszcie się zgodził i kazał szoferowi zawieźć ją na Ostbahnhof. Daimler zniknął - teraz już wiem dlaczego - więc zawiózł ją innym wozem.

- Porwali ją?

- Bardzo wątpliwe. Poszła dobrowolnie.

- Ale dlaczego? - wykrzyknął Stephen. - Dlaczego?

- Powiem ci coś. Mam jej akta. Uzbierało się tego ze dwa tysiące stron. Obserwuję ją od dwóch lat. Uważnie, dokładnie, nawet intymnie. Nie obserwowano tak żadnego innego Rosjanina, ale gdybyś mnie spytał, czy ją rozumiem, musiałbym przyznać, że nie.

Metcalfe spojrzał w rozświetlone księżycem niebo. Wysoki, cichutki jęk, który słyszał już od jakiegoś czasu, stał się głośniejszy i brzmiał teraz jak warkot piły mechanicznej. Ly-sander. Widać go było tuż nad horyzontem.

- Flary! - krzyknął.

- Po co? - odparł Kundrow. - Bez Lany to nie ma sensu.

- Jezu Chryste! - Stali bez ruchu, patrząc, jak maszyna zatacza koło nad lądowiskiem.

Po chwili zniknęła w ciemności.

Stephen ponownie zerknął na zegarek.

- Pociąg przyjeżdża za niecałe pół godziny. Jeśli dasz gaz do dechy, powinniśmy zdążyć.

Fasada ponurego, podobnego do gotyckiej katedry dworca była zupełnie ciemna, a z jego wysokich okien sączyło się żółtawe sodowe światło. W środku nie było ludzi i gdy biegli, przystając jedynie, żeby spojrzeć na rozkład jazdy i sprawdzić numer peronu, ich kroki dudniły echem w pustej hali.

Peron też był opustoszały. Pociąg już czekał; widzieli śpiących pasażerów przez zaciemnione okna. Gdy pędzili wzdłuż torów, zabrzmiał ostatni sygnał.

Na końcu peronu tłoczyła się zbита grupka ludzi, jedynych, którzy wsiadali. Metcalfe nigdy w życiu nie biegł tak szybko. Nie zważał na ból, widział jedynie twarz Lany. Ale zanim tam dobiegł, podróżni zdążyli już wsiąść, poza tym nie dostrzegł wśród nich kobiety. Czy naprawdę tam była? Może już wsiadła?

Gdzie ona jest? Chciał krzyknąć, wykrzyzczyć jej imię, wykrzykiwał je w duszy. Serce biło mu jak oszalone, ogarniał go strach.

Gdzie ona jest?

Dogonił go zdyszany Kundrow.

- To NKWD. Poznają ich na odległość. Swietłana musi być w środku. Pilnują jej. To obstawa.

Stephen kiwnął głową. Idąc powoli peronem, patrzył w okna wagonu, zaglądał w każde z nich. Był zrozpaczony, przerażony. Lana!

Bezgłośny krzyk. I krzyk głośny:

- Lana!

Z pneumatycznym sykiem hamulców pociąg ożył i ruszył. Metcalfe biegł peronem, wciąż zaglądając do okien i krzycząc jej imię.

- Lano, proszę! Boże święty...

I wtedy ją zobaczył.

Siedziała między kilkoma mężczyznami w ciemnych ubraniach. Podniosła głowę. Spotkali się wzrokiem.

- Lana! - Na pustym peronie zadudniło głucho echo.

Była w chustce. Nie licząc różowej szminki na ustach, nie miała makijażu. Odwróciła głowę.

- Lana!

Spojrzała na niego, znowu spotkali się wzrokiem i w jej pięknych oczach zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Jej oczy mówiły: „Wiem, co robię”.

Podjęłam decyzję. Nie wtrącaj się.

To moje życie. I moja śmierć. Nikt mnie nie powstrzyma.

- Lana? - Tym razem jego krzyk zabrzmiał jak pytanie.

W jej twarzy dostrzegł rezygnację i zdecydowanie. Leciutko pokręciła głową i uciekła wzrokiem w bok.

- Nie! - krzyknął z bezdenną agonią w głosie.

Miała posępną, zaciętą minę. Patrzyła prosto przed siebie. W jej świetlistej twarzy widać było przerażenie, bunt, ciekawość i głęboki spokój człowieka, który wreszcie podjął decyzję.

Rozdział 38

Moskwa, Łubianka

Drobny blondyn o trupiobladej cerze wyszedł z komory egzekucyjnej. Chociaż w imieniu swego szefa, głównego śledczego Rubaszowa, nadzorował wiele egzekucji, śmierć wciąż napawała go przerażeniem. Z drugiej strony przerażeniem i obrzydzeniem napawało go wszystko to, co robiło NKWD, dlatego przed rokiem z chęcią przyjął propozycję tajnej współpracy z Niemcami. Zrobiłby wszystko, żeby zniszczyć sowiecką maszynę terroru. O nazistach wiedział niewiele; wystarczyło mu samo to, że Hitler chciał unicestwić to znieprawdzone państwo. I jeżeli informacje, które dostarczał do Berlina, miały przyspieszyć dzień upadku Stalina, mógł uważać się za bardzo szczęśliwego człowieka.

Odnosił w myśli dokładną godzinę egzekucji. Abwehra na pewno zapyta o szczegóły. Zechcą też przeczytać jej zeznania. Była niezwykle piękną kobietą, jedną z najświetniejszych rosyjskich primabalerin - i agentką Berlina! Torturowano ją długo i brutalnie i w końcu przyznała się do wykradzenia ściśle tajnych dokumentów wojskowych od swego ojca generała i do przekazania ich kochankowi, niemieckiemu dyplomacie.

Blondyn o trupiobladej cerze uważał ją za bohaterkę. Szpiegowała dla Niemców i była potajemnym wrogiem Kremla, tak samo jak on. I zanim się przyznała, wytrzymała wiele godzin niewyobrażalnych tortur. Zastanawiał się, czy ma jej siłę, jej hart ducha i odwagę, jaką wykazała, zanim w końcu zaczęła mówić.

Rozłożony na podłodze brezent był zbryzgany jej krwią i wiedział, że zapamięta ten obraz do końca życia. Niedługo wyniosą zwłoki i przyjdzie tu sprzątaczką ze szmatą. Szczegóły egzekucji Swietłany Baranowej zostaną pogrzebane przez NKWD, żeby nikt nie dowiedział się o jej śmierci.

Ale on dopilnuje, żeby ta dzielna kobieta nie umarła na darmo.

Wieczorem wróci do domu i w raporcie dla Abwehry opíše jej bezcenne zasługi dla Rzeszy.

Berlin musiał poznać prawdę. Sporządzenie raportu było nie tylko jego obowiązkiem, ale i wewnętrzną potrzebą, gdyż chociaż w ten sposób mógł uczcić odwagę tej pięknej baletnicy.

Berlin

Admirał Canaris rozkoszował się tym, co miał zaraz powiedzieć. Zwrócił się bezpośrednio do Reinharda Heydricha, który próbował podważyć wiarygodność moskiewskiej agentki.

- Nasz współpracownik z Łubianki potwierdził uprzednie doniesienia: kobieta, która dostarczyła nam tylu cennych informacji na temat operacji „Wolfsfalle”, została rozstrzelana.

- Straciliśmy źródło informacji! - wykrzyknął marszałek polny Keitel. - To katastrofa!

Canaris uważnie obserwował gadzie oczy Heydricha. Heydrich był człowiekiem złym, ale i błyskotliwym. Podobnie jak Canaris, dobrze rozumiał znaczenie tej wiadomości. Ale nie, Heydrich nie powie nic. Jego wymierzona w Canarisa kampania poniosła klęskę.

- Tak, to godne ubolewania - odrzekł spokojnie admirał. – Prawdziwe nieszczęście. To naprawdę tragiczne, że ta dzielna Rosjanka oddała życie za naszą sprawę. - Nie musiał nic więcej dodawać. Wszyscy zrozumieli: egzekucja była najlepszym dowodem jej wiarygodności.

W sali długo panowała cisza. Wszyscy trawili jego słowa. Potem wstał Hitler.

- Młoda kobieta zapłaciła najwyższą cenę, żebyśmy poznali prawdę o zdradzieckich machinacjach Stalina. Uczcijmy jej męstwo. Inwazja na Rosję, operacja „Barbarossa”, musi się rozpocząć. I się rozpocznie, nie ma już odwrotu. Czy któryś z panów jest temu przeciwny?

Niektórzy pokręcili głową, ale nikt się nie odezwał.

- Wiercie mi - kontynuował Hitler. - Musimy tylko wyważyć kopniakiem drzwi i ten do cna przegniły kolos runie.

- Tak jest! Racja! - poparł go marszałek Keitel. Dołączyło do niego kilku innych.

Twarz Fuhrera rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Kampania przeciwko Rosji będzie dziecinną zabawą w piaskownicy.

Rozdział 39

Jałta, Krym, luty 1945

Kłeska była nieuchronna. Oficjalnie Berlin jeszcze się nie poddał, ale wszyscy wiedzieli, że to tylko kwestia czasu, miesiąca, może dwóch. Samolot prezydenta Roosevelta wylądował na Krymie kilka minut po dwunastej w południe. Wśród jego doradców i asystentów był młody człowiek, Stephen Metcalfe.

Wraz ze śmiercią Alfreda Corcorana Socjeta została rozwiązana. Stephenowi było wszystko jedno, gdyż dowiedziawszy się o śmierci Swietłany Baranowej, uznał, że musi odejść. Zdawał sobie sprawę, że dokonał czegoś wielkiego, lecz zbyt dużo go to kosztowało. Skrzywdził jedyną kobietę, którą kiedykolwiek kochał, i musiał za to zapłacić.

Wrócił do Waszyngtonu wypalony i miotany poczuciem winy. Przez kilka miesięcy mieszkał w hotelu Hay-Adams i ostro pił, nigdzie nie wychodząc i z nikim się nie widując. Jego życie dobiegło kresu.

W końcu interweniowali przyjaciele, tłumacząc mu, że musi znaleźć sobie jakieś zajęcie, że musi pracować. Rodzinne interesy szły dobrze, a jego brat Howard wyraźnie dał mu do zrozumienia, że nie chce jego pomocy. Stephen nie potrzebował pieniędzy, ale musiał mieć jakiś cel.

Pewnego dnia dostał wiadomość od jednego z najważniejszych i najbardziej wpływowych członków organizacji Corky'ego: od prezydenta Franklina Delana Roosevelta. Prezydent zapraszał go na krótką rozmowę do Białego Domu.

I już nazajutrz zatrudnił go jako swego młodszego asystenta. Stephen Metcalfe ponownie odnalazł sens życia.

Prezydencka kawalkada przejechała sto dwadzieścia osiem kilometrów z lotniska w Saki do górskiego pałacu Liwadia, który był niegdyś letnią rezydencją rosyjskiego cara. Podróż trwała pięć godzin, a wzdłuż całej trasy stali rosyjscy żołnierze, salutując przejeżdżającym samochodom.

Zburzone budynki, szkielety wypalonych domów - zniszczenia wojenne były potworne. Niemcy splądrowali pałac, zabierając z niego, co mogli, od kranów poczynając, na klamkach kończąc, lecz Rosjanie zdążyli odrestaurować go na konferencję Wielkiej Trójki, Stalina, Churchilla i Roosevelta, którzy mieli nadzieję pokonać dzielące ich różnice i wypracować plan odbudowy powojennego świata.

Dopiero trzeciego dnia Metcalfe znalazł okazję, żeby przespacerować się po okolicy. Był przygnębiony. Ciężko chory prezydent nie potrafił skupić myśli. Wypowiadał się bezładnie podczas obrad. Powoli umierał, chociaż niewielu o tym wiedziało. Jego główny doradca, Harry Hopkins, też ciężko chorował. Roosevelt przyjechał tu tylko po to, żeby namówić Rosjan do przyłączenia się do wojny przeciwko Japonii i utworzyć organizację, którą nazywał Organizacją Narodów Zjednoczonych. Uważał, że cała reszta jest mniej ważna, dlatego chętnie ustępował Stalinowi, przystając na jego żądania. Churchilla traktował ozięble i nie chciał z nim współpracować. Stalina wciąż nazywał „wujaszkiem”, nie dostrzegając w nim potwora, co było dowodem jego naiwności i ślepoty. Metcalfe próbował otworzyć mu oczy, lecz cóż mógł jako młody asystent? Jego rola sprowadzała się do sekretarzowania, do notowania podczas sesji plenarnych. Nikt nie chciałby go słuchać; z dnia na dzień był coraz bardziej sfrustrowany.

Jako szpieg, myślał, przynajmniej czegoś dokonałem. Tutaj jestem tylko urzędnikiem.

Z cienistego półmroku wyłoniła się jakaś postać. Stephen zamarł. Krew zmieniła się w adrenalinę, zadziałał stary instynkt. Lecz ujrawszy jednonogiego kalekę, a raczej kalekę z drewnianą protezą, uspokoił się i odprężył.

- Metcalfe! - zawołał tamten, podchodząc bliżej.

Rude włosy, dumne, niemal aroganckie usta - Stephen oniemiał.

- Kundrow? Porucznik Kundrow?

- Teraz już pułkownik.

- Boże! - Metcalfe uściśnął mu rękę. - Ty też tu? Co z twoją... Jak to się stało?

- Zwyczajnie, pod Stalingradem. Miałem szczęście. Ja straciłem tylko nogę, moi koledzy życie. Ale zwyciężyliśmy. Inwazja na Związek Radziecki była największym błędem Hitlera.

- I powodem jego klęski - dodał Stephen.

- Miałeś rację - rzucił Kundrow z iskierką w oku.

- Ja? Kiedy?

- Wiem, wiem. O pewnych rzeczach nie wolno mówić. Tajna historia wojny musi pozostać tajna.

Metcalfe puścił tę uwagę mimo uszu.

- Słyszałem, że po Stalingradzie Hitler uznał von Schusslera za zdrajcę i kazał go rozstrzelać.

- Hm, cóż za nieszczęście.

- Zawsze zdumiewało mnie, że Armia Czerwona była tak nieprzygotowana. Stalin nic nie wiedział? Przecież musieliście go ostrzegać.

Kundrow spoważniał.

- Wielu próbowało. Ostrzegał go sam Churchill. Ja też wysłałem kilka raportów na Kreml, do samego Stalina, ale wątpię, czy mu je przekazano. On nikogo nie słuchał. Nie mógł uwierzyć, że Hitler może go zdradzić.

- Albo zrobić coś tak głupiego.

- Nigdy się tego nie dowiemy. Szkoda. *Nuda...* A więc pracujesz teraz w Białym Domu.

- Trzeba gdzieś pracować.

- I co? Prezydent cię słucha?

- Nie bardzo, jestem za młody. Słucha tych najbardziej doświadczonych, i tak powinno być.

- Szkoda. Rozumiesz Rosję lepiej niż oni.

- Pochlebca.

- Nie, wiem, co mówię. Widziałeś Moskwę taką, jakiej oni nigdy nie widzieli i nie zobaczą.

- Może. Nienawidzę waszego rządu, ale kocham Rosjan.

Kundrow milczał, lecz Stephen wiedział, o czym myśli. Wiedział też, że żaden z nich nie wspomni o rozmowie, którą kiedyś odbyli, o jego próbie ucieczki na Zachód. Nigdy. To też miało pozostać wieczną tajemnicą.

- Obydwoj poszliśmy dzisiaj na spacer - rzucił z twarzą pokerzysty. - Ciekawy zbieg okoliczności.

- Wasz prezydent umiera - odparł Kundrow. - Hopkins też. Może dla tego tak się wyprzedajecie.

- My?

- Dajecie Stalinowi to, co chce. Daliście mu Polskę. Jesteście nierozważni i Kreml przejmie teraz kontrolę nad całą Europą wschodnią. Uwierz mi na słowo. Roosevelt nie stworzył z Churchillem wspólnego frontu i Churchill jest wkurzony. A to jeszcze bardziej ośmiela Stalina.

- Skąd wiesz o prywatnych rozmowach Roosevelta z Churchillem?

- A jak myślisz, po co tu przyjechałem? Nasi ludzie siedzą dniami i nocami, żeby przechwytywać je, tłumaczyć na rosyjski i podawać Stalinowi na śniadanie.

- Założyliście podsłuch w jego gabinecie?

- Stephen, czyżbyś był aż tak naiwny? Przecież wiesz, jak pracujemy. Nagrywamy każde wypowiedziane przez niego słowo. Wiem, co mówię, bo odpowiadam za podsłuch.

- No proszę, a ja nie mogę nic zrobić - odparł z uśmiechem Metcalfe. - Nawet gdybym ich ostrzegł, nikt by mi nie uwierzył. Co za ironia.

- Tak samo jak ja nie mogłem nic zrobić wtedy, przed inwazją. Dla Stalina byłem nikim. Jesteśmy tylko maleńkimi trybikami wielkiej maszyny, Stephen. Ale kto wie, może pewnego dnia będziemy na tyle silni, żeby mieć wpływ na politykę naszych rządów. Do tego czasu musimy wykonywać rozkazy. I zawsze pamiętać, że zrobiliśmy kiedyś wiele dobrego.

- I złego.

Kundrow nie odpowiedział. Uśmiechnął się smutno i wyjął z kieszeni złożoną kartkę grubego, szorstkiego papieru.

- Tuż przed śmiercią NKWD pozwoliło jej napisać jeden list. – Podał go Metcalfe'owi.

Drobniutkie pismo Lany, rozmazany atrament. Stephen uniósł brwi.

- To jej łzy - powiedział cicho Kundrow.

Metcalfe przeczytał list w bladym świetle księżyca. Drżały mu ręce. Płakał. Skończywszy, podniósł wzrok i wyszeptał:

- Boże, co za odwaga...

- Wiedziała, że nasz plan to tylko półśrodek. Że Niemcy tego nie kupią. Że tylko jej śmierć przekona ludzi Hitlera.

- Przecież mogła żyć! - wykrzyknął Stephen. - Mogła wyjechać ze mną do Stanów... - Nie mógł mówić. Nie znajdował słów.

Kundrow pokręcił głową.

- Jej domem była Rosja i chciała, żeby tu ją pochowano. Bardzo cię kochała, ale zdawała sobie sprawę, że jedynie najwyższe poświęcenie może uratować wasz plan. Nie zrobiła tego tylko dla Rosji i dla wolności. Zrobiła to dla ciebie. Stephen poczuł, że robi mu się słabo, że zaraz zemdleje. Opadł z sił.

- Musimy wracać - mruknął Kundrow.

Gdy weszli do sali balowej, poczęstowano ich lampką przedniego armeńskiego koniaku. Właśnie zaczynała się kolejna runda toastów. Kundrow nachylił się ku niemu, wznosił kieliszek i szepnął:

- Jej poświęcenie było większe, niż myśleliśmy.

Metcalfe kiwnął głową.

- A to, co ci podarowała, dar jej miłości, cenniejszy, niż przypuszczasz.

- Nieprawda...

Lecz Kundrow mówił dalej:

- Może pewnego dnia wszystko zrozumiesz. Ale teraz wypijmy za najbardziej niezwykłą kobietę, jaką kiedykolwiek znaliśmy.

Tręcili się kieliszkami.

- Za Lanę - szepnął Stephen. Pograżeni w zadumie długo milczeli. - Za Lanę - powtórzył Metcalfe i tym razem mówił tylko do siebie. – Za moją jedyną miłość.

Moskwa, sierpień 1991

Ambasador Stephen Metcalfe zaczął opowiadać mu historię młodego amerykańskiego biznesmena, który przed pięćdziesięciu laty zakochał się w pięknej rosyjskiej balerinie.

Zaskoczony Meniłow słuchał go z lekkim rozdrażnieniem, które szybko ustąpiło miejsca głębokiej ciekawości. Nie odrywał od niego oczu.

- To jakiś podstęp! - wykrzyknął, zanim ambasador zdążył skończyć. - Sztuczka wymyślona przez waszych speców od psychologii! Ale ja nie dam się nabrać!

Trzęsącymi się rękami ambasador sięgnął pod marynarkę i wyjął pistolet.

Meniłow zaniemówił. Patrzył na broń jak rażony piorunem.

- Boże... - szepnął.

Ten bogato zdobiony pistolet zawsze przyprawiał ambasadora o głęboki smutek. Nigdy nie zapomni dnia, gdy po śmierci Lany przed pięćdziesięciu laty, zrozpaczony i pijany, dostał ciężką paczkę, którą przysłano mu kurierem z radzieckiej ambasady i która trafiła do Waszyngtonu pocztą dyplomatyczną z Moskwy. W środku znalazł opakowany w wełnę zabytkowy pistolet z grawerowaną lufą i bogato zdobioną rękojeścią. Natychmiast rozpoznał jeden z pistoletów Puszkina, które pokazywała mu Lana. Pamiętał, że należały do jej ojca. Z anonimowej notatki - był pewien, że jej autorem był Kundrow - wynikało, że zapisała mu go w swoim ostatnim liście tuż przed egzekucją na Łubiance. Był bardzo wzruszony. Wiedział, że jej ojciec już nie żyje i zastanawiał się, dlaczego nie podarowała mu kompletu. Zawsze napełniało go to wielkim smutkiem.

- Niech pan to weźmie - rzucił.

Ale Meniłow otworzył szufladę biurka i wyjął z niej identyczny pistolet z ośmiokątną, grawerowaną lufą i orzechową rękojeścią, rzeźbioną w liście akantu.

- To ten drugi - powiedział.

- Pańska matka mówiła mi, że należały do Puszkina.

Meniłow poczerwieniał. Mówił powoli, z wahaniem.

- Nie wiedziałem, kim pan jest. Mama mówiła o panu „Stiwa”, tylko tak. Ale nadała mi pańskie imię. - Był jak w transie. - *Babuszka* mówiła, że jakby... jakby czekała na tych z NKWD, że wcale nie była zaskoczona. Poszła z nimi spokojnie, bez protestów. Stiwa bardzo ją kochał, tak mówiła. I mówiła, że o tym wie. Że jeśli trzeba się poświęcić, zrobi to z dumą.

- Miał pan wtedy najwyżej sześć lat - wykrztusił w końcu ambasador. Dziecko Amerykanina byłoby w stalinowskiej Rosji obywatelem drugiej kategorii albo kimś jeszcze gorszym. Zawsze by je podejrzewano. Lana o tym wiedziała i żeby je ochronić, nie wspomniała o nim nawet jemu.

- Tak. Słabo ją pamiętam. Ale mam zdjęcia, a *babuszka* dużo mi o niej opowiadała, że bym nie zapomniał. Była bardzo odważna.

Ambasador kiwnął głową.

- Nie znałem odważniejszego człowieka. I wiem, że przekazała tę odwagę panu. W historii naszych krajów było tyle fałszywych kroków, tyle straszliwych błędów. Ma pan okazję naprawić kolejny. Ma pan okazję zrobić ruch w dobrym kierunku. I wiem, że go pan robi.

Limuzyna zajechała przed halą odlotów lotniska Szeremietiewo. Nie czekali na niego ani reporterzy, ani telewizja, ani dziennikarze. Tak sobie zażyczył. Przyleciał do Moskwy ukradkiem, ukradkiem zamierzał odlecieć. Niechaj inni udzielają wywiadów i przypisują sobie zasługi.

Jeden z najbardziej wstrząsających epizodów w historii XX wieku - wieku, który w takie epizody obfitował - dobiegł końca. Zamach się nie udał: bez poparcia człowieka zwanego

Diriżorem spiskowcy nie mieli szans. Obalono pomniki dawnych tyranów, na ulicach rozbrzmiewała radosna wrzawa.

Dokonała się historia; nikt nie musiał wiedzieć jak, kto i dlaczego. Świat nie miał pojęcia o jego wyczynie sprzed pół wieku. I nigdy nie dowie się o tym ostatnim. Tajemnicę znało jedynie ich trzech: on, syn, którego dopiero co poznał, i jego stary przyjaciel, rudowłosy porucznik Kundrow, obecnie siwowłosy generał.

Żołnierz piechoty morskiej pomógł mu z bagażami. Był nim zafascynowany i podekscytowany, że może poznać taką znakomitość.

Ambasador odnosił się do niego serdecznie, chociaż błędził myślami gdzie indziej.

„Wyjątkowy dar”. Tak kiedyś powiedziała. „Dar twojej miłości”.

Miał już osiemdziesiąt lat, ale dopiero teraz zrozumiał, że są dary naprawdę bezcenne.